

Pod białą strażą.

Gdy cicha noc nad światem
Zabłyśnie gwiazd tysiącem,
Gdy mgły się snują sennie
W powietrzu woniejącem.

A w ciszy słodkie pieśni
Szeroką płyną falą,
I lży anielskie w śnieżnych
Perłkach się kryształą...

„O Panie!“ — słysząc głosy;
„Na ludzkie wejrzyj mrowie!
Na chaty, te, do siebie
Tulące się w parowie!“

I daj strudzonym ludziom
Spoczynku chwilę błogą,
I otocz marzeń tęczą
Siedzibę ich ubogą!“

Tak modlą się anieli,
A pod ich białą strażą
Ludziska o niebieskich
Rozkoszach słodko marzą...

Widzenia rajskich światów
Pod niskie schodzą strzechy,
I stroją znojne twarze
W pogodę i uśmiechy.



O CHARAKTERZE.

Obejście (maniera).

Obejście się (maniera) to kardynalna zewnętrzna ozdoba charakteru. Jest to okrasa czynności i częstokroć najwzwyżajniejsze upiękosa odpowiednie zachowanie się. Używa ono nawet najmniejszym drobnostkom życia uroku i przyczynia się do uczynienia ich przyjemnymi.

Obejście się nie jest rzeczą dowolną i nie ma znaczącą jak się to niejednemu zdawać może, albowiem zadaniem jego jest ulżyć interesom życia i stosunki społeczne niejako osłodzić. „Sama cnota nawet obraża — powiada biskup Aiddleton — jeśli jej towarzyszy odpychające zachowanie się“.

Obejście przyczynia się wiele do szacunku, jakiego ludzie w świecie używają, oraz w kierowaniu innymi stokroć więcej znaczą od innych, choćby najbardziej ważnych przymiotów. Łagodny i serdeczny zarazem sposób zachowania się stanowi konieczny warunek udania się danej rzeczy i niejedni dla braku takowego nie mogą celu osiągnąć. Od pierwszego albowiem wrażenia bar-

dzo wiele zależy, a uprzejmość i grzeczność zwykle stanowi o tem, czy takie wrażenie będzie przyjaznem lub nieprzyjaznem.

Znanem jest przysłowie, że „obejście stanowi człowieka“, atoli nie jest ono tak trafnem jak to, że „człowiek tworzy obejście“, każdy może być nieprzystępnym nawet szorstkim, a mimo to mieć dobre serce i szczerzy charakter — byłby on atoli stokroć przyjemniejszym i prawdopodobnie użyteczniejszym, gdyby miał owe miłe i grzeczne obejście, które prawdziwie ucywilizowanemu człowiekowi ostatni blask nadaje.

W sposobie zachowania się danego człowieka, pod pewnym względem manifestuje się jego charakter. Jest to zewnętrzny objaw wewnętrznej jego natury. Zdradza ono jego smak, jego poczucie i usposobienie, jak również towarzystwo, w którym żyć przywykł. Są wprawdzie przybrane maniery, które stosunkowo małego są znaczenia, ale naturalna maniera, uzewnętrznienie się przyrodzonych, przez staranne ukształcenie ulepszonych darów, może nam bardzo wiele powiedzieć.

Sztuczne reguły grzeczności nader małego są użytku. To, co obiega pod imieniem etykiety, jest zwykle zarodem niegrzeczności i fałszu. Cała

tu rzecz zasadza się na robieniu pewnych poz i min i łatwo ją poznać. W najlepszym razie etykieta jest tylko zastępczynią dobrej manieri, zwykłe atoli jest ona czystym małpiarstwem tej ostatniej.

Dobre obejście polega na grzeczności i uprzejmości. Uważają grzeczność za sztukę, która przedstawia w zewnętrznych oznakach wewnętrzny szacunek, jakim jesteśmy względem innych przepiętni. Można atoli być bardzo dla kogoś grzecznym, a przecież wcale go nie szanować. Ztąd też dobre obejście niczem innym nie jest, ani mniej, ani więcej jak tylko przyjemnym sposobem zachowania się. Stosownie więc powiedziano: „Piękna figura lepszą jest od pięknej twarzy a piękne zachowanie się lepsze od pięknej figury. Sprawia ono większą przyjemność niż obraz lub posąg i pośród sztuk pięknych jest najpiękniejszą sztuką”.

Istotna grzeczność zasadza się na szczerości. Chcąc zrobić trwałe wrażenie, winna ona z serca pochodzić, bo nawet najwyższe wykształcenie nie może nam odebrać poczucia prawdy. Naturalny charakter należy oczyścić z wszelkich chropowatości i nierówności.

Prawdziwa grzeczność jest wysoce ludzką. Zdradza się ona w chęci przyczynienia się do szczęścia bliźnich i usuwania tego wszystkiego, co mu szkodzić może. Z drugiej strony, o ile jest ludzką, o tyle jest i wdzięczną i chętnie uznaje czyjeś przyjacielskie usługi.

Prawdziwa grzeczność objawia się głównie w poszanowaniu osobistości współbliźnich. Kto chce, by jego szanowano, ten powinien szanować innych. Człowiek taki będzie miał przynależny względ na czyjeś przekonania i poglądy, choćby się nawet z jego własnymi różniły.

Człowiek niegrzeczny i niewzględny na innych, woli raczej poświęcić przyjaciela niż swój żart. Trzeba być porządnie głupim, ażeby za nagrodę chwilowej przyjemności, wywołać w kimś nienawiść do siebie.

Kto jest rozumny i grzeczny, ten nigdy lepszym ani mędrszym i bogatszym nie usiłuje wydać się od swego sąsiada. Nie szczyci się on ani swym stanowiskiem, ani urodzeniem lub ojczyzną i na innych nie patrzy z góry dlatego, że wskutek swego urodzenia nie mają tych, jakie on ma przywilejów. Nie pyszni się swoją wyższością lub swoją sławą. Przeciwnie, we wszystkim, co mówi lub czyni jest skromnym, niewymagającym i bez zarozumiałości, prawdziwy swój charakter woli raczej w czynach niż w przechwałkach i słowach okazywać.

Brak poszanowania uczuć w swych współbliźnich powstaje zwykle z samolubstwa i prowadzi zawsze do surowości i odpychających manier. Przyczyna tego leży nie tyle w złości, ile raczej w braku współczucia i delikatności, w braku przestrzegania i uwagi na owe pozornie małe i nie nie znaczące rzeczy, które innym radość lub ból sprawiają. Wogóle można powiedzieć, że różnica między złem a dobrem wychowaniem na tem głównie polega, żeby w codziennych stosunkach życia umieć ponieść pewne ofiary.

Człowiek, który w towarzystwie do pewnego stopnia nie umie nad sobą panować, może się prawie nieznośnym stać. Nikt nie ma przyjemności zostawać w stosunkach z taką osobistością, która dla swego otoczenia jest bezustannym źród-

łem przykrości. Z braku panowania nad sobą wielu ludzi przez całe życie toczą walki z wytworzonymi przez siebie trudnościami i częstokroć szwankują w przedsięwzięciach skutkiem swej gburowatej niegrzeczności — podczas gdy inni nawet mniej utalentowani, jedynie przez cierpliwość, towarzyskość i panowanie nad sobą, równają sobie drogę życia i osiągają dane cele.



NASZA CHWAŁA.

Ignacy Maciejowski (Sewer)

urodził się roku 1839 w Sandomierskiem, umarł r. 1901 we wsi Dołędze pod Tarnowem w Galicyi. Po ukończeniu nauk przedwstępnych, kształcił się dalej w wyższej szkole rolniczej w Marymoncie pod Warszawą. W powstaniu roku 1863 brał Maciejowski czynny udział, wskutek czego po ostatecznym powstaniu szukać musiał schronienia zagranicą, gdyż inaczej czekał go Sybir albo śmierć pod knutami lub na szubienicy.

Udał się przeto Maciejowski do Galicyi, lecz rząd austriacki gwoili sąsiedzkiej życzliwości dla Moskali kazał mu 2 laty przesiedzieć w więzieniu za udział w powstaniu.



Kiedy go wypuszczono udał się Maciejowski do Anglii i Francyi, aby tam zapoznać się z urządzeniami społecznymi i przemysłowymi a następnie pouczyć o tem swych rodaków. Spostrzeżenia swoje skreślił w książce zatytułowanej „Szkice z Anglii”.

Po powrocie do Galicyi, osiadł Maciejowski w Dołędze, ożenił się i pracując na roli, wolne od pracy chwile poświęcał pracy pisarskiej. Dzieła swoje podpisywał przybranym mianem, czyli pseudonimem „Sewer”. Najlepszymi dziełami Sewera są te, które osnute są na tle życia ludu jak n. p. „Biedronie”, „Zalotnica”, „Łusia Burlak”, „Dla świętej ziemi”, „Matka” i inne. We wszystkich tych utworach maluje Sewer życie ludu z niezwykłą prawdą a zarazem z wielką miłością, czem za-

służył sobie na niewygasłą pamięć wszystkich pracujących i przez los nie pieszczonych. Ignacy Maciejowski był jednym z pierwszych, co wciąż wskazywał i zaznaczał, że w ludzie pracującym tkwią niespożyte siły narodowe i stąd w nim upatrywać należy nadzieję lepszej przyszłości.

Poza tem był Ignacy Maciejowski człowiekiem niezwyklej dobroci i szlachetności. Każdemu jak najchętniej spieszył z radą i pomocą. każda dobra sprawa miała w nim gorliwego obrońcę i pracownika.



Ze wspomnień lekarza.

W długiej mej karyerze na posterunku lekarza w mieście gubernialnem, zaledwie kilka pamiętam wieczorów wigilijnych, spędzonych spokojnie w gronie rodziny i przyjaciół. Miasteczko wzrastało z biegiem lat w liczbę mieszkańców, gromadka lekarzy, początkowo szczupła, pomnożyła się pięcio- czy sześciokrotnie, a mimo to na moje utrapienie zdarzało się właśnie w tym dniu uroczystym zawsze coś niezwykłego, musiałem więc przerywać chwilę upragnionego wytchnienia, opuszczać ciepły kąt i swoich najbliższych, naciągać futro i spieszyć tam, gdzie gwałtownie domagano się mojej rady czy pomocy.

Wigilijny wieczór jednak w r. 18... zapisał się w pamięci mojej głębiej od innych.

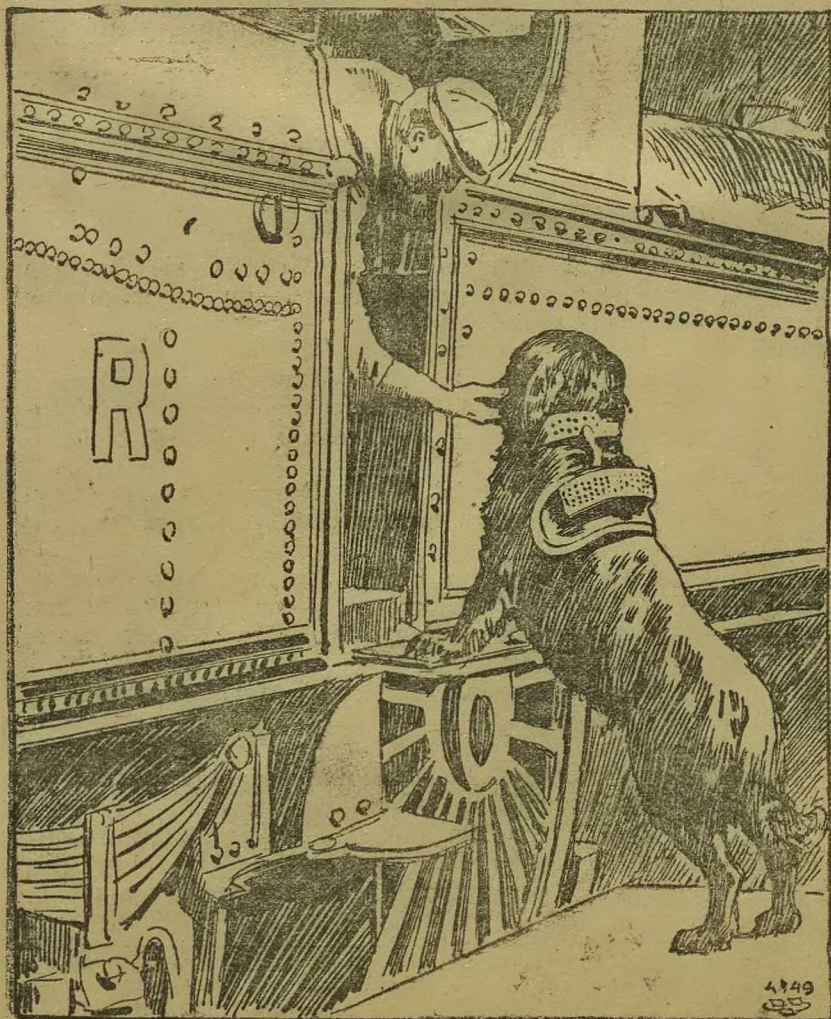
Energiczne szarpnięcie za rączkę dzwonka u drzwi wchodowych zapowiedziało niespodziewanego i bynajmniej nieupragnionego gościa. Całe moje kółko zgromadzone już było u biesiadnego stołu z tradycyjnym sianem pod obrusem; by zdobyć niezbędną parzystą liczbę, obszedłem rano hotele i ściągnąłem jednego z ziemian, którego szalona śnieżycza zatrzymała przypadkowo w miasteczku; zresztą w tak gwałtowny sposób dzwoni się do lekarza tylko w wyjątkowych wypadkach...

Przecucie mnie nie zawiodło: do przedpokoju wpadł zmarznięty i zaśnieżony „myszures” z trzeciorzędnego zajazdu żydowskiego, znany mi dobrze od lat jakich dwudziestu Moszko i jał zaklinać na wszystko, by co rychlej jechać, bo „jakiś pan umiera”.

— A kto to taki? — pytam z przyzwyczajenia.

— Jakiś nieznajomy, przyjechał pod wieczór z Bessarabii, kazał sobie dać pierwszy numer, chodził po pokoju, siadł na krzesło i zaczął wołać: doktora, doktora! Ja już był u dwóch, ale nikogo nie zastał. Szabas mi cały zepsuł i tyle...

Wsiadłem do sań, Moszko wygramolił się na kozioł koło furmana i dalej souł przędzę swoich lamentów i narzekań. Wieczór był istotnie straszny: wichur mióła śniegiem, że światła Bożego dopatrzeć nie mogłem; w oknach tu i owdzie przebłyskiwały, słabo majaczące po przez lodem okryte szyby, światełka choinek lub świece szabasowych, latarnie naftowe przeważnie pogasły, spóźniony jakiś przechodzień przemykał się po podściany domostw, psy nawet pozaszywały się gdzieś



Zak III przy spełnieniu swego zadania.

Zak III to pies rasy neufundlandzkiej ustanowiony na dworcu w Londynie a zadaniem jego jest zbieranie datków na zakład sierot po zmarłych urzędnikach kolejowych. Jest to trzeci pies w tym celu wytresowany; Zak I uzbierał w ten sposób w ciągu swego życia tysiąc funtów szterlingów (około 20 000 marek). Obecny jego następca Zak III nie mniej gorliwie spełnia swój urząd i gdy pociąg jaki stanie na dworcu, natychmiast biegnie do drzwiczek wagonu dla pobrania datków od podróżnych. I mowa prawie wypadku, aby ktokolwiek odpędził psa nie wrzuciwszy datku do zawieszanej u szyi jego puszeki, boć trudno już oprzeć się, gdy nieme zwierzę przypomina w ten sposób o przykazaniu miłości bliźniego. Służba zaś kolejowa na wyścig stara się o wygodę psa, który pomaga tak skutecznie do utrzymania pożytecznego zakładu.



ZDANIA I MYŚLI.

Kto lekceważy narodowe obyczaje, ten przestał być członkiem narodu.

Kto umie znieść cierpienie, ten jego ciężar o połowę zmniejsza.

Nie umiesz wiele — czytaj to się nauczysz, umiesz — czytaj jeszcze, bo zapomnisz.

kat, tylko wiatr był niemiłosiernie i szarpał grzytającymi i jęczącymi sztyldami.

Dobilem się wreszcie do zajazdu, pustego i cięgiego niezwykłe. Gospodarz z rodziną odprawił szabas; zwykli goście chrześcijanie pośpieszyli do ognisk rodzinnych; stróż, okutany w kozuch, drzemał na krześle w bramie.

Moszek wprowadził mnie do izby, dostatecznie nudnej, nazwanej szumnie pierwszym numerem. Łojowa świeczka tliła się na stoliku w typowym mosiężnym lichtarzu, odbijając się w lustrze, przystrojonem w maki z czerwonej bibułki, nie- możliwie zapyłone i popstrzone przez muchy. Na ścianie zakopcone oleodruki: portrety cara i cary, i jakiś wulkan ogniem krwawym ziejący, na łóżku leżał w ubraniu mężczyzna, lat na pier- wsze wejście około sześćdziesięciu, ubrany skro- mnie, ale porządnie. Pod piecem ręczna torba podróżna i olbrzymie wilczury.

Jeden rzut oka wystarczał do nabrania prze- konania, że na nic się tu już nie zdadzą żadne zabiegi lekarskie, chory nie żył. Mimo to szyb- ko rozpiąłem surdut i kamizelkę, rozerwałem koł- nierz u kołnierz, z pod której wychyliła się ol- brzymia torba płócienna, wypełniona banknotami.

Nazwiska nieznajomego nikt nie znał; przy- był z za Dniestru, prawdopodobnie jakiś dzierża- wca bessarabski, którego niecierpiący zwłoki in- teres wypędził w tak okropny czas, na dni świą- teczne z domu.

Oczy Moszka na widok torby płóciennej omal nie wyskoczyły z głowy, mnie mróz przeszedł po kościach. Znajac pospiech naszych władz, zwa- szcza „rozbowionych” odpowiednio w noc wigilij- ną, wiedziałem z góry, że długo stróżować mi wypadnie przy zwłokach nieznajomego, a raczej przy tej pokaźnej przypuszczalnie gotówce, ukry- tej w torbie na jego piersi.

Nasuwały mi się trzy możliwości: albo wró- cić spokojnie do domu, a wówczas spadkiem nie- znanych mi sukcesorów nieboszczyka podzielił się najniechętniej służba hoteliku wraz z jego wła- ściicielem, a może i z policją; albo sam zostanę do rana i narażę się na posądzenia ludzi przewro- tnych, że opłaciłem mój trud sownie; albo wre- zcie będziemy stróżować przy zwłokach razem z Moszkiem. Wybrałem bez wahania ostatnią, mimo irytacji i lamentów przygodnego towarzysza niedoli, któremu wypadek ten popsuł wieczór sza- basowy i zmuszał do całonocnego czuwania bez żadnego wynagrodzenia.

Biedny Moszek skomlił pod piecem, nie to mnie jednak nie wzruszyło.

— Będziemy siedzieć razem i pilnować pie- nędzy nieznajomego — oświadczyłem mu krótko i węzłowato. — Przyjdzie policja, spisz wobec nas protokół a potem pójdziemy spać... Ot, zapal papierosa!

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Za ścianą jakiś ochrypły zegar wydzwaniał kolejno dziesią- tą, jedenastą, dwunastą; za oknem wichura sza- lała dalej z równym impetem, a ja mierzając kro- kami izbę w szerz i wzdłuż, paliłem jednego pa- pierosa po drugim.

Komisarza ani śladu, stróż nigdzie go znaleźć nie mógł; dygnitarz cyrkulowy zabawił się gdzieś wesóło, nie przeczuwając nawet, jak — wyjątko-

wo co prawda — bardzo spragnieni jesteśmy jego widoku.

— Moszku kochany, tylko nie spać, potem po- wiedzą, że ja pieniądze ukradłem...

— Co też pan doktor mówi, taki porządny człowiek.

— Porządny, czy nieporządny, ale pilnujmy razem...

— A ile tam pieniędzy?

— Nie wiem; myślę, że dużo...

Strześliśmy zagadkowego skarbu do godziny czwartej rano. Komisarz policyjny, wyciągnięty wreszcie z łóżka, bardzo był nierad mej obecno- ści przy spisaniu protokołu. W torbie znalazło się 78 000 rubli w banknotach.

Właścicielowi zajazdu i Moszkowi ręce tak ner- wowo drżały przy podpisywaniu protokołu, że ledwie zdołali na dokumencie urzędowym wygryz- molić swoje nazwiska. Pan „prystaw”, wychod- żąc z numeru, trzasnął drzwiami i zaklął siar- czyście pod wąsem.

Wszystkim nam wryła się w pamięć na długo ta tragiczna noc wigilijna.

W kilka tygodni później zawitali do mnie szcze- śliwi spadkobiercy bessarabskiego dzierżawcy, dalecy krewni starego kawalera, trochę dziwaka, trochę dusigrosza, składając na moje ręce na wpi- sowe i mundurki dla ubogich uczniów kilkaset rubli.

Poleciłem nadto ich pamięci biednego Moszka, obarezonego liczną rodziną, borykającego się nie- mał z nędzą. Podobno przestał przeklinać ową noc, spędzoną w moim towarzystwie u zwłok nieznajomego gościa, o wysokości jednak otrzyma- nej darowizny milczał zawzięcie.

Po co miał o tem wiedzieć „pan prystaw”?



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia przeszłości naszej.

Dnia 1 stycznia 1467: Urodził się królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi syn Zygmunt, późniejszy król Zygmunt I.

Dnia 2 stycznia 1238: Papież Grzegorz IX potwierdza nadanie ziemi Dobrzyńskiej Krzyżakom przez księcia mazowieckiego Konrada w za- mian za pomoc w nawracaniu pogańskich litwi- nów i prusaków.

Dnia 3 stycznia 1795: Rosja i Austria wy- dają deklaracje za ostatecznem, zupełnem rozebra- niem Polski.

Dnia 4 stycznia 1764: Carowa Katarzyna za- wiera przymierze z królem pruskim Fryderykiem, dla zapewnienia wyboru Stanisława Poniatowskie- go na króla Polski.

Dnia 5 stycznia 1796: Austriacy wkraczają do Krakowa.

Dnia 6 stycznia 1862: Ks. Zygmunt Feliński prekonizowany na biskupa warszawskiego po śmierci ks. biskupa Fijałkowskiego.

Dnia 9 stycznia 1795: Król Stanisław August wyjeżdża do Grodna, skąd już więcej nie wrócił, lecz podpisał tamże akt zrzeczenia się tronu, wyjechał do Petersburga.

Co robić w długie wieczory?

Jak tylko wspomnimy na długie wieczory zimowe, tak zaraz na myśl nam przychodzi czytanie. Bo też jest to pora, która najlepiej się do tego nadaje: roboty około gospodarstwa ukończone, rodzina cała w izbie zgromadzona, ciepło przyjemne rozchodzi się od pieca, czysta i jasno paląca się lampa daje dostatek światła — wszystko to aż prosi, aby wzięć do ręki gazetę lub książkę. Jużci, że wszyscy na raz czytać nie mogą, bo to i niema zwykle tyle gazet czy książek, aby dla wszystkich starczyło, a drugie, że to niewiasty zwłaszcza mają wiele innego zatrudnienia, które też właśnie wieczorem, przy lampie skutecznie można i trzeba.

Na to najlepsza rada, aby jedno z rodziny głośno czytało, a drudzy słuchając, inną jeszcze czynność, byle nie hałaśliwą, przytem wykonywać mogą. Na to jednak trzeba umieć czytać płynnie, gładko i zrozumiale.

„Bo to i ten — jak pisze pewna gospoia wiejska ku pouczeniu sióstr swoich — co sam lichy czyta, nie wiele rozumiejąc, nie ma ochoty dosiedzieć dłużej nad książką, która go nie bawi, a i ci, którym na głos czyta, jeszcze mniejszy pożytek z takiego dukania odnoszą.

Dopóki człowiek nie czyta każdej książki tak, jakby na pamięć pacierz mówił — płynnie, zrozumiale, to na nie wiele, powtarzam, zda się takie czytanie. Ażeby do tego dojść, nie wielkiego nie potrzeba, tylko wprawy, do której przy chęciach dobrych przez jedną zimę cała rodzina dojść może. Niech tylko do tego kobiety dopomogą, to napewno sprawa ta osiągnie dobry skutek. Ażeby czytanie mogło się udać, przedewszystkiem niech kobiety tak się urządzają, aby wszelkie hałaśliwe roboty przedtem były ułatwione, aby potem w wieczór każde się wzięło za jakąś cichszą, nieprzeszkadzającą głośnemu czytaniu robotę i po kolei każdy z godzinkę niechby głośno czytał, a inni słuchali, zaś kto najlepiej czyta, niechby poprawiał gdzie trzeba. Tym sposobem i robota iść będzie i czytanie postępować. Jedyne to sposob, bo inaczej, nie czytając codziennie, całe życie możemy się nie nauczyć płynnie czytać.

A jakąż to pociecha, kiedy dojdziemy już do takiej wprawy! jak nas ciekawić wtedy każda książka będzie! jak nie da nam spokoju, aż ją przeczytamy! Kto wolno ustami poruszając czyta, ten długiego czasu potrzebuje na przeczytanie a raczej sylabizowanie, bo takiego czytania inaczej nazwać nie można. Lecz kto szybko czyta, ten tylko oczami wodzi, a kartki mu idą za kartkami same i mniej czasu potrzebuje na przeczytanie książki całej, niż taki niedouczek do przeczytania stronnicy jednej. I wtedy właśnie chce się czytać; lada chwilę złapie się wolną, na to się ją obraca, choćby i w południe.

Przypomnijmy sobie, jak to jeden z gospodarzy powiadał, że kiedy na obiad czekał, to czytał; nie usnął, żeby co nie przeczytał. Otóż jemu pewno szło łatwo, bo komu ciężko, to ochoty takiej nie ma. Czytanie gładkie można sobie wyrobić, ucząc się i czytając precz; choć ono z początku ciężko idzie, to za to potem lekko będzie. Albo też przypomnijmy sobie (bo przykład najlepiej uczy)

też naszą duszę służącą, co to około 500 ludzi blisko nauczyła czytać przy całem zajęciu swoim. Piękny to przykład?

I nie cześć że to takiej kobiecie? Obca dla obcych tak dobrze czynić umiała, cóż dopiero my same matki dla swych dzieci, lub siostry starsze dla młodszych? Czyż się poleniemy dopomódz im lub czy nie damy dobrego z siebie przykładu?

Dla przykładu właśnie, choćbyśmy i starszemi już byli, zacznijmy od siebie. Bo nie wstyd czegoś nie umieć, wstyd tylko się nie uczyć. Zaczniemy więc same czytać co dzień głośno, a za nami pójdą kolejno wszyscy, co są w domu. Zobaczmy, jak to wtedy po jednej zimie lżej nam i milej wszystko czytać przyjdzie.

Więc sobie z tem czytaniem, matuchny kochane, zróbcie postanowienie i nie odstępajcie od niego, bo kobieta wiele może, jak chce; toć Bóg jej w tem, co dobre, chętnie dopomaga.

Sliczne to słowa zacnej, pilnej a światłej niewiasty, do których nie już dodać nie potrzeba, chyba to nasze staropolskie: „Szczęść Boże!“ tym wszystkim, którzy z chęciową garnąc się do oświaty, długie wieczory poświęcają miłemu czytaniu.

NASZA CHWAŁA.

Lucyan Rydel

urodził się r. 1868 — żyje dotąd w Krakowie. Młody ten poeta, choć nie jest takim geniuszem, jak zmarły niedawno St. Wyspiański, jednakże zajmuje jedno z pierwszych miejsc w szeregu polskich poetów współczesnych. Co więcej, Lucyan Rydel umiał stać się ulubieńcem całej Polski, bo to, co dotąd napisał, to jakoby z serca wyjął każdemu Polakowi. Największy rozgłos zyskał Rydel przez swoje dramaty, czyli sztuki sceniczne. W „Zaczarowanym kole“ wyprowadza przed oczy widza wszystkie stany dawnej Polski, dawne wierzenia i baśnie, dawne błędy i cnoty, a wszystko to osnute około bar-



do zajmujących dziejów kilku osób. Dramat „Na zawsze”; to znów jakoby jedna karta z naszych kłesk i bólów: dzieje zesłańca sybirskiego, który trawiony tęsknotą za krajem rodzinnym, ucieka z Sybiru, lecz zostaje schwytany przez Moskali, którzy wysła go z powrotem w mroźne szlaki, tym razem „na zawsze”.

Ostatnia sztuka sceniczna Rydla, bodajże najmilsza jest sercu polskiemu, bo oto w „Betleem Polskim” przesuwają się przed oczyma cały naród polski, idący z hołdem do szopki betleemskiej. Owo „Betleem Polskie” przedstawia corocznie pod kierunkiem Rydla sami polscy włościanie we wsi Toniach pod Krakowem gdzie poeta zamieszkuje i z włościanami jako współbrat żyje.

Oprócz tych sztuk napisał Rydel mnóstwo drobniejszych wierszy i artykułów, że tylko wspomniemy o odezwie, dotyczącej kanonizacji naszej królowy Jadwigi.

Da Bóg Lucyan Rydel nie ustanie jeszcze tak prędko w pracy i da nam jeszcze dużo dzieł swego ducha ku utrwaleniu naszej miłości do wszystkiego, co jest nasze, polskie.



Naród przodujący.

Jest to niezaprzeczonym pewnikiem, że w dążeniu ludzkości ku coraz lepszemu udoskonaleniu, ku coraz wyższej oświacie i cywilizacji, zawsze któryś z licznych na ziemi narodów kroczy na czele, niejako innym przodując.

W wiekach średnich takim narodem przodującym byli Włosi, potem wysunęła się naprzód Francja, obecnie i ona ustępuje miejsca — Anglii.

Takie świadectwo wystawia Anglikom między innymi także nasz polski publicysta i myśliciel Bolesław Prus. Oto jak pisze on o tem w numerze 49-tym „Tygodnika Ilustrowanego”:

„Zarzucają Anglikom egoizm osobisty i narodowy. Każdy naród jest egoistą, choć nie każdy tyle użytecznych usług oddaje i oddał ludzkości, co Anglicy. Są oni znakomitymi rolnikami, hodowcami i górnikami. Ich wyroby przemysłowe i rzemieślnicze odznaczają się dokładnością i trwałością obok prostoty. Ich żeglarze i podróżnicy zwiedzili każdy zakątek świata, ich kupcy, należą do najuczciwszych.

W dziedzinie wynalazków technicznych Anglicy zajmują stanowisko pierwszorzędne. Bo, czy chodzi o motory fabryczne, czy o maszyny przewozowe i sposoby porozumiewania się, czy o mechanizmy wykonawcze, narzędzia miernicze, optyczne i t. p., Anglicy albo je wynajdywali, albo wprowadzali do nich samodzielne i ważne ulepszenia.

Jeszcze na wyższym szczeblu działalności Anglicy, obok mnóstwa uczonych badaczy, posiadają geniuszów w rodzaju Newtona lub Darwina, którzy podpatrzyli najrozleglejsze prawa natury. A dalej posiadają własną swą filozofię, nadzwyczajnych poetów w osobach Szekspira i Byrona.

Gdy nareszcie przejdziemy do rzeczy społecznych i wielkich idei humanitarnych, znowu na miejscach naczelnych spotykamy tam Anglików.

Oni pierwsi wystąpili przeciw niewolnictwu, oni byli apostołami poprawienia losu robot-

kobiet, dzieci, u nich wolność zjednoczyła się z porządkiem, a postęp sprzymierzył się z rozsądną zachowawczością.

Będąc tak bardzo i bardzo użytecznymi dla cywilizacji i ludzkości, Anglicy posiadają zasłużony dobrobyt. Jest to naród nie tylko najbogatszy, ale i karmi się najlepiej, mieszka najwygodniej i żyje najdłużej. Mówiąc tak, nie zapominam o proletaryuszach angielskich, lecz gdzież niema proletaryatu, a gdzieś średni poziom dobrobytu można porównać z angielskim? Niemalą rolę w ich pomyślności odgrywają wszelkie rodzaje sportów. Anglicy należą też do narodów najruchliwszych i najodleglejsze odbywających podróże.

Bardzo znamienity jest fakt, że ideał człowieka, posiadającego najwyższe zalety: fizyczne, umysłowe, uczuciowe i towarzyskie, we wszystkich językach nazywa się z angielska „dżentelmenem”. Znaczy to, że ten piękny typ urodził się i upowszechnił przedewszystkiem w Anglii...

Bolesnym cierniem w życiu i historii angielskiej jest Irlandya... Trzeba jednak pamiętać, że dziś już nie patrzymy na grzech, ale raczej — na pokutę i zadosyćuczynienie, i że epoka właściwych krzywd, wyrządzanych Irlandyi, przypada na czas między XII-tym a XV-tym wiekiem. Bo, co się tyczy Indyi, znawcy sądzą, że rola Anglików jest tam raczej cywilizatorska, aniżeli dręczycielska, i że Indye, zestawione samym sobie, więcej cierpiałyby, niż dzisiaj. Przecież to Anglicy, dźwigają tam rolnictwo, osuszają bagna, budują drogi, walczą z chorobami i drapieżnymi zwierzętami, usuwają okrutne zwyczaje, a szerzą oświatę.

W tem miejscu przypominam ci ciekawe zdarzenie, opowiedziane przed kilkoma laty, jak pewien angielski gubernator na prośbę Murzynów, aby utworzył im angielską szkołę, odpowiedział:

— Moi drodzy, najpierw poznajcie świat i rzeczy użyteczne w swoim języku, a dopiero wówczas pogadamy o języku angielskim...

Oto rządcy ludów!

Wracając do wszechświatowej roli Anglików, streścić ją można w trzech wyrazach: „oni wyprzedzają Europę”. Wielką rewolucję francuską na półtora wieku wyprzedziła rewolucja angielska. Swobody, które Rosya otrzymała w roku 1905, Anglicy mieli prawie przed siedmioma laty, zaś Prusacy w taki sposób prześladowali Polaków, jak to robili dwa, trzy i cztery wieki temu Anglicy z Irlandczykami.

Na szczęście Anglia odkryła dziś nowy sposób rozszerzania swojej władzy; zamiast tępie narody ogniem i żelazem ofiarowuje im dobrowolnie autonomię, czego dowody mamy we wszystkich koloniach angielskich. Lecz jak prędko przykład ten zechce naśladować reszta Europy?... Sądzę, że termin nie jest odległy i że doczekać go powinni już nasi bezpośredni następcy”.



Słuchaj, co powie tobie dźwięczny odgłos dzwonu
To uroczyste z niebios do ciebie wołanie; —

I rzeknij, gdy cię dojdzie brzmienie jego tonu:
„Nic swego nie mam, wszystko od Ciebie, jest
Panie!”



Jan hrabia Radetzky.

Dnia 5-go stycznia upłynęła 50 letnia rocznica śmierci marszałka Radetzky'ego, którego Austriacy czczą jako jedną ze swych gwiazd. Już w latach 1788—1789 walczył Radetzky w wojnie przeciwko Turkom, wstąpił się zaś następnie w bitwach przeciwko Napoleonowi I, awansował też szybko: po bitwie pod Marengo został dowódcą pułku huzarów, a w roku 1809-ym uratował armię austriacką pod Wagran. Przypominamy, że w r. 1809 toczyła wojnę z Austrią także Księstwo Warszawskie, gdzie dowódcą wojsk polskich był książę Józef Po-



natowski, nie mniejszy zaiste wojownik od Radetzky'ego, tylko mniej szczęśliwy.

W roku 1831 mianowany został Radetzky najwyższym komendantem we Włoszech, których część wówczas do Austrii należała. Kiedy w r. 1848 Włosi powstałi zbrojnie przeciwko Austrii, Radetzky pobił Włochów w kilku bitwach i chwilowo zapewnił Austrii posiadanie zabranych Włoch, co mianowany został generalnym gubernatorem Lombardii i Wenecji. W r. 1857 cołnął się w zacisze domowe i umarł w rok później w Medyolanie. Jako marszałek polny zaprowadził Radetzky pierwszy, odbywane dotąd we wszystkich krajach manewry, jako ćwiczenie w czasie pokoju.



Na grzbiecie wieloryba.

Z pamiętnika marynarza.

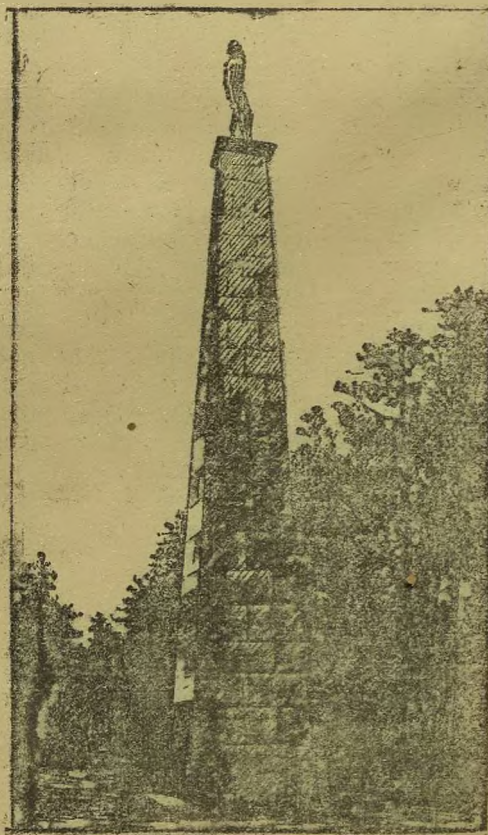
Do tej chwili przebyłem bez szwanku wszystkie niebezpieczeństwa łowów na wieloryby, i to wyrobiło we mnie przekonanie, że ktobądźby zginął, ja nie zgine, a takie przekonanie może człowieka zaprowadzić daleko, i uczynić go zdolnym do narażania się z zimną krwią na największe niebezpieczeństwa.

W takim usposobieniu zająłem moje zwykłe miejsce w łodzi pewnego rana, gdyśmy wyruszyli na wspaniałego potłusza, zaraz po śniadaniu. Nie

było w pobliżu żadnego statku, wiatr był lekki, a niebo bez chmury. Płynęliśmy ku naszej ofierze, która, nieświadoma niebezpieczeństwa, kołysała się spokojnie na morzu, podnosząc chwilami olbrzymi ogon w górę i uderzając nim w wodę z ogłuszającym hukiem.

Byliśmy co najwyżej o pół mili od niego, gdy odczepił nam się główny żagiel. Trzeba było ścigać go co żywo, żeby jego szczał nie zbudził czujności potwora. Skutkiem tego wyścignęła nas łódź drugiego porucznika. Z początku wszystko szło zwykłym porządkiem; pomimo, że wieloryb był niestęchanie silny, i na ogromnej przesirzeni wokoło morze było spienione, podpłynęliśmy tuż do niego, wystawiając się samosząc na niebezpieczeństwo.

Uspokoił się był właśnie na chwilę, gdy zobaczyłem jego ogon, jak olbrzymi cień, wywijający się w stronę drugiej łodzi, która znajdowała się poza nim. W mgnieniu oka potężna chrząstkowata masa zalszła w słońcu, zakreślając olbrzymi łuk w powietrzu, a potem z hukiem spuściła się w wodę. Uderzyła w środek naszej łodzi, wyrzucając z niej jak z procy wszystkich, oprócz mnie jednego, którego noga uwięzła na dnie łodzi, lecz szarpnięcie było tak potężne, że o mało nie wyrwało mi nogi w biodrze. Zaledwie zdołałem uwolnić nogę, kiedy wzniosła się nad moją głowę potężna paszcza wieloryba, ryjącego morze wśród szczątków naszej łodzi, a potem huk wody ogłuszył mnie i otoczyła głęboka ciemność. I jedna tylko myśl mi pozostała: „co będzie jeśli on mnie połknie?”. Do dzisiejszego dnia nie mogę pojąć jakim sposobem uniknąłem jego paszczy, otwartej szeroko jak drzwi kościelne... Górowała nad wszystkiem męka powstrzymywanego oddechu, dopóki nie wydestałem



Pomnik Radetzky'ego
w parku jego dziedzicznego zamku.

się na powierzchnię wody, w tej właśnie chwili, gdy coś miało pęknąć już w mojej głowie. Byłem otoczony falami krwawej piany, która mi zalewała oczy, lecz ach, powietrze było tak rozkoszne!

Walczyłem ślepo, instynktownie, pomimo, że prąd był tak silny, iż o dowolnem kierowaniu się nie mogło być mowy. Ręka moja spotkała linę; uciepiłem się do niej z całej siły i z wrodzonym marynarzowi popędem zacząłem się po niej wciągać, nie zdając sobie sprawy, do czego jest uciepił. Wydobyłem się wreszcie na coś stałego, lecz dotknawszy ręką tego, struchlałem! To był grzbiet wieloryba! „Każdy port dobry podczas burzy” — pomyślałem, windując się w górę, po śliskiej, pochylej warstwie sadła, dopóki nie dostałem się do harpuna, tkwiącego na szczęście w tym boku wieloryba, który był ponad wodą. Nie przypuszczałem, żeby jeszcze było życie w tej masie, na której leżałem, lecz zaledwie zdążyłem się okręcić parę razy liną, poczułem, że zwierzę zaczyna drgać i rusza z miejsca. Oprzytomniałem o tyle, że zdawałem sobie sprawę, iż pomoc musi być blisko, i że za parę minut, byłbym zdołał się nad wodą utrzymać, wyratując mnie koledzy. Lecz nie byłem przygotowany na ruch wieloryba. Łodzie odsunęły się, bo znać było, że zgon jego już bliski. Zaczęło się konanie, którego świadkiem byłem już tyle razy, a w którym teraz, uciepił na grzbiecie zwierzęcia, mimowoli brałem udział. Liny osunęły się z mego ciała, tylko ręce zdołałem owiać niemi kilkakrotnie, a w razie gdyby się wieloryb zanurzył pod wodę, mogłem łatwo wyswobodzić się z tych więzów.

Wszystko znikło wśród huków, szumu, i gwałtownych szamotań olbrzyma; chwilami wylatywałem podnoszony w górę to znowu spadałem w morze, tezymając się całym wysiłkiem liny. Jedno tylko miałem na myśli: „co będzie jeżeli wieloryb rzuci się w górę”? Widywałem je nieraz, gdy konając, podrzucały się konwulsyjnie dwadzieścia stóp w powietrze... Zacząłem się modlić.

Wkrótce uspokoiło się wszystko. Leżałem, jeszcze żywy, ale tak zeszła, że choćbym czuł liny opadające z moich rąk i wiedział, że zsunę się z grzbiecia wieloryba w morze, nie poruszyłbym się, żeby je umocować. Zobojętniałem na wszystko, jak gdybym miał za chwilę usnąć...

Nie mogę pojąć, w jaki sposób utrzymałem się w tej pozycji, ani jak długo; ocknąłem się dopiero na dźwięki ludzkich głosów i wtedy obok siebie zobaczyłem w łodzi drugiego porucznika. Łagodnie i czule złożyli mnie towarzysze do łodzi, ale nie mogłem wstrzymać się od jęków za każdym dotknięciem, tak byłem potłuczony i oholany. Ręce miałem prawie wywichnięte i poprzecinane sznurami, a nogę opuchniętą od uderzenia w rozbitej łodzi. Zdumienie porucznika Cruce było niezmiernie. Przez jakieś dziesięć minut wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma, a gdy wreszcie zdołał przemówić, nie mógł znaleźć słów na wyrażenie swego zadziwienia. W końcu wyjął:

— Gdzieś ty był przez ten czas? Bo jeżeli siedziałeś na wielorybie, jakim cudem nie rozbili cię on na kawałki?

Chciałem się uśmiechnąć i odpowiedzieć, lecz zemdlałem. Gdybym powrócił do przytomności, byłbym pod pokładem, na mojem posłaniu, ale z takim uczuciem, jak gdybym miał pogruhotane kości. W ciągu dnia pan Count, starszy oficer, był łaskaw odwiedzić mnie. Opowiedział mi, że wieloryb był jednym z największych, jakie mu się zdarzyło widzieć i że łódź była zupełnie zniszczona.

Moi biedni, spracowani towarzysze zazdrościli mi prawie wypoczynku, choć ja chętniebym się z nimi zamienił na miejscu. Leżałem blisko trzy tygodnie. We śnie prześladowało mnie okropne wspomnienie wsuwania się w tę straszną, przepaścistą paszczę wielorybia i budziłem się nieraz z okrzykiem trwogi, zimnym potem oblany...

Kiedy wyszedłem wreszcie na pokład, byłem zmieniony i o dziesięć lat podstarzały.

Trzeciego dnia po moim powrocie na pokład ujrzelśmy wieloryby i puszczaliśmy łodzie, lecz gdyśmy już byli blisko, jakiś szmer je spłoszył, i uciekły pędem pod wiatr, wiejący mocno. Ucieszyłem się, bo po ostatniej przygodzie pozostało mi takie uczucie, że sam widok wieloryba przypawił mi o klucie w żołądku; pocieszałem się nadzieją, że to przeminie z czasem, bo inaczej los mój na łodzi byłby godny pożałowania.



NASZE HASŁO.

„Swój do swego!”
Hasła tego
Trzymajmy się,
Kochajmy się.
Kto nie czyni tego,
Lichy Polak z niego.

Oświatą, popieraniem,
Oszczędnością, pracą,
Nietylko się narodzi
Na świecie bogactw,
Lecz stają się sławnymi
Na tej biednej ziemi.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia
przeszłości naszej.

Dnia 9 stycznia 1797: w Medyolanie we Włoszech podpisana została ugoda, mocą której generał Henryk Dąbrowski począł tworzyć legiony polskie.

Dnia 11 stycznia 1386: Książę Jagiełło obrany przez panów polskich na męża Jadwigi i zarazem na króla Polski.

Dnia 12 stycznia 1831: Wojska moskiewskie wkraczają w granice Króla Polskiego.

Dnia 13 stycznia 1793: Pruskie wojska wkraczają do Polski.

Dnia 16 stycznia 1831: Generał Chłopicki zrzeka się dyktatury.

MAJĄTEK.

I.

Nie było pewnie człowieka, któryby z okazji rozpoczęcia Nowego Roku nie życzył komuś (a więcej jeszcze sobie) majątku.

Zyjemy przecież w czasach, gdzie, na ogół biorąc, pieniądź jest wyobrażeniem szczęścia, więc im więcej tych pieniędzy, tem więcej szczęścia.

Czy rzeczywiście posiadanie majątku daje szczęście? czy wzbogaca życie nasze?

Myśliciel angielski John Lubbock, odpowiadając na to pytanie, twierdzi, że człowiek, który wedle przysłowia rodzi się ze srebrną łyżką w ustach, nie jest jeszcze przez to nic bliższym szczęścia od innych śmiertelników, którym może drewnianą łyżką kłaść do ust nie było co. Majątek bowiem sprowadza ludziom więcej trosk, więcej kłopotów, a przede wszystkim więcej obowiązków do spełnienia, niż ubóstwo.

Tenże sam mędrzec twierdzi, że dużo ludzi pożąda majątku nie tyle z pragnienia szczęścia, jak przez ambycję. Nie mogąc odznaczyć się i wynieść ponad innych ani nauką, ani talentem, ani pracą na polu obywatelskim, pragną błyszczeć przy pomocy majątku, jakkolwiek próżność oparta na posiadaniu majątku, na stroju i życiu zbyt ko-wnem, jest dowodem niskości ducha i najniebezpiecznym objawem miłości własnej.

Można też twierdzić napewno, że łatwiej jest majątku się dorobić, niż go potem dobrze używać, niż go nawet utrzymać i było tak od czasu, od kiedy człowiek doszedł do tego, że mienie posiadane na zapas gromadzić począł. Przechowywanie posiadanego majątku jest też niewątpliwie rzeczą nielekka, jest rzeczą mozolną. Nie używać go — jest to jak gdyby go nie posiadać, a przy używaniu jakże pilnować się trzeba, aby go nie utracić, co jest nierzadko trwogą, gnębiącą tych, którzy długo zbieraniu się tylko oddając, nie nauczyli się patrzeć na pieniądź inaczej, jak tylko na coś, co naruszonym być nie powinno. I na odwrót ci, co zbyt wiele wydawali, lękają się, czy dość oszczędzać potrafią. Mędrzec grecki Seneka pisze o pewnym Apicyuszu, który, przepuściwszy na zbytki wielką fortunę, lecz mając jeszcze 250 tysięcy sestersów, powiesił się z trwogi, że może mu tego do końca życia nie starczyć.

Człowiek, który w trwodze przed ubóstwem, chce wszystko, czego by mógł użyć, oddać dla zamienienia w złoto, jest jak ten król Midas, który prosił Bogów, aby złotem stawała się rzecz wszelka, której dotknie. I chleb, który chciał jeść, wino, które chciał pić, złotem były — złotem, twardą jego bryłą stawało się łoże, na którym legł zmęczony, osłabły, nie napasiony, nie napojony przez złoto!...

Majątek nie posiada żadnej innej wartości nad tę, którą mu dajemy przez takie, a nie inne jego użycie. Można wprawdzie powiedzieć to samo o wielu innych skarbach człowieka — o jego wiedzy, sile, piękności — wszystko to może zostać zmarnowanym przez złe użycie lub nieużycie; wcale przecież majątek nieużywany staje się w dodatku gniotącym nas ciężarem, bo posiadacz niekorzystający zeń czyni się zwykle troskliwym skarbów swych stróżem i męczy się, trudzi ciężko bez za-

dney za to zapłaty, bez nagrody żadnej. Solon dowiódł tego Krezusowi, mówiąc: — Ktoby miał w rękę mocniejszy niż ty kawał żelaza, zabrałby ci wszystko złoto twoje.

Kto ukocha w pieniądzu to tylko, że jest pieniądze, niech sobie przypomni ową przypowieść o Arabie, który znalazł w pustyni worek pereł, Zapłakał nad niemi, bo nie dały mu ani jeść, ani pić, choć był głodnym i łaknął, — tylko też ten sposób, w jaki używamy majątku, wartość mu daje.

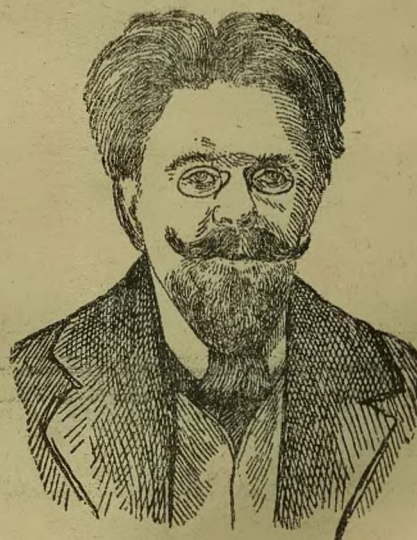


NASZA CHWAŁA.

Władysław Reymont

urodził się we wsi Kobiała Wielka pod Piotrkowem r. 1868 — żyje dotąd w Warszawie. Do gimnazjum uczęszczał w Częstochowie, a po ukończeniu go, próbował różnych zawodów, zanim oddał się całkowicie pracy pisarskiej. Uczył się najprzód gospodarstwa, potem był urzędnikiem kolejowym, następnie z kolei aktorem i nowicjuszem w zakonie Paulinów. Widocznie duch jego gorący szukał stosownego dla siebie powołania, aż znalazł go w szczytnym zawodzie pisarskim.

W życiu swem, tak pełnem zmian, poznał Reymont dobrze ludzi i stosunki; stąd też powieści jego,



to jakby żywe obrazy życia ludzkiego. W powieści „Komediantka“ dał Reymont obraz stosunków teatralnych, w „Fermentach“ poznajemy życie urzędnicze na małych stacyach kolejowych; „Ziemia Obiecana“ to miasto fabryczne Łódź, gdzie obok bogactwa, mieści się tyle nędzy ludzkiej. Największy rozgłos jednak zyskał Reymont przez ostatnią swą powieść „Chłopi“. Autor podzielił ją na cztery części wedle pór roku i opisuje życie włościan w całej pełni i tak wiernie, że czytając, musimy nabrać przekonania, iż autor sam dłuższy czas wśród włościan spędził i sam własnymi oczyma na życie ich patrzył.

Jako wielką zaletę dzieł Reymonta należy podnieść przepiękny język, prosty a silny i dźwięczny.

jak szum boru na wiosnę. Pod tym względem stoi Reymont w pierwszym szeregu naszych sławnych pisarzy.



Nauka dla dorosłych.

Pisaliśmy niedawno o tem, jakto przed laty kilkudziesięciu najpierw w Danii ludzie dobrej woli poczęli uprzystępniać naukę ludziom dorosłym, niezamożnym, urządzając dla nich bądź szkoły, bądź kursy naukowe, bądź publiczne wykłady i odczyty. Wspomnieliśmy o tem, jak za przykładem Danii poszły inne narody i jak też i u nas ludzie dorosli czerpać mogą naukę z wykładów publicznych.

Nie idzie nam to z tem, jakbyśmy wszyscy pragnęli, a dlaczego? to ani wspominać nie potrzeba. — Inaczej to jest w krajach, gdzie jest większa wolność obywatelska, gdzie zwłaszcza szerzenie oświaty nie napotyka na żadne, ale to na żadne przeszkody. Tak jest n. p. w Anglii.

Oto naprzykład drogą ku wsi zbliża się wóz żużlony, niby mała izdebka na kołach. Niewielkie okienka izdebki zasłonięte są roletami. Na koźle siedzi furman, a przez otwarte drzwi tej ruchomej izdebki widać stół, łóżko, ławkę, półki z książkami i jakiegoś pana w szarem odzieniu. Na zewnątrz woza po obu stronach czytamy napis: „Towarzy-



Ojciec św. Pius X
na przechadzce w ogrodach watykańskich

stwo odczytów wędrownych“. Oczywiście zjeżdża z odczytem mówca, wysłany przez „Towarzystwo“.

Przed restauracją wózek zatrzymuje się. Mówca wychodzi i zaczyna zaraz oblepiać cały wózek różnemi drukowanemi ogłoszeniami. Na wielkim arkuszu, zawieszonym w miejscu najwidoczniejszym, ogłasza się treść mającego się odbyć wieczorem odczytu.

Za chwilę gromada dzieci, wychodzących ze szkoły, otacza dziwny wózek, przyglądając się ciekawie koniom, furmanowi i samemu panu.

— Cóż, dzieci, chcecie podarków? — zapytuje pan.

— Jes, jes! (tak, tak!) — odpowiadają dzieciaki chórem.

— Wybornie! — powiada pan. — Wchodzi do swej izdebki i wynosi dzieciom całą paczkę rozmaitych kartek i obrazków.

— A pamiętajcie, — mówi — powiedzcie rodzicom, że tutaj czekają na nich o godzinie wpół do ósmej wieczorem; niech tylko wpierw przeczytają te karteczki.

Dzieci, uradowane, biorą podarki i biegną do domów.

Wtedy mówca zaczyna rozglądać się dokoła. Rozpytuje, gdzie kto mieszka, zachodzi do jednej chaty, do drugiej, zajrzy do kuźni, do sklepu, na pocztę. W ten sposób w ciągu dnia zapozna się z całą wsią, zbierając wiadomości o życiu mieszkańców, ich zamożności, zarobkach, o urządzeniach publicznych wsi, o stanie mieszkań, zdrowotności i t. p. Wszystko to skrzętnie zapisuje sobie, gdyż należy to do jego obowiązków. Na drugi dzień wyszle on do „Towarzystwa“ całe sprawozdanie o zwiedzanej wsi.

Obiad i śniadanie mówca jada w swojej ruchomej izbie, w której posiada małą kuchenkę naftową.

Wieczorem zaczynają zbierać się na placu mężczyźni i kobiety. Punktualnie o godzinie wpół do ósmej mówca zapala dużą latarnię, rzucającą snop światła na zgromadzonych, a sam umieszcza się na koźle i rozpoczyna odczyt. Mówi pełną godzinę. Na słuchaczach znać skupioną uwagę; niekiedy słychać potakiwania: „tak! tak!“ To znów ktoś, niezadowolony z mowy, wyrwie się z naganą. O godzinie 9 odczyt się kończy — i mówca zaczyna sprzedawać lub rozdaje darmo kartki i książeczki, wyjaśniające bliżej treść odczytu. Słuchacze, widocznie zaciekawieni odczytem, kupują chętnie książki, zadają pytania mówcy, nieraz sprzecząc się z nim, gawędząc przyjacielsko. Dopiero o 10-tej wszyscy się rozchodzą, gasi się latarnia — a mówca, z poczuciem człowieka, który rzucił do głów i serc pocziwe ziarno, zasypia snem spokojnym, aby nazajutrz rannem wyruszyć dalej, do innej wioski.



Ranny z roku 1812.

Ludziom „naszych czasów“, zniewieściałym, niewytrzymałym na ból, wychowanym w miękkich, przytulnych powiśkach wygody i higieny tegoczesnej, chciałoby się mimowoli opowiadanie ni-niejsze poświęcić. Wyda się im ono opowieścią z tysiąca i jednej nocy, bajką wprost nie do wiary, ten krótki urywek z „Pamiętników generała mar-

grabiego d'Hautpoul" (wym. Dopul), wydanych niedawno w Paryżu przez wnuka bohatera. Nie uwierzą może, że byli ludzie, którzy stawali do szeregów w szesnastym roku życia i kończyli karierę na stanowiskach parów Francji, ministrów wojny, generałów naczelnych Algieru, wielkich referendaryuszów senatu cesarskiego... Ale posłuchajmy opowieści.

W czasie bitwy w Arapiles, pod Salamanką, to znaczy dnia 22 lipca 1812, porucznik d'Hautpoul miał lat dwadzieścia trzy. Z samej bitwy widział bardzo niewiele. Pułk 59, w którym służył, zajmował centrum pozycji francuskich. Rankiem strzały tyralierskie; potem przemarsz na prawe skrzydło. Przed nimi ciągnęły się szeregi angielskie; na przodzie gwardya szkocka z rozpostartym sztandarem.

I oto dobosze 59 pułku bębnią do ataku; naprzód! Idą dobrym krokiem na nieruchomego nieprzyjaciela; są już blisko, na pół odległości strzału karabinowego; anglicy wyczekują w zwartych szeregach. Słychać komendę ich oficerów i nagle z pośród ich szeregów wykwitają pióropusze dymu — tak sprawnie, jak na ćwiczeniach. Ze strony francuskiej pada wielu. Jednak idą wciąż naprzód. Już ich dosięgają bagnety; tamci cofają się, ci idą w ich ślady; starają się sformować nieco dalej; nowy atak. I zabito z pośród nich wielu, więcej aniżeli można było, reszta się roz-

pierzcha... Miało się już złudzenie, że bitwa została wygrana.

Ale tam na lewem — słychać nagle tupot; ta konnica nieprzyjacielska; 8 tysięcy koni pędzi w zwartej masie. Oficerowie francuscy pospiesznie zbierają swych ludzi: „Stój! formuj czworobok!” Czasu nie starczyło; zanim sformowano czworoboki, konnica wpadła na pułk 59; żołnierza skłuto, pocięto szablami, a ledwie minęła nawałnica, owa, gwardya szkocka zaczęła następować. Porucznik d'Hautpoul tnie szablą sierżanta szkockiego, w tejże chwili jednak sam otrzymuje bagnetem w ramię, a kula przeszywa mu biodro; pada zbroczony krwią.

D'Hautpoul przypomina sobie, iż ledwie upadł dostrzegł był swego pułkownika de Loverdo, jak ten chwycił drzewo sztandarowe i uniósł je spiesznie ku szeregom dywizji Ferey'a, poza którymi niedobitki 59-tego usiłowały sformować się na nowo. W tejże chwili ponowiła się szarża kawalerii angielskiej. On zaś leżał na ziemi, nie mogąc się poruszyć, sądząc, że lada chwila zostanie zmiażdżonym; dwa szwadrony zbliżają się z coraz to rosnącym łopotem; są tuż — tuż, zadyszane konie, chrzęst zbroi, ludzie tnący na prawo i na lewo; konie mijają d'Hautpoula, nie tknąwszy go jednak; widzi, tuż przed oczyma, podkowy; potem konnica niknie, bitwa się oddala, zda się, że się skończyła... Ranny widocznie stracił przytom-

Figury mechaniczne,

naśladujące ludzi, czyli tak zwane „androidy”. Powyższa figura, z których jedna gra na harmonium, a dwie drugie piszą i rysują zbudowane zostały w końcu 18-go wieku przez sławnych zegarmistrzów francuskich Piotra i Jakuba Droz. Mechanizm ich, został obecnie na nowo wyreperowany w Berlinie i obecnie figury te znajdują się w muzeum sztuki i przemysłu w Berlinie. Figury mechaniczne, które zbudował sławny francuski mechanik Vaucaron znajdują się w muzeum w Holandyi.

ZDANIA I MYŚLI.

Bywa fałszywa ochciwość czytania, tak, jak fałszywy apetyt, z choroby pochodzący; wielu dlatego tylko czyta, że sami myśleć nie mogą, a więcej jeszcze dlatego: że nie chcą.

Ol jakże smutne życie człowieka!
Skąpe dni gronko w goryczy mu płynie,
Jako kwiat zejdzie i zginie,
Jako cień leci i znika!

Kazimierz Brodziński.

Nie uwłaczam ja obcych języków potrzebnie,
Ale obcy dla obcych, swój miejmy dla siebie.

Cyprian Godebski



mnosć, bo tu natrafiamy na lukę w jego wspomnieniach.

Noc była cicha. Ale ze świtem pojawiły się blydne postacie geryllasów hiszpańskich, żerujących na polu bitwy, obdzierających trupy. D'Hautpoula przewracają, trzęsą nim, przeszukują mu kieszenie, zrywają zeń odzież; żeby móżdż ściągnąć mu buty, jeden z tych nędzników opiera się nogą o jego brzuch; drugi — młody, piętnasto- czy szesnastoletni chłopak — przykładając mu łutę do skroni, lży umierającego. D'Hautpoul sądził, że zginie, po namyśle jednak rozbójnicy zostawili go w spokoju i odeszli.

Słońce wzbilo się w górę, skwarne lipcowe słońce Hiszpanii; rannego, obnażonego zupełnie, chwyciła nagle gwałtowna gorączka; kilkoma garściami ściernia, jaki zdołał zerwać lewą ręką, osłaniał sobie głowę... O kilka kroków od niego jęczy z bólu inny oficer francuski; d'Hautpoul się doń odzywa, zamieniają słów kilka, poznają się: to dawny jego kolega ze szkoły w Fontainebleau (Fontenebło), kapitan Cauchard (wym. Koszar), ma on zmiażdżone udo, żali się i przeklina. D'Hautpoul zachęca go do „uciszenia się, do zebrania wszystkich sił, aby móżdż przetrzymać cierpienia”, ale Cauchard klnie i piorunuje coraz goręcej. Tymczasem minęło południe, Cauchard się uspokaja; około trzeciej milknie nagle i d'Hautpoul z milczenia tego zrozumiał, że towarzysz jego już nie żyje.

O zmierzchu ukazały się wozy konwojowane przez żołnierzy angielskich: zbierano rannych. Jeden z wozów zbliżył się i zatrzymał w pobliżu d'Hautpoula. Był on nagim, jakieś to już powiadzieli, nie można też było zgadnąć, do której ze stron walczących należał; sanitaryusze chwycili go za nogi i za ramiona i umieścili razem z innymi w furgonie. Tak dowieziono go do Balanuki i umieszczono w zagrodzie dla byków; tu sporządzono mu odzież — niewymyślną: pantofle zrobiono z butów dragonińskich, nieco szczerzących już zęby, od których oderwano cholewy; niby w ornat ubrano go w derkę końską, w której wycięto dziurę na głowę, a którą spięto mu na biodrach paskiem od strzelby. I odziany w ten sposób, poczuł się „wielce szczęśliwym”.

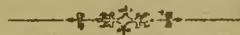
Dwudziestego czwartego przeniesiono go do kościoła, przerobionego na szpital. Byli tu, zmieszani razem, ranni wszelkich narodowości. Jego położono na sieczce pomiędzy żołnierzem hano-werskim a włochem z legii południowych; dziwa- czny a niezłożony ubiór nie pozwalał nikomu do- myślać się w nim oficera i mimo zapewnień i pro- testów z jego strony, brano go wciąż za łgarza lub obłąka. Przytem gangrena wdała mu się w rany i zaczęła je przeżerać; chirurg angielski przychodził codziennie, zdierał szczypcami przepa- lone opatrunki, zasypywał rany chiną i prochem namoczonym w soku cytrynowym, tamponując wszystko to garścią pakuł niby szarpkami. D'Haut- poul miał tuż obok siebie, na słomie, nadłuczony dzbanek z winem Oporto zasypa- nym chininą; pragnienie gasił zamieszawszy przedtem płyn lasecz- ką; słomy — rojącej się robactwem i czarnej od wypróżnień — nie zmieniano nigdy. Przeleżał tam dwa i pół miesiąca, owinięty w derkę końską, karmiony o ile mógł jeść, odrażającym bulionem

z solonego mięsa, sprowadzanego z Anglii... i wy- zdrowiał!

Przynajmniej znikła gangrena, i gdy anglicy około 15 października, ustępując przed powrotnym natarciem armii francuskiej, opuszczali Salaman- kę, d'Hautpoula można już było wysłać do Liz- bony. Razem z trzystu czy czterystu podobnież chromymi, którzy ustać nie mogli, został on wła- dowany na wózek i wysłany pod konwojem do Portugalii. Taż samą drogę przebywała już ar- mia francuska w roku 1810, pozostawiwszy żywe po sobie wspomnienia. Chłopi, pragnąc się zem- ścić, podchodzili do wózków, wyciągali bezbron- nych rannych i pastwili się nad nimi tuż obok drogi; żołnierze eskortujący udawali, że nie nie widzą. Na jednym z postojów kilku geryllasów otoczyło d'Hautpoula i zapytali go, czy jest chře- ścianinem. Otrzymałszy odpowiedź twierdzącą, kazali mu się przeżegnać, a potem, gdy rozkaz wykonał, odmówić „wierzę”. Był im posłusznym. Nigdy może modlitwa nie była bardziej skuteczną: chłopi zlitowali się nad nim. Odgadli, „że to je- den z tych nieszcześników, których wielki Ladron (złodziej, tak nazywano Napoleona w Hiszpanii) zabrał ze sobą przemocą”. Jeden z nich nałożył rannemu na szyję ogromny szkaplerz, zapewnia- jąc, że to go uchroni skutecznie ode złego.

Ale to nie koniec jeszcze niedoli. Zaledwie ranni przybyli do Lizbony, jego, zamiast przenieść do szpitala, umieszczono w więzieniu — dzięki o- dzieniu, jakie miał na sobie. W tej samej celi, do- kąd go zaprowadzono, dostrzegł skutego łańcu- chami człowieka, portugalczyka, mordercę, z któ- rym zaczął rozmawiać. Od niego to dowiedział się, że jest gościem więzienia dla galerników i że zajmuje celę skazanych na śmierć, „gdzie długo się nie pozostaje”. W istocie też wkrótce potem wszedł mnich, który wypowiadał portugalczyka, a w chwilę później zabrał go z sobą oddział żoł- nierzy; w parę chwil potem d'Hautpoul usłyszał salwę karabinową. Przesiedział on tam trzy dni, dostając racje sucharów i fasoli. Wtedy to usiło- wał protestować przeciw uwięzieniu; za każdą wizytą dozorca świadczył się, że jest oficerem francuskim, wziętym do niewoli podczas wojny... Porucznik angielski kazał mu milczeć. D'Hautpoul odczuł żywo to zadrażnienie honoru żołnierskiego, wskazał imię i nazwisko swoje i swego dowódcy oraz cyfrę pułku. „Jeśli to prawda — rzekł po- rucznik — to cię stąd wypuszczę, ale jeśli kłamiesz, to zginiesz pod chłostą!...” D'Hautpoul, zebrav- szy resztki sił, chwycił suchar i ciskał go w twarz anglikowi...

Nazajutrz oficer powrócił w towarzystwie cze- rech żołnierzy: „Panie — rzekł bardzo grzecznie — muszę pana prosić o przebaczenie za niewła- ściwe moje dotychczasowe postępowanie; ale w tym kostyumie trudno mi było poznać oficera francu- skiego; przekonałem się, że pan mówił prawdę; może pan wracać do swych towarzyszy.” W go- dzinę potem d'Hautpoul był już w gronie kolegów, mógł się umyć, co mu sprawiło niewymowną roz- kosh i — włożyć po czterech miesiącach czystą koszulę...



MAJĄTEK.

II.

Pieniądz nie jest z natury rzeczy tak pogardy godnym, jak to wielu głosi nieraz. Poeta angielski Shelley, który bynajmniej chciwym i łapczywym na grosz nie był, powiada w pamiętnikach swoich:

„Pragnę mieć pieniądze, ponieważ myślę, że umiałbym ich używać. Pieniądze mogą być motorem w rozwoju pracy, pieniądze mogą udzielać odpoczynku spracowanemu, a kto umie obrót ich uczynić takim wraz z rozkrzewianiem prawdy, oddarowywa społeczeństwo największym darem, jakie jednostka uczynić może ogółowi“.

Pracujący nie powinni się bynajmniej wstydić, jeżeli praca jego przyniesie w zysku bogactwo; nie ma profesyi uczciwie spełnianej, któraby przez zarobek przynoszony poniżać mogła. W Wenecyi w kościele św. Giacomo na Rialto znajduje się napis, że prawem kupca jest być uczciwym, używać wag sprawiedliwych i być w zobowiązaniach swoich wiernym — co zapewne ma znaczyć, że rządzą tym kupczącym takie same prawa moralne, jak każdym człowiekiem, od magnata do żebraka i nie wolno żadnemu z nich oszukiwać bliźniego swego.

Takimi prawami się rządząc, Wenecya jako miasto handlowe doszła do najwyższego szczytu bogactwa.

Niestety my dziś w innych żyjemy czasach. Dziś nie mówią: dorobił się uczciwą pracą, ale: trafił mu się korzystny interes i zrobił szybko grosz. A jak na tem wyszli inni, nikt nie pyta. Trzeba się było pilnować. W interesach niema romansów.

Dzięki takim zapatrywaniom poczęły rozwijać się stosunki anormalne. W interesach wytworzył się hazard, gorączka spekulacyjna ośwładnęła umysły, a zawodowi rycerze przemysłu potrafili wciągnąć do swych machinacyi ludzi niejednokrotnie uczciwych, ale charakteru słabego, którym zasmakowały kołaczki, bez pracy. Gra na giełdzie, spekulacya na domy i grunta, a nareszcie handel ziemią, oddawanie jej w ręce obce dla miłego zysku — oto główne objawy.

Nieuczciwi spekulanci, oszuści i wydrwigrosze istnieli zawsze, ale nie w takiej liczbie, jak dzisiaj. Czytaj kronikę sądową... I nigdy uczciwy z gruntu opór społeczeństwa, nie ulegał tak ich wpływowi, jak dzisiaj; nigdy pracujący w ciężkim czoła pocie robotnik społeczny, nie ugiął się pod jarzmem wyżysku, nie odczuwał zabójczej przewagi drapieżnych wyzyskiwaczy społecznych, jak obecnie.

Szybkie zbogacenie się, karyera, zdobywanie bądź co bądź środków, aby użyć — wszystkie te niezdrowe pożądania wywarły fatalny wpływ na nowe pokolenie.

Coraz częściej spotykamy ludzi zniszczonych, przeżytych, zimnych, obojętnych, zwyrodniałych... Coraz częściej niestety słyszymy słowa: spryt, szczęście, dobry węch, mądra gra, wyzyskanie okoliczności... a coraz mniej: praca, umiejętność, gorliwość, sumienność i wytrwałość.

Jest to rodzaj choroby społecznej, więc miejmy nadzieję, że to przejdzie, jak każda choroba, jeżeli tylko organizm jest dość silnym, aby chorobę przeżyć.

Z DALEKIEJ POŁNOCY.

Krańce północnej Norwegii zamieszkują przeważnie Lapończycy w liczbie około 20 000. W części górzystej kraju mieszkańcy są zamożniejsi, gdyż hodują stada reniferów, z którymi wędrują po halach na bujniejsze pastwiska. Lecz na ogół jest to lud bardzo biedny. Żyjący na morskiem wybrzeżu, trzymają jedną lub dwie krowy, trudnią się połowem ryb, ale choć morze jest niewyczerpanym skarbem, przez lenistwo i nieudolność nie umieją z niego skorzystać. Ryby łowią w ilości takiej, aby starczyły na ich potrzeby osobiste i na zamianę u najbliższych kupców na inne artykuły spożywcze i różne przedmioty. Jednakowoż sami nie umieją poprowadzić handlu na wyższą skalę ani zająć się jaką inną pracą.

Wet łódki, na których Lapończyk codziennie wjeżdża na morze, są małe, nędzne, takie, jakimi przed wiekami używali ich praojcowie.

Jeszcze gorsze mają mieszkania. Są to lepianki z ziemi, około szesnastu stóp szerokości. W środku pali się ognisko na podłodze z ubitej gliny, nad nim ctwór w pułapie, służący jako komin i jako jedyne okno. Ani jedna chata lapońska nie ma okna. Wnętrze jest ciemne, pełne dymu, brudu i straszego robactwa. Na prawo od ogniska leżą lub stoją zwierzęta.

Na lewo usypane brzoźowe gałązki, pokryte skórą reniferów, służą jako łóżka, a inne skóry zamiast kołder. Za ogniskiem mieszczą się garnki, miski, kubki i jadlo. Przez dziewięć miesięcy roku ludzie i zwierzęta żyją razem w chacie tak ciemnej i przepełnionej dymem, że oczy mają zawsze czerwone, zaognione i chore.

Lapończyk nawet podczas zimy ma dosyć żywności, jeżeli tylko choć na parę godzin wyjedzie na morze. Jeżeli napływ ryb jest wielki, kobiety wypływają razem z mężami, a dzieci pozostawiają w domu, owinięte w skóry reniferów i zawieszane na kołku w ścianie lepianki. Nawet czterolub pięcioletnie dzieci wiszą tak przez większą część dnia, aby nie bawiły się z ogniem lub nie zrobiły sobie jakiej szkody.

Biedne bydlę zwykle w zimie przymiera głodem. Nieraz kiedy wiosna nadejdzie, krowę trzeba nosić z miejsca na miejsce, zanim sił nabierze, aby sama mogła się żywić.

Smutny jest los sierot w tym kraju. Gmina urządza pewnego rodzaju licytacyę i oddaje na własność sierotę temu, który żąda najmniejszego wynagrodzenia za jej utrzymanie. Odtąd dziecko staje się niewolnikiem swego pana.

Lud to ubogi, ciemny, brudny, a lenistwo i brak zrozumienia własnego interesu sprawia, że pokolenie mija po pokoleniu, a oni lepią sobie te same chatki, małe, ciemne, tak samo leżą cały dzień w łódce i leniwie łowią ryby, tak samo jak ich przodkowie, niczego się nie uczą, nie umieją sobie w niczym poradzić.

A dzielny, wytrwały, pracowity lud norweski wypiera ich coraz więcej na północ; cofać się muszą przed nim na dalsze fiordy, nad ubogie, małe zatoczki. Nędza, brud, choroba przegryza im ciało i duszę — nikną z dniem każdym.

Znalazł się człowiek, który postanowił ich ocalić, podać im sposób odrodzenia się. Nazywał się Sivert Sogge; przebywając wśród nich długie lata.

żyjąc ich życiem, poznał nawskroś ich gospodarke okropną, ich urządzenia społeczne i rodzinne.

Sogge umyślił założyć szkołę dla dziewcząt, które później jako żony i matki wpływałyby na swych rodaków i stałyby się pionierkami oświaty wśród tego ciemnego ludu.

Znalazł pomocników, którzy wspólnymi siłami w roku 1886 zakupili tam dom dla dziewcząt lapońskich. W głównym budynku na parterze są pokoje mieszkalne i kuchnie, na piętrze sypialnie. W osobnych budynkach znajdują się: szkoła, piekarnia, mleczarnia, pralnia, magazyn, obora, skład na łódki. Osobno też stoi szpitalik, ale nigdy nie był używany, gdyż przez lat szesnaście nie pokazała się w zakładzie żadna choroba zaraźliwa.

Starsze dziewczyny pomagają podczas żniwa i innych czynności gospodarskich. Ogrodem same się zajmują. Podczas napływu ryb, małe rybaczki same zapełniają spiżarnię.

Gdy dziecko przyjedzie ze wstrętnej lepianki rodziców, przedewszystkiem jest wykupane i świeżo ubrane. Ubranie, o ile nie zostaje spalone, musi długo się gotować, zanim może być użyte.

Nigdy jeszcze do Domu nie przybyła dziewczynka, mająca na sobie jakąkolwiek bieliznę. Kiedy są czyste, są zwykle dość ładne, niskie, o ciemnych włosach i oczach, z rumianami liczkami.

Pewna ośmioletnia dziewczynka, gdy została przyjęta, była malutka, chuda, wygłodzona. Na głowie pokrytej łupieżem, nie miała zupełnie włosów. Oczy miała tak zaognione, że nie mogła ich otwierać. Inna szesnastoletnia dziewczyna, trzy i pół stopy wysoka, miała siły i umysł dziecka ośmioletniego. Po krótkim pobycie w domu, zaczęła rosnąć i rozwijać się. Obawiano się, że nie skorzysta tak, jak dziewczynki przyjęte w dzieciństwie. Jednak po czterech latach opuściła zakład ze świadectwem zdolnej kucharki, znającej się doskonale na gospodarstwie i nadzwyczaj czystej i porządnej.

Dom przyjmuje dziewczęta lapońskie na wychowanie zazwyczaj pomiędzy pięciu i dziesięciu laty. Od lat siedmiu dzieci otrzymują wykształcenie elementarne, to samo co w szkołach publicznych, a szkołę co rok zwiedza komisya. Uczą się tam przedzenia, tkactwa, szycia, robót na drutach. Kiedy są nieco starsze, uczą się prac, gotować i t. d.

Jadło jest jak najskromniejsze, takie, jakiego Lapończycy z łatwością mogą dostać, aby dziewczynki wróciwszy do domów, mogły się łatwo przystosować do skromnych warunków życia.

Celem domu jest zmienić sposób życia Lapończyków. Już teraz widzi się pewne owoce. Lapończycy, mieszkający w nędznych lepiankach okolicznych, widzą, że dzieci ich uczone są gospodarstwa wzorowego i że nawet Lapończyk może żyć czysto i porządnie.

Szczęśliwa działalność zakładu dla dziewcząt jest już dla wszystkich widoczna i wobec tego można mieć nadzieję, że wkrótce powstanie taki sam dom dla chłopców i przyłoży się dzielnie do niesienia światła cywilizacji między ten lud upośledzony w jałowych krajach dalekiej Północy.



ODA DO PIECA.

Jakiś ty zawsze miły, pożądany
Wśród wiosny u nas, wśród naszej jesieni,

Nie mej sympatyi ku tobie nie zmieni,
Piecu kochany!

Sprzęcie nadobny! chociaż jesteś gruby,
Choć nie masz jako niewiasta figury,
Cenniejszyś dla mnie od całej natury,
Piecu mój luby.

Gwoli twej wszystko już dzisiaj jest w ruchu
Piecu! uciechy i rozkoszy zdroju,
Jabym cię stawiał na środku pokoju,
Piecu mój zuchu!

Familijnego ciepła surogacie!
O trosko ojców! o strapienie matek!
Czemu ty jesteś tak wielki wydatek,
Piecu mój bracie?!

Godny zastępca pierzyn, materaca,
Drzesz nas ze skóry, więc jest wielka racya,
Ze się do ciebie biedna ludzka nacya
Tyłem obraca.



PALNY STATEK.

W r. 1588 zniszczyli Anglicy zapomocą takich statków palnych całą flotę, czyli, jak wtedy mówiono, „armadę” hiszpańską w porcie Calais. Dziś w inny sposób toczy się walka na morzu:



dziś największe zniszczenie grozi okrętom pod wodą w postaci torpedowców, min podwodnych, łodzi wybuchowych i t. p. W przyszłości może nie dalekiej znów inna będzie walka, bo niezawodnie z góry, t. j. z balonów, spadać będzie na okręty, ogień, śmierć i zniszczenie.



Z PAMIĘTNIKA MARYNARZA.

W następnym tygodniu dopłynęliśmy do wysp Aldabra (na oceanie Indyjskim), odznaczających się tą osobliwością, że na małym kawałku lądu otoczonego tysiącami mil oceanu, żyją olbrzymie żółwie, którym podobne spotkać można jedynie na oceanie Spokojnym, na wyspach Galapagos. Są one tak wielkie i stare, że można by posądzać, iż wylądowały tu razem z arką Noego.

Przybiliśmy do lądu w niedzielę rano, i zarzuciliśmy kotwicę w zatoce. Po załatwieniu wszystkich obowiązkowych czynności, otrzymaliśmy pozwolenie wyjścia na ląd i wolność na cały dzień. Nie wierzyłem własnym oczom! Tak byliśmy przyzwyczajeni do ciągłej służby, że nie wiedzieliśmy w pierwszej chwili, co począć z wolnością.

Ja z jednym towarzyszem nie uszliśmy jeszcze daleko, gdyśmy spostrzegli poruszający się odłam skały, jakimi zasypana jest wyspa. Pobiegliśmy cwałem jak dzieci wypuszczone ze szkoły, i przekonaliśmy się, że to nie skała, lecz jeden z mieszkańców: żółw potwornej wielkości. Paszcza jego była długa najmniej cztery stopy, a dwie i ćwierć szeroka. Skorupa była mocno wypukła, przez co wydawał się jeszcze ogromniejszy. Ponieważ nie objawiał chęci pozostania z nami, postanowiliśmy iść za nim, bo widocznie miał jakiś cel, do którego dążył, co można było poznać po wyrobionym szlaku dróżki. Wsiadłem więc na jego grzbiet, trzymając się na tyle, ażeby nie mógł mnie sięgnąć, choćby wykręcił długą swoją szyję. Był on bardzo przyjaźliwski, i szedł dalej jakby nic nie zaszło, a szedł dość spiesznie, lecz poza nowością podróży ta nie przedstawiała nic przyjemnego, więc wkrótce zsiadłem z jego grzbietu i pozostawiłem go w spokoju. Idąc za nim doszliśmy do pięknego strumienia, wytryskującego u stóp wzgórza, i spływającego w małe zagłębienie, którego brzegi wydeptane były zupełnie przez żółwie. Kilkanaście sztuk wyciągało się na wybrzeżu, pojąc się chłodną wodą.

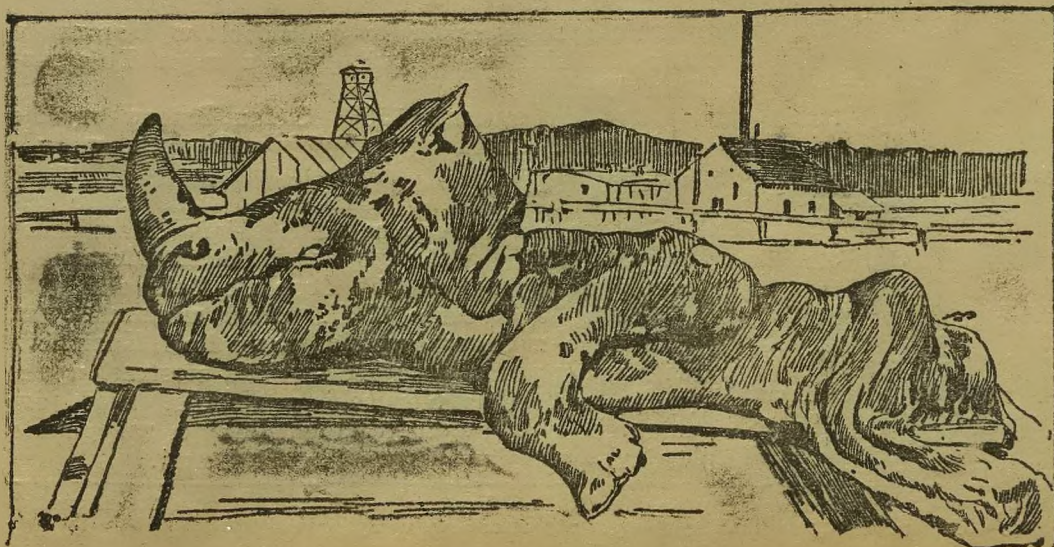
Nie bawiąc się dłużej, choć widok był niezwykły, zajęliśmy się szukaniem pożywienia, nie chcąc powracać na obiad do statku, gdzieby już nas pewnie zatrzymano. Jaj różnego gatunku było tam mnóstwo: w niektórych miejscach trudno było przejść, tak wiele ptaków siedziało na gniazdach — najwięcej zaś było bąków.

Lecz doświadczenie nauczyło mnie nie upędzать się za ich jajami, jeśli można mieć inne, a że uwiłajało się mnóstwo mew, z gatunku zwanego „fregatą“, szliśmy za nimi, by wypatrzeć ich gniazda.

Ptaki te niewłaściwie się nazywają. Powinny one nosić miano piratów, dla swych rozbójniczych obyczajów. Rzadko, a nawet nigdy, nie zajmują się same łowieniem ryb, i wolą kołysać się w powietrzu, rozsuwając i składając ogon, nakszałt nożyczek, zawieszone ponad morzem. Tymczasem bąk — podobny do dobrej gospodyni powracającej z targu — leci trzepocząc skrzydłami, z gardzielem napełnionym rybami dla piskląt. Spada na niego z góry jak strzała czarny rabuś; bąk usiłuje umknąć, lecz napróżno; widząc, że ucieczka jest niemożliwa, upuszcza z rozpaczliwym krzykiem swoją zdobycz, którą piękny rozbójnik chwytą w lot, zanim spadła do wody. Potem wzbija się w górę, i oczekuje znowu na sposobną chwilę, żeby ponowić rabunek.

Na drugim brzegu wysepki zastaliśmy gniazda fregat, jeśli to można nazwać gniazdami, bo niektóre składały się z dwóch zaledwie gałązek, inne zaś mieściły się w zagłębieniach skał, a w każdym przecięciowo było po dwa jajka, większe trochę od jaj zwykłego gołębia. Smak ich jest wyborny. Nie było widać ptaków siedzących na jajach, tylko gdzieś niegdzie wychudły szkielet ptaka, niezdolnego z powodu choroby czy starości do zdobycia pożywienia. W atrywał się w nas żalostnie. Skróciliśmy cierpienia kilku tych biedaków.

Nie widzieliśmy tam zwierząt większych od szczura — ale było mnóstwo lądowych krabów, z minami niemal po ludzku mądrymi, które się uwiłajały po piasku i zaroślach, zajęte ważną jakąś robotą. Piękne drzewa kokosowe okryte były owocami, i dziwiłem się, że nie było tam osadników, którzyby zbierali dojrzałe owoce na olej. Moje doświadczenie nabyte w Indyach Zachodnich przydało mi się teraz i wdrapałem się na drzewo dla zdobycia wybornych i orzeźwiających owoców. Nie mieliśmy liny, więc podejmowaliśmy pasy, które złączone mogły mi posłużyć. Obwiązałem nimi siebie i drzewo, i wdrapując się w górę, ciągnąłem po za sobą; ilekroć chciałem odpocząć, dość mi było przechylić się w tył opierając się na nim plecami, a o pień drzewa kolanem, ażeby odpocząć niemal tak wygodnie jak na ziemi.



Szczątki nosorożca

znaleziono niedawno tu na w Galicji, w pokładach ropy petroleowej. Jest to dowód, że przed wiekami musiał być w tamtych okolicach taki klimat i taka roślinność, jakie dziś są w Afryce i Azji południowej. Nosorowiec wykopany jest o wiele większy, od dziś żyjących, tak jak wogóle wszystkie zwierzęta przedpotopne były wzrostu olbrzymiego. Uczni przypuszczają, że nosorowiec w Galicji leżał w ziemi około 2 miliony lat. Teraz stosownie urządził, aby się nie rozleżał, przechowywany będzie w muzeum.

Zdobywszy orzechy, rozpaliliśmy ogień i napiekli jajek, które w połączeniu z sucharami złożyły się na smaczny obiad. Potem przespaliśmy się na miękkim mchu, w cieniu drzewa, i obudziliśmy się, gdy już czas był powracać na statek. Dzień upłynął nam przyjemnie, bez przygód. Gdyśmy siedzieli na brzegu, czekając na łódź mającą nas zabrać, ujrzelśmy dwa żółwie idące brzegiem w naszą stronę. Siedzieliśmy bez ruchu, dopóki nie zbliżyły się tuż do nas. Wtedy rzuciliśmy się na nie i przewrócili je do góry łapami, a gdy łódź przypłynęła, wsiedliśmy objuczeni zdobyczą. Bluza pełna jaj, dwa olbrzymie pęki kokosowych owoców i dwa żółwie. Po powrocie na statek byłem tak wesół, że pierwszy raz od chwili opuszczenia Ameryki zacząłem nucić.

Długi, spokojny sen skończył się o świcie, gdyśmy mijali wysepkę porośłą pięknymi drzewami, jakiego gatunku nie wiem. Tysiące ptactwa uwijało się na wybrzeżu, łowiąc pracowicie ryby, których niezmierne stada marszczyły powierzchnię wody. Pod nami, w przejrzystej wodzie, widać było cudowne koralowe lasy, a krajobraz, widoczny z bocianego gniazda, był wart widzenia, choćby przyszło za to zapłacić rokiem lub dwoma życia. Ser-



Najstarszy w świecie listonosz

90-cio letni „Ojciec Dering” w Berlinie, który jeszcze urząd swój sprawuje porówno z młodymi, chodząc codziennie po piętrach. Przeciętne schodzi statuszek codziennie około 200 pętr i jest prztem zdrow i rzečki.

deczne współczucie miałem dla mojego towarzysza dyżuru, Portugalczyka, który zamiast patrzeć na te cuda, wypatrywał sobie oczy szukając wieloryba.



Chociaż ci płomień strzechę spali
I w gruz rodzinny dom rozwali,
I cały twój dobytek zniszczy,
Gdy ci do pracy sił zostało,
To wzniesiesz nową chatę białą
Wśród czarnych zgłiszczy.

Lecz kiedy dusza w tobie spłonie
I gdy się spęka serce w łonie,
Los z tobą gorsze miał igrzysko,
Bo najsmutniejsza, bracie, strata,
Wśród wszystkich ruin tego świata:
Dusz popielisko.

Maryan Gawalewicz.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia
przeszłości naszej.

Dnia 19 stycznia 1846: wybuchła tak zwana rzeź galicyjska; podburzeni przez urzędników austriackich włościanie i robotnicy galicyjscy rzucali się na dwory i plebanie, rabując i mordując. Do tej rzezi odnosi się ów wzniosły hymn Kornela Ujejskiego: „Z dymem pożarów”.

Dnia 21 stycznia 1863: wybuchło powstanie w Królestwie Polskim.

Dnia 22 stycznia 1816: otwarcie pierwszego sejmiku Rzeczypospolitej krakowskiej.

Dnia 23 stycznia 1440: Węgrzy zapraszają na tron Władysława Jagiellończyka, który jako król węgierski pociągnął na wojnę z Turkami i zginął pod Warną.

Dnia 24 stycznia 1706: bitwa ze Szwedami pod Grodnem.

Dnia 25 stycznia 1588: hetman Jan Zamojski odnosi wielkie zwycięstwo pod Byczyną nad księciem Maksymilianem, który gwałtem chciał zdobyć koronę polską, chociaż Polacy obrali już królem Stefana Batorego.

Dnia 25 stycznia 1831: sejm w Warszawie ogłasza złożenie z tronu Mikołaja I.

Dnia 27 stycznia 1510: wybuchł pożar w kopalni soli w Wieliczce.

Dnia 28 stycznia 1819: zmarł w Warszawie Jan Kiliński, szewc, pułkownik z wojen Kościuszkowskich.

Dnia 29 stycznia 1583: Stefan Batory wydaje uniwersał, rozkazujący urządzenie poczt w Polsce.

Dnia 29 stycznia 1831: mianowanie rządu narodowego, do którego należeli: książę Adam Czartoryski, Wincenty Niemojewski, Teofil Morawski, Stanisław Barzykowski i Joachim Lelewel.

Dnia 30 stycznia 1363: zjazd monarchów w Krakowie z okazji wesela, jakie król Kazimierz Wielki wyprawiał wnuczce swej po siostrze, wydając ją za cesarza niemieckiego Karola. Zjazd ów miał cel pokojowy, gdyż chodziło o zażegnanie wojny, pomiędzy Węgrami a Niemcami.

ŻYCIE SZKOŁĄ DOŚWIADCZENIA.

I.

Życie możemy uważać za jedną wielką szkołę doświadczenia, w której uczniami są mężczyźni i kobiety. Lekcyami w tej szkole są różne próby, troski, cierpienia, pokusy i trudności; lekcyje te bywają dla nas trudne, ciężkie, a często nawet niezrozumiałe, ale zawsze powinniśmy w nich uznawać rękę Opatrzności, która jedynie wie, dla czego nam je daje.

Kończąc życie, powinniśmy złożyć egzamin ogólny i odpowiedzieć na pytania:

Ile skorzystaliśmy z doświadczeń tej szkoły? Czy wykształciliśmy swoje serce i rozum? Czy nauczyliśmy się meztwa i panowania nad sobą? Czy nie sprzedaliśmy swej cnoty i honoru? Czy żyliśmy z umiarkowaniem i wstrzemięźliwością? A może życie nasze było jedną wielką ucztą samoluba bez myśli o bliźnich? Czy przeżywając nieszczęścia i próby, nabyliśmy cnót cierpliwości, pokory i wiary w Boga? — albo nauczyliśmy się tylko narzekać, wpadać w zwątpienie i rozpacz?

Pomocnikami w życiu pełnem trudności i smutków są: czas a także zapal i energia młodości. Czas, to jest lata życia człowieka, płynące jedne za drugimi, jak fale rzeki, uczy nas wszystkiego, daje możliwość wiele razy poprawić się, zacierając pamięć najcięższych bólów, każe zapominać o starem, a spodziewać się nowego.

A któż nie wie, jak inaczej przedstawia nam się świat i życie w młodości?

Z jakim zapalem młodzieniec biegnie po drodze życia, szukając coraz nowych radości i przyjemności, z jaką energią bierze się do pracy, do czynu, spodziewając się zaraz słodkich owoców swych starań? Ale, niestety: „im dalej w las, tym więcej drzew”. Powoli, jasne, słoneczne obrazy spodziewanego szczęścia zakrywają ciemne chmury przeszkód, rozmaitych trudności, zawodów, niepowodzeń i nieszczęść i ów młodzieniec czuje, jak zapal w nim gaśnie i energia wyczerpuje się... Szczęśliwym już jest, jeśli pośród tylu doświadczeń potrafi zachować czystość duszy i serca. Jeśli nie upadnie pod ciężarem życia, chwytając się kotwicy wiary.

A jednak ten zapal jest wielką pomocą w życiu człowieka, bo prowadzi go do dobrych i wielkich czynów, poświęceń i miłości bliźniego; jest on dowodem czystego, niesamolubnego charakteru i pięknej duszy, powinniśmy go więc podtrzymywać w naszych dzieciach, a nie śmiać się z ich „mrzonek”, jak czynią praktyczni, chłodni ludzie. Człowiek bez szlachetnego zapalu w młodości, to jakby rok bez wiosny.

Oto przykład, jak wiele dobrego wypływa z podobnego zapalu, inaczej entuzjazmu.

Pewien chłopczyk przeczytał w czternastym roku życia książkę „O handlu murzynami” i przejęty litością dla ciemnych, męczonych, murzyńskich dzieci, zapragnął uczyć je chrześcijańskiej wiary i czytania biblij, to jest Starego i Nowego Testamentu. Otóż z biblij i kilku groszami w kieszeni, wykradł się z domu rodziców i popłynął morzem aż do Ameryki na wyspy, nazywające się West-Indye. Przybwszy na miejsce, zapalony chłopczyk był w wielkim kłopotcie, nie wiedząc, jak się wziąć do rzeczy, gdy zatrwożeni rodzice znaleźli go tam i przywieźli

z powrotem do domu. Syn jednak nie ochłonął ze swego zapalu i nie porzucił pięknej myśli nauczania biednych dzieci. W roku 1798 gdy miał już 20 lat, zaczął uczyć dzieci z okolicy w pustym pokoju rodzicielskiego domu, w bardzo krótkim czasie pokój okazał się za mały; wynajmował więc coraz obszerniejsze mieszkania, a nakoniec musiał zbudować osobny budynek, na drzwiach którego umieścił napis:

„Wszyscy mogą tu przysyłać swe dzieci na naukę darmo, jeżeliby zaś kto sobie tego nie życzył, niech płaci”.

Chłopiec ten nazywał się Józef Lankaster, on to pierwszy założył ludową szkołę i wskazał drogę do powszechnego nauczania darmo, które dawno już jest wprowadzone za granicą.

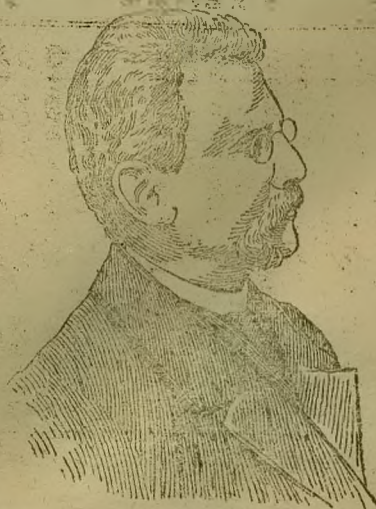
A jakież męstwo i zapal ożywiały Krzysztofa Kolumba, który się wybierał na odkrycie nowej części świata, mając to jedno przekonanie, że musi on gdzieś istnieć! Nie odstraszyły go niebezpieczeństwa podróży morskiej na kruchym, nieudokonałym okręcie, nieznani, może dzicy ludzie na nowym lądzie, zbuntowani i zrozpaczeni trudami podróży towarzysze, którzy go chcieli związać i rzucić do morza. On sam jeden przeciw wszystkim stał mężnie i wytrwale, ożywiony pragnieniem odkrycia Nowego Świata, aż ujrzał wreszcie na horyzoncie brzegi Ameryki.

Ten wielki człowiek był potem więziony, przesładowany i ograbiony przez tych, których z bogacił.

NASZA CHWAŁA.

Bolesław Prus.

Prawdziwe jego nazwisko brzmi Aleksander Głowacki, choć ogólnie znany jest jako Prus. Urodzony 8 sierpnia 1847 w Puławach pod Lublinem w Królestwie Polskim, w szkołach kształcił się na profesora, po skończeniu zaś studiów był jakiś czas w warsztatach elektro-technicznych, poczem oddał się piarstwu zupełnie. Redagował więc dzienniki



i pisał powieści. Tym zajęciom oddaje się po dziś dzień w Warszawie.

Bolesława Prusa stawiają uczeni na równi z Sienkiewiczem; mimo to nie zdobył dla siebie tak

rozgłośnego co tamten Imienia. Pochodzi to stąd, że Sienkiewiczową mową swoją i sposobem pisania zajmuje każdego mniej lub więcej wykształconego, a znów trudno jest ludziom mniej uczonym zrozumieć to, co chce w swoich powieściach powiedzieć Prus.

Powieści jego są osnute przeważnie na tle stosunków współczesnych. Ludowi przedewszystkiem poświęcił Prus powieść „Placówka”. Widzimy tu włościanina Ślimaka, który odziedziczywszy po ojcach i dziadach swą zagrodę ziemi, nie chce jej puścić nigdy nikomu. Ponieważ w okolicy, gdzie Ślimak osiadł, zjeżdżają Niemcy i chcą pozbawić go ojcowizny, by zyskawszy grunta Ślimakowe, założyć kolonię niemiecką — musi Ślimak wszelkimi siłami bronić się przed przybyszami. Choć niejednemu mu przyjdzie stracić: więc żonę, dzieci, dobytek. — silna, uporczywa natura chłopska nie pozwala włościaninowi ustąpić ani na krok, nie puścić ani piędzi ziemi cudzoziemcom. I ta ogromna siła woli, zaparcie się siebie, wytrwałość odnosi zwycięstwo. Ślimak niepokonany wychodzi z walki, zostaje zwycięzcą, a Niemcy muszą ustąpić z pola.

Charakter ludu naszego, niektóre jego rysy: wytrwałość, umiłowanie ziemi rodzinnej, silną wolę — oto, co Prus przedstawia jako wzór dla innych. W „Placówce” chciał przeciwstawić siłę ludu innym warstwom, które tak łatwo wyzbywają się rodzinnej ziemi; włościanin zaś woli stracić wszystko, niż pozbyć się ziemi, na której ojcowie siedzieli.

W innych mniejszych powiastkach, Prus często dotyka spraw ludu, przedstawiając jego dole i niedole.

ZAŚLUBINY.

Sposoby, za pomocą których zdobywają sobie ludzie żony, bywają najrozmaitsze u różnych ludów na kuli ziemskiej.

Na pewnych szczeblach rozwoju, porwanie jest najzwyczajniejszą formą zdobycia sobie żony; zwłaszcza najczęściej uprowadzane zostają one do obcych szczepów. Ostatni ten zwyczaj panował u wy-

marłych Sarmańczyków, oraz u Papuazów w Nowej Gwinei i na wyspach Fidżi. I dziś jeszcze musi Samojed i Lapończyk podstępem lub przemocą zdobyć dziewczę z obcego szczepu. Zwyczaj porwania kobiet spotykamy w podaniach licznych ludów, jak n. p. w tem opowiadaniu biblij, podług którego mężczyźni ze szczepu Benjamina uprowadzili przybyłe na tańce córki Sileha, jak również znane podanie rzymskie o porwaniu Sabine.

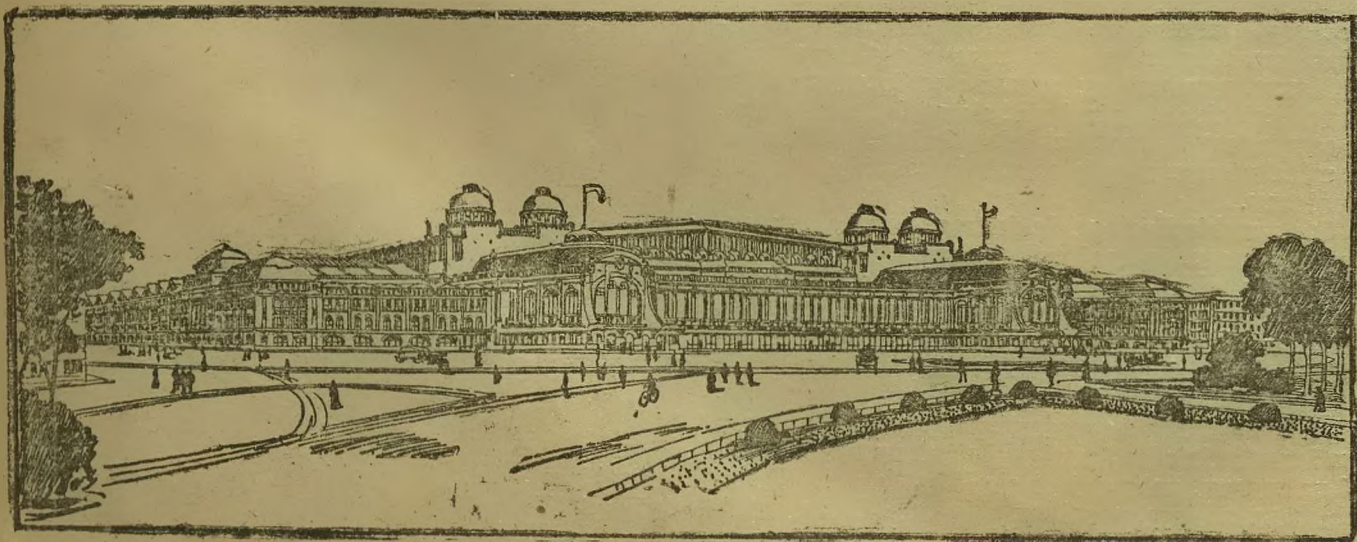
Inny sposób zdobywania sobie żon, jest kupno. Najzwyczajniejsze kupno stanowi ślub w Afryce. Przy takiej transakcyi nie obchodzi się bez targów i oszustw. Nietylko w Afryce, bo i wśród Beduinów południowej Arabii zwyczaj ten jest rozpowszechniony. W Afryce południowej cena kupna ustanawia się ilością wołów i dziewczęta nie tanio się oceniają; u Kafrów płaci narzeczony za żonę 6—30 niekiedy wołów. Dla człowieka więc posiadającego większą ilość córek, wydawanie ich za mąż może być źródłem bogactwa, gdyż sprzedając je, zyskuje kilkakrotnie to, co go kosztowała własna połowica.

Starożydowskie śluby są także transakcyami handlowymi. To samo powiedzieć można i o zaślubinach starogreckich. Cena narzeczonej określała się liczbą wołów, lecz te były daleko droższe, niż w Afryce.

Ze germańskie śluby spoczywały na tej samej zasadzie, o tem niejednokrotnie znajdujemy wzmianki. Prawa ludowe wcale nie dwuznacznie mówią o cenie sprzedażnej, a prawo saskie chce nawet tak się ustanowić, skoro mówi: „Kto chce wprowadzić w dom małżonkę, ma zapłacić rodzicom 300 szylingów”.

Mniej rozpowszechnioną formą kupowania żon jest zamiana. Miewa ona miejsce u Malajczyków, oraz u niektórych szczepów abisyńskich. Kto chce posiadać żonę, oddaje za nią swą siostrę lub inną kobietę, którą wykradł z sąsiedniego jakiego plemienia. W Australii istnieje również podobnego rodzaju system zamiany, w myśl którego za mniej więcej 20-letnią dziewczynę, narzeczony oddaje swoją siostrę lub bliską krewną, znajdującą się pod jego lub jego ojca opieką.

W rzadkich tylko wypadkach zdarza się, że kobiety w jawny sposób wybierają sobie mężów. U wizyrów n. p. mężczyzna musi zaślubić kobietę,



Nowy dworzec w Lipsku, największy w Europie

która go wybierze jeżeli jest w stanie zapłacić ojcu jej cenę, a w niektórych miejscowościach w Nigragua piszą, że dziewczyny wybierają sobie podczas uczt mężów z pośród uczujących chłopców.

W dalszym ciągu przyjrzymy się osobliwym zwyczajom ślubnym u niektórych narodów.

Bardzo rozpowszechnionym jest n. p. zwyczaj zawierania związku małżeńskiego przez wspólne spożywanie jednej i tej samej potrawy lub napoju. I dziś jeszcze wspólna ucztą w weselach niemieckich niemałą odgrywa rolę, prócz tego zachował się zwyczaj, że narzeczoną podawane bywają starodawne potrawy przodków.

Tak n. p. w Czechach u ludu wraca znów stale na weselnych godach na stół dawniej wyprowadzone z użycia proso, a w niektórych miejscach podają nawet jęczmień prażony. Brazylijscy Indianie wychylają zazwyczaj haust wódki z jednego naczynia i tem ślub zostaje zawarty. Serbscy narzeczeni piją po trzykroć z jednej szklanki czerwone wino. Chińskie zaślubiny zaczynają się również od wspólnego jedzenia i picia, tylko że nie piją z jednej szklanki, ale z dwóch, które są połączone z sobą czerwoną nitką i które, pijąc, zamieniają kolejno. „Wspólne jedzenie“, jako znak zawarcia związku małżeńskiego, znane jest nie tylko amerykańskim Indianom, ale i Lapończykom na półwyspie skandynawskim. U Mandogów na Filipinach obrzęd ten mniej więcej w następujący odbywa się sposób: narzeczeni jedzą z jednej miski w wodzie gotowany ryż, podając sobie wzajemnie kęsy. Każde z nowożeńców żuje swoją porcję ryżu, przeżutą część oddaje drugiemu i żuje w dalszym ciągu. Ostatni ten obrzydliwy zwyczaj praktykowany bywa przy zaślubinach i u reszty szczepów malajskich archipelagu wschodnioindyjskiego.

Zawieranie małżeństwa u Wutków w Nowej Gwinei zasadza się na tem, że narzeczeni zadają sobie wzajemnie rany w czoło, aż krew płynie. Na Nowych Hebrydach utarty jest zwyczaj wybijania wychodzącym za mąż kobietom dwóch zębów przednich z górnego rzędu i to w brutalny sposób, bo kamieniem. W Australii pannie młodej odgryza jedna ze starszych kobiet dwa członki małego palca u lewej ręki; po dokonaniu tej operacji dopiero przyjeźdźca zostaje do grona niewiast zamężnych. W da-

wnych czasach w Syberyi narzeczoney brały ze sobą różgę lub bat, którym w pewnym miejscu obrzędu dotykał lekko pleców narzeczonej na znak posłuszeństwa małżeńskiego. U Timanów w północno-zachodniej Afryce, kowal wypilowywał zęby pannie młodej i obu nowożeńców skława razem za ręce żelaznym pierścieniem. Na Kaukazie również kowal oświadczył udział w obrzędach zaślubin. U żydów tunezańskich dziewczę jest na cały tydzień przed ślubem ofiarą zwyczajów szczepowych.

Główną tam jednak cechą w uroczystościach ślubnych jest nie kto inny, jak... balwierz; on kieruje uroczystością i daje ślubującej parze nauki i rady. U niektórych szczepów Indusów zaślubiają obojga narzeczonych naprzód drzewu rosnącemu, a następnie im samym. W niektórych stronach Indyi państwa młodych spryskują wzajemnie ich własną krwią na znak ścisłego ich złączenia. U plemienia Nama w Afryce południowej i u Hotentotów z Przylądka Dobrej Nadziei, istnieją jeszcze wstępniejsze obyczaje. Mandingowie w Afryce zachodniej połączają nowożeńców. Aszanci podobnie tak samo łączą się bez obrzędów. Niektóre zaś narody zupełnie nie znają różnicy pomiędzy kobietą zamężną i niezamężną, a nawet nie mają w swych narzeczeniach wyrazu określającego wesele. Ten więc akt, u narodów cywilizowanych odznaczający się różnego rodzaju uroczystościami, u ludów bez żadnej kultury lub na niskim jej stopniu stojących, spełza na dziwacznych formach lub zupełnie się z pod nich wymyka.



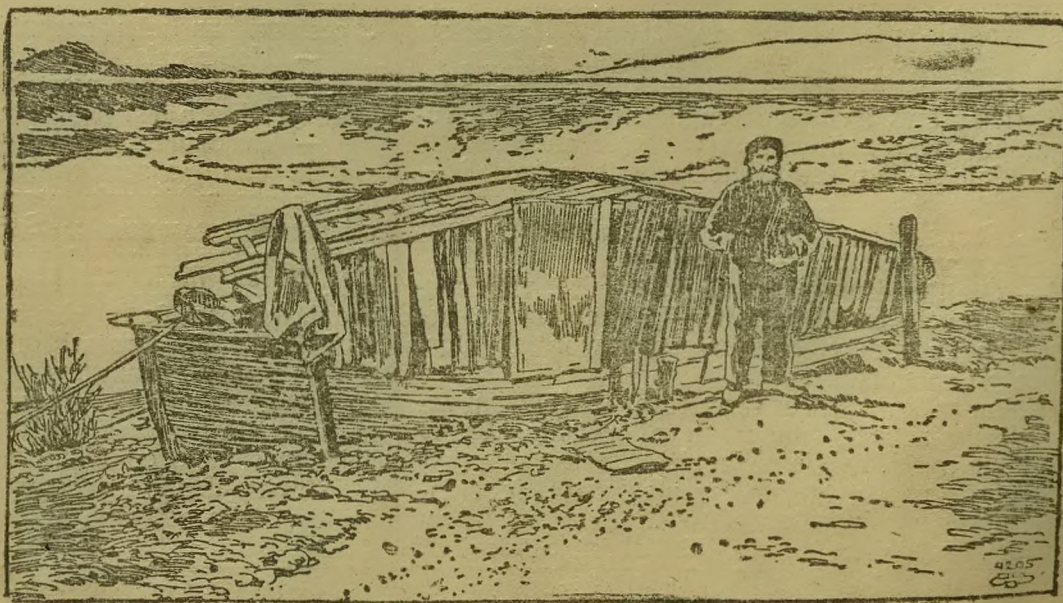
W BALONIE.

— Panie łaskawy, czy to miejsce zajęte?

Był to niewielki, przysadkowaty mężczyzna o przyjaznym, miłym wejrzeniu, który do mnie te słowa skierował. Gdym powiedział, że wolne, przysiadł się do mnie u stołu gospody. Pogawędziliśmy o tem i o owem, poczem wzięłem do rąk gazetę, przeglądam, wtém uderzył mnie wypadek aeronauty, który po jednej podróży balonem, przy-

Niezwykłe mieszkanie.

Wobec wozów „Drzymałowych“, z których policja pruska poczyną rugować mieszkańców, podajemy tu wizerunek innego mieszkania, zdjęty z natury. Jest to stara łódź rybacka u brzegu rzeki Severn w Anglii. Mieszka w niej stary rybak Morris wraz z żoną już od lat kilkudziesięciu i nikt ich z tej dziwnej chaty nie wypędza.



wysiadaniu, omal nie utracił życia. Opowiadał to memu sąsiadowi, a ten mówi:

— Wie pan co, ja sam byłem dawniej trochę balonowiec, może Pan posłucha, jaką ja miałem przygodę.

Zauważyłem, że to może właśnie ten wypadek opisany jest w gazecie, poczem towarzyszył mi i zaczął opowiadać:

— Niedługo po ukończeniu studyów, gdy wracałem do domu, spotkałem się przypadkowo ze sławnym aeronautą, profesorem R. W rozmowie wygadałem się, że mam słabość do jego sportu i zawodu, i zdziwiłem się, gdy profesor wyraził życzenie, bym razem z nim jechał balonem na wystawę.

Domyśla się pan, że się nad tym planem długo nie namyślałem, wybrałem się więc i całe prawie lato spędziłem na podróżach i wycieczkach w każdej prawie większej iniejsowości. Pod koniec sezonu otrzymaliśmy od gospodarskiego związku w G. zaproszenie na tegoroczną wystawę, na którą też postanowiliśmy się udać. W oznaczonym jednak dniu był profesor R. jakiś niezdrowy, a że nie można było z wyjazdem zwlekać, wybrałem się więc ostatecznie sam. Przed wyjazdem wziąłem się do napełniania balonu i po napełnieniu miałem już odciać sznur, gdy zbliżył się jakiś pan i zapytał, czybym go nie zabrał ze sobą wraz z towarzyszącą mu damą.

— Ależ dobrze! — rzekłem, i wśród okrzyków ciekawej wokół gawiedzi puściliśmy się w powietrzną podróż, która, jak było widać, niezmierną sprawiała radość moim gościom. Niezadługo wydała się nam ziemia tylko niewyraźną masą, a my gnaliśmy dalej jak prądem powietrza.

— A na co te worki? — zapytał mój towarzysz.

— To balast, wyrzucasz go, gdy się ma wysiąść, — odpowiedziałem.

— A długo trzeba czasu, aż się dostaniemy do pierwszej planety? Najprzód przychodzi ponoś Wenus, potem Merkur, a potem słońce....

Spojrzałem na człowieka nie bardzo zdziwiony, bo głos jego zdawał się wskazywać, że żartuje, gdy tymczasem dama zawołała:

— Ależ, wujaszku, nie mów tak nierozsądnie, pan nie może myśleć, że mówisz naprawdę, lub żeś stracił zmysły.

Jedno spojrzenie w jego oczy przekonało mnie, że słowa jej są aż nadto prawdziwe. Zdawał się naprawdę być spokojnym, widziałem jednak, że najmilsze nawet sprzeciwienie się, mogłoby go wprowadzić w szal i dlatego pragnąłem znów powrócić na miejsce, z któregośmy wyjechali.

— Jak szybko teraz unosimy się w górę? — zapytał.

— Przestaliśmy się wznosić i płyniemy teraz z prądem powietrza, — odrzekłem.

— Ojoj, już się przestaliśmy iść w górę, więc musimy wyrzucić część balastu — i rzekłszy to bez wszelkich zachodów, chwytając jeden wór jak pióro i rzuca go za gondolę.

Balon zaczął znowu iść w górę. Niebawem zauważyliśmy zmianę temperatury i niemało kosztowało mnie trudu, by się nie zaziębć, a towarzysząca nam coraz więcej otulała się płaszczem, lecz żadne z nich nie mówiło ani słowa. Tymczasem zastanawiałem się, co tu zrobić dalej. Sprzeciwili

mu się? może wpaść w szal i co potem?... Waryat siedział, na jego twarzy igrał szatański uśmiech.

— Zimno ci, Anusiu, — przerwał. — My tam zaraz będziemy na dole.

Mówiąc to, porwał wór drugi. Położyłem rękę na jego ramieniu i rzekłem:

— Mój panie złoty, czy pan wie, co pan chce zrobić?

Nie wiele myśląc, porwał mnie i rzucił na moje miejsce jak małe dziecko.

— Ja pana nauczę, że mną niema żartów, jeżeli się pan poważy jeszcze raz mnie napastować, to i pan poleci za workami.

Widziałem, że przemocą nie sprostam; chłop był zwalisty jak Herkules. Nie mając innego wyjścia, wyjąłem rewolwer i rozkazałem mu siedzieć i spokojnie się zachować. Przytem nie spuszczałem z niego oka. Chwilę się wahał, lecz potem wbrew memu oczekiwaniu usiadł, a tymczasem ja ciągle mając go na oku, pociągnąłem sznurek od wentyla i balon zaczął opadać. Gdyśmy się zbliżyli do ziemi, a nasz waryat nie zdradzał żadnego niepokoju, z wolna odwróciłem od niego uwagę, położyłem rewolwer na stołku i począłem z damą przypatrywać się z góry na okolicę u stóp naszych. Wśród tego wystraszył nas waryat, krzycząc:

— Co pan woli, czy iść w górę, czy opadać?

Obróciwszy się, spostrzegłem, że ma nóż w ręce i ostrzem przyciska do jednego ze sznurów, do których przywiązana była gondola.

— Jeżeli mi się pan ruszysz z miejsca, — zawołał waryat, to w tej chwili ten sznur przetnę.

Mrowie przeszło mnie, zdretniałem. Widoczne było, że tylko chwilką dzieli nas od wieczności.

— No, cóż się pan ociaga, — mówi dalej, — masz pan tylko wybrać, albo mi pan pozwoli, że pojedziemy dalej, albo zjedziesz pan na dół na złamanie karku!

Tysiące myśli przeleciało mi naraz przez głowę. Moje życie, życie bladej, drżącej przy mnie kobiety, wszystko zależało od jednej chwili. Wtem wpadła mi szczęśliwa myśl, zwracam się do niego spokojnie i mówię:

— Wszak będzie pan wolał, że my wysiądziemy, a pan sam pojedzie dalej. Zostawię panu balon do użytku.

— Ha, jakaż świetna myśl, czy tylko naprawdę chcesz mi pan balon zostawić?

— Ależ z całą pewnością, — rzekłem, — tylko proszę pana, jak pan powróci, oddać go profesorowi R. w G., bo to jest jego własność.

— Znakomicie, zgoda! — zawołał i schował nóż, a tymczasem ja spoglądałem na chłopską chatę w dali, leżącą w kierunku naszej jazdy, w pobliżu której pragnąłem wysiąść. Szczęśliwie dotarliśmy do ziemi, pomógł mi mój towarzysze wysiąść z gondoli, a oblakanemu wyraziłem życzenie szczęśliwej drogi, dodając, że byłoby nie źle, aby znów napełnił balon, zanim swą szaloną jazdę rozpocznie. Zaraz się połapał, że go wystrychnął na dudka, i tylko rewolwer mój był przeszkodą, że swego gniewu na mnie nie wywarł. Od siostrzenicy jego dowiedziałem się, że od kilku lat jest chory umysłowo i niedawno dopiero wypuszczono go z zakładu waryatów, jako rzekomo uleczanego.

ŻYCIE SZKOŁĄ DOŚWIADCZENIA.

II.

Szkoła doświadczeń, prób, walki z przeszkodami i trudnościami jest najlepszą z tych, które człowiek przechodzi, gdyż ona to kształci charakter i budzi takie siły, któreby w ciszy, zadowoleniu i spokoju na zawsze zostały w uspieniu i bezczynności. Jak krzemień wywołuje iskrę wtedy tylko, gdy uderzy o żelazo, tak wielkie zdolności i wielkie zamiary często się budzą niespodzianie pod uderzeniem nieszczęścia. Dla tego pożyteczniej jest dla człowieka wyteżać wszystkie siły duszy w walce z życiem trudnem i niebezpiecznem, niż pograżyć się w lenistwie i ospałości. Gdyby nie było przeszkód na drodze życia, nie potrzeba byłoby czynić wysiłków, gdyby nie istniały pokusy, cnota nie miałaby zasługi.

Z tej samej przyczyny często pożytecznie jest walczyć z biedą i pokonywać ją pracą. „Kto walczył choćby tylko z biedą i ciężką pracą, ten będzie silniejszy i mądrzejszy od tego, co pozostał w domu, albo w obozie zdala od bitwy i od tych, co przyszli na gotowe”.

Uczeni ludzie o wiele łatwiej znośzą biedę, niż brak pokarmu dla umysłu, co znaczy trudniej im się obejść bez książek, bez pracy naukowej, do której nawykli i bez towarzystwa wykształconych ludzi, niż wyrzec się wygod i innych przyjemności życia.

Bieda zmusiła Serwantesa, znakomitego poetę hiszpańskiego, wziąć się do pióra i napisać swoje sławne powieści. Razu pewnego oficerowie ze swity posła francuskiego podziwiali w towarzystwie talent Serwantesa i wyrazili chęć poznania go.

Hiszpanie odpowiedzieli, że to były żołnierze, a teraz trudno mu będzie ich przyjąć u siebie, bo jest już stary i biedny.

— Jakto! — zawołał jeden z francuzów — czyż interesa poety są tak złe? Dla czegoż więc nie dopomoga mu ze skarbu państwa?

— Uchowaj Boże! — była odpowiedź — wyciągać go z biedy, bo wówczas on przestanie pisać! Jego bieda z bogactwem świata.

Wielki muzyk i kompozytor Mocart, który między innymi napisał tyle wspaniałych i pięknych kościelnych śpiewów, pracował nad nimi, będąc nieuleczalnie chorym, dręczony długami i biedą. Drugi sławny kompozytor Hendel nainieknijesz dzieła swoje napisał wówczas, gdy tknięty paraliżem, oczekiwał śmierci.

Trudno tu wyliczyć wszystkich znakomitych ludzi, których cierpienia, bieda i inne próby tego życia doprowadziły do sławy, do wielkich wysiłków rozumu i serca.

Już nie mówiąc o tych rzadkich wyjątkach, czyż nie widzimy, że między pospolitymi, prostymi ludźmi tylko konieczna potrzeba wyciąga ich z lenistwa, uczy pracy, zapobiegliwości i oszczędności; często tylko chęć lepszego zarobku zapędza do szkoły, do nauki?

Otóż z tych przykładów widzimy, że cierpienie jest potrzebne nam, jako środek do rozwinięcia i ulepszenia naszej słabej natury. Jeśli wierzymy, że Bóg zsyła nam smutki i radości i że po śmierci czeka nas szczęście, to musimy przejść bóle i cierpienia, aby to szczęście osiągnąć. W życiu jest du-

żo tajemnic, których pojąć nie możemy, ale wierzymy, że życie pojedynczego człowieka, wraz i istnienie tej małej bryłki ziemi jest tylko częścią wielkiego planu, który Bóg obmyślił przed wieki.

NASZA CHWAŁA.

Ludwik Kondratowicz

znany więcej pod przybranem mianem Władysława Syrokomli, urodził się w roku 1823 we wsi Smolhowie na Litwie.

Do dwudziestego roku życia przebywał w domu rodzicielskim, ucząc się i pomagając ojcu w gospodarstwie.

Z tego dla przyszłego poety była ta korzyść, że poznał gruntownie lud wiejski, nauczył się cenić jego przymioty a wyrozumieć jego wady.



W dwudziestym roku życia udał się młody Ludwik do Nieświeża na dwór księcia Radziwiłła i tu mając sposobność stykania się z ludźmi uczonymi poznał, że mu się jeszcze dużo uczyć potrzeba.

Z zapalem przeto wziął się do nauki, począł rozczytywać się w dziełach pisarzy starożytnych i współczesnych.

Czytając polskich poetów: Kochanowskiego, Reja i innych, odnalazł i we własnej duszy natchnienie poetyckie.

Począł tedy opisywać zdarzenia i obrazki wiejskie, a pisał tak rzewnie i tkliwie, że czytającego te utwory, mimowoli ogarnia wzruszenie.

Zważywszy, że Kondratowicz umarł młodo, bo przeżył zaledwie 40 lat — i że całe życie walczyć musiał z niedostatkiem, pracując na roli — dziwić się trzeba zaiste, że tak wiele utworów ducha nam zostawił.

Oprócz większych poematów jak: Jan Dęboróg, Margier, Janko cmentarnik, Spowiedź Korsaka i innych a także kilku sztuk scenicznych (Kasper Karli-

ski, Chatka w lesie i inne) napisał Kondratowicz mnóstwo jeszcze mniejszych obrazków i wierszyków ulotnych a wszystkie proste, szczere i tklive tak była nią lusza poety.

Cieszył się też Kondratowicz uznaniem i miłością współziomków jeszcze za życia; nazywano go powszechnie litewskim słowikiem.

Ostatnie lata życia spędził poeta w Wilnie, schorzały i wskutek niepowodzenia materyalnego zgorzkniały.

Tam też zwłoki jego spoczęły na cmentarzu Rosa, gdzie skromny pomnik wskazuje miejsce wiecznego spoczynku „litewskiego słowika“.

* * *

B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —
Nagroda za pracę nie chybi!
Uczyła się dziatwa czytania,
I czego katechizm zebrania,
I kiedy duszyczka szczęśliwa,
I jak się ta ziemia nazywa,
I jacy tu byli królowie, —
A wszystko — by rozum mieć w głowie,
By w oczach mieć jaśniej, weselej,
By w sercu mieszkali anieli.
Bóg dziatki przytulał na łono,
Lecz jeszcze nie wszystko spełniono;
Bo myśląc o własnej potrzebie,
Uczyły się tylko dla siebie.
O! jeszcze niewielka w tem sztuka,
Nie takie ma cele nauka.
Kto siebie na pierwszym ma względzie,
Ten jeszcze zbawionym nie będzie,
Bo celom Najwyższemu uchybi.
B, a, ba, b, e, be, b, i, bi, —
C, a, ca, c, e, ce, c, i, ci, —
Kto ziarno nauki pochwyci,
Niech zaraz tem ziarnkiem wzbogaci,
Ciemniejsze siostrzyczki i braci.
Ich ojciec, co z sochą we dworze,
Nauczyć swych dziatek nie może,
A matka, robotą zajęta,

Zaledwie Ojciec nasz pamięta,
A szkoła daleko od wioski,
A szczupły jest grosik ojcowski.
Więc, dziatwo! choć iskrę oświaty
Zanieście do ciemnej ich chaty,
Nauczcie wieśniaków czytania,
I czego katechizm zabrania,
I kiedy duszyczka szczęśliwa,
I jak się ta ziemia nazywa,
I jacy tu byli królowie,
Niech każde, co umie, rozpowie,
A dojdziecie kłębka po nic!
C, a, ca, c, e, ce, c, i, ci

Władysław Syrokomla.



Zima w Polsce dawniej a dziś.

Z pomiędzy czterech pór roku, zima jest najprzykrzejszą i niema chyba człowieka, któryby nie wyglądał z utęsknieniem wiosny.

A przecież zimy obecnych czasów musimy uznać za bardzo łagodne, jeżeli porównamy je z innymi zimami.

Dla przeprowadzenia tego porównania nie potrzeba nam nawet iść pod biegun północny lub południowy, na Syberję lub do Alaski. Wystarczy nam porównać zimy naszego kraju, takie, jakie są dzisiaj, z temi, jakie bywały przed kilku wiekami.

Oto jak opisuje zimę w Polsce historyk nasz Karol Szajnocha, który obraz jej odtworzył ze starych kronik i zapisków. Szajnocha pisze, że jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego i Jagielly, a zatem przed 500 laty był klimat w Polsce o wiele surowszy niż obecnie. Przyczyniła się do tego niezmierzona obfitość wód i lasów.

„Bagna — czytamy — z osłaniającym słońca całunem wilgotnej mgły, lasy z długoleżącym śniegiem i gęstym powszedy cieniem, zaostriły o wiele klimat. Dłuższe niż dziś pory zimowe srożyły się



Gmach teatru w Boyertown w Ameryce

w którym przed kilkudziesięciu dniami wydarzyła się eksplozja podczas przedstawienia kinematograficznego. W teatrze znajdowało się około 600 osób, przeważnie członków niemiecko luterskiej szkoły niedzielnej i ich rodzin. W czasie pożaru, który wybuchł skutkiem eksplozji utraciło życie 170 osób, głównie kobiet i dzieci. Gdyby nie śmiertelny strach (panika) który opłamał widzów, nieszczęście nie byłoby zapewne takich wielkich przybrało rozmiarów.



nadzwyczaj tęgiemi mrozy. Dziejopisarze poświęcają osobne ustępy opisom srogich owego czasu zim. Jeden z zachodnich rycerzy, gość Jagielly i Witolda, zapelnia w opisie swojej podróży cztery rozdziały opowiadaniem dziwów zimy bałtyckiej. Myśliwi usypiali na stanowisku wieczystym snem zamrożenia. Co żyło, chodziło zimą i latem w futrach najrozmaitszego rodzaju, z czego niezawodnie powstało przysłowie: „Do św. Ducha nie zdejmuj kożucha, a po św. Duchu, chodź zawsze w kożuchu“. Futra były potrzebą, nie przepychem. Prosty tołób stanowił zwykłą odzież Jagielly. Zagraniczni wybrednicy uskarżali się, że Polacy kożuchem śmierdzą.

Nadto dęły zimą i latem jakieś gwałtowne wiatry. Burze ówczesne obalały raz po raz nowe budynki, wykorzeniały pnie starożytne, gruchotały do razu po 60 okrętów w porcie gdańskim, po 37 wież w mieście, unosiły na kilkadziesiąt kroków dzwonnice wraz z dzwonami. Dodajmyż jeszcze dwa dziwne przeciwieństwa ówczesnej natury: wylewy i posuchy. O wylewach mówiliśmy już wyżej. Od posuchy znikwały wody w strumieniach, paliło się zboże na pniu. Powstawał ztąd głód i mór. W kilkuletnim nieraz głodzie zabijali i pożerali rodzice swoich synów, synowie rodzonych ojców. Morowi z głodu towarzyszyły częste powietrza morowe. I bez dżumy nękały różne choroby mieszkańców bagnisk. Najpowszechniejszą była choroba oczu. Wszyscy prawie głośniejsi mężowie onego czasu, Jagiello, Witold, arcybiskup gnieźnieński Dobrogost od czerwonych powiek Wydrzeoko nazwany, cierpią na oczy. Biskupa władysławskiego Macieja, krakowskiego Bodzantę, arcybiskupa Jarosława, znamy całkowitymi ślepcami.

Mokra zima podwajała wszelkie cierpienia. Wtedy jako jedyne ratunku pragniono mrozów. Bo też zważywszy wszelkie następstwa ówczesnej błotności, nie było większego dobrodziejstwa nad

tęgą zimą. Ona oczyszczała powietrze, wytepliała naprzykrzone roje owadów, łąściła lodem jeziora i bagniska. Niektóre okolice otwierały tylko zimno znośny do siebie przystęp. Krzyżacy, Jagiello, handlarze niemieccy, chcąc Litwę nawiedzić, musieli czekać mrozów. Kupców podróżnych nie zwanopospolicie inaczej jak gośćmi zimowymi. Kto zaś trzaskające mrozy uważał za najdogodniejszy ciału swojemu żywioł, temu i duch mimowolnie hartował się. Ciągła walka z wodą, z leśną naturą, wychławała sobie nadmiarę krzepki, przedsiębiorczy, ruchliwy ród“.

Tyle Szajnocha. Wobec tego nie należy nam przykrzyć sobie zimy w dzisiejszych czasach, gdzie ona już ani tak sroga nie jest, ani tak długa, boć nie trwa ona do św. Ducha, ale jak mówi przysłowie, już „św. Józek, zabierze zimą w wózek“. Zresztą pocieszajmy się, że

„Nie na zawsze słonko gaśnie,
Nie na zawsze ziemia zaśnie,
Nie na zawsze wędnie kwiecie,
Nie na zawsze mróz na świecie.“



Kto chwili śmierci jest panem?
Kto się przed walką uchroni?
Grzesznika z sercem skalaniem,
Czyliż bezbożność uchroni?

* * *

Bo niedoleżny tylko upada,
Niedoleżnemu tylko tu biada,
A wieczny tryumf i chwała
Wytrwałym i dzielnym!

Kornel Ujejski.



Demonstracja w Berlinie
za reformę prawa wyborczego do sejmu.

Chińskie przysłowia o procesach.

„Gdy jakaś rodzina ma proces, to wciągnie w to nieszczęście jeszcze dziesięć innych“.

„Jeżeli tylko jedno słowo na niekorzyść jakiegoś człowieka dostanie się przed trybunał sądowy, to tego słowa dziesięć bawołów ztamtąd nie wyciągnie“.

„Unikaj procesów, gdyż będziesz miał z tego same tylko nieprzyjemności“.

„Wygrasz proces — stracisz pieniądze“.

„Do skazania bardzo łatwo znaleźć można powód.“

„Z dziesięciu powodów, którymi sędzia uzasadnia swój wyrok, dziesięć jest dla ludności niezrozumiałych.“

„Jeżeli po swej stronie nie masz nic więcej prócz słuszności, to przed sądem nieszczęśliwie ci się powiedzie.“

Ostatnie chwile Katarzyny Jagiellonki

królowej szwedzkiej. *)

Wprawdzie sejm szwedzki (w lutym 1852 roku) i nowo mianowani przez króla biskupi, uznali uroczyste równouprawnienie religii katolickiej w Szwecji, ale za to niezadługo miała się usunąć najsilniejsza kolumna rokowań z Rzymem: Katarzyna Jagiellonka.

Z początkiem września 1583 roku choroba królowej doszła do tego stopnia, że łatwo można było przewidzieć dzień i godzinę jej śmierci. Wrzody okryły całe jej ciało.

— Patrzcie, — mówiła do otaczających, — patrzcie, w jakie bogate klejnoty, w jaki wspaniały naszyjnik się ustroiłam. Oto zaiste ozdoby, które bardziej przystoją królowej, niż wszystkie i śmieszne ozdoby świeatowe. Są one dla mnie słodkimi oznakami trwalszego i czystszej szczęścia.

Następnie przywdziała na siebie ubiór pokutnicy i rzekła do ks. Warszewickiego, jezuitę.

— Oto wasza królowa: trochę błyszczącej ziemi i grób otwarty.

Ks. Warszewicki chciał ją pocieszyć, przypominając i chwając jej stałość w wierze i ufność w Boga.

— Bóg wie, — przerwała mu Katarzyna — czy jest w czem jaka moja zasługa; ja raczej lękam się surowego sądu Bożego.

Lekarze, jako ostateczny środek, przepisali jej nader silne wody mineralne. Katarzyna nie chciała z początku używać tego lekarstwa, ale gdy król objawił jej swą wolę, usłuchała go bez chwili wahania. Gdy jednak król zarzucał jej brak wiary w lekarstwa, odrzekła:

— Ja wierzę w coś lepszego, wierzę w Boga, który nami rządzi. Gdy nas chce ukarać, uniknąć wyroków jego nie zdołamy przez używanie lekarstw.

Po tych słowach Katarzyna przyjęła lekarstwo, które, jak przewidywała, tylko jej zaszkodziło. Popadła w konwulsje, na całym ciele porobiły się otwory; chwila śmierci widocznie się zbliżała. Koło łóża chorej stała piętnastoletnia jej córka. Królowa, jakby przewidując przyszłe jej odstępstwo, popatrzyła na nią z niepokojem i rzekła do ks. Warszewickiego:

— Za miłosierdziem Bożem z radością opuszczę ten świat. Jedno mnie tylko trwoży. Nie wiem, co lepiejby było dla mej córki, czy żeby umarła w kwiecie wieku, czy żeby nieszczęśliwa jej matka na długo poprzedziła ją do grobu. Wiesz, czego się obawiam. Wierzaj mi, Ojcze, byłabym spokojniejsza, gdyby córka razem ze mną, albo przedemną umarła.

Około północy z 15 na 16 września, królowa kazała przywołać do siebie swego małżonka i raz jeszcze zachęcała go, aby dokonał zaczętego dzieła, a zwłaszcza, aby dzieciom swym dał katolickie wychowanie. Przywołała następnie swe dzieci i napominała je, aby za przykładem tylu wielkich

szwedzkich monarchów, silnie i wytrwale stały przy katolickiej wierze. W kilka godzin później śmiertelny pot okrył jej czoło. Przy łożu chorej odprawiano właśnie modlitwy za konających, gdy wtem wzniosła ręce do góry i wydała ostatnie tchnienie. Król z dziećmi padł na kolana i długo się modlił. OO. Warszewicki i Ardulf odprawili potajemnie mszę świętą w kaplicy zamkowej za duszę zmarłej w obecności króla i jego dzieci; Zygmunt komuniował za duszę matki. Król rozkazał czynić modlitwy za zmarłą po całym państwie. We wszystkich kościołach bito w oznaczonych godzinach w dzwony na znak żałoby, wedle katolickiego zwyczaju.

Obrzędy te katolickie zapaliły gniewem propagatorów luteranizmu, a złość ich obróciła się głównie przeciw Jezuitom, a wszystkich katolickich kapłanów mieli oni za Jezuitów. Marszałek państwa groził, że wszystkich Jezuitów (właściwie było ich tam wtedy tylko dwóch), spakuje w wielki okręt i wyśle poza granice szwedzkie. Widząc, co się święci, OO. Warszewicki i Ardulf przygotowali się do wyjazdu, ale król rozkazał im zostać i zapewnić ich o swej królewskiej protekcji.

Dnia 15 stycznia 1584 r. odbył się uroczysty pogrzeb królowej wedle obrządku katolickiego. Arcybiskup luterski miał mowę pogrzebową, a w niej dla przypodobania się, a prawdopodobnie z wyraźnego rozkazu króla, wyrzekł te zadziwiające słowa w ustach protestanta:

„Do przymiotów, któremi odznaczała się królowa, zaliczyć należy jej niewzruszoną stałość i wierność w religii katolickiej, którą otrzymała w spadku po przodkach swych Jagiellonach, a poza którą nie masz zbawienia“.

(Z pism ks. Badeniego.)



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia przeszłości naszej.

Dnia 1 lutego 1733: umarł król August Sas, zwany także Mocnym.

Dnia 2 lutego 1421: poselstwo z Czech przybywa do Krakowa z prośbą do Jagiellów o przyjęcie czeskiej korony.

Dnia 3 lutego 1825: umarł car Aleksander I jako król polski.

Dnia 5 lutego 1831: generał Dybicz przekroczył granicę Królestwa Polskiego na czele sto tysięcy Moskali.

Dnia 8 lutego 1576: nowoobрани król Stefan Batory przysięga na umowę z narodem zyl tak zwane „pacta conventa“.

Dnia 9 lutego 1434: ślub królewicza Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą, księżniczką austriacką.

Dnia 12 lutego 1798: umarł w Petersburgu król Stanisław Poniatowski.

Dnia 14 lutego 1386: chrzest Władysława Jagiellły w Krakowie.

*) Katarzyna, córka Zygmunta I wyszła za mąż za króla Jana szwedzkiego; z tego małżeństwa narodził się późniejszy król polski Zygmunt III.

NADZIEJA.

Piętnem życia tego jest cierpienie, nikt od niego uchylić się nie może, czy to korona, czy róż wieniec czoło jego okrywa, czy orężem czyli piórem włada, czy w zgłętku miast czy w wiejskiem ustroniu żyje, wszędzie go dojdzie boleść, wszędzie dozna smutnych życia kolei; troski i choroba, równie króla jak żebraka nie ominą. Jakaż pociecha, jakaż ucieczka, jaki skarb jedyny człowiekowi w smutnym jego stanie zostaje? czemu się cieszy nieszczęśliwy? czemu chory się krzepi? kto cnotie uciemnionej nowych sił dostarcza? kto skrusze słodkie łyzy ronić pozwala? kto matce w synie w pieluchach chlubę religii i ojczyzny pokazuje? kto boleść rozdziału słodzi? kto nam nędze tego życia przyszłego obrazem nagradza? kto nam od kolebki do grobu towarzyszy? kto w samem nieszczęściu rysy szczęścia kreśli? Nadziei to cuda. Ona powabnym uśmiechem swoim wszelką boleść koi lub łagodzi. Ona jedna łyzy otrzeć i osuszyć może. Ona wiecznie w sercu człowieka zakwita, i w największych dolegliwościach uspokaja go obietnicą swemi. Bez niej życie byłoby ciężarem, boleść każda byłaby nieznośną. Prawdziwy udział człowieka i nędznej tej ziemi, nadzieja, towarzyszy nam w każdej życia dobie i za wszystkie skarby świata niktby jej odstąpić nie chciał. — Tę potrzebę nieodzowną serca człowieka, ten wdzięk największy życia, tę osłodę i pociechę, nauka Chrystusa główną cnotą nazwała. Ona zaleciła, ażeby na łonie Boga oparta, „nadzieja kotwicą bezpieczną i mocną dusz naszych się stała”. Według jej świętych przepisów powinien nieszczęśliwy się spodziewać, że cierpienia jego w wieczne szczęście się zamienia; powinni cieszyć się pozostali, że zmarłych ulubionych sobie zobaczą; powinna ufać cnota, że stokrotną nagrodę otrzyma! Rodzice troskliwi powinni z dziećmi oczekiwać pociechy; człowiek każdy powinien być przekonany, że wszystko prócz własnych win dla dobra jego się dzieje; grzesznik jeśli ma żal szczery, powinien mieć i nadzieję, że wszystkie błędy jego, bądź najśrodsze, odpuszczone mu zostaną. Karany jest ten, który nie ma dosyć ufności w Bogu, który już żadnego szczęścia, żadnej ulgi się nie spodziewa; karany ten, który o swoim zbawieniu rozpacza. Nagrodzeni są ci wszyscy, którzy mają nadzieję i ufają w Panu. Gdzież szukać łagodniejszych, doskonalszych ustaw? powiedziałże co podobnego który filozof? Bóg jeden mógł podobne podawać prawa.

* * *

Nadziejo, bóstwo dobroczynne, ty jesteś słońcem w krainie ducha. Przez ciebie w zamarych sercach zakwita ufność i wiara. Ty zawieśłeś pęczki pożądań ludzkich ożywasz. Ty stępiasz żądlę rozpacz i wytrącasz nóż z ręki samobójcom. Nadziejo, ty jesteś bodźcem do pracy, która stokrotny plon wydaje. Ty dajesz siłę wytrwania w pośród przeciwności. Z tchu twojego moc słabych. Przez ciebie więzien żyje. W imię twoje umierają męczennicy. Przez ciebie sprawiedliwość i prawda mają na ziemi ołtarze czczone. Gdy ty zajdziesz, śmierć wschodzi!

NASZA CHWAŁA.

Stefan Żeromski.

urodził się roku 1868 we wsi Strawczynie, powiatu Kieleckiego w Królestwie Polskiem. Do gimnazjum uczęszczał w Kielcach; wyższych zaś studiów uniwersyteckich musiał zaniechać z powodu słabego zdrowia.

Był potem przez kilka lat nauczycielem ludowym po wsiach, później w Rapperswilu w Szwajcarii bibliotekarzem w Muzeum Polskiem, nareszcie osiadł w Warszawie jako literat.

Żeromski pisał przedewszystkiem to, co sam przeżył i na co własnymi oczami patrzył. To też, kto chce poznać duszę polskiego narodu z lat ostatnich, wszystkie bóle i rozpacz narodu, wszystkie jego dążenia do naprawy stosunków społecznych — ten powinien czytać dzieła Żeromskiego, te zwłaszcza, które wydał pod przybranem mianem Maurycyego Zycha.



W książce, zatytułowanej „Syzyfowe prace”, kreśli Żeromski owe katusze, jakie szkoła moskiewska zadawała uczniom Polakom, chcąc w ich sercach zabić wszelkie uczucie narodowe. W książce „Rozdzióbiam nas kruki, wrony” mamy znów obrazki zebrane z ziemi mogił i krzyżów, z ziemi, która o pomstę do nieba woła za prześladowanie Unitów.

W powiastce „Ananke” (Przeznaczenie) maluje autor smutne nad wyraz dzieje urzędnika pocztowego Polaka, który chcąc uzyskać lepsze stanowisko, przyjmuje prawosławie i zostaje Moskalem. Zyskał przez to więcej grosza, ale stracił to, co miał najdroższego t. j. rodzinę, bo żona jego uczciwa Polska opuściła go wraz z dziećmi; wołała bowiem znosić nędzę, ciężko pracować, niż żyć nadal pod jednym dachem z „zaprzańcem”.

„Siłaczka” i „Ludzie Bezdomni” przedstawiają dusze ludzi, którzy poświęcają wszystko: zdrowie, życie, majątek, szczęście osobiste, byleby tylko pracować dla szerzenia oświaty wśród ludu, dla polepszenia jego bytu materialnego.

A mimo wszystkich klęsk i bólów, jakie naród nasz przechodzi, Żeromski umie serdecznym słowem

wem budzić nadzieję i nawoływać do ukochania — pomimo wszystko — tej biednej naszej, nieszczęśliwej Ojczyzny.

Oto w jednej ze swych powiastek („Mogila“) kreśli samego siebie, jak w ubraniu żołdaka moskiewskiego, odslugując wojskowość, szedł polem, a duszę rozrywało mu zwątpienie i zniechęcenie, bo widząc moc bezprawia, sam już nie wiedział, czy ma prawo do miłowania i bronięcia ze wszystkich sił naszych skarbów narodowych.

„Aż ujrzałem — pisze — kopiec niewysoki pośród kęp gęstej olszyny i terek, a rośnie na nim dzikie ziele i paproć.

Na samym szczycie usycha krzak głogu dzikiego, dawno przez kogoś posadzony i oddawna przez wszystkich zapomniany. Pod kopcem od strony gościńca wyciąga ramiona krzyż modrzewiowy z napisem:

„Na cześć braci poległych za Ojczyznę w dniu 10 października 1794 roku“. (W tym dniu była na polach Maciejowickich bitwa, w której Tadeusz Kościuszko dostał się do niewoli. Przyp. Red.)

Odczytawszy te słowa, przypomniałem sobie dopiero, że stoję na miejscu maciejowickiego pogromu. Tędy nastąpiły na Europę hordy Kałmuków, pojmawszy w tem bagnie najlepszego, najczcigodniejszego jej obrońcę i obywatela. Nieoceniona krew Tadeusza Kościuszki, którą na tem miejscu przelał, zawołała na mnie z ziemi. Z ostrym bólem w sercu i z płaczem dotknąłem ustami piasku mogiły. Nareszcie poznałem ją, zrozumiałem, co Ona jest i wielbiłem na zawsze — tę Ojczyznę“.

W KOPALNI.

Z powieści Żeromskiego „Ludzie Bezdolni.“

Poszli długim chodnikiem. Zbliżka i zdala szły szeregi wózków, ciągnionych przez konie. Każdy z tych pracowników włókł tak za sobą całemi latami przeklęte wozy. Gdy mijali postępującego w cie-

mności, odwracał na bok głowę i oczy, które już raz żółty blask światła.

Przyszli wreszcie do szybu, który ich z dna kopalni miał podrzucić o sto metrów wyżej. Woda lała się tam strugami, kapłała w szalę, ciekła po drzewie cembrowiny. Stanęli w mokrej windzie, wśród ludzi wrzeszczących, przemokłych, ze zmiętymi twarzami i w ciągu jednego momentu wyniesieni zostali na powierzchnię górna. Szli stamtąd ciemnym i nieskończenie długim korytarzem. Było w nim zimno i wilgotno. Strop walił się tu i owdzie, wyginał kapy i miażdżył okładziny. Śmiertelnej czarniawy nie rozświeślały nawet ogniki górnicze. Czasami tylko słyszeć się dawał odległy turkot i krzyk wozaka. I znowu z mroku wynurzał się koń-górnik, odwracał swe smutne, stęsknione, beznadziejne oczy, jakby mu był wstrętny widok człowieka, i ginał w wiecznym grobie.

W pewnej chwili Judym usłyszał przed sobą w ciemnościach rozmowę, a raczej monolog. Ktoś mówił dobitnym głosem:

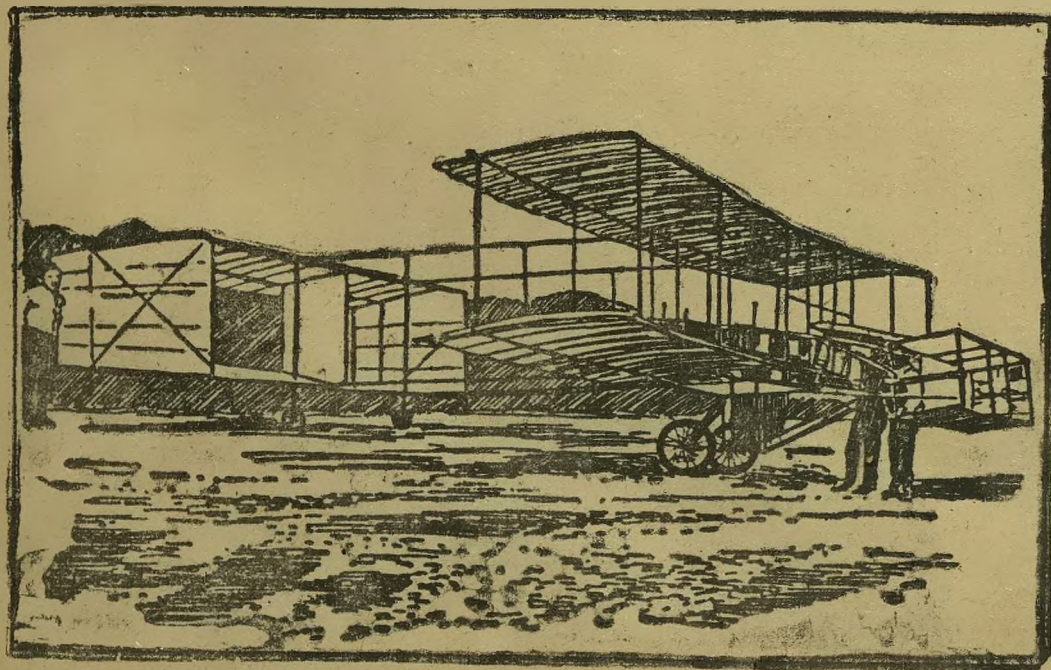
— Fuks, mówię, nie zwalone!

Chwilę trwało milczenie i znowu odzywał się ten sam głos z podwójną natarczywością:

— Nie zwalone, Fuks! Kiej nie zwalone, to nie zwalone...

Korzecki pociągnął Judyma do ściany i szep-tem objaśniał, co to znaczy:

— Czasami koła jednego z wózków, szczepionych między sobą, z szyn wyskoczą. Wówczas koń, imieniem Fuks, staje, gdyż nie ma siły uciągnąć, a zresztą i następne wózki zaraz się wykoleją. Poganiacz musi nadnieść i wstawić wózek w szyny. Gdy to uczyni, woła na konia, że już tę robotę wykonał. Ale nieraz przyczepi mu o jeden wózek za wiele i wówczas koń również staje, sądząc, że to skutek wykolejenia. Poganiacz zapewnia go krzykiem, że „nie zwalone“, ale koń, pociągnawszy zlekka, nie rusza się z miejsca, gdyż czuje ciężar większy, niż należy. Wówczas furman musi go przekonać: idzie wzdłuż wózków aż na sam ich



Maszyna latająca.

Wiek dwudziesty nazywają potomkowie nasi „stuleciem żeglugi napowietrznej.“ Niema bawiem prawie tygodnia, aby ktoś tam gdzieś nie wynalazł nowego jakiegoś statku, przeznaczonego do podróży napowietrznej. Przy każdych takich „narodzinach“ nowego statku rozlegają się w świecie okrzyki, że „oto sprawa żeglugi napowietrznej została rozwiązana.“ Tak oto i obecnie wołają zapaleńcy napowietrzni, gdy wynalazcy Farmanowi udało się na nowo wynalezioną przez siebie maszynę wznieść się w powietrze, przejechać się kawałek i nawrócić z

szykiem. W ten właśnie „nawrót“ laty wielki tryumf najnowszego wynalazcy, bo się to dotąd jeszcze nikomu nie udało. Przyszłość jednak dopiero okaże, czy maszyna Farmana przy „nawracaniu“ nigdy się nie „wywróci.“

koniec i stamtąd dopiero jeszcze raz uroczyście krzyczy swoje: Fuks, nie zwalone! Natenczas biedny koń godzi się z myślą, że go wyzyskują, zbiera siły i wlece dalej w ciemności swą dolę. Może nawet przychodzi do świadomości, co to jest, może nawet po cichu wzdycha, albo ściska zębce, ale przystać musi na taki układ, bo gdyby marzył, albo usiłował protestować za pomocą, dajmy na to, stania, toby mu poganiałcz batem grzbiet wyłolił i na tem skończyłoby się polepszenie stosunków.



CO TO JEST SZCZĘŚCIE.

Szczęściem jest — umieć przestać na małym —
Cenić co wzniosłe i w życiu całym —
Nie być nic dłużnym — i strzedz się win. —
Szczęściem się nazwać modlitwa może —
Szczęściem — kto cierpieć umie w pokorze, —
Szczęściem — kto spełni szlachetny czyn.



Sprawa Drucego w Anglii.

Cały świat zajmuje się procesem, jaki od dłuższego już czasu toczy się w Anglii. Pewien obywatel londyński, nazwiskiem Hollamby Druce, twierdzi że dziadek jego był w rzeczywistości księciem Portland. Chcąc się ożenić z ubogą mieszczańką, którejby jako księżkę za żonę wziąć nie mógł, rozdzielił się ów księżkę na dwie osoby. Jako księżkę Portland zamieszkiwał dziedzinny pałac, jako obywatel Druce prowadził interes kupiecki i ożenił się z mieszczańką. Ganek podziemny łączył obie siedziby owego podwójnego człowieka. Kiedy się dumnemu księciu sprzykrzyła rola obywatelska Drucego, „wziął się” i umarł po prostu i kazał się pochować. Tak twierdzi ów dzisiejszy pan Druce, który wytoczył proces o przyznanie mu tytułu dziada księcia Portland i naturalnie jego majątku, o który, jak się zdaje, głównie chodzi. Obrazek nasz przedstawia chwilę otwierania trumny, w której został pochowany stary Druce, a w której wedle twierdzenia skarżącego miały się znajdować tylko sztaby ołowiu zamiast zwłok. Tymczasem ku zdumieniu wszystkich, znaleziono w trumnie jednak ewłokie ludzkie. Zdumiał się zapewne i pan Hollamby Druce, ale nie dał jak do mówić, że wygrana, a raczej przegrana. Oho bowiem przeprowadził dowód, że jednak te zwłoki nie są zwłokami owego Druce, który był sarazem księciem Portlandu. Proces toczy się dalej. Na obrazku naszym widzimy górą dwie twarze, które miały należeć do jednego człowieka: twarz bez brody ma przedstawiać księcia Portland, twarz z brodą (jak twierdzi skarżący, przyprawioną) kupca Drucego. Na podobieństwie tych dwóch twarzy opiera się cały proces, w którym chodzi o — miliony.

WODY W DAWNEJ POLSCE.

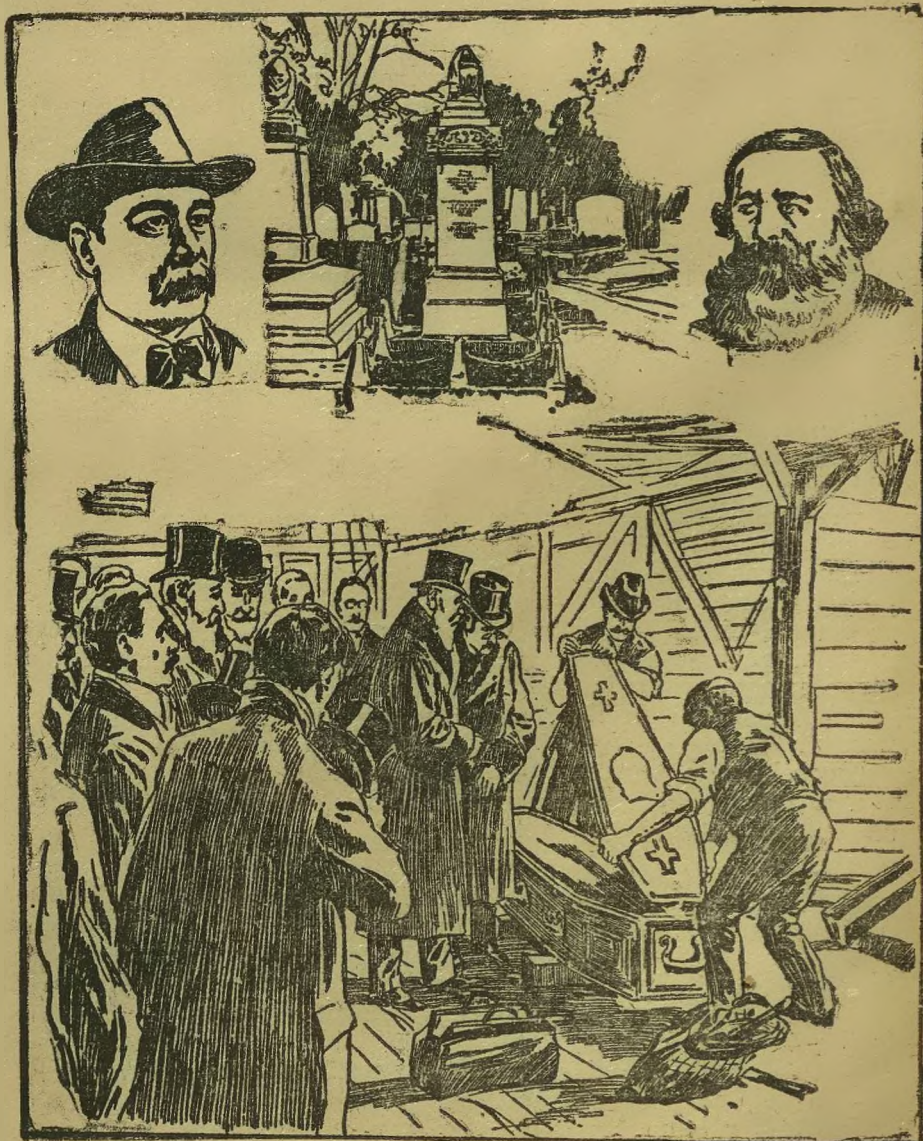
(Według Szajnochy.)

Uczeni ludzie dowodzą, że powierzchnia morza Bałtyckiego obniża się stale. Zdanie to znajduje potwierdzenie w tradycji ludu, jakoby morze Bałtyckie niegdyś, przed wiekami, rozciągało się aż po Grudziądz.

Tak samo jeziora Prus Krzyżackich (dzisiejsze Prusy Wschodnie i Zachodnie) oraz Wielkopolski (Poznańskie) miały przed kilku wiekami nierównie większą niż dziś rozległość.

I tak n. p. jezioro Gopło, które dziś jest zaledwie 3 mile długie, rozciągało się za czasów Jagiellońskich na 5 mil długości. Szeroko rozlane wody stykały się z sobą i spławiały statki z głębi kraju aż do morza.

Cała okolica Kruszwicy podobna była do wyspy oblanej wodami, które łączyły Gopło z Wartą, Wisłą i Bałtykiem. Wtedy jezioro goplańskie było głównym gościńcem handlu i żeglugi, gdyż wszystkie statki z Obry, Warty, Prosny i t. d., chcące płynąć do Gdańska, przez Gopło przeprawiać się



musiały. Jak twierdzą uczeni badacze, była „Mysza wieża”, której szczątki do dziś nad Gopłem stoją, nie czem innym, tylko latarnią morską, przyświecającą statkom wśród ciemnych nocy.

Stąd też Kruszwica, leżąca na trasie handlowym i wodami obronna, stała się stolicą powstającego państwa polskiego. Gdy wody z czasem opadły, upadła i stołeczna wielkość Kruszwy.

U wszystkich też rzek polskich stan wody był przed wiekami nierównie wyższy, niż obecnie. To też wszystkie były kiedyś rzekami spławnymi, t. j. że wszystkie unosiły na swym grzbiecie większe statki handlowe.

Oprócz Wisły i Dniepru są w dawnym prawodawstwie rzekami portowymi i Styr, Narew, Warta, Dunajec, Wisłoka, Bug, Zbrucz, Wieprz, Tyśmienica, San, Nida i Proсна. Niektóre z nich, jak n. p. Wisła, o tyle niegdyś głębsza, zaczęły już bardzo wcześnie, bo za czasów Jagiełły, opadać i zasychać się. Inne tam, gdzie dziś czółno na mieliźnie osiada, ładowne komiegi i szkuty niosły. Inne wreszcie zupełnie zaniknęły. Będąc zaś zamożniejszemi w wodę, były wszystkie jak naród w lepszym bycie nadmiar niespokojne, zuchwałe, rozuzdane. Już-to nowe sobie koryta przukły, już-to zalewały dawną rolę a tworzyły nowe grunta i wyspy, już-to znowu do dawnych wracały łożyska. Najjawniejszym skutkiem tej niesforności znajdujemy nadzwyczaj szerokie rozlewy. Po dłuższych deszczach stawały całe krainy pod wodami. Naówczas w poprzek gościńców, po niwach, snuły się liczne łodzie jakby po morzu. Zatonione żniwo wynagradzał sobie rolnik połowem ryb na łanie. Tylko największe wzgórza sterczały ocalonemi stogami zbioru. Według znanego przysłowia „woda bierze, woda daje”, przenosiła fale wylewów niekiedy całe gmachy drewniane z jednego miejsca w drugie. Takim sposobem miał stary modrzewiowy kościółek na górze pod Tarnowem nadpłynąć z jakiejś nieznannej strony i zatrzymać się na grzbiecie swojej dzisiejszej posady.

Gdy powódź opadła, okazywały się w miejscu łąk dawnych utworzone przez nią jeziora; w miejscu zagonów — rzeki. Takim wylewom przypisywano powstanie Dunajca, Raby i Skawy. W ziemie podczas łomania się lodów płynęły po jeziorach i rzekach kolosalne stosy kry, wspięte jedno na drugie, niby to skały kryształowe, tysiącem promieni w rozmaitych kolorach lśniące. Zawadziwszy o miasto w drodze, piętrzyły się one do wysokości baszt miejskich, i uderzały szturmem zniszczenia w mury. Gdzieindziej, zwłaszcza w lecie, oczekiwano powodzi jak błogosławieństwa, a rok, w którym „Nil wielkopolski” (Noteć) nie wylał, miano za niepomyślny.

Po tem morskiem zwierciadle wylewów każdorocznych, po tych jeziorach kilkumilowych, rzekach portowych, wily się we wszystkich kierunkach przeróżne statki, okręty. Mniejsze zawijały do licznych jeziorowych i rzecznych przystani, zwanych niekiedy przewłokami. Większe dążyły do morza i za morze. Rozbity u wybrzeży fryzyjskich okręt toruński wywołał powszechne przypuszczenie, że aż do wspomnianego zniżenia się stanu Wisły mogły w porcie toruńskim największe gościńce okręty.

Jak na jeziorze Gopie z Myszej wieży, tak na małopolskiej Wisły wybrzeżu z wieży Kazimierza dolnego świeciła nocą szeroko po okolicy żeglarska dla przemijających statków latarnia.

Na innych rzekach drobność statków wetowała się niezmierną ich licznością. Przypomnijmy sobie, jakie mnóstwo najrozmaiciej nazwanych łodzi i łódek, pławiczek i pławic, obijaników, szuhalej, bark, bajdaków o trzech a nawet czterech masztach, wiosłowało do niedawna na jeziorach pińskich z nadejściem wiosny, a powoźniem wyobrażenie o tłumie żagli na wodach ówczesnej Polski. Zabytkiem tej gęstej w Piastowskich wiekach żeglugi — acz dziś i zabytek już zapomniany — pozostało wielce wydoskonalone słownictwo żeglarskie. Według niego starożytne herbowe łodzie, korabie, nawy, znana już za czasów Goworka szkuta, przewożący Krzyżaków do Litwy prom, wreszcie późniejsze komiegi, galary, statki, dubasy — oznaczały tyleż różnokształtnych i różne przeznaczenie mających rodzaj statków. Z nich to opłata cel od towarów, opłata przewozu od podróżnych, płynęła do skarbu znaczna część dochodu ówczesnego. Im głębiej w starożytność sięgniemy, tem częściej przypomina się ludna klasa korabników (marynarzy). Do późnych czasów mieli żeglarze polscy nad każdą niemal rzeką, jak n. p. nad Sanem, osobną konfraternię wodną, złożoną z szypków, rotmanów, szkutników, flisów. Cóż dopiero powiemy o nieskończonej mnogości rybitwów! (Ciąg dalszy nastąpi.)



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujemy i czołmy wspomnienia przeszłości naszej.

15-go lutego 1831: bitwa pod Stoczkiem, w której zwyciężyli Polacy. Moskale stracili 400 żołnierzy; zabrano 12 armat i 250 żołnierzy do niewoli.

16-go lutego 1633: koronacja króla Władysława IV w Krakowie.

17-go lutego 1386: książęta i bojarzy litewscy przysięgają na wierność Polsce.

19-go lutego 1831: bitwa z Moskalami pod Wawrem.

21-go lutego 1530: koronacja Zygmunta Augusta na króla Polski jeszcze za życia ojca Zygmunta I.

22-go lutego 1831: początek bitwy pod Grochowem (pod Olszynką). Na tle tej bitwy napisał zmarły niedawno Wyspiański sztukę „Warszawianka”.

23-go lutego 1766: umarł król Stanisław Leszczyński w zamku swym Luneville we Francji.

26-go lutego 1383: dokonany obór Jadwigi, królowej węgierskiej na królową Polski.

27-go lutego 1839: został rozstrzelony w Wilnie Szymon Konarski, wysłany przez „Towarzystwo Demokratyczne” z Paryża do kraju dla szerzenia świadomości narodowej wśród ludu.

27-lutego 1861: wojsko moskiewskie strzela w Warszawie do mieszkańców. Padło ich pięciu: Karczewski, Rutkowski, Arcimowicz, Brendel i Adamkiewicz.

28-go lutego 1258: znaczne trzęsienie ziemi w Polsce.

POD GROCHOWEM.

(Wspomnienie historyczne z 22 – 25-go lutego 1812 r.)

W sto tysięcy Dybicz krwawy
Idzie do Warszawy,
Depeą jegry i kozaki
W polach naszych trawy.

Wiedzie Dybicz jegrów swoich
Na ten kraj lechicki,
Występuje przeciw niemu
Generał Chłopicki.

Wiedział o tem wódz nasz dzielny,
Ze go Dybicz zdusi –
Lecz się rzucił w bój śmiertelny,
Poledz z chwałą musi!

Zetknęli się pod Grochowem,
U Warszawy progu,
– Chyba po nas pójdziesz dalej,
Chyba po nas, wrogu!

Pod Grochowem rykły działa –
Dwieście armat razem
Wali w naszych granatami
I pluje żelazem.

Wali, pluje, w tę olszynkę,
Co na drodze stała,
Z niej to nasza artylerya
Ognia daje z działa.

– Do ataku, jegry moje! –
– Woła Dybicz krwawy –
Pohulacie sobie za to,
Jak weźmiem Warszawę! –

Skoczą jegry do olszynki
Skoczą i Kozaki –
Odparty ich bagnatami,
Te dzielne Czwartaki!

Po dziewięćkroć jegry pędzą,
Dziewięćkroć odparci,
Chwyta Dybicz się za głowę:
– Nie ludzie – a czarci! –

Jak topnieją śniegi wiosną,
Gdy lecą jaskółki,
Tak topnieją pod Grochowem
Dzikich jegrów pulki.

Leżą trupy wielkim wałem
I ludzi i koni –
Więc ogłasza Dybicz trzy dni
Zawieszenie broni.

Grzebią nasi dzielnych braci,
A jegrów Moskale,
A te bębny głucho biją.
Na obronnym wale.

A te bębny głucho biją
Na mężnych pogrzebie.
– Przyjmijże ich, matko ziemio,
Bo legli za ciebie! –

Jan Sawa

PROSTOTA, PROSTACTWO.

Podobne w brzmieniu dwa te wyrazy, w znaczeniu swoim zupełnie są odmienne; już półtora wieku temu odznaczył ich różnicę Fredro, kiedy w wybornych przysłowiaich swoich napisał: „Bądź prostym, nie bądź prostakiem.” Ale my pomimo tej jego przestrogi mięszamy je często i jeden w miejscu drugiego kładziemy.

Prostota jest przymiotem, prostactwo wadą; prostota obejmuje jednakowo zewnętrznego i wewnętrznego człowieka, prostactwo więcej powierzchowności się tyce.

Nie miłszego nad prostotę, własność dziecięcia i niewinności, towarzyszą nieoddzielna szczerości, skromności i dobroci; ułożeniu, czynom, mowie, pismom, niepojęty wdzięk nadaje; nie przykrzejszego od prostactwa; cecha to złego wychowania, szpeci piękność i cnotę samą.

Prostota każdemu człowiekowi, największej gośdności przystoi, wszystkich wabi, zniewala, przywiera; prostactwo nikomu nie jest do twarzy, wszystkich razi, odstręcza, odpycha.

Wymów otwarcie, lecz delikatnie przyjacielowi uchybienie jakie, wyda się serca twojego prostota; wyrzucaj mu go obrażającemi słowy, będzie to prostactwem.

W piśmie, w mowie, nie wyszukanych, ale szlachetnych używaj wyrazów, tłómacz się jasno, bez przesady, a twój sposób pisania i mówienia będzie prosty; mięś gminne, nieprzystojne wyrażenia, a będziesz pisał i mówił jak prostak.

Niech twój ubiór będzie schludny, gustowny, zgadzający się z majątkiem twoim, a nazwą go ubiorem; a tym; nieporządną i nieprzyzwołą odzieżą wydasz prostaka.

Z pism Klem. Tańskieij.



Życie towarzyskie w dawniejszych czasach.

Zabawy są niewątpliwie znamienitym rysem charakteru, usposobienia i stopnia kultury ludności. Tak jak inne objawy życia, tak i zabawy zmieniały się porównie ze zmianą warunków życiowych. Przodkowie nasi z przed kilku wieków, których życie upływało we walkach z barbarzyńskimi najeźdźcami, z dzikimi zwierzętami i z surową przyrodą, nie znali miłszej zabawy nad łowy i rycerskie turnieje. Uczty i zabawy tańeczne w onych czasach miały nierzadko cechę obżarstwa i rozpusty.

Dopiero włoska księżniczka Bona, żona Zygmunta I wprowadziła do zabaw dworskich wyższy poler i ogładę towarzyską.

Znalazła do tego w Polsce grunt już przygotowany, albowiem nauka stała wówczas w Polsce bardzo wysoko, a zamiłowanie do sztuk pięknych, do poezyi, muzyki i t. d. szerzyło się równocześnie ze wzrostem ogólnego dobrobytu.

Z łatwością więc zdołała młoda i piękna królowa zamienić dawne sarmackie, surowe zamiłowania na zbytkowne, wspaniałe zabawy dworskie.

Królowa latem urządzała majówki w ogrodzie zamkowym; zimą spraszała gości na wesołe pogawędki wieczorne, przeplatane muzyką i tańcami; czasem bywały i przedstawienia teatralne.

Przykład idący z góry podział na cały kraj. Panowie i szlachta drobna otworzyli na oścież bramy swych domów dla gości, których nigdy nie brakło.

Stoły zastawiano wprawdzie bardzo obficie, ale nie było wtedy jeszcze takiego zbytku, jaki zapanał później za Sasów. Podawano na potrawy mięso z drobiu i zwierzyny, przyprawione suto szafranem, rodzenkami i innymi korzeniami, popijano to piwem domowego wyrobu z pszenicy i owsa. Śpiewano przy tem wesołe piosenki, a przygodne opowieści, dowcipy i docinki, wymierzane częstokroć i przeciw pierwszym dygnitarzom, sypały się jak z rogu obfitości. Osobliwie od czasu, gdy znani już byli fraszki Jana Kochanowskiego, powtarzano je sobie z lubością. Niejeden może i swego talentu w tym kierunku próbował. Skoro zaś dowcip, lub przytyk był udany, śmiał się z niego zarówno z innymi i ten, który nim był osobiście dotkniętym.

Takie było powszechne zamięłowanie do żartów, zwłaszcza żartów, przybranych w literacką formę, że nikt się nimi nie obrażał. Bo też w społeczeństwie ówczesnem, pomimo nawyknienia do

długich i radosnych biesiad, żywsze, a przynajmniej ogólniejsze niżeli dzisiaj istniało zainteresowanie się wszelakimi objawami umysłowego życia. Książka drukowana, osobliwie polska, należała wprawdzie do rzadkości, ale za to wiele to dzieł poważnych, wiele utworów poetycznych z owej epoki, zanim jeszcze drukiem ogłoszone zostały, przechodziły w odpisach z rąk do rąk, odczytywane przez możnych, a również skwapliwie rozchwytywane przez szlachtę na małych dworach osiadłą, żądną wrażeń i wiedzy. I spory religijne i spory polityczne ówczesne rozbudziły powszechną ciekawość umysłów.

Wyłaniająca się z powiśnięć poezya polska nie mniejsze wywoływała zajęcie wśród tych ludzi, dla których przecież w wielkiej mierze rzymski świat klasyczny nie był martwą literą.

Módz się o tem wszystkim do woli nagadać, stawało się naturalną potrzebą. Stąd i w dworach szlacheckich bywało rojno i gwaro. Cudzoziemcy nie mogli się nadziwić i gościnności polskiej i wielomówności Polaków.

Przyczyniał się bardzo do częstych zebrań i zjazdów ówczesny sposób życia i podróżowania. Szlachta polska w ciągłym była ruchu. Jedni przejeżdżali z jednej ze swych majątności lub z jednej ze swych dzierżaw do drugiej; drudzy zdążali na sejmy, sejmiki, roki sądowe.

Ze zaś, prócz po wielkich miastach, nigdzie po-



Grobowiec królów portugalskich
w kościele świętego Wincencego w Lizbonie.

ZDANIA I MYŚLI.

Z KSIĄG MĘDRCÓW WSCHODNICH.

Przyjacielu, znajdź się przy mnie w niedostatku moim, a nie w zbytku...

Całego wołu połknął, ale ogona zgryść nie potrafił.

Głupiec będzie mi wskazywał drogę, którą iść niepowinienem.

Mienie skapca pożra hulaki.

Złodziejowi wszyscy są chętnie coś winni; któżby nie obawiał się niegodziwego?

Wziąłem na kredyt, jadłem, piłem i mówiłem, że to zesłanie Boże; nadeszła pora zwrotu, wówczas utrzymywałem, że Bóg zawzięty jest na mnie.

Nie jesteś walecznym, niechże przynajmniej oczy twoje patrzą dziko na świat.

Nurka nie sądz po tem, jak się zanurza w wodę, ale jak się wynurza.

Kto pogardza własnem, ten musi ze łzami płacić za cudze.

Z krewniakiem jedz i pij, ale nie ró b z nim interesów.

Jeśli cię ściga król, uciekaj; jeżeli Bóg, usiadź w miejscu.

Twarze, które się nie pokazują, gubią się rychło w niepamięci.

Zanim się utopisz, zapłać za drogę.

Gdzie przyjacielem jesteś, nie pożyczaj; gdzie kochasz, nie zachodź często.

Ochowaj dobrze swe mienie, abyś z sąsiada nie zrobił złodzieja.

Dwóch przekona jednego, trzech go pokona.

Cudza boleść — to sen.

rzędnych zajazdów ni gospód nie było, więc każdy wstępował na nocleg, czy popas do brata szlachcica, chociażby mu osobiście nieznanego. Umyślnie wożono z sobą pościel i materace, które rozkładano następnie w którejkolwiek z izb najechanego dworku, aby mogły posłużyć za łóżko. Gościnny gospodarz rad był z takiego najazdu, wybiegał na spotkanie przybyszów i wołał do nich:

Witajcież moi łaskawi panowie,
Których ja zawdy mile oczekiwam,
Z tąd niemałej radości używam.
Bo kiedy już was panów swych widzę,
Samym się sobą w tem dworzyszczu brzydę.

Poczęstowawszy zaś kieliszkiem wódki lub czarą piwa, prosił ich, aby się w domu jego rozgościli, więc dalej mówił:

Są też i księgi, jeśli kto chce czytać;
Jest i kałamarz, kto mapozew pisać,
Jest kreda, kto chce, niech ściany maluje,
Póki się nam jeść w kuchni nie zgotuje.

Goście byli posłuszni radom gospodarza:

Zatem się jedni do kredy rzucili,
A drudzy zasię w pozwy uderzyli;
Ci swoje rymy po ścianach pisali,
Drudzy w czas sobie pozwy gotowali.
Te sprawy jako skoro odprawiono,
Za tem wnet obraz po stole rzucono;
Kładą talerze, chleby podkrajają.
A gorzałeczki przed się dodawają.
A w tem przed nimi głosem powiedziano:
„Wiedźcie, potrawę już na misę dano”.
Wnet się rękami rzucili do wody,
Bez ceremonii potem za stół siedli,
Pierwszą potrawę bardzo smaczno jedli.

A, że gospodarz nikogo do nadmiernego jedzenia ani picia nie zmuszał i tylko powtarzał: „Pij, bo kto raczysz”, więc:

Tak się wszyscy czyście uraczyli
A myśli na wszem spokojnej użyli

Barwny to obraz, nakreślony ręką współczesnego nieznanego poetę. Znamionuje on najlepiej protostę i swobodę towarzyskich stosunków.

Gospodarz w niczem gości swych nie krępuje; goście wnoszą w dom gospodarza wesołość i dobry humor. Ci, którzy śpieszą właśnie na roki sądowe, rozprawiają żywo o sprawie, jaką mają mieć przed sądem. Inni zaglądają do książek stojących na półicy i wszczynają dyskurs o tym Mikołaju z Nagłowic, którego „naród nasz ma mieć w tej cenie, jako Grekowie Hezyoda, Rzymianie Owidyusza”, lub o niezrównanych pieśniach Jana z Czarnolasu, nad które nic piękniejszego nie ma. Śmielsi biorą za kredę i kreślą po belkach drewnianego dworu zapamiętane lub umyślnie urobione rymy. Obiad podany, wszystkich znów przy jednym łączy stole. Nie brak przy obiedzie jadła, ni napitku, ale nie ma ani przymówki, ani żadnego sadzenia się. Znać, że czem chata bogata, tem rada.

Szkoda, że niebawem coraz ogólniej wkładać się zaczęła w stosunki towarzyskie pewna fanfaronada, polegająca na tem, iż każdy pragnął swego sąsiada przewyższyć w czem tylko mógł.

Da kto pięćdziesiąt potraw, da on tyle troje:

Ty go upoisz, a on y woźnice twoje.

Ty w rysiu, on w sobolu; ty na czapce złoto,

On ma y na trzewiku, chacie czasem błoto.

Tak skarży się już Jan Kochanowski. Odbierało to życiu towarzyskiemu jego największy urok, prostotę.



STARA PRAWDA.

Kiedy nieszczęście uderzy w kobietę,
Cicha tam skarga i łzy płyną skryte,
I choćby skonać — wszystko w sobie słumi,
Bo też kobieta tylko cierpieć umie.

Lucyan Siemiński.



Zdania i myśli.

Gdy z wierzchu góry patrzym na przedmioty, maleją w oczach naszych. Tak i dla umysłu który się wznosi wysoko, maleją rzeczy ziemskie.

Sw. Franciszek Salezy.

Dusza i ciało to jakoby dwa wiadra przy studni, gdy jedno na dół, to drugie idzie do góry; tak samo gdy nad ciałem panujemy, duch podnosi się do góry.

Oczy są prawdziwie częściami ciała, ale oknami duszy.

Sw. Augustyn.

Nie opieraj się na trzcinie chwającej się od wiatru: bo wszakże ciało jako trawa więdnije, i wszelka chwata jego opada jako kłosa polny.

Izajasz.



WODY W DAWNEJ POLSCE.

II.

Jakimże, sposobem zmniejszyła się ilość wód w Polsce i obniżył się ich poziom?

Zdaniem uczonych stało się to skutkiem jakichś przewrotów podziemnych. Świadczą też o tem różne wśród ludu polskiego podania o zapadłych grodach i świątyniach, o zalanych osadach. Każde prawie jezioro kryje w sobie tajemnicę jakiejś osady, która jakoby wskutek przekleństwa zapadła się w ziemię, a na jej miejscu powstało jezioro.

Liczne zaś moczary i trzęsawiska w dawnej Polsce, to ślady poprzednich jezior i bagien. W owych „błotnych przepaściach” ginęło nieraz rycerstwo piastowskie i dla nich zarzucić było zmuszone zbyt ciężki rynsztunek żelazny.

Dla nich chciwi grosza Krzyżacy musieli swoim wśród niedostępnych bagien osiadłym kmieciom odraczać aż do najcięższych mrozów termin pla-



Najwyższy i najcięższy człowiek na świecie.

Najcięższym w świecie człowiekiem jest niejaki Antoni Mochty, urodzony w Kremis pod Wiedniem; ma lat 16 a waży 5 centnary. Najwyższym człowiekiem na świecie jest Józef Schippers, urodzony w Gladbach pod Monachium.

cenia czynszu. W innej bowiem porze mógł wędrowny poborca krzyżacki zatonać snadnie z całą kasą w uścisku trzęsawiska. W suchych dziś miejscach łamały się kola zagrzeźlonych w bagnisku kolas królewskich, wiozących w tryumfie oblubienice Jagiellońskie do ślubu. Król Olbracht kona a spieszący do niego lekarz Maciej z Miechowa grzęźnie przy karczynie w Prądniku tak nieszczęśliwie, że mimo przyprzeżenia ośmiu koni nie zdołano przeprowadzić się przez bagno ani też ominąć je inną drogą w sąsiedztwie. Lekarz chcąc niechcąc wrócił z przed bagna do domu, a król tymczasem umarł.

Nie dziw że sypanie grobel i budowanie mostów na bagnach, należało do najzwyczajniejszych starań i obowiązków ludności. Oto wojenny Leszek Czarny zasiadł z rycerstwem na wiecu, i o czymże oni radzą? O naprawianiu mostów. Uchwalone długą obradą, ciągnęły się one nieraz na kilkaset, na kilka tysięcy sążni, na mile. Bagna dziś wyschły, a ruiny pokrywających je niegdyś mostów budzą gdzieś tam do tej chwili podziw prawników. Do każdego miasta przystępowało się ze wszech stron na podścielisku podobnych budowli, istniejących już tylko w aktach miejscowych. Czytając je, zdumiewa się dzisiejszy dziejopis miasta na wzmiankę tylu mostów, grobel, jezior, bagien, błót lgnących, których w tem miejscu dziś i śladu niema. Ówczesnych pokoleń nie dziwiły, nie mierzły one bynajmniej. Przeciwnie wybierano chętnie siedziby nad moczarami, nad jeziorzyskiem. Dobrze było grodowi który na samym środku jeziora usiadł, jakby z jeziora wyrosły. Woda broniła, woda żywiła. Wszelako jak rycerstwo dla bagnisk zaniechać musiało pełnej zbroi, tak i gospodarzający ziemianin mógł tylko w najłżejszym, chodaczkowym obuwiu utrzymać się na grzęzkiej gruntu swego powierzchni, skąd nazwa „szlachcic chodaczkowy” dla kilkunastumorgowego osadnika.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnień przeszłości naszej.

Dnia 1 marca r. 1634: Zwycięstwo Polaków nad Moskalami pod Smoleńskiem. Król Władysław IV zawiera z Moskwą pokój, przyczem zyskuje Inflanty i Estonię, a w zamian za to zrzeka się prawa do korony carów.

Dnia 3 marca r. 1861: Przywdziano w całej Polsce ogólną żałobę za poległych podczas demonstracyi na ulicach Warszawy w lutym.

Dnia 4 marca r. 1649: Ślub króla Jana Kazimierza z Ludwiką Gonzagą, wdową po królu Władysławie IV.

Dnia 10 marca r. 1863: Generał Langiewicz ogłasza się dyktatorem, t. j. naczelnym wodzem narodu.



„Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty”!

(Krasicki „Monachomachia“.)

Już koniec minionego wieku wskazywał, że wiek następny, wiek XX będzie wiekiem „uszanowania pracy”.

Coprawda, praca jako pojęcie zawsze doznawała poszanowania a lenistwo zawsze było w pogardzie.

Tak nakazywały względy religijne a więcej jeszcze względy społeczno-praktyczne: kto nie pracuje, ten z natury rzeczy zjada to, co zapracują inni czyli jest pasorzytem i wskutek tego musi być znienawidzonym i godnym pogardy. Ludzie jednak oddając należny szacunek pracy, mierzyli ten szacunek nie wedle ilości ale wedle rodzaju pracy i za zwyczaj najwięcej szacunku zyskiwała ta praca, która właściwie wcale już pracą nie była.

Gdyby to ujawniało się tylko w stosunkach prywatnych i towarzyskich, jeszczeby nie uderzało niesprawiedliwością.

Gorszem było, że owa niesprawiedliwa miara szacunku dla pracy ujawniła się w stosunkach politycznych i społecznych.

Najjaskrawszym na to dowodem jest i to, że nawet wtedy, gdy narody w połowie wieku minionego wywalczyły sobie wpływ na rządy państwa, przez zaprowadzenie rządów konstytucyjnych, uszczuplono i ukrócono tenże wpływ klasom pracującym, zaprowadzając systemy wyborcze „klasowe”. „kuryalne” i tym podobne.

Te i tym podobne ograniczenia klas pracujących znikną niezawodnie w ciągu wieku niniejszego.

Wszak już nietylko idealisci, agitatorowie lub pisarze społeczni, ale rządy same, wszyscy mężowie stanu, zajmują się podniesieniem umysłowym i materyalnym, zabezpieczeniem i poprawą losu szarych tłumów roboczych o twardej, spracowanej dłoni.

A gdy te tłumy szare, ten lud pracujący dojdzie tam, gdzie go wszyscy mieć chcą; gdy na każdym polu i w każdym kierunku praca codzienna, ręczna znajdzie należyte poszanowanie — jakże się wtedy ułożą stosunki społeczne i polityczne?

Powiedział kiedyś kanclerz angielski Gladstone na wielkim zebraniu ludowym: „Istotnie, wy możecie stać się naszymi panami, bo stanowiące większość wyborców, a gdy ludność, która stanowi większość, pójdzie zgodnie w jakimkolwiek kierunku, klasy dotąd uprzywilejowane ustąpić jej muszą”.

Wielki ten mąż stanu, mądry polityk i statysta umiał jasnym okiem patrzeć w przyszłość. Dlatego też na tem samem zebraniu przestrzegał lud przed zdobywaniem i używaniem ślepej tylko potęgi większości.

„By nie uledez — mówił — zgubnym pokusom, jakie daje potęga, by nie uledez jadowitym radom różnych fałszywych pochlebców, by potęgi większości, jaką posiadacie, użyć mądrze i sprawiedliwie, trzeba wam zdobyć większe wykształcenie, trzeba wam się uczyć”.

To, co angielski mąż stanu wypowiedział przy końcu wieku XIX, to samo powiedział nasz poeta o cały wiek wcześniej.

Inne to były czasy. O zdobyciu potęgi politycznej dla pracujących, szarych tłumów nikt wówczas ani nie pomyślał; o ruchu społecznym i o walce z kapitalizmem nie było mowy; to też nie na wielkim zebraniu ludowym, ale w żartobliwym, satyrycznym poemacie wypowiedział ks. biskup Ignacy Krasicki owe słowa:

„Minęły czasy szczęśliwej prostoty,
Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!”

Gdyby tenże sam poeta mógł dziś przemówić do nas, nie odzywałby się niezawodnie w tonie żartobliwo-satyrycznym, ale w słowach do gromu podobnych, rzekłby nam: „Minął wiek złoty, a nastał wiek ucisku, biedy, wyzysku i płaczu. Surowy to nauczyciel narodu: jeżeli ani ten do nauki was nie skłoni, to już chyba niema dla was wyzwolenia!”

Ks. biskup Krasicki przemówić do nas nie może, ale przemówił inny poeta u progu wieku XX, który ma być wiekiem poszanowania pracy, wiekiem potęgi ludu pracującego.

Oto poeta Stanisław Wyspiański daje nam obraz tego, co będzie, jeżeli lud nie imie się oświaty:

„Miałeś chłopie złoty róg.
Miałeś chłopie czapkę z piór!
Czapkę wicher niesie
Bóg huką po lesie,
Został ci się ino sznur!”

mówi Wyspiański w „Weselu”.

Róg złoty odebrał parobczak polski od Wernyhory, aby zagrawszy na nim, pobudził lud polski i wezwał go do czynu. Jaśko jednak nie dbał o róg złoty i zgubił go, a przeto lud polski nie zerwał się do czynu.

Owóż ten róg złoty, to oświata, która wszystkim nam da moc i rozum do zajęcia w świecie przynależnego nam stanowiska.

Jeżeli zaś nie będziemy dbali o oświatę, nie zdołamy pouczyć się, nie staniemy na czas do czynu, nie zdobędziemy ani poszanowania dla siebie, ani potęgi politycznej. I zostanie nam tylko widma rozpacz tj. ino sznur.

Tak będzie, jeżeli nie posłuchamy wszyscy słów poety Krasickiego:

„Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!”

Msza grecka w Watykanie.

Dnia 12 lutego obchodził cały świat chrześcijański 1500-letnią rocznicę śmierci św. Jana Złotoustego (Chryzostoma).

W Rzymie obchodzono tę rocznicę bardzo uroczystie. Ponieważ św. Jan Chryzostom był Grekiem i należał do Kościoła wschodniego, który z Kościołem łacińskim złączony jest przez Unię, przeto Ojciec św. postanowił dla zaznaczenia jedności Kościoła odprawić mszę św. według obrządku greckiego.

O tej uroczystości kościelnej, która odbyła się w kaplicy beatyfikacyjnej, położonej nad przedsionkiem katedry św. Piotra, pisze naoczny świadek do „Kuryera Poznańskiego”, co następuje:

„Znajdujesz teraz chwileczkę czasu, aby rozpatrzeć się cokolwiek wokoło. W ścianie tylnej stoi tron papieski koloru białego pod purpurowym baldachimem, przy ścianach bocznych zauważasz kilka łóż jeszcze próżnych.

W tym rozlega się głośnie komenda oficera przy wejściu: **Prezentować broń!** Żuawi papiescy stoją jak mur, a pomiędzy nimi posuwają się poważnie ambasadorowie najroźniejszych państw, które mają swe reprezentacje w Watykanie. W mundurach galowych, błyszczących złotem i orderami, lub w uniformie oficerskim przechodzą posłowie ze swymi urzędnikami, aby zabrać miejsce w jednej z łóż, przeznaczonej dla ciała dyplomatycznego. Pierwszeństwo należy oczywiście według starej tradycji posłowi austriackiemu, który jako hrabia węgierski zjawił się dzisiaj w przepysznym futrzanym stroju huzarów węgierskich.



Książę Jerzy

serbski następca tronu, który z powodu swego usposobienia gwałtownego prawia ministrom dużo kłopotu.

Ledwo co wspaniały ten poczet przeciągnął. Już znowu rozlega się głos: **Bacność!** Otóż zjawia brzegiem Tybru. Wszyscy rycerze przybyli w malowniczych swych strojach zakonnych: w czarnych płaszczach z białymi na nich krzyżami. Siadają w łóży prawie obok tronu papieskiego.

Szambelanowie papiescy w bogatym stroju hiszpańskim z czasów Karola V, z łańcuchem złotym, oznaką swej godności, na piersiach, z malowniczymi czapczkami w ręku, ozdobieni błyszczącymi orderami papieskimi chodzą pomiędzy szeregami, to witając przybywających dostojników, to dając ostatnie wskazówki.

Teraz znowu komenda: **Prezentować broń!** się u wejścia świetna delegacja Zakonu Maltańskiego rezydującego tutaj w pięknym zamku nad Nadchodzi kapituła św. Piotra. W długich rzędach ciągną do presbiterium kanonicy w szatach świątecznych, w futrzanych, drogocennych pelerynach i togach zwiniętych na ręku. Za nimi kroczą kanonicy laterańscy w płaszczach fioletowych i białych kołnierzach futrzanych.

Ostatni z nich już zajął swe miejsce przed ołtarzem i teraz śpiew grecki rozlega się przed kaplicą. Rozpoczyna się właściwa procesja.

Naprzód posuwa się złoty krzyż grecki. Za nim następują szeregi duchowieństwa greckiego w coraz to bogatszych szatach. Welon tak zwany epirription, spuszczaający się z wysokiej czarnej czapki na ramiona odznacza wyższych dostojników. Nareszcie nadchodzi bliższa asysta: sześciu metropolitów i biskupów „in pontificalibus” w złotem i srebrem błyszczących ubraniach arcykapłańskich, z lśnjącymi mitrami greckimi na głowie. Wysoko przed wszystkimi widać olbrzymią postać arcybiskupa Szeptyckiego, metropolity lwowskiego. Tuż za nimi idzie poważnym krokiem patriarcha aleksandryjski, Cyryl VIII, głowa wszystkich greków-unitów, w jeszcze większym przepychu i majestacie. Koniec tej dumnej procesji tworzy chór śpiewaków, składający się z alumnów kolegiów rzymskich, a śpiewający ognia pełen hymn grecki, tak zwany eishodos.

Powoli procesja grecka znika w głębi kościoła, wtem grzmi nowa komenda: **Bacność!** Wszyscy prezentować broń! **Ojciec święty!**

Wszyscy w kaplicy powstają, tajemnicza cisza kilka minut panuje w świątyni. Naraz rozlega się wspaniały hymn powitania umyślnie na tę okoliczność w języku greckim przez benedyktyna Geysera, rektora greckiego kolegium, ułożony, rozpoczynający się pięknymi słowy: „Polychronion poiesai”. Procesja papieska nadchodzi.

Naprzód idzie kilku dworzan papieskich w galowych mundurach, za nimi prokuratorowie różnych zakonów i audytorowie rotury rzymskiej. Teraz zbliża się wspaniały orszak kardynałów towarzyszących Ojcu św. Dwóch po dwóch posuwają się ku ołtarzowi krokiem poważnym najwyżsi książęta kościelni. Kapelani we fioletowych sutannach niosą za nimi drogocenny płaszcz purpurowy ozdobiony kosztownymi gronostajami. Przeszło dwadzieścia tych najwyższych dostojników kościelnych minęło ci przed oczyma, a teraz zjawia się, długie, groźne halebardy trzymając do góry, przyboczna gwardya szwajcarska, za nimi w świecącej zbroi la guardia dei nobili, straż szlachecka, a nareszcie w purpurowej lektyce tak zwanej sedia gestatoria, sam Ojciec święty.

Powoli, prawie nieznanie lektyka posuwa się naprzód, niesiona przez dwa szeregi pokojowców w czerwoną liberyę ubranych. W bieluchnym jak śnieg ornacie siedzi na niej Pius X. Drogocenna tiara zdobi skronie jego. Po obu stronach niosą dwaj kapelani ogromne wachlarze ze strusich piór. Papież z lekkim, słodkim uśmiechem na twarzy miłej, chociaż cokolwiek smutnej i głęboko poważnej, błogosławi to w lewo, to w prawo dłonią swą pasterską, a gdzie robi znak krzyża nad ludem, tam wszystko ugina kolana od skromnej zakonniczki aż do pysznych posłów w złotych uniformach, reprezentantów wielkich państw i narodów.

Przypatrywałem się długo tej twarzy cichej o wyrazie tak słodkim i miłym, tak prawdziwie ojcowskim. Nic w niej nie zdradzało, że tam pod tą postacią żyje duch wielki, pełen energii i gienalności, że ta sama dłoń, która teraz łagodnie żegnała narody i światy, rzucić też potrafi z mężną siłą ognistymi piorunami, gdy chodzi o obronę trzody Chrystusowej.

stusowej, że ten miły, biały starzec, to ten sam Pius X, który dopiero co podjął się walki z całym legionami profesorów i mędrców tego świata.

Tymczasem lektyka stanęła przed tronem papieskim. Ojciec św. w towarzystwie dwóch Kardynałów wszedł silnym krokiem po stopniach i zasiadł na białym krześle, wszyscy kardynałowie jeden po drugim przechodzili, aby pocałować go w rękę i w ten sposób złożyć swą obedyencję, ksiądz Qrsini jako asystent tronu papieskiego, zabrał swe miejsce cokolwiek za papieżem i nabożeństwo rozpoczęło się.

Nie chcę tutaj wyliczać wszystkich szczegółów tej wspaniałej mszy św., wszystkich tych procesyi, żegnań dwoma świecznikami, śpiewów, kadzeń. Każdy przecież pojmie, że musiał to być zaiste imponujący obraz, kiedy aż sześciu biskupów w całym przepychu szat oryentalnego obrządku obracało się przy ołtarzu, pominawszy już całą liczną asystę niższych księży i duchownych.

Wszystko oczywiście odbywało się w dzwicznym języku greckim, w tym samym języku, w którym św. Jan Złotousty sam miewał przed 1500 laty wspaniałe swe mowy i homilie. Ojciec św. także śpiewał po grecku oracye i liczne „eirene pasin“ (pokój wszystkim). Posiada głos, chociaż nader miły i miękki, jednakowoż tak silny, że wyraźnie w całej wielkiej świątyni zrozumieć go było można.

Przeszło dwie godziny trwało nabożeństwo. Nareszcie usłyszano ostatnie Kyrie elejson, msza święta skończyła się. Ojciec św. wstał i odśpiewał bendykcję papieską głosem czystym i pięknym, udzielając wszystkim obecnym swego błogosławieństwa i licznych odpustów. Potem udał się znowu na lektykę i opuścił świątynię w uroczystej procesyi, błogosławiąc i miłym uśmiechem żegnając swych wiernych.

Była to chwila prawdziwie uroczysta, gdy Go tak niesiono pomału i lekko, a On, tronuąc wysoko nad głowami naszymi, żegnał i błogosławił, jak duch jakiś święty, już nie należący do tej ziemi, ale modlący się za nią. Każdy czuł, że to już nie człowiek zwyczajny, że to pomazaniec Pański. Było to dla wielu, bardzo wielu chwilą życia najpiękniejszą.

R z y m, w l u t y m.

V e s t e r.



Rybołówstwo w dawnej Polsce

(według Szajnochy).

Porówno z obfitością wód w dawnej Polsce idzie także obfitość ryb. Dzisiejszym gospodyniom, które ryby na targach bardzo drogo opłacać muszą dziwno się wydawać może, że w bezleśnych okolicach dawnej Polski, przy małej jeszcze wówczas uprawie zbóż, w braku wszelkich jarzyn, ryby stanowiły nieomal wyłączne pożywienie ludności.

Rybołówstwo było codziennym trybem życia.

Liczne ładowne wozy z rybami rozchodziły się każdodziennie z nad wybrzeży wielkich jezior, dostarczając całej okolicy obfitego pokarmu. Zamożniejsze strumienie oprócz znanych rodzajów ryb wydawały jeszcze jakieś zapomniane

w dzisiejszej mowie powszedniej: limnie, herzany, ukleje, kleszcze, sielawy i tyle innych. Napływające z morza łososie, jesiotry, czeczugi, przeskakiwały jazy, aby wpaść w matnię. Na wybrzeżach gdańskich poławiano do czasów króla Łokietka śledzie. Toż na wielką stopę widziano „myślistwo rybne”. Szerokie płoty o pozostawionej w pośrodku bramie dla czółen, żelazne haki czyli „grodze”, jazy, przegradzały koryta rzek. Dla wydobycia bogatego połowu z jezior przyprzęgano konie do wiołów.

Zadna pora roku nie była przeszkodą rybakom. Owszem im sroższa zima, tem dłużej, bo od wszystkich ŚŚ. aż do końca marca, trwała ulubiona łówka po lodzie. Osobnej klasie rybaków odpowiadała osobna klasa tkaczy rybackich, włóczków, a przewodniczył u dworu książęcego osobny „mistrz rybołówstwa”. W ich rękę widzimy najrozmaitsze rodzaje broni rybackiej, wło-



Muhamed Ali Mirza

szach perski, który chciałby w Persyi znieść konstytucyę, a zaprowadzić „samodzierżawie” jak w Rosyi. Tylko, że mu się to zapewne nie uda. Ali Mirza ma 35 lat i od roku dopiero siedzi na tronie.

ki, wędki, węgierze, potrestnice, słabnice, wiersze, zabrodnie, niewody, żaki. A ileżto różnych sposobów używania tej broni!

Każdej wsi dziedzic, zastrzegając sobie samemu główny połów dużemi wiołkami i handel rybnym, dozwalał swoim osadnikom pod rozmaitemi warunkami rybołówstwa dla własnego użytku. Tam sołtys na mocy pozwolenia pańskiego w łódce na samym środku jeziora zarzucał węgę, a kmięcie u brzegów brodząc łowili. Owdzie zmyślny „wieśnica”, omijając zakaz łowienia w łódce, płynął na środek jeziora i dawnym słowiańskim obyczajem, leżąc na wodzie, zapuszczał niewód. Czemu zapobiegając, obwarowywano się gdzieindziej wyraźną formułą: „wolno łowić tylko na nogach stojąc” i łączono z tem warunek używania wędki tylko w dnie pewne. Swobodny rybak dorabiał się majątku i pijał za pan brat z starostami. Mnogie wreszcie dzieła o rybołówstwie poświadczają jego ważność w latach dawniejszych.

Ale nietylko dla ryb kwitał wiek złoty. Obok nich rozkoszowały w ówczesnych wodach i bag-

nach roje innych zwierząt, zwierzątek. Takimi były przede wszystkim bobry, których łowy na równi szły z rybołówstwem. Już ich wprawdzie znacznie ubyło. Obecnie nigdzie już niema zamożnych bobrowni, jak te, w których przed dwoma jeszcze wiekami utrzymywano nad Narwią starannie dobrane stada bobrowe, rozpodzielone według rozmaitości kolorów. W XIII zaś wieku były bobrowe gony i żeremie nad Obrą, nad jeziorem Łępnem, nad Wisłą; toć jeszcze w późniejszych czasach napotymano tam ślady mnogości bobrów.

Obok ryb była też wielka mnogość skrzydlatych i nieskrzydlatych owadów i płazów. Kto będąc mieszkańcem okolic suchych, nie ma wyobrażenia o tej pladze stron mokrych, niech o wilgotnym wieczorze przejdzie się ponad wodami bagnistych łąk, a pojmie, jak tłumne roje much, muszek, komarów, litewskich tarakanów, zagęszczały powietrze, gdy cały kraj był moczarem. Nie chronił od nich żaden strój, żadna strzecha. Każda rana stawała się od ich natręctwa dwójnasób niebezpieczną. Oprócz zwyczajnych owadów pojawiały się niekiedy jakieś nowe rodzaje jadowitego robactwa skrzydlatego, przynoszące śmierć ludziom. Od wschodu nadlatywała szarańcza. Nie można było sypiać inaczej, jak tylko pod siatkową osłoną.

Ale zabezpieczenie się od plagi latającej nie zabezpieczało bynajmniej od łażącej. Najpospolitszym utrapieniem bywały żaby. W starodawnej Wiślicy, przybierającej co wiosną kształt wyspy niedostępnej, przeszkadzały one niegdyś swym niezmiernie głośnym żegotaniem tak długo nabożeństwu w kościele, zwłaszcza kazaniom, aż póki zniescierpliwiony kapłan nie zaklął ich jednego razu wiecznym milezieniem. Zresztą nieskończona obfitość jaszczurek, wygasłych już pono płazów giwiońców, wszelkiego domowego robactwa, dręczyła ludność ówczesną. Codzienne łaźnie nie były rzeczą zbyt ku, lecz najsmutniejszej potrzeby.

Do tego barwnego opisu Szajnochy dodać jeszcze należy, że dawni Polacy nie tylko dzikie rybołówstwo prowadzili w rzekach i stawach. Już w XVI wieku istniały w Polsce prawidłowe hodowle i gospodarstwa rybne, co więcej, istniała już nawet literatura, dotycząca tejże gałęzi pracy.

Oto leży przed nami książka, drukowana w Krakowie w r. 1609 już w wydaniu drugim, a napisana przez Stanisława Strojnowskiego dla syna najstarszego Michała. Książkę swoją, zatytułowaną: „Opisanie porządku sławowego”, podzielił Strojnowski na dwie części;

„W pierwszej — jak pisze — będzie: O upatrzeniu wysokości wody w stawie, który budować masz; o najmowaniu stawarzów na robotę, o sypaniu grobli, basztach, tarasach, trąbach, młynach. W drugiej części: O przesuszeniu stawów; o upuszczeniach; sadzawkach, ponikach, narybianiu i dozorcze tego wszystkiego.”

Strojnowski radzi „w przestronnych majątnościach, albo ile komu Bóg dać raczył wodnego gospodarstwa nie zaniechywać z baczeniem jednak, żeby lasu, łąk i pól potrzebnych nie zalewał, gdyż ryby bez chleba niesmaczne bywają”.

Nie trzeba też mniemać, że Strojnowski, jako hodowca ryb, należał do rzadkich w Polsce wyjątków. Sam on mówi o tem, że gospodarstwa rybne poważnie są zaprowadzone i tylko rady

umiejętne podaje, aby z gospodarstw tych był większy pożytek.

„Na Śląsku — pisze — spuszczały stawy zawżdy we dwie lecie, a to dlatego, że mogą mieć piętniki albo stopniki dorosłe do narybienia, będąc na to zdawna sposobieni, tarliska rozmaite i stawków innych mając bardzo wiele, nie tylko panowie, ale i chłopci. I w tamtych krajach największe to jest gospodarstwo: urodzaje słabe mają, handlem się żadnym nie bawią, spustów żadnych nie mają (nie mają co sprzedawać) — w wodzie wszystko brodzą, o stawiech, o wodzie i myślą, i mówią a też rybami jako wydry śmierzają.

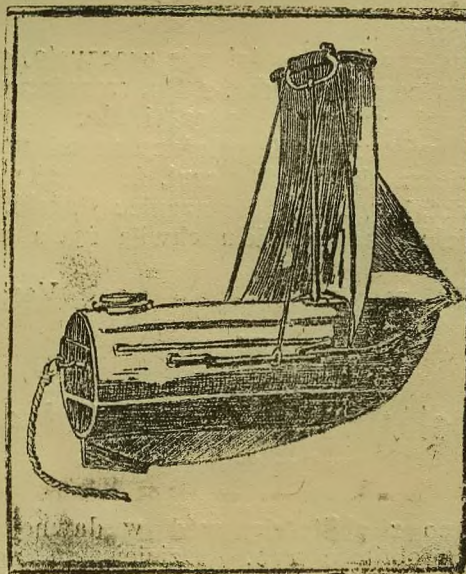
„U nas (Strojnowski zdaje się mieszkał w Sandomierskiem), że to jest nowe gospodarstwo około karpi, jeszcze się ludzie w nie nie sposobili. Ale jednak którykolwiek u nas stawy mają, większy z nich pożytek robią, niż Ślązacy ze swoich. Bo kędy Ślązak wsadzi czterdzieści albo pięćdziesiąt kóp, bezpiecznie u nas mogą wsadzić sto kóp: a to się dzieje dlatego, że tu lepsze grunty.”

Tak i tym podobnie pisze Strojnowski a czytającemu serce rośnie, iż była ta nasza Polska kiedyś nie tylko bogata, ale i zapobiegliwa i gospodarna. Zaisie nie trza nam chodzić po wzory do innych, tylko nam zapatrywać się na przykład przodków naszych.



Nowy przyrząd ratunkowy na morzu.

Jest to cylinder stalowy, wydrażony, opatrzone żaglem. W razie niebezpieczeństwa z okrętu puszcza się ów cylinder na morze a on pędzi ku brzegowi (w czasie burzy wiatr zazwyczaj wieje



od morza ku brzegom.) Przy maszcie utwierdzony jest dzwonek głośny dla zwrócenia uwagi. Jest to więc sposób sygnałowy; dawniej z okrętów wyrzucano w chwilach niebezpieczeństwa butelki lub beczułki z wiadomościami; nowowynaleziony cylinder jest tak zbudowany, że prędzej i pewniej dopływa do brzegu.

POŻĄDANIE WIOSNY.

— Powiedz mi matko, powiedz raz przecie,
Czy zima śnieżny swój całun związa?...
Czy ciepłe tchnienia płyną po świecie,
Z dolin się wznoszą sine opary?...
Czy się twarz słonka w wodach odbija,
Szepeją burzany, szemrzą szuware?...
Jaki tam błękit, mateńko?...

— Szary.

— Powiedz mi matko, powiedz jedyna,
Czy się listkami stroją już drzewa?...
Czy ziemia trawką runieć zaczyna,
Ciepły deszcz pijąc chłodnemi usty?...
Czy barwną szatę już przyodziewa
I kwiaty wpina w zielone chusty?...
Jaki tam świat jest, mateńko?...

— Pusty.

— Powiedz mi matko, czy srebrne dzwonki
Już tajemniczo po lasach dzwonią?...
Czy się zrywają z miedzy skowronki
I lecą w niebo z piosnką otuchy?...
Świegoce ptactwo chociaż nad błonią
I brzęczą muszki, jak polne duchy,
A bór brzmi pieśnią, mateńko?...

— Głuchy.

— Czemże mi serce, matko tak wzbiera,
Że z piersi frunąć chce, niby ptaszę?...
Same się oko na świat otwiera
I choć żrenica pokryta cieniem,
Zda mi się widzieć te łąny nasze
Kwiatów i blasków złane strumieniem —
Czemże drży serce?...

— Wiosny pragnieniem.

— A gdzież ta wiosna w światel powodzi,
W zielonym wianku na białej skroni?...
Czemuż się spóźnia?... czemuż nie schodzi
I z śniegów ziemi raz nie wygrzebie?...
Ja czekam słonca, kwiatów i woni
I snami o niej wciąż łudzę siebie —
Kędyż ta wiosna, mateńko?...

— W niebie.



Panowanie nad sobą.

Panowanie nad sobą jest jedyną
prawdziwą wolnością, jaką wyrobić
dla siebie może jednostka.

Panowanie nad sobą jest to odwaga, tylko
w innej formie. Można je uważać prawie za pod-
stawową część charakteru. Stanowi ono główną
różnicę między ludźmi i zwierzętami i bez niego nie
można sobie wyobrazić prawdziwego człowieka.

Panowanie nad sobą jest źródłem wszystkich
cnót. O ile człowiek potrafi okiełznać swe popędy
i namiętności, o tyle jest wolnym moralnie. W prze-
ciwnym bowiem razie zostanie porwany prądem
życia i spada na stopień niewolnika takiego popędu,
który w danej chwili jest w nim najsilniejszy.

Chcąc być wolnym a zatem wyższym od zwie-
rzęcia, winien człowiek posiadać zdolność opierania
się popędem instynktu — a takową może tylko zdo-
być przez ćwiczenie się w panowaniu nad sobą.

Sila ta tworzy jedyną różnicę między zwierzęciem
a moralnem życiem i jest kardynalną podstawą cha-
rakteru.

Biblia wychwala nie tego silnego męża, który
miasto zdobył, ale tego, który opanował własnego
ducha — co znaczy, że ten jest silniejszym, który
dzięki swej moralności, panuje nad swą myślą, słowem
i uczynkiem. Dziewięć dziesiątych występ-
nych skłonności rozdzierających i, jeśli im się po-
zwala wzrosnąć, szkodzących społeczeństwu, staną
się czemś nic nieznaczącym, jeśli rozwinie się dziel-
na moralność, uwaga na siebie i panowanie nad
sobą. Przez czujne ćwiczenie się w tych cnotach,
czystość serca i duszy stanie się pospolitą — cha-
rakter rozwija się wśród czystości, cnoty i umiar-
kowania.

Najlepszą podporą charakteru jest przyzwyczajenie,
które odpowiednio do tego, jaka nim wola kie-
ruje, staje się dobroczynnym władcą lub okrutnym
tyranem. W pierwszym przypadku jesteśmy najpo-
słuszniejszymi jego poddanymi — w drugim najni-
żej szczytami niewolnikami. Pomaga więc ono nam albo
na drodze dobra lub wypycha nas na gościniec złego.

Przyzwyczajenie powstaje z usilnej staranności.
Jest to rzeczą zadziwiającą, jak wiele można zro-
bić przez systematyczne kształcenie i ćwiczenie.
Spojrzyjcie tylko, co zrobiło ciągle kształcenie i ćwi-
czenie z niekarnych przysmótów odwagi, wytrwa-
łości i poświęcenia, z najniewdzięczniejszej materii,
z dragala włóczącego się po ulicach — patrzcie, jak
tego rodzaju ludzie na polu bitwy lub wobec groź-
niejszych jeszcze niebezpieczeństw na morzu, n. p.
przy pożarze okrętu lub rozbiciu, w skutek dosko-
nałego wyrobienia wojskowego, jak świetne dają
dowody istnie bohaterskiej odwagi. Patrzcie na te-
go chłopka oderwanego od cepów i obory, jak lancą
rozbija groźne masy mameluków pod Piramidami,
jak zdobywa najeżony działami wawóz Samo-Sier-
ra, jak w bohaterskim boju pada na Saint-Domingo
od sztyletu murzynów lub żółtej febry!...

Na wykształcenie charakteru, staranność i ćwi-
czenie mają również znaczny wpływ. Bez tych
dwóch rzeczy, w urzadzeniu sobie życia o trafny
systemie i dobrym porządku niema nawet co my-
śleć. Od nich to zależy wyrobienie się uczucia po-
szanowania samego siebie, skłonność do posłuszeń-
stwa, rozwój idei obowiązku. Człowiek samoistny
i panujący nad sobą ciągle uważa na siebie a im to
pełniej wykonywa, tem piękniejsze będzie moralne
jego postępowanie. Potrafi okiełznać swe popędy
i utrzymać je pod władzą wyższych sił swej orga-
nizacji. Popędy te muszą być posłuszne rozkazom
najwewnętrzniejszej potęgi, bo sumieniowi, albo
inaczej stanie się niewolnikiem swych skłonności,
zahawką swych uczuć, albo przekonań.



NASZA CHWAŁA.

Wiktor Gembulski.

Gdyby kto chciał jednym słowem określić te-
go poeę, nazwałby go pieśniarzem miasta.

Gomulicki bowiem najpiękniejsze swoje wiersze poświęcił tym miejscom, gdzie

nizko mgła się wleczę po ziemi,
gaz połyska w niej oczyma czarnemi.

Urodzony w r. 1851 w Ostrołęce, miejscowości, pamiętnej słynną bitwą w r. 1831 podczas powstania listopadowego, pobierał tam pierwsze nauki, później poszedł na naukę prawa do Warszawy, gdzie też zaczął pisać do gazet i gdzie dołąd przebywa.

Pisze tak powieści jak wiersze. Najwięcej wstawił się jako poeta, malując wierszem rozmaite obrazki z przedmieścia Warszawy, które Starem Miastem się nazywa. Rozkochał się w swoim grodzie, z murów i gruzów krzesał poezję. Lubował się w swym przedmieściu, szukał w niem coraz to nowych szczegółów i szczegółików.



Maluje przytem i pogodne, promienne, szczególne chwile mieszkańców a i nieraz skreśli smutne niespodzianki, których w naszym życiu pełno.

Takim właśnie wiernem opisywaniem życia, jego smutków i radości, jego trudów i udręczeń zyskał sobie Gomulicki uznanie i życzliwość rodaków.

Podajemy tu mały tylko drobiazg Wiktora Gomulickiego, z którego jednak przegląda uczucie, jakie przenika duszę tego poety: wiara w Boga i ukochanie ludzi:

Modlitwa.

Nadmiarem bólu zacięte wargi
Rozwiąż Panie!
Usta, co miecą klątwy i skargi
Ucisż Panie!
Łaknących manny anielskiej cudu
Nakarm Panie!
Trawionych żrącą gorączką trudu
Ochłódź Panie!
Duchom, co w walce słabną i mdleją
Ulżyj Panie!
Tym, co pukają, silni nadzieją
Otwórz Panie!
Których duch krzepki rwie się do boju
Moc daj Panie!
A którym trzeba tylko spokoju
Odpoczywanie!



MAROKKO.

(Opis kraju i ludzi)

Marokko leży na krańcu północno-zachodnim Afryki. Morze Śródziemne na przestrzeni 60-ciu mil (425 kilometrów) stanowi jego granicę północną, ocean Atlantycki na przestrzeni 180 mil zachodnią; od wschodu sąsiaduje z nim posiadłość francuska, Algier, od południa gubi się granica marokańska w piaskach pustyni Sahary. Powierzchnia państwa obliczana jest na 812 300 kilometrów kwadratowych (14 850 mil kwadratowych) a połowa tego zamieszkała jest jednak przez plemiona koczownicze, tylko z imienia od sułtana marokańskiego zależne. Odmawiają mu one podatków i pełnienia służby wojskowej; czasem wysyłane tam tylko bywają oddziały wojskowe, które ściągają daninę z opornych.

Brzegi morza Śródziemnego są strome i pozabawione wszelkiej osłony dla przybijających do lądu okrętów; w cieśninie Gibraltarskiej jest jeden tylko dobry port, Tandżer. Brzegi Atlantyku są wprawdzie niskie, również jednak dla żeglugi niegościnne. Wzdłuż brzegów morza Śródziemnego leży szeroki na 8 do 9 mil kraj górski; niektóre szczyty dochodzą tam do dwóch tysięcy metrów wysokości.

Marokko obfituje w skarby mineralne, wiele zwłaszcza jest tu miedzi i żelaza; wobec jednak wydanego przez rząd zakazu wydobywania minerałów nie przynoszą żadnego pożytku; niektóre tylko plemiona niepodległe, zamieszkujące góry Atlasu, obrabiają rudę żelazną; rząd wydobywał dawniej miedź z jednej kopalni, obecnie porzuconej.

Rzeki w czasie przyboru rozlewają się szeroko; podczas upałów płyną wązkimi strumieniami, a niektóre wysychają nawet zupełnie. Pełne są mierzwi i kamieni, tak że żadna z nich nie jest spławna. Gdy woda przybierze, stają się poważnymi przeszkodami w komunikacji, mosty bowiem są tam prawie nieznane, a nieliczne promy i czółna zwykle w stanie oplakany. Edmund de Amicis, który w r. 1876 towarzyszył poselstwu włoskiemu w podróży do Fezu, stolicy Marokka, tak opisuje przeprawę przez rzekę Sebu, położoną na najruchliwszej drodze w kraju, prowadzącej z Tandżeru do stolicy państwa.

„W tym miejscu rzeka była szeroka na jakie sto metrów i szybko toczyła swe brudno-popielate wody wśród brzegów wysokich, nagich, niemal prostopadłych, które u dołu miały dwa pasy ziemi błotnistej. Dwa jakieś przedpotopowe statki przewożone, z których każdy miał dziesięciu wioślarzy Arabów, zbliżyły się do naszego brzegu. Pomijając to wszystko, cośmy dotychczas widzieli, już te dwa statki same przez się wystarczyłyby zupełnie, aby dać pojęcie o tym, co to jest Marokko. Od czasów niepamiętnych sułtani, paszowie, karawany, poselstwa przebywają rzekę na takich dwóch czółnach, z nogami w wodzie i błocie, czasem podlegając niebezpieczeństwu zatonięcia; a gdy czółna (co zresztą często się zdarza), są podziurawione, wówczas karawany i paszowie i sułtani muszą czekać przez długie nie raz godziny w skwarze słonecznym albo deszczu ulewnym, aż wioślarze statki naprawią, to jest aż zatkają w nich otwory słomą, lub je błotem zalepią. Od niepamiętnych również czasów ko-

nie, muły i wielbłądy, z powodu braku kładki długiej na dwa metry, narażone bywają na połamanie nóg i nieraz rzeczywiście je łamią, skazując z brzegu do czółna, a nikt nigdy nie pomyślał o tym, aby zbudować jakiś pomost, aby przynieść tu chociaż kawał deski, mającej dwa metry długości; na tego zaś, kto ludziom tym wyrzuca brak tych niezbędnych przy przeprawie rzeczy, patrzą oni z wyrazem jakiegoś podziwu, jak gdyby cudu od nich wymagał. W wielu miejscach przez rzeki przepływają się na łodziach z trzciny, wojsko zaś przebywa je zwykle po mostach pływających, utworzonych z worków skórzanych, napełnionych powietrzem, które po wierzchu przykryte są gałęziami i ziemią."

Klimat kraju jest gorący, przy brzegach morskich równy i znośny; w części Marokka, okolnej górą, bywają straszne upały naprzemian z ulewami deszczami. Szczyty Atlasu przez rok cały pokryte są śniegiem. Na południe od gór zaczyna się skwarna i sucha pustynia, gdzie deszcze rzadko bardzo spadają. Stoki gór pokryte są gęstymi lasami; w miejscach niższych rosną palmy, drzewa figowe i inne gatunki afrykańskie; wyżej spotykamy oprócz cedrów nasze dęby, sosny i jodły. Kraj, położony pomiędzy górą, ma charakter stepowy: rosną tu trawy wysokie i twarde. Hodują tu też palmy daktylowe, pomarańcze, cytryny, banany i granaty. Ze zwierząt drapieżnych spotyka się w Marokku lwy i pantery, ale jest ich wogóle niewiele; dosyć dużo jest dzików; w części południowej pojawiają się strusie i antylopy. Jedną z największych plag kraju jest szarańcza. Gdy miliardy tych owadów spadną na jaką okolicę, wyjadają całe zboże, wszelkie trawy, wszystkie liście na drzewach, nieraz na przestrzeni kilku mil kwadratów. Szarańcza leci całymi chmurami, gdy spadnie, pokrywa grubą warstwą wszystko. Ludność jest wobec niej bezsilna. Gniożą ją, palą, większa część jednak zwykle ocaleje. Gdy jej nawet gdzie wiele wymordują, wyziewy, wydobywające się ze stoków zdechłej szarańczy, sprowadzają choroby na okolicę. Jedną tylko siłą może kraj od tej plagi uwolnić, — to wiatr przyjazny, który pędzi szarańczę do morza, gdzie tonie, i skąd przez kilka dni następnych fala wyrzuca całe jej stopy na brzegi.

NIE NA DZIEŃ JEDEN.

Nie na dzień jeden siejesz swoje ziarno,
Ale na jutra czas nieurodzony,
Więc bez wytchnienia kraj tę ziemię czarną
By od twych pługów garbate zagony,
Zagrzmiały pieśnią zbóż złocistych gwarną.
Choć nieraz wichry i susze wygarną
Twym krwawym potem wydobyte plony:
Wytrwała praca twoja nie będzie marną:
Nie na dzień jeden!

Strasznie jest zwalczać moc elementarną.
Lecz siej, pomimo grad i suszę skwarną.
Nie na dzień jeden!

Antoni Lange.



ŚNIEGUŁKA.

Razu jednego anioł unosił się wśród czystego nieba, kołysząc się pośród gwiazd świecących. Na każdej z gwiazd się zatrzymał, zrywając po kwiatku na chybił trafił. I zerwawszy tak po jednym na każdym ze światów zawieszonych wśród przestworza, spuścił się wreszcie, trzymając swój bukiet niebieski, na ziemię i zerwał też tam pewien kwiatek. Poczem wzniósł się napowrót do nieba i zniknął pod kopułą niebieską. Kwiaty ziemskie, które widziały anioła promiennego, nie widząc kwiatka wybranego przezeń, pytały się zazdrosne, który to był ów brat ich szczęśliwy, zerwany i uniesiony przez anioła.

— To kwiat róży — mówiły róże.

— To lilia biała, jak on sam — mówiły wspaniałe lilie.

— Nie, to kwiat pomarańczy z zapachem cudownym — zapewniały pomarańcze.

— Powiadam wam, że mógł to być tylko tulipan — wykrzyknął, prostując się rozkoszny tulipan.

Fiołek nawet, tak skromny zazwyczaj, wzdychał do zaszczytu posiadania brata w niebiosach i utrzymywał łagodnie, że anioł zabrał ze sobą fiołek.

Jedyna tylko śniegułka trzymała się na uboczu milcząca.

Inne kwiaty zapomniały o niej.



Obóz wojskowy w Marokko

Ale oto nagle z wysokości niebios upadła łąza perlista i zabłysła na złamanej lodydze śniegułki.

Anioł się nie zjawił, lecz głos niebiański dał się słyszeć wśród wonnego powietrza, podobny do skargi rzewnej nieskończenie.

— Biedny kwiatku — mówił on — kwiatku prawdziwie skromny, ponieważ złamałem ciebie, możesz prosić o nagrodę; mów czego żadasz?

— Niewiele — odpowiedziała śniegułka.

— Czy chcesz zapachu róży?

— Nie.

— Świetności tulipana?

— Nie.

— Szafiru bławatka?

— Nie.

— Czego więc życzysz sobie?

— Ponieważ podoba ci się ofiarować mi dar, Panie, pozwól, abym się rodził i kwitł w zimie, pod śniegiem i szronem, i aby mój zapach łagodny, moje zjawienie się błogosławione ogrzewało ludzi zakrzepłych i skostniałych od wiatrów i zimy, aby się czuli oni pocieszeni nadzieją bliskiej wiosny i ognistego słońca o promieniach boskich.

Od tego to czasu śniegułki zawsze są pierwszym kwiatkiem, który się do nas uśmiecha po zimie ponurej, biały, jak gdyby nosił jeszcze dotychczas ślady łązy świętej.



BLIŹNI.

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Dalibóg jednak nieźli są ludzie,
Ten cię zakłuje, tamten zastrzeli,
Przez innych znów cię do kozy wzięli,
Czwarty ci głowę dragiem rozwali,
Piąty obleje naftą, podpali,
Szósty powiesi, siódmy — nie srogi,
Połamie tylko ręce i nogi.
Tak, iż choć życie idzie po grudzie
W obecnych czasach, nieźli są ludzie,
Gdyż dzięki bliźnim, pełen ochoty
Opuszczasz tego świata kłopoty.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Dnia 7 marca r. 966: Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Polsce.

Dnia 8 marca r. 1347: Król Kazimierz wielki zwołuje zjazd do Wiślicy celem ułożenia jednolitego prawa dla Polski. Prawo to nazywano „statutem Wiślickim.”

Dnia 10 marca r. 1524: Wielki mistrz krzyżacki Albert ogłasza się księciem pruskim.

Dnia 12 marca r. 1333: Umarł król Władysław Łokietek.

Dnia 17 marca r. 1832: Założono w Paryżu polskie „Towarzystwo Demokratyczne” które za hasło dla swej działalności przyjęło zdanie „wszystko przez lud dla ludu.”

Dnia 19 marca r. 1864: Generał-gubernator wileński Murawiew rozkazał powiesić Konstantego Kalinowskiego, szerzyciela idei narodowej wśród ludu.

Dnia 20 marca r. 1848: Utworzono w Poznaniu komitet narodowy, na którego czele stanął generał Ludwik Mierosławski.

Dnia 23 marca r. 1894: Przybył do Krakowa generał Tadeusz Kościuszko, aby objąć dowództwo nad powstaniem.

Dnia 24 marca r. 1794: Tadeusz Kościuszko składa przysięgę na rynku Krakowskim i ogłasza wojnę przeciwko Moskalom.



Po rozruchach w Portugalii które zakończyły się krwawą katastrofą, przypuszczano ogólnie, że skończyło się panowanie królów na tronie portugalskim. Tymczasem whiew oczekiwaniom, uspokoiło się wszystko i Portugalia ma nadal króla, choć młodego i niedoświadczonego. Podobno stało się to za wpływem króla Edwarda. Politycy śmieją się, mówiąc, że król Edward angielski odgrywa tu rolę żyda z workiem na plecach, który uspokaja dzieciaka, aby nie płakał, a potem kiedy dzieciak najmniejszego się spodziewa, wsadzi go do worka. Ma to znaczyć, że wedle ogólnego mniemania, Portugalia prędzej czy później stanie się kolonią angielską.

Ziemia się budzi...

Serca pojone piorunem
Dusze boleścią zranione
Patrzcie na drzewa zielone
Poopalone piorunem.
Patrzcie na chmury tam w górze
Jaka z nich tęcza wynika
Przejdą pioruny i burze.
Jutro nas słońce powita.

Lucjan Siemieniński.

Gdy pierwszy raz skowronek śpiewem w powietrzu zadzwoni, każdy radosną tę wiadomość drugim oznajmia, każdy z domu wybiega, aby usłyszeć tego rychłego śpiewaka. Zaczyna być na świecie coraz jaśniej, coraz milej, coraz weselej. Cieszą się ludzie po wsiach i miastach, że zabrudzone śniegi na dachach, polach, drogach i ulicach topnieją i długo zakrytą czarną ziemię odsłaniają: cieszą się ryby i rybki w wodzie, że grube lody pękają z szumem odpływając, a z wieżów uwolniona woda znów jasny promień oświeca; cieszą się wróble na dachach, skowronki w powietrzu, kuropatwy i zające na polach, wiewiórki i sarny po lasach, pszczoły w ulach, owady w kryjówkach, że słońce cieplej grzeje, że znikają mrozy, śniegi i lody, że pożywienie łatwiej wszędzie znajdują — wszystko, co żyje, co się rusza, cieszy się, że miła wiosna wraca.

Lecą pliszki z ciepłych krajów, siadają na kamyczkach, nad wodami ogonkami wesoło trzęsąc wiosnę zwiastują. Ciągą z dalekich ciepłych sznury gęsi a pogejują i sznury żorawi a pogwizdują i sznury wrzaskliwych kaczek a pokwakują. A kiedy bocian, nasz miły Wosiu, z ciepłych krain do nas się wybjrze, to za nim jak za swym ojcem rusza się wszelkie ptactwo a spieszy się do nas na miłą wiosnę: lecą czajki, czyżyki, drozdy, kosy, żolny, jaskółki, kukułki, przepiórki, a wszystko się cieszy, wyśpiewuje wykrzykując, że aż gwar w lasach i powietrzu.

W ślad za przyrodą i serce ludzkie drga nowem życiem. Jak ciężki płaszcz z ramion, opadają z duszy naszej smutki, tęsknoty i zwątpienia — wiosna — nadzieja przypina jej białe skrzydła i unosi ponad szare mgły ziemskiego istnienia.

Żadne życie ludzkie nie jest wolne od smutków i rozczarowań.

Lecz nie wolno nam oddawać się rozpaczom. Kto silny wiarą, nadzieją i miłością, ten z największego nieszczęścia powstanie do nowych zapasów z przeciwnościami.

I choć nieraz jeszcze zmrozi nas złość ludzka lub nieszczęściem dotkną nas losy — nic to! Zwycięży w końcu słońce i blaskami zadowolenia rozświetli nam życie.

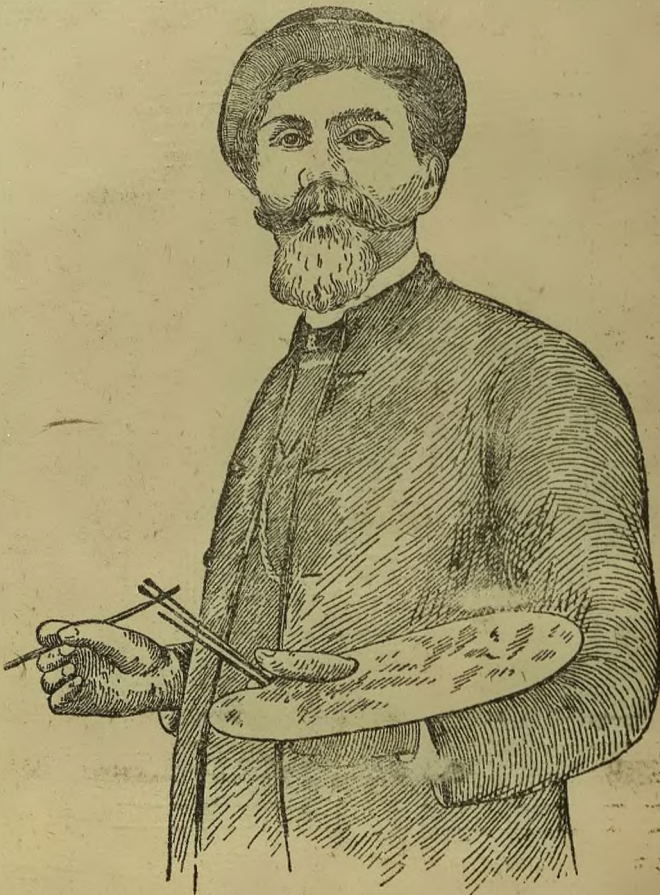
NASZA CHWAŁA.

Walery Eliaz Radzikowski.

Urodził się r. 1840 w Krakowie i tamże kształcił się: najprzód w gimnazjum, potem w szkole malarzkiej. Po ukończeniu szkół wyjechał na studia artystyczne do Francji, Włoch i Niemiec. W r.

1868 osiedlił się na stałe w Krakowie, gdzie był profesorem rysunków w szkołach, a oprócz tego malował obrazy, które rozchodziły się po całej Polsce. Umarł w roku 1905.

Walery Eliaz był prawdziwie narodowym malarzem, gdyż wyłączenie prawie odtwarzał pendzlem dzieje naszego narodu. Niema prawie domu polskiego, gdzieby na ścianie nie wisiały obrazy Eliasza,



jak: „Śmierć hetmana Czarnieckiego“, „Żółkiewski pod Cecorą“, „Sobieska z synami u grobowca Żółkowskiego“, „Bitwa pod Raszynem“ i wiele, wiele innych.

Znał też Walery Eliaz nasze Tatry, jak nikt inny i odtwarzał w obrazach ich piękność. Wydał też książkę ilustrowaną „Przewodnik po Tatrach i Pieninach“, czem wielce się zasłużył dla tych wszystkich, co radzi poznawają piękności kraju naszego.



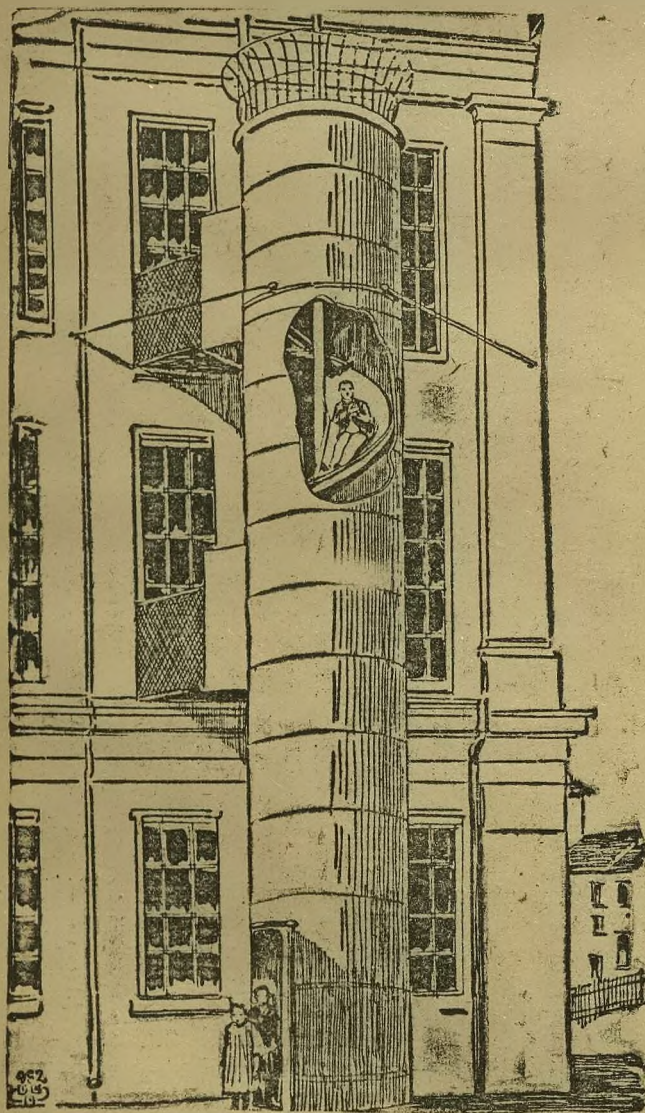
INDYK I LIS.

„Ciężkie czasy“, lis mówił, „mój drogi indorku, Pustki w brzuchu i w głowie a największe w worku“ „No, to u mnie jest lepiej“, rzecze indor z pychą, „Mam dość wieśkie dochody i strawę nie licha“ „Ach, jakiś ty szczęśliwy“, woła lis czempredzej, „Właśnie miałem cię prosić, pożycz mi pieniędzy“, Niech ta bajka posłuży ludziom za naukę: Ogłędni bądźcie w słowach, bo wam utną sztuki.



Urządzenie ratunkowe dla szkół.

Straszne nieszczęście w Ameryce w stanie Ohio w miasteczku Collingwood, gdzie to przy pożarze szkoły zginęło przeszło 150 dzieci, zwróciło uwagę świata na sprawę ratowania dzieci podczas pożaru w szkołach. W niektórych miastach Ameryki już są zaprowadzone urządzenia, uwidocznione na obrazku. Jest to cylinder żelaz-



ny, do którego z każdego piętra szkoły jest wejście. W środku cylindra jest zamiast schodów gładka spadzistość, po której dzieci zjeżdżają, co zapobiega naturalnie stłoczeniu się dzieci. Co tydzień odbywają się ćwiczenia, tak, że w razie wypadku dzieci same już wiedzą, jak użyć zesuwki. Z czasem prawdopodobnie przy wszystkich szkołach zostanie zaprowadzone podobne urządzenie ratunkowe.



MAROKKO.

(Opis kraju i ludzi).

Liczba mieszkańców państwa Marokkańskiego nie jest znana nawet w przybliżeniu. Jedni z po-

dróżnych, kraj ten zwiedzających, oceniają ją na 12 milionów, drudzy na 6½, inni jeszcze na 8. Zdaje się, że ta ostatnia liczba najwięcej jest do prawdy zbliżona. Z tej liczby prawie połowa przypada na pierwotnych mieszkańców kraju, Berberów. Późniejsi przybysze i zdobywcy kraju, Arabowie, spędzili ich z nad brzegów morza Śródziemnego i z żyznych równin północnych. Berberowie cofnęli się w niedostępne góry Atlasu i tam żyją dzicy, burzliwi, nieposkromieni, tylko z imienia od władzy sułtańskiej zależni.

Arabowie, zdobywcy tego kraju, zajmują równiny w północnej części kraju; jest to lud przeważnie pasterski i koczowniczy, wielu z nich zajmuje się też rolnictwem. Odłamem Arabów są Maurowie. Są to potomkowie Arabów, którzy niegdyś zdobyli Hiszpanię, i po przeszło ośmiuset latach pobytu w tym kraju, wypędzeni zostali przez Hiszpanów do Afryki. Mają oni w sobie nieco krwi hiszpańskiej; odznaczają się piękną postawą i szlachetnymi rysami twarzy. Są też inteligentniejsi od pozostałych Arabów, mieszkają głównie po miastach, gdzie są rzędnikami i kupcami.

Murzyni, których tu liczą do pół miliona, są przeważnie wyrobnikami, sługami i żołnierzami; niektórzy z nich, przy sprycie i zdolnościach dochodzą do wysokich godności. Żydów liczy Marokko około 200 tysięcy; są to potomkowie Żydów, wypędzonych w wiekach średnich z Hiszpanii, Portugalii, Francji, Anglii i Holandii. Trudnią się rzemiosłem i drobnym handlem, pogardzani, nienawidzeni i prześladowani, jak może w żadnym innym kraju na świecie. Dzięki jednak przebiegłości, udanej pokorze i żelaznej wytrwałości dochodzą nieraz do znacznego majątku. Europejczyków jest tu zaledwie kilka tysięcy, mieszkają po miastach portowych, głównie w Tandżerze, który też muzułmanie nazywają „grodem, zbeszczeszczonym przez przez chrześcian”.

Miasta marokkańskie w niczym prawie naszych nie przypominają. Ulice są w nich kręte i niesłychanie wąskie, tak że właściwie robią wrażenie korytarzy. Po obu ich stronach ciągną się rzędy białych kwadratowych domów, a właściwie murów, gdzieś w wąskiej drzwi zaopatrzonych, w żadnym bowiem domu okna nie wychodzą na ulicę. Można chodzić godzinami po ulicach nie widząc nic oprócz olśniewającej białości murów, za którymi ukrywa się całe życie muzułmańskie. Prawie wszystkie ulice usłane są gałganami, kośćmi, pieprzem, resztkami gnijących jarzyn i wszelkimi odpadkami; w niektórych miejscach leżą zdechłe psy i koty, w sposób okropny zarażając powietrze. Po ulicach snują się wolno, cicho i poważnie Maurowie w długich białych płaszczach z kapturami lub wysiadają godzinami pod murami domów. Nie widać tu nic życia i gwaru, jaki cechuje miasta europejskie; wozy są nieznane; wszelkie ciężary przewozi się na grzbietach osłów lub mułów. Dziwnie też wyglądają sklepy marokkańskie. Sklep taki jest rodzajem alkowy, na wysokości mniej lub więcej dwóch łokci od ziemi, z jednym tylko otworem w środku od strony ulicy, do którego, jak do okna podchodzi kupujący. Kupiec siedzi w sklepie z podkurczonymi nogami, mając część towarów przed sobą, resztę zaś za sobą na małych półeczkach. I tak nieruchomy, milczący spędza dzień cały, prze-

bierając w palcach paciorki różańca i mrucząc pacierze.

Żydzi mieszkają po miastach w dzielnicach osobnych; według opowiadań podróżników są one jeszcze brudniejsze od muzułmańskich. Po za obrębem tej dzielnicy nie wolno im mieć domów i wogóle własności ziemskiej; do swej dzielnicy powracać muszą przed zachodem słońca. Wolno im nosić obuwie tylko w dzielnicy własnej; po mieście muzułmańskim chodzić muszą boso. Podobnych bezmyślnych i upokarzających zakazów względem Żydów istnieje tu mnóstwo. Istnieje też zakaz opuszczania Marokka, który przykuwa tych nieszczęśliwych do nieżyciowego kraju.

Wśród ciemnej i ospałej, a nadto obdzieranej przez urzędników ludności, nie mógł się rozwinąć przemysł. Wyrabiają tu tylko tkaniny jedwabne i wełniane, dywany, przedmioty ze skóry, naczynia gliniane i broń; wyroby te są dosyć gustowne i niepozbawione oryginalności.

Handel z Europą koncentruje się w ośmiu portach morskich, z których najważniejszy jest Tander; z Afryką środkową w Fezie, skąd głównie wychodzą karawany do Sudanu. Zakaz wywożenia różnych towarów bardzo handel utrudnia. Droga morską przywożą do Marokka towarów za 32 milionów marek, wywożą za 26 milionów. Przywożą głównie bawełnę i tkaniny bawełniane, cukier, herbatę, jedwab, sukno, żelazo i wyroby żelazne, porcelanę, szkło, wino, spirytus, naftę, tytuń; wywożą wełnę, bydło, skóry, owoce i jarzyny, oliwę, kość słoniową i pióra strusie (przywożone z Sudanu). Jedną z przeszkód do rozwoju handlu jest też okropny stan dróg. O przeprawach przez rzeki jużśmy wspominali; zaznaczymy tu jeszcze brak jakichkolwiek wozów — no i brak bezpieczeństwa na drogach, które zmusza kupców do łączenia się w karawany, łatwiej mogące się obronić od opryszków.



ZDANIA I MYŚLI.

Zwycięzcy w pokusach, dam jeść z drzewa żywota, które jest w raju Boga mego.

Objawienie. II. 7.

—o—

Życie bez celu i bez sił, a z żądzą wrzającą w piersiach, jest piekłem już z tej strony grobu.

Zyg. Krasiński.

—o—

Wielka to jest mądrość nie być porywczym w działaniu i nie stać upornie przy własnym rozumieniu.

Tomasz a Kempis.

—o—

Gniewać się, jest rzeczą ludzką, a umieć zapamiętać nad gniewem rzeczą chrześcianina.

Św. Hieronim.

—o—

Największą sztuką jest małą ilością słów wiele wypowiedzieć.

Mowa wasza niech będzie solą mądrości posypana.

Św. Paweł.



Z podróży po Afryce.

Schludny pokój w małym domku kolonisty H. już nie jeden raz zajmowałem. W rogu stoi statuetka Matki Boskiej z Lourdes; ściany wapnem wybielone zdobią rogi antylop i różne trofea myśliwskie, a pod samym sufitem, szerokim szlakiem ciągną się rozpięte skóry ogromnych węzów. Przypomina mi się pierwsza noc spędzona tutaj z najstarszym synem gospodarza, wkrótce po moim przybyciu do Natalu, i komiczny wypadek, który nam się wtedy zdarzył.

Wieczoru tego, układając się na spoczynek i ciekawie rozglądając się po ścianach pokoju, zainteresowany wszystkim, co jeszcze niezwykła nowość dla mnie stanowiło, zacząłem młodego gospodarza wyciągać na opowiadania myśliwskie wypytując go o przyrodę miejscową, o zwierzęta, a zwłaszcza o węże jadowite, których w Natalu mnóstwo.

Słuchać było czego. Zwierzęta duże, ale w gąszczu leśnym trudno ją na strzał dostać. Ogromny 25 stóp długości mierzący boa, zabity został w pobliskiej plantacji manioku. Wszakże boa tu tejszy, choć tak groźny rozmiarami, na ludzi się nie rzuca. Niebezpieczniejszy o wiele czarny luk zielony „Imamba”, którego ukąszenie w parę godzin sprowadza śmierć; gorszy jeszcze płaski wstrętny nad wyraz Puff-adder; ten leniwie w pośrodku ścieżek piaszczystych się rozkłada i nieba cznemu przechodniowi niechybną śmiercią grozi. Ot w tym samym pokoiku H. czytając kiedyś wieczorem, posłyszał nagle za sobą lekki szefest i odwróciwszy się, ujrzał z przerażeniem długiego czarnego węża z najjadowniejszego gatunku, który po poręczy wspinał się na krzesło. Chwila była krytyczna, wszakże nie tracąc przytomności umysłu H. wyrzucił nagłym ruchem krzesło z pod siebie i z wiszącej szczęśliwym trafem w pobliżu strzelby, zabił groźnego gada. Zresztą dnia prawie niema, aby w bliskości domu jakiego gadu szkodliwego nie zgadzono, a na wycieczkach myśliwskich wiele niespodziewanych wypadków i niemiłych spotkań. Na tych i tym podobnych gawędach przesiadaliśmy jeszcze do późnej nocy, aż wreszcie oczy do snu kleić się zaczęły. Gorąco było mimo nocnej pory niezmiernie, szczęściem wybita szyba w oknie, pod którym łóżko moje stało dawała trochę przewiewu i mimo, że moskity dokuczały nielitościwie, znużony podróżą, myśląc jeszcze o zajmujących opowiadaniach mego towarzysza, wkrótce zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem, gdy zbudził mnie nagle lekki szmer od okna, brzęk szkła i równocześnie poczułem, że coś miękkiego i elastycznego spada mi na nogi, a raczej na kryjącą je lekką koldrę. Wyznałem, że ciarki przeszły mnie po skórze, myślę sobie: nie innego tylko wąż. Ciemno, choć oko wykol, księżyc skrył się za chmurę, i w tej ciemności, niepewny, nie zdecydowany co mi czynić wypada, zdaje sobie wszakże doskonale sprawę z tego, że jednej chwili tracić nie można, że coś trzeba przedsięwziąć. Szybkim ruchem zbieram więc koldrę wraz z owym tajemniczym przedmiotem w jedną paczkę i silnie kopnąwszy nogą, wyrzucam daleko na pokój. Równocześnie zeskoczywszy na ziemię jednym sussem przesadam stojące obok łóżko H., budzę go po drodze mocnym szarpnięciem i zapaliwszy stojącą

obok na stole świecy, rozspanego i zdziwionego ciągnę w róg pokoju.

— Co takiego, co się stało? — pyta przecierając oczy.

— Ba, żebym to ja wiedział co! Wiem tylko, że jakieś żywe stworzenie spadło mi przez wybite okno na nogi. Waż, czy nie waż, w każdym razie nie chciało mi się z niem po ciemku bliższej znajomości zawierać. A nuż jaki gad jadowity! Ot patrz pan — i wskazałem w ciemnym rogu pokoju na kłęb kolder pod którym zapamiętałe coś się miotalo.

— Ależ waż oczywiście — rzekł H., zobaczymy w każdym razie.

Tuż obok nas pod ścianą leżało kilka długich zerdzi trzciny cukrowej, tylko co przyniesionych z pola, soczystych i ciężkich. Chwyciłem jedną z nich, i podczas gdy H. z lichtarzem w ręku przyświecał operacji, zacząłem ostrożnie podnosić swoją koldrę, pod którą nie ustawało gwałtowne falowanie miotanie. Szarpnąłem mocniej i z pod uchylonych fałdów zakolysało się coś w gibkich czarnych zwojach. Ogon czy łeb?

— To czarny „imamba”! — woła H., — bij pan, bij pan co sił przez koldrę, zanim się na pokój wydostanie!

Macnąłem zamasyście, aż trzcina zaświszczała w powietrzu, rozległ się ciężki raz, i równocześnie o dziwo, przeraźliwe miauczenie. Rozpaczliwym wysiłkiem wydobył się wreszcie na wierzchu wielki czarny kot i oszalały z bólu i strachu zaczął latać po pokoju, szukając drogi do ucieczki, której dostarczyła mu wreszcie owa wybita szyba w oknie.

A my, waleczni szermierze, jeden ze świecą, drugi z groźną maczugą w ręku, staliśmy długą chwilę naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy i nie mogąc słowa przemówić, aż opanował nami i długo trząsł taki niepohamowany śmiech, że tylko urywaliśmy frazesami wśród niego mogliśmy się odzywać.

— A więc to był ogon! Ano tak, kości ogon tylko. Watpliwość niemożliwa... Gaśmy co prędzej światło i chodźby spać, bo jeśli w domu alarm posłyszają, to cało z tej awantury nie wyjdziemy. Szelma kot, żeby nas tak wziąć na kawał.

Co prawda wołałbym już całe gniazdo czarnych i zielonych imambów spotkać, aniżeli mieć taką przygodę, która mocno sławę naszej odwagi mogła nadwyreżyć, bo przygoda w tajemnicy się nie utrzymała, i przy każdej sposobności wyjeżdżała potem na świat.

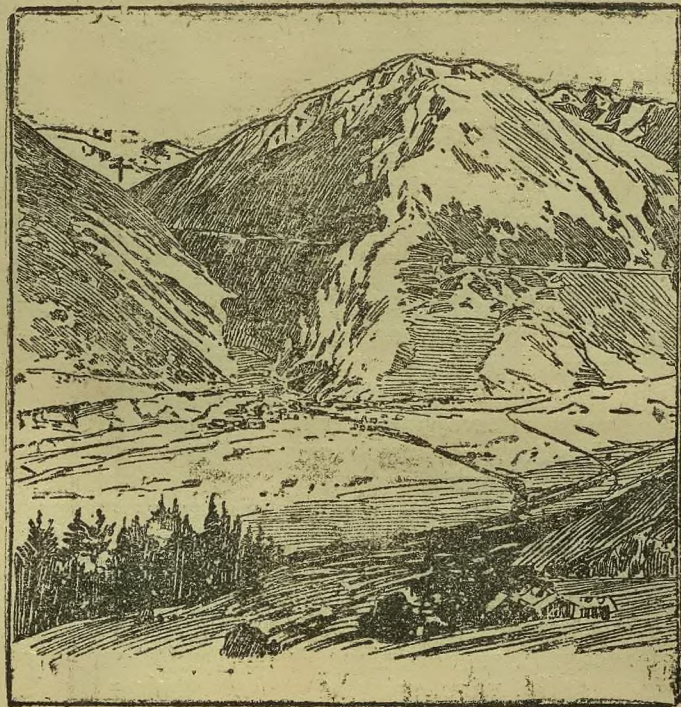


LINOSKOCZEK.

Na cienkiej lince, niepewną nogą,
Skoczek, jak żeglarz steruje...
A idąc chwiejnie bezbrzeżną drogą,
W punkt jeden wciąż się wpatruje...
Życie jest również sztuką tancerzy,
Co w równowadze świat trzyma...
By się nie zachwiać — wciąż mieć należy
Wytknięty cel przed oczyma...

Góra Letsz w Alpach szwajcarskich

gdzie przed kilku dniami spadła ze szczytu góry ogromna lawina śnieżna i zburzyła po drodze dom hotelowy (na obrazku miejsce oznaczone krzyżykiem), jaki tamże zbudowali przedsiębiorcy



francuscy, którzy poprzez górę budują tunel. Lawina spadła tak gwałtownie, że osoby, znajdujące się w hotelu przy obiedzie nie zdążyły uciec. Trzyście osób zostało zabitych, piętnaście jest rannych, inni uszli z życiem.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia przeszłości naszej.

Dnia 25 marca r. 1863: Bitwa z Moskalami pod Krasnobrodem w gubernii lubelskiej. Oddziałem polskim dowodził rzemieślnik Borelowski, zwany Lelewelem, który za męstwo i roztropność w tej potyczce okazane, mianowany został pułkownikiem.

Dnia 25 marca r. 1831: Powstanie polskie, które w listopadzie r. 1830 wybuchło w Warszawie, ogłoszono teraz na Litwie i Żmudzi, na Ukrainie i Podolu.

Dnia 27 marca r. 1818: W Warszawie został otwarty pierwszy sejm Królestwa Polskiego, utworzonego w r. 1815 przez kongres wiedeński. Mowę od tronu wygłosił jako król polski car Aleksander I. Sejm trwał cały miesiąc.

Dnia 29 marca r. 1656: Hetman Czarniecki stacza zwycięską bitwę ze Szwedami pod Warką.



UKRZYŻUJ!

Symeon z Cyreny był bogaty i szanowany. Najbliższe pobrzeże, uprawiane przez niewolników, stanowiło jego własność, dom świecił marmurami i zbytkiem, a okręty jego znały nawet wody gościnnego Euxynu, zwożąc zwierzęta, przeróżne towary i bogate plody starego świata, z których zyski ciągnął ich szczęśliwy posiadacz.

We wspaniałym domu w Cyrenie, mieszkał sam jeden. Ojciec jego jeszcze z maleńkim Szymonem przybył tu przed laty z Jeruzalem, szukając fortuny; powodzenie, którego doznawał, zatrzymało go na zawsze, tak, że i kości złożył na obczyźnie, zdała od swoich i bliskich. Szymon, odziedziczywszy po ojcu znaczny majątek i rozległy handel, także nie myślał o powrocie. Mieszkał tu, dostatki rosły, więc się bawił i zapominał o krainie swych ojców.

Pewnego razu przywieziono mu z krainy żydowskiej bliską krewniaczkę: zwała się Lia.

Niedawno została sierotą; na Symeona, jako na najbliższego i najbogatszego krewnego, spadł obowiązek opieki. Tak chciało prawo u Żydów.

Symeon przyjął ją bardzo gościnnie, dbał o jej wygodę, rozmawiał z nią często. Przypominała mu ona jego miasto rodzinne, którego już tak dawno nie widział — dziecięce jeszcze czasy.

Uroczą Lia miała lat piętnaście, była bardzo piękną i może dlatego Szymon tak dobrze ją przyjmował. Rozmowy ich stawały się coraz dłuższe i częstsze, wreszcie u Symeona przebudziło się serce. Zapomniał, że ma już lat czterdzieści, poczuł się jakimś innym, młodszym; pokochał Lię prawdziwie, głęboko... Nic na przeszkodzie nie stało, wkrótce miały się odbyć gody weselne.

Pewnego dnia Lia poczuła się niezdrową; skarżyła się na ból głowy, dostała gorączki, ale zawsze wesół i szczęśliwy Szymon nie zwrócił na to uwagi. Nawet żartował sobie z tej choroby i ze swej uroczej narzeczonej, ale Lia była wciąż smutną, a wejrzenie jej stało się jakoś dziwnie głębokie; nic nie mówiła, już nie skarżyła się wcale.

Na drugi dzień gorączka się wzmogła, na twarzy pokazały się ceglaste rumieńce — to zaniepokoiło Symeona.

Cyrena słynęła wówczas na świat cały z najsłynniejszych lekarzy; Symeon wezwał Arystobulę, Greka, który uchodził za mędrca. Starzec stawiał się zaraz, popatrzył na Lię, ujął jej rękę, smutnie pokiwał głową, ale leków żadnych nie udzielił, obiecując, że uczyni to dopiero nazajutrz. Ale, nad ranem, dnia następnego Lia umarła....

Był to cios, jakiego Szymon nigdy się nie spodziewał.

Fortuna stała mu się uśmiechała, w ostatnich czasach czuł się szczęśliwszym niż kiedykolwiek, a tu naraz... wszystko się skończyło, przyszło, przecięło na wieki.

Szymon nie chciał wierzyć swojemu nieszczęściu. Lia miałaby umrzeć? Nie, to być niemożliwe, wszak wczoraj z nią jeszcze tak czule, tak słodko rozmawiał, nie, to nie prawda, nie prawda!

Na wieść o śmierci Lii, zbiegli się wszyscy Żydowie z Cyreny. Chciano zaspokoić ciekawość,

spojrzeć w oczy Symeonowi, a zresztą, według zwyczaju, czas było grześć ciało. Ale Symeon ani słyszeć o tem nie chciał. Nie wierzył jeszcze, że umarła, spodziewał się — sam nie wiedział czego, a ze względu na jego znaczenie i bogactwa, nie śmiano mu się zbyt silnie przeciwiać; wzruszano tylko ramionami...

Prze dwa dni Symeon nie przyjmował pokarmu, ani chciał odejść od drogich mu zwłok; twarz mu szerniała, oczy miał wciąż wlepione w tę postać marmurową, pełną spokoju i nadziemskiego majestatu, tak piękną jeszcze, a tak strasznie nieruchomą, martwą, lodowatą. Tak niedawno jeszcze wrzało w niej życie ogniem młodości i wdzięku, a dziś... Od czasu do czasu Symeon zakrywał oczy rękoma i płakał.

Na trzeci dzień pokazały się widoczne ślady rozkładu; Symeon nie mógł się już dłużej opierać i ciało odprowadził do grobu. Ale stamtąd zbrakło mu odwagi powrócić do pustego domu, nie czuł się na siłach, bo od czasu gdy Lia była w nim zamieszkała, ilekroć skąd powracał, radośnie witała go zawsze u progu, a dziś... gdzież ona?... Symeon nie śmiał iść w stronę domu, zawrócił na brzeg morski.

— Panie — rzekł nieśmiało przedniejszy sługa Symeonów, zbliżając się doń powoli. — Panie, oto okręt twój dziś jeszcze odchodzi do Syrii, a niektórzy z twych wiernych chcą na nim jechać do Jeruzalem, gdzie mają obchodzić uroczystość Paschy. Czy nie masz przeto nic do rozkazanja?

Symeon odwrócił się.

— Do Jeruzalem — odparł — wszak to na tym okręcie przybyła do nas moja Lia?

— Powiedziałeś, panie.

— Niech przełożony okrętu baczy, aby mi go nie uszkodził, on mi jest bardzo drogi. Nic więcej, idź sobie.

Sługa pozostał jeszcze chwilę, spojrzawszy ze współczuciem na swego biednego pana i odszedł.

Już był dość daleko, gdy Symeon począł go głośno przywoływać. Widocznie coś sobie przypominał.

— Słuchaj — rzekł do przybyłego — idź i przygotuj wszystko do drogi, a mnie stąd prosto zaprowadzisz na okręt, ja też pojedę do Jeruzalem; tyle lat już tam nie byłem, a wszak to jej miejsce rodzinne... Tu wszystko dla mnie skończone...

Sługa spojrzawszy zdziwiony, ale nie śmiał nic mówić; za chwilę oddalił się spiesźnie.

W kilka godzin później Symeon stał już na pokładzie okrętu. Nad głową miał to samo sklepienie niebieskie i te same wody szumiały u stóp jego; a gdyby go pochłoneły, czyby tam w głębinie mógł znaleźć spokój?

Tak płynęły dni jeden za drugim. A gdy majątkowie dali znać z radością, że widać już ziemię, cel ich długiej podróży, Symeon nie rad był z tego. Chciał płynąć i płynąć, sam nie wiedział dokąd, byle dalej i dłużej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NASZA CHWAŁA.

Narcyza Żmichowska

Urodziła się roku 1819-go w Warszawie i tamże zmarła r. 1876-go. W młodym wieku straciła matkę. Rzuciła ta strata cień smutku na całe życie Narcyzy, z drugiej zaś strony przyczyniła się także do tego, że w charakterze jej wyrobił się hart i samodzielność.

W szkołach uczyła się młoda Narcyza pilnie a po skończeniu siłkół własną pracą uzupełniała swą wiedzę. W ten sposób wyrobiła się na jedną z najczęściej wykształconych kobiet swego czasu.

Zanim Narcyza doszła do wieku dojrzałości, w narodzie naszym powstały dążenia do pracy pod hasłem „przez lud dla ludu“. Młoda Narcyza wespół z innymi kobietami założyła związek „entuzjastek“ i rzeczywiście z entuzjazmem czyli zapałem pracowała na niwie narodowej.



Za tę pracę narodową dostała się do więzienia, w którym przebyła dwa lata. Tam to napisała wiersz zatytułowany „Głos Polki w więzieniu“, w którym wyraża myśl, że Ojczyźnie należy się wszystko, choćby i życie.

Dwuletnie więzienie i doznanie w nim prześladowania nie złamały w niej ducha; choć nieraz widziała upokorzenia i upadki i podłość, choć nieraz spotykała się ze sprzeniewierzeniem się swoim zasadom i przekonaniom — ona szła niezmiennym torem wytrwale i niewzruszenie. Oddana pracy nauczycielskiej, wszczerzyła w młode dusze zasady dobre. Na tym polu runku siejąc zdrowe przekonania wytrwała do końca swego życia.

Kto tak w życiu pracował, kto tak życie swe oddał ojczyźnie, kto hołdował zawsze prawdzie, cnocie, kto wstrzymał się przed każdym złym, niezłomnym, ten w pismach swoich wskazywać mógł tylko dobre drogi. Wskazywała w swych powieściach i wierszach konieczność pracy dla społeczeństwa, wzywała do niej z siłą, mówiąc, że

Kto ma siłę i mądrość, niech idzie wśród ludzi
Leczyć rany głębokie, koić długie troski,
bo ten wśród błota, wśród znoju
nie zmęczy ręki, duszy nie zhrudzi

Z obszerniejszych prac Narcyzy Żmichowskiej najczęściej zasługują na uwagę: Przadki, Biała róża, Dańko z Jawuru, Poganka. Z wierszy, oprócz powyższej wzmiankowanego „Z więzienia“, znane są najczęściej: „Czemu mi smutno“ i „Modlitwa do św. Cecylii“. Mianowicie przez ten ostatni wiersz stało się nazwisko autorki, która dzieła swe podpisywała przybranym mianem „Gabryeli“, znanem i drogiem w pajserszych kołach społeczeństwa naszego.

MAROKKO.

(Opis kraju i ludzi).

(Dokończenie).

Ludność rolnicza mieszka po „duarach“. Są to wioski, a właściwie obozy, niema w nich bowiem ani jednego stałego budynku. Duar taki, według opisu Amicisa, przedstawia się jak następuje: Wieśniacy mieszkają w namiotach, które w każdej chwili mogą zwinąć i przenieść na inne miejsce. Duar składa się z kilkunastu rodzin, które powiązane są zwykle ze sobą pokrewieństwem. Każda rodzina mieszka w namiocie osobnym. Namioty ustawiają w dwa szeregi równoległe; między nimi tworzy się plac, z dwóch stron otwarty. Namioty budowane są z tkaniny, sporządzonej z włókien palm, lub wełny koziej i wielbłądziej; zawieszają się ją na dwóch drągach, połączonych belką poprzeczną. W jesieni i w zimie spuszcza się płachtę do ziemi, aby się pod nią wiatr ani woda dostać nie mogły; latem podnosi się ją wyżej, aby dać przystęp powietrzu. Dzięki temu w namiotach jest latem więcej chłodu, zimą zaś mniej wilgoci, niż w domach po miastach. Przepierzenie z trzeiny dzieli namiot na dwie części; po jednej stronie sypia ojciec i matka, po drugiej dzieci i reszta rodziny. Sprzętów w namiocie jest niewiele: kilka mat z łożyny, które służą za pościel, skrzynia drewniana, pomalowana jaskrawo, na ubranie, dwa kamienie do mielenia zboża, warsztat tkacki, lampa blaszana, kilka garnków glinianych, piecyk z dwóch cegiełek — oto wszystko. Z jednej strony namiotu leży ogródek warzywny, nieco dalej kilka dołów okrągłych, przykrytych kamieniami, w których przechowują zboże. Prawie w każdym duarze znajduje się namiot nauczyciela. Nauczyciel taki dostaje kilka złotych na miesiąc i żywność w naturze. Nauka polega na uczeniu się na pamięć wyjątków z księgi świętej mahometan, Koranu, i pisaniu ich na tablicy, gdy je już dzieci na pamięć umieją. Zresztą większa część dzieci przestaje chodzić do szkoły, zanim się czytać nauczy, aby pomagać rodzicom w pracy na roli. Życie w takich duarach jest bardzo proste i jednostajne. O świcie wszyscy wstają, odmawiają pacierze, doją krowy, robią masło i piją maślanekę. Potem mężczyźni idą w pole pracować i wracają dopiero nad wieczorem. Niewiasty noszą wodę i zbierają drzewo na opał; mielą zboże, tkają, kręcą powrozy do namiotów i gotują. O zachodzie słońca spać się kładą; czasem tylko po wieczery starzec jakiś opowiada bajkę lub przygodę prawdziwą z przeszłości. Ubiór tak mężczyźni jak i niewiast składa się z koszuli, płaszcza i grubej zasłony. Płaszcz i zasłonę piorą tylko kilka razy do roku, przed uroczystymi świętami. O czystości ciała dba-

ja nieco więcej, gdyż przepisy religijne surowo im nakazują obmywać się kilka razy dziennie.

Nędza cechuje prawie wszystkich mieszkańców duaru. Żyją ze szczupłych plonów ziemi żyznej, ale źle uprawianej; znaczną część ich skromnych dochodów pochłaniają uciążliwe podatki, daniny i podarki przymusowe. Oprócz tego każdy, który ma choć trochę pieniędzy, wzbudza chciwość w gubernatorach, których zdzierstwo, nie osłonięte żadnymi nawet pozorami, jest po prostu bezczelnym gwałtem, dokonywanym na bezbronnych i słabych. Kto nieco grosza uciulał, zakupuje go w ziemi, wydaje ostrożnie, w tajemnicy, udając głód i nędzę.

Obyczaje plemion koczowniczych, gnieźdzących się w kryjówkach Atlasu, lub włóczących się po pustyni, są mniej znane. Oprócz pasterstwa i myśliwstwa zajmują się głównie rabunkiem i kradzieżą.

Rząd, który nad temi różnorodnymi żywiołami panuje, jest despotyczny, dziki i barbarzyński. Sułtan, który nosi też tytuł Emir-el-Mumenin (książę wiernych), jest panem nieograniczonym życia i śmierci swych poddanych. Najwyższym dostojnikiem państwa jest wielki wezyr, dalej idąc zarządzający wydziałami spraw zagranicznych, wojny i skarbu. W Tandżerze, gdzie przebywają przedstawiciele państw europejskich, rezyduje agent dyplomatyczny marokański. Państwo podzielone jest na 44 prowincje, na czele których stoją prawie niepodlegli gubernatorowie i zarazem naczelnicy siły zbrojnej, zwykle żdzierycy i okrutnicy. Najwyższy sędzia (kadi-el-dżemma), mianowany przez sułtana, rezyduje w Fezie; mianuje on 20 sędziów (kadi) po prowincjach. Jedyną księgą praw jest Koran; świadectwa żydów i chrześcijan przeciwko muzułmanom nie są ważne.

Dzieje Marokka w ciągu ostatnich kilkuset lat przedstawiają jedno pasmo wybryków i barbarzyństw sułtańskich, krwawych powstań uciemiężonej ludności, w jeszcze krwawszy sposób tłumionych. A przecież kraj ten posiada kilka jaśniejszych kart w przeszłości, o których świadczą pozostałe ruiny i krążące wśród ludności wspomnienia.

Jak i cała Afryka północno-zachodnia, Marokko należało do Kartaginy, a później do Rzymu. W wieku V po Chrystusie panowało tu plemię germańskie Wandalów. W wieku VII zdobyli je Arabowie. W pierwszych wiekach ich panowania, jak i w innych krajach muzułmańskich, zakwitła tu nauka, sztuka i literatura. Fez był w wieku XII miastem ogromnem. Liczył trzydzieści przedmiesi, 800 meczetów (świątyń muzułmańskich), 90 tysięcy domów, 10 tysięcy sklepów, obszernie szpitale, łaźnie wspaniałe, wielki księgozbiór, zawierający mnóstwo rzadkich rękopisów greckich i łacińskich, słynne szkoły filozofii, fizyki i astronomii; ludność miasta liczone wtedy na pół miliona. Dziś ruiny z tego tylko zostały.

Marokko dzieli losy wszystkich państw muzułmańskich. Po stosunkowo krótkim okresie rozkwitu nastąpiły w nim długie lata zastoju, za którymi idzie rozkład i upadek. W charakterze ludów muzułmańskich cechą wybitną są nagłe porwy energii i brak wytrwałości, niezdolność do mniejszych lecz trwałych wysiłków. Niewiele lat na to było potrzeba, aby półksiężyc zapanował nad całą Azją wschodnią, północną Afryką, półwyspami Bałkańskim i Pirenejskim w Europie. Dziś, jakże zmalały jego zasiadłości! Z krajów afrykańskich Egipt jest w ręką Anglików, Algier i Tunis do Francji należy; wolne zostało jedno Marokko. Ale i jego dni są policzone. Przeciwdzień trudno, jaki przyniesie obrót obecna akcja mocarstw w sprawie marokańskiej — może odwlecze się na lat kilkanaście utrata samodzielnosci Marokka, koniec jednak tej sprawy jest wiadomy: apatyczny i skostniały muzułmanin ustąpić będzie musiał przedsięwzięciu i energicznemu Europejczykowi.

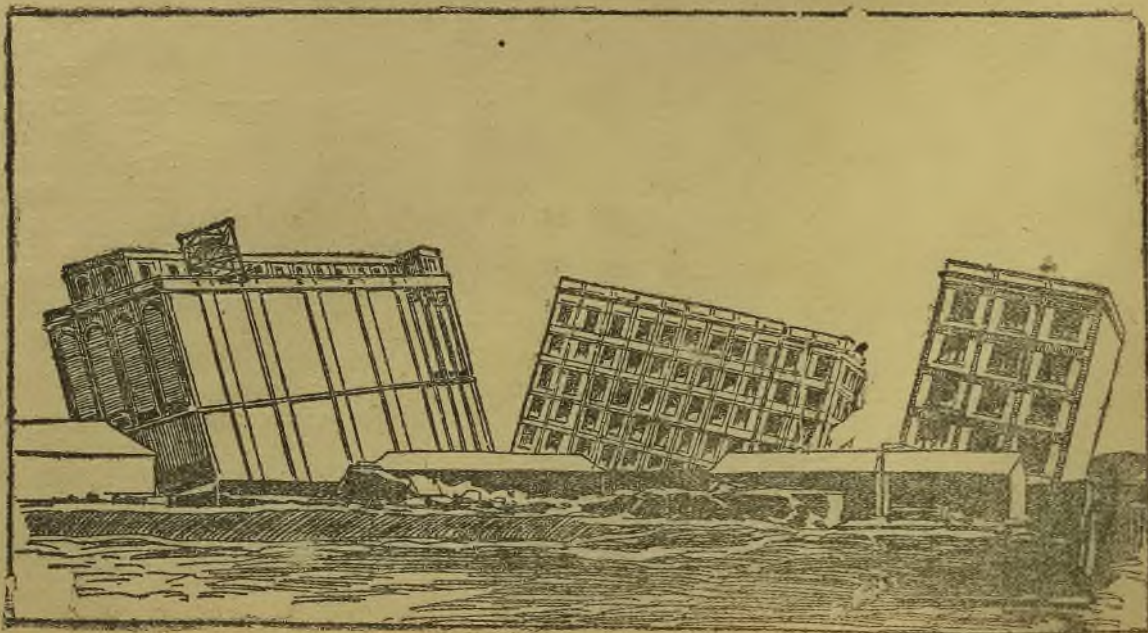


Smutno mi, smutno — do dziś jako cnotę,
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną.
A chyba w Sadu godzinę okrutną,
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną:
Bo ludziom mówić nie w dno.

L. Arcyza Żmichowska

Skutki trzęsienia ziemi.

Przed półrokiem mniej więcej było trzęsienie ziemi w Tunisie, położonem w północnej Afryce. Wtedy to kilka domów (znajdowały się w nich fabryki tytoniu) wykrzywiły się jak tu widzimy na obrazku. Naturalnie opróżniono je natychmiast, gdyż zdawało się, że domy lada chwila runą. Tymczasem minęło pół roku, a domy stoją i może dopiero następne trzęsienie ziemi zwali je w gruzy.



Lesistość w dawnej Polsce.

(Według Szajnochy.)

Tak jak Śląsk, Wielkopolska, dzisiejsze Prusy Wschodnie i Zachodnie, oraz Pomorze wielką miały obfitość wód rozmaitych, tak znów Małopolska (Ziemie Krakowskie i Sandomierskie) i Mazowsze szumiały lasami.

Ale nie były to lasy dzisiejsze, przetrzebione i poprzecinane lub sadzone pod rząd; były to niezniemne puszcze, dziewicze, pierwotne, zawierające rzadkie nadzwyczaj, kosztowne rodzaje olbrzymich drzew.

Odzież dziś one starodawne lasy modrzewiowe, cisowe, gdzież ogromnie bory lipowe! Nad dolną Wisłą zieleńiały niegdyś drzewa i rośliny, „których dziś wcale nie masz“. Dalej ku wschodowi podziwiano ruiny odwiecznych pni „których rodzaju już wówczas nikt oznaczyć nie umiał“. Bory nad Bugiem zdumiewały zagadkowymi skamieniałościami drzewnemi. Do powszednich rzeczy należało wyćięcie dębów, „którym chyba po półtysiącu i więcej lat mogły wyrósć następcy“.

Takie zwyczajne drzewa miały potworną objętość i rozłożystość. O ich ogromie może najlepiej przekonać cena materiału budowniczego, uzyskiwanego z drzew pojedynczych. W wiekach kiedy czasem wieś całą kupowano „za dwa woły, za sześć łokci sukna brunatnego i za kilka skórek lisich“ albo „za dwadzieścia grzywien srebra i za dwie suknie“ bywały dęby, których wartość na sto grzywien ceniono. W ich wnętrzu wykruszonem mógł nieraz jeździec czynić wygodnie obroty konne. Za swoich młodszych czasów dźwigały one niekiedy całe baszty z rycerstwem, zbudowane wpośród konarów. Krzyżacki kasztel Vogelsang był właśnie taką twierdzą w ramionach dębu. W zamorskim handlu drzewem zdarzało się, iż przy zatamowanej żegludze bałtyckiej nieprzejrzane składy materiału budowniczego, rozciągające się na przestrzeń „całej mili“, próchniały wzdłuż wybrzeży Motławy. W sprzedaży rozróżniano starannie drzewa „wielkiej ważności a drogiego myta“ od pośledniejszych. Ścisłejsze w ogólności pożyte z naturą leśną, wśród gęstych dokoła lasów, uczyło gatunkować umiejętnie roślinność leśną. „Las“ oznaczał mieszaninę drzew rozmaitych, rozpościerającą się po większej części na gruntach mokrych. Znajdowały się tam pospołu „dęby, jaskony, wiąz, buki, sosny — gęsto napotykanne topole — i wszelkie zresztą rodzaje“. „Czarnym lasem“ czyli borem nazywał się las szpilkowy. „Dąbrowa“ zwano lasy dębowe. Pomniejsza puszcza zwała się „smugiem“. Właściwa „puszcza“ zawierała zwyczajnie bacie. Las „opieczysko“ zwany miał piec smoly i potażu, ważnych przedmiotów handlu.

Wedle gatunków rosnących w nim drzew, otrzymywał każdy las swoją osobną nazwę. Tu szumiał Świerklenieć, ówdzie Smoleń, tam Gorzechowo. Pomiedzy młodszy porostem trupieziały gdzieśgdzie sędziwe „Starce“ pomne może przechodu pierwszych ludów z Azji do Europy. Nazwy wielu dzisiejszych zamków i osad jak np. Tęczyna, były pierwotnie nazwami lasów.

Każde też znamienitsze drzewo słynęło osobnym mianem. Za czasów Łokietka i Jagiełły od dawano drzewom granicznym, napiętnowanym zwyczajnie tak zwanymi „ciosami“ czyli znakami krzyża św., głęboką cześć. Kto ich nie uszanował, kto je sfałszował, ten na nich obieszon bywał. Jak Wielkopolska swoimi jeziorami, tak Małopolska szczyliła się drzewami uświęconymi historią lub obyczajem. W Szczepanowie pod Tarnowem czczone dąb starożytny pod którym miał się narodzić św. Stanisław. Na gruncie krakowskiej wsi Ujazdu wznosił się więc odwieczny, piętnastu łokci obwodu, ulubieniec tego świętego lubownika drzew dzikich. Śród niepołomickiej puszczy pokazywano siwe dęby, pod którymi jakiś król polski, zapewne Kazimierz W., sądy odprawiał. U stóp Bieskidu w Dąbrownicy, wznosił się podziwu godny dąb, ojciec trzech z pomiędzy korzeni wytryskających źródeł Dniestru, Sanu i Tysy. A jak jeziora wielkopolskie w ryby, tak lasy małopolskie, pominawszy już inne pożytki leśne, obfitowały w wszelkiego kształtu owoce. Obok żołądki i pożywnych w czasie niedostatku jemiół, kwitnęły lasy bukwia, dzikimi jabłkami, osobliwie zaś najróżnorodniejszym mnóstwem smacznych orzechów. Te ostatnie były dziwnie, przez wszystkich ulubiona, zapewne rozmaicie przyprawiana łakocia. Toć wiadomo, że Kazimierz W. umarł z nieumiarkowanego użycia orzechów.

ZDANIA I MYŚLI.

„Z jakąż to skrzętnością żwawa,
Pilnujemy niełaskawi,
Cudzych grzechów i bezprawii!
Lecz chłoszcząc w lewo i w prawo,
Czekamy z własną poprawą,
Aż świat się cały poprawi“.

„Nie każdy może być mężnym i uczonym, lecz każdy może być uczciwym. Marek Aureliusz.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia przeszłości naszej.

30-go marca 1675: Otwarto sejm elekcyjny w Warszawie, na którym obrany został królem polskim hetman Jan Sobieski.

31-go marca 1683: Król Jan III zawiera przymierze z Austrią przeciw Turkom. Stosownie do tego przymierza pociągnął w wrześniu tegoż roku na odsiecz Wiednia.

31-go marca 1831: Bitwa z Moskalami na polach wsi Wawra pod Warszawą. Wojskiem polskim dowodził generał Rybiński.

31-go marca 1837: W Omsku na Syberii odbyła się straszna egzekucja nad skazanymi za spisek zesańcami. Sześciu spiskowych, pomiędzy nimi ks. Sierociński skazani zostali na 7000 pałek, a jeśli by je przetrzymali na dożywotnie potem katorgi w kopalniach Nereczyńska.

UKRZYŻUJ!

(Ciąg dalszy).

W Jeruzalem Symeon był zupełnie obcy. Nie znał tam prawie nikogo. Przyjacielski stosunek łączył go tylko z jednym Nikodemem, bogatym żydem i członkiem Sanhendrinu. Daleki to krewny Symeona, odwiedzał go niegdyś w Cyrenie, więc naprzód do niego zwrócił swoje kroki.

Zbolałego przyjął Nikodem z otwartymi rękoma. Zaczę człowiek pocieszał go i, jak mógł, uspokajał. Biegły w Zakonie zalecał mu poddanie się woli Bożej i rezygnację, przypominał życie przyszłe, szczęśliwe, bez troski i bólu, które wszyscy razem pędzić będziemy u stóp Wielkiego Jehowy.

Symeon słuchał i słuchał. Potrzebne mu to było, jemu, nawskroś przesiąknięmu pogańską, płytką filozofią.

Z kolei uczynił Nikodem ważne wyznanie. Oświadczył zdumionemu Symeonowi, iż wierzy mocno, jako tu w Jeruzalem stanął zapowiadany przez proroków Messyas i wkrótce zacznie się Królestwo Izraela, któremu nie będzie końca. Całe miasto mówiło tylko o Chrystusie, ile że świeżo w pobliskiej Betanii stał się cud niesłychany. Oto umarł człowiek niektóry, imieniem Łazarz, po ciężkiej i nieublaganej chorobie. Ciało złożono do grobu i już poczęło cuchnąć, gdy zbolełe siostry nieboszczyka, czwartego dnia od śmierci, nawiedził Chrystus.

— Panie, gdybyś tu był, nie umarłby brat mój — rzekła jedna z nich Marta.

Jezus zapłakał, bo kochał Łazarza i jednym słowem wobec liczego tłumu, który za Nim ciągnął, wyprowadził umarłego z grobu, wyrwał śmierci i zdrowego oddał uradowanym bezgranicznie siostrom.

Symeon słuchał z wielką uwagą.

— Jest to cud niesłychany — ciągnął dalej Nikodem. — Nie uczynił podobnego żaden z największych proroków — Elias, ani Elizeusz, bo ciało było już nadpsute. A cud ten poprzedzony został bezpośrednio przez inny: uzdrowienie ślepego od urodzenia. Nic też dziwnego, że zagotowało się w Jeruzalem.

Gdy lud jest w zachwycie i głośno nazywa Chrystusa Messyasem i Królem, nauczyciele i doktorowie zakonnicy są źli i niespokojni, a arcykapłan Kaifasz już dał nawet radę, aby pojmać i zabić Jezusa. Atoli ta nikczemna rada nie może się udać, bo Chrystus już nieraz zniknął z przed oczu prześladowców. Wątpić nie wolno: Królestwo Izraela jest bliskie.

Tak mówił Nikodem.

Ale Symeon już nie słuchał; jego pochłaniała myśl jedna: jeżeli Chrystus ożywił Łazarza, możeby i słodką Lię mu oddał?... Może dlatego ku Jeruzalem zwrócił jego kroki Przedwieczny?... Oczekiwał, na policzkach pokazały się wypieki; po pewnym wahaniu zwierzył się ze swych myśli Nikodemowi.

Ten popatrzył na niego z wielką litością.

— O gdyby chciał! gdyby chciał! gdyby mi ją oddał! — jęczał Symeon.

— Ha, — rzekł Nikodem, — Bóg jest Wszechmocny, a niemasz dla Niego rzeczy niepodobnej. Wszak Chrystus nie jednego tylko wskrzesił Łazarza; tknięty boleścią wdowy, przywrócił do życia młodzieńca z Naim, a Jairowi dziewczkę...

Twarz Symeona pałała.

— Nikodemie! — zawołał — zaklinam cię na Boga, pomóż mi, ja ją tak bardzo, tak bardzo kochałem... Ale ta odległość do Cyreny! Nie jestem godzien do nóg Panu upaść, a jakże się ośmielię błagać, aby dla mnie cud tak wielki powtórzyć zechciał?...

Nikodem słuchał w milczeniu.

— Symeonie, — rzekł po chwili, — czy wierzysz, że Chrystus jest przyobiecany Messyasem, synem Boga żywego?...

— Wierzę.

— A więc jeżeli jest Bogiem wcielonym, zatem jest wszechmocnym. I może ci oddać twoją Lię jednym słowem, mocą Bożą...

Oczy Symeona nabrały dziwnego wyrazu; był szczęśliwy, bo sercem jego oświeciła nadzieja. Już widział koło siebie powiewną postać swej Li...

— Nikodemie, — rzekł — choć późno, prowadź mnie do Pana, prowadź co rychlej...

Wtem drzwi skrzypnęły, a na progu ukazał się sługa Nikodemów.

— Panie, — rzekł — stał się ważny wypadek. Przed godziną pojmano Jezusa, którego zwa Chrystusem, wówczas, gdy się modlił w Ogrójcu Oliwnym. Żołnierze rzymscy i pachołkowie zaprowadzili Go w więzach na dwór arcykapłana. Powiadają, iż wydał Go jeden z uczniów Jego, a starsi mają Go sądzić jeszcze tej nocy z obawy rozruchów między ludem.

Nikodem zaniemiał. Stał nieruchomy, wiadomości tej nigdy się nie spodziewał i to w takiej chwili... Ochłoniawszy nieco rzekł:

— Sądzić w nocy? Wszak Zakon nie pozwala.

Nikodem był członkiem najwyższego sądu, postanowił udać się tam natychmiast.

— Symeonie, — rzekł, — chcesz? Pójdziemy.

Nieśmiało spojrzał na niego. Symeon był śmiertelnie blady.

Dom Nikodema znajdował się niedaleko od dworu arcykapłana. Był to obszerny budynek o dwóch skrzydłach, przedzielonych przestronnym dziedzińcem. Z jednej strony mieszkał Kaifasz, który był najwyższym kapłanem roku onego, druga zajmował teść jego, starzec Annasz. Obaj chcieli gorąco zgubić Jezusa, a Kaifasz pierwszy doradzał to Żydom. Nie wierzyli oni w boskie posłannictwo Jezusa, bo nie wierzyli w Boga.

Nikodem wraz z Symeonem szybko przeszli dziedziniec, a służba, stojąca na warcie, oznajmiła im, że sąd już się rozpoczął. Pośpiesznie weszli do wnętrza.

Na końcu sali, na wzniesieniu, siedzieli Annasz z Kaifaszem. Pod ścianami, na poduszkach, spoczywali członkowie Wielkiego Sądu, Faryzeusze i Doktorowie Zakonnicy; na dwóch krańcach pisarze sądowi: jeden po lewej stronie spisywał z pośpiechem oskarżenia i świadectwa, składane przeciw Jezusowi; drugi, po prawej, który miał notować, co na Jego korzyść służyć mogło, złożył pióro, siedział i słuchał, nie miał nic do zapisania. Dalej

gromada fałszywych świadków i oskarżycieli, z mianami opojów i lotrów, których przecie ciekawie wypytywano.

W środku sali stał Chrystus.

Symeon gorączkowo szukał Jego boskiego oblicza. Gdy spojrzał, oczu oderwać nie mógł, patrzył i patrzył — w tej chwili zapomniał o Lii.

Tymczasem Sąd się odbywał. Ale świadectwa nie były zgodne, szukano innych. Sędziowie zaczęli się niecierpliwić, dał się czuć pewien niepokój. Chrystus milczał.

Nakoniec przyszli dwaj fałszywi świadkowie i rzekli:

— Ten mówił: mogę zepsować Kościół Boży a po trzech dniach znów go zbudować.

Lecz Jezus milczał.

Wówczas Kaifasz, powstawszy, zapytał:

— Poprzysięgam Cię, przez Boga żywego, abyś nam powiedział, jeśliś Ty jest Chrystus, Syn Boży?

Rzekł mu Jezus:

— Jam jest, i ujrzycie Syna człowieczego, siedzącego na prawicy mocy Bożej i przychodzącego w obłokach niebieskich.

Teraz z kolei sędziowie zamilkli.

Świadkowie już wszyscy byli przesłuchani, czas upływał, a sprawa się nie posunęła, bo choć kłamali, na mocy ich zeznań wyroku potępiającego niepodobna było wydać. Kaifasz zrozumiał to, chciał jednak koniecznie postawić na swoim. Trzeba więc było zrećznie odegrać komedię.

Tedy Kaifasz, powstawszy rozdarł swe szaty, co według zwyczaju żydowskiego, oznaczało smutek i rzekł:

— Zbluźnił, czyż dalej potrzebujemy świadków? Co się wam zda?

A sąd odpowiedział w myśl jego:

— Winien jest śmierci!

Na twarzy Annasza i niektórych sędziów malowała się dzika radość. Nikodem zakrył twarz rękoma i milczał; Symeon był bardzo niespokojny.

Pomimo życia wyuzdanego wśród zbytków i rozkoszy, Symeon zachował naturę nad wyraz wrażliwą i poczucie sprawiedliwości. To, co w jego oczach rozegrało się przed chwilą, wzruszyło go do głębi. Jakto, Chrystus, który wyraźnie powiedział, że jest Mesyaszem, który, na potwierdzenie słów swoich, uczynił tyle uderzających cudów, za to jedno zostaje skazany na śmierć i to przez Sąd Kapłanów i starszych? Jakiem prawem i w imię czego? Więc Izrael na to oczekiwał i pragnął lat tyle przyobiecanego Odkupiciela? (C. d. n.)



Ojcie nasz!

Ojcie nasz, który królujesz na niebie,
Stęsknione dzieci przygarnij do Siebie.
Święć się Twe Imię zawsze między nami,
Bądź wola Twoja w niebie i na ziemi,
A miłość niechaj złączy je w pokorze,
I świat przetworzy na królestwo Boże.
Chleba naszego bogaci i biedni
Niechaj nie łakną na pokarm powszedni,
Daj im go dzisiaj, Ojcie nasz w niebiosach,
W postaci Hostyi i w obfitych kłosach.
A odpuść winy, jako i my Panie
Dla wrogów znajdziem w sercu pobłażanie,
Jeno nas nie wódz nigdy w pokuszenie,
Ale od złego daj moc i zbawienie.



Sposoby przenoszenia się z miejsca na miejsce

(komunikacyjne) poczynawszy od lektyki, niesionej przez ludzi i wozu o drewnianych kołach, ciągnionego przez woły aż do najnowszych kolei żelaznych, motorów elektrycznych, kołowozów i samochodów.

Złote myśli,

Ludzki umysł jest jak rola, która ciągle coś rodzić musi; ale żeby wydawał użyteczne plony, potrzeba go zasiewać ziarnem nauki, a użyźniać uczciwymi zasadami i niebieską rosą religii; inaczej rodzi on będzie tylko nieużytecznie lub szkodliwe chwasty. U głupca podobny on jest do płaszczystej wydmy, na której nic nie rośnie, a każdy wiatr inne jej kształty nadaje.

Przyjaciela, którego się w ciągu całego życia pozyskuje, nie należy w jednej chwili obrażać, postradać.



Łowiectwo w dawnej Polsce.

(Według Szajnochy.)

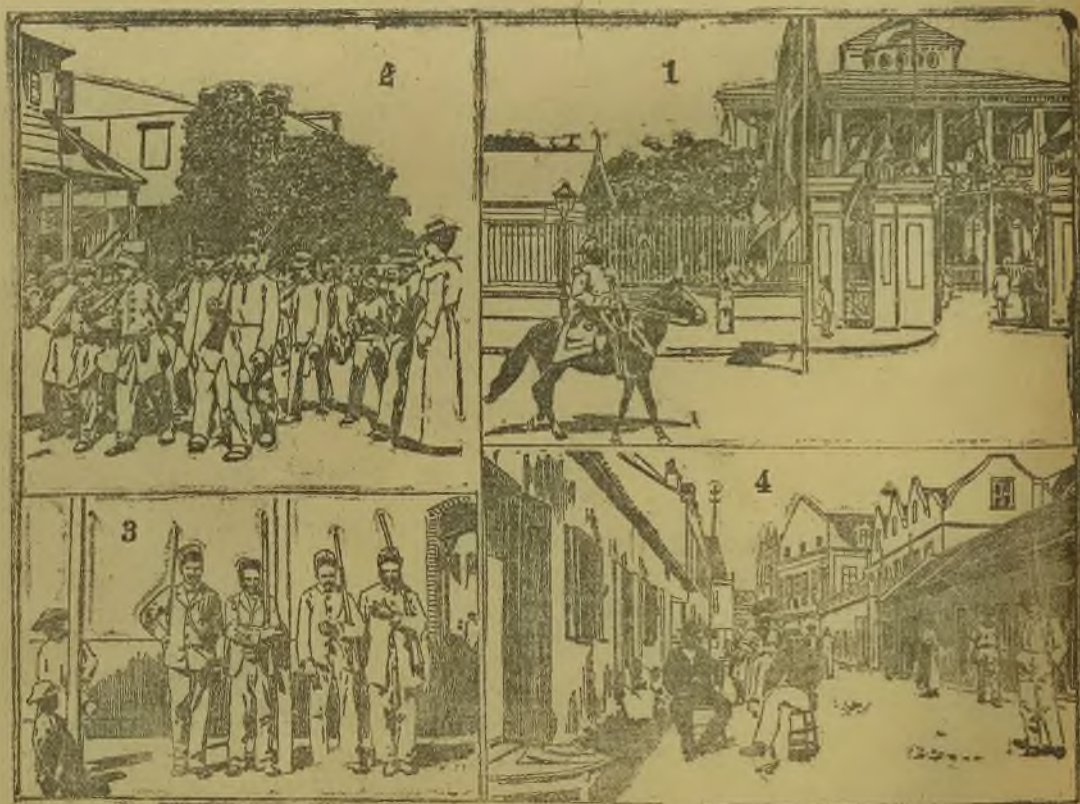
Bory i lasy, w jakie obfitowała kraina polska, toć to ojczyzna dzikiego zwierza. Nie było mu też liczby w puszczach ówczesnych. W cieniu wygasających rodzi drzew przechadzały się wygasłe albo dogasające dzisiaj rodzaje zwierząt. Z surowszym dla mnogości lasów i jezior klimatem onego czasu zgadzają się domysły o renach, urzędowe wzmianki w statucie o sobolach. Byt turów, żubrów, rysiów, koni dzikich, nie podlega wątpliwości. Pierwszy z nich, czarny sioniowego ogromu tur, pał się spokojnie w lasach Mazowsza, poruczony pieczy i straży niektórych osad. Chroniąc go od łowców pospolitych, polowali nań książęta. Najupodobańszą po nim zwierzyną był szerokołyby, trzech ludzi pomiędzy rogami pomieścić mogący żubr. Turze i żubrze rogi połykały myśliwców ówczesnych lasów urokiem kosztownego towaru, cenniejszego nad samo smaczne ich mięso. Tygrysiej barwy i w rzeczy tygrysem zwany ryś nęcił drogiem futrem. Koń dziki, w XIII wieku aż po nadodrzańskie rozplemiony wybrzeża a jeszcze w wieku XV pospolity litewskich lasów mieszkaniec, pośredniczył między koniem a osłem. Całe stada łosiów ubijano i solono w czasie jednej wyprawy myśliwskiej. Niedźwiedzie, oddane wraz z dzikami na wolną pastwę łowcom, wyprowadzano żywcem w świat. Tam bawiły one w rozmaitych rolach lud odpustowy, albo po dworach faworów książęcych dostępowały. W dobrach klasztornych

trzymało je na stałn. Zdała od nich kapały się w jeziorach leśnych niezliczone tłumy płochliwych sarn. Co za rozkosz dla wędrownego myśliwca obaczyć niespodzianie taką kąpiel jelenia! Oto jak jeszcze podziśdzień w kniejach nadgoplańskich „skaczą one stadami z wysokich brzegów w głębią jeziora, a podniósłszy rogi rosochate, pływają rączo, podobne do morskich potworów”. Mnogość odyńców, wilków, lisów, kóz dzikich, zacieśniała sobie wzajem świat leśny. Stąd i w czworonożnym społeczeństwie równie zacięte jak między ptactwem walki. Tesame jeziora, które jeleniom w lecie służyły za ochłodę, stawały się im zimą wskutek takichże walk przyczyną i miejscem zguby. Wilki bowiem napędzały je w tej porze na gołoledź jeziora, gdzie ślizgając się, ginęły ofiarą podstępnego i drapieżnego zwierza.

Niezmierne szkody wyrządzały roje większego i drobniejszego zwierza, jako to zajęcy, kun, łasic, wydr, ludziom i polom. Snując się gromadnie po całym kraju, pustoszyły one rok w rok zasiewy i zbiory. Zabezpieczenie się od nich należało do głównych trosk gospodarstwa. Niekiedy rzucał się zwierz tłumnie na ludzi, ginących pod jego kłami. Głodnych wilków nie odstraszała nawet kusa napięta. Kto nie chciał, bywał myśliwym. Takie dorywcze polowania były zazwyczaj każdemu wolne. Tylko gruby zwierz w kniei poczytywał się wyłączną własnością pańską t. j. króla w dobrach koronnych, biskupa w duchownych, szlachty dziedzicznej w ziemskich. Ci utrzymywali wojska myśliwych. Gronem łowczych rządził jeden łowczy jenerał. Cała ludność musiała dopomagać myśliwym. Nie doliczyć się gminnych w tej mierze po-

Obrazki z wyspy Haity,

gdzie, jak donoszą pisma, wybuchła rewolucya. Nic to zresztą nowego na Haity. Od czasu odkrycia wyspy przez Kolumba w r. 1492 i obsadzenia jej przez Hiszpanów jeszcze tam żaden prawie władca na tronie nie umarł, tylko przez rewolucjonistów został zrzucony. Dziwniejszem jest to, że ta wysepka w dziejach naszego narodu dość znaczną a smutną odegrała rolę. Oto Napoleon I, chcąc ją za-wojować w r. 1801 wysłał tam pod generałem Leclerc 25000 wojska, a pomiędzy tem około 10000 naszych polskich legionów, z których po dwóch latach daremnych walk mała tylko część wróciła, gdyż nie tylko murzyni, broniący swego kraju, ale i choroby różne a głównie żółta febra dziesiątkowały wojsko polskie. Odkrywcą Kolumb nazwał wyspę „Hispaniola” (hiszpańska), później po zbudowaniu stolicy San Domingo całą wyspę tak nazywano, aż w r. 1804, gdy władca na wyspie został murzyn Dessalines, nadał jej urzędową nazwę Haity, co znaczy „kraina górską”. Na obrazku 1-szym widzimy pałac prezydenta republiki Haity i jego samego na koniu. Obrazki 2 i 3-ci przedstawiają wojsko, które podobno nie odznacza się ani sprawnością, ani dyscypliną. Obrazek 4-ty przedstawia ulicę w głównem mieście w Haity.



winności. Rzeźnicy dostarczali łbów bydłych dla psów, wątrob dla sokołów. Każda wieś polska miała obowiązek żywić psy, sokoły, podejmować wędrownych łowców albo oplacać „psiarskie“. Całe osady szły z prawa na obławę czyli „przełaję“. Tak wszędzie wspierani, wszędzie podejmowani, przeciągali myśliwi z psami, z mnogim przyborem sieci, pęt, sideł, z arsenałem oszczepów, łuków, kusz, z jakąś myśliwską kłodą, tu z samotna po dwóch, tam liczną książących i biskupich łowców czeredą, kilkudziesięciu milowe puszcze, „łowiska“. Odrębność stanu i wciskanie się do niego wielu nieupoważnionych natrętów wykształciły pomiędzy prawdziwymi łowcami osobny język myśliwski, przekazywany pod tajemnicą młodszymi wychowankom zawodu. Po stosowaniu hasła, po trafnej odpowiedzi, rozeznawali się w zielonej pustyni borów rzetelni łowcy od frantów, przyjaciele od nieprzyjaciół.

Byłoto życie swobodne, pełne przygód i namiętnego powabu. Uczni biskupowie udowodniali przykładami z historii zbawienność zabaw myśliwskich. Uciekano z roli kmieci w służbę myśliwską jako pod tarczę wolności. Okazana przy uczcie mniejsza lub większa liczba zdobytych rogów turzych stanowiła chwałę puszczonego łowcy, spoglądającego z pogardą na dojeżdżaczy zająć w polu. Owoce trudów myśliwskich przynosiły wieloraki pożytek. Solona w beczkach lub wędzona zwierzęna płynęła okętami w handel zamorski. Czasu wojny wożono te mięsiwa za wojskiem jako główny zapas żywności. Szyunki pobierano nieraz daniną. Futra należały do najlubieńszych skarbów, strojów, przedmiotów handlu. Niektóre opłaty sądowe działały się tylko w kozuchach czyli łupieżach gronostajowych, łasicznych, kunich i lisich. W Nowogrodzie do ostatnich lat panowania Witolda oprócz rąbanych sztuk srebra, nie znano innej monety krajowej jak główki popielicze i kunie czyli tak zwane „łebki i mordki“. Przed upowszechnieniem się groszy pragskich dopuszczano się na targowli krakowskiej z braku brzączącej monety wielkich podobniemi łebkami i mordkami nadużyć. Nareszcie stały się kuny coraz rzadsze, a takiż sam ubytek łasic, popielic, wiewierek i tym podobnych zwierząt czyni dziś wzmiankę o nieskończeniu upowszechnionej nigdyś odzieży z ich futer prawie niezrozumiałą.



Bezsenna noc.

Angielski sekretarz stanu Ewan Nepean nie mógł pewnej nocy zasnąć. Tak męczył się bezsennością do drugiej godziny rano, aż wreszcie postanowił pójść na przechadzkę. Już świtało, gdy wyskoczył z łóżka, ubrał się i zeszedł na dół do królewskiego parku, gdzie podówczas oczywiście było jeszcze zupełnie pusto. Sir Ewan nie spotkał tam więc nikogo, prócz znajdującego się na posterunku sztyldwach.

Przechadzając się, kilka razy minął gmach swego ministerium. Nagle przyszła mu dziwna myśl do głowy, aby wejść tam przez boczne drzwi

do których zawsze miał przy sobie klucz. W pokoju ekspedycyjnym znalazł na stole dziennik czynności z poprzedniego dnia. Mimowoli wziął go do ręki, nie mając bynajmniej zamiaru przeglądać. Ale spojrzenie jego padło na następujące wyrazy: „Ułaskawienie dla trzech skazanych na śmierć majtków należy odesłać do New-Yorku.“

Wtedy pan sekretarz przypomniał sobie, że wprawdzie już poprzedniego dnia został wydany, rozkaz, dotyczący się odesłania ułaskawienia, ale odnośny dekret nie został jeszcze podpisany. Stracenie miało nastąpić nazajutrz wczesnym rankiem. Nepean przeszukał całą księgę z kopiami, czy czasem tam nie znajdzie zatwierdzenia. Niestety, nie znalazł go nigdzie!

Natychmiast pospieszył do mieszkania dyrektora kancelaryi na Downing-Street, i kazał go obudzić.

— Czy odesłano do New-Yorku dekret, ułaskawiający trzech majtków? — zapytał zaspanego urzędnika.

— Nie mogę przypomnieć sobie w tej chwili — odrzekł zastępca naczelnika kancelaryi, i zecierając oczy.

— Pomyśl więc pan, gdzie to być może — rzekł sekretarz stanu z ożywieniem — idzie tu o życie kilku ludzi.

— A prawda, przypominam sobie — zawołał zastępca naczelnika — sprawę tę oddałem wczoraj sekretarzowi koronnemu; on musiał odesłać ów dekret, gdyż to należy do niego.

Sir Ewan nie dał się zbić z tropu. Czuł, że jego bezsenna noc nie jest prostym przypadkiem, że powinien korzystać ze sposobności, aby uratować kilku ludzi, którzy wprawdzie ciężko zawiniли, ale przecież nie zasłużyli na karę śmierci.

— Czy posiada pan — ciągnął dalej — poświadczenie od sekretarza koronnego, że istotnie rozkaz ułaskawienia został już odesłany?

— Nie.

— Musimy więc natychmiast udać się do niego. Chodź pan, jeszcze czas, zastaniemy go z pewnością w domu.

Była już czwarta godzina rano. Sekretarz koronny mieszkał bardzo daleko; nie można było dostać o tej porze dorózki. Ale cóż było robić! Ważny cel wymagał podwójnego naprężenia sił. Sir Ewan Nepean i jego towarzyszy biegli szybko. Sekretarza koronnego zastali, jak wsiadał do powozu, aby wyjechać na wieś.

Gdy usłyszał z ust wysokiego urzędnika, o co idzie, zawołał z przerażeniem:

— Mocny Boże! zapomniałem na śmierć! przebac pan, ale dekret mam u siebie.

Sekretarz stanu patrzył przez chwilę z gniewem na niedbałego urzędnika, ale wnet ogarnęło go wzruszenie i rzekł do siebie:

— Boże! Dziękuję Ci za męki tej bezsennej nocy.

Sekretarz koronny szybko wyjął z biurka dekret ułaskawiający, a sir Ewan podał na pocztę i sam oddał list, polecając go natychmiast odesłać.

Następnego rana, gdy skazanych miano wieźć na plac egzekucyi, dekret ułaskawiający nadszedł do New-Yorku.

Rzadko kiedy noc bezsenna przyniosła tak dobre owoce.



UKRZYŻUJ!

(Ciąg dalszy).

Niesprawiedliwość i stronność sędziów była aż nadto widoczna. Nikodem milczał, Symeon wrzał. Chciał coś uczynić, ale nie wiedział co; przyszła mu na myśl uwaga Nikodema.

A wtem, wyprostowawszy się, rzucił silnym głosem w oczy sędziom te słowa:

— Precz z niesprawiedliwym wyrokiem! Oto wasz Mesjasz, a wy Go skazujecie, nie znalazłszy w nim winy, i czynicie to w nocy, choć Zakon nie pozwala sądzić nikogo, gdy słońce jest ukryte przed obliczem ziemi!

Zarzut był niespodziewany i słuszny. Sędziowie spojrzeli po sobie. Nikodem podniósł głowę zdumiony. Annasz oczami sępa przeszył nieznanego, sine wargi mu drżały, chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu Kaifasz.

— Dziś jeszcze o świcie, w komnatach, które zajmuję, odbędzie się sąd nad człowiekiem, którego zowią Chrystusem; proszę tedy doktorów i biegłych w Zakonie, aby przybyli.

Słowa te uspokoiły zebranych. Arcykapłan przytomnością umysłu uratował sytuację. Pomału zaczęli się rozchodzić. Służba otrzymała najsurowszy rozkaz, aby nie wpuszczać nieznajomych na następne posiedzenie.

Symeon wracał do Nikodema z uczuciem zadowolenia. Na widok krzyczącej niesprawiedliwości zaprotestował, cóż mógł uczynić więcej? Chrystus nagroził mu jego odwagę; Symeon pierwszy raz od śmierci Lii uczuł się spokojniejszym i wkrótce zasnął snem głębokim.

Gdy się ocknął, słońce było wysoko; gospodarz wyszedł. Zafrasowany wypadkami ubiegłej nocy, Nikodem ledwo doczekał świtu, aby się napowrót udać na dwór arcykapłana. Mocno wierzył w bóstwo Chrystusa, ale mniemał, że wkrótce okaże swoją potęgę jako Król Izraela, a tu stał Jezus w więzach przed Kaifaszem, który Go chciał zgubić. Nie mógł tego pojąć. Przytem wyrzucał sobie, że Symeon, człek obcy, wstał się za Mistrzem, a on, Nikodem, Jego uczeń, cóż uczynił?

I pierwszą myślą Symeona też było szukać Chrystusa. O, gdyby mógł Mu pomódz, usługę jaką oddać, — choćby się zbliżyć, poskarżyć, że Lia umarła... Domyślał się, że go już na dwór arcykapłana nie wpuszczą, zresztą było już późno; wnioskował jednak, że haniebny wyrok, choćby i zapadł na powtórne posiedzeniu, nie może być prawomocnym, ani wykonanym bez potwierdzenia starosty rzymskiego. A zatem należało się udać do pretoryum.

Rozumowanie było słuszne. Zaledwo się tam począł zbliżać, zebrane tłumy wskazały, że odbywa się coś niezwykłego.

Symeon przeciskał się z trudnością, wkrótce jednak stanął przed schodami, wiodącymi do stolicy pretora.

U szczytu stał człowiek lat średnich; na znieścianej jego twarzy malowała się miękkość i pewne zaskopowanie. Był to Piłat.

Widocznem było, że człowieka tego przygniał ciężki frasunek, czynił wrażenie, jak gdyby chciał czegoś, a nie mógł postawić na swoim. Przed nim huczała tłuszcza Żydów. Chrystusa nie było.

— Gdzie jest Nazarejczyk? — zapytał krótko Symeon człowieka, który wydawał się spokojniejszym i poważniejszym od innych.

— Starosta skazał Go na biczowanie — odparł zapytany — oto żołnierze rzymscy powiedli Go dla wykonania wyroku.

Symeon zaszepcił się. Wiedział dobrze, że, według prawa rzymskiego, ilość uderzeń kijami lub biczami, zakończonemi ołowiem, nie była ograniczoną. Ta okropna kara równała się często wyrokowi śmierci.

— Czy starosta uznał Go za winnego? — pytał dalej.

— Nie. Głośno powiedział, że żadnej w Nim winy nie znajduje, i to jest powodem niecierpliwości tłumu.

Symeonowi krew uderzyła do głowy. Więc starosta rzymski, przedstawiciel siły, który miał czuwać nad porządkiem i sprawiedliwością, niegł, poddał niewinnego tak okropnej karze?

Z oburzeniem spojrzął na Piłata; rozumiał teraz jego niepokój.

W tej chwili przez otwarte wrota, wiodące z ulicy wprost na dziedziniec pretoryum, zarysowała się postać Chrystusa, otoczonego żołnierzami. Żydowie odsuwali się od progu z obawy, aby się nie zmazać, dlatego to, pomimo tłoku na ulicy, wrota mogły pozostać otwarte.

Symeon nie namyślał się długo. Nie zważając na nikogo, przestąpił furtkę i pobiegł w kierunku żołnierzy. Słyszał za sobą pytające głosy:

— Kto jest ten? — ale szedł dalej. Spóźnił się jednak.

Zanim zdołał przebyć obszerny dziedziniec, żołnierze wraz ze swą ofiarą skryli się już w jednej z izb podziemnych.

Drzwi zastał zamknięte.

Symeon gorączkowo przycisnął się do nich. Wewnątrz słyszał dzikie głosy i śmiechy rozpasyanych żołnierzy — znać już czyniono przygotowania. Wtem dał się słyszeć przejmujący świst, potem drugi, trzeci... aż za chwilę grad razów świadczył, że każn już się zaczęła...

Symeon, pędząc życie wśród uczt i wesela, nigdy nie był świadkiem podobnej męki. Czuł wstręt do takich rzeczy, unikał nawet myśli o cierpieniach; wołał wesołość. Ale Nazarejczyk zrobił na niego wielkie wrażenie; od wczoraj, a właściwie od nocy dzisiejszej, pokochał Go, jakaś nieprzeparta siła ciągnęła go ku Niemu.

Gniewał się na Nikodema, że go przy Nim nie spotkał. Mówiono mu, że Chrystus miał licznych uczniów, a oto żadnego nie widział. Pogardzał Żydami i ich kapłanami za to, że chcieli śmierci Chrystusa, a postępowanie Piłata budziło w nim głębokie oburzenie. Trawiło go przytem proste poczucie sprawiedliwości, którą widział tak srodze pogwałconą.

Razy i uderzenia, pomieszane ze śmiechem żołnierzy, trwały wciąż. Symeon miał tego dosyć. Onanowało go silne znużenie i złudzenie, jak gdyby

te razy były skierowane ku niemu. Uczuł w całym cieple piekące gorąco, głowę jeszcze mocniej przycisnął do drzwi zapartych. Zdawało mu się, że słyszy ciche strumienie krwi, płynącej z poszarpanego ciała; oczyma duszy widział Chrystusa, uwiązanego u słupa z granitu, wśród okropnej męczarni, lecz nie słyszał ani westchnienia, ni jęku.

Symeon stracił pojęcie czasu; nie mógł zdać sobie sprawy, jak długo mogło to trwać, nim go odepchnął setnik, który szedł, posłany przez Piłata, aby dopilnować kary. Zdziwiony, że zastał tu obcego, i to Żyda, polecił idącemu za nim żonierzowi wypchnąć go na ulicę. Za chwilę Symeon, ciągnięty przez Rzymianina, znalazł się wśród tłuszczy, którą niedawno opuścił. Ale i tam obchodzono się z nim nielepiej. Zapalczywsi, oburzeni, że przestąpił próg poganina, zaczęli go potrącać i uderzać, po chwili znalazł się za plecami wszystkich. Teraz dano mu wokół, bo oto na ganku ukazał się Chrystus...

(Dokończenie nastąpi.)



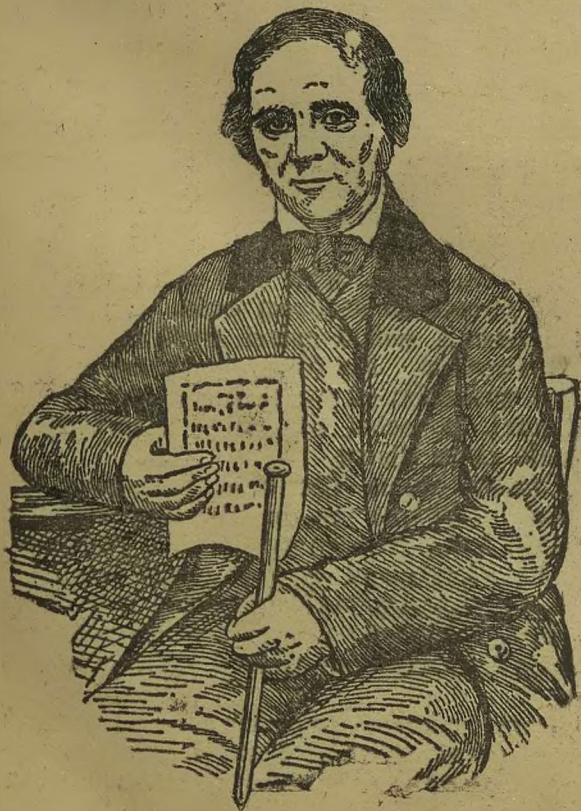
NASZA CHWAŁA.

Stanisław Jachowicz

urodził się w Dzikowie pod Tarnobrzegiem w Galicyi, dnia 17-go kwietnia r. 1796 — umarł w Warszawie r. 1857.

Po ukończeniu szkół w Stanisławowie i Lwowie, przeniósł się Jachowicz do Warszawy i wstąpił do służby rządowej. Zawsze jednak czuł pociąg i zamiłowanie do pracy nauczycielskiej.

Razu pewnego, kiedy wśród kolegów rozmawiano o najlepszych sposobach nauczania, Jachowicz, zapytany o zdanie, tak się wyraził:



„Sądzę, że przedewszystkiem pomiędzy nauczycielem a uczniem winna być nawiązana nić serdeczności i zaufania. Nauczyciel nie kochany przez ucznia albo nic, albo niewiele dokaze. Gdzie niema miłości, tam najkunsztowniejsza metoda nie poradzi“.

Wtedy to Kazimierz Brodziński, wówczas już znany i słynny poeta przepowiedział Jachowiczowi, że powinien stać się najpierwszym z pedagogów, czyli nauczycieli polskich.

I tak się też stało.

Stanisław Jachowicz porzucił stanowisko w urzędzie, a oddał się całkowicie pracy nauczycielskiej. Wkrótce też zjednał sobie cześć i miłość wśród młodzieży, którą nauczał.

Posiadając zdolność pisarską i tę poświęcił Jachowicz na usługi młodzieży. Pisał bajki i powiastki pouczające wierszem i prozą, a w każdej z tych powiastek, w każdym wierszyku jest nauka moralna.

Stanisław Jachowicz był pierwszym w Polsce, który w ten sposób przemawiał do serc i umysłów, dzieci, starając się zaszczepiać w nich zasady porzeczne i cnoty chrześcijańskie.

To też rozeszły się te dziełka po całym kraju i kilka już pokoleń dzieci polskich uczyło się i uczy na pamięć wierszyków Jachowicza.

Kochał też Jachowicz dzieci serdecznie i opiekował się czule sierotami; jego staraniem powstała w Warszawie pierwsza ochrona dla sierot w roku 1829. Był to prawdziwy Przyjaciel dzieci.



Hodowla zwierząt w dawnej Polsce.

(Według Szajnoch.)

Obok wód mnogich i lasów, była w dawnej Polsce wielka obfitość łąk i pastwisk. Z nią łączył się zamożniejszy chów bydła. W wiekach kwitnienia rybołówstwa i myśliwstwa kwitnęło także życie pasterskie. Łąka znaczyła więcej niż rola. Jeszcze za czasów Zygmunto-wskich szacowano ją na równi z polem ornym. Przed spojeniem z Koroną ziem nad Dniestrem położonych, tj. Ukrainy i Podola, słynęły najgłośniej pastwiska małopolskie. Liczne nazwy Koninów, Koniusz, Koniuch, Koniuszek, Końskich wól, są tylko za-bytkiem osad oddanych pierwotkowo wyłącznemu dozorowaniu stadnin. Znaczne stada przebiegały samopas łągi ówczesne. Jedno np. przybłąkało się w one czasy do Srzeniawity Przybysława, zamieszkującego samotną górę w pobliżu Proszowic. Sprowadził mu je koń, który sprzedany przezeń przed kilku laty do Węgier, zataesknął za dawnym domem i z całą zgrają kłaczy i zrzebiat wrócił nazad ku Proszowicom. Srzeniawicie Przybysławowi stał się koń w ten sposób źródłem znacznej fortuny.

Niemalęm bogactwem były podobnie owce. Nie masz prawie kronikarza dawnego, któryby nie wspominał „owiec wełnistych“ jako jednego z głównych skarbów ziemi polskiej — „niepośledniej trzody owczej“ jako zwykłego mienia ubogich. Zamożniejsi gospodarze, biskupowie, byli tak bogaci w tej mierze, że im nieraz dorywcza grabieżą uprowadzano z folwarków po trzy, cztery tysiące

owiec i tyleż koni i wołów. Materye wełniane były powszechniejsze od płócien. Po wsiach i miastach wyrabiano sukna, które szły jak ów koń Przybysławów w daleki handel za granicę.

Ale jeszcze dalej niż sprzedany do Węgier koń, niż wyprawiane do Nowogrodu tkaniny z runa owczego, szedł trzeci towar tamtoczesnego pasterstwa. Było nim mięswo trzody bezrogiej. Na obfitej żołądzi wypasała się ona w rzadką dorodność. Słynniejsze tego rodzaju żerowiska żołądne dawały początek znacznym później osadom. Jak z koniuszych szalasów wiele Koninów powstało, tak i dzisiejszy Żywiec, z niemiecka Seybusch czyli właściwie Saubusch, był pierwotnie tylko żerowiskiem czyli żywcem wstrętnego Żydom zwierza. Temci korzystniej handlowali najsłynniejsi gospodarze polscy za pomocą własnych okrętów szynkami i pościami słoniny aż do Flandryi dalekiej. Z godziwą też bezstronnością rozciąga statut Wiślicki swoją pieczołowitość zarówno na „świerzopice albo kobyły” jako też na woły i trzodę chlewną.

Tak rozlicznemi zajęciami około trzody, stada, pasieki, z kuszą myśliwską w kniei, z włokiem lub wędą na wodach, z młotkiem w szachcie podziemnym, urozmaicało się życie Polaków.

Kiedy żyć, to jak brat,
Kiedy walić, to jak kat,
Kiedy radzić, to już z duszy,
Kiedy kochać, to po uszy,
Kiedy hulać, to jak czart,
Kiedy grozić, to nie w żart.

Złote myśli,

Tylko użyteczność stanowi między ludźmi różność. *Stanisław Staszyc.*

Co bogactwo bez rozumu? co uroda bez cnoty? *Marcin Bielski.*

Jako łódź na wodzie i ptak na powietrzu nie znać gdzie przeleciał: tak głupich i gnuśnych żywota żaden ślad nie zostaje. *Piotr Skarga.*

Jeżeli sumienie nie zawsze jest zdolne do poprawienia spraw przeszłych, jest wszelako bardzo pożytecznem do uchronienia nas na przyszłość od spraw niegodziwych. *Hugo Kollątaj.*

ŚWIAT ZWIERZĘCY NA KOREI

Koreańczycy to wielcy przyjaciele stworzeń, a szczególnie ptaków. Ze zwierząt domowych należy wymienić przede wszystkim konie, których jednakże hodują tak mało, że armia koreańska nie posiada kawalerii. Konie na Korei to karzelki; mężczyzna słusznego wzrostu, jadąc wierzchem na takim koniku, dotyka nogami ziemi. Prowadzić je trzeba za uzdę i poganiać, co czyni poganiacz-specyalista, t. zw. mafu; jedzą wyłącznie fasolę gotowaną z otrębami, i to koniecznie ciepłą. Siana, owsa, ani trawy koniom nie dają; trawę wilgotną uważają za szkodliwą. Również koni nigdy nie poją wodą, tylko polewką z gotowanej fasoli.

Bydła rogatego znajdujemy na Korei bardzo wiele; hodowane dla celów transportowych są podkuwane. Krów wcale nie doją, nabiału nie używają, to też krowy są mało mleczne, a wymiona ich małe. Cesarz koreański jest jedynym w całym państwie człowiekiem, mającym prawo pić mleko krowie. W gazecie rządowej za każdym razem bywa ogłaszane, gdy krowa ma być dojona, na użytek cesarza. Dojenie odbywa się w obecności wszystkich członków świty cesarskiej: obalają krowę na ziemię, poczem lekarze dworscy deszczużkami wygniatają z wymion tyle mleka, ile na razie cesarz zażąda. Każdy rzeźnik tylko jedno bydło dziennie zarznąć może, wskutek tego mięso bydłace nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb gęsto zaludnionych miast koreańskich i dostępne jest tylko dla zamożniejszych. Ubożsi zadowalać się muszą mięsem psów, a tych jest tam niezmiernie dużo. Sa one naj-



Pożar szkoły w Cleveland.

Donosiliśmy już w jednym z poprzednich numerów naszego pisma o katastrofie, w której 50 dzieci utraciło życie. Dziś podajemy widok pożaru, który na długo pozostanie w smutnej pamięci nie tylko u rodzin spalonych dzieci, ale u wszystkich ludzi współczujących.

czujniejszymi i najdokładniejszymi czyścicielami ścieków ulicznych; skoro tylko znajdują się gdziekolwiek na ulicy odpadki kuchenne lub inne substancje organiczne, tam wnet nadbiegają psy i oczyszczają teren w okamgnieniu. Przez wdzięczność bywają one znów zjadane przez Koreańczyków.

Owce hodowane są na Korei tylko w celach ofiarnych; hodowla kóz jest przywilejem wyłącznym cesarza. Nierogaczni hodują bardzo dużo. Spotykamy nadto muły i osły.

Myśliwstwem zajmują się tam tylko niższe warstwy społeczeństwa; arystokracja uważa łowectwo nie za sport w naszym znaczeniu tego wyrazu, lecz za zajęcie zarobkowe ludzi ubogich. O przepisach co do polowań, czasu ochrony itd., naturalnie, nie ma tam mowy: każdy może polować gdzie i kiedy zechce, i dziwić się tylko należy, że dotychczas Europejscy mśliwi, zamiast odbywać wycieczki łowieckie do Indyi i Afryki, nie kierowali się do wyjątkowo bogatej w zwierza Korei, bo kraj ten bez przesady nazwać można rajem myśliwych.

Z grubego zwierza wymienić należy tygrysa, olbrzymiego, długowłosego, dalej niedźwiedzia, dzika; nie brak także jeleni, lisów, wilków i t. d. a na granicy mandżurskiej bardzo jeszcze pospolity sobol.

Szczególnie w dolinie rzeki Jalu, oraz w dwóch prowincjach północnych: Ping-au i Ham-king jest bardzo wiele tygrysów, a zawodowi myśliwi polują na nie zawzięcie. Od 1890 r. nawet żywe tygrysy pomieszczano na tabelach komór celnych, jako artykuł stałego wywozu. Chińskie przysłowie mówi, że przez jedną połowę roku Koreańczyk poluje na tygrysy, przez drugą zaś — tygrysy na Koreańczyka. Mądrość chińska ma w tym razie zupełną słusność, gdyż co rok setki ludzi padają ofiarą tygrysów; są nawet całe przestrzenie kraju zupełnie przez ludność opuszczone z powodu tych zwierząt. W mieście Wönsan ze zmrokiem żaden człowiek nie odważy się wyjść na ulicę. W Seulu konsul niemiecki o 20 kroków od swego domu zastrzelił wielkiego tygrysa. I innych przedstawicieli dzikiej fauny nie brak w stolicy Korei. Przed domami poselstw europejskich przemykają się często kuny, łasice i wydry. Posel rosyjski znalazł w swym gołębniku dwa węże każdy na metr długi; w czasie zaś wycieczki w góry podmiejskie schwytał dwa wielkie niedźwiedzie, które żywe do domu w Seulu sprowadzić kazał.

Z gryzionów spotykamy na Korei ogromną ilość myszy i szczurów. W dwunastym miesiącu przypada święto, zwane: „Mysi ogień“. Chłopcy wtedy kręcą sobie z trzciny lub słomy pochodnie i zapalają niemi rżyska, suche krzewy i chwasty wzdłuż drogi, aby myszy, szczury i inne polne szkodniki z kryjówek wypłoszyć i tym sposobem zapewnić dobre żniwo na rok przyszły.

Ptactwa najróżnorodniejszego na Korei jest wielkie bogactwo: nie brak tam ani orłów i sokołów, ani łabędzi, czapli i bocianów; sroki całemi chmarami spełniają funkcję naszych kruków. Gęś uważana jest jako symbol wierności małżeńskiej; w czasie ceremonii ślubnej umieszczają ją na ołtarzu rodzinnym, osłonięm czerwona materyą, śród świec płonących. Trafiają się nawet na Korei złote ba-

żanty, jarzabki i t. d. Jednakże ponad wszystkie ptaki cenionym jest paw, i to paw biały. I tu na Korei, w bujnych, dzikich ogrodach dalekiego Wschodu, jak i na dalekim Zachodzie w wykwintnych parkach Wersalu, hodują i lubią pawia, a za jego wspaniałe, przepiękne pióra, za postać wielce kształtną, chętnie mu wybaczą i wrzaskliwość jego głosu i wistocie wielką szpetność nóg jego. Pióra pawie stanowią nieodzowną ozdobę na kapeluszach przybocznej gwardyi cesarskiej, a uroczestanki koreańskie układają z nich sobie powiewne zarzutki na szyję. Hodowlę kur prowadzi Korea na wielką skalę, kury bowiem pieczone z głową, piórami i wnętrznościami stanowią szczególnie ulubioną potrawę, nieodzowną na wielkich uroczystościach rodzinnych i narodowych.

Legenda koreańska twierdzi, iż miały niegdyś istnieć spisane przez świętobliwych pustelników księgi, uczące sztuki rozmawiania z krukami i jaskółkami, z bocianami i gęsiami. Ale jakiś złośliwy mandaryn zniszczył te księgi z zazdrości.

Plazów i gadów na Korei jest nieprzeliczona moc. Szczególną plagę stanowią węże jadowite. Rany od ich ukąszenia leczą w ten sposób, iż człowiek ukąszony chwytą węża i nawzajem go gryzie.

Wody Korei roją się od przeróżnego gatunku zwierząt. Koło Fuzanu poławiają delfiny i wieloryby, których mięsa używają do jedzenia, najczęściej na surowo, przyprawione pieprzem tureckim. Haje, hyeny morskie nieustannie napływają do odnogi Fuzañskiej.

Ale głównym przedmiotem handlu Fuzanu jest awapi, t. j. muszla perłowa. Sama muszla, niezmiernie twarda, na surowo lub po wysuszeniu, należy do przysmaków w Japonii i Chinach, dokąd też bywa wywożona i za wysokie ceny sprzedawana, gdyż picul t. j. około 65 kilogramów, kosztuje w porcie 26 do 30 dolarów. Skorupy muszli idą do Londynu i Hamburga, skąd prawdopodobnie odbywają drogę do czeskich szlifierni pereł. W porcie Fuzañskim uwija się mnóstwo Japończyków; są to nurkowie, którzy, opatrzeni w dzwony, spuszczaają się na dno morza, ażeby od twardej powierzchni jego dna oderwać cenne awapi. Nadto spotykamy w Fuzanie zwykle około stu dziewcząt japońskich, które bez dzwonów nurkują, długo pozostają pod wodą i, wracając na powierzchnię, przynoszą z sobą obfite żniwo: mają pełno muszli nie tylko w rękach, ustach, we włosach, ale nawet między palcami u nóg.

Nakoniec dodać należy, że i owadów nie pościąpiła natura Korei. Są tam pszczoły miododajne, są jedwabniki w przednim gatunku, są także olbrzymie, niezwykle cięte pchły, które, gdyby nie wyśmienity miejscowego wyrobu proszek przeciw robactwu, buhatsch, uczyniłyby życie na Korei niemożliwym.



Jeżeli cel twój szlachetnie wytknięty,
Idź, choć współcześni obrzucają cię błotem;
Wieki zeń przyszłe wykują diamenty.



UKRZYŻUJ!

(Dokończenie).

Gdyby nie krzyki tłumu, Symeon by Go nie poznał, tak oblicze Jego było poszarpane biczami, krwią zlane... Ciało okrywała jakaś opona szkarłatna.

Symeon zakrył twarz rękoma.

— Oto człowiek... — rzekł grobowym głosem Pilat.

— Strać, strać, ukrzyżuj Go! — wołano ze wszech stron i wyrażano pięściami.

Głosy stawały się coraz namiętniejsze, z twarzy biła dzikość i nienawiść. Pilat milczał.

— Strać, strać, ukrzyżuj Go! — wołano coraz natarczywiej.

Rozruch się wzmagał, Pilat milczał.

Wtem Symeon spostrzegł oparte o mur trzy ciężkie krzyże, na których zwykle tracono zbrodniarzy; zadrżał, śnać Żydowie nie wąpili, że postawią na swoim. Ale Pilat wciąż jeszcze się wahał.

W tej samej chwili Symeon spostrzegł Annasza, który gromadzie ludzi dawał jakieś polecenia. Ci się wnet rozbiegli w różne strony, mieszając się z tłumem. Annasz tak był tem zajęty, że nie dostrzegł Symeona.

— Króla waszego ukrzyżują? — głośno odezwał się Pilat.

— Nie mamy króla, jedno cesarza! — dało się słyszeć z miejsc rozmaitych.

Symeon domyślał się, że byli to wysłańcy Annaszowi. Te same głosy krzyczały dalej, coraz więcej zyskując popleczników.

— Jeśli tego wypuścisz, nie jesteś przyjacielem cesarskim. Nie mamy króla, jedno cesarza!

Pilat zbładł, rozłożył ręce i wyrzekł niepewnym głosem:

— Nie winienem ja krwi tego Sprawiedliwego; wy obaczycie.

Było to równoznaczne z wydaniem Jezusa. Tłum zrozumiał to i dziko zahuczał:

— Krew Jego na nas i na syny nasze! Strać, strać, ukrzyżuj Go!

Chrystus został skazany.

Wtej chwili żołnierze sprowadzili Go na dół po schodach marmurowych. Szedł powoli, z pokorą, brocząc krwią po drodze. Natychmiast wtłoczono Mu na ramiona krzyż ciężki, jak z pod ziemi wyrosli dwaj inni przestępcy, których też krzyżami obarczono. I pochód ruszył...

Symeon szedł tuż za Chrystusem.

Blady, zbolący, nigdy się nie spodziewał, że będzie świadkiem tak strasznego czynu. W bliskości spostrzegł Kajfasza z teściem; szli z minami tryumfatorów, od czasu do czasu oglądając się, jak gdyby się jeszcze obawiali, aby im się nie wymknęła ofiara.

Symeon szedł w milczeniu; miotaly nim dziwne uczucia. Całe życie przeszłe stało mu przed oczyma. Wobec tego co widział, opanował go wstyd wielki, zbudziło się sumienie i srodze mu wyrzucało życie marne, bez celu, wśród miękkości i wrzawy, zabaw i zbytku.

Podniósł głowę. Chrystus, odwróciwszy się, patrzył na niego. Zdawało mu się, że wyszeptał słowa: „Pójdź za mną“. W tej chwili Symeon gotów byłby sam umrzeć na krzyżu, który widział przed sobą, aby Chrystusa zastąpić, a przynajmniej umrzeć z Nim razem; prawie zazdrościł losu dwóm lotrom.

Wtem orszak przystanął. Ulica zaczęła się zwężać; na rogu spostrzegł Symeon gromadkę niewiast. Ktoś szepnął, że to Matka Chrystusowa. Symeon spojrzał, lecz wkrótce zakrył oczy. Na najpiękniejszej twarzy Maryi wyczytał taki bezmiar boleści, że patrzeć nie śmiał i spuścił głowę. Przypomniała mu się jego Lia, a boleść jego wydała mu się czemś tak nikłym, tak bezgranicznie małym....

Pochód znowu ruszył, postąpiwszy jednak parę kroków, Chrystus padł... Boskie oblicze zanurzyło się w ziemię, pokryło się błotem i krwią.

W tej chwili jedna z młodych niewiast, towarzyszących Maryi, gwałtownie rzuciła się ku Chrystusowi, a zdarłszy zasłonę z cienkiego lnu egipskiego, która pokrywała jej głowę, obtarła nią twarz Jego, zanim się żołnierze opatrzyć zdołali.

Annasz, widząc to, groźnie się zmarszczył, a żołnierze, brutalnie odepchnawszy niewiastę, rzucili się na Chrystusa. Śród przekleństw uderzano Go, aby powstał, zatrzymał ich jednak Kajfasz. Bał się, aby Chrystus nie skonał w drodze i nie uniknął męki krzyżowej. Nagle spostrzegł stojącego obok Symeona i zapragnął jednocześnie na nim wyrzec zemstę.

— Oto człowiek, który chętnie poniesie krzyż, — rzekł z ironią arcykapłan, wskazując na Symeona — włóćcież go nań.

Oczy wszystkich zwróciły się na Cyrenejczyka. Zanim się spostrzegł, już silne ręce żołnierzy poczuł na sobie, a po chwili ciężki krzyż zwałono mu na ramię. Kajfasz patrzył szyderczo — tryumfował.

Symeon ze wstydu nie śmiał głowy podnieść; zdawało mu się, że tysiące oczu pali go swym wzrokiem. Stapał ciężko, trzymając się krzyża oburącz, aby tym sposobem ulżyć ciężarowi nienawykłemu ramieniu.

Szedł tak czas jakiś, gdy powtórnie spotkał wzrok i zobaczył łagodną twarz Chrystusa, który się znowu odwrócił do niego. I tyle wyczytał w tem Boskiem obliczu miłości i słodyczy, że wkrótce zapominał o swoim wstydzie. Śmiało powiodł wzrokiem po tłumie, — czuł się szczęśliwym, że może ulżyć Jezusowi. I znowu zdało mu się, że słyszy słodki głos, który doń przemówił: „Pójdź za mną“.

Pochód się skończył. A gdy przemocą zdjęto krzyż z ramion Symeona, choć go puścić nie chciał, i gdy ujrzał, że już żołnierze, nagleni przez Kajfasza, biorą się do ukrzyżowania — padł twarzą na ziemię i gorzko zapłakał...

Za chwilę usłyszał głuchy łoskot młotów, świadczący, że Ofiara przytwierdzoną została do drzewa, później nawoływanie żołnierzy i łoskot krzyża, który wpuszczano w otwór, już umyślnie wykuty w skałę, i wrzask z tysiąca piersi dziki, przeciągły... Zdało się Symeonowi, że znowu sły-

czy to samo co przed stolicą Pilata: „Krew Jego na nas i na syny naszel...”

Spełniło się. Chrystus zawisł na krzyżu między niebem a ziemią.

Gdy Symeon podniósł zmęczoną głowę, ujrzał setnika, przybijającego do krzyża białą kartę z napisem: JEZUS NAZAREŃSKI, KRÓL ŻYDOWSKI.

Więc to był Król Żydowski, więc takim tron Jego!

Symeon wyobrażał sobie zawsze majestat królewski w blaskach chwały ziemskiej. Sam tyle razy uctował z wieńcem kwiatów na głowie! A oto klęczał przed królem nagim, na krzyżu rozpiętym, w koronie z ciernia... Więc to takie oznaki królewskie?

A jeśli Król, to gdzież świta Jego, gdzie są poddani? Wszak nie ci Żydowie, którzy z wściekłością jeszcze teraz miotają na Niego obelgi, chyba ta garstka niewiast i ten uczeń, którzy w milczeniu i głębokiej boleści stoją pod krzyżem.

Symeon chciałby koniecznie należeć do ich liczby, a jeśli tak, to czyż godziło mu się nadal pędzić życie bez troski, jemu — poddanemu Króla, cierniem ukoronowanego? Czy nie należało mu też cierpieć, jak Król jego cierpiał, znosić, co ześle, szu-

kać wszędzie spełnienia Jego woli i oddawania Mu czci i chwały? Czyż nie należało mu zyskiwać dla Niego nowych poddanych, nowych czcicieli i bojowników? I dla miłości Jego służyć bliźnim i nie-szczęśliwym, czego Chrystus dał przykład z siebie?

Bo Symeon uwierzył, że Jezus — to Król i Bóg!

A od szóstej godziny stała się ciemność po wszystkiej ziemi, aż do dziewiątej godziny.

A oto ziemia zadrżała, a skały się popadały, i groby się otworzyły.

A setnik, i cō z nim byli, strzegąc Jezusa, ujrawszy trzęsienie ziemi, i to, co się działo, zlekli się bardzo, mówiąc: „Zaiste ten był Synem Bōżym”.

I wszystka rzesza tych, którzy spólnie byli przy tem widowisku i widzieli, co się działo, nawracali się, bijąc piersi swoje.



Na wzgórzu śmierci.

„Pić” — rzekł — głowa Mu bezwładnie zwłsa...
Spojrzał — i mgłą Mu jasne zasłży oczy...
Wtem — legionisty ugodzi Go spisa
I krew Mu czarna z boku się potoczy...

Do stóp męczennych, chwiejna i przybladła
Nieszczęsna Matka rozpacznie przypadła,
I jęła stopy te całować chciwie,
Niepewna, żali Syn Jej jeszcze żywie...

Opodał smętna Marya z Amygdału,
Na znak żałoby rozplatając włosy,
Promiennem złotem świecące, jak kłosa,
W niemym się kornie pochyliła żalu...

I cisza wielka stała na Golgocie,
Gdzie w słońca krwawem, przedwieczornem zlocie
Bóg w Zmartwychwstania wpatrzony rozświty,
Konał, za Prawdę na krzyżu przybity.

A o zwleczone z Niego przyodzienię,
O białą szatę Proroka Miłości,
Nim śmierć swe blade rozpostarła cienie,
Żołdacy, chciwi, rzucali już kości...

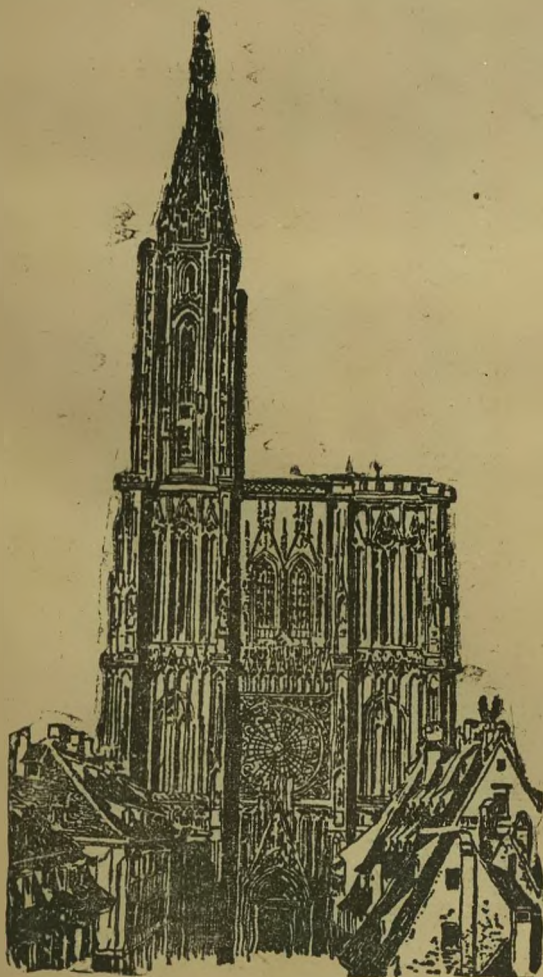
Zdzisław Dębicki.



WIELKI TYDZIEŃ.

Wśród obrzędów i ceremonii Kościoła katolickiego najbardziej okazałe i rzewne zarazem odbywają się ceremonie podczas Wielkiego Tygodnia. One to ściągają do Rzymu tłumy wiernych, pragnących być świadkami wspaniałych tych obrzędów, które w sposób wyjątkowo okazały odbywają się w Rzymie. U nas podobnie kościoły w Wielkim Tygodniu przepelnione bywają pobożnymi, którzy chętnie uczestniczą w tych świętych ceremoniach, chociaż najczęściej bardzo mało znaczenie ich rozumieją.

Tydzień, który zaczyna się w Kwietnią Niedzielę, a kończy w Wielką Sobotę, rozmaite nosi nazwi-



Katedra w Strassburgu.

Donosiła się po świecie niepokojąca wiadomość, że katedra w Strasburgu grozi zawaleniem. Jest to bardzo stary kościół i jeden z najpiękniejszych i najwspanialszych. Budowę jego rozpoczęto w roku 1277 a ukończono w roku 1439. Dziś po 500 blisko latach wspaniała wieża poczynna się chylić. Znawcy utrzymują, że pochylenie wieży nastąpiło z powodu wpadnięcia fundamentów i że uda się za pomocą podbudowy utrzymać wieżę w całości.

ska. Nazywają go Wielkim, jak mówi św. Jan Złotousty, nierozumiejąc przez to, że w tym tygodniu jest większa liczba dni, lub że te dni mają większą liczbę godzin, ale nazywamy go Wielkim z powodu ilości i wielkości obchodzonych w nim tajemnic.

W tych to dniach zniszczoną została moc czartowska, śmierć rozbrojoną, grzech i przekleństwo zmasane, Niebo otwarte i przystęp do niego ułatwiony człowiekowi, który tym sposobem stał się równy Aniołom.

Nazywają Wielki Tydzień tygodniem Bolesnym, Odpustowym, Świętym — dla boleści, ponoszonych przez Chrystusa, zgładzenia grzechów pokutnikom i świętości tajemnic, w tym tygodniu obchodzonych.

W pierwszych wiekach Kościoła wszystkie dni Wielkiego Tygodnia i tygodnia następnego były obchodzone, jako święta urpzyste, w tych dniach ręczna robota, handel, procesy i sądy były zabronione.

Tydzień Wielki był epoką przebaczenia i ulaskawienia, darowania uraz, pogodzenia się stron zwaśnionych.

W podobny sposób obchodzony Wielki Tydzień mógł wywierać poważny wpływ na obyczaje publiczne. Religia, która zdaje się wyłącznie ma na celu szczęście w życiu przyszłym, nader mądrze przykładła się do obdarzania nas nawet doczesnem szczęściem. I dla czegoż tak mało bywa ona znana, tak ozięble traktowana?

Ciemna Jutrznia.

W Poniedziałek, Wtorek i Środę Wielkiego Tygodnia, Kościół nie przestaje przypominać nam rozmaitych wypadków, które poprzedziły Mękę Zbawiciela. We Środę wieczór zaczynają się Ciemne Jutrznie. Składają się one z Jutrzni i Laudes, czyli z psalmów, przypadających na dzień następny.

Wśród psalmów Jutrzni śpiewane są wyjątki z Pisma świętego, tak zwane „lekcyje“, których jest dziewięć. Pierwsze trzy w Wielką Środę, Czwartek i Piątek mają za przedmiot precudne treny Jeremiasza Proroka, treścią pozostałych jest Męka Pańska.

Nazwa Ciemnych Jutrzni pochodzi z praktyki gaszenia wszystkich świec przy końcu nabożeństwa dla oznaczenia głębokiej żałoby Kościoła, jak również dla przypomnienia ciemności, które okryły całą ziemię w chwili śmierci Jezusa Chrystusa. Gaszenie światła jest historyczną pamiątką pięknej starożytności chrześcijańskiej. Nabożeństwo bowiem, które odbywamy wieczorem, odbywało się dawniej w nocy i trwało do rana, w miarę, jak dzień się zbliżał, gaszono kolejno pochodnie, jako już wtedy niepotrzebne.

Te pochodnie przedstawiają teraz świece woskowe w lichtarzu trójkątnym, po lewej stronie ołtarza. Liczba ich jest zwykle piętnaście, po siedm z każdej strony, a jedną w środku najwyżej. Świece po obu stronach gaszone są z kolei po skończonym każdym psalmie, zaczynając od najniższej, od strony Ewangelii; poczem na drugiej stronie, dopóki nie zostanie tylko środkowa, która pali się ciągle. Wyobraża ona Jezusa Chrystusa. Po ostatnim wersie „Benedictus“, ostatniego kantyku, który się śpiewa stojąc, zdejmują tę świecę i chowają za ołtarz. Wówczas odmawiany jest psalm: „Zmiłuj się nademną Boże“ (Miserere) klęczący i odpowiednia

modlitwa, po skończeniu których świeca napowrót z ukrycia się wyjmuje.

Ceremonia ta jest figurą śmierci i zmartwychwstania Zbawiciela. Czternaście świec wyobrażają jedenastu Apostołów i trzy Marye. Gaszą je dla przypomnienia ucieczki jednych, a milczenia drugich podczas Męki Pańskiej.

Liczba świec i sposób ustawienia i gaszenia ich stopniowego sięga aż za VII wiek. Jakież mamy mieć poszanowanie dla obrzędów, na które tyle pobożnych oczu patrzyło! Bodażby one rozbudzały w nas też same uczucia, jakich doznawali przodkowie nasi! Wogóle ceremonie, używane w Kościele szczególnie w czasie świąt uroczystych, biorą początek w odległej starożytności.

Nabożeństwo w czasie Ciemnych Jutrzni nacechowane jest głęboką boleścią. Tu już nie mają miejsca: Hymny, błogosławieństwa. Cztery tylko głosy słyszeć się dają: Dawida, oplakującego śmierć swojego Pana; Jeremiasza, który z żalem i boleścią opiewa zburzenie Jerozolimy i cierpienia Wielkiej Ofiary; w końcu głos Kościoła, który rzewnie powołuje swych synów do pokuty: „Jeruzalem, Jeruzalem, nawróć się do Pana Boga twego“ i głos świętych niewiast, które szły za Jezusem Chrystusem od Galilei i płakały, wchodząc z Nim na Kalwaryę.

Nabożeństwu podczas Ciemnych Jutrzni nikt nie przewodniczy, bo napisano jest: „Uderzę pasterza i rozproszę owieczki z owczarni“. Smutek i żaloba, dzwony milczą, nabożeństwo kończy głuchy łoskot, na pamiątkę smutnego pochodu i napadu ludu, uzbrojonego w kije i prowadzonego przez Judasza, który pojmował Zbawiciela w nocy, w ogrodzie Oliwnym.

Klekotka, używana w kościołach do zwoltywania wiernych na nabożeństwo w ostatnich dniach Wielkiego Tygodnia, przenosi nas w owe starożytne czasy, kiedy używano desek drewnianych dla oznajmienia godziny świętych zgromadzeń.



W RACŁAWICKIEM POLU.

(Wspomnienie historyczne z 4-go kwietnia 1794 roku).

W Racławickiem polu,
Świecą ranne rosy,
Migają się w jasnym słońku
Kosynierskie kosy.
Migają się kosy,
Nikt nie liczy wroga,
— Choć go będzie sto tysięcy,
Pójdziem w imię Boga!
Świeconą szablą
Pan Kościuszek skinął,
Jako orzeł w dwoje skrzydeł,
Wojsko swe rozwinął.
Na tem jednym skrzydle,
Parskają koniki,
Tam generał Madaliński
Sprawuje swe szyki.
Na tem drugim skrzydle,
Pan Zajączek stoi.
Tam się błyszczą chorągiewki,
Miga słońko w zbroi.
Runęli na Moskwę

Jak burza nawała.
 Odparły ich kartaczami
 Te moskiewskie działa.
 Runęli na Moskwę,
 Jeden raz i drugi,
 Nakryło się pole trupem,
 Krwi spłynęły strugi.
 Widzi pan Kościuszko
 Te nieszczęsne boje,
 Tak zakrzyknie: — Dalej za mną,
 Kosyniery moje! —
 I z pośrodka skrzydeł
 Jak orzeł się wzbija,
 A lud za nim z wielkim krzykiem,
 — Jezus i Marya.
 Pędzi pan Kościuszko,
 Za nim wiara cała,
 Nakryły ich ogniem, dymem,
 Te grające działa.
 A wódz z dymów krzyknie,
 — Ejże, moje chwaty!
 Który tam z was gardziel zatka
 Moskiewskiej armaty?
 Wnet skoczy na wały,
 Zuch Bartosz Głowacki,
 Gołą ręką brać te działa,
 A z nim Stach Świstacki.
 Przeleżała się Moskwa
 Tak wielkiego męstwa,
 Cierpię odwrót sobie,
 A nam pieśń zwycięstwa!

Jan Sawa.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

1-go kwietnia 1548: umarł król Zygmunt I zwany Starym czyli Mądrym.

1-go kwietnia 1794: generał Kościuszko wyrusza z Krakowa przeciwko wrogom na czele 1000 piechoty, 500 jazdy i 500 kosynierów; szeregi te zwiększały się z każdym dniem przybywającymi ochotnikami.

1-go kwietnia 1831: bitwa z Moskalami pod Wielkim Dębem, w gubernii Warszawskiej.

2-go kwietnia 1794: król Stanisław August wydaje uniwersał, w którym powstanie krakowskie ogłasza jako bunt.

2-go kwietnia 1817: Tadeusz Kościuszko czując się bliskim śmierci, aktem urzędowym spisany przez notariusza Ksawerego Amietha w Solurze uwalnia na wieczne czasy od pańszczyzny włościan w dobrach swych Siechowice na Litwie.

2-go kwietnia 1831: bitwa pod Wielkim Dębem, w której zwyciężyło wojsko polskie. Moskale stracili 2000 zabitych, 11 000 jeńców, 12 dział, 5 chorągwi i 50 skrzyń z nabojami.

3-go kwietnia 1025: umarł w Poznaniu król Bolesław Chrobry. Zwłoki złożono w podziemiach tamtejszej katedry.

3-go kwietnia 1813: Car Aleksander I po klęskach Napoleona usunął rząd Księstwa Warszawskiego a ustanowił w Warszawie rząd tymczasowy złożony z Moskali. Prezesem rządu został Lanskoi, wiceprezesem Nowosilew.



Rozbrojenie angielskie.

Sprawa ogólnego rozbrojenia zajmuje już od dość dawna polityków i mężów stanu. Dowodem tego dwukrotny już zjazd w Hadze, gdzie jednak obrady nie doprowadziły do żadnych rezultatów, głównie pewnie dlatego, że nikt na seryo o rozbrojeniu nie myśli. Tak n. p. i angielscy mężowie stanu ciągle mają w ustach rozbrojenie a tymczasem sejmy angielskie uchwalają budowę nowych okrętów a co gorsza, gazety angielskie piszą tak buńczucznie i ostro przeciwko innym państwom, jakby chodziło im o wywołanie wojny. Otóż mówią niektórzy, że Anglia najszybciej załatwiłaby się ze sprawą rozbrojenia, gdyby gazeciarzy zapakowała do czubków. Niemcy zwłaszcza radziły tam widzieli redaktora gazety „Times” (Czas) który Niemcom bynajmniej nie schlebia.

ALLELUJA!

Drży z radości gmach kościoła,
Na wieżycy dzwon się buja —
Z naw wybiega pieśń wesoła:
Alleluja, alleluja!

Dwa dni w grobie Człowiek Bóg
Leżał, jako rzekł do sług,
A na trzeci zaraz dzień
W blasku chwały powstał zeń.

Choć go strzegły ze stron obu
Rzymskie straże, oniemiały,
Gdy przyleciał anioł biały
I odwalił kamień grobu.

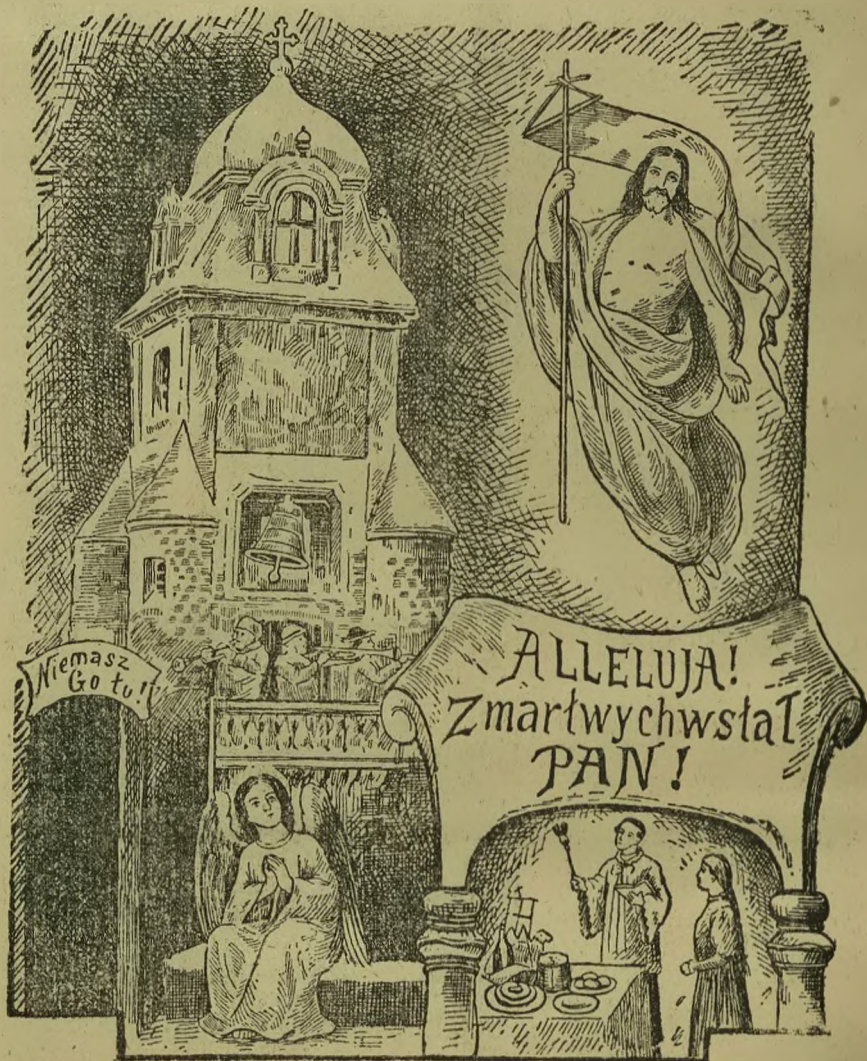
I siadł na nim i jaśniało
Naksztalt słońca jego lice,
A miał szatę jak śnieg białą,
A w wejrzeniu błyskawicę.

I upadły na twarz społem,
Gdy naokół ziemia cała
W zmartwychwstania chwili drżała
W trwodze wielkiej przed aniołem.

A gdy przysła z niewiastami
Magdalena, aby Ciało
Pańskie natrzeć wonnościami,
Rzekł jej anioł: Tu leżało!

Oto miejsce grobu Jego
Tu złożony był w tej szacie,
Lecz Go nie masz — przecz szukacie
Pośród zmarłych żyjącego?

I znów dzisiaj zbożny lud
Zmartwychwstania święci cud,
Co odrodził cały świat,
Gdy zakwitnął wiary kwiat.



WIELKANOC.

Wielkanoc jest to uroczystość, która od kilku tysięcy lat Wschód i Zachód radością napelnia. Uroczystość świata całego, każdej rodziny. Przypiesza ona bicie tylu milionów serc, uwiecznia bowiem wypadek niezmierny, wiekuisty, obchodzący cały ród ludzki. Początek Wielkiejnocy sięga owych czasów, kiedy lud izraelski jęczał w niewoli Faraona, aż w końcu wybiła godzina ocalenia. Anioł Pański w nocy zabija pierworodne dzieci tylko tam, gdzie nie były drzwi naznaczone krwią baranka paschalnego; baranek ten i krew jego oswobodziła naród z niewoli. Na pamiątkę przejścia Izraelici obchodzili wieczną uroczystością pamiątkę przejścia Anioła i ofiarę baranka.

Baranek był figurą Chrystusa, Faraon, węża wiodącego do grzechu, a lud przedstawiał wszystkie narody przed odkupieniem.

Kościół przeto dziś przez uroczystość wielkanocną obchodzi wiecznie trwałą i powszechną uroczystość, ofiarę prawdziwego Baranka i Jego przejście od śmierci do życia, porażkę szatana i oswobodzenie rodu ludzkiego. Podobno niema w dziejach zdarzenia godniejszego pamięci, właści-

wszego do natchnienia wdzięcznością, zapalem, miłością, każdego, kto posiada chociażby jedną myśl wiedzy i w czyich piersiach bije serce człowieka i chrześcianina.

Pascha, tak się nazywa Wielkanoc, *znaczy* przyjście.

Zaledwie Bóg-Człowiek wrócił do Ojca, Apostołowie natychmiast ustanowili święto uroczyste na pamiątkę jego Paschy, to jest chwalebnego przejścia od śmierci do życia. Widzimy, jak oni urządzają swoje podróże, przyspieszają lub opóźniają swoje ewangeliczne wycieczki, aby tylko w Jeruzalem, miejscu dokonanego cudu, obchodzić tę uroczystość nad uroczystościami. Z całą pobożnością święcono ją wszędzie, gdzie tylko doszło światło wiary chrześcijańskiej. Pochodzi przeto uroczystość Wielkiejnocy niezawodnie z ustanowienia apostoelskiego.

Co do epoki uroczystości wielkanocnej, to Kościoły wschodni i zachodni jednogłośnie postanowiły obchodzić takowy; tylko co do dnia i daty, zaszła pewna różnica.

Chrześcianie zachodni chcieli, aby Wielkanoc przypadała w pierwszą niedzielę po czternastej lunacyi, następującej po wiosennem porównaniu dnia z nocą, a to dlatego, żeby nie spotkać się z Izraelitami. Chrześcianie wschodni, przeciwnie utrzy-

mywali, że trzeba obchodzić tę uroczystość w sam dzień czternastej lunacyi, po porównaniu dnia z uocą. (Lunacya czyli odmiana księżyca. Przyp.)

A dlaczego tak doniosłe znaczenie ma dzień Wielkiejnocy, łatwo zrozumieć, ponieważ od tej uroczystości zależą inne święta, obejmujące znaczną część roku chrześcijańskiego i tak np.: Wielki Post i epoka Zesłania Ducha Świętego, czyli Złote Świątki zależą zupełnie od dnia Zmartwychwstania Pańskiego. Sobór pierwszy w Nicei jedność dnia Wielkiejnocy nieodwołalnym wyrokiem postanowił.

Uroczystość ta bowiem, jak powiada św. Grzegorz, jest uroczystością nad uroczystościami, przenosi nas z ziemi do wieczności i pozwala nam używać jej już teraz przez wiarę, nadzieję i miłość.

W dniu tym napemnia nas jakaś niewysłowiona radość, której w inne święta nie doświadczamy. Człowiek namiętnie kocha życie, czuje, że jest nieśmiertelnym, wszystko zatem, co pokrzepia wiarę jego w nieśmiertelność, wszystko, co mu wraca jego prawa do życia, co kruszy żądło śmierci, czyni na nim wrażenie potężne, niepokonane; uroczystość zatem Wielkiejnocy, która jest tryumfem życia nad śmiercią, uroczystość ta, która wskazuje nam Zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa, naszą Głowę, kruszącego dla siebie i dla nas moc śmierci, wzbudza w nas radość najwyższą i najgłębsze wewnętrzne zadowolenie. Nadto w czasie tego święta chrześcijanin przyjmuje w komunii świętej widoczny zakład swej nieśmiertelności i całą naturą, harmonizując z religią, powtarza mu ten pocieszający dogmat. Na wiosnę, to jest w chwili, kiedy świat materialny odradza się, my obchodzimy tajemnicę naszego zmartwychwstania, najprzód w łasce, a następnie w chwale niebieskiej. W braku ksiąg wszystkie stworzenia nas uczyć mogą, nie masz trawki polnej, któraby nie powtarzała nam: Zmartwychwstanie!

Zapowiada tę prawdę również i Kościół wymownym głosem obrzędów swoich. Wejdźmy do świątyni, wszystkie oznaki żałoby już zdjęte, ołtarze przyozdobione niezwykłym przepychem, ornaty świetnych kolorów, bogate hafty; radość się maluje na twarzach, dzwony dają odgłos, mieszkańcy tłumnie gromadzą się do drzwi kościołów, a wieśniacy napelniają skromne swoje kościółki. Śpiew radosny „Alleluja”, ten wyraz z nieba zesłany na ziemię dla naszych dni uroczystych, rozlega się ze wszystkich stron, powtarzany jest co chwila!



WIELKANOC.

Śmieje się jasne niebo, łożurowe, czyste,
Złote słońcem, od srebrnych obłoków srebrzyste;
Śmieją się chaty nasze odwieczne, wyniosłe,
Staruchy, mchem stuleci, jak dęby, porosłe,
A po drogach, z kościoła tłumy wracające,
Mają twarze tak jasne, jakby w sercach słońce,
Jakby mieli w tych sercach niewinność anielską,
Co duszom dawa cichość i pogodę sielską.

Za stołem wielkanocnym w wesołej świetlicy,
Zasiadła już rodzina, druhy, domownicy,

Stoją tu wielkie baby domowej roboty,
(Zakalec gospodyni nie wyrządził psoty)
Z serem placki krakowskie obok placków z makiem.
Kiełbasa sąsiaduje z szynką i prosiakiem,
A z doniczki z rzeżuchy, z ponad jej półmiska,
Baranek wielkanocny białem runem błyska.

Jakie śmiechy wesołe! Jakie krotofile!
Ile tutaj szczerości! serca tutaj ile!
Jak słowo z dobrą myślą idzie w zgodnej parze!
Jak się poczciwie śmieją przyjacielskie twarze!
Godzina za godziną spływają, jak chwila,
Cała dusza się z piersi wynurza, wychyla.
To się dłonie uściśną, to z ocz łza się sączy —
Tak święte Alleluia ludzkie serca łączy. Or-ot.



ŚWIECONE.

Święta Wielkanocne zawsze bardzo uroczyście obchodzono w Polsce tak w kościołach, jako i w domach. Nabożeństwa w naszych kościołach w czasie Wielkiego Tygodnia nie ustępowały pod względem wspaniałości urządzenia nabożeństwom w kościołach rzymskich, a może je niekiedy nawet przewyższały. Wszak wiadomo, że kiedy ks. biskup Aretti, nuncyusz Stolicy apostolskiej w Polsce za panowania Stanisława Augusta obecny był na nabożeństwie Wielkopiątkowem a następnie na Rezurekcji w kościele św. Krzyża w Warszawie, zawołał w uniesieniu: „O Boże dobry, jakie to wspaniałe!” — a do Ojca św. napisał, że nigdy i nigdzie jeszcze nie widział podobnie wspaniałych nabożeństw.

Po uroczystościach kościelnych obchodzono Wielkanoc w domu równie wspaniale. Głównym punktem zaś domowej uroczystości była wspólna uczta. Nie było przytem hałaśliwej wesołości, ani tańców, ani śpiewek; uczta miała cechę powagi, nakazanej wspomnieniem Męki Pańskiej i cudu Zmartwychwstania. Za to wysilano się na obfitość i wspaniałość potraw. Zdumieniem przejmują nas opisy uczt wielkanocnych, czyli „święconego” na dworach panów polskich przed kilkuset laty.

Oto n. p. wyjątek z kroniki, podający opis „święconego” u księcia Sapiehy za czasów króla Władysława IV a zatem około 200 lat temu:

„Stały cztery ogromne dziki — czytamy — to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, t. j. szynki, kiełbasy, prosiatka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczniu całkowitem tych dzików. Stało dalej 12 jeleni, także całkowicie upieczonych, ze złocistemi rogami, a nadziane zwierzyną, więc: zajacami, cietrzewiami, dropiami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Naokoło było ciast sążnistych tyle, ile tygodni w roku, to jest 52, całe cudne placki, mazury, pierogi, a wszystko wysadzane cukrami. Za tem stało 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku, każda zaś była ozdobiona napisami, że niejeden tylko czytał, a nie jadł. Co zaś do napojów, były cztery puhary, odpowiednio do czterech pór roku, napelnione winem, jeszcze od króla Stefana Batorego. Dalej 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie: te konewki na pamiątkę 12 miesięcy. Zaczem 52 baryłek srebr-

nych odpowiednio do 52 tygodni — było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorów, ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 8760 kwart miodu, to jest tyle ile godzin w roku.

Taki czytając opis, pomyśli niejedną, że to pamiętka zbytku wielkiego i nieumiarkowania. Tymczasem tak nie jest. Okazało uczty wielkanocne w Polsce, stoły uginające się pod obfitością jadła i napoju były wynikiem gościnności, miłości bliźniego, miłosierdzia.

Na „święcone“ do dworów pańskich schodziła się i jeździła szlachta uboższa, mianowicie ludzie bezżenni, nie mający rodzin, dzierżawcy dóbr pańskich, oficyaliści, wojskowi. Tych gościnnie karmiono i poiono przez tydzień, albo i dłużej. Ludzie możni, dziedzice wsi, rozdawali mięswo ze swych stołów ubogim mieszkańcom wioski — było zwyczajem i staraniem ogólnem, aby w Świętą Wielkanoc każdy, choćby najuboższy żebrak, był syty, nakarmiony święconem jadłem. Ba, nawet do więzień posyłano kołacze, mięswo i jaja.

Było więc „święcone“ rzeczywiście wspólną ucztą, łączeniem się wszystkich w Imię miłości Chrystusa, który za wszystkich umarł i dla odkupienia wszystkich zmartwychwstał. Zaznaczeniem tej wspólnej łączności było dzielenie się jajkiem święconem i wzajemne składanie sobie życzeń.

Tak było w Polsce od dawien dawna.

Z biegiem czasu zmieniają się ludzie, a także i zwyczaje ulegają pewnym zmianom, stosownie do warunków życia.

Tak n. p. moglibyśmy dziś przejść całą Polskę wzdłuż i wszerz a nie znaleźlibyśmy tak obficie na Wielkanoc zastawionego stołu, jak przed kilku set laty. Bo też dziś byłoby to zbytciem grzesznym, okazałoby się do nieumiarkowania; niema dziś bowiem tak licznych dworów, takich hucznych zjazdów, niema też i biedaków tyle, co to patrzą tylko, aby cośkolwiek z pańskich stołów dla nich spadło.

Za to, o ile w domach zamożnych z natury rzeczy większa jest skromność w urządzaniu „święconego“ — o tyle w rodzinach włościańskich i robotniczych większa jest, niż dawniej obfitość i rozmaitość potraw. Tam gdzie dawniej zaledwie kołacz biały, jajka i kawałek kielbasy lub szperki ujrzałeś na wielkanocnym „święconem“, tam dziś i szynkę zobaczysz i pieczeń a zabiegliwa gospoia i babkę upiecze wielkanocną i jak może stół wielkanocny przyozdobi.

Godzi się bowiem święto uroczyste uczcić okazalszą ucztą w gronie rodzinnem, tak jak czynili nasi przodkowie, unikając naturalnie wszelkiego nieumiarkowania.

Zachować nam też godzi się i dalszy zwyczaj przodków naszych udzielania biedniejszym „święconego“.

Choć wogóle w czasach dzisiejszych niema tyle biedoty, co przed laty, ale i dziś są tacy, którym w dzień wielkanocny nic w domu nie przypomni, że to wielkie święto. Pamiętajmy o nich już naprzód! Niechże każda gospoia, przygotowując „święcone“, wspomni na biednych i niechże dla nich choć małą cząstkę ze swych zasobów odłoży dla wspólnej łączności w miłości Chrystusa. Najpiękniejsze to uczczenie wielkiego Święta Odkupienia.

Nie zarzucajmy też dawnego zwyczaju składania sobie wzajemnych życzeń. Jest w tych życzeniach, choćby tylko w owym „Wesołego Alleluja!“ przypomnienie, że wszyscyśmy porówno do łaski Odkupienia przypuszczeni zostali, że wszyscy wraz weselić się z tego mamy. Jeszcze wyraźniej przypominają to sobie mieszkańcy innych narodów słowiańskich. Przy spotkaniu się w dzień Wielkanocy pozdrawiają się słowami: „Chrystus Zmartwychwstał!“ — na co pozdrowiony odpowiada: „Tak, prawdziwie zmartwychwstał!“

A jeżeli „prawdziwie zmartwychwstał“, tedy „piekielne moce zwojował“ a dał świadectwo prawdzie i na wieki tryumf jej zapewnił. Tedy ufać nam tylko, wierzyć i ufać! Nie zwalczy nas potęga zła, nie zniweczy przemoc niesprawiedliwości, jeżeli Chrystus będzie z nami!

W tej też myśli, łącząc się przy jajku święconem duchem z wszystkimi rodakami i rodaczkami naszymi wołajmy z głębi serca:

Alleluia! Alleluja! Chrystus zmartwychwstał! Prawdziwie zmartwychwstał!



Hałas, turkot, rwetes, wrzawa,
Łoskot, łomot, jak w młockarni.
W izbie parno, ścisk, kurzawa,
Drzwi wciąż skrzypią u spiżarni.
Znoszą masła, jaja, sery,
Strąki, cukry i korzenie;
Jak jest w domu dziewczek cztery.
Jedną się za drugą żenie.
Skrobą, myją, w piecach palą,
Wiercą, tłuką, szyją, wrzeszczą,
Ledwie domu nie rozwalą,
Aż w piekarni belki trzeszczą!
Wszystko kłębi się jak w garnku,
Ledwie na głowach nie chodzą.
— Co to jest?... czy wir jarmarku?...
Gdzie tam, to święta nadchodzą!



Poselstwo Ojca św. u cesarza abisyńskiego.

Na Wschodzie Afryki, rozgraniczony z Azją morzem Czerwonym leży kraj, zwany w starożytności Etyopią, dziś zaś Abisynią. Ludność jego składa się w części z rodowitych Etyopów o barwie skóry ciemno-brunatnej, w części z przywędrowanych później do kraju Semitów. W głębi kraju mieszkają murzyni.

Panującą w kraju religią jest religia chrześcijańsko-katolicka, obrzędu koptyckiego. Różnica pomiędzy obrzędem łacińskim a koptyckim polega na tem, że koptowie przejęli do swej religii dużo obrzędów ze Starego Testamentu jak np. święcenia sabbatu (obok niedzieli), starożydowskie oczyszczania, obrzezania i t. p. oraz, że Komunię św. przyjmują pod obiema postaciami, tak, jak grecko-unici. Należą jednak Koptowie do Kościoła katolickiego, to jest, uważają Ojca św. za najwyższą władzę swego Kościoła i za Namiestnika Chrystusowego.

Obok tej religii koptycko-katolickiej jest jednakże w Abisynii dużo pogaństwa i islamizmu.

Ojciec św. przeto stara się wielce o szerzenie w Abisynii wiary katolickiej i w tym celu urządza tam misye, zakłada klasztory, szkoły i t. p.

Starania Ojca św. popiera szczerze negus czyli cesarz abisyński Menelik II; utrzymuje też z Watykanem stosunki dyplomatyczne.

Przed kilku miesiącami donosiły pisma o uroczystem poselstwie etyopskiem u Ojca św., na co zwyczaj dyplomatyczny nakazuje odpowiedzieć także uroczystem poselstwem.

Generalny wikaryusz apostolski w Abisynii, ks. biskup Jarousseau (wym. Żaroso) tak o tem pisze w „Wiadomościach misyjnych“:

„W licznych krokach przedwstępnych, nawiązane wreszcie zostały stosunki przyjazne pomiędzy negusem z Addis-Abbaba, a Jego Świątobliwością Piusem X, i dzięki tej wymianie życzliwych uczuć, nasza praca apostolskie nabrały nowego bodźca. Nie jest to jeszcze panowanie wolności, ale czyż to nie tryumf nader pocieszający, że tolerancja występuje w miejsce prześladowania?

W obecnej chwili jeden z moich misjonarzy, W. O. Marya Bernard, dyrektor naszego zakładu dla trędowatych w Hararze, przebywa w Addis-Abbaba, wysłany tam przez Ojca św. z tytułem posła oficjalnego. Dnia 12 września negus powitał go z wielką pompą i szczerą sympatją. W pięć dni potem udzielił mu w swym pałacu uroczystego posłuchania, co wywołało wielkie wrażenie w całej stolicy.

W kilka tygodni później, dnia 10 października, cesarzowa przyjęła wysłańca Ojca św. na bardzo uprzejmej audyencji.

Podczas gdy cesarz Menelik udekorowanym został przez Ojca św. orderem papieskim Świętego Grobu w Jerozolimie, cesarzowa Taita otrzymała od Jego Świątobliwości wspaniały dar kunsztownej mozaiki, przedstawiający Najśw. Pannę z Dzieciątkiem Jezus“.

Oto szczegóły, jakie podaje misjonarz o swem przyjęciu przez Menelika i cesarzową.

„W dniu oznaczonym, we wtorek 17 września o godzinie 9 rano, Kantiba Wolt Tsadek stawił się w misyi z liczną świtą żołnierzy. Towarzyszył mu tłumacz urzędowy.

Cesarz przysłał przepysznego muła we wspaniałym czapraku i w taki to sposób — niby nowy Mardocheusz — w towarzystwie O. Bazylego, oraz Braci Joachima i Samuela, otoczony eskortą honorową, przejechałem przez miasto i przybyłem do pałacu cesarskiego.

Negus w paradnym stroju, w otoczeniu wysokich urzędników cesarstwa, oczekiwał mnie we wspaniałej sali tronowej. Wszyscy stali, cesarz tylko siedział.

Po trzech pokłonach zwyczajowych, zbliżyłem się do cesarza, który podał mi przyjaźnie rękę, potem, cofnąwszy się kilka kroków, odczytałem moją mowę i wręczywszy monarsze listy papieżkie, wydobylem ze szkatułki piękny order Świętego Grobu, który Ojciec św. przysłał cesarzowi.

Wtedy cesarz, z twarzą tchnącą najżywszą radością, odchylił sam swój płaszcz cesarski, prosząc mnie, abym zawiesił na jego piersiach krzyż złoty,

czerwono emaliowany, wraz z wielkim sznurem tej zaszczytnej odznaki, co też uczyniłem z głębokiem wzruszeniem. W tejsze chwili rozległo się pięć strzałów armatnich, oznajmiając stolicy radosne to wydarzenie.

W dziesięć dni po audyencji u cesarza, przybył na misyę Ato-Hail-Mariam z zaproszeniem od cesarza na obiad dyplomatyczny, który się odbył dnia 28 września w pałacu, z okazji narodowego święta Krzyża.

Cesarz, siedząc na wyniosłym tronie, otoczony swymi rasami i wysokimi dygnitarzami, prezydował u stołu i dozorował nad wszystkim. Wszedłszy, poszliśmy złożyć mu nasz hołd. W bankiecie uczestniczyło przeszło 10 000 zaproszonych osób.

Cesarzowa przyjęła mnie we środę 9 października o godzinie 10 rano.

Jej cesarska mość wysłała naprzeciw mnie aż na próg wielkiego salonu. Pokłoniwszy się z szcunkiem cesarzowej i przemówiwszy parę słów, przełożonych przez tłumacza, wręczyłem jej najpierw listy Ojca św., a następnie odsłoniwszy mozaikę, podałem ją jej. Na widok obrazu Najśw. Panny i Dzieciątka Jezus, cesarzowa nie mogła powstrzymać okrzyku podziwu i pochyliwszy się, ucałowała obraz ze czcią.

— Napiszę sama do Jego Świątobliwości — rzekła — aby Mu podziękować za Jego ojcowskie względy.

Poczem pożegnałem Jej cesarską mość. Audyencya trwała około kwadransa.“



Zmartwychwstań w sercach święta Ojców wiara!
Tyś jest dla ducha wzniosłych uczuć czara,
Niech na Twych skrzydłach myśl w niebiosu buja,
Błogosławioną bądź... O Alleluja!...



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnień a przeszłości naszej.

4-go kwietnia 1794: pamiętna bitwa pod Racławicami w gubernii kieleckiej, w której odznaczyli się włościanie krakowscy, uzbrojeni w kosy. Wojskiem moskiewskim dowodził generał Denisow.

6-go kwietnia 1364: król Kazimierz Wielki zakłada Akademię Krakowską. Dla braku funduszków akademii ta upadła i dopiero w r. 1400 za sprawą królowej Jadwigi przez Jagiellę wznowiona została.

6-go kwietnia 1870: ks. Stanisław Piotrowicz, dziekan wileński, publicznie na ambonie spalił ukaz carski, zaprowadzający język rosyjski w kościołach rzymsko-katolickich. Księdza Piotrowicza zesłano na Sybir, lecz ukaz został cofnięty.

7-go kwietnia 1578: miasto Ryga, stolica Finlandyi składa przysięgę na wierność królowi polskiemu Stefanowi Batoremu.

9-go kwietnia 1241: wielka bitwa z Tatarami pod Lignicą. Wojska polskie poniosły klęskę, kwiat rycerstwa, pomiędzy innymi książę śląski Henryk, poległ. Tatarzy jednakże cofnęli się po tej bitwie.

DZWON WIELKANOCNY.

W odległej starożytności żył stary ubogi pustelnik. Sklecił on sobie skromną chatynkę wśród leśnej polanki; wieśniacy okoliczni pomagali mu ochoczo — ten przywiózł furkę drzewa, ów przyłożył ręki do budowy i tak w niedługim czasie stanęło skromne domostwo, obok zaś mała kapliczka z Matką Bolesną — pod daszkiem zawisł mały dzwonek, którego ton rozlegał się srebrnym dźwiękiem w pewnych porach dnia, napelniając serca pociechą i nadzieją.

Resztę czasu przepędzał pustelnik na modlitwie i pobożnych rozmyślaniach. Gdy był spragniony, wtedy pił wodę z pobliskiego źródła, głód jego zaspakajały owoce leśne, a niekiedy i pobożne wieśniaczki, które mu przynosiły skromne potrawy.

W ten sposób żył nabożny starzec długie lata. Poczem legł na posłaniu z mchu i liści, ścisnął oburącz mały drewniany krzyżyk i oddał Bogu ducha.

Od tej chwili opustoszała pustelnia, mchy porosły dach, pokrzywy i osty zaglądały do okienka i tylko zwinna wiewiórka drapała się czasem po ścianie kapliczki, a usiadłszy pod dzwonnica, trzymała w dwóch łapkach szyszkę, chrupiąc ją i rozglądając się żywymi oczkami w około.

Przyszła wiosna, a z nią gotowała się ziemia do obchodu wielkiego święta Zmartwychwstania. Wiatr łagodny zawiął z za morza, źródła silniej uderzyły, a rzeki i potoczki szybciej poczęły toczyć srebrne swe wody; dzwoneczki także nieśmiało podnosiły z ziemi swe główki; niedługo przybyły i ptaszki z ciepłych krain, napelniając powietrze rozkosznymi pieśniami, a krzaki i drzewa wstrząsnawszy się raz ostatni, zdobić się poczęły świeżemi, zielonemi pąkami.

Dzwonek z wieżyczki patrzył ze smutkiem na te przygotowania wielkanocne. Przed laty, gdy dzwony okoliczne ozwały się, gdy zabrzmiały w święto Zmartwychwstania, to i on zadrgał ochoczo i radości pełen zaśpiewał wraz z drugimi pieśń tryumfu — a teraz, teraz milczący, wisi pod swym napoły rozwalonym i chwiejnym się daszkiem.

Następnej nocy powstał niezwykle szum w lesie, to dzwony ciągnęły do Rzymu po błogosławieństwo Ojca św. Jeden z nich spoczawszy na chwilę, zapytał:

— A ty, braciszku, nie idziesz z nami?

— Ach radbym z duszy — rzecze dzwonek — ale nie mogę, bo próżnowałem rok cały. Jednak, jeżeli łaskawy, wstaw się też do Ojca św., może mi kogo przysłać, co by w Niedzielę Wielkanocną zadzwonił. Nie uwierzysz, jak to jest przykro milczeć, gdy wy wszystkie wesółym śpiewacie chórem.

Aliści nadszedł ranek wielkanocny. Mgła przeciągała długimi płachtami po dolinach i czepiała się po drzewach. Chłodny wiatr poruszał koronami kwiatów, a ocierając się o gałęzie, wydawał tony podobne do brzmienia harfy. Zwolna zarumieniły się szczyty gór i drzew, które powoli budziły się ze snu. Ptaszki strzepywały ze skrzydeł rosę nocną, poczynając nucić pieśń poranną, tem uręczystsza, że to były pienia wielkanocne. Jeden

tylko zapomniany dzwonek smutnie wisiał pod krzywym swym daszkiem.

Wiem zaszeleściły suche liście i wśród drzew, ukazał się smutny mężczyzna w rycerskim stroju, przystanął na chwilę, a potem potrząsłszy smutnie głową, usiadł nad brzegiem strumyka, a zdjąwszy hełm, otarł rękawem znużone czoło i zamyślił się smutnie.

Dwa lata minęły, jak na wezwanie królewskie zaciągnął się pod wojewódzkie chorągwie, by wypędzić wroga, który granice ojczyzny najechał. Zostawić musiał w domu dziecię i żonę, która złą w oku, ale z poddaniem się konieczności, żegnając go z progu dworu, trzymając w ręku jak kwiatów wiosennych, które mąż odiażdżający zerwał dla niej w pobliskim lesie. I teraz chwila pożegnania stanęła rycerzowi żywo w pamięci. Czy też żona i syn żyje, jak też zastanie gospodarstwo po dwóch latach niebytności? Może poedyńcze oddziały wroga niszczyć i pałac, dotarły aż do tej okolicy? I ciężkie westchnienie wyrwało się z jego szerokiej piersi, a łza boleści i zwątpienia potoczyła się po miękkim tem licu. Serce nieprzepartą siłą ciągnęło go ku domostwu, a nie miał odwagi wyjść z lasu, by nie ujrzeć czegoś takiego, od czego by serce pęknąć mogło.

A wtem zaszeleściło w krzakach i rycerz nasz ujrzał w oddali postać kobiecą, zbliżającą się ku kapliczce. Nie pragnąc z osobą obcą na teraz rozmowy, ukrył się rycerz za ścianę kaplicy. Ona zbliżyła się powoli, wiodąc syneczka za rączkę, pochylając się od czasu do czasu, by zerwać kwiatek i przydać go do tych, których już pęk w ręku miała. Zbliżywszy się do źródła, zaczęła zbierać dzbanuszkami wody, a wstawiając doń kwiaty, podszła ku kapliczce, postawiła dzbanuszek z kwiatami przed obrazem Matki Boskiej, uklękła z dziecięciem na stopniu, a złożywszy pobożnie ręce, poczęła mówić drżącemi ustami:

— Anioł Pański...

Potem modliła się do Matki Bolesnej, oskarżając się i łkając:

— O Matko Bolesna, ukój ból mój i wyrzuty sumienia. Czemużem go nieszczęśliwa puściła na bóg i śmierć, nie było mi go wstrzymać w domu? O Najświętsza Panienko! dłużej już bólu nie zniosę, dwa lata już mija, a o nim ani słychem. O Boże, może już nigdy, nigdy go oko moje nie ujrzy. Boże na niebie, toć Wielkanoc jest czasem cudów, pokaż mi niegodnej cud, daj znak, abym wiedziała, że on żyje, że myśli o nas, że wróci do domu!

A wtem odezwał się z cicha dzwonek, był to ledwie słyszalny ton, ale na wskroś przejął stroskaną niewiastę, podniosła oczy ku Matce Boskiej, a wtem dzwonek zabrzmiał silniej i radośniej, kobieta się obejrzała, a zerwawszy się, podniosła dziecię i oboje zawisli na szyi męża i ojca, który stał w drzwiach.

Nagle zawołał rycerz:

— Dzwonku kochany, ty nas połączyłeś, obwieszczaj teraz całemu światu szczęście nasze.

A dzwonek aż pokraśniał od promieni słońca i chwiał się bez przerwy, a głosem srebrnym rozbrzmiewał radośnie po lesie. I z wież okolicy, odezwały się też poważne dzwony. Wróciły zeszłej nocy z Rzymu, gdzie cudownych napatrzyły się rzeczy. Ale żaden z nich nie dźwięczał tak

radośnie, żaden nie śpiewał z rozkoszą pieśni wielkanocnej taką, jak ów mały, zapomniany dzwonek w leśnej kaplicy...

OBZRĘDY WIELKANOCNE.

Rezurekcyja nie we wszystkich kościołach odbywa się w jednym czasie. Po większych kościołach odbywa się wieczorem. Kapłani przybrani w bogate szaty, lud w stroju świątecznym, z radością w sercu zaczynają nabożeństwo uroczyste. Śpiewa się antyfoną „Gloria Tibi Trinitas”, (Chwała Tobie Trójco, bóstwo jedyne i równe, chwała na wieki!) dalej psalmy dziękczynne. Po przepiewaniu psalmów, kapłan uwielbia Zbawiciela w modlitwie, iż zmartwychwstaniem swoim stał się zwycięzcą śmierci i piekła i proroctwo o sobie spełnił, za co niebo i ziemia wielką radością ciesząc się, oddaje Mu pokłon i uwielbienie; błaga Zbawiciela za wiernych, aby obchodząc Jego Zmartwychwstanie, z grze-



Śmiertelny skok.

W jednym z cyrków berlińskich popisywał się Włoch Gadbin tarkolonną sztuczką. Z sześciopiętrowego domu zeskakiwał, jak to na obrasku widać, głową na dół, uderzał pierściami o śladką podstawę, zsiadłszy się ku dołowi i wyróciłwszy po drodze kosa, stawał na nogi. Sztuka polegała na skutnem zeskoczeniu z góry na deskę i udawaniu się Gadbinowi przez cały miesiąc. As pewnego dnia zeskoczył tak niebezpiecznie, że nie pierściami, tylko brzochem uderzył o deskę i był to jego — skok śmiertelny. Trudno pojąć, dla czego Włoch zerwał na takie sztuki, które widzom szarpały nerwy, a poplaskującym się przyozdabiały śmierć.

chów powstawszy, Jego Męki i Zmartwychwstania stali się uczestnikami. Po wyniesieniu Najświętszego Sakramentu z grobu odbywa się procesya trzy razy po kościele, a nawet o ile to jest możliwem na zewnątrz kościoła. Odgłos dzwonów, dźwięk uroczystych organów, światło, chorągwie, ołtarzyki i wesołe Alleluja, wszystko to przenika duszę niewymowną radością i podnosi ją do Zbawiciela. Zdaje się wszystko odradzać, jakby za wstąpieniem nowego ducha. Procesya rozpoczyna się śpiewem: „Cum rex gloriae” opiewającym historję zmartwychwstania, zwycięstwa nad piekłem i tryumfalnego wprowadzenia ojców do nieba. Dalej następują wiersze bardzo tklive (Ecce renaescentis gratia), wzywając wszelkie twory i całą wiosenną naturę do uczestnictwa w Tryumfie Zbawiciela, przeplatane zwrotami: „Przez Twoje święte zmartwychpowstanie, któremi się wiara w tę tajemnicę niejako potwierdza.

Na czele procesyi niesiony jest krzyż, stulą czerwoną przepasany i figura Chrystusa Zmartwychwstałego z chorągiewką w ręku. Chorągiewka jest znakiem zwycięstwa Zbawiciela nad piekłem i śmiercią, procesya zaś wyrażeniem tryumfu i wielkiej radości wiernych. Po procesyi kapłan, podnosząc figurę krzyża, po trzykroć ogłasza zmartwychwstanie Chrystusa słowy: „Surrexit Dominus de sepulchro” (powstał Pan z grobu) na co odpowiadają: „Qui pro nobis pependit in liguo” (który za nas na krzyżu cierpiał).

Najświętszy Sakrament zostawiony jest na ołtarzu, a tymczasem odprawia się jutrznia, która podobnie od tych słów zaczyna się: „Surrexit”, (Powstał Pan z grobu). Jutrznia tego dnia i przez całą oktawę jest krótka. Kończy się hymnem św. Ambrożego „Te Deum” i chowa się Najświętszy Sakrament do Cymboryum.

Rezurekcyja z potrójną procesyą u nas się tylko obchodzi. Kto pierwszy potrójną procesyę ustanowił, wyrzec trudno. Pospolicie obrzędy powoli się tworzyły, tak dalece, że często nawet stare pisma błdziły, naznaczając pewnym autorem postanowienie jakich szczególnych ceremonii, gdy oni tylko dawniejsze zwyczaje porządkowali i potwierdzali. W każdym razie obrzęd ten sięga odległych wieków kościoła polskiego, i że nie bez tajemnicy wprowadzonym został, lecz przez Synody późniejsze zatwierdzonym był w zupełności.

Według przekonania niektórych poważnych pisarzy, trzykrotne powtarzanie prośby, pewnej modlitwy, oznacza usilność takowej. Tak niebo na cześć Boga śpiewa: Święty, święty, święty! W suplikacjach śpiewamy: święty Boże, święty mój, święty a nieśmiertelny. Wiele wierszy na Wielką Sobotę, Niedzielę, Wniebowstąpienie Pańskie i t. d. trzy razy powtarzamy. Jest to coraz mocniejsza prośba, wyznawanie usilne, dopominanie się z największą uległością, ale koniecznie. Trzykrotna zatem procesya, wyląd musiała uczucia pełne miłości, które serca ludzkie czują w dniach Wielkiejnocy.

Poniedziałek wielkanocny stanowi drugie święto. Dawniej cały tydzień był święcony, ale Synod Konstancyjski 1417 r. do trzech dni święta wielkanocne ograniczył. Dzień trzeci zniesionym został przy zmniejszaniu świąt uroczystych w r. 1775 przez papieża Piusa VI.

X. N.

NIE PRZEZ TRYUMFY...

Nie przez tryumfy, nie przez wygody,
Ani przez Sztuki wonne ogrody,
Bóg do swych celów wiedzie narody.
On im się czasem uniżyć każe,
Ze śliny wrogów ocierać twarze,
Widzieć burzone bóstw swych ołtarze.
Kiedy pod krzyżem naród upada,
Truchleje sercem i woła: biada!
Myśląc, że to już śmierć i zagłada...
Spi, póki martwa, bryła kamienia —
Lecz musi młotów znieść uderzenia,
Kiedy ją rzeźbiarz w posąg przemienia.
Chwast kryje niwę pługiem nietkniętą —
Lecz, by błysnęła płonów koroną,
Żelaza muszą rozpruć jej łono.
I naród musi znieść ból i żale,
Skonać na krzyżu i grób mieć w skale,
By dnia trzeciego zmartwychwstać w chwale.

Wiktor Gomułki.



Zwyczaj wielkopiątkowy w Hiszpanii i Portugalii.

Na półwyspie iberyjskim, ostatnie dni Wielkiego Tygodnia obchodzi się w odrębny sposób, niż w innych krajach katolickich. W Wielki Piątek na wszystkich okrętach portugalskich odbywa się każu Judasza Iskarioty. W tym celu, majtkowie o świcie wyciągają z głębi okrętu wielki, niezgrabnie ociosany kłoc drewniany, który ma wyobrażać zdrajcę: ubierają go w odzież marynarską i zawiązawszy mu sznur na szyi, wieszają na głównym maszcie.

Po nabożeństwie, odprawionem przez kapelana okrętowego, majtkowie zbierają się u stóp głównego masztu i trzykrotnie zanurzają Judasza w morzu. Następnie wloką go na sznurze po całym pokładzie i biją kijami, aż drzazgi z niego lecą. Naturalnie całe ubranie jest podarte w strzępy, marynarze zaś tak się zmęczą i spocą, że kapitan dla pokrzepienia każe im rozdawać porcję grogu. Przez cały czas na statku dzwonią, jak dla umarłego, aż wreszcie jeden z majtków podpala Judasza, cała zaś załoga obsypuje zdrajcę klątwami i obelgami. Przy tej sposobności temperament południowy wybucha z żywiołową siłą, a ludzi tych ogarnia takie oburzenie, jak gdyby rzeczywiście mieli przed sobą niegodziwego apostoła, który sprzedał swego Mistrza Żydom.

W uroczej Sewilli, podczas Wielkiego Tygodnia, codziennie różne bractwa odbywają po mieście procesje, obnosząc na platformach grupy, przedstawiające sceny Męki Zbawiciela. Najstarszem jest bractwo „del santo enterro“, które istnieje od czasów zdobycia Sewilli przez świętego Ferdynanda (w XIII wieku). Głową jego jest zawsze król hiszpański.

Na czele pochodu kroczy kilku żandarmów, a potem jedzie czterech żołnierzy rzymskich w przebraniu średniowiecznych rycerzy. Pomimo piękności ich kostiumów, zaćmiewa ich wspartały herold w czarnej aksamitnej szacie, ze złotymi galo-



Henryk Asaith

nowy prezydent ministrów w Anglii.

nam, z herbem bractwa wyhaftowanym na pierśsiach. Za nim dwoma rzędami idą Nazarejczycy z pochodniami w rękę, otaczając wielki krzyż. Śród podwójnego szeregu innych Nazarejczyków postępuje sekretarz bractwa z czarną chorągwią, z czerwonym krzyżem; poprzedza go dwóch trębaczy, a za nim idzie orkiestra, wygrywając marsza żałobnego.

Ukazuje się pierwsza estrada, przedstawiająca Golgotę, a na niej krzyż z dwiema drabinami, które posłużyły do zdjęcia zwłok Zbawiciela. U stóp krzyża, na kuli ziemskiej, siedzi śmierć, naturalnej wielkości szkielet, który wypuścił kosę z ręki na znak swojej bezsilności wobec Syna Bożego. Obok niego pelza wąż, trzymając jabłko w paszczy, ten sam, który skusił Ewę w raju.

Przed tem pierwszym przejściem kroczy dwóch dygnitarzy bractwa ze srebrnymi pastorałami w rękę. Za nim rozwija się szereg krzyżów i chorągwi wszystkich parafii sewilskich; wzorzyste matterie bogato haftowane błyszczą w słońcu złotem srebrem i barwami tęczy.

Pod przewodnictwem wodzów gwardii niebieskiej: archanioła Gabryela z lilią i archanioła Michała z mieczem idą hufce skrzydlatych aniołków w białej, niosących narzędzia Męki Pańskiej w drobnych rączkach. Wybrano w tym celu najpiękniejsze dzieci z miasta, a widok tych niewinnych istot o kędzierzawych główkach rozwesela oczy, zasmucone poprzednim obrazem śmierci.

Uroczy jest także orszak dwunastu Sybil w bogatych strojach starożytnych. Zerwano tutaj z tradycją, która przedstawia te prorokinie, jako sędziwe, posępne niewiasty i powierzono im rolę najurodziwszym Andaluzyjankom. Tak samo w grupie Doktorów Kościoła, świeci Augustyn, Hieronim, Ambroży, a nawet papież Grzegorz w tyarze błyszczącej od drogich kamieni, to nie są starcy, lecz młodzi i dorodni ludzie.

Osobno postępuje młode dziewczę w białej — święta Weronika, która w obu rękach niesie chustę z odbiciem krwawego oblicza Chrystusa.

Oto i drugi obraz, otoczony przez heroldów, strojnych w aksamit, na którym są wyhaftowane herby Kastylii. Na estradzie zasłanej kwiatami soo-

czywa szklana trumna ze zwłokami Zbawiciela. Na ten widok tłum pada na kolana i ze skrucą bije się w piersi; słysząc tylko pobożne westchnienia i szept modlitwy.

Na trzeciej estradzie stoi w kole niewiast Matka Boska Bolesna z sercem przeszytem siedmiu mieczami. Orszak zamykają wszystkie władze miejskie z gubernatorem na czele, oraz kilka pułków wojska. Pogodne lazurowe niebo andaluzyjskie, wiosna jaśniejąca urokiem zieleni, moc kwiatów, podnoszą jeszcze malowniczość tych wielkopiątkowych procesyi, które, o ile nam wiadomo, odbywają się tylko w Sewilli.



ZDANIA I MYŚLI.

Dom i rodzina, dzieci, to przyszłość nasza. Wychowanie narodowe, sparaliżowanie obcych, zgubnych wpływów, to obowiązek, którego spełnienia nikt zabronić nie może.

Ta praca cicha, spokojna, to budzenie w sercach dzieci iskierki świętej miłości Ojczyzny; to wlewanie w umysł dziecinny pojęcia przynależności do Polski naszej biednej, wpajanie mu silnej wiary, że „Bóg był i jest” i nikogo nie opuszcza, to najważniejszy czynnik w ruchu naszym narodowym, którym przejąć się powinni wszyscy: i mali i wielcy, aby nie słowem, tylko, ale czynem działać dla dobra społeczeństwa polskiego.



Dla rodziców, którym wychowanie dziecka zdaje się nudnem i jednostajnem zajęciem, mówi św. Jan Złotousty: „Wyżej niż malarza, rzeźbiarza i każdego innego artystę cenię tego, który duszę dziecięcia kształcić umie!” Porównuje ten święty wychowawcę do sztukmistrza, który pierwszemu świętością powołania nie dosięga.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia przeszłości naszej.

10 kwietnia 1831: Dwie bitwy z Moskalami, jedna pod Domanicami, gdzie generał Kicki i pułkownik Mycielski na czele ułanów zaatakowali i rozproszyli 10 szwadronów jazdy moskiewskiej, druga pod Iganiami, gdzie padło 5 tysięcy Moskali.

11 kwietnia 1090: Śmierć króla Bolesława Śmiałego zabójcy św. Stanisława. Król Bolesław uszedł z kraju r. 1079, około 10 lat zatem spędził w klasztorze w Ossyaku.

14 kwietnia 1809: Austriacy wkraczają w granice Księstwa Warszawskiego. W wojnie z Austrią odznaczył się wielce książę Józef Poniąkowski, jako głównodowodzący wojsk polskich.

15 kwietnia 1518: Wjazd do Krakowa młodej księżniczki włoskiej Bony Sforzza, jako żony króla Zygmunta.

15 kwietnia 1861: Pierwsze zebranie pierwszego Sejmu galicyjskiego. Marszałkiem Sejmu był książę Leon Sapieha. Pierwszą uchwałą Sejmu było przyjęcie autonomii, czyli ustanowienie władz krajowych.

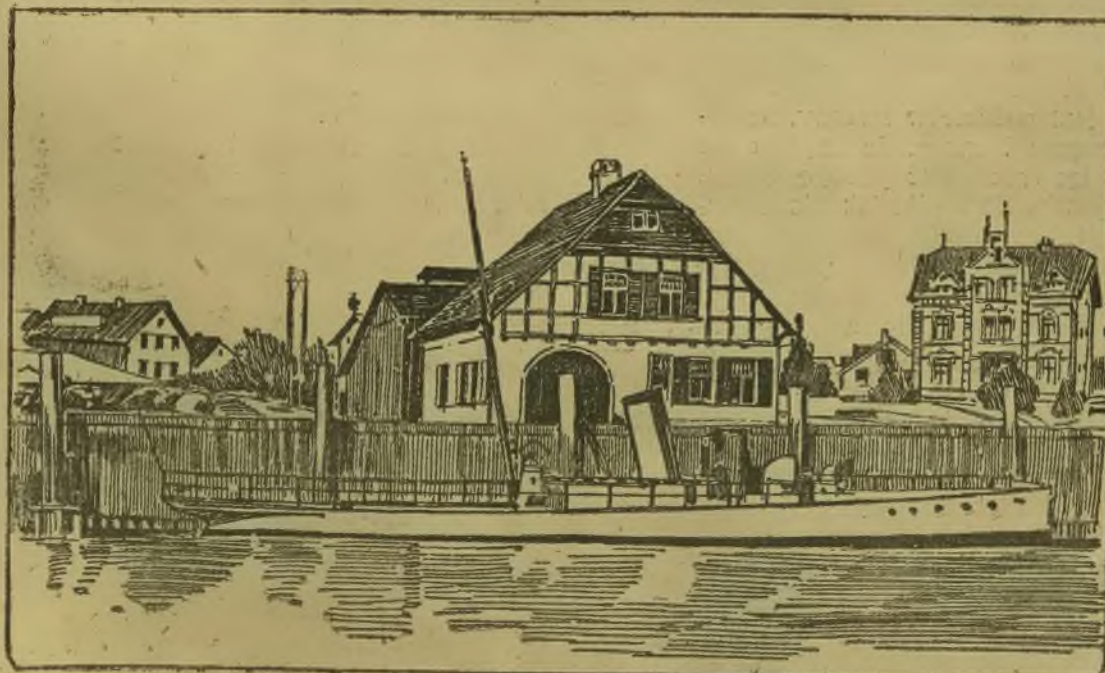
17 kwietnia 1577: Król Stefan Batory odnosi zwycięstwo nad zbuntowanymi Gdańszczanami.

17 kwietnia 1794: W sam Wielki Czwartek wypędzają mieszczańscy warszawscy pod dowództwem szewca Jana Kilińskiego wojska moskiewskie z miasta.

18 kwietnia 1576: Król Stefan Batory wjeżdża po koronacji uroczyste do Krakowa.

19 kwietnia 1518: Koronacja królowy Bony w Krakowie.

19 kwietnia 1773: Posiedzenie Sejmu delegatów w Warszawie dla zatwierdzenia pierwszego rozbioru Polski, dokonanego 5 sierpnia 1772. Z godną podziwu stałością opierał się temu bezprawiu Tadeusz Rejtan.



Stacya balonowa.

Towarzystwo meteorologiczne w Niemczech, trudniące się naukowem badaniem wszelkich zjawisk powietrznych, urządziło nad jeziorem Bodenskim stacyę dla wzlotu balonów. Wzloty odbywają się z parowca, szynującego po jeziorze; ma to niezmiernie ułatwiać wzlot balonu, bez względu na to, czy powietrze jest spokojne, czy też poruszane wiatrami, a o to właśnie chodzi meteorologom, aby o każdym czasie móc badać wyższe warstwy powietrza.

W ten sposób spodziewają się uczeni zbadać dokładnie składniki i zmiany powietrza aż do 6000 metrów wysoko.

Nakładem „Górnoślązaka”, spółki wyd. z ogr. odpow. w Katowicach — Za redakcyę odpowiedzialna Japina Omaszkowska w Bytomiu — Czcionkami „Katolika” spółki wyd. z ogr. odpow. w Bytomiu.

Słońce — Szczęście.

Minęła nocka, minął cień.
Słoneczko moje, dobry dzień!
Słoneczko moje kochane,
W porannych zorzach rumiane.

Minęła nocka, minął cień,
Niech się wylega w łóżku leń;
A ja raniutchno dziś wstanę
Zobaczę słonko rumiane.

Błogosławione promienie słońca, niosące ziemi życie, zieleni, kwiaty i żniwa nadzieję. Wszystko, co spało snem zimowym, budzi się i z rozradowaniem wielkiem zwraca się ku życiodajnemu słońcu. Wypełniają robaczki z ziemi, pszczołki próbują skrzydełek, kwiaty otwierają swe kielichy, a szary skowronek, jakby niedość mu było cieszyć się słońcem na ziemi, rwie się wysoko ku niemu aż hen pod obłoki.

Tylko my ludzie nieraz uważamy słońce, jako zło konieczne, jako natręta uprzykrzonego.

Jednego słońce praży; innej psuje cerę oblicza; Innym znów w mieszkaniu przeszkadza swym blaskiem — więc dalejże szukać cienia, rozwieszać zasłony, rozpościerać parasole nad głową. Są nawet jeszcze matki tak nierozsądne, że dzieci chronią przed dotknięciem promieni słonecznych, „bo je główka rozboli“.

Jakżeż to? więc całej przyrodzie daje słońce moc życia, a tylko nam ludziom miałoby przynosić słabość, chorobę i zniszczenie?

Błędne to pojęcia, niezgodne ani z odwiecznymi prawami natury ani ze wskazówkami nauki. Jedynie wśród lata mogą promienie słoneczne działać czasem zbyt ostro i należy przed nimi chronić głowy i oczy.

Na wiosnę jednakże słońce jest najlepszym lekarzem dla ciała, najlepszym wzmocnieniem dla umysłu, najlepszym pocieszycielem dla serca i duszy.

Nie zasłaniajcie zatem okien waszych, skoro tylko słonko się ukaże; nie brońcie mu wstępu do mieszkań waszych, nie wstrzymujcie wpływu dobroczynnych jego promieni przed obawą, aby wam nie poniszczyło mebli lub dywanów. Niech się raczej rzeczy wasze mniej piękne dla oka wydadzą, niż żeby zdrowie wasze na tem cierpieć musiało. Czemże są najkosztowniejшие meble w porównaniu ze zdrowiem? A słońce jest przecież najlepszym lekarzem; działa bowiem nie tylko na rozwój fizyczny, ale rozwija i wypogadza umysł. Nie brońcie mu zatem, wchodzić do waszych mieszkań, owszem witajcie je zawsze z radością ilekroć zajrzy do domów waszych.

Czem słońce dla ziemi i ludzi, tem jest serdeczny śmiech dla serca.

Nie wstrzymujcie się przeto również od szczerego, wesołego śmiechu, pozwólcie jego promieniom wtargnąć do serc waszych, aby śmiech — jak ów promyk wesoły słońca, rozpogodził je i rozpruszył poukrywane tam troski.

O jakże mylą się ci, którzy sądzą, że śmiech i wesołość przystoją tylko młodym! Ojcowie i matki, gdy dzieci wasze swobodne są i wesołe, nie macie ich chwilowego szczęścia zbytnią surowo-

ścią. Weselcie się wraz z nimi! Wasza powaga uchroni je od rozpasania w wesołości, obecność wasza uszlachetni zabawy młodych. Dzieci wasze nabiorą wtenczas przeświadczenia, że nigdzie nie jest tak słodko, jak w rodzinnym domu; że tu jedynie można znaleźć wszystko, co najpiękniejsze, najlepsze — że dom jest jedynym miejscem ukojenia przykrości i źródłem zachęty do pracy i wstrwania w dobrem przez całe życie.

Strzeżcie się, kochani rodzice, krępować zbyttno wolności i wesołości dzieci waszych w domu, gdyż zapragną one użyć jej poza domem i waszemi oczyma, a z chwilą, gdy dzieci uważać będą dom nie za świętość, ale za wygodne miejsce, gdzie mogą zjeść, wypić i wyspać się, już niema dla nich ratunku. Biada wam wtedy, rodzice, i dzieciom waszym, bo wówczas są im już bramy do wszelkiego występku otwarte. Starajcie się tedy wiecznie zachować domy wasze słoneczne i czuwać, by nigdy nie wygasł w nich ten znicz szczęścia domowego.

NASZA CHWAŁA.

Maryan Gawalewicz

urodził się we Lwowie 21 października roku 1852. Do szkół uczęszczał w Krakowie i tam już był znany jako poeta. Później przeniósł się do Warszawy, gdzie dotąd przebywa.

Maryan Gawalewicz pisze bardzo dużo: powieści, utwory na scenę, poezye, artykuły w gazetach. Znany też jest w całej Polsce, wszyscy czytają



działa jego z upodobaniem. Najwięcej rozslawily imię Gawalewicza prześliczne legendy o Matce Boskiej, które Gawalewicz wedle podań ludowych opracował a malarz Stachiewicz zrobił do nich piękne obrazki. Powieści Gawalewicza osnute są na tle miejskiem. Najlepsze są: „Mechesy“, gdzie przedstawiony jest stosunek żydów, bankierów warszawskich, do narodu polskiego, oraz „Drugie

pokolenie", w której to powieści autor przedstawia bogatych przemysłowców Niemców i wskazuje im, że tylko zlanie się ich zupełne ze społeczeństwem polskiem może uczynić ich pracę korzystną dla kraju.

W utworze „Synowie Laokona” przestawił Gawalewicz dzieje Polski uciskanej przez wrogów. Laokon był wedle podania greckiego kapłanem Apollina, który za jakiegoś przekroczenie rozkazał żmijom zadusić Laokona wraz z dwoma jego synami.

(Okolo 200 lat przed Chrystusem jakiś artysta starożytny przedstawił tę chwilę w bronzie; dzieło to, zwane „grupą Laokona” znajduje się obecnie w muzeum watykańskim).

* * *

Och czemuż, czemuż tak wążutka miedza.
Dzieli szczęście od troski i czemuż wyprzedza
Radość, lży gorzkie uieraz, co bez naszej winy
Gaszą nam często w życiu dzień szczęścia jedyni
Dziwnie się w pasmie życia wiążą nitki długie.
Jasne i ciemne razem, a jedno i drugie
Z ręki Boga się snują... toż On snąć wie o tem
Dlaczego czarną przędzę miesza wspólnie ze złotem...

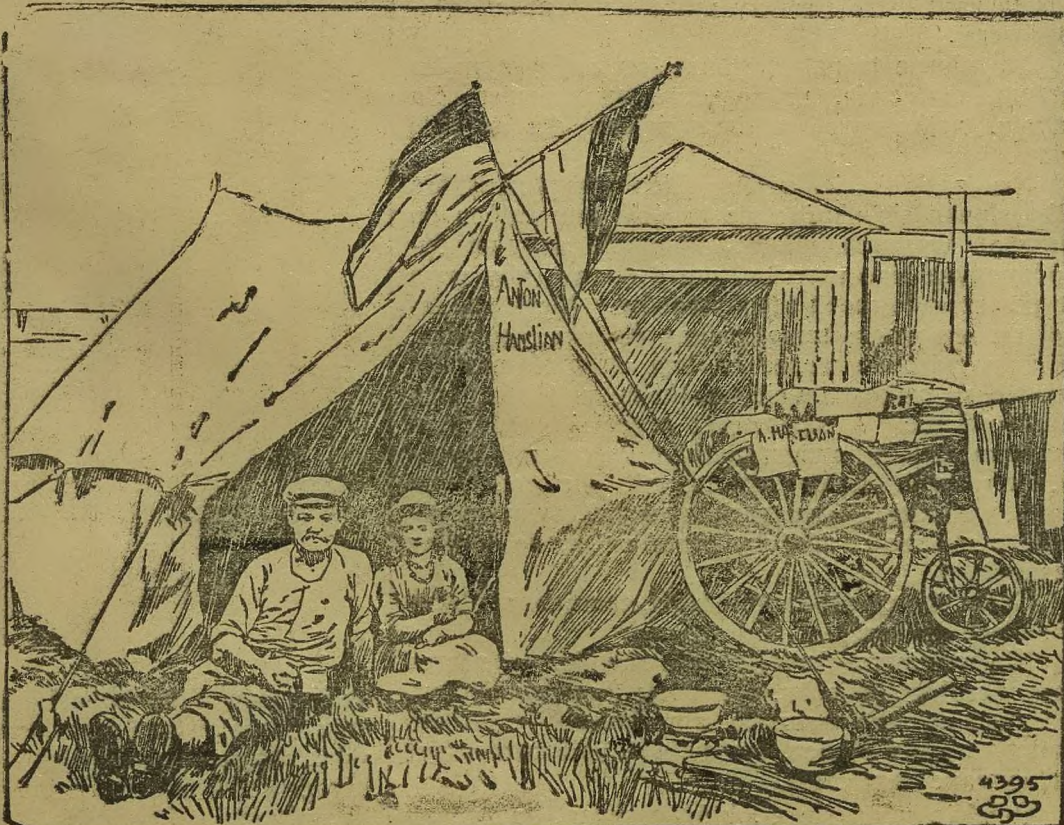
Maryan Gawalewicz.

UKOCHAJ.

Ukochaj duszą wszystko to, co swoje,
Z nad niw ojczystych ptasząt śpiew radosny,
Wśród swojskiej miedzy polnych kwiatów zwoje,
Co pną się w niebo, gdy wionie dech wiosny.

W podróży naokoło świata.

W roku 1900 wybrał się pewien obywatel wie-deński Antoni Hanslian w podróż naokoło świata i to piechotą. Na mały ręczny wózek dziecinny za-brał najpotrzebniejsze przy-bory jak: namiot składany, statki kuchenne, odzieży trochę; zabrał żonę i córkę małą i ruszył. Wyją-wszy przeprawy przez mo-rze, przeszli pieszo Europę, Afrykę, Amerykę, Australię, Azyę — obecnie znajduje się Hanslian znów w Eu-ropie w drodze powrotnej. Kiedy wędrował przez Azyę zaplątany został w wojnę rosyjsko-japońską i o mało co nie zastrzelono go, jak szpiega. Skutkiem tego za-chorowała żona Hansliana i nie czując się na siłach do znoszenia nadal trudów wędrowki wróciła do Eu-ropy i umarła w Anglii. Żony i matki. Dziwna ta podróż trwała 8 lat.



Hanslian i córka wędrowali dalej pieszo a końcem ich wędrówki będzie Anglia i grób podróży podjął Hanslian wskutek zakładu, który stanął o 40 000 marek. Podróż trwała

Ukochaj duszą melodyę siól zdrową,
W której natury świeża nuta dźwięczy,
I w krasie stroi czystych piersi słowo,
Od ujścia rzeki aż do gór przeleży.
W tej pieśni swojskiej słychać lasów granie,
Słychać szum rzeki, natury tęsknotę,
Słychać serdeczne, szczere ukochanie,
I myśli złote, i dno serca złote,
Ukochaj szczerze wszystko to, co swoje,
Natury tętnienie całą wielką duszą,
Jak prawd odwiecznych odświeżą cię zdroje,
Gdy przez ból życie stanie się katuszą.

Władysław Karoń.

Zdobycze nauki.

Technika oziębiania i jej zastosowanie.

Przemysł i technika przemysłowa usiłują za-wsze wykorzystać praktycznie wszystkie zdobycze wiedzy i prawie zawsze idą pilnie w ślad za jej po-stępem. Podobnie było z niskimi temperaturami i wogóle z techniką oziębiania. Pierwszy maszyna oziębiająca pojawiła się w świecie przemysłowym mniej więcej przed 50 laty. Powoli ulepszano ją co-ras bardziej, tak, że już w roku 1878 na wystawie paryskiej znalazła się maszyna do fabrykacji lodu, produkująca 1500 kilogramów lodu na godzinę przy temperaturze 20 stopni Celzyusza niżej zera. Po-tem aparaty oziębiające stawały się coraz doskonalsze, osiągnęto kolejno temperatury: 100 stopni Cel., 150 stopni Cel., 195 stopni Cel., wreszcie nawet 260,

tak, że załedwie 13 stopni Cel. dzieli jeszcze uczonych od tak zwanego absolutnego zera t. j. punktu, przy którym ciepło zupełnie zanika. Ciało o temperaturze — 273 stopni Cel. jest absolutnie zimne i nie może już być zimniejsze.

Przemysł z tego sztucznego oziębiania do niskiej i jeszcze niższej temperatury ciągnie liczne korzyści, stosuje je dla rozmaitych celów. I tak n. p. niemałą rolę odgrywają obecnie maszyny oziębiające przy hodowli jedwabników. Zastosowano je do tego celu przypadkowo, potem dopiero zrozumiano korzyści stąd płynące. Gąsienice jedwabnika w północnych Włoszech ginęły wskutek straszliwej epidemii, występującej rok rocznie. Wielki uczony Pasteur, do którego się zwrócono, odkrył, że zarazki tej epidemii giną w temperaturze — 20 do 30 stopni Cel., podczas gdy jaja jedwabnika wytrzymują bardzo dobrze tę temperaturę. Włoch M. Lucani zastosował więc w r. 1877 aparaty oziębiające jako środek ratunkowy przeciw epidemii, którą dzięki temu, udało się z czasem zupełnie wytepić. Równocześnie jednak hodowcy wpadli na myśl, że w ten sam sposób można przewlec lęgnięcie się gąsienic aż do chwili, gdy drzewa morwowo pokryją się bujnymi liśćmi. Uniknięto przez to dawniejszych strat wcale znacznych i odtąd reguluje się hodowlę w północnych Włoszech — możnaby powiedzieć — z zegarkiem w rękę.

Także przechowywanie i konserwowanie środków żywności zawdzięcza swe udoskonalenie jedynie maszynom oziębiającym. Dzięki temu mleczarstwo, serownie, zakłady rzeźnicze, transport ryb, dziczyzny i t. p. doszły do takiego stopnia rozwoju, jaki jeszcze przed dwudziestu laty wydawał się zupełnie niemożliwy. Jakiem zaś dobrodziejstwem stał się ten postęp techniczny dla zaopatrywania wielkich miast, tłumaczyć nie trzeba. Mieszkańcy Londynu i Paryża jedzą mięso do-

wożone z po za oceanu i przechodzące w drodze przez klimat zwrotnikowy. Mimo to jest ono świeże i doskonałe, a przytem tańsze od mięsa wyprodukowanego w kraju. Ryby z Alaski i z Oceanu Spokojnego są przewożone w środku lata wśród najstraszliwszego upału przez kraje Stanów Zjednoczonych i dochodzą do miejsca przeznaczenia w stanie takim, w jakim włożono je do wagonu kolejowego w odległości setek i tysięcy mil.

Wielkie postępy techniki oziębiania skłoniły świat przemysłowy do zwołania na lipiec br. w Paryżu kongresu, który wyłącznie będzie poświęcony przemysłowi pozostającemu w związku z techniką oziębiania. W sześciu rozmaitych sekcjach toczyć się będą obrady nad teorią oziębiania, nad sposobami zastosowania oziębiania do celów praktycznych, konserwacji, transportu, higieny, chemii przemysłowej itp. Da to sposobność do obszernej dyskusji, a projekty rzucone podczas obrad mogą się stać podstawą niejednego nowego wynalazku w tej dziedzinie. Z kongresem złączona będzie wystawa i demonstracje najrozmaitszych aparatów, dawniejszych i nowo ulepszonych. Prezydentami honorowymi kongresu są b. prezydent Loubet i M. Freycinet; przewodniczącym będzie Andree Lehon; sekretarzem generalnym Edward Loverdo.

Oj nie ta jest ciężka droga,
Co prowadzi nawskroś świata.
Ale ta jest ciężka droga,
Którą z gniazda ptak odlata!
Oj nie ta jest ciężka chwila,
Kiedy sypią ci mogiły,
Ale ta jest ciężka chwila,
Kiedy rzucasz — co ci miłe!

M. Konopnicka.



Nieszczęście w Londynie,

które w zabrało w ofierze kilkadziesiąt osób. przedstawia nasz obrazek. Oto niespodziewanie w nocy zawalił się hotel Bernina, położony w pobliżu Oksfordstreet, jednej z najuchłiwszych ulic. Żadne oznaki nie zapowiadały nieszczęścia i dlatego przypuszczać trzeba, że spowodował je wybuch gazu. Przechodzący nocą stróż spostrzegł spadające na ulicę cegły i nim zdołał zorientować się, już cały front runął. Tumany kurzu nie pozwalały na razie rozpoznać rozmiarów nieszczęścia. Co prędzej oświetlono ulicę i zabrano się do ratowania. Górne piętra domu jeszcze stały i udało się mieszkające tamże osoby uratować, zanim reszta murów runęła. Mieszkający na niższych piętrach zostali wszyscy pogrzebani w gruzach, z których wydobywały się rozpaczliwe wołania o pomoc. Ogólna liczba zabitych i ciężko rannych wynosi około 50 osób.

Obrazki z życia zwierząt.

W roku 1809, w bitwie pod Eslingen nad Dunajem, trębacz francuskiego pułku jazdy, Jakób Lamón, był zabity. Wierny koń trębacza pozostawał przy zwłokach i nikogo nie przypuszczał do nich. Cesarz Napoleon I, który objeżdżał pobojuwisko, spostrzegł walkę konia z żołnierzami, sprzątającymi trupy. Gdy się dowiedział, o co chodzi, rozkazał pozostawić konia przy zmarłym trębaczem. Naza jutrz doniesiono Napoleonowi, co następuje: wierne stworzenie przez całą noc pozostawało przy zmarłym Lamonie. O brzasku koń zaczął przenosić zębami zwłoki Lamona z miejsca na miejsce i obwachiwał je od stóp do głowy. Nareszcie widząc, że wszelkie usiłowania, aby zbudzić biednego przyjaciela są daremne, koń zarżał i legł smutny przy trupie pana swego.

W roku 1812 pewien kapral z korpusu Eugeniusza Boharne'go, ratując się ucieczką podczas słynnej przeprawy armii Napoleona przez Berezynę, zgubił ulubionego pieska Meffino, którego był wziął ze sobą na wyprawę. Po powrocie do domu do Francji kapral długo tęsknił za swoim małym przyjacielem, sądząc, że piesek utonął. Pewnego wieczoru, siedząc przy bramie swego domostwa, zauważył kapral czołgającego się, wychudzonego, z wytartą pilścią pieska, który zaczął się doń łasić. Kapral, człowiek popędliwy, opryskliwie odpędził pieska, lecz potem przyjrawszy mu się pilniej, powiedział półgłosem: „czy też nie jest to czasem mój biedak Meffino?” Zaledwie wyrzekł wiarus imię „Meffino“ gdy piesek drgnął cały, podskoczył, radośnie zaszczekał, zaskomlał i drżąc ze wzruszenia, zaczął lizać ręce kaprała, szyję i twarz. Kazał mu „służyć!” — piesek służy; rzucił kamyszek — małe stworzonko natychmiast przyniosło go do pana. Widoczną było zatem dla kaprała rzeczą, że było jego ulubiony Meffino. Małe rozumne stworzenie przebiegło tedy tysiące wiorst, przebyło wpływ setki rzek, liczne góry, cierpiało głód, chłód i niezliczone biedy, ledwie żywe z wyczerpania znalazło drogę do domu i wreszcie znalazło swojego pana!

Też same szlachetne rysy spotykamy i u słoni. Liczni myśliwi, zjeżdżający z Europy do Afryki dla poszukiwania słoniowej kości, zapędzają słonie w dzikie gąszcze leśne i zapalają te olbrzymie pułapki ze wszystkich stron. Nieszczęśliwe zwierzęta, dusząc się w gęstym dymie straszliwego pożaru, troszą się jednak bynajmniej nie o siebie, lecz myślą przede wszystkim o ratowaniu swych małych. Odsuwają je dalej od płomieni, zlewają wodą i chronią własnymi ciałami przed ogniem i kulami myśliwych tak długo, aż same padną nieżywe.

Oto jeszcze wzruszające opowiadanie, które podajemy za jedną z gazet rosyjskich:

W gubernii Kostromskiej, w lesie nad brzegiem jeziora stała chata leśniczego. Codzień przy wschodzie słońca na jezioro zlatywała para pięknych labędzi. Piękne, jak świeży śnieg, białe ptaki spotykały tu wschód słońca, napieniały powietrze okrzykami szczęścia i radości, nurzały się, igrały w przejrzystej wodzie. Leśniczy mógł spokojnie się na-

patrzeć milemu obrazowi labędzkiego szczęścia. Lecz się w nim zbudził wreszcie myśliwy. Schował się tedy w krzaki i zabił labędzia. Towarzyszka zabitego ptaka zrobiła ogromny krzyk na las cały, a gdy leśnik podpłynął czołnem, by wziąć z wody zdobycz, ptak z rozpaczą i krzykiem długo bronił skrzydłami i dziobem ciała zabitego małżonka. Nie bojąc się zabójcy, ptak mężnie rzucił się na niego i gdy leśniczy zeszedł już na brzeg jeziora, zatoczył po wodzie koło i odleciał. Leśniczy nie miał serca zabić towarzyszkę zamordowanego ptaka.

LEW POKORNY.

Źle zmyślać, źle prawdę mówić w pańskim dworze, Lew chcąc wszystkich przeświadczyć o swojej pokorze, Kazał się jawnie ganić. Rzekł lis: jesteś winny, Boś zbyt dobry, zbyt łaskaw, zbyt dobroczynny. Owca widząc, że kontent, gdy liszka ganiła, Rzekła: okrutnyś, żarłok, tyran.... już nie żyła.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia przeszłości naszej.

21-go kwietnia 1440: Węgrzy ofiarują koronę królowi polskiemu Władysławowi. W cztery lata później ginie tenże król pod Warną w bitwie z Turkami.

22-go kwietnia 1828: car Mikołaj wydaje ukaz, którym zmienia urzędzenia Kościoła unickiego wedle wskazówek księcia Siemaszki, zaprzedanego Rosji.

23-go kwietnia 997: zamordowanie św. Wojciecha przez pogańskich Prusaków.

23-go kwietnia 1296: Władysław Łokietek wybrany pierwszy raz królem.

23-go kwietnia 1794: wybuchło powstanie w Wilnie, gdzie pułkownik Jasiński przy pomocy mieszczan wileńskich wypędził z miasta Moskali a pułkownika moaskiewskiego Arseniewa wziął do niewoli.

24-go kwietnia 1528: wielki pożar w Krakowie.

25-go kwietnia 1333: koronacja króla Kazimierza Wielkiego.

26-go kwietnia 1796: trzebi rozbiór Polski.

27-go kwietnia 1796: uroczyste objęcie rządów nad Krakowem przez Austriaków.

28-go kwietnia 1848: bitwa pod Miłosławiem, nieszczęsna dla wojska polskiego.

29-go kwietnia 1849: Księstwo Poznańskie protestuje przez usta swych posłów przeciwko wcieleniu do Niemiec.

29-go kwietnia 1863: bitwa pod Pyzdrami, w której Polacy odnoszą świetne zwycięstwo nad Moskalami.

30-go kwietnia 1310: urodził się późniejszy król Kazimierz Wielki.

Trzeci Maj r. 1791.

Z Trzecim Majem
Ponad krajem,
Zajaśniało słońce,
Zaświeciło
Nad mogiłą
By z martwych budzące...
I ozwały
Się hejnały:
Ot widno „co czyje“
Ot zaranie,
Zmartwychwstanie,
Jeszcze naród żyje!

Z Trzecim Majem
Ponad krajem,
Zajaśniało słońce...
I zerwały
Się ze skały,
Ptaki latające...
Ziemia zwidła —
Szumią skrzydła —
Powstańcie do dzieła
Słońce świeci,
Ptactwo leci,
Jeszcze nie zginęła!

Kazimierz Gabryelski.



Czas i praca.

Słyszymy bezustannie, że czas to materya, z której utkane jest życie nasze, a jednak nie potrafimy prawie nigdy ocenić straty, jaką ponosimy przez zmarnowanie jednej godziny; — nie zastanawiamy się, że ta godzina to część naszego życia, żeśmy o tę część powinni dbać jak się dba o rok cały, o lat dziesiątek.

W życiu przeszkadzają nam ciągle złudzenia, kłopotujemy się nie o to, co mamy tuż przed sobą, nie o chwilę obecną, lecz tylko o przyszłość.

Mówimy często: „Na jutro odłożymy tę sprawę, co nie zrobimy teraz, to zrobimy później“. Ale któż nam zareczy, że tego jutra doczekamy?

Jutro jest wielkim nieprzyjacielem dnia dzisiejszego, — to ten nieprzyjaciel paraliżuje nasze siły i doprowadza nas do niemocy pobłażając bezczynności.

Najpierwszym warunkiem dobrego spożytkowania czasu jest ranne wstawanie. Stare przysłowie mówi: „Ranne wstanie daje zdrowie, fortunę i mądrość“, trzy rzeczy najszacowniejsze w życiu.

Czy ranne wstawanie rzeczywiście daje zdrowie? Na pytanie to w ostatnich czasach jakiś doktor starał się odpowiedzieć przecząco, lecz dotychczas higiena zalecała ranną godzinę dla zdrowych. Każdy na sobie może doświadczyć dobroczynnego wpływu świeżości poranku; zrana energia w nas się budzi, wieczór nigdy tak nie orzeźwia. Wszak to rankiem ptaszka najweselej śpiewają i cała natura najweselej wygląda; powinniśmy naśladować naturę, tę mistrzynię doskonałości.

Jakimże sposobem ranne wstawanie może wpływać na nasz dobrobyt?

Najprzód odpowiedzmy na pytanie: co to jest bogactwo? Są to nagromadzone owoce pracy. Aby pracować potrzeba czasu, aby mieć czas trzeba rano wstawać.

Wogóle dzień pracy oznacza się przeciągiem czasu dziesięciogodzinnym; od ósmej godziny rannej do ósmej wieczornej pracować zdrowy człowiek może bez nadwężenia sił, w tem mieści się dwie godziny na posiłek i odpoczynek.

Przy takiej zasadzie ten co wstaje o siódmej godzinie, zyskuje na miesiąc trzydzieści godzin, a na rok 365 czyli więcej niż miesiąc czasu.

Rok więc dla człowieka wstającego o siódmej godzinie, ma nie dwanaście ale trzynaście miesięcy, dla wstającego o szóstej rok ma miesiące czternaście, i t. d. Czyli im człowiek wstaje raniej, tem dłużej żyje. Bogactwo więc musi rosnąć u ludzi rano wstających; sposobność zarobku trzeba chwycić za włosy, a kto spoczywa w łóżku, ten jej uchwycić nie zdoła.

Drugim warunkiem zrobienia jak najwięcej jest nie odkładanie tego napotem, co się teraz robić powinno.

Nie nie odkładać, to wielki sekret tych, którzy cudownie czas wydłużają. Odkładając na jutro, zapominamy, że każdy dzień, każda godzina przynosi nam nowe zajęcia.

Wielkie dzieła dokonywają się nie przez pracę nad siły, lecz przez pracę ciągłą, wytrwałą, systematyczną. Porządek prowadzi do bogactwa, a pierwszym warunkiem porządku jest nie pozostawiać bez ukończenia.

Porządek jest ekonomią czasu; rodzina, która nie zna w swych czynnościach porządku, musi upaść.

Trzecim środkiem przedłużenia sobie życia, uważanego jako przeciąg czasu, potrzebny na dokonanie dzieł pożytecznych, jest zasada: aby naraz zajmować się tylko jedną rzeczą.

Spotykamy ludzi, którzy odrazu chcieliby zrobić mnóstwo rzeczy i skutkiem tego chaosu tak się zaplątują w sieć interesów, że nie mogą ani jednego jak należy załatwić.

Człowiek inteligentnie rozwinięty jest ten, który potrafi całą swą uwagę skupić na jeden przedmiot a zapomnieć na chwilę o reszcie; skupianie myśli i woli jest wielką siłą umysłu ludzkiego. Wszyscy wielcy wodzowie, wielcy uczeni, wielcy politycy byli to ludzie, którzy naraz tylko jedną rzeczą się zajmowali.

Ważną także dźwignią w życiu człowieka jest dobry humor; zły humor prowadzi za sobą stratę czasu.

Pamiętajmy, że rzeczy nie zmieniają swej natury dla nas; ani rzeczy, ani interesa nie dbają o nas, lecz my o nie dbać powinniśmy. Gdy się więc znajdziemy wobec zajęcia, które nam się nie podobają, powinniśmy śmiało je zaatakować z jak najlepszym humorem. Z takim humorem doprowadzimy najtrudniejszą sprawę pomysłnie do końca, nie zatruwając sobie życia, które ma dość rzeczywistych smutków, abyśmy je jeszcze truć mieli przywidzianiu.

Umysły zgorzkniałe, smutne, są zwykle własnością ludzi zazdrosnych i bezsilnych. Ludzie czynni, prawdziwi władcy chwili obecnej, nie mają czasu na stracenie, biorą się odważnie do dzieła, nie pocieszając się po stracie dziecinne ubolewaniem.

Streszczając, cośmy powiedzieli, pamiętajmy:

1) nie odkładać tego na jutro co się powinno dziś zrobić;

2) naraz zajmować się tylko jedną rzeczą;

3) starać się zawsze o dobry humor.

Przy tych warunkach praca musi doprowadzić jednostki do dobrobytu a naród do potęgi.



NASZA CHWAŁA.

Deotyma.

Około roku 1852 zarłyła w Warszawie ośm-nastoletnia panienka, Jadwika Łuszczewska, dzięki temu, że na tygodniowych zebraniach u rodziców wygłaszała wiersze z pamięci własnego układu; nie pisała ich naprzód, nie układała, ale gdy przyszło na nią natchnienie, z piersi jej płynęły wiersze, w których śpiewała o szczęściu i rozkoszy, o ziemi i przyrodzie, o sławnej naszej przeszłości i zwy-



cięstwach słynnych. Wieść o tem szła szybko wszędy, a młodej poetce jednała życzliwość i przychyłność.

Tem większą jednała życzliwość, iż poetka była młoda; urodziła się bowiem 1 sierpnia 1834 roku w Warszawie z rodziców żywo się zajmujących nauką. Jadwiga z zapalem oddawała się nauce, którą zyskiwała szybko dzięki swym zdolnościom. Wysokie wykształcenie i żywa a ruchliwa wyobraźnia pozwalały jej ubierać pomysły swoje w wiersze, których pierwsze tomy ukazały się około 1854 roku.

Nie mogąc jednak wypowiedzieć swoich myśli o Polsce, bo cenzura moskiewska na to nie zezwalała, powzięła plan przedstawić w poemacie całe dzieje Polski, podobnie jak to uczynił Kraszewski

w swoich powieściach. Píše więc poemat „Lech“, w którym przedstawia jak powstało państwo polskie, opowiada znaną opowieść o znalezieniu przez Lecha orłów w miejscu, na którym dziś wznosi się Gniezno. Dalsze dzieje przedchrześcijańskie Polski przedstawia w „Wojnie obrzymów“, „Wyszmyrze“, „Dwunastu wojewodach“, „Krakusie i Wandzie“.

Nie przedstawiła nam jednak Łuszczewska, która swe poematy ogłaszała pod nazwiskiem „Deotymy“, całego obrazu naszych dziejów, bo zaraz po Krakusie i Wandzie następuje poemat o słynnej bitwie wiedeńskiej. Przywołuje nam na pamięć walki z Turkami i Tatarami, które przyniosły Polsce przydomek „przedmurza chrześcijańskiego“, dni chwały i zwycięstwa, jakie święcił Sobieski pod Wiedniem.

Oprócz poematów Deotyma pisała również powieści z współczesnego życia; atoli te nie zjednały jej tyle rozgłosu, co historyczna powieść o „Brankach w jassyrze“. Rozchwytywano ją wprost, jak dziś sienkiewiczowska Trylogię. Autorka wiedzie nas w ubiegłe lata, kiedy to Tatarzy najechali pierwszy raz w r. 1241 Polskę, zniszczyli kraj, cały ogniem i mieczem, setki zaś i tysiące kobiet i dwojga porwali w niewolę t. j. jassyry, i powlekli je do swych siedzib w głąb Azji. Dzieje tych cierpień musiały wzruszyć serca czytelników, którzy przyjęli powieść z zapalem, i wdzięczni byli za nią autorce, co dzisiaj przebywa w Warszawie, otoczona powagą i życzliwością i co pewien czas ogłasza poematy z „Polski w pieśni“.

* * *

MOWA POLSKA.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś świątynią marmurową.
Kędy przyszłość w pełnej zbroi
Na ołtarzu wspomnień stoi.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś mądrością jest ludową;
Na niej wije się myśl kmiotka,
Jakoby nie kołowrotka.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jest czarą brylantową,
Gdzie młódz usta spragnionemi,
Pije miłość polskiej ziemi.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jutrenką purpurową;
Póki nie zagaśnie ona,
Dusza twoja nie zgazona.

Skarbie wieków, polska mowo!
Ty jesteś lutnią spiżową,
Na której myśl wiecznie żywa,
Hymny prześliczne wygrywa.

Skarbie wieków, polska mowo!
Tyś jest trumną kryształową,
Gdzie usłony naród święty,
Zamknął swych pamiątek szczęty.

Deotyma.



OPISY NASZEGO KRAJU.

Jak to na Kujawach.

Pomiędzy Wisłą z jednej, a Notecią i jeziorem Gopłem z drugiej strony, leży obszerny skraw ziemi. To Kujawy.

Tu przed wiekami ciągnęły się knieje nieprzebyte, a zwierz dziki gromadami po nich chadzał spokojnie i bezpiecznie. Wody była też moc okrutna. Rozległe mokradła, nazwane później Bachorza, setki większych i mniejszych strumieni, rzeczki, jeziora, niby sieć srebrna na onej puszczy leżały, łącząc wody Gopła z wodami Bałtyku.

Aliści zmieniły się czasy, przyszedli osadnicy i wnet stuletnie drzewa pod toporami jęły kłaść się na ziemi. Wycięcie lasów zmniejszyło wilgoć powietrzną, strumienie i jeziora wysychać zaczęły, przerwała się wodna siatka i oto tam, gdzie niegdyś rozlewały się szeroko bezbrzeżne topiele, dziś trawa po pas stoi, lub żyto czy pszenica szumy złotymi kłosy. Ukryta pod cieniem lasów, żyzna, urodzajną glebę ręce człowieka „ku jawie“, czyli na ław wyprowadziły. Tak jedni pochodzenie nazwy „Kujawy“ objaśniają.

Znakomity uczony polski, Staszyc, w jednym ze swych dzieł o Kujawach to pisze:

„Geologowie*) utrzymują, iż Kujawy były kiedyś dnem morskim, a czarna, tłusta ziemia owego kraju niczem innem nie jest, tylko grubą warstwą szlamu, to jest mułu pozostałego po odpływie morza. Gopło nawet, jak dowodzą, ma być połączone podziemnymi otworami z Bałtykiem“.

„Tak, czy inaczej, błogosławiona to Kraina. Nie obfituje wyprowadzie w piękne widoki (choć i te spotyka się od czasu do czasu), brak jej wzgórz, brak obszernych lasów, ale zato daje śliczną pszenicę, której pewien gatunek, „Kujawka“ zwany, za gra-

nicą nawet ze swej dobroci słynie, daje żyto bujne i jarzyn moc przeróżnych i ryby i grzyby, bo jak stara piosenka mówi:

Da wszyseyma tu jednacy,
Ja Kujawiak, ty Kujawiak,
Mamy soli, mamy chleba,
Wody, wódki, co potrzeba,
Oj da, da, da...

Ja Kujawiak, ty Kujawiak,
Wszyscvśma tu Kujawiacy
I niczego nam nie braknie.
Tylko drzewek każdy łaknie,
Oj da, da, da...

Szkoda drzewek, szkoda. Wycinało się lasy, nie pamiętając o przyszłości, więc teraz trzeba się obywać bez drewek i palić, jeżeli nie węglem, to torfem. Szczęściem jeszcze, że torfowiska są dość liczne.

Przysłowie „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi“ sprawdza się tutaj. Mieszkający w lesistych stronach za granicą płocką pomiędzy Notecią a Wisłą Pałuczanie, mówią: „Pałuczanie idą z kijem po chleb, Kujawiacy z chlebem po kij“.

Teraz jednak, choć troszkę już po niewczasie, zmądrzeli ludzie, i gdzie u kogo jaka wydma piaszczysta, to zaraz najpierw utrwała ją łożą, a po tem sądzi, czy sieje pocziwają choinę.

A takich wydm piaszczystych nie brak jednakże na Kujawach. Niby brzydkie narośle, ciągną się one tu i owdzie smugami szerokimi, szpecąc urodzajne niwy kujawskie.

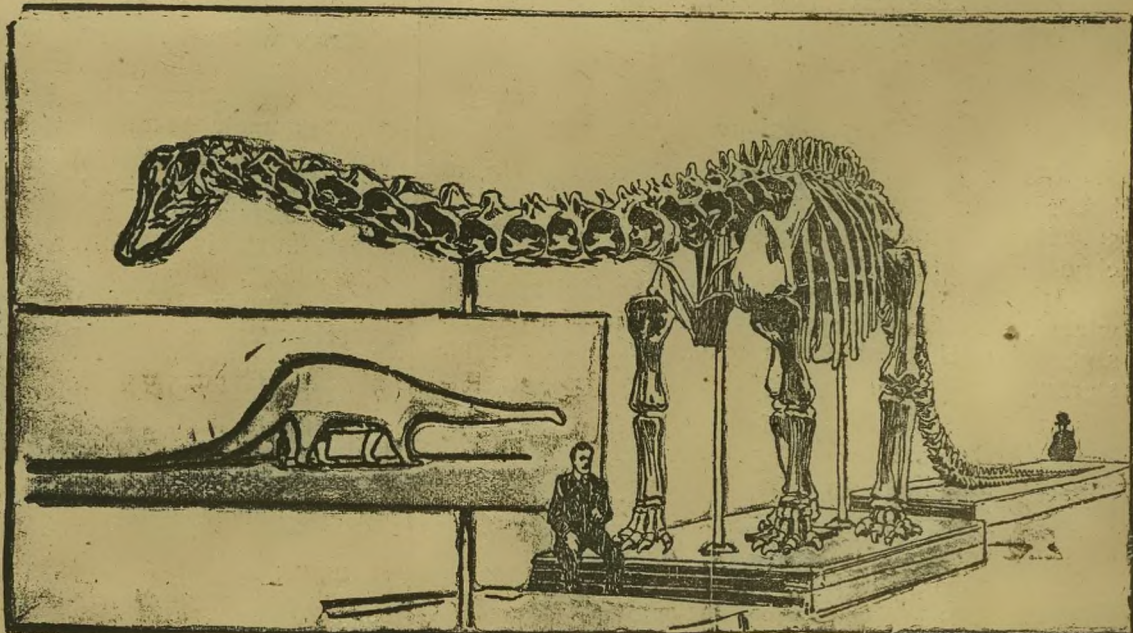
Pracują ludzie około roli, zasiewają lasy, osuszają łąki.

I tak ów pas od Gopła idący, a zwany Bachorza, który wylewy wiosenne zamieniały w istne jezioro, teraz przez wykopanie kanału trzy mile długiego osuszono zupełnie.

Szkielet zwierzęcia przedpotopowego.

Muzeum przyrodnicze, w Pittsburgu założone przez znanego miliardera amerykańskiego Carnegiego, posiada rzadki okaz zwierzęcia przedpotopowego z rodzaju jaszczurczego. Szkielet zwierzęcia, przedstawiony na obrazku jest 26 m. długi i 5 metrów wysoki. Dla porównania wielkości zaznaczamy, że słon brytyjski bywa co najwyżej 4 m. długi i 2½ m.

wysoki. Pomimo swego ogromu było to zwierzę dla innych zwierząt nieszkodliwe, gdyż żywiło się wyłącznie liśćmi drzew i trawą, było zaś w czasie, gdy nasza ziemia nie była jeszcze do tego stopnia ostygła, co dzisiaj, więc roślinność na niej była nadzwyczaj bujna. Szkielet zwierzęcia, które uczeni zowią „Diplodocus“ znaleziono w kopalniach węgla w stanie Nebraska w Ameryce Północnej. Carnegie chcąc przysłużyć się ogólnie światowej nauce, kazał sporządzić ze szkieletu odlewy gipsowe i odlewy te podarował muzeum europejskim.



Dolina błot Bachorskich, niegdyś droga wodna z Gopla do Bałtyku ciągnęła się od Kruszwicy do samego koryta Wisły, koło Włocławka. Z czasem po opadnięciu wód goplańskich, dolina zarosła trzciną, tworząc kilkumilowe błoto, schronisko wilków, siedlisko febry i gorączki. Wykopanie kanału osuszyło błoto, zmieniając je w piękne łąki. Równiny nadbachorskie są ojczyzną dropi, ptaków nigdzie indziej w Królestwie nie spotykanych.

Odwdzięcza się ziemia człowiekowi za pracę i chleba w bród daje. Ludzie też syci, weseli, dziarscy i żwawi. Przy robocie piosenką z ust Kuja-wiaka nie schodzą.

Już ty śpiewasz, skowroneczku,
Już ci i ja orzę,
Obu nas przy robocie
Ranne widzi zorze.

Bóg wspomóż, skowroneczku,
I dodaj nadzieję.
Wszakże ja i dla ciebie
I dla siebie sieję.

Albo znów czy nie swojsko brzmi ta odwieczna śpiewka, którą Sienkiewicz włożył w usta swej bohaterki Danusi, w powieści historycznej z XV-go wieku, pod tytułem „Krzyżacy”.

Żeby ci ja miała
Skrzydółka jak gaska,
Poleciałabym ja
Za Jasiem do Śląska!

Usiadłabym ci ja
Na śląskowym płocie:
Przypatrz się Jasiulek
Ubogiej sierocie.

Żebyś ci ty była
Uboga sierota,
Nie miałabyś wianka
Ze szczyrnego złota.

A trzy lata ci ja
Na niego służyła,
Ze szczyrnego złota
Wianek-em uwiła.

Ma tych pieśni lud kujawski bardzo wiele, na każdą porę, przy obrzędach polnych, przy uroczystościach domowych, zawsze jeżeli nie śpiewa, to choć nuci półgłosem.

Obrzędów miejscowych było dawniej znacznie więcej, obecnie wiele zarzucono, n. p. charakterystyczny obchód obierania króla lub królowej pa-sterzy.



ZDANIA I MYŚLI.

Acz pożyteczną jest mowa,
Pohamuj ust twych ochotę;
Srebrnemi mogą być słowa,
Milczenie jest szczerozłote.
Lucyan Siemieński.

— o —

Czyż język ojczysty nie jest tysiąc razy płynniejszy, poważniejszy i naturalniejszy niż najbardziej wyćwiczona gawęda niemiecka, która, bądź co bądź, przypomina szkołę i z najwymowniejszej osoby robi uczennicę mniej więcej biegłą? Właśnie w potocznej mowie powinniśmy pokazać, jak znamy, czcimy i pielęgnujemy język ojczysty. Właśnie w potocznej mowie kobiet powinien język ojczysty nabierać giętkości i wytworności. Czyż nasze panie nie poczuwają się do tego miłego obowiązku?

Eliszka Krasnohorska.

— o —

W rozbolełego serca żywą księgę,
Zapisz na zawsze słowa takiej treści:
Jak ruda w ogniu znajduje potęgę
Oczyszczającą, — tak człowiek w boleści.
Jan Kasprowiec.

— o —

Któż obywatel? ten, co swymi trudy
Wspiera los braci, choć przeciwność bije,
Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
„Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!”
Franciszek Książnin.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia
przeszłości naszej.

1-go maja 1576: koronacja Stefana Batorego i Anny Jagiellonki.

1-go maja 1832: zniesiono w Wilnie uniwersytet, założony przez króla Stefana Batorego w r. 1578.

2-go maja 1068: król Bolesław Śmiały zdobywa Kijów i wjeżdżając doń, na znak zwycięstwa uderza mieczem w Złotą Bramę, przyczem miecz się wyszczerbił.

2-go maja 1794: Tadeusz Kościuszko wydaje odezwę, w której wzywa obywateli, aby włościanom nadali swobodę, mianowicie tym z włościan, którzy wstąpili w szeregi wojskowe.

2-go maja 1848: utarczka pod Wrześnią. Polacy odnieśli wprawdzie zwycięstwo, lecz była to jednak ostatnia walka w ówczesnym ruchu.

3-go maja 1791: ogłoszenie wiekopomnej ustawy konstytucyjnej w Polsce, zwanej odtąd „ustawą 3-go maja”.

3-go maja 1792: w Warszawie obchodzono uroczyste rocznicę nadania konstytucji, przyczem położono kamień węgielny pod kaplicę pamiątkową w ogrodzie botanicznym.

3-go maja 1798: legiony polskie wkraczają do Rzymu pod dowództwem generała Henryka Dąbrowskiego.

3-go maja 1807: Polacy po ustąpieniu Prusaków z Warszawy obchodzą uroczyste rocznicę konstytucji; ks. biskup Woronicz celebrował uroczyste dziękczynne nabożeństwo w ogrodzie Książńskich.



TRZECI MAJ W KRAKOWIE.

W porannych już godzinach miasto było bardzo ożywione. Przybranemi w chorągwie ulicami przeciągały orkiestry „Harmonii” i szkół średnich, grając narodowe melodye; orkiestrom towarzyszyło dużo młodzieży z kokardami o barwach narodowych i białych orzelkach. Trębacze na wieży Maryackiej wygrywali hejnały.

Tłumy publiczności krakowskiej i przyjeźdźnej krążyły po mieście, składając ofiary na rzecz Towarzystwa Szkoły ludowej, które urządziło stoliki z rozsprzedażą swych wydawnictw w licznych punktach miasta, a nadto ustawiło puszki na grosze ofiarne przy słupach latarnianych.

Olbrzymi Rynek przedstawiał piękny widok. Z wieży ratuszowej i Sukiennic powiewały sztandary o barwach miasta; prawie wszystkie domy przybrane były chorągwiami; okna kamienic pokryte barwnymi „nalepkami” Towarzystwa Szkoły ludowej.

Pierwszym punktem programu narodowego obchodu było nabożeństwo w kościele N. Maryi P. Przed wielkim ołtarzem cichą mszę odprawił ks. infulat Krzemieński. W stallach zasiadła Rada miasta Krakowa oraz reprezentacja magistratu krakowskiego, burmistrz Podgórze, grono profesorów uniwersytetu. W presbiterium stało blisko czterdzieści chorągwi cechowych; obok nich cała krakowska starszyzna cechowa z buzdycanami w ręku; niektórzy z cechmistrzów byli w strojach polskich.

Po nabożeństwie wszedł na ambonę gwardyan Braci Mniejszych ks. Janicki i wypowiedział podniosłe kazanie. Konstytucja 3 maja — mówił — była wielkiem odrodzeniem narodu, społecznym i politycznym przełomem, od którego rozpocząć się miało nowe życie narodu; była jedną z tych chwil, na które Bóg wieki każe czekać narodom, ale o których potem wieki pamiętają. Słusznie więc czyni naród, iż święci pamięć tej dziejowej chwili z całą czcią i uroczystością. Słusznie czyni naród, iż święci ten dzień z powagą, z najwyższą podniosłością ducha, z radością, a święci ją wszędzie, dokąd sięga język polski. Pierwszym obowiązkiem miłości ojczyzny jest głęboka wiara, solidarność, jedność i zgoda, praca dla ludu, szerzenie wśród niego oświaty, poprawienie jego doli.

Po ukończeniu nabożeństwa około godz. 1½11 na dany znak mistrza ceremonii ruszył pochód imponujący ogromem i powagą z rynku na Wawel. Na czele jego szła w ośmiorzędach krakowska ochotnicza straż pożarna wraz z szeregiem członków straży pożarnych okolicznych i z kraju, przybyłymi dla wzięcia udziału w świeżo otwartym kursie pożarnictwa. Dalej postępowali tysiączną kolumną uczniowie zakładów naukowych krakowskich. Dalej za nimi grupa włościan, przybyłych na uroczystość z Wadowic, Tuchowa, Tarnobrzegu, Sokolnik i Tarnowa. Dalej nieskończony szereg instytucji, korporacji i stowarzyszeń krakowskich ze sztandarami, wieńcami i odznakami.

W środku pochodu poprzedzeni i zamknięci plutonami straży pożarnej miejskiej i oddziałami członków akcyzy miejskiej postępowali członkowie Rady

miejskiej Krakowa i Podgórze z wiceprezydentem Drem Szarskim i burmistrzem Maryewskim, magistrat krakowski i podgórski, reprezentacja Rady, wyznaniowej gminy izraelskiej z wiceprezesem Drem Rafałem Landauem, dalej znowu nieprzerwanym łańcuchem cechy, stowarzyszenia, szkoły. Na końcu dziesiątki tysięcy publiczności, wszystkich stanów i zawodów.

Koło kościoła św. Idziego pochód rozdzielono na dwie części, które dwiema drogami popłynęły na dziedziniec zamkowy. Gdy pierwsze szeregi pochodu dotknęły stóp Wawelu zabrzmiał głos Zygmunta witając uczestników. Dwoma wejściami zapelniali uczestnicy dziedziniec zamkowy. Wnet olbrzymi dziedziniec zalały niezliczone tłumy. W morzu głów ludzkich widać stowarzyszenia, korporacje, cechy i mundury, zmieszane z sukmanami włościańskimi, kontuszami i mundurami sokolemi, skupione w części północnej dziedzińca, koło „Wikarówki”; dalszą część dziedzińca wypełniły tłumy publiczności obojga płci, otoczone kilkakrotnym pierścieniem młodzieży gimnazjów i szkół realnych. Gdy ostatnia fala pochodu wpłynęła na dziedziniec i ucichły głosy komendy i nawoływań, stanął na balkonie „Wikarówki” prof. dr. Kazimierz Motawski i donośnym głosem w tę mniej więcej do zebranych odezwał się słowa:

„Kochani Rodacy! Dobrze, że nasze obchody narodowe zmierzają na tę górę, dobrze, że przyszlismy tutaj, aby oddać hołd naszej przeszłości i naszym królom.

„W Jerozolimie jest wielki odlam muru, który uchodzi za szczątek świątyni Salomona. Synowie Izraela przychodzą tutaj w pewnych odstępach czasu, aby wlewać swe żale, zawodzić psalmy, nad utratą ojczyzny. Mur ten nazywa się murem lamentacji. Czy myśmy tutaj przybyli na płacz? Żalu i łez, mieliśmy z pewnością pod dostatkiem.

„Ale my nie dla płaczu tu przyszlismy. Podążyliśmy tutaj aby się ukrzepić na życie, prosić o posłuchanie naszych królów, a oni nigdy temu, kto tu kornie i z miłosnem sercem się zbliży, nie odmówią krzepiącego słowa. Przyszlismy tutaj, ażeby utwierdzić i ustalić się w zgodzie. Wreszcie stanęliśmy tutaj, aby przed naszymi królami powziąć śluby stałej, zbożnej, ofiarnej pracy, pracy nie tylko dla siebie, ale dla ogółu i społeczeństwa.

„To będzie nasza przysięga na konstytucję Trzeciego Maja. Tak pokrzepieni na duchu, tymi związanymi ślubami, zejdziemy teraz do codziennych zajęć, do codziennych bólów, lecz i do stałego przeświadczenia i wiecznej żyjącej nadziei, że trwamy i przetrwamy burze i prześladowania... tak nam Panie Boże dopomóż!”

Słowa znakomitego mówcy wywarły głębokie wrażenie. Chwile po przemówieniu zapanowała uroczysta cisza. Przerwały ją dźwięki orkiestry, grającej: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Orkiestra, jedna po drugiej odgrywały patryotyczne pieśni, a potem zabrzmiał hymn: „Boże coś Polskę”, śpiewany przez dziesiątki tysięcy z odkrytymi głowami.

Na końcu obchodu uczestnicy uroczystości złożyli wieńce na grobie Kościuszki, rozeszli się unosząc z sobą wspomnienia.

„NAUKA TO SKARB NIEOCENIONY“.

Minęły już bezpowrotnie owe czasy barbarzyńskie, kiedy człowiek każdy ufał tylko sile swych mięśni, a bogactwo widział tylko w kupie złota. Dziś przekonało się społeczeństwo, że skarbem największym jest wiedza, umysł oświecony, rozwinęty, posiadający świadomość o życiu swoim, ustroju społecznym, kraju ojczystym i świecie całym, oraz o tem wszystkiem co go otacza. To też wiedza dzisiaj stała się potrzebą wszystkich ludzi, zarówno tych co siedzą w pałacach, jak i tych, co z zawiniętymi rękawami pracują we fabryce lub pługiem uprawiają swą rolę.

Dlatego też rozumni ludzie w różnych krajach, starają się wiedzę rozpowszechniać, poprostu wiskać do umysłów swych braci, przez uprzystępnianie im nauki. Pośród nas też mogłoby być dużo więcej niż obecnie ludzi światłych, uczonych, którzyby mogli pracować dla dobra ogółu, lecz brakuje nam awiaż tej właśnie ochoty uczenia się.

Czy raz wreszcie otrząśniemy się z tej gnuśności i lenistwa umysłowego? Zabierzmy się przecie do tej najważniejszej sprawy naszej, do oświaty! Uczmy się sami i uczmy innych; przyczyniajmy się do dobra ogólnego, bo to jest obowiązkiem każdego Polaka miłującego Ojczyznę, a na pewno ze zabiegów pracy naszej i my sami dobre owoce zbierać będziemy.

Rugowanie ciemnoty, to sprawa dzisiaj najpilniejsza!

Oświata to źródło dobrobytu narodowego, mówi konstytucja szwajcarska z wieku 18-go.

Oświata ludu dokona cudu, mówi nasze przysłowie: ona umysł przeobraża i czyni go doskonałym a lepszym i do ręki człowieka wkłada zupełnie nowe sposoby pracy.

Nie wiele wart człowiek, który żyje i pracuje tylko dla siebie; z takich to sobków rośnie krzywda społeczeństwa. Aby złożyć na ołtarzu Ojczyzny jaką ofiarę, samolubstwa musowo potrzeba się nam wyrzec, a w miarę możności pracować dla niej



Henryk Dunant,

Szwajcar rodem, założyciel międzynarodowego stowarzyszenia „Czerwonego krzyża” obchodził 8-go maja 80-letnią rocznicę urodzin.

z tą myślą, że dorzucamy po jednej cegielce do odbudowania gmachu Ojczyzny.

Stańmy więc wszyscy w rzędzie krzewicieli oświaty, rozwijajmy czytelnictwo polskich książek, gazet, w domach naszych. Zawstydzajcie tych opieszalszych, co mówią, że nie mają głowy do czytania książek i pism lub usprawiedliwiają się brakiem czasu, bo to są wykręty tych oślepych z gnuśności.

Nie zapominajmy też o tem, że jeden nic nie zna, lecz wszyscy, a więc wszyscy do pracy.

Ciemnota początkiem złego,

Ona stwarza człowieka gnuśnego:

Wśród ludzi wznieca zamęt i niezgodę.

Najlepsze myśli, jakbyś wrzucił w wodę,



OPISY NASZEGO KRAJU.

Jak to na Kujawach.

Chaty kujawskie, które tutaj chałupami zowią, bardzo są ochędźne. Łóżko wysoko zasłane, wozzysto malowana skrzynia, szafa czerwona pełna talerzy i kubków. Coraz częściej spotykają się też przy chatach sady owpcowe, a już też bez maleńkiego choćby ogródka, pełnego nasturcyi, słoneczników, piwonii i maku, nie obędzie się żadna, by najuboższa chata.

Suknie męskie nazywają tu łachy, kobiece — szmaty. Strój jest długi i fałdzisty. Granatowa, za kolana sięgająca sukmana, szerokie spodnie drelichowe, długie buty, czerwony pas włóczkowy i zimną wysoka czapka wykrawanka z siwym lub czarnym barankiem — oto ubranie Kujawiaka.

Aż ćmi się w oczach, gdy w niedzielę po nabożeństwie tłum ludu wysypie się na cmentarz. Od granatowych sukman wieśniaków jaskrawo odbijają zielone, różowe, a zawsze fałdziste spódniki kobiet. Szeroki fartuch, kabat sukienny granatowy u zamężnych, gorset u dziewcząt i sznury koralu, związane na pęki wstążek, dopełniają stroju. Barwiste chusty zwinięte nby w wieniec kryją włosy. Kobiety zamężne kładą pod chustkę czepiec zwany kapką.

Z biegiem lat włóścianie coraz częściej zmieniają swój ubiór malowniczy na suknie miejskie. Bliskość granicy ułatwia bowiem nabywanie taniej tandety. Kontrabanda jest też bardzo na całym pograniczu rozpowszechniona, a kontrabandzistów nazywają klusownikami.

Gościnność cechująca cały naród polski, na Kujawach szczególnie jest rozwinięta. Pamiętają tutaj, że „gość w dom, Bóg w dom” i przyjmują go z otwartymi rękoma, choćby nawet zamiast wesela smutek wnosił z sobą.

Oto, jak o gościnności polskiej mówi poeta:

Zdziwiona patrzy wioska:

Wóz pędzi, brzęczy stal,

Na wozie jedzie troska.

A z troska jedzie żal

I już wjechali w bramę

I przestąpili próg,

Na progu napisano:

Gość w domu, w domu Bóg

„Mój gospodarzu młody,
Powiemy tobie wraz,
By złamać pierwsze lody,
Czem podejmować nas.

Tyś z gościnności głośny,
Daj uśmiech twoich lic
I cichość twojej wioski,
Nie chcemy więcej nic”.

„Czcząc zwyczaj kraju stary,
Jam gościom zawsze rad,
Nie boję się ofiary
I nie chcę liczyć strat.

Od chwili tej, czy kwiaty,
Czy śnieg pokrywa step,
Pod dachem mojej chaty
Z druhami dziele chleb.

A modląc się co rano,
Spoglądam na mój próg,
Na progu napisano:
„Gość w domu, w domu Bóg”.

(Henryk Skirmuntt).

Chociaż lud jest religijny, przesądów i zabobonów ma jednak mnóstwo. I tak np. każdy wieśniak kujawski wierzy święcie, że grochu nie należy nigdy siać w te dni, w których nazwę wchodzi litera r., a więc tylko w poniedziałek, piątek, sobotę. Kto postępowałby inaczej, będzie miał groch rozbaczywy. Nie należy również chwalić wschodzącej dopiero rośliny, bo z pewnością uschnie, lub rosnąć przestanie. Siew w wigilię św. Jana chroni znowu roślinę od gradobicia a wysmarowanie rąk święconem sadłem przed siewem jest ochroną od ptactwa.

Każda niemal wieś ma swoje przesady i zwyczaje, jak również gusła stosowne przy leczeniu chorego.

Przysłowiami sypie wieśniak kujawski jak z rękawa, a wszystkie prawdziwe i dosadne. Np. „Nie pożyczaj, zły obyczaj. Nie oddają, jeszcze lają”. „Gdzie rośnie dziewanna, tam bez posagu panna” (bo grunta jałowe). „Sąd nie utuczy, tylko rozumu nauczy”. „Użył, jak pies w studni”.

Dowcipne są także niektóre określenia. I tak, zamiast powiedzieć wyraźnie, że kot żyje lat 9, koń 27, człowiek zaś rzadko 80 doczeka, Kujawiak mówi:

Trzy lata płot, trzy płoty kot,
Trzy koty koń, trzy konie człowiek —
Najlepszy wiek.

O sobie zaś i o sąsiadach wydaje poważne sądy: Mazury smutne, Podlasiaki leniwe, Łęczycanie piją dobrze, Płocczanie śpiochy. Kujawiak z Karkowiakiem to dobre chłopcy, każdy z nich sześć dni pracuje, siódmy w karczmie przetańcuje.

A teraz słówko z historii. Kujawy tworzyły niegdyś oddzielne księstwo, które w r. 1338, po śmierci Władysława ks. opolskiego, zostało wcielone do Korony. Oj, powiedziałyby nam ta ziemia wiele ciekawych rzeczy, gdyby jej ludzką mowę dano!

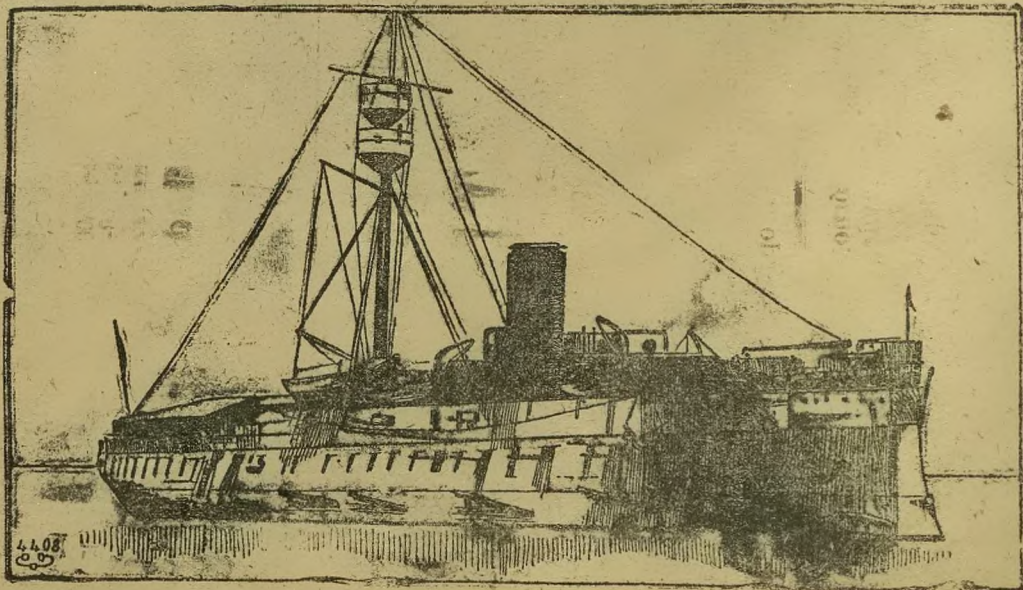
Ileż to razy napadli na Kujawy Krzyżacy, ów zdradliwy zakon rycerski, których Polacy na swą zgubę sprowadzili. Zalewali Krzyżacy często Polakom, jak to mówią, sadła za skórę, palili, niszczyli, rabowali biedne Kujawy, dopóki im Łokietek w bitwie pod Płowcami trochę skóry nie przetrzepał. I później za Jagielly używał sobie miecz krzyżacki na ziemi kujawskiej i dobrzyńskiej. Historyk Kromer mówi, że przeszło dwadzieścia cztery miast, między nimi Włocławek, Nieszawę, Inowrocław, oraz więcej niż sto wiosek i osad w owym czasie spłądrowali lub w perzynę obrócili. Za panowania Jana Kazimierza i później, kiedy Stanisław Leszczyński ścierał się o koronę z Augustem II-im Saksą, Szwedzi również Kujawy odwiedzili, krwawe tych odwiedzin zostawiając ślady.

Wiele, wiele jeszcze razy grały trąbki nad wodami i łąkami Bachorzy, maszerowały wojska drogami wśród pól szumiących, a tam, gdzie dziś porzeka kosa i sierp błyska w słońcu, rozlegał się szereg broni i wrzawa bitwy.

Część dawnych Kujaw z Inowrocławiem i Kruszwicą należy do księstwa Poznańskiego i nosi nazwę Kujawy Pruskie, a część należąca do Królestwa Polskiego wchodzi w skład gubernii warszawskiej.

Japoński okręt „Matsuzima”, który zatonął niedawno wraz z całą załogą. Był to ulubiony okręt Japończyków, albowiem na nim to marszałek Ito w wojnie chińsko-japońskiej zniszczył flotę chińską. W wojnie rosyjsko-japońskiej „Matsuzima” czynną była w bitwie pod Czuszimą. W ostatnich czasach używano okrętu tego do ćwiczenia kadetów.

W chwili nieszczęścia znajdowało się na „Matsuzima” 360 osób załogi, w tem 58 kadetów, synów najpierwszych rodzin japońskich.



NA MROZIE.

W opisie podróży po Chłwie (kraj w Turke-
stanie podległy Rosji) odbytej przez kapitana
wojsk angielskich Fryderyka Burnaby, znajduje
się ustęp dający dokładne wyobrażenie o męczar-
niach, jakie mroz swym ofiarom sprawia:

„Ze stacyi pocztowej w Karobrotaku, opowia-
da odważny kapitan, zapomniałem zabrać z sobą
futrzanych rękawiczek; zanurzwszy się w sa-
nie, ratowałem ręce tuż je w szerokich ręk-
wach kocuza. Droga była nieco równiejsza niż
zwykle, sanie sunęły bez wstrząśnięć, gładutko;
ta jednostajność ruchu usposobiła mnie do miłe-
go wypoczynku, oparłem się wygodnie o tył, za-
cząłem błogo marzyć, przymknąłem oczy, wresz-
cie smacznie zasnąłem.

Podczas snu ręce wysunęły się z rękawów,
opadły na boki, a że były odkryte, bez rękawi-
czek, odrazu stały się pastwą lodowatego wichru.
Wicher ten był nie do zniesienia dla człowieka
stojącego w miejscu lub idącego powoli, a tem-
bardziej groźnym się stawał dla podróżnego na
saniach, które rozbijały powietrze i szumiały pę-
dząc pod wiatr.

Po pewnym czasie przebudziłem się i poczu-
łem dotkliwy, ostry ból w kończynach palców,
jakbym trzymał ręce zanurzone w gryzącym roz-
czynie, używanym do odjęcia ciała od kości. Spoj-
rzałem na paznokcie, były zupełnie sine, sinemi
były także palce i zagębenia na ręku; reszta
wystawionego na mroz ciała przybrała żółty ko-
lor wosku. Nie mogłem wątpić że ręce odmro-
ził, odmroził doskonale!

Kazałem natychmiast słuzącemu nacierać ręce
śniegiem, aby w nich wzbudzić jakie takie prawi-
dłowe krążenie krwi; lecz pomimo wszystkich je-
go wytrwałych nacierai, ból okropny się wzma-
gał, postąpiwszy od palców aż do łopatk i ra-
mienia, dłoń zaś już zupełnie straciła czucie.

Leżałem na saniach nieczuły na wszystkie do-
legliwości wichru i mrozu, słuzący wysłał się na-
próżno, nacieranie jego nie mogło już przywrócić
wrażliwości nerwów.

— Już tu nic nie pomoże. rzekł z miną za-
amuconą, trzeba nam jechać do najbliższej stacyi
pocztowej. I spytał furmana o długość drogi.

— Blisko dziewięć wiorst.

— Pędź z całych sił, zawołałem; i sanie jak
na skrzydłach popłynęły.

Ból kłójący coraz dalej zajmował mi ciało,
czułem go już pod pachami, wkrótce mógł dojść
do piersi, do głowy... chcąc niechając musiałem
zacząć targ ze zbliżającą się śmiercią. Targ ten
opierał się na wyrachowaniu kiedy przyjeździemy
na stację i czy tam znajdzie natychmiastową po-
moc.

Miałem nadzieję, że się śmierci wywinę, lecz
każde zakłócenie bolesne coraz dalej i głębiej w
ciele, wydawało mi się śmiechem tryumfującej
śmierci, co tuż tuż za saniami pędziła.

Pot zaczął kroplami spływać mi z czoła, zda-
wało mi się że w głowie mam ogień... Czy na-
reszcie przelecimy tę straszną odległość dziewię-
ciowiorstową? Zdawało mi się że już pędzę kil-
ka dni, że ujechał kilkadziesiąt mil, zdawało

mi się żeśmy zbłądzili, że stacya mignęła w od-
dali za nami!

Nareszcie do stacyi przybywamy, wyskakuję
z sani i wpadam do gościnnej izby.

Znajduję w niej trzech kozaków, którym po-
kazuję ręce. Wiodą mnie oni natychmiast do są-
siedniej izby, rozbierają z odzienia, obnażają rę-
ce i zanurzają je aż po ramię w wodę, po której
lód pływa. Nie czułem żadnego wrażenia; gdy-
bym na wodę i lód nie patrzył nie wiedziałbym
co się z rękami dzieje; ciało moje ciągle sine,
płamiste, pływało po wodzie jak dwa kawały
nieczulego drewna.

Najstarszy kozak, praktyk w tych sprawach
odmrożenia, rzekł potrząsając głową:

— Złe z wami będzie; ręce wam odpadną.

— Odpadną — dodał drugi — jeżeli za kilka
chwil nie poczujesz pan w rękach ciepła.

— Czy niema tu gdzie spirytusu? — zapytał
trzeci.

Mój słuzący przyniósł z sani blaszaną butel-
kę z winnym spirytusem; wówczas wyciągnięto
ręce z wody, i kozacy rozpoczęli energiczne na-
cieranie.

Ta operacya pozbawiła mnie skóry, kozacy
zdarli ją zupełnie. Równocześnie spirytus wsią-
kając w poranione ciało sprawiał mi niewysłow-
ione bólesci. Dostałem dreszczów.

— Czy wam niedobrze? — zapytał najstarszy
kozak.

— Boli mnie okropnie, odpowiedziałem z je-
kiem.

— To dobrze, ręce już wam nie odpadną! —
zawołał z rozjaśnioną miną, i zwróciwszy się do
swych kolegów zalecił im aby dalej tarli z ca-
łych sił, nie zważając na moje narzekania.

I tarli dalej z całych sił, a następnie ręce za-
nurzyli znowu w zimną wodę. Ból jaki w tej
chwili uczułem, potrafiłbym chyba wyrazić ry-
kiem dorzynanego zwierzęcia.

— To dobrze, to dobrze, że was boli — po-
cieszali mnie kozacy — im więcej bólu tem pew-
niejsze wyzdrowienie.

W tej kąpieli trzymałem ręce przez kilkanaście
minut; gdy mi pozwolono je wyjąć, stary kozak
obejrzawszy ciało zapewnił, że za miesiąc skóra
porośnie i śladu odmrożenia nie będzie. Słowa
starego sprawdziły się, po miesiącu kuracyi w
mieście, byłem zdrow zupełnie.

Ale i teraz jeszcze dreszcz mnie przejmuje
gdy sobie wspomnę złowieszcze upewnienie ko-
zaka:

— Gdyby nie ta butelka spirytusu, zimna wo-
da nieby nie pomogła, ręce odpadłyby wam nie-
zawodnie po same ramiona, byłibyście na całe
życie kaleką. Widziałem to już nieraz. Mroz do-
bry przyjaciel, kiedy chata za plecami, ale w ste-
pie gorszy kuli — zakończył sentencyą, której nie
życzę nawet nieprzyjacielowi na sobie doświad-
czać.



Pan czasowi, kto mądrze nim szafuje.

—o—

Lepsze czynne piekło, niż leniwy raj.

—o—

Bez miary lekarstwo obstoi za truciznę.

Z PAMIĘTNIKA PIENIAŻKA.

...Jestem tylko marnym pieniążkiem, tylko małej wartości groszem, a przecież sięgano aż do wnętrzości ziemi, aby wydobyć metal, z którego mnie zrobiono.

Kilkadziesiąt rąk pracowało przy moich narodzinach, pot dzielnych robotników oblał kowadło na którym się rodziłem, a gdy już błyszczał jak jutrzenka, ukoronowano mnie napisem głoszącym światu ile wart jestem i herbem państwa, które prawych mych narodzin było obrońcą.

Gdy się urodziłem, blask bił z mego oblicza; niestety! czasy to odległe, bardzo odległe — dziś pokryty jestem plamami, co mnie szpecą niby zmarszczki na zgrzybiałej twarzy... napis i herb prawie zupełnie zatarte.

Wczoraj właśnie zająłem mieszkanie w głębokiej kieszeni jakiejś ubogiej kobiety — chciała wymienić mnie na szczyptę soli w sklepiu. Przekupiłem ujrawszy mnie na stole skrzywił się, usta wydał pogardliwie, potrafił palcem, przewrócił... siłił się wyczytać napis... mruknął wyraz bardzo brzydki i nie chciał mnie wziąć czyli, jak się między ludźmi mówi, wypchnął mnie za drzwi.

Mniejsza o moją osobę, takie obelgi znoszę w pokorze, patrząc na prawdziwie wielkich i świętych ludzi, którymi nieraz tłum hałaśliwie pomiata — ale serce, (bo i nędzny robak i wytarty groszak ma serce), zabolalo mnie wiedząc, że stanowiłem jedyny skarb zgłodniałej kobiety.

A przecież pamiętam czasy, kiedy i ja byłem możliwym dobrodziejem, kiedy i ja, nędzny grosik, ocierałem łzy z oczów, rozpogadzałem twarz zgnębioną, budziłem w sercach niewinnych cnoty ewangeliczne, do których należy miłosierdzie. I ja ludzi uszczęśliwiałem!

Chociaż nie mam ani powozów, ani okrętów a jednak więcej podróżuję niż najzapalniejszy podróżnik. Podróżnik obieży świat raz, dwa razy, a ja po kilkanaście razy wracałem do tych samych krajów, zamieszkiwałem też same kieszenie, uszczęśliwiałem też same dłonie.

Tylko z dłonią złodzieja i rozpustnika nie miałem znajomości — nie łakomili się oni na mnie, a gdy przypadkiem zdybali mnie w swej kalecie, wyrzucali zaraz jak plewy — zaco niech im przy zgonie ocknie się sumienie!

Jestem tylko grosikiem, a jednak nie lekceważcie mnie ludzie... nie lekceważcie ubodzy i dzieci! Nie lekceważcie mej wartości, bo gdy się przyzwyczaiacie mną poniewierać, nie uszanujecie i dukata, co jest słońcem majątków ziemskich; żyjąc zaś w zgodzie ze mną nauczycie się łatwo być oszczędnymi i miłosierdzie poznacie.

Co ze mną zrobicie — to samo zrobicie później ze złotem i srebrem.

Wprawdzie nie dałem nikomu ani kaszemirów, ani jedwabi, ani pereł, ani dyamentów... ale nieraz wyratowałem biedaka od głodowej śmierci. Jestem jak kwiat polny, którym ozdabia pierś swą młoda wieśniaczka i robotnica.

Jestem uśmiechem sieroty i błogosławieństwem starca, który mnie z ręki miłosiernej dostanie; a gdy

wpadnę do skrzynki na której napisano „dla biednych“, dziękuję zaraz modlitwą, jaką zanoszą nowi moi właściciele za pomyślność tego, który mnie do skarbonki rzucił.

Nie myślcie, że nie mam serca, że nic nie czuję. Cieszę się lub smucę, a to stosownie do tego, jaki użytek robią z mojej osoby. Często mnie gubią i lekceważą — to mnie martwi; często mnie przepijają — to mnie wstydem okrywa. Oburzam się, gdy przy wymianie mnie na towar, oszukują chwilowego mego pana — a cieszę się, gdy jestem pośrednikiem między uczciwymi; pragnę zostać magnatem i mieć wartość dukata, gdy mnie złożą na rękę ubogiego jako jałmużnę.

Jestem tylko marnym grosikiem a jednak przyjmują mnie w pałacach i chatach, w ogniotrwałych kasach bankierów i drewnianych skarbonkach przytulików miłosiernych — wszystkie kieszenie stoją dla mnie otworem, wszystkie woreczki mnie pożądata.

Bywam i ja często w strasznej niewoli, i ja się męczę i życiu złorzeczę.

Często przez lat kilka jestem zamknięty na dnie skrzyni skapca; wówczas mam wprawdzie towarzystwo ze sztuk złotych i srebrnych, ale to bogate sąsiedztwo nie wynagradza mi cierpień niewoli, usycham z tęsknoty do wolności.

O! nie zdolny jestem wam opowiedzieć swoich cierpień, gdybym miał oczy, widzielibyście na nich łzy z utraipienia, że wówczas gdy tylu ludzi mnie potrzebuje, ja, jak samolub i próżniak, kryję się przed nimi w ciemnym kącie skrzyni.

Pewnego dnia dzieci bawiły się w piłkę na placu publicznym, dzieci były rumiane, najedzone, pięknie odziane... ja w kieszonce najpiękniejszego chłopczyka spoczywałem. Wówczas zbliżył się do nich staruszek żebrak, a powłócząc nogami, prosił o łitość, wyciągnawszy rękę do złotowłosych dzieci ale one na starca nie zwróciły uwagi.

O! widzę go jeszcze zgarbionego, trzęsącego się ze starości i wycieńczenia, widzę jak wsparty na kiju, nogi zanurzył w piasku, z którego potem ledwie mógł się wydobyć, i oczy wzniósł do nieba. O czemuż nie miałem skrzydeł! opuściłbym natychmiast kieszonkę chłopczyka, aby jak ptaszek spocząć na rękę biedaka.

Jestem już stary, zużyty, szpetny, śniedź mnie pokryła, rdza pogryzła a jednak nie brzydzę się sobą, bom niejedno dobro wyświadczył w swym życiu.

Jestem przedstawicielem wspomnień i wiary; towarzystwa patryotyczne, jałmużnicze i opiekuńcze wzięły mą wartość za podstawę swej pracy, mnie kwestują, zbierają, gromadzą na czarną godzinę. To ja, złożony w kasach oszczędności, czuwam nad życiem i uczciwością robotnika bez zajęcia, nad starcem bez sposobów do życia, nad wdową bez opiekuńczego ramienia, nad dzieckiem bez rodziców...

Właściwe moje nazwisko, to: Oszczędność i Miłosierdzie.



W maju.

Zarodziło niebo majem!
Powiał ziemię czar!
Grają wierzby nad ruczajem
Płynie kwieciami jar!
Zapatrzone w błaski słońca
Gwarzą gaje drzew —
Dzwoni echem pieśń skowronka,
Łka słowiczy śpiew!

* * *

Posypało niebo majem
Całą ziemię świat!
Napoilo marzeń rajem!
Uwieńczyło w kwiat!
Każdą grudek ciepłem grzeje
Promienista nieć!
Czemuż sercu, gdy złodnieje —
Trudno majem żyć?



OPISY NASZEGO KRAJU.

WŁOCŁAWEK.

Każdy nieco większy obszar ziemi posiada jakiś punkt zborny, niby małą stolicę, gdzie ześrodkowuje się życie jego mieszkańców. Taką stolicą dla Kujaw jest miasto Włocławek, dawniej Włodław, Włodławek, starożytne targowisko nadwiślańskie i odwieczna siedziba biskupów kujawskich. I nic w tem określeniu „odwieczna“ niema przesadzonego, bo już w r. 1133 bulla papieska o biskupstwie kujawskim wzmiankuje. W hierarchii kościelnej biskupi włocławscy niepoślednie zajmowali miejsce.

Nie darmo przecież stara pieśń tak się o stolicy Kujaw odzywa:

..... i oto czerwieni się dawny
Włocławek, księża, clami i piwem sławny... *)

Dzisiaj pod wielu względami czasy się zmieniły. Ochronne cła, nadane ongi przez Zygmunta Augusta, zostały zniesione, a zamiast piwem, Włocławek słynie doskonałą cykoryą.

Okolica miasta urozmaicona wielce.

Z jednej strony Wisła, a za nią stopniowo wznoszące się wzgórza lesiste. To powiat lipnowski w gubernii płockiej, dawna ziemia dobrzyńska.

Sośnina prawie niepodzielnie króluje teraz na Kujawach i na Powiślu, ale kiedyś inaczej bywało, inne lasy szumem swych konarów wtórowały szumowi Wisły. Teraz...

Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławiają w jej nurtach przewrócone głowy,

Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie konary rozciąga.

Czajkowski.

Przemysł w mieście wprowadzie żółtim krokiem, ale naprzód idzie, browary, cegielnie, huta szklana, fabryki cykoryi zatrudniają setki robotników — a co najważniejsza krajowców. Ozdobnych budowli i pamiątek historycznych miasto posiada mało. Najpiękniejszym gmachem jest bez zaprzeczenia kościół katedralny. Wieki całe składały się na to, by go ozdobić i rozszerzyć. Dzisiaj katedra włocławska zalicza się do najpiękniejszych świątyń w kraju. Grobowce z pstrego marmuru z XV-go i XVI-go wieku, wspaniałe, złotem tkanie stuły i ornaty, tablice herbowe, wreszcie na ścianie obok prezbiterium herb Stefana Batorego, który podczas wojny z Gdańskiem długi czas przebywał w Włocławku — oto cenniejsze pamiątki katedry.

Pokazują także na zewnątrz świątyni od południa kompas, urządzony podobno ręką samego Kopernika.

Przy katedrze istnieje najdawniejsze w kraju seminaryum duchowne dla kleryków. Trzy jeszcze kościoły są w mieście, żaden jednak nie odznacza się czemkolwiek godnem uwagi.

Włocławek posiada kilka szkół, dwie pensye żeńskie i ochronę. Z prawym brzegiem Wisły łączy miasto most na łyżwach, z odległą zaś o 185 wiorst Warszawą linia kolei żelaznej warszawsko-bydgoskiej.

Wianek sosnowych lasów, niestety mocno już przetrzebionych, zamyka Włocławek od południa.

Lasy z gruntem piaszczystym, zwyczajnie jak pod sośniną: ale za lasami gleba urodzajna, o czem

*) Ustęp z „Flisa“ Klonowicza, poety z XVI-go wieku.

świadczą ląny pszeniczne, plantacye buraków i pola rzepakami zasiane.

Ostatnią stacją przed Włocławkiem na drodze żelaznej jest Kowal, ubożuchna miejscina, ale droga sercu każdego Kujawiaka, tam bowiem urodził się Kazimierz, syn Łokietka i Jadwigi. Do niedawna pokazywano nawet miejsce, gdzie miała stać kuźnia i domek kowala, w którym królewskie dziecię na świat przyszło. O półtorej mili za Włocławkiem leży starożytne miasteczko Brześć kujawski, od którego niegdyś pochodziła nazwa województwa brzeskiego. Przodował ongi i bronił ziemi kujawskiej gród starożytny, osłaniając ją niby puklerzem.

O mury zamku były jak fale zastępy najeźdźców Krzyżaków, druzgotały je kule szwedzkie; gród padał, lecz podnosił się znowu. Pomagała mu też przyroda. Wzniesiony na stromym brzegu Zgłowiączki, okolony nieprzebytymi w owe czasy bagnami, był tym kamieniem, na którym często łamały się zęby krzyżackie.

Dziś z dawniejszych pamiątek został jedynie kościół starożytny, sięgający początków XIII-go wieku. Tuż pod miastem czernieją mury cukrowni „Brześć-kujawski“, założonej przed kilku laty, a doskonale utrzymana szosa wiedzie do drugiej starej miejsciny, do Radziejowa.

Po drodze zatrzymuje nas pięknie zagospodarowana wieś Płowce. Dawna to, przedhistorycznych sięgająca czasów sadyba. Łańcuch pagórków niby kopców, zwanych „żale“, otacza wioskę. Każde wzgórze to mały cmentarz, pełen kości ludzkich, ułamków broni, części uprząży, połamanych podków i t. p. szczątków przeszłości.

Na polach płowieckich rozegrała się w r. 1331 owa bitwa krwawa, w której potęgą krzyżacka po raz pierwszy złamana została.

Świetne było zwycięstwo Łokietkowe. Według współczesnych roczników padło wówczas blisko 30 000 Krzyżaków.

Wspomnienie o bitwie po dziś dzień zachowało się między ludem, a wzniesiony na tę pamiątkę, niewiadomo jednak w którym roku, słup murowany, do tej pory w pośrodku wioski stoi. Z wspomnieniem o bitwie związana jest poetyczna legenda.

W jasne noce, o pełni księżyca, gdy dwunasta godzina uderzy, na ciemnym błękicie nieba ukazują się mknące szybko jak wicher hufce krzyżackie. Parskają kare rumaki, słychać chrzęst zbroi, szczerkanie mieczów, wiatr rozsiewa białe płaszcze z czarnymi krzyżami, a widma ciągle pędzą przed siebie. Nad pobojewiskiem z końca w koniec słychać jęki i westchnienia. I nagle wszystko milknie, hufce zawracają i jak stado spłoszonych ptaków uciekając ku pruskiej granicy, nikną powoli w mgle nocnej.

SZANUJ WSZYSTKO!

Kto nie szczędzi małych rzeczy,
Ten się wielkich nie doczeka,
Nikt z nas bowiem nie zaprzeczy,
Że się z kropli składa rzeka.

Józef Chmielewski.

NASZA CHWAŁA.

Klemens Junosza Szaniawski

urodził się 23 listopada 1849 roku w Lublinie. Utraciwszy dość wcześnie rodziców, nie mógł po ukończeniu gimnazjum odbywać studyów uniwersyteckich, lecz osiadł na małym folwarku i jał się pracy na roli. Tam w ciszy wiejskiej, mając wielki zapal do nauki w wolnych od pracy chwilach, sam



uzupełniał swe wykształcenie, a przytem począł pisać drobne utwory wierszem i prozą.

Po kilku latach przeniósł się do Warszawy i oddał się pracy dziennikarskiej. Obok tego pisywał Szaniawski powieści, w których malował wiernie szlachtę zagonową, świat mieszczański a osobliwie żydów.

Utwory Junoszy zyskały odrazu bardzo wielu czytelników i dziś jeszcze każdy chętnie je czyta. Porusza w nich autor często sprawy smutne, bolesne, maluje nieraz charaktery czarne, umie jednak to wszystko zaprawić do tyła humorem i słoneczną pogodą, że czytelnik nietylko pożytek, ale i przyjemność znajduje w czytaniu powiastek Junoszy.

Z pomiędzy licznych bardzo nowelek i powieści Junoszy jako najlepsze wyliczamy: „Panowie bracia“, „Pajaki“, „Czarne błoto“, „Z papierów po nieboszczyku czwartym“, „Dziadowski wychowańek“, „Suma na kocim brodzie“, „Dziatwa syreny“, „Mecenas chłopski“ i inne.

Niestety ciężkie miał życie Klemens Junosza i pracować musiał nad siły. To przyspieszyło śmierć, która zabrała go z tego świata w marcu roku 1898.

NIEOMYŚLNYM JEST TYLKO BOG.

Przed kilkunastu laty sławny z nauk dr. Dupuytren był lekarzem szpitala „Hotel-Dieu“ w Paryżu; chorzy i asystenci bali się go jak ognia, najmniejszy jęk lub skargę nazywał tchórzostwem, podołścią i stawiał siebie za przykład nieustraszonej

odwagi. Rzeczywiście, nie lękał się chorych dotkniętych epidemią, opatrywał rany zjadliwe, drwił sobie z niebezpieczeństwa, z cierpień ludzkich, ze śmierci samej i bez litości żadnej mówił chorym w oczy najstraszniejszą prawdę. Koledzy nazywali go „katem litości“.

Był znakomitym lekarzem, więc miał powodzenie ale równocześnie drżano na jego widok.

Pewnego razu przyszedł do niego po poradę pleban z prowincyi, zboleły, wyniszczony cierpieniem. Ksiądz nieśmiało podsunął lekarzowi domysł, że może to gorączka trawiąca, która gnieździ się w okolicach bagnistych, lecz lekarz ofuknął go, obejrzał i jak kat wygłosił:

— Choroba księdza nie da się uleczyć; masz raka... umrzesz za sześć miesięcy.

Ksiądz zbladł i oparł się o ścianę, żeby nie upaść; wówczas doktor szyderczo zawołał:

— Znowu tchórz! ksiądz i lęka się śmierci!

— Tak jest, lękam się śmierci przedwczesnej, — po chwili odpowiedział duchowny — bo mam jeszcze tyle zrobić w swojej parafii; przez sześć miesięcy nie skończę wszystkiego, nie wyuczę wszystkich dzieci pacierza, nie nawrócę wszystkich grzeszników, nie nauczę ich uczciwie na chleb pracować. Ale Bóg dopomoże, a ja muszę się spieszyć, więc dziękuję i żegnam pana doktora.

Dupuytren, ów okrutny Dupuytren, głowę na piersi pochylił. Miał on przed sobą duszę świętą; ten widok upokorzył jego dumę.



Wysłańcy marokkańscy
przebywający obecnie w Berlinie.

— Księżę proboszczu — przemówił do pacjenta, ściskając mu dłoń serdecznie — przyjdzie za tydzień do mnie, ja wam pomogę, ulżę...

Ubogi pleban nie miał pieniędzy na podróż, więc dopiero po sześciu miesiącach przyjechał do Paryża i zaniósł lekarzowi koszyk owoców ze swego ogrodu.

Dupuytren, spojrzawszy na zdrową cerę księdza i na jego chód pewny, silny, zapytał zdziwiony, kto go leczył.

— Nikt, oprócz Boga! — odparł duchowny.

Znakomity chirurg omylił się.

Przyjął swego pacjenta ze łzami upokorzenia a jego owoce ze łzami wdzięczności.

Proboszcz przeżył wielkiego lekarza, który w melancholii spędził ostatnie swe lata: nie mógł już wierzyć w nieomyślność rozumu. Wówczas proboszcz został lekarzem jego duszy i uspokajał wybuchy rozpacz.

Na rękę lekarza duszy, skłonił głowę do snu wiecznego lekarz ciała...



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czołmy wspomnienia przeszłości naszej.

3-go maja 1823: Michał Plater, 10-letni uczeń gimnazjum wileńskiego, napisał na tablicy szkolnej zdanie: „Niech żyje konstytucja 3 maja!“. Z tego powstało wielkie śledztwo. Do Wilna zjechał Nowosilcew, który mnóstwo młodzieży, chłopców nieletnich wysłał za karę w żołdacy, czyli do służby wojskowej w głąb Rosyi na lat kilkanaście.

6-go maja 1863: bitwa pod Kobylanką, zakończona świetnym zwycięstwem Polaków pod wodzą generała Jeziorańskiego.

6-go maja 1763: urodził się książę Józef Poniatowski.

7-go maja 1574: wybór Henryka Walezyusza na króla Polski.

7-go maja 1794: Kościuszko wydaje manifest, przyznający zupełną wolność włościanom. Manifest odczytano na mszy świętej w obozie w Połańcu.

14-go maja 1792: w Targowicy założono konfederację celem obalenia konstytucji 3-go maja a przywrócenia „złotej wolności“.

18-go maja 1674: wybór Jana Sobieskiego na króla Polski.

24-go maja 1543: śmierć Mikołaja Kopernika, kanonika kapituły warmińskiej, słynnego astronoma.

26-go maja 1831: bitwa pod Ostrołęką, najkrwawsza z bitew powstania listopadowego. Polacy stracili 8000 żołnierzy, 270 oficerów i 3 armaty; padli generałowie Kicki i Kamiński, Krasicki wzięty, do niewoli.



MOWA OJCZYSTA.

„Straż polska“, pismo wydawane przez stowarzyszenie „Straży polskiej“ w Krakowie, zamieściła w pierwszym swym numerze artykuł znanego poety i pisarza Lucjana Rydla o mowie ojczystej, który tu w streszczeniu podajemy:

„Między tymi skarbami — pisze Szan. autor — których, jak oka w głowie, strzedz jest powinnością Polaka, trzeba położyć na równi z ziemią praocjów, praocjów mowę. To święte dziedzictwo i z przeszłością nas łączy i między sobą, rozdartych, jednoczy, i łańcuchem zostać ma wiążącym dzisiejsze i przyszłe pokolenia, jeśli im tę spuściznę nienaruszoną przekazemy.

Język to nie tylko środek porozumienia, to wytworzony przez wieki, na obraz i podobieństwo charakteru narodowego ukształtowany objaw zewnętrznego najwewnętrzniejszej naszej istoty: żył, rósł i dojrzewał razem z myślą polską, szedł jej drogami, jej cywilizacyjną pracę odzwierciedlał w sobie, taki bywał zawsze, jak i myśmy bywali.

Surowy był i nieużyty, gdy twarda ręka polska po raz pierwszy od pług i miecza sięgała po pióro. Przyswajał sobie łatwo i polszczył śmiało wyrazy obce, nadając im rodzime piętno, gdyśmy narody ościenne pod skrzydła Rzeczypospolitej brali i czynili z nich koronnych synów ojczyzny. Rozkwitł w powagę, bogactwo i dostojną prostotę, gdy naród wstępował w złoty wiek swojego żywota; więc i język wtędy z siebie dobył spiżowe dźwięki Zygmuntońskiej poezji. Gdy się rozpręgały nasze prawa i kaziły nasze obyczaje, on też rozpręgał się w sobie i kaził; nadętej pysze i lekkomyślnej swywoli odpowiadał jak echo nadętością próżnych wyrażań i swywolą stylu. Gdyśmy w przeddzień upadku w przeszczipianiu zachodniej oświaty i pojęć zachodnich na grunt nasz zdziczały szukać jeli ocalenia i on oczyścił się i nabrał zachodniej ogłady. A potem był nam jak harfa nad wodami rzek bałtyjskich zawieszona, z której zabrzmiał „wieszczów żal“ i pobudka bojowa i psalm nadziei.

Teraz gdy od pół wieku blisko, wstąpiliśmy na drogę powolnej, cierpliwej pracy, która jedynie może nas „przywrócić na ojczyzny łono“ — musimy język polski, jako jedno z najszacowniejszych dóbr otaczać troskliwą i stateczną pieczą, by się nam w swoim dalszym rozwoju nie krzywił, nie dziczał, nie kaził.

Gdyby on nie był tym drogocennym skarbem, ducha naszego szatą, istnienia naszego warunkiem, czyliż ci, którzy nas pragną ze wszystkiego wyzuć i byt nasz podciąć u korzeni, rugowaliby ten język tak zawzięcie ze szkoły, z urzędu, z publicznego życia? Wiedzą, że dla nas ostatnia godzina wybija, gdy własną mowę postradamy, przeto ją tak zawzięcie tępią. Wiemy, że się kuszą napróżno, bo wydrzeć język całemu narodowi, lub choćby części narodu, to niemożliwe chyba wobec tej świadomości polskiej, co już dotarła do najszerzych warstw ludu. Języka wydrzeć nie można, lecz budowę można jego zwikłać i rozstroić, rdzeń jego wpływami obcymi zarazić.

Szanowny autor zaznacza, że język nasz psuje się i kazi obcymi naleciałościami, a my nie starani

się temu przeciwdziałać. Twierdzą nawet niektórzy, że należy to uważać jako naturalny rozwój języka, jeżeli przyswajają sobie obce wyrażenia.

„Nie możnaby nic mieć przeciw temu zdaniu, czytamy dalej, gdybyśmy tworzyli jednolite państwo, gdyby na całym obszarze ziem polskich dziecko słyszało w szkole tylko polską mowę, żołnierz komendę polską; gdyby władze urzędowały tylko po polsku, gdyby nigdzie nie pojawiały się nieludzkie zakazy publicznego używania polskiej mowy, gdyby mowa obca nie wciskała się nawet na katedrę i nie wypierała naszej nawet z kościoła.

W dwóch częściach Polski siłą się, by nam przez mocą narzucić dwa różne języki obce, w trzeciej (w Galicyi) my sami, wskutek przynależności państwowej nie tylko uznać musimy potrzebę władania obcym językiem, lecz ponadto skwapliwie go sami przyswajamy sobie z konieczności.

Czy w tych warunkach można mówić o „przyrodzonym biegu rzeczy?“ o „samoistnym zdrowym rozwoju naszego języka?“ Czy wolno stosować doń zasadę naukową, że „każdy język powinien być takim, jakim się ukształtuje i urobi w nieustannych swoich przemianach“.

Wierzmy, że potomkowie nasi kiedyś będą mogli bezpiecznie odłożyć na bok drobiazgową pieczę nad rozwojem polskiej mowy, wierzmy, że przyjdzie czas, gdy i ona, jak wszystkie inne języki, będzie mogła kształtować się samoistnie i swobodnie. Ale dziś w stosunkach wyjątkowych żyjemy, pod wyjątkowym naporem obcych wpływów, na każdy objaw narodowego życia, więc naporowi temu stawiać musimy czoło na każdym kroku i na każdym polu, by obronić naszą ojczystą mowę.

Jakaż jest na to rada?

Zwracać uwagę samemu i drugim na wszystko, co się mówi i pisze, błędów nie puszczać płazem, wątpliwości roztrząsać, oglądać się na wzory wielkich pisarzy, wszelkie usiłowania, zmierzające do naprawy języka, skwapliwie popierać, wyrobić sobie, mieć zawsze przytomne i rozszerzać dokoła przekonanie, że niedbalstwo językowe jest grzechem przeciwko narodowi i przeciw jego przyszłości.

Takie są obowiązki Polaka względem ojczystej mowy.

Lucjan Rydel.



NASZA CHWAŁA.

Stanisław Małachowski.

Stanisław Małachowski urodził się w Końskich, dnia 24. sierpnia 1736 r., w pierwszych leciech panowania Augusta III. Nie było jeszcze w owych czasach tych dobroczynnych szkół publicznych, gdzie dziś młodzież cała z łatwością nauki czerpać może. Małachowski odebrał więc wychowanie domowe, i ten szczegół acz drobny na pozór, podwaja cenę późniejszych, jakie okazał przymiotów. Trudno to bowiem synowi majątnych i wiele znaczących rodziców, otoczonemu pochlebcami na każdą chęć jego powolnemi, trudno mówię ująć próżnej dumy i samolubstwa. Dla panicza w domu rodzi-

cielskim chowanego, wszystko od kolebki się zma-
wia, aby go przekonać, że on chociaż nic jeszcze
nie zrobił, już jest czemś więcej od wszystkich;
mało kto, a może nikt mu nie powie, że imię jego
i majątek są to jedynie długi zaciągnięte u sławy.

Charakter Małachowskiego tak był zdolny jak
i inne, do przyjęcia najmylniejszych zasad; bo i
gdzież jest to dziecko, któreby samo przez się pra-
wdę rozeznało od błędu? Dowodem tego, jak ła-
two i jakby mimowolnie szkodliwe prawidła wszcze-
piały się w najlepiej usposobiony umysł, niech bę-
dzie czyn następujący: Małachowski, jak cała mło-
dzież polska, lubił namiętnie jazdę konną i myśliw-
stwo, a z natury był żywy, a nawet gwałtowny.
Razu jednego na polowaniu, kiedy w zwierza nago-
nionego, on pierwszy jako Pan miał ugodzić, jeden
ze strzelców pokwapił się i wystrzelił. Oburzony
tą śmiałością sługi, Małachowski w pierwszym gnie-



wu zapędzie, uderzenie przeznaczone zwierzęciu,
przeciw człowiekowi wymierzył, i strzelec padł bez
duszy! Młodzieniec zobaczywszy co uczynił, ochło-
nął natychmiast i wpadł w najżywszą rozpacz; le-
dwie się dał uspokoić, długo za tę popędlivość sro-
dze żałował, rodzinę strzelca obsypał darami, ale
już życia człowiekowi nie wrócił!... Kto wie je-
dnak, czy ta smutna okoliczność nie sprawiła w nim
zbawiennego wstrząśnienia? kto wie, czy nie na-
stręczyła mu tej myśli, iż głęboko powinny być
wpojęne w każdego z ludzi prawa człowieka, iż po-
winien wierny dosłownie przepisom chrześcijaństwa,
nawyknąć od dzieciństwa do widzenia w każdym
człowieku brata, jeśli chce, nie uczynić nigdy za-
dnemu z nich, czasem nawet mimowolnej niespra-
wiedliwości i krzywdy? Kto wie, czy liczne, jakie
dał dowody, miłości ludzi, które mu zyskały, przy-
jaciela ludu przydomek, nie były okupem za tę
miłość? Kto wie nareszcie, czy ten przynioś spr-
awiedliwości, który sprawił, że go w dalszym wie-

ku Aristidesem*) polskim nazwano, nie powstał z
wyrzutów uczynionej krzywdy? Któż bowiem
zglebieć potrafi, jakimi drogami Opatrzność wielkie
dusze do udoskonalenia prowadzi? kto dojrzy, jak
w Jej rękę sam jad do uzdrowienia posłużyć może?
Nic w całym życiu Stanisława Małachowskiego te-
go czynu popędliwości młodzieńczej nie przypomi-
na, owszem wszystko go zagładza, wszystko mu
jest przeciwne.

Małachowski przeznaczony z urodzenia do zna-
komitych tytułów i urzędów, był naprzód rotmi-
strzem znaku pancernych, potem Starostą Sande-
ckim; w r. 1764, kiedy Poniatowski tron obejmo-
wał, był Posłem na sejm koronacyjny, a wnet po-
tem Marszałkiem Trybunału koronnego. Jeszcze
w r. 1578 szlachta polska, czując jaką było niedo-
godnością i przewłoką wszystkie sprawy odnosić
do króla i sejmu, postanowiła za panowania Bato-
rego, Trybunał główny koronny i ten utrzymywał
się ciągle. Starano się zawsze dobierać ludzi za-
cnych na tych sprawiedliwości szafarzy; ale nie
zawsze wybór ten był pomyślny; wszyscy jednak
z radosnym odezwali się poklaskiem, kiedy król na
Małachowskiego obrócił oczy. Dopelniał obowią-
zków ważnego tego urzędu z największą gorliwo-
ścią, starając się o wymiar sprawiedliwości jak naj-
rzetelniejszej. Tej posadzie również sądownictwo
i opieka ludu wiejskiego i miejskiego poruczone by-
ły. Ją zajmując, wsławił się Małachowski czynem,
powtarzanym już nie raz przez pędzel i pióro:
„Uwiedziony z innemi sędziami i asesorami obrotem
jednego patrona, a więcej jeszcze dla nieprzywie-
dzionych w czasie sprawy dowodów, wydał de-
kret, który sam potem z wielkim dla siebie żalem
„uznał za niesprawiedliwy; a chcąc nagrodzić to
„mimowolne uchybienie, posłał natychmiast po
„skrzywdzoną stronę i kilkadziesiąt tysięcy, o które
„spór szedł, z własnej szkatuły zapłacił“.

Piastował Małachowski przez lat kilkanaście
ten urząd znakomity i mozolny, z nigdy nieposzła-
kowaną rzetelnością. Te jego zasługi zyskały mu
szacunek i wdzięczność publiczną i kiedy w r. 1788
zebrał się Sejm słusznie wielkim nazwany; kiedy
cały naród radził, gdzieby szukać mądrego i cnotli-
wego sternika do tej łodzi, która miała ocalić szcze-
ście i trwałość Ojczyzny, jednomyślnie dnia 6-go
października, Małachowskiego Marszałkiem sejm-
owym mianowano. Nie tu miejsce i pora opisywania
tego wszystkiego, co sprawił ten Sejm pod takim
przewodnictwem; któż tego nie wie? ale trudnoby
przemilczyć kilku Małachowskiego czynów. Na-
przód pierwszy pomimo tak wkorzenionych jeszcze
w owym czasie przesądów, wpisał się w księgi ja-
ko mieszczanin warszawski; pierwszy w Polsce za-
warł korzystne i dobroczynne układy z włościana-
mi licznych swoich dziedzin, i osobistą nadał im wol-
ność. A kiedy dla podźwignienia narodu, trzeba
było koniecznie ażeby król stanął na czele wojska,
a ten nagłym go przedstawiał, że nie bądzie miał
o czem utrzymać się w obozie, natenczas Mała-
chowski z własnego majątku 30 000 dukatów mu
ofiarował. Ody zaś dla Polski nastał dzień smutny,
14 maja 1792 r. (założenia konfederacji Targowi-
ckiej) gdy drugi podobny 23 lipca nastąpił (drug
rozbiór Polski). Małachowski uczyniwszy urocz-
ną protestacyę przeciw temu, co się stało, wyje-
chał natychmiast z Warszawy, naprzód do Krako-

wa, a potem za granicę, sam uznając się wygnan-
cem.

W r. 1807, kiedy zwyciężający cesarz Francu-
zów w imię narodu Polaków do rządu powołał, na
nowo wezwaniu ojczyzny posłuszny, stanął na czele
Komisji rządzącej w dniu 14 stycznia; później zaś,
gdy po Tyłżyckim pokoju, Księstwo Warszawskie
był swój uzyskało, Fryderyk August zaszczylił go
dostojenstwem Prezesa Senatu. — Chociaż wiek
sędziwy już go przycisnął i ubielił włos jego, nie
doszła zima do serca, tlała w niem czysta i prawdzi-
wa obywatelska cnota, zawsze o sobie dla kraju
zapomnieć gotowa. I tak kiedy wyniszczone do-
chody Księstwa Warszawskiego, groziły niedosta-
tkiem soli, milionową rękojmnią na dziedzicznych do-
brach swoich zapisaną, zyskał w rządzie austrya-
ckim kredyt dla skarbu, i zasłonił współobywateli
od braku jednej z najpierwszych potrzeb życia. Na
dostojnym urzędzie Prezesa Senatu, który z praw-
dziwą piastował godnością, zakończył pełne lat, peł-
niejsze cnót i sławy życie, dnia 29 grudnia 1809
roku, po krótkiej chorobie. Śmierć jego okryła ża-
łobą naród cały; płakała go Polska jak ojca, a jak-
by osierocona truchleć znowu o losy swoje zaczęła.
Cnotliwy Fryderyk August, którego serce oceniało
Małachowskiego, dowiedziawszy się o jego śmierci,
zapłakał i wyrzekł: „To największa strata, jaką po-
niosłem, będąc księciem Warszawskim“. Cudzo-
ziemcy dzielali z rodakami żal głęboki nad tym
nieodżałowanym zgonem.

Wspaniały grobowiec ku uczczeniu pamięci
Stanisława Małachowskiego, znajduje się w kate-
drze św. Jana w Warszawie. Myśl jego jest taka:
Stanisław Małachowski siedzi w krześle; w jednej
ręce trzyma laskę Marszałka; a w drugiej zwiniełą
księgę. Po jednej stronie Polska w postaci niewia-
sty płacze nad trumną. Po drugiej wystawiony jest
rycerz z orłem Księstwa Warszawskiego, przyby-
wający z pośpiechem jakby na głos Małachowskiego.
(Ze wspomnień narodowych Kłem. Tańskiej).



POWITANIE WIOSNY.

Niechaj horyzont rozjaśni się szary!
Niech pieśń zachwyty zaśpiewa nam ptasze!
O! witaj wiosno! i na łany, nasze
Błogosławieństwa przynieś szczodre dary!

Ogrzej miłośnię i użyźniaj pola!
Otrzyj łzy ludu! rozpędź smutki czarne!
Niechaj trud krwawy nie idzie na marne!
O! wiosno nasza! wiosna z tyłu jedna,

Co nam twe wichry, zdaleka przyniosą?
Czy beznadziejnie uschnie rola biedna,
Czy też ożywczą odświeży się rosa?
Wiosno! czy będziesz w łzy ludzkie bogata

Czy miłosierdzia powstanie duchu boży?
Jakie za sobą przyniesiesz nam lato?
I jesień życia — jaki grób otworzy?

Antoni Pilecki.



ŻALLIS.

BAJKA ZMUJDZKA.

Była piękna Egle sama u rodziców bogatych
i chodziła co ranka po kwiaty nad jezioro w głąb
puszczy, śpiewając cudnie. I razu pewnego otwo-
rzyła się woda i waż zielony wstał z głębi i po-
zdrowił ją ludzkim głosem: „Witam cię, piękna
dziewico! Królewiczem byłem młodym, i bogowie
za karę krasy zmienili mą postać! Żaltis mi na
imię, ale tam w wodzie mam pałac z bursztynu
i ogrody z pereł, i postawę mą dawną odzyskuje.
Nie mi nie brak, tylko smutek mnie toczy, bo
sam wśród tych skarbów i pałaców. Dni mi pły-
ną w smutku i tęsknocie, bo nikt nie chce mnie
poślubić! Zstąp, piękna Egle, bądź królową moją
ziem, żoną moją!“

Egle strwożona uciekła, ale nazajutrz znów ją
coś zawiodło nad wodę i Żaltis znów wypłynął
i błagał, i zaklinał. Aż za trzecim razem usłu-



Robespierre,

słynny dowódca wielkiej rewolucji Francuskiej, który wprost
pławił się we krwi skazując tysiące ludzi na śmierć, aż sam
dał głowę pod gilotyną dnia 28-go lipca r. 1794.

chała go i poszła za królewiczem w głąb jeziora.
A tam na dnie opadły go łuski węzowe, i stał się
piękny jak zorze, i dał jej sznury bursztynu i
pereł, wprowadził w komnaty korałem wykładane
i była z nim Egle szczęśliwa lat kilka. Dwóch
synów i córkę wypiastowała mężowi, i miłowali
się jak słońce z kwiatem, i nie im nie brakło w
szczęśliwości. Aż po kilku latach przypomniała
sobie rodziców starych i braci dorodnych i ją
prosić męża, by ją tam do nich puścił w odwie-
dziny. Długo się opierał, i ociągał, i przystał z
wielką żalością: „Idź — rzekł wreszcie — ale
wracaj rychło, i wołaj mnie po imieniu. Jeśli żyw-
będę, wypłynę, ale jeśli zobaczysz na wodzie czer-
woną pianę, to znak, że zginął.“

Poszła tedy Egle, zabrawszy dzieci. Przynie-
sła w dom piękne dary, ale skąd szła, nie chciała
powiedzieć i dzieciom zakazała. Więc bracia na
pierwszą noc na stróżowanie koni poszli, i wzięli
z sobą najstarszego chłopca. Bili go i męczyli,
ale on nic nie wyznał. A na drugą noc wzięli
młodszego, ale i ten milczał jak skała, pomimo
katowania. A na trzecią poprowadzili dziewczyn-
kę, a ta ze strachu i bólu wyznała prawdę. Wzięli
tedy bracia osire miecze, poszli nad jezioro, i wo-

łali: „Zaltis! Zaltis! Wyjdź do mnie!” A gdy uradowany wąż wypłynął, rozsiekli go mieczem i wrócili do domu, nic nie mówiąc siostrze.

A po tygodniu gościny zateśniła Egle za mężem, i pożegnała rodzinę, przyszła nad wodę, i wołała wedle umowy — ale tylko piana czerwona wystąpiła na wierzch, i nikt jej nie odpowiedział.

Zapłakała Egle, że go opuściła, i w żalości nie dała się utulić ani ojcu, ani matce. Wieg bogowie zmienili ją w ciemną jedlinę — starszego syna w dąb, młodszego w jesion, a dziewczynę w drzącą, smutną osikę.

I długie lata widzieli ludzie tych drzew cztery pochylonych nad jeziorem, a jedlina gałęzmi obejmowała wodę, i wciąż szumiała: Zaltis! Zaltis! Zaltis!



ZDANIA I MYŚLI.

Nasze królestwo — to ludzkie serca, nasza służba — ludzkie dobro, naszym szczęściem — ludzkie zaufanie.

Przyjaźń nawet po stu latach jest młoda, namiętność starzeje się w paru miesiącach.

—o—

Myśleć to, co prawdziwe, czuć to, co piękne, a chcieć to, co dobre, w tem duch ludzki uznaje cel mądrego żywota.

—o—

Odwaga i wytrwałość pokonywują największe przeciwności. Nie ma nic niemożliwego dla tych, którzy chcą chcieć i cierpieć.

—o—

Kochaj prawdę myślą, słowem i każdym czynem twojego życia, bo tylko w prawdzie zbawienie twojej duszy, twojego narodu i świata całego.

—o—

Dwadzieścia pięć lat — połowa ludzkiego życia, jest w oceanie czasu małą tylko kropelką, ale w stuletniej dobie historii narodu, jest kwestyą wielkiej wagi, to też bezkarnie czasu tego marnować nie wolno, należy wyzyskać każdą chwilę na postęp tegoż narodu.



Na granicy Afganistanu.

Jak donosiły gazety, wybuchły w Afganistanie niepokoje i kto wie, czy się z tego nie wywiąże wojna. Wtajemniczeni politycy twierdzą, że to sprawka Rosyi, która podjudzaniem doprowadzić chce azyatyckich książąt do kłótni, aby potem zawojować ich i mieć wolny dostęp do Indyi.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

23-go maja 1865: Powieszono w Sokołowie księdza Brzoskę, jednego z dowódców ostatniego powstania.

24-go maja 1820: Ślub Wielkiego Gsięcia Konstantego, namiestnika Król. Polskiego i brata cara z Joanną Grudzińską, Polką.

25-go maja 1471: Wybór Władysława, najstarszego z synów Kazimierza Jagiellończyka na króla czeskiego.

26-go maja 1807: Wojska francuskie wraz z polskimi legionami oblegają Gdańsk; Prusacy ustępują.

26-go maja 1963: Zjeżdża do Wilna w charakterze general-gubernatora Michał Murawiew, który taką rozwinął działalność, że mu sami nawet Moskale dali przydomek „wieszatela”. Rządy jego trwały do r. 1865.

28-go maja 1793: Miasto Gdańsk, które od pierwszego podziału Polski r. 1772 było wolnem miastem, zajmują Prusacy.

30-go maja 1448: Wysłańcy papieża Mikołaja V wręczają królowi Kazmierzowi Jagiellończykowi w darze złotą różę, jako dowód uznania cnót i zasług jego.

31-go maja 1434: Umarł w Gródku król Władysław Jagiello.

31-go maja 1884: Umarł w Warszawie general-gubernator Albedyński, który w szeregu namiestników Król. Polskiego był jednym z najbardziej sprawiedliwych i wzglednych.

Zielone Święta.



Nasza izba umajona,
Tatarakiem obstawiona,
Tatarakiem, wodną trzcina
I czeremchą i kaliną.

Zielone Święta

La, la, la!

Zielone Święta

La, la, la, la!

Maju, maju, świeży gaju,
Pachniesz ty dziś w całym kraju,
Niosą chłopcy gałazeczki,
Wiją wianki panienczki,

Zielone Święta

La, la, la!

Zielone Święta

La, la, la, la!

Zesłanie Ducha św.

Ileż to cudów, ile powodów chwały Boga i przedmiotów do rozmyślenia, zamyka w sobie uroczystość Zesłania Ducha św. W dniu tym trzecia osoba Trójcy Przenajświętszej, zstępuje na świat dla odrodzenia go. Boski Odkupiciel wykończy ostatecznie wielkie dzieło, które było przedmiotem wszystkich Jego tajemnic, nowy lud ma wielbić Boga w duchu i prawdzie, od wschodu aż do zachodu; odnowiona jest postać świata; judaizm pogrzebiony, poganizm zniszczony; spełnione jest na-

reszcie przymierze powszechne, między Bogiem a ludźmi.

W rzeczywistości trzeba koniecznie, gdy powraca ten dzień pamiętny, odczuć w sobie głęboką wdzięczność.

Czyliż uroczystość Zesłania Ducha św. nie jest świętem cywilizacji?

Chrześcijańskie narody biorą odtąd początek oświecenia, zmiany obyczajów, nowych wyobrażeń i w miejsce prawa przemocy, zawitało prawo miłości bliźniego. Kościół to wszystko przypomina przez uroczystość Zielonych Świątek tak, jak przypominał pokoleniom, które nas poprzedziły, jak

przypomni pokoleniom, które po nas nastąpią. Kościół obchodzi tę uroczystość, a wszyscy powinni łączyć się z nim dla święcenia dnia tego, tak, jak obchodzimy dzień Narodzenia Pańskiego, bo Wiercznik, to kolebka, stamtąd przyszła ta wyższość umysłowa i moralna, którą się słusznie chlubimy.

Prześliczna jest tak zwana Proza, odmawiana w tych dniach uroczystych podczas nabożeństwa. Jest ona treści następującej:

(Veni Sancte Spiritus, et emitte coelitus lucis tuae radium etc.).

Przyjdź Duchu św., oświecaj nas coraz więcej, a niech promienie Twego niebieskiego światła nieustannie jaśnieją w oczach naszych.

Przyjdź, Ty jesteś Ojcem ubogich.

Niestety! jesteśmy ubodzy w dobra teraźniejszego i przyszłego żywota.

Z tego powodu podwójnie godni jesteśmy Twojej litości i Twojej szczodroty; zlej je na nas obficie, o Ty, który jesteś światłością serc i szafarzem wszelkich darów.

Wlecemy nędzne życie w pracy, smutku i gorczy. Naprawdę szukaliśmy pociechy naszej między ludźmi.

Znajdujemy tylko nieużytecznych pocieszycieli, którzy jęczą nasze cierpienia, lub pozostawiają nas przygnębionych boleścią. Duchu pocieszycielu, Ty jesteś najlepszym przyjacielem, jedyną ucieczką dla duszy strapionej, jeden tylko przynosisz jej ochłodę przyjemną.

W Tobie znajdujemy spokojny odpoczynek po pracach naszych, orzeźwiający cię podczas upałów letnich, umiarkowanie w zapędach namiętności naszych; Ty otrzymasz łzy, które skraplamy smutną drogę z życia do wieczności.

O światło miłe i rozweselające! przyjdź, rozlej słodką pogodę w duszach Tobie wiernych. Smutna pomroka otacza je nieraz w chwilach ponurych, napelnij je Twojem weselem, które nieodstępnie ci towarzyszy.

Bez Twojej Boskiej pomocy nic zgoła nie mamy, nic nie możemy, niczem nie jesteśmy; wszystko w nas jest słabością, nędzą, niedoleżnością.

Oczyść w nas wszystko, cokolwiek znajdziesz skalanego i niegodnego, zwilż to wyschłe i stwardniałe serce, ulecz rany duszy mojej lekarstwami skutecznymi i zbawiennymi.

Zmiękcź to serce buntownicze i krnąbrne, pokonaj mój upór i nieposłuszeństwo, uczyni je powolnem na Twe przekonywające natchnienie, rozłot ten lód, który je czyni tak zimnem na przedmioty, co je miłością zapalić by powinny. Niestety! błąka się na drodze nieprawości, sprowadź je więc na ścieżki sprawiedliwości.

W Tobie położyliśmy całą ufność naszą.

W kimże byśmy ją umieścić mogli?

Udziel wszystkim sługom Twoim szacownych darów, które z nieba przynosisz: mądrości, umiejętności, rady, mocy, nauki, pobożności, bojaźni Boga i wszelkich łask, których tak bardzo potrzebujemy.

Przyozdób dusze nasze w cnoty gruntowne i chrześcijańskie, które jedne tylko w oczach Twoich zasługę mieć mogą, doprowadź nas do szczęśliwego kresu zbawienia: do tej chwały, do tej radości, do tych rozkoszy, które nigdy końca mieć nie będą“.

Proza ta ma na celu uproszenie światła, łaski Boga, oraz pozbycia się tego, co może przeszkadzać doskonałemu umiłowaniu życia, łączącego z Bogiem na zawsze.



Boże w dobroci...

Boże w dobroci nigdy nieprzebrany,
Ty myśl przenikasz oraz koisz rany
I narodowi, który bólem płonie,
Niesiesz zbawienie w męczeńskiej koronie.

Na pochyłonych w pracy zsyłasz dary
A łaskom Twoim me masz nigdy miary,
Wśród biegu dziejów i wśród łez powodzi,
Prawdy sternika chronisz na swej łodzi,

Której wśród burzy nic zniszczyć nie zdoła,
Na straży stawisz w płomieniach anioła,
Co szepce słowa gorące wśród ciszy,
A duch wybrany tajnie słów tych słyszy.

Wieszczce natchnienia zamieniasz na czyny,
W walce rozdajesz palmy i wawrzyny,
A więc zanosim do Ciebie błaganie,
Na dobra drodze, daj nam wytrwać Panie!

Bo też zaiste, najsroższa ruina,
Gdy matka w bólu zawoła na syna;
A ten jej wspólną nie odpowie mową,
O taka cisza — jest ciszą grobową...

Póki nam jedno serce bije w tłumie,
Tłum sercem patrzy, drogi swe rozumie,
Mimo męczarni pod niedoli biczem,
Uchylmy czoła przed prawdy obliczem.

I za nią walczmy i za nią skruszeni,
Nie tracimy wiary, że zło się odmieni;
Nie tracąc błagalne z serc ludu wołanie:
Na dobra drodze, daj nam wytrwać Panie!

M. J. Gruszecka.



W Hiszpanii r. 1808.

(Z pamiętnika kapitana Jana Kierzkowskiego).

„Pały korpus wielkiej armii, przeszedłszy Baionę, Witoryę, Burgos, otrzymał rozkaz oblężenia Saragossy. Było to miasto wielkie, dobrze i mocno oszańcowane na sposób Warszawy.

Oblężenie trwało prawie całą zimę, dopiero w końcu lutego wzięto miasto szturmem. Polacy wiele przytem ucierpieli, bo z Francuzami oblegali to miasto. Jenerał hiszpański Palafox tak dobrze się bronił, że, chociaż połowa miasta była w rękach Francuzów, nie chciał kapitulować; dopiero gdy przedmieście, po drugiej stronie rzeki Ebro, było wzięte, że już wody przybrało i choroba przyciskała Palafoxsa, dopiero kapitulacja nastąpiła. Francuzi 15 tysięcy odesłali niewolnika do Francji, 300 dużego kalibru armat.

Pierwszem oblężeniem kierował marszałek Moncey, ale nie mógł zdobyć Saragossy. Drugiem

Komendowali marszałkowie Lannes i Mortier. Hiszpanie bronili się walecznie, poświęcając wszystko, nawet małe dzieci. W całej Saragossie wszystkie drzwi do wszystkich kamienic były od ulicy zamurowane, a okna zabezpieczone żelaznymi kratami. Baterie usypali Hiszpanie wzdłuż ulic. Kiedy jedną stracili, to z drugiej na nowo bili. Wojsko i mieszkańcy porobione mieli dachami z kamienicy do kamienicy przejścia tak, że jednym szeregiem awansować lub rejtować mogli. Ze wszystkich stron do naszych strzelali, musieliśmy budynek za budynkiem brać szturmem. „Gdyśmy po kapitulacyi do miasta wchodzili, musieliśmy nosy pozatykać od fetoru, jaki był z ludzi, koni i mułów zabitych, bo to wszystko nie było grzebane, tylko czarne, jakby w smołę zlane. Lud, gdy wychodził z różnych sklepów, aby umyć się w rzece, strach było na niego patrzeć. Wyglądali, jakby z trumien powstał”.

Marszałek Mortier stał główną kwaterą o pół mili od Saragossy, we wsi Villa Major. W czasie tej blokady zebrało się 5 tysięcy w górach powstańców, dowodzonych przez samych księży, podstąpili ku Saragossie, aby odcinać i zabierać żywność. Marszałek Lannes rozkazał Mortierowi, aby wziął dywizję piechoty, z artylerią do niej należącą, nadto dwa pułki lekkiej kawalerii, 10 pułk huzarów i 21 szaserów konnych, wreszcie 150 ułanów polskich z 7-go pułku Konopki. Temi dowodził szef szwadronu Klicki.

„Wyruszyliśmy w nocy, aby wczesnym rankiem podejść powstańców. Z brzaskiem dnia, w pierwszej wiosce zabarykadowanej, spotkaliśmy samych pieszych partyzantów. Do naszej awangardy konnej zaczęli strzelać z poza barykad. Marszałek Mortier, aby im odciąć odwrót w góry, kazał 10-mu pułkowi huzarów awansować po prawej stronie wioski, a szaserom i ułanom naszym po lewej stronie nacierać. Piechota i artyleria, wystrzelawszy raz czy dwa z armat do barykad, weszła do tej wsi. Powstańcy chcą w góry uciekać, ale kawaleria nasza im zabiega i bez pardonu wycina.

O małe pół mili drogi, w innej wiosce, stała znaczna siła powstańców. Mieli 5 armat, uszykowani byli w jedną linię, od tej wsi prawem skrzydłem, a lewem dotykali klasztoru na wielkiej opoce. Piechota francuska awansowała prosto na ich baterie, wołyżerowie nasi zbliżali się do samej góry. Hiszpanie zaczęli prażyć działami. Artyleria francuska wystrzeliła z kilkunastu dział, wtedy Hiszpanie uciekli w góry, zostawiając swoje armaty, piki i inną broń.

Kawaleria nasza już przebiegła wioskę. Kierzkowski daremnie szukał przewodnika, żywego ducha we wsi nie było. Naraz usłyszał w krzakach kwilące dziecko. Dojechawszy tam znalazł czterolatniego chłopczykę, ranionego w prawą rączkę kulą karabinową. Znając już nieco język hiszpański, przemówił do dziecka kilka słów.

Chłopczyk zaraz zbliżył się do jeźdźcy, Kierzkowski wciągnął go na konia, posadził przed sobą, zdjął z szyi swoją chustkę czarną, opatrzył mu ranę, która szczęściem była lekka, bez naruszenia kości. Wróciwszy do wsi, zameldował marszałkowi, że w całej wsi nie mógł znaleźć przewodnika, natomiast znalazł w górach ranionego chłopczykę.

Zdziwił się marszałek, niezwłocznie kazał swemu lekarzowi przybocznemu opatrzyć dziecko.

Ponieważ korpus pozostał we wsi przez noc, Kierzkowski zatrzymał chłopca w swojej kwaterze. Kazał ordynansowi swemu nakarmić sierotę mocnym rosółem, poczem chłopczyka usnął smacznie. Zaczynał nasz rodak przemyślać, co zrobić z maleństwem. Niepodobna było pozostawić go we wsi zupełnie opuszczonej, tem bardziej, że Francuzi, na odchodem, mogli wieś podpalić. Ostatecznie zawiózł chłopczyka na swoim koniu pod Saragossę.

Sierotka już nie wołał padre! ani madre!, widocznie bawiła go podróż, chociaż rączka bolała. Gdy stanęła w kwaterze, w Villa Major, Kierzkowski doglądał chłopca, jak rodzzonego. Rana goiła się szybko, zresztą malec miał wszelką wygodę, bo Kierzkowski dbał więcej o niego niż o siebie. Czasem w nocy, gdy śpiący uraził się w rączkę, płakał: — Ne kieres ciko? (Co chcesz, dziecko?) — zapytywał go nasz wiarus.

— Mało... (boli) — odpowiadał chłopiec.

Dnia pewnego ordynans przyniósł Kierzkowskiemu małe jagnię żywe, zamiast zwykłej racyi. Kierzkowski puścił je na pokój, zaczęło beczeć. Chłopiec dalej się bawił z jagnięciem. Nasz wiarus rzekł do ordynansa:

— Choćby nam z głodu przymrzeć przyszło, tego jagnięcia nie zabijaj.

„Zdawało mi się, że kiedy ten chłopczyka płakał w krzakach, to też jagnię beczało przed swoją śmiercią; dla tego podobieństwa kazałem jagnię zostawić przy życiu, karmić rozmoczonymi dobrze sucharami, jak polewkę, a jeszcze trawą z młodego jęczmienia. Zajadało z apetytem. Chłopczyka i jagnię byli dla mnie uciechą i zabawką, bo to dziecko po hiszpańsku do tego jagnięcia zawsze gadało, jakby do drugiego dziecka, razem sypiali na jednym łóżku, na dwóch materacach i po pokoju jedno za drugim biegało. Jagnię się przyzwyczaiło do chłopca, jakby do jagnięcia drugiego, a dziecko wcale do rodziców nie tęskniło”.

Kierzkowski wystarał się o kabriolet na dwóch kołach, lekkie, wygodny, resorowy, do którego wsiadało się z tyłu. Okna szklane i żaluzje zamykały się. Można było doskonale w nim spać. W owym kabrioecie trzymał chłopca z jagnięciem.

Przez miesiąc z górą nikt się o dziecko nie zapytał. Nadeszła wiadomość, że około miasteczka Fragi zbierają się powstańcy. Marszałek Mortier podążył tam ze swoją siłą. Kierzkowski miał zawsze dwóch ordynansów i 6 koni. Zostawił przeto na kwaterze jednego ordynansa, 3 konie, dziecko i jagnię. Ordynans był człowiekiem dobrym, wiernym, uczciwym, można było mu zaufać. Wracając z Fragi, oddział zatrzymał się w tej samej wsi, gdzie wiarus nasz znalazł chłopczykę. Mieszkańcy, już byli powrócili do domów swoich, wyszli naprzeciwko wkraczających Francuzów z białą chorągwią, na znak, że już są spokojni, i że ulegają prawom nowego monarchy. Kierzkowski wtedy, przy pomocy alkada miejscowego, odnalazł rodziców chłopca.

„Zapytałem się ich, dlaczego dziecko same, ranione, zostawili? Odpowiedział ojciec tegoż, że, uchodząc ze wsi, niósł chłopczykę na rękę; już był pod górą, Francuzi strzelali i kula trafiła dziecko; dla ocalenia swego życia, żeby po krzyku dziecka

Francuzi go nie złapali i zabili, pozostawił chłopca w krzakach, sądząc, że rana śmiertelna, a sam uciekł w góry. Wielką radość okazywali rodzice, w nogi mnie całowali za ocalenie dziecka“.

Nazajutrz Kierzkowski zaprowadził odnalezionych rodziców do kwatery swojej w Villa Major. Kazał się im zatrzymać, żeby wprzód zawiadomić chłopca, iż jego padre i madre przyszli. „Skorom wszedł do pokoju, chłopczyna biegnie do mnie, za rękę chwyta, cieszy się, że przybył. Przez kilka dni nie widział mnie, więc tęsknił nieborak. Obshodził mnie dokoła i mówił:

— A, senior mio venuto! (A, pan mój przyszedł!)

Służący powiedział mi, że po moim odejściu chłopiec cały wieczór płakał, nic jeść nie chciał, wciąż dopytywał:

— Donde est senior mio? (Gdzie mój pan?)

Rodziców nie poznał zrazu, zbliżył się do mnie, jakby się czegoś lękał. Matka z płaczem wzięła go na ręce, ojciec ściska i całuje swoje dziecko i powtarza:

— O mio caro Antonio! mio cico!

Łzy mi w oczach stanęły; żal mi było chłopczyny, że się z nim na zawsze rozłączyć muszę, bo, będąc oddalonym od małżonki i dzieci, które nad życie kochałem, z tęskności przywiązałem się do

niego. Przez dni kilka brakowało mi dziecka — nie miał mi kto szczebiotać; nawet i biedne jagnię bez niego tęskniło, bezustanku beczało i biegło po łąkach, szukając go, gdyż nieraz grało z niem w chowanego“.

Opowieść przytoczona świadczy, że wbrew ogólnemu mniemaniu nawet okropności wojny nie zepsują tego, kto posiada serce czule na niedolę bliźnich.

ZDANIA I MYŚLI.

Walczyć i uczyć pokonywać jarzmo surowości, pod którym łączy tak mężczyzna jak i kobieta, a głównie brońmy słabe dziewczę przed grożącym niebezpieczeństwem: — siłą moralnej samodzielności, świadomością godności ludzkiej, pracą i oświatą. Oświatą dziewcząt ograniczymy upadek i grzech kobiety, upadek i zbrodnię mężczyzny; na oświecenie fundujemy lepszą przyszłość ludu i całego drogiego naszego narodu.

—o—

Chcąc poznać człowieka nie patrzmy czem się zajmuje, ale jak się bawi.

—o—

Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba, kiedy się człowiek troszczy więcej niżli trzeba.

Jan Kochanowski.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

1-go czerwca 1286: Podlasie przyłączone zostało do Polski po ostatecznym zwyciężeniu Jadźwīgów przez Leszka Czarnego.

2-go czerwca 1624: Urodził się Jan Sobieski na zamku w Olesku.

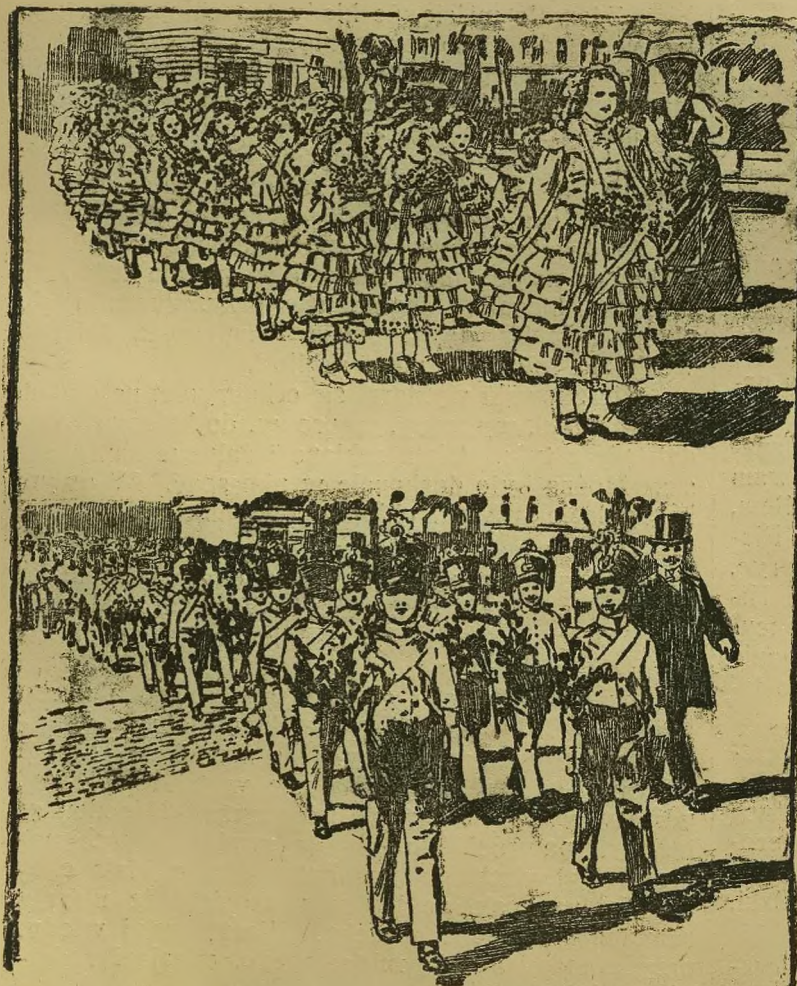
2-go czerwca 1848: Uroczyste otwarcie Zjazdu słowiańskiego w Pradze, na którym toczyły się obrady nad pomyślnością i rozwojem ludów słowiańskich.

3-go czerwca 1605: Umarł Jan Zamojski, hetman i kanclerz koronny, doradca królów Stefana Batorego i Zygmunta Wazy.

5-go czerwca 1812: Do Warszawy zjechał wysłannik Napoleona I książę Pradt, który miał polecenie oświadczenia Polakom, że Napoleon zamierza odbudować Polskę w dawnych jej granicach.

6-go czerwca 1443: Było trzęsienie ziemi w Polsce.

6-go czerwca 1794: Bitwa pod Szczekocinami. Kościuszko miał 17 tysięcy wojska, w tem prawie połowa niewywieczonych włościan kosynierów. Moskali było 15 000, Prusaków 20 tysięcy. Polacy po zaciętej walce cofnęli się w porządku, a tamci ponieśli tak wielkie straty, że nawet nie ścigali naszych.



Z jubileuszu cesarza Austrii.

Dzieci szkolne z Wiednia i okolicy udają się przed pałac cesarski dla złożenia hołdu sędziwemu monarsze.

„Bogu na chwałę, ludziom na pożytek“

mawiali dawniej, mawiają i dzisiaj jeszcze ludzie pobożni, chcąc powiedzieć, iż ktoś zadanie swoje spełnił należycie. Jaśniej i prościej tak głębokiej treści wypowiedzieć nie podobna. To też zdanie to przeszło już w przysłowie. Jest ono zarazem prawdziwie chrześcijańskim programem wychowawczym i jako hasło codzienne, powinno być na ustach opiekunów i kierowników młodzieży. „Bogu na chwałę, ludziom na pożytek“ wyrość masz dziecię drogie, to cel nauk pobieranych i wszystkich najszlachetniejszych zabiegów, podejmowanych dla ciebie!

Ale najczęściej dzieci z ust zacnych skąd inąd rodziców i opiekunów, taką odbierają do pracy zachętę: „Chcę, aby ci było dobrze, lepiej i wygodniej, niż mnie bywało dotychczas, więc ucz się pilnie, ucz najusilniej moje dziecię!“

Samolubstwo zatem i chęć używania ma być gwiazdą przewodnią naszej młodzieży? Dziwimy się potem, że tyle wielkich nieraz talentów marnieje, że taka miłość samego siebie prowadzi do obłąkania lub samobójstwa — ziarno potworne, takież plon tylko wydać może!

Praca sama, nawet umysłowa, nie stanowi wartości człowieka i czasy nasze przesadziły jej znaczenie. Byłe dziecko garnęło się do książki, spokojni jesteśmy o nie, nie pytając, w jakim celu pragnie wiedzy, a nierzadko bodźcem bywa tu próżność lub chorobliwa nieraz ambicja; tak powstaje nowożytny poganizm. Praca dla Boga i dla dobra bliźnich podjęta, jedna nam zasługi niespożyte i choćby najdrobniejsza, staje się wielką tą swoją szczytną intencją.

Pracować na to, nie aby zbierać grosze, ale aby spełniać wolę Bożą i służyć ludzkości jak najlepiej, wiedzieć o tem od młodości i pamiętać przy każdym czynie, pragnąć tego zrozumienia dla drugich, dzielić się niem z nimi gdzie można, to jest żyć prawdziwie „Bogu na chwałę, ludziom na pożytek!“



SKARB CZŁOWIEKA.

Gdziekolwiek myślą twoją uderzysz
I czy uwierzysz, człowieku, czy zmierzysz,
Po całym świecie znajdziesz ład wszelki,
Bo świat jest Boży, a Bóg jest wielki.
A nie to wielkie, co bywa dumne,
Ani to wielkie, co ludziom szumne —
Jeno to wielkie, w co ludziom wierzyć,
Przed czem w pokorze czołem uderzyć.
Jeno to bywa w człeku bezpieczne,
A jako dzieło Boże jest wieczne.
I nie ta ziemia przed inne sławna,
Kędy jest wiele mnogości zdawna —
Lecz onej ziemi przed inne chwała,
Kędy ta czeladź pańska dojrzała,
Kędy człek poznał Boga na niebie
I świętą prawdę, daną za siebie.
A w onej ziemi to znów najpierwsze:
Więc wiara twoja, więc dom dziadowy,

Więc i mogiły, gdzie ojców kości...
Toć twoje skarby, toć twe miłości!

Wincenty Pol



WIANKI NA BOŻE CIAŁO.

(Z notatek Zygmunta Glogera.)

Wieniec w starych pojęciach Lechitów był godłem cnoty, symbolem dziewictwa i plonu. Dziewczęta stroją głowy w wianki z ruty i kwiatów, których nosić nie wolno mężatkom. Ślubny, wieniec jest ostatnim, który zdobi czoło dziewczycy. Przy dożynkach i okężnem, wieniec uwiły z kłosów wszelakiego zboża i kwiatów polnych, jako poetyczny symbol zerwanych plonów, niesie gospodarzowi najdzielniejszą żniwiarkę. Przy sobótkach krasne dziewczęta przyozdabiają włosy wieńcami z bylicy. Na Ukrainie, w wieńcach świętojańskich, przemaga chwoszcz, po polsku skrzyp. Wierzą tam, że ziółko to zasuszone i użyte do kadzenia, ochrania bydło od zarazy.

Powszechny jest w naszym kraju zwyczaj noszenia wianków i równianek na Boże Ciało, w pierwszy nieszpór lub inne nieszpory i poświęcania ich w kościele w oktawę Bożego Ciała, tj. w nieszpór ostatni. Są to wianuszki małe jak dłoń, z krzewów pachnących, ziół i kwiatów uwite. Woń ziół uważana jest jako symbol cnoty, a Kościół w modlitwie, którą odmawia kapłan przy ceremonii poświęcenia, prosi Boga, aby przyjął do wonnej szczęśliwości wonne cnoty tych, którzy składają Mu na ołtarzu wieńce i pęki woniejącego ziela. Zwyczaj rzewny i piękny, ducha pobożnych podnoszący. Pora to najlepsza do zbierania ziół i kwiatów, gdy matka ziemia pokrywa się w czerwcu wonnym kwiatów kobiercem. Wieńcami zdobią się monstrancje przez całą oktawę. Potem wieńce te i wiązki ziół za powrotem do domu zawieszane na ścianach u obrazów, przechowują się po domach przez cały rok, a lud im przypisuje cudowne własności. Okadza nimi chaty przed nadchodzącą burzą, obory i dobytek wypuszczany na wiosnę pierwszy raz w pole, uważa je jako ochronę od zarazy i wszelkich nieszczęść. Do poświęcenia są ziola i krzewy uprzywilejowane.

I tak w Krakowskiem (jak podaje Kolberg) znoszają wianki z rozchodnika, niezapominajek i macierzanki. Niektóre ksiądz zawiesza na monstrancji, inne sługa kościelny zawiesza na drążkach nad ołtarzem, albo wtyka na drzewka, któremi umajono ołtarz w Zielone Świątki. Wianki te ubrane bywają jeszcze bratkami i czerwoną lub kolorową przewiazane tasiemką. Po oktawie, każda gospodyni przychodzi do kościoła po swoje i następnie zawiesza je nad drzwiami stajni, obory i izby.

W Wielkopolsce, w ostatnie nieszpory oktawy Bożego Ciała, wiać wianeczki z lipiny, jabłeczniku, dzikich gwoździaków, rozchodniku, macierzanki, targowniku, roszarki i ziół innych, a po nabożeństwie obłamują gałązki zieleni, którą były ubrane ołtarze, t. j. brzeziny, lipiny, niekiedy topoli i olchy, i przyniosłszy do domu, zatykają wśród lnu, konopi i kapusty, aby robactwo nie zniszczyło tych roślin.

Na Podlasiu w dawnej ziemi bielskiej, nad błotnistą Narwią, powiadali ludzie, stary zwyczaj szanujący, że w wielu domach wito po dziewięć małych wianków, a w każdym razie liczbę nieparzystą, każdy wianek z innego ziela. Zioła te są: macierzanka, kopytnik, rozchodnik, nawrotek, rosiczka, mięta, ruta, stokroć i barwinek. Wianki te kładzione bywają pod podwaliny nowobudującego się domu, w stodołę pod pierwszy przywieziony z pola snop zboża; kadzą nimi dzieję chlebną, ten symboliczny, poważny i pełen poszanowania sprzęt w domu polskiego rolnika; okadzają wreszcie chorych na gardło. Niektóre z powyżej wymienionych ziół mają przypisywaną sobie oddzielną własność. Od rozchodnika n. p. i macierzanki, rozchodzą się chmury gradowe i pioruny, gdy w czasie nadchodzącej burzy, chata i gumna zostaną okadzone.

Na Mazowszu, zagonowa szlachta łomżyńska wije wianki z ziół wyłącznie polnych, a mianowicie macierzanki, rozchodnika, kopytnika, rosiczki czyli bożej rosy i nawrotka. Ziołami temi w wigilię św. Jana okadza po trzykroć wymioną krów, aby mleka nie traciły, zawiesza je na czerwonej tasiemce u rogów i także wykadza dzieję, gdy chleb nie chce w niej rosnać i zakwaszać jak należy.

W Galicji, w oktawę Bożego Ciała święcą wianki uwite z rozchodnika, lubczyka, kopytnika, przywrotka, targownika, macierzanki i dzwonków. Kładą je w rogi stodół, zawieszają nad drzwiami stajen, okadzają nowobudowane domostwa.

W niektórych okolicach zioła i kwiaty układają się w wianek na paskach papieru, z wypisanymi na nich słowami Ewangelii św. Jana: „A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami“. Nadto zaś cztery Ewangelie, czytowane podczas uroczystej procesji Bożego Ciała, przepisują się na osobnych kartkach i poświęcają się w kościele, a po odebraniu z kościoła zakopują się w czterech rogach niwy, aby chroniły ją cudownie od burzy i gradobicia. Na Podlasiu lud mocno wierzy, że dym ziół poświęconych, a szczególnie bylicy, unosząc się kominem z nad żarzących się węgla, rozpędza chmury piorunowe.

Procesje Bożego Ciała bywały bardzo wspałałe i wystawne. Rodziny zamożniejsze ubiegały



Achmed Mirza,
peraki następcy tronu



Szach perski

uciekł wraz z następcą tronu i schronił się w pałacu ambasady rosyjskiej a zatem wbrew żądaniu parlamentu, nie zerwał stosunków z Rosją. Ten czyn szacha będzie prawdopodobnie powodem krwawych rozruchów w Persyi.

się w wznoszeniu i ubieraniu ołtarzy swoim kosztem, co z przepychem czyniono. „Za dawnych gospodarzy — pisze Haur w swojej Ekonomii rzymiańskiej — był świątobliwy zwyczaj, że na czterech miejscach (na wschód, zachód, południe i północ) mieścili zakopane świętości. Zapraszała do tego kapłana, aby z Przenajświętszym Sakramentem, wokoło objeżdżał zboże w polu i granicę, dla gradów i innych przygód“. Chociaż obchód uroczysty Bożego Ciała nie sięgał dalekiej starożytności, święto jednak powyższe należało do obfitujących w przysłowia. Mówiono:

Jaki dzień jest w Boże Ciału,
Takich dni potem nie mało.
Na Boże Ciału — żyto zakwitało (zakwitło).
O Bożem Ciele siej tatarkę śmieje.
Na ostatek ostrzegano:
W Boże Ciału — z Bożą chwałą
Słowo nam się chlebem stało.
Więc w oktawę, puść otawę
Nie tknij zboża ni kapusty,
Bo znajdziesz rdzeń pusty.



SUMIENIE.

LEGENDA SŁOWACKA

Na lewym brzegu Wagu, naprzeciw starożytnego miasteczka Bitcza, wznosi się na wysokiej skale, w ruinach zburzonego zamku Hryczów. Zamek ten przed wiekami miał wedle podania zbudować niejaki rycerz Kilian, pan całej okolicy.

On też, umierając, oddał zamek rycerzowi Laharowi. Lahar również zmarł bezdzietnie, a wdowa po nim pozostawiła objęła w posiadanie rozległe włości. Pewnego razu zjawił się na zamku wdowy Franko Thurzo, właściciel sąsiedniego zamku Lietawa i prosił o jej rękę. — „Rycerzu — rzekła dostojna pani — niewygasłe uczucia noszę w sercu do mojego małżonka, wiekiem jestem od ciebie star-

szą, ale ponieważ nie mam na świecie nikogo, więc wobec wszystkich i wobec prawa ogłaszę cię, przysłym panem grodu, w którego posiadanie wejdiesz po mej śmierci, a obecnie będziesz moim przyjacielem i doradcą. Szczęśliwą będę, jeżeli tobie i przysłej twej żonie przysporzę szczęścia majątkiem pozostawionym!”

Thurzo bywał codziennie na zamku i objął w swoje ręce zarząd posiadłościami, ponieważ pani Laharowa nie mieszała się do spraw gospodarstwa, przepędzając dni na modlitwie.

Zły duch jednak szeptał przysłemu dziedzicowi: „Kiedyż to nareszcie gród twoim będzie?”

Raz, pewnej ciemnej nocy, wszedł on do sypialni bezbronnej niewiasty, siłą ją wyprowadził i wtoczył do wieży zamkowej. Napróżno błagała go kobieta, że precz sobie pójdzie i zostawi go panem włóści, byle jej głodem nie morzył.

Thurzo pozostał niemym na prośby.

Nie zapraszał nikogo na zamek w obawie, żeby się jego zbrodnia nie wydała.

Pewnego jesienno wieczora do wrót zamku zapukał mnich, prosząc o jałmużnę. Thurzo, który podszedł wówczas do wrót zamkowych, odepchnął go i kazał iść precz. Mnich, odepchnięty, gniewnie krzyknął:

— Złoczyńco, wiem o twoich sprawkach! Wiedz o tem, że żaden czyn zbrodniczy prędzej, czy później się nie ukryje, lecz ukaranym będzie. Wkrótce zginiesz!

Przerażony pan przywołał pacholców i kazał mnicha, jako obłąkanego, wypędzić z zamku. Sam zaś zamknął się w komnacie i trwożnie noc przepędził. Skoro jasne słońce weszło na niebiosa, Thurzo stanął w oknie zamku i osłupiał.

Przed wrotami stał skamieniały mnich. Podszedł do starca, dotknął go, mnich stał nieruchomie, jako posąg wyrzutów sumienia. Rozwścieczony Thurzo przywołał idących do pracy kmieci i kazał mnicha potłuc w kawałki. Ile razy jednak mnicha

w kawałki potłukli, tyle razy powstawał on, w tejże samej postaci.

Zbrodniarz padł na okłana, wyznał zebranym sługom swą zbrodnię i prosił ich, ażeby pomogli mu wydobyć żonę Lahara z lochu.

Znaleźli ją w śnie wiecznym, na barłogu.

Thurzo opuścił gród hryczowski i przepadł bez wieści. Zamek rozpadł się w gruzy. Przed szczątkami jednak opuszczonego dziedzictwa pozostał na zawsze na straży mnich kamienny, o którym lud słowacki opowiada baśń powyższą.

Władysław Karol.



O koniku, o polnym, historia znana,
Co śpiewał latem zwykle do nocy od rana;
Kiedy zaś zima przyszła, marł nieborak z głodu.
A jednak, iluż ludzi trwoni czas za młodu,
I nie bacząc na przykład konika zbawiennego,
Marnuje na drobiazgi wątek życia cenny.
Konik potem żałował, że tak podrwił główkę,
I że zamiast konikiem, nie był skrzętną mrówką;
I człowiek opamięta się — często po niewczasie!
Radby wrócić, lecz śmierć nań zakrzyknie: A zasie!



Kąpiele w Japonii.

Każdy Japończyk, nawet wśród prostych robotników, kulisów, uważa za konieczne wziąć, przynajmniej raz na dzień, kąpiel ciepłą o 40 stopniach Reaumur. Jeżeli najordynarniejszy robotnik japoński, zarabiający ciężko na kawałek chleba, zaniedbuje kąpeli codziennej, traktowany jest przez swych towarzyszy, jak paryas. W cieplejszych porach roku klasy zamożniejsze kąpią się najmniej trzy razy dziennie. Zimnych kąpeli nie lubią Japończycy. Kąpią się oni w tak gorącej wodzie, jakby się chcieli



Uniwersytet w Innsbruku,

który w ostatnim czasie był widownią walk pomiędzy studentami z powodu przeciwności wykładów profesora Wahr-munda, został w tych dniach zamknięty.

żywcem ugotować. W Tokio, mieście liczącym 1½ miliona mieszkańców, jest 1000 łazienek publicznych i prawie każdy dom posiada oprócz tego łazienkę prywatną. Po wsiach używają bardzo pierwotnego systemu. Na gościniec wywłóczy się wannę i stawia się ją na niskich podpórkach. Następnie leje się do niej wodę, podstawia małe piecyk z węglami żarzącymi, i szczęśliwy chłop wchodzi nago w oczach wszystkich do ciepłej kąpieli. Bardzo pocieszenie opisuje Piotr Loti taką kąpiel japońską na świeżem powietrzu:

„Przed samotnym domkiem przy drodze ujrzałem starego chłopca i starą babę. Zdawało nam się, a łatwo sobie wyobrazić nasze przerażenie, że gotują oni dwa małe dziewczątka. Niewątpliwie, to kanibale! Nad stosem zapalonych gałęzi stoi wielka wanna z dwojgiem dzieci od lat 6—8, których główki otoczone są chmurami dymu. Chwała Bogu! To nic strasznego! To tylko kąpiel! Ale wygląda to tak, jakby dzieciaki chcieli ugotować.”

Gdy się spaceruje ulicami miasta japońskiego i zagląda na tylne podwórza, widzi się czasem, jak jedna z córek domu wychodzi z mieszkania i udaje się prosto do wanny. Uśmiecha się, posyła ukłony i, zanurzwszy się w gorącej wodzie po szyję, kąpie się bez ceremonii. Kąpiel trwa zazwyczaj długo.

W okolicach górzystych Japonii najsilniej rozwinięta jest ta kąpielomania. Opowiadają humorystycznie o pewnej wiosce japońskiej, że mieszkań-

cy jej dzień i noc spędzają w ciepłej kąpieli z kąmieniem na łonie, aby ich woda podczas snu nie zabrała. W niektórych miejscowościach Japończycy usprawiedliwiają się przed cudzoziemcami, że w miesiącach letnich są brudni, bo kąpać się mogą tylko dwa razy dziennie.

— A ileż razy kąpiecie się w zimie? — pyta podróżnik.

— Cztery lub pięć razy — odpowiadają — dzieci zaś wchodzi zaraz do wanny, gdy im zimno zaczyna dokuczać.

Czystość jest zresztą tanim zbytkiem w Japonii. Średnia cena wanny w łazienkach publicznych nie jest wyższą nad 5 fen. Mydło zostało wprowadzone do Japonii przez Hiszpanów i wyraz na oznaczenie mydła (szabon) jest pochodzenia hiszpańskiego. Tu i owdzie używają jeszcze maki ryżowej, która dawniej zastępowała mydło.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Przeżywamy i czołmy wspomnienia przeszłości naszej.

6-go czerwca 1818: Umarł w Winnogórze w Poznańskim generał Jan Henryk Dąbrowski, twórca i dowódca legionów polskich, walczących dla Napoleona.

Przed śmiercią napisał testament polityczny, w którym upominał naród, aby nie liczył nigdy na obcą pomoc, lecz jedynie tylko na własne siły.

7-go czerwca 1491: Umarł król Kazimierz Jagiellończyk.

7-go czerwca 1873: Z grobów katedry w Chełmie, w gubernii lubelskiej Moskałe wyrzucili zwłoki bł. Józefata Kuncewicza.

9-go czerwca 1815: Na kongresie wiedeńskim stanęła uchwała, aby utworzyć Królestwo Polskie; car rosyjski przyjął tytuł króla polskiego. Uchwałę podpisało 9 państw, które jednak potem nigdy nie upominały się o to, aby uchwała kongresu była w pełni dotrzymana.

11-go czerwca 1451: Sejm w Piotrkowie daje pierwszeństwo arcybiskupom gnieźnieńskim w koronowaniu królów polskich.

11-go czerwca 1860: pierwsza manifestacja rewolucyjna w Warszawie, urządzona z okazji pogrzebu ś. p. Katarzyny Sowińskiej, żony generała Sowińskiego, który zginął w r. 1831 podczas obrony Warszawy w kościółku na Woli.

12-go czerwca 1793: Sprowadzenie z Florencji we Włoszech zwłok Teofila Lenartowicza i uroczyste złożenie ich w grobach zasłużonych w kościele na Skałce.



Zagadka dyplomatyczna.

Do Berlina podobno zechali się przedstawiciele państw w sprawie Marokka. Może czytelnicy podług kapeluszy odgadną, które to są owe państwa, mające apetyt na Marokko.

Umiej być szczęśliwym!

I.

Każdy człowiek na tym świecie ma niezaprzeczone prawo do szczęścia. Największą sztuką budować sobie szczęście, ale budować je tak, ażeby swoje osobiste szczęście widzieć połączone ze szczęściem innych, ażeby można powiedzieć: jestem szczęśliwy i widzę, że inni są szczęśliwi. Być szczęśliwym człowiekowi każdemu nie jest rzeczą łatwą. Przysłowie, które mówi, że „każdy jest kowalem swego losu“ — nie zawsze jest sprawiedliwym, gdyż często człowiek podlega tak trudnym warunkom otaczającym go, tak wielkim cierpieniom i zrządzieniom losu, iż one to niweczą lub cofają usiłowania jego najusilniejsze. Niemniej jednak często człowiek sam jest przyczyną swoich niepowodzeń.

Słynny myśliciel La Bruyere mówi: „Wielu ludzi obraca znaczną część życia na to, aby pozostałą jego resztę uczynić nieszczęśliwą“. Jedni w pogoni za szczęściem marnują i wyczerpują swoje zdrowie zamiast je ciągle wzmacniać i pielęgnować i zapominają, iż jest ono skarbem, inni marnują swoje wrodzone zdolności i przymioty ducha, zabijają to, co jest w człowieku wzniosłem i szlachetnem. Bardzo wielu ludzi zapomina w pogoni za szczęściem o zdrowiu duszy i ciała, gdy tymczasem jedno i drugie jest najważniejszym warunkiem osiągnięcia możliwego szczęścia. Znajdujące się w równowadze ciągle: serce, umysł i ciało, dążące do ciągłej doskonałości, są największymi siłami człowieka i bez ich wzajemnego współdziałania, człowiek wiele dla siebie i innych uczynić nie może. Tylko człowiek dążący do doskonałości serca, umysłu i ciała, może dojść do poznania gruntowego siebie, panowania nad swymi namiętnościami i kierowania sobą. Kiedy to uczyni, wiele rzeczy, które wydają się z pozoru zawiłymi, jaśniejszymi będą, wtedy prawie w każdej okoliczności życia znajdzie tłumaczenie wypadków i będzie umiał sobie radzić.

Wahanie zaś i zwątpienie w życiu jest powodem wielu nieszczęść. W każdym człowieku tkwi zwykle większa siła moralna i fizyczna, niż mu się zdaje. Nie każdy jednak człowiek potrafi panować zawsze nad sobą i to jest jego nieszczęściem. Człowiek, ażeby dążyć do możliwego szczęścia, panował nad sobą i rozumiał siebie, powinien zachować nie tylko jasność i prostotę w czynach, lecz i w myślach i w pożądaniami. Ludzie, którzy wskutek wygórowanej ambicji, próżności, złych chęci, nieliczący się z innymi i własnym sumieniem, żądają odrazu za wiele, stają często prędzej czy później w wrogim stosunku do rzeczywistości, do społeczeństwa i praw natury, a przez to stają się nieszczęśliwymi. W starożytności grecki filozof Epikur mawiał: „Człowiek niezadawalający się małym nie zadawała się niczem“. Kto zaś potrafi korzystać szlachetnie i odpowiednio z małych rzeczy, potrafi odnieść korzyść i z rzeczy większych, potrafi przysposobić powoli swój umysł, serce i zmysły do objęcia rzeczy większych i do godziwego z nich korzystania. Każdy człowiek ma prawo do szczęścia! Każdy człowiek ma prawo do szczęścia, o ile szczęście jego osobiste nie narusza szczęścia innych!

Ponieważ każdy rozmaicie szczęście pojmuje, nawet między tymi, którzy biorą je ze źródeł szlachetnych i uczciwych, przeto są ludzie na świecie, którzy niezmiernie mało od życia wymagają. Niezbyt wielu jest zapewne takich ludzi. Dają oni zazwyczaj dużo dobrego społeczeństwu, a biorą i wymagają mało. Idą ze spokojnym umysłem, ze spokojnem sercem w świat, nie zwracając uwagi na blichtr, na pozory, na rzeczy niepotrzebne; wszelkie wygody i rzeczy pozbawione prawdy i prostoty są dla nich niepotrzebnym bagażem w życiu. Jeżeli taki człowiek w ścisłem znaczeniu słowa, jak wyżej wymienieni, znajdzie się i cechuje go zachowanie świeżości umysłu i zapału do życia, to zaprawdę musi on mieć silny umysł, silne serce i silne ciało. Ale niestety, są i ludzie, którzy aczkolwiek nie dążą usilnie do szczęścia osobistego, wymagają mało od życia, ale mało też, albo nic nie dają społeczeństwu i sieją wszędzie niewiarę, nieufność i zwątpienie. Tacy ludzie zasługują na skarcenie. O ile pogodna rezygnacja, dobrowolne zrzeczenie się wielu rzeczy, niekoniecznie potrzebnych, niezbędnych, poczytaną może być za siłę woli i siłę umysłu, serca i ciała człowieka, o tyle wyrzekanie się wszystkiego godziwego, wszystkich dodatnich stron życia, prowadzących do możliwego szczęścia w imię tylko niewiary, przygnębienia i nieufności, w imię słabości duchowej jest rzeczą godną potępienia.

Człowiek, nie mający wiary w siebie i w innych, widzi wszystko nie takiem, jak jest ono w rzeczywistości, lecz widzi tak, jak chciałby wszystko widzieć, to jest ze złej strony, przez ciemne okulary. Nie robi więc różnicy między dobrymi i złymi, nie tylko, że sam się dręczy i dopomaga do rozstroju, lecz dręczy i innych, zniechęca ich i sieje zwątpienie, które wydaje zgubny trujący owoc. Kto sieje nakoło siebie tylko zwątpienia, niewiarę i próżność, słabość ducha i lekkomyślność, ten dla siebie zbiera nieszczęścia.



Walki byków w Hiszpanii.

Na stopniach cyrku tłoczy się tłum barwny, hałaśliwy, gorączkowy, prawdziwie południowa publiczność, która całą duszą śledzić będzie przebieg walki, żywy przyjmując udział w ulubionych narodowych igrzyskach. Nie mogą się doczekać ich rozpoczęcia, krzyczą więc, tupią, zrywają się z miejsc, a w całym ich zachowaniu się przebija ognisty, niepolamowany temperament.

Ale oto rozlega się pożądany sygnał i alguazil mayor, wraz z dwoma alguazilami w strojach starohispańskich, wjeżdża w arenę; za nim postępuje oddział kawalerji, który usuwa wszystkich z placu walki i z korytarza, oddzielającego arenę od stopni amfiteatru. Skoro ci się oddalą, ukaże się herold z notaryuszem i odczyta głośno dekret królewski, wzbraniający wszelkich okrzyków, rzucania czegośkolwiek na arenę, słowem wszystkiego, co mogłoby przeszkadzać walczącym. Zewsząd odzywa się wówczas gwizdanie i trwa, dopóki herold nie skończy czytać rozporządzenia, które zawsze pozostaje martwą literą.



Zagroda byków przy arenie.

W cyrku lud jest wszechwładnym panem i czyni, co mu się podoba.

Burza ucisza się stopniowo, na arenę występują zapaśnicy, toreros. Dzieli się oni na kilka kategorii, a mianowicie: na pikadorów, chulos czyli capeadores, banderilleros i matadorów. Wszyscy mają na sobie malowniczy kostium andaluzyjski, tylko pikadorowie, zamiast jedwabnych spodni i pończoch, mają spodnie z grubej skóry, a prócz tego nagoleniki z drzewa i żelaza, które zabezpieczają ich od uderzenia rogów. Jeżeli pikador upadnie, nie może podnieść się o własnej mocy. Nogi ma uzbrojone w potężne ostrogi, siedzi na wysokim siodle i trzyma w ręku długą i mocną włócznię (la vara), którą jednak może tylko drasnąć zwierzę. Nędzna szkap, na której siedzi, z góry jest na śmierć przeznaczona, ale wolno mu w takim razie dosiąść drugiej; zdarzają się wypadki, że byk z kolei przebodzi cztery konie pod jednym pikadorem.

Ważną w tej walce rolę grają chulos. Jedyną ich bronią jest szal szkarłatny, którym migają przed



Chulosy i capeadory.

oczyszcza byka, drażniąc go lub broniąc pikadorów, w razie niebezpieczeństwa. Znikają z areny skoro pojawi się matador, gotowi na pierwszy znak wyskoczyć znowu ze swoją copa, żeby odwrócić od niego uwagę zwierzęcia.

Banderilleros zjawiają się dopiero na wezwanie przewodniczącego; każdy z nich trzyma w ręku ostry grot zębaty, osadzony na kiju i ozdobiony wstęgami z różnokolorowego papieru. Zadaniem ich jest drażnić byka, wbijając mu w ciało owe groty, a zadanie to nader niebezpieczne, straszną groźbę śmiercią. Banderillero musi posiadać nieporównaną zwinność capeadora, a nieomylny rzut oka matadora. Biegnie on wprost na byka, i w chwili kiedy ma być przebity przez niego, zręcznym ruchem uchyli się na bok, wbijając mu w łopatki obie banderille. Inny, jeszcze niebezpieczniejszy sposób polega na tem, że wyzywa on i drażni rozjuszone zwierzę, w chwili kiedy ono, zniżywszy łeb, gotuje się do śmiertelnego ciosu, torero podskakuje w górę,



Na zwycięzcę matadora lecą kapelusze, cygara itp.

i, przesunawszy rękę między jego rogami, zasadza mu w ciało ów grot zębaty.

Jest jeden jeszcze sposób wbijania banderilli, który zawsze pobudza publiczność do homerycznego śmiechu. Torero, siedząc na krześle słomianym, oczekuje na byka; wówczas kiedy zwierzę ma na niego uderzyć, uskakuje na bok i wbija mu w łopatki banderille. Rozwścieczone zwierzę chwytając krzesło na rogi i, nie mogąc się uwolnić od tego ciężaru wyprawiają z nim skoki, które niesłychanie bawią widzów.

Kiedy już wiemy, jaką rolę spełniać mają wszyscy toreros, wróćmy do cyrku, gdzie za chwilę krwawe rozegra się widowisko.

Pikadorowie zajęli już swoje miejsca i stoją nieruchomi jak posagi. Wśród areny rozrzuconych jest ze dwunastu capeadorów, czyli chulos. Naraz brama się otwiera i byk, umyślnie przedtem rozdrażniony, wpada na plac jak burza. Oślepiiony światłem i hałasem zatrzymuje się, wodząc w koło zdumionym wzrokiem.

Chulos podbiegają ku niemu, powiewając szkarłatnymi płachtami. Byk zwraca się ku nim i spostrzega pikadora, który czeka nań ze spuszczoną włócznią. Kiedy nareszcie zwierzę ma wziąć go na rogi, pikador skręca w bok, uderzając byką włócznią między oczy. Gdyby ugodził gdzieindziej, płaci karę, a może nawet stracić miejsce.

Rozpędzone zwierzę nie może odrazu zawrócić na miejscu, chulos ze swojej strony starają się je zabawić, ażeby pikador miał czas umknąć; często jednak się zdarza, że byk goni jeźdźca i przebija konia rogami. Chulosy copędzej nadbiegają wtedy z pomocą: jedni podnoszą pikadora, inni rzucają zwierzęciu na łeb swoje jaskrawe płachty, a ścigani przez byka, przeskakują baryery z nieporównaną lekkością.

Znużone zwierzę odmawia niekiedy dalszej walki, pomimo krzyku, gwizdania i obelg oburzonej publiczności; zwykle jednak szal jego wzrasta w miarę jak pikadorowie zadają mu rany, wówczas kilka koni z rzędu pada ofiarą jego wściekłości.

Teraz następuje kolej na banderillerosów. Wyzywają oni rozjuszone zwierzę i, igrając z niem jak z kotem, jednym skokiem chronią się od uderzenia rogów. Kiedy nareszcie kilka grotów utkwii w jego ciele, wtedy uznają, że czas z niem skończyć.

Naraz rozlega się odgłos bębnow i na arenie ukazuje się bohater dnia, matador, strojny w jedwab, aksamit i złoto. W rękę trzyma długą szpadę i szkarłatny płaszcz przywiązany do kija, zwany la muleta. Podchodzi do łoża, gdzie siedzi rada miejska, Ayuntamiento, i skłoniwszy się nisko, mówi donośnym głosem:

— Brindo por el señor presidente go voy a matar al toro, o el tiene que matarme. Ole!

Co znaczy: „Kłaniam się panu prezydentowi i proszę, żeby mi pozwolił zabić byka, jeżeli on mnie nie zabije. Hop!”

— Anda! (idź) — krótko odpowiada prezydent, skinieniem głowy udzielając żadanego pozwolenia.

— Viva! — woła matador i cisnąwszy w górę kapelusze, zwraca się do zwierzęcia.

Nic bardziej zajmującego, jak widok obu przeciwników, którzy wzajemnie odgadują swoje zamiary i stosownie do tego zmieniają taktykę.

Nakoniec byk zniecierpliwiony rzuca się na szkarłatny płaszcz, którym z umysłu zasłania się

matador. Uderza on nań z taką siłą i zaciętością, że mógłby ścianę przebić rogami, ale wytrawny torero zręcznym skokiem unika ciosu i zostawia mu tylko na pastwę swoją mulete.

Byk ledwo dyszy ze zmęczenia i wściekłości, oczy mu krwią zachodzą, nogi chwieją się, jak gdyby miał upaść.

Teraz zbliża się chwila stanowcza.

Matador, poigrawszy nieco z rozszalałym zwierzęciem, gotuje się do zadania mu śmiertelnego ciosu. Staje nieruchomy z wyciągniętą szpadą i, spuściwszy płaszcz do ziemi, spokojnie czeka natarcia. W chwili, kiedy byk zniża łeb, żeby przebić przeciwnika rogami, matador zagłębia mu szpadę między łopatki.

Zwierzę, śmiertelnie ugodzone, staje w miejscu i chwiejąc się, pada na kolana. Wtedy ukazuje się ostatni aktor, cachetero; ten chyłkiem zbliża się do byka i dobija go uderzeniem sztyletu.

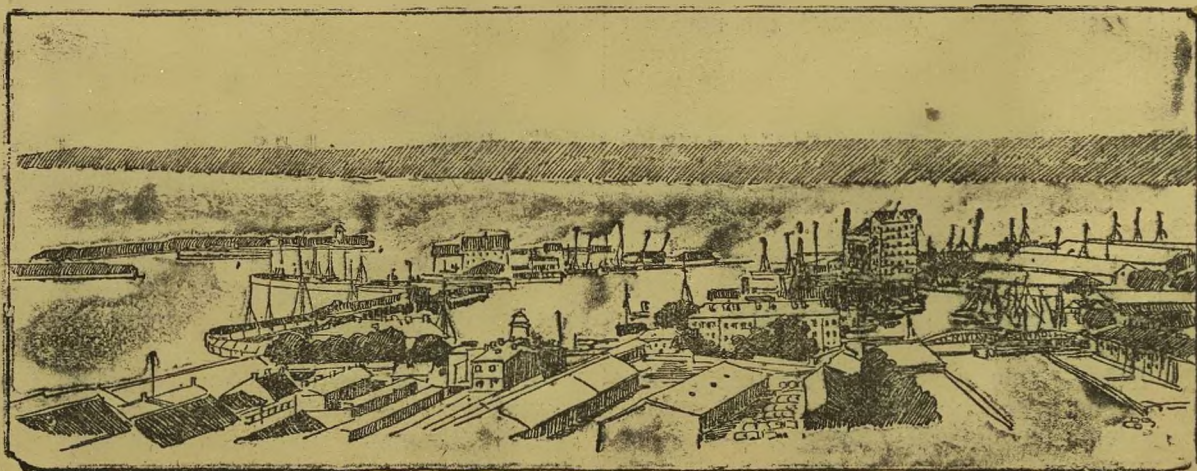
Matador kłania się publiczności, która objawia swoje zadowolenie frenetycznymi oklaskami, mężczyźni krzyczą: viva! i ciskają w arenę kapelusze, cygara i t. p. przedmioty; kobiety powiewają chustkami i przesyłają pocałunki.

Równocześnie trzy muły, w pysznej uprzęży, wywożą z cyrku martwe zwłoki zwierzęcia.

I dnia tego cały Madryt zasypia rozkosznie.

Nawet dzieci za dobre sprawowanie lub naukę, zostają prowadzone na walkę byków; nad to niema dla nich wyższej nagrody.

Niedawno zmarły król portugalski, prawdziwy ojciec swego ludu, kiedy go pytano, dlaczego odpycha wszelką myśl zlania Portugalii z Hiszpanią w jedno państwo, odpowiedział: „Lubię być nauczycielem a boję się dzieci, którebym musiał uczyć na czerwonym abecadle”. Była to przymówka do barbarzyńskiej rozrywki, którą jednak musi szanować każdy rząd w Hiszpanii, jeśli chce mieć po swojej stronie capeadorów, chulosów, pikadorów, torerów i t. p. rycerzy areny. Stronictwo ich jest potężne i nerwami, pragnąciami krwi i wyprutych wnętrzności, złączone z całym narodem.



Przystań w Rewlu
gdzie nastąpiło spotkanie cara rosyjskiego z królem angielskim

Nie skarż się bracie!...

Nie skarż się bracie, że los okrutny
Skąpi ci zbawczych szczęścia promieni,
Że się twój żywot tęskny i smutny
Jasnymi tęczy barwy nie mieni.
Nie skarż się bracie!... Spójrzj dokoła —
Wszędzie leż gorzkich płyną potoki...
Pomnij, że życie, to cierpienie szkoła,
Którą osłania smutek głęboki.



„Rybie-skóry“.

(Dzikie plemię ludzkie na Północnym Wschodzie).

Wielka rzeka dalekiego północnego wschodu, Amur, minawszy Chabarowsk, toczy swe leniwe wody przez dziką, prawie bezludną równinę. Sama rzeka, jest dosyć imponująca, lecz okolica, nadzwyczaj nudna i monotonna: od rzeki Ussuri aż do ujścia Sungari, oba brzegi nie mają żadnego wyrazu. Niskie, piaszczyste, pokryte miejscami ponurym odwiecznym sosnowym lasem. Podróżny nie znajdzie tu prawie oznak osiadłego życia ludzkiego. Bardzo rzadko spotka się na prawym brzegu „izbę“ rosyjskiego osadnika, na lewym — „fanzę“ jakiegoś awanturniczego Mandżura.

W lasach lewego brzegu tej odludnej rzeki, kryją się resztki szczególnego plemienia tatarskiego „Rybie-skór“, Yu-pi-ta-tzi, po chińsku. Plemię to nadaje sobie samo nazwę „Goldów wielkiej wody“. Goldowie, którzy przed wojną dosyć licznymi gromadkami koczowali po lewym wybrzeżu Amuru, dzisiaj już prawie nie istnieją, a w każdym razie nie istnieją jako plemię. Wojska rosyjskie, przeszedłszy Amur, wyniszczyły koczowników; czego szablą nie docięła, utopiono w Amurze. Tak, że dzisiaj można spotkać tylko pojedyncze obozy tego ze wszechmiar ciekawego plemienia.

Goldowie, czy „Rybie-skóry“, pod względem rozwoju stoja tak nisko, jak najdziksze plemiona Australczyków, a bezwarunkowo pod pewnym względem, niżej, niż Ostiaki, Wotiaki lub Czukcze. Gold nie ma pojęcia o jakimś równoznaczniku „Boga“ lub przyszłego życia; wogóle trudno się doszukać nawet jakichś zaczątków wierzenia religijnego. Gold jest za mało inteligentny nawet na to, żeby być przesadnym, nie posiada żadnej własności, nie uprawia ziemi, nie umie nawet polować. Goldowie nie jedzą mięsa, żywią się tylko rybą. Jak wszystkie pierwotne plemiona, Goldowie są nadzwyczaj bojaźliwi i dzikie, odludne południowe wybrzeża Amuru, który obfituje w rybę, przeważnie łososia, są jakby dla nich stworzone. W Amurze jest niezliczona ilość łososi, i Goldowie nie tylko żywią się mięsem ryby, lecz wyrabia wszystko, jak: ubranie, nakrycie głowy, rodzaj obuwia, nawet namioty z błyszczącej skóry łososia, od czego pochodzi ich chińska nazwa „Tatarów Rybie-skór“.

„Rybie-skóry“ nie mają żadnych stosunków, ani z Mandżurami lewego brzegu, ani z myśliwskimi syberyjskimi plemionami prawego; unikają z wielką starannością spotkania się z innymi ludźmi

i kryją się z taką umiejętnością, iż nieraz trudno jest nawet domyślić się, że gdzieś w pobliżu koczuje kupa „Rybie-skór“. Z tego powodu plemię jest bardzo mało znane. Goldowie wystarczają sami sobie.

Przed wojną koczowali zwykle w gromadach nie większych, niż 100—150 ludzi. Raz utworzona gromada, nie łączy się również z inną gromadą Goldów. Małżeństwa zawierają się wewnątrz gromady i nie mają żadnej określonej formy: jeżeli jest więcej mężczyzn, niż kobiet, to każda kobieta ma kilku mężów i na odwrót: jeżeli liczba kobiet przeważa, to każdy mężczyzna bierze tyle kobiet, ile może zmieścić w szałasie.

Małżeństwo zawiera się bardzo prosto: kobieta idzie do namiotu mężczyzny i ceremonia skończona. Zresztą wolność pod tym względem istnieje zupełna; kobieta może wędrować od namiotu do namiotu według swej woli. W przeciwieństwie do najdzikszych plemion innych krajów, gromada Goldów nie rządzi się żadnymi określonymi prawami; Goldowie są pozbawieni pod wielu względami tej ruchliwej, wrodzonej inteligencji, która charakteryzuje często dzikie plemiona. Są oni ponurzy, milczący, bezradni. Jedyna idea, która ożywia Golda, to „łosoś“. Łososią łapią, jedzą, ubierają się w jego skórę, myślą i śnią o łososiu. Gold nie chowa nawet swych umarłych; wyrzuca poprostu z szałasu, nie troszcząc się więcej. Starcy w gromadzie, którzy nie mogą już pomagać przy łowieniu łososia, są zwykle, zresztą za ich własną zgodą, duszeni.

(Dokończenie nastąpi).



Nie licz wśród burzy na żadną latarnię,
Ani na ziemi, ani też na niebie,
Bo kto jej czeka, zatonię ten marnie
I będzie dzwonem na własnym pogrzebie.
Noc tylko tego w swój płaszcz nie ogarnie,
Kto światło swoje wykrzesze sam z siebie,
I sam na drodze swej zaświeci jasno,
Ducha słonecznością roztliwszy swą własną.
Marya Konopnicka.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czejmy wspomnienia
przeszłości naszej.

15-go czerwca 1339: śmierć królowej Jadwigi w Krakowie.

15-go czerwca 1794: Prusacy zajmują Kraków.

17-go czerwca 1696: śmierć króla Jana Sobieskiego w Wilanowie.

18-go czerwca 1574: Henryk Walezy potajemnie opuszcza Polskę, gdy się dowiedział, że umarł brat jego król francuski, po którym spodziewał się posiąść tron Francji.

21-go czerwca 1520: król Zygmunt I odnawia przymierze z Albrechtem, księciem pruskim.

22-go czerwca 1284: wielkie zwycięstwo Leszka Czarnego nad Jadźwingami.

Umieć być szczęśliwym!

II.

Najnieszczęśliwszym człowiekiem może być ten, kto jest niewolnikiem swoich namiętności, uprzedzeń i swoich słabości, chwilowych wrażeń, pozbywa się w czynach i myśli rozwagi i podlega zupełnemu zwątpieniu. Co prawda są ludzie, którzy żyją w ciężkich bardzo warunkach losu, których sami nie stworzyli sobie, ale nie zapominajmy o tem, że byli ludzie na świecie obdarzeni bądź wielkiemi ułomnościami fizycznymi, bądź ciężkimi warunkami, otoczeni szyderstwem i złą wolą innych, a dzięki wielkiej sile i czystości ducha stali się ludźmi sławnymi, wyrastającymi nad poziom i szanowanymi za swe czyny. Takich ludzi w przeciągu wieków było mnóstwo, a historia nazwiska ich pisze w złotej księdze. Dążyli oni do swego szczęścia złączonego ze szczęściem ludzkości drogami jasnymi, hartowali swoje serce, umysł i ciało, podlegające słabościom, nie oglądając się na szyderstwa lub nieufność ludzi złych i słabych duchem. Starali się oni osiągnąć możliwie szczęśliwy cel życia bez oglądania się na przyczyny i wypadki, które od nich nie zależały, a starali się poprawić to, co było w ich mocy i woli.

Większość tych ludzi, widząc swoje ułomności, szeptała za Chrystusem wielkie słowa: „Panie, niech się dzieje wola Twoja!“ — pracowała, dążyła do dróg jasnych i nie požądajac wiele, osiągnęła dużo, bo szczęście płynące z zadowolenia dobrze, pracowicie dla społeczeństwa i siebie wypełnionego życia. Złe jest, jeżeli człowiek, dążąc do szczęścia, nie jest wrażliwym, nie umie odczuć nieszczęścia, lub szczęścia cudzego, bo wtedy i nie odczuje swego, lecz nadmierna wrażliwość na wszystko jest również niedobłą. Człowiek wrażliwy na wszystko nadmiernie, nieraz staje się pozbawionym rozwagi i ulega przeto złym skłonnościom, podszeptom i radom złych, przewrotnych ludzi, stąd płynie nieszczęście, stąd płynie często niewytłómaczony smutek i zwątpienie, rozczarowanie do życia, do możliwego szczęścia. Niepozbawionem zaś jest słuszności twierdzenie, że świat byłby wogóle pogodniejszym, łatwiejszym do osiągnięcia na nim szczęścia, gdybyśmy starali się o umysł pogodny i jasny, choćby z tego powodu, iż pogoda i jasność umysłu jednostki, a stąd wypływający spokój i słodycz przyczynia się do szczęścia innych. Spokojny, jasny stan duchowy jednostki przyczynia się również do zrozumienia otoczenia, do zrozumienia niezłomnych, wspólnych praw życiowych i praw natury.

Przy dążeniu każdego do możliwego szczęścia, powinno być na ustach wielkie Boskie przykazanie: „Nie czyni drugiemu, co tobie nie miło“, albowiem to zło, co dziś chcesz uczynić komuś, może się zwrócić jutro przeciwko tobie. Wiele zła, wiele nieszczęść na świecie wypływa z tego, iż ludzie nie pragną szczęścia innych, wolą raczej nieraz sami pozbyć się dążenia do szczęścia, niż ustąpić coś ze swych zachceń i złe pojętych ambicji.

Każdy na tej ziemi ma prawo do szczęścia i powinien do niego dążyć, nie czyniąc nikomu zła, jakiegoby sobie wyrządzić nie pragnął.

Jeżeli zaś każdyby dążył do szczęścia w ten sposób i wszyscy sobieby w tem dążeniu pomagali, tak jak wszyscy równi są przed Bogiem, to osiągnęliby możliwą ogólną szczęśliwość, mającą źródło we wspólnem, pogodnem, wzajemnem się porozumieniu i zrozumieniu.

„Nie zabijaj! — nie niszcz szczęścia bliźnich!“ — oto hasło chrześcijaństwa, tak wielce nam dzisiaj potrzebne.

Józef Strzała.



Cudami są istotnie gwiazdy promieniste,
Jakiemi sklep niebiosów haftuje moc błoga,
Lecz większym jeszcze cudem jest ten duch zaiste,
Który w tym alfabecie umie znaleźć Boga.



Wzór silnej woli.

W wielkich salach redakcyjnych, dziennika paryskiego „Kraj“, pracowało kilkudziesięciu mężczyzn. Byli to ludzie starzy lub średniego wieku, byli młodzieńcy zaprawiający się do pióra, a ile razy którykolwiek z piszących zapotrzebował książki lub dziennika, zjawił się zawsze mały, zaledwie dwunastoletni chłopczyzna, który każdemu spieszył z usługą, a zręczny jak wiewiórka, ze zwinnością tego zwierzątka, biegał po półkach i wyszukiwał żadanego przedmiotu.

Bystry, silny, wygimnastykowany jak skoczek, przebiegał w jednej chwili od strychu do piwnicy.

— Noel — wołano na chłopca, bo takie było jego imię i Noel zjawiał się gotów iść gdzie wskaza, wesół, z dowcipnym uśmiechem i słowem na ustach, prawdziwy paryżanin.

To też nadużywano trochę jego usług — Noel. Noel — rozlegało się po salach, ale Noel nadszedł zawsze, a był też za to kochany i psuty przez wszystkich w redakcyi.

Tymczasem wybuchła straszna wojna Francji z Prusami. Paryż obleżono, a spokojni literaci poszli bronić murów stolicy, bo kraj wołał o pomoc.

W zamieszaniu znikł mały Noel, Noel Masson, bo takie nosił nazwisko.

Pytano o niego, wspomniano ulubione wszystkim dziecko, i już miano je za stracone, kiedy nagle zjawił się w redakcyi blady i wynędzniały, a ręka-wy surducika wisały prawie, biedne rączyny malca urwane były przy łokciu!

Historja jego nieszczęścia krótka.

Zdarzyło się, iż w jakąś niedzielę, dzieci uszczęśliwione, że je wypuszczono z piwnic, gdzie wraz z rodzicami ukrywały się przed wrogiem, wybiegły tłumnie na fortyfikacye, bawiono się w wojnę, malcy wygrzebywali z ziemi resztki pocisków, co miało stanowić amunicyę, aż nagle Noel, najzwinniejszy i najsprytniejszy ze wszystkich, odkrył w ziemi granat, który nie wybuchnął i leżał przykryty piaskiem.

Zabawa była śliczna! Taka duża okragła kula. Noel ją znalazł, Noel też miał do niej największe prawa.

Toczono więc granat jak piłkę, aż naraz przysła malcom ochota, zajrzeć do środka morderczej zabawki. Znowu Noel podjął się ją rozbić, traca głucze, rzuca o kamienie, aż nagle granat ze strasznym wybuchem hałasem i odrywa biednemu dziecku obie ręce. Leczone je długo, rany się zagoiły, i liściowy chirurg przytwierdził do obciętych łokci chłopca ręce mechaniczne, któremi biedactwo mogło się teraz posługiwać.

Ale nie był to już dawny Noel; smutny, zawstydzony stał ze łzami w oczach w tym samym domu, który dawniej rozbrzmiewał od jego piosenek.

Właściciel dziennika ulitował się nad chłopczyzną i kazał zostać w redakcyi, chciano mu dać pozór jakiegoś zajęcia, aby oszczędzić dziecku upokorzenia, ale mały Noel nie dał się oszukać, w całym jego usposobieniu zaszła od tej chwili widoczna zmiana, marzył ciągle o zdobyciu sobie niezależności. Zauważono, iż niknął czasem na długo, zamykając się w komórcie na strychu.

Podpatrzono malca i z największym zdziwieniem odkryto, że rysował, przymocowawszy sobie sznurkiem ołówkę do biednej zmiażdżonej ręki.

Były to próby bardzo nieudane, ale znawcy dopatrzili już w nich ślady niepospolitego talentu.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek stał się Noel ulubieńcem redakcyi.

Dni całe spędzał nad rysunkiem. Malarz Lalanne, zajął się wyłącznie genialnym kaleką, wziął go do swej pracowni i odtąd z pod ołówka biednego rysownika, wychodzić zaczęły coraz udatniejsze utwory.

W kilka lat później pan Noel Masson był już znanym akwarelistą, sprzedawał swoje obrazki, a

na wystawie w Nicei został nawet odznaczony medalem honorowym.

Skoro w twojem sercu Chrystus zmartwychwstanie,
Błogości nadziemskiej błyszczy tam świtanie...
A gdy w owym świetle dusza tak bogata —
Czyż ci trzeba jeszcze blasków tego świata?

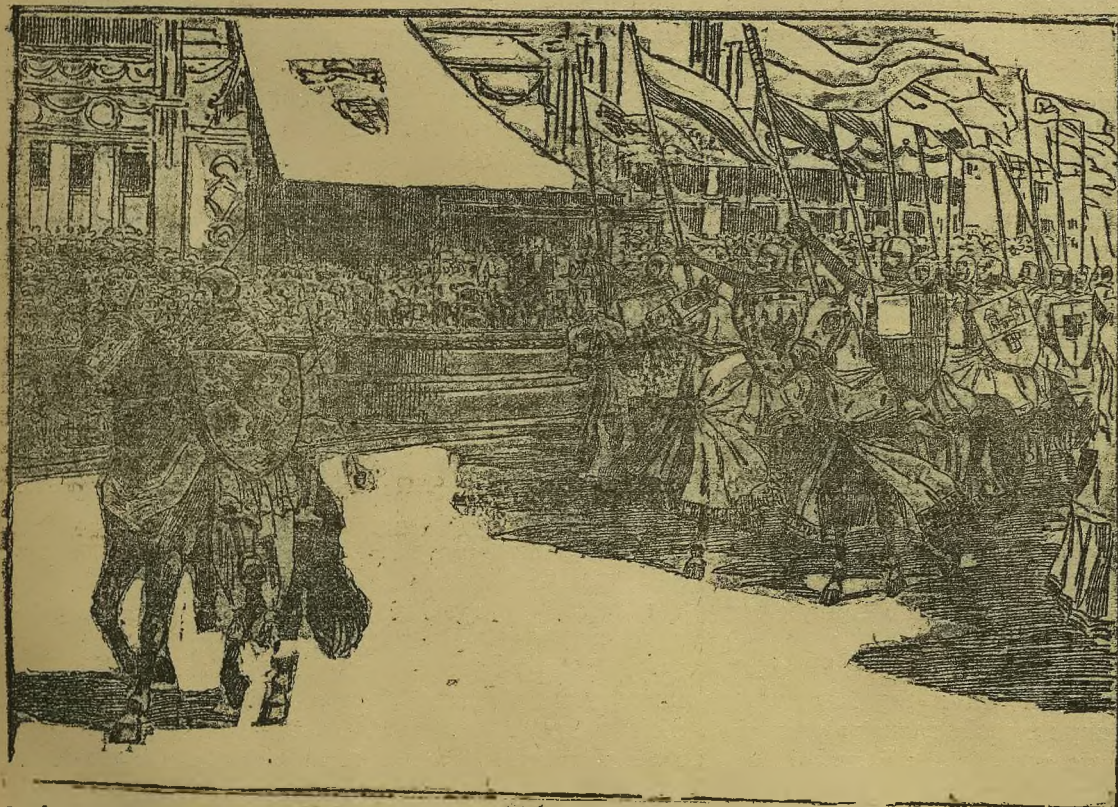
„Rybie-skóry“.

(Dzikie plemię ludzkie na Północnym Wschodzie.)

(Dokończenie).

Jeden z korespondentów pism angielskich, który zwiedzał wybrzeże Amuru przed wojną, opisuje swoje przygody wśród tego dziwnego plemienia, które, mimo swej dzikości, zna jednak, dzięki bliskości ludów więcej cywilizowanych, użytek niektórych naczyń domowych, jak żelazny czajnik do herbaty, miski drewniane i t. p.

„Zawdzięczam tylko wypadkowi — pisze korespondent — że mogłem przyrządzić się zblizka życiu Goldów. Podczas mej podróży do Błagowieszczeńska na rosyjskim statku, pewnego wieczora kapitan poczuł potrzebę wypicia kilku szklanek wódki i udał się do swej kajuty, zostawiając statek na opiece swego pomocnika. Ten również poszedł za przykładem kapitana i powierzył kierownictwo sternikowi. Sternik, nie czując się widocznie gorszym od swych zwierzczyków, postawił przy sterze chłopca, a sam zniknął pod pokładem.



Jubileusz cesarski w Wiedniu.

Na obrazku uwidoczniła jest chwila, gdy pierwsza grupa pochodu historycznego przesuwa się przed trybuną cesarską. Grupa przedstawia cesarza niemieckiego Rudolfa, pierwszego z rodu Habsburgów na czele elektorów i książąt, którzy go w r. 1273 na tron cesarski wynieśli. O tymże Habsburgu mówi podanie, że gdy spotkał raz pewnego kapłana, spieszącego z wiatykiem do umierającego, zsiadłszy z konia, wsadził nań kapłana a sam pokornie konia za uźdę prowadził. Grupa zrobiła wielkie wrażenie, tem więcej, że była pierwszą, więc publiczność nie była jeszcze zmęczona. Cesarz Franciszek Józef podobno zapłakał, gdy tak naocznie przedstawiono mu pierwsze czasy chwały tego rodu, który już tyle wieków panuje w Austrii.

Po kilku minutach statek całą siłą rozpędu i prądu wody usiadł wygodnie na ławie piasku w ten sposób, że nie było żadnej nadziei ściągnięcia go na wodę własnymi siłami i musieliśmy czekać cały tydzień na przybycie następnego statku.

Na drugi dzień rano po wypadku wyszedłem na pokład i ujrzałem z pół tuzina dziwnych postaci na brzegu, przyglądających się nam nieruchomemi, szeroko otwartymi oczami, w których, chociaż były wytrzeszczone na nas, nie mogłem dopatrzeć się żadnego wyrazu myśli. Oczy te robiły poprostu wrażenie szklanych gałek. Ludzie zrobili na mnie wrażenie dobrze zbudowanych, wysokich i nieźle odkarmionych, o twarzach bez zarostu, niezupełnie mongolskiego typu, z nosami lekko tylko spłaszczonemi i nie bardzo skośną osadą oczu. Z wyglądu przypominają więcej amerykańskich Indian, tembardziej, że długie, zaczesane z czoła i związane na czubku głowy włosy powiększają jeszcze to podobieństwo. Wszyscy byli ubrani w rodzaj tuniki ze skór łososia i nie mieli żadnej broni, nawet nożów, nieodstępnych towarzyszków plemion myśliwskich. Kapitan na moją prośbę znakami zaprosił ich na pokład. Po jakimś czasie dwie „Rybie skóry“ siadły w małej łódce i przybyły do nas. Długi czas nie miałem odwagi zbliżyć się do nich, gdyż ciało ich i ubranie wydawały tak wstrętne zapach, że nie mam żadnego porównania na jego

określenie. Lecz ciekawość w końcu przewyciężyła wstręt. Kapitan ofiarował gościom po szklance wódki, którą Goldowie wypili z chciwością i w narzeczu rosyjsko-mandżursko-mongolskim, jakie jest w użyciu na wybrzeżach Amuru, zapytał ich, czyby nie wzięli mnie z sobą dla zwiedzenia ich siedlisk. Po długim, tępym namyśle, zachęceni butelką wódki, którą im pokazałem, zgodzili się i wzięli mnie z sobą na brzeg. O kilkanaście sażni od brzegu, w gąszczu sosnowym, stało 25 szałasów, z rozpiętych na kołkach łososich skór. Obok każdego namiotu leżały gnijące kupy kości i odpadków rybich. Przeszliśmy przez całą osadę, kierując się do ostatniego namiotu. Zdziwiło mnie to bardzo, że zjawienie się obcego człowieka nie wywarło żadnego wrażenia na mieszkańcach osady. Patrzono na mnie wprawdzie, lecz takim wzrokiem, który nic nie widzi. Widocznie do mózgu Golda wrażenia dochodzą bardzo wolno.

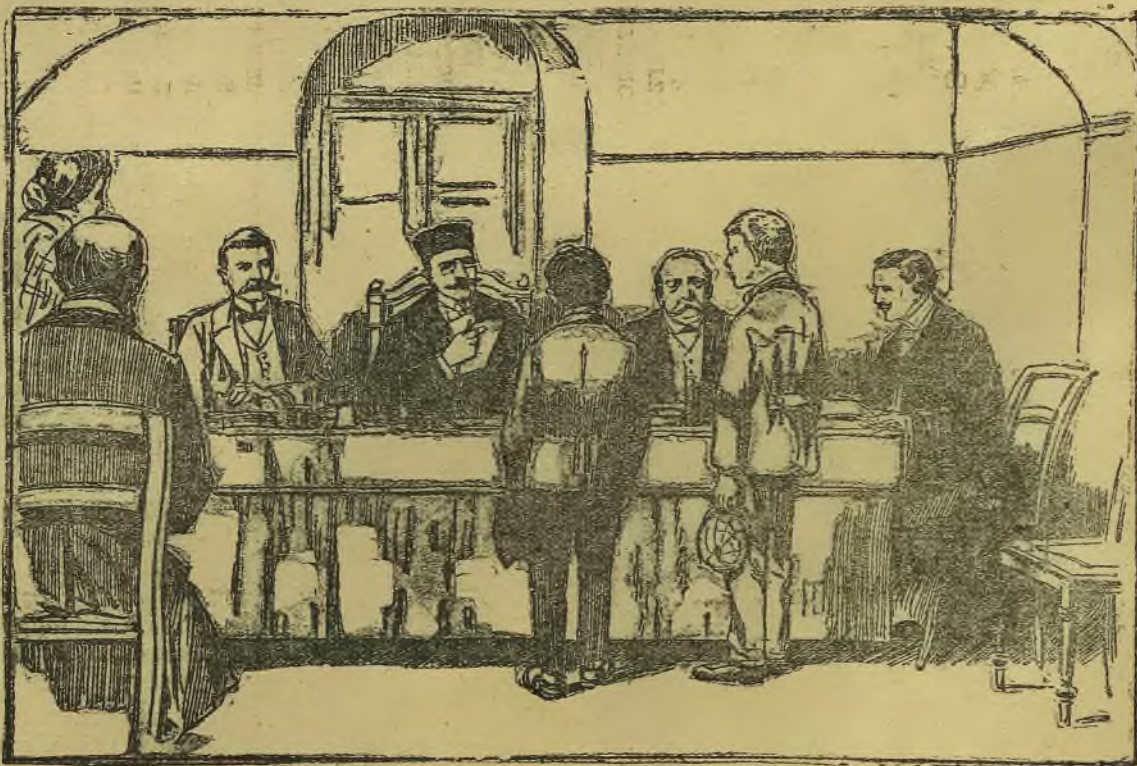
Gość pozostał w osadzie kilka dni, badając zwyczaje i sposób życia tego dziwnego plemienia. Goldowie żywią się tylko łososiem, którego jedzą bądź to suszonego, bądź gotowanego w pewnego rodzaju zupie, właściwie herbacie. Gotują w żelaznym czajniku cegielki herbaty (wyciąg z liści herbacianych zmieszany z wołową krwią; taka herbata jest w powszechnym użyciu w Mandżuryi), do której dodaje się tłuszcz rybi, wątrobę łososia i ka-

SĄDZENIE DZIECI.

We wszystkich już prawie krajach ucywilizowanych zaprowadzono osobne sądy dla przestępców małoletnich. Każdy bowiem przyzna, że stosowanie surowych praw wobec dzieci, które często wskutek nieświadomości lub młodzieńczej lekkomyślności popełniają przestępstwa, nie jest na miejscu, gdyż często wystarczy napomnienie albo mała kara, aby się dziecko poprawiło. Tę myśl, aby nieletnich przestępców poprawiać nie za pomocą kar, lecz za pomocą oświaty, wypowiedziała już przed kilkunastu laty poetka nasza Marya Konopnicka w wierszu

PRZED SĄDEM.

Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drugi nie zna i w ciemnościach zblądził!
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...



Niechże was Chrystus sądzi!

Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pachole
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: »Pójdź, dziecię! ja cię uczyć każę!«

wałki surowego mięsa. Jest to najulubieńszy przy-
smak Goldów. Anglik, dzięki wódce, zaprzyjaźnił
się z osadą do tego stopnia, że zaczęto go zapra-
szać na tego rodzaju obiady, cò, łącznie z widowi-
skiem, które mu wyprawili dwaj młodzi Goldowie,
dusząc swego zniedołężniałego ojca, zmusiło go do
ucieczki z powrotem na statek. Od tej pory już
wiecej nie spotykał „Rybich skór“.



CZŁOWIEK I BARANY.

BAJKA.

CZŁOWIEK.

Czego się tak ciśnicie, łakome zwierzęta?
Przecież jeść dostajecie, nie cierpicie głodu!
Ten brak zastanowienia, ta chciwość przekłeta,
Są znamieniem głupoty zwierzęcego rodu!

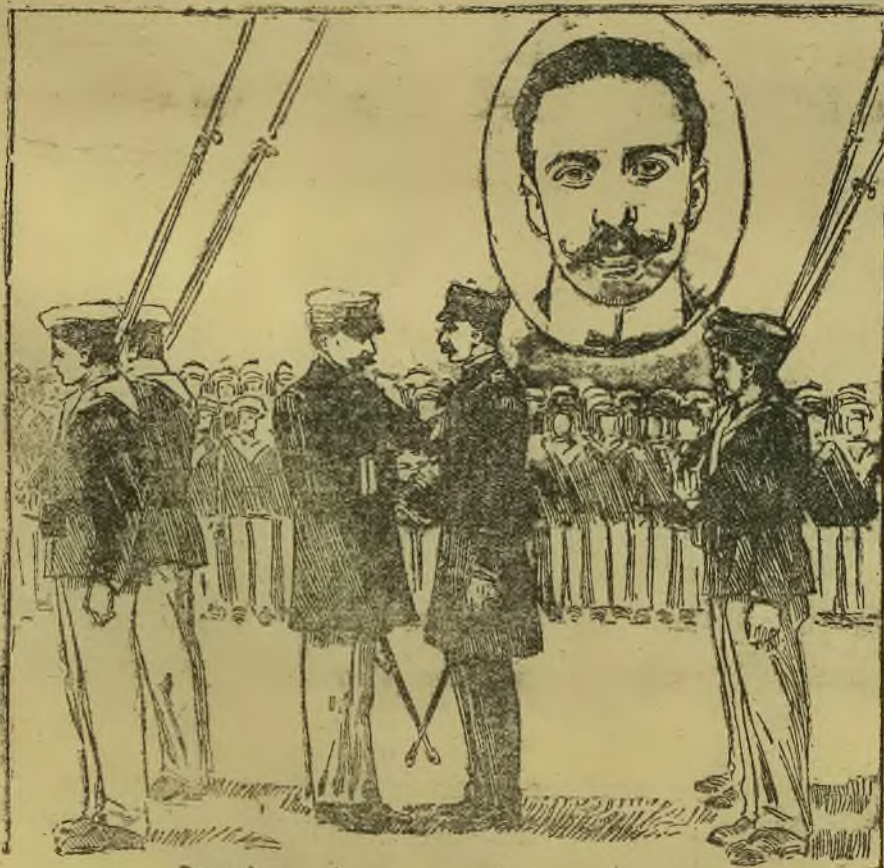
BARAN.

Nie wymyślaj od zwierząt, bo człowiecze żądze
Stokroć gorsze; ich celem dostojeństwa, sława,
Używanie, rozkosze, potęga, pieniądze,
Gdy naszych celem: woda kryniczna i trawa!



Kto panować umie nad sobą, jest panem,
Ale bardzo brzydko być własnym tyranem.

— 0 —



Degradacya oficera marynarki francuskiej Ullmo,
który dopuścił się zdrady swej ojczyzny, sprzedając plany wojskowe obcemu
państwu.

O jak się miłość krząta:
Od świtu aż do nocy
Próżnię każdego kąta
Zapełnia z wszystkiej mocy;
Ziarno zbiera do ziarna,
Z sercem zespala serca....
A nienawiść co czyni?
Złością kipiąc już zdala,
Jak żrący dech pustyni,
Serca ludzkie wypala!

— 0 —

I gmach największy stanie się małym
Skoro w nim blichter w największej cenie;
A i najmniejszy dom jest wspaniałym
Gdy w nim panuje — zadowolenie.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia
przeszłości naszej.

23-go czerwca 1818: uroczyste złożenie zwłok
Tadeusz Kościuszki w grobach królewskich na Wa-
welu, obok trumny księcia Józefa Poniatowskiego.
Nabożeństwo za duszę bohatera celebrował ks. bi-
skup Weronicz.

24-go czerwca 1768: lud ukraiński i kozacy,
zbuntowani przez Moskwę rzucili się na panów
i żydów pod wodzą Żeleźniaka i Gonty mordując
ich bez miłosierdzia. W miasteczku Humanu wymor-
dowano około 20 000 ludzi, skąd
bunty te nazwane są „rzezią hu-
mańską“.

25-go czerwca 1447: Kazimierz
Jagiellończyk, po kilkoletniem da-
remnem oczekiwaniu powrotu bra-
ta z wojny tureckiej obejmuje
tron Polski.

25-go czerwca 1848: Polacy z
zaboru pruskiego zakładają wiel-
kie stowarzyszenie, zwane „Liga
Polską“ dla popierania spraw pol-
skich jawnie w drodze legalnej.

26-go czerwca 1812: Rada mi-
nistrów Księstwa Warszawskiego
zwołała do Warszawy sejm, który
radzić miał nad sprawą odbudo-
wania Polski.

26-go czerwca 1863: W Mi-
ropolu na ukrainie Moskale zako-
pali żywcem księdza Siemaszko,
starca 80 letniego, unitę, wiel-
kiego zwolennika Polski. Ks. Sie-
maszko umierając wołał: „Ja
umieram, ale Polska będzie.“

29-go czerwca 1794: Kościusz-
ko wydaje odezwe, aby lud nie
wydawał bezprawnych wyroków
i sam nie karał zdrajców naro-
dowych.

30-go czerwca 1651: bitwa pod
Beresteczkiem.

WIANKI.

Wieniec w najdawniejszych pojęciach wszystkich ludów słowiańskich, a zwłaszcza w pojęciach Lechitów, zamieszkujących środkowe ziemie starożytniej Słowiańszczyzny, był zawsze godłem niepokalanego dziewictwa. Stąd dziewczęta ubierają swoje głowy w wianki, których noszenia zabraniał mężczyznom zwyczaj narodowy, będący pierwotnie prawem zwyczajowym. To też gdy Dąbrówka, żona Mieczysława I, wychowana w Czechach pod wpływem niemieckim, lekceważąc sobie ten zwyczaj, nie kweiliła głowy, ale przystrajała się, będąc mężatką, w czółko i wieniec, uak to raziło narodowe pojęcia Polaków, że aż przeszło na karty dziejopisów piastowskich, za którymi powtórzył to podziwienie Długosz w XV wieku.

Ponieważ w obrzędach na cześć ognia i rozpoczynającej się pod wpływem promieni słonecznych doby ożywczej i owocodajnego lata, główny udział brały dziewczęta, rzecz więc prosta, że wieniec i wróżby zamażpójścia, czynione z puszczenia tych wienców na wodę bieżącą, stały się odpowiedniemi dopełnieniem uroczystości i obrzędów sobótkowych. Mamy tedy obok sobótek wianki, zwyczaj równie starożytny, słowiański, narodowy, a bardzo poetyczny i piękny. Towarzyszyły mu oczywiście od prawieków pieśni obrzędowe, a kilka, które lud mazowiecki nbd Narwią i Bugiem do bieżącego wieku przechował, są prawdziwymi klejnotami pierwotnej, lirycznej poezji Lechitów. Z owych to czasów, w których poeci nie zapisywali swoich nazwisk, bo pisać jeszcze nie umieli, a czerpali natchnienie z czystego źródła uczuć pierwotnej prostoty, której klucz zaginęł niepowrotnie, powtarzamy typową pieśń wiankową:

W polu lipienka, w polu zielona,
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianuszków wiała.
Oj, czego płaczysz moja dziewczyno,
Ach cóż ci za niedola?
Oj nie płacz Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Ach będziesz ci go miała.
O mój Jasieńku, o mój jedyny
Da stać mi się szkoda,
Uwiłam ci ja parę wianuszków
Zabrała mi je woda.
Moja dziewczyno, moja jedyna,
Nie kłopotz ty się o nie,
Oj mam ja parę białych łabędzi
Popłynąć one po nie.
Już jeden płynie, po rokicinie
Goni jakoby strzała,
Już drugi płynie aż się odhynie
Ale z pociechą małą.
Łabędzie płyną, wianeczki toną,
Bystra je woda garnie,
Moje wianeczki z drobnej rutezki,
Mamli was stracić marnie?
Łabędzie płyną, wianeczki giną,
Bystra je woda niesie,
Nie masz wianeczka, moja dziewczeczka
Już ja cię nie pocieszę.
Łabędzie wróćcie, serca nie smućcie,
Wianeczka nie przyniosły,

Jeno rąbeczek, to na czepeczek,
Na twoje złote włosy.

W innej pieśni dawnej słyszymy, jak wianek puszczone na nurty wodne, płynie wśród „zgrai jeleni“, które oczywiście w przenośni oznaczają dzielnych i zwinnych młodzieńców, ubiegających się za wienkami w zawody. To znowu w innej pieśni, na dziwnie rzewną nutę śpiewanej, młodzian, rzuciwszy się komo w głęboki nurt za wienkiem, tonie w topieli, ale poleca swemu rumakowi, by powróciwszy do domu, zapewnił jego matkę, iż młody pan jego nie utonął, ale się ożenił.

Cóż było za ożenienie, w wodzie tonienie,
Cóż była za panna młoda, ta zimna woda?
Cóż tam były za druchneczki, w wodzie rybeczki,
Cóż były za dziewczęłyby — nad wodą dęby, itd.

W przeddzień świętego Jana Chrzciciela płynęły wience dziewicze i po Wiśle i Bugu, Narwi, warcie, Odrze i po setnych „dunajach“ lechickich, a echem odwiecznych pieśni i wrzawą młodej rzeszy i blaskiem gorejących stosów spłoszony zwierz dziki i ptactwo nadwodne, umykało w knieje, puszcze i oczerety niedostępne.

Miasta polskie w wieku XIII zaludniły się w znacznej części Niemcami, bo książęta piastowscy, podzieliwszy się krajem, usiłovali uszczuplono dochody swoje podnosić przez sprowadzanie i osiedlanie rzemieślników i kupców zagranicznych. Względnie najmniejszemu zniemczeniu uległy miasta mazowieckie i może temu należy przypisać, że najwięcej przechowywało się tam tradycyi rdzennie polskich. Któż wie, ażali nie okoliczność powyższa była powodem, że z miast większych tylko w jednej Warszawie dochował się przez wieki starożytny zwyczaj lechicki puszczenia wianków w wigilię św. Jana Chrzciciela.

Jak kwiaty są ozdobą roślin i ziemi, tak nasze zwyczaje doroczne są okrasą naszego domowego życia. Są one puszcznią długich stuleci życia społecznego i pamiątką po zmarłych ojcach i dalekich dziadach.

Zwyczaje i obyczaje wypłynęły z warunków życia i pojęć, wyrobionych wiekami przez myśl ludzką. Stanowią one wynowną cechę charakteru społecznego, nadającą mu wdzięk właściwy i odróżniającą od innych społeczeństw. Zatracać dobre rodzime zwyczaje i obyczaje, to wytaczać zdrową krew z ciała własnego. Wielu zczudzoziemczatych i głupich ludzi, lekceważy sobie stary nasz obyczaj domowy, nie pomnając, że wyziębione serce i szyderstwo ze swojszczyzny nie nauczy miłować gniazda swego. Ludzie tacy, przestali być ogniwem, łączącym przeszłość z przyszłością i są, jak one śmiecie, które już do nikogo nie należy i któremu wszystko jedno, do którego kąta zamiecione będą. Zyg. Glogier.



Daremnnie chwalicie
Ziemski byt człowieka,
Doskonale życie
Za grobem nas czeka.



OPISY NASZEGO KRAJU.

WARSZAWA.

Pod wzgórzem, pod szerokim rzeka szybko bieży,
Na brzegu, na wysokim las się wieżyc jeży,
Las wieżyc, las kamienny czołem chmury bodzie,
A spodem się przegląda w zwierciadlanej wodzie.

Giller.

Tam, gdzie dzisiaj — podług słów poety — „las wieżyc się jeży”, przed wiekami zieleniły się istotnie łąki odwieczne i nieprzebyte, bo kiedy nad górną i dolną Wisłą, oraz nad Wartą tworzyły się opola, zamieszkałe przez poszczególne szczepy słowiańskie, cały kąt ziemi między Pilicą, środkową Wisłą, Bugiem i Narwią, głuchymi jeszcze puszciami był zarosły. Wśród tych kniei, na wyniosłym brzegu, tam, gdzie dziś wznosi się Warszawa, od dawna już jednak żyli ludzie; dogodnie położenie musiało ściągać mieszkańców. W lesie, pełnym zwierza, nad rybą rzekną nie trudno zabezpieczyć się było od głodu, a że już w pogańskich czasach istniały tu osady, świadczą wykopaliska znalezione na Pradze, na Brudnie, w Grochowie i innych pobliskich miejscowościach. Wykopaliska te były to urny z popiołami naszych praociców, a wiadomo, że za czasów pogańskich ciała zmarłych palono, a popioły w garnkach glinianych, zwanych żalnikami lub popielnicami, chowano w ziemi.

Głucho o tem w kronikach, kiedy osada otrzymała nazwę Warszawy. Brak pewnych wiadomości zastępują podania. Podobno pierwszą chatkę z chróstu na wyniosłym brzegu zbudowała para rybacka: Warsz i Sawa i od imion tych pierwszych mieszkańców nosi nazwę miasto. Lepianka Warsz i Sawy miała się znajdować na Starem Mieście, przy zbiegu ulic Piwnej i Dunaju. Stoi tam obecnie dom bardzo stary, z figurą św. Anny; lud utrzymuje, że to nie św. Anna, tylko Sawa; twierdzi on także, że Wisła miała wtedy gdzieindziej koryto i że płynęła tuż obok chatki rybaków.

Czasy dawnymi — głosi baśń najstarsza —
Lasów odwiecznych wycięto zakątek,
I tworząc pierwszy Warszawy zaczątek,
Dom zbudowano dla Ewy i Warsza.
Warsz, Ewa, pierwsi Warszawy dziedzice,
Żyli szczęśliwie; potem baśń pamięta,
Że po ich śmierci Mazowsza książęta
Z ich dóbr dla siebie stworzyli stolicę.
Odtąd Warszawa w dziejach dawnych słynie,
Jako Mazowsza stołeczny gród stary —
Co w blasku wielkiej Chrystusowej wiary,
Domy swe stawiał i wznosił świątynie.

Władysław Karoli.

Podług innego podania Warszawa zawdzięcza swój początek Czechom, a mianowicie rodzinie Werszowców, którzy — wypędzeni z Czech — schronili się do Polski, gdzie nosili nazwę Warszów. Jeden z nich, piastujący godność kasztelana krakowskiego, jest prawdopodobnie założycielem miasta, oraz jego przedmieścia. Miasto nazwał od swego imienia Warszawą, a przedmieście — na pamiątkę ojczystego grodu — Pragę. Miało się to stać pod koniec XIII-go wieku.

Pierwsze pewne wiadomości o Warszawie mamy dopiero z r. 1313. Dostała się ona po śmierci Bolesława, księcia mazowieckiego, wraz z Sochaczewem i Ciechanowem jednemu z trzech synów. Pod koniec XIV-go wieku była już Warszawa miejscem obronnym; szczątki tych murów

znaleziono niedawno przy kopaniu fundamentów na rogu Podwała i Nowomiejskiej ulicy.

W r. 1381 książę Janusz, przekładając Warszawę nad Czersk, pierwszy w niej zamieszkał, zamek zbudował i kollegiatę czerską przeniósł do nowej stolicy.

Brat Janusza, Ziemowit, pragnął osiągnąć rękę królowej Jadwigi, a z nią tron krakowski. Nie udało mu się to jednakże; małżeństwo młodziutkiej monarchini z Jagiełłą więcej korzyści Polsce zapewniało. Ziemowita marzenia nie spełniły się, a następni książęta mazowieccy coraz bardziej stawali się zależnymi od Jagiellonów. Nieraz szlachcie mazowiecki jeździł ze skargą do króla przeciw swemu książęciu i sprawę wygrał. Podobno takim postępowaniem rozżalony książę Konrad, współczesny Jana Olbrachta, umarł ze zgrozy. Synowie jego, Janusz i Stanisław, zeszedli z tego świata młodo i bezpotomnie, na nich wygasł ród Piastów na Mazowszu i wtedy dzielnica ta wraz z Warszawą wcielona została do państwa polskiego. Było to r. 1526.

Złączenie Mazowsza z Polską stało się korzystne dla Warszawy. Była ona ulubionym miejscem pobytu Zygmunta Augusta; przemieszkowała też tu stale za panieńskich czasów Anna Jagiellonka; wzrastało więc miasto i nabywało znaczenia. Wzrost ten szybkim zaczął postępować krokiem, gdy za panowania Zygmunta III Wazy, została Warszawa stolicą Polski.

Niezmierną klęską dla zbudzonego do życia miasta był najazd Szwedów r. 1655. O tym strasznym napadzie już kilka razy wspominaliśmy; cała prawie Polska od niego ucierpiała, a Warszawa została spalona, wyludniona, zubożona. Morowe powietrze i wylewy Wisły dopełniły niedoli. Pod koniec XVII-go wieku miasto było się dźwigać z ruiny, ale druga wojna szwedzka za Augusta II Sasa i inne smutne wypadki w XVIII wieku nie mogły wpływać korzystnie na jego rozwój.

Po trzecim rozbiórce kraju Warszawa dostała się w ręce Prusaków; r. 1807 stała się stolicą księstwa Warszawskiego, a po upadku tego księstwa od r. 1815 jest głównem miastem Królestwa Polskiego.

Prawdziwy wzrost miasta zaczął się dopiero w zeszłym stuleciu. Położone na lewym brzegu Wisły, rozwija się ku południo-zachodowi, gdzie też powstają coraz nowe dzielnice. Kolej wiedeńska, otworzona r. 1847, a później inne drogi żelazne, zbudowanie zjazdu ku Wiśle, żelazne mosty na rzece, oświetlenie gazowe, wodociągi i kanalizacja przyczyniły się niezmiernie do rozwoju miasta. Obecnie z każdym rokiem nietylko nowe pałace i domy, ale całe nowe ulice przybywają.

Ludność Warszawy szybko wzrasta; liczba mieszkańców wynosi obecnie około osiemset tysięcy. Przemysł kwitnie; handel coraz bardziej się rozwija, a ruch uliczny w Warszawie — według zdania cudzoziemców — porównać można z ruchem Paryża.

Warszawa jest też ogniskiem sztuki i oświaty; posiada muzea, wystawy obrazów, kilka teatrów, najwyższe w kraju szkoły, jak uniwersytet i politechnikę, liczne drukarnie i księgarnie.

Jak słońce, rzucając swe jasne i ciepłe promienie, ogrzewa ziemię i budzi w niej życie, tak i Warszawa wysyła promienie światła, wiedzy i

nauki w najdalsze zakątki kraju, by tam budzić nowe życie umysłowe.

Najpiękniej przedstawia się Warszawa od strony Wisły. Przeszedłszy most żelazny, z przedmieścia Pragi wiodący, spotykamy po lewej stronie skromną, a zgrabną przystań Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Celem Towarzystwa jest wzmoczenie sił fizycznych i zachowanie zdrowia przez ruch i ćwiczenia na świeżem powietrzu. Wszak przystawie mówi: „W zdrowem ciele zdrowa dusza”.

I leży w tem prawda wielka.

Rozpowszechnione w Galicyi Towarzystwo Sokołów te same cele ma na względzie.

Zdrowie to siła. Każdego w życiu czeka praca, więc niech siły do niej gromadzi.

Nieco opodal kołyszą się łodzie Towarzystwa ratowania tonących. O każdej dnia porze zręczny i znający swój fach rybak czuwa u brzegów Wisły, by nieść pomoc nieszczęśliwym ofiarom nieostrożności lub przypadku.

Bóg błogosławi poświęcenie dobrych ludzi, rok rocznie kilkanaście ofiar ocalonych jest od śmierci w nurtach rzeki.

Po prawej stronie mostu widzimy dawny zamek królewski, dziś zamieszkaný przez generał-gubernatora.

Za książąt mazowieckich zamek ten był drewniany. Zygmunt III Waza wzniósł na miejscu zabudowań drewnianych siedzibę dla siebie z muru i kamienia ciosowego i ozdobił ją wieżą. Jazemski, budowniczy Ujazdowa, taki daje opis zamku r. 1643:

„Królewski zamek cały murowany. Wokoło dwa rzędy pokojów; na rogach znajdują się wieżyczki małe, w pośrodku duża kamienna wieża z zegarem; wierzch jej miedzią okryty z pozłocaną gałką. Wielkie bogactwo komnat: w jednej z nich wszystkie ściany wysadzane zwierciadłami. W pokoju królewskim jest komin w kształcie fontanny, cały z metalu; inne pokoje ozdobione historycznymi obrazami. Wspaniała sala, gdzie się odprawiają wesela i pyszne teatrum, gdzie komedye i skoki włoskie wyprawiają. Od

Wisły nakształt twierdzy podnoszą się mury ku tamowaniu rzeki wyniesione. Ganek do kościoła idzie od starego zamku. Nad kuchnią jest łaźnia; tam do cynowej sadzawki jakoby rurami leje się woda. Za bramą zamku ogród z kwiatami, owocami i krynica, która wody zamkowi oddaje”.

Ow piękny, bogaty zamek, zrabowany przez Szwedów, został za czasów Sobieskiego, na nowo wewnątrz przyozdobiony. Za czasów saskich wzniesiono budowle od strony Wisły, a gdy za Stanisława Augusta uległ zamek zniszczeniu, spowodowanemu przez pożar, został wtedy przebudowany i urządzony podług planu architektów włoskich. Wtedy to powstały wspaniałe sale: tronowa, kolumnowa i rycerska. Tronowa jest największa; okna ma wychodzące na Plac Zamkowy. Kolumnowa, najokazalsza; wokoło są marmurowe kolumny ze złożonymi bronzami, a jej sklepienie ozdobione jest pięknem malowidłem włoskiego malarza, Bocciaarellego.

Od strony zamku ku Wiśle urządzono ogród, zawieszony na arkadach.

Blżej wybrzeży, jednym bokiem stykając się z zamkiem, wznosi się pałac, tak zwany „Pod Blachą”. Mieszkał w nim niegdyś książę Józef Poniatowski i wtedy to gwaro tam było i wesoło.



Widząc bliźnich żal,
Bądź miękki, jak wosk,
Lecz się zamień w stal
Wobec własnych trosk.



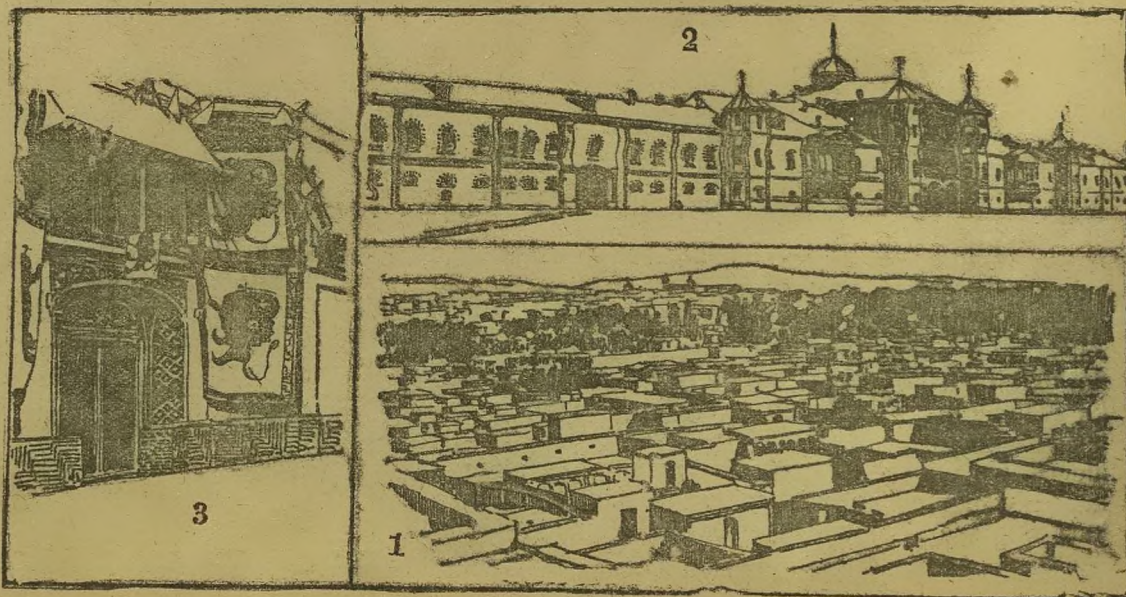
Z jubileuszu cesarskiego w Wiedniu.

Korespondent „Głosu Warszawskiego” tak opisuje swoje wrażenia z pochodu jubileuszowego:

„Trzy godziny i minut dziesięć stał u rampy pawilonu monarcha siedemdziesięcioośmioletni, wy-

Obrazki z Teheranu, stolicy Persyi.

Obrazek 1-szy przedstawia widok ogólny miasta; obrazek 2-gi pałac szacha perskiego; obrazek 3-ci wejście do tegoż pałacu, którego front ozdobiony jest herbami państwa. Jak wiadomo, szach opuścił swój pałac i poza stolicą zgromadził swych zwolenników i wojsko rozpoczął wojnę z własnymi poddanymi, którzy nie chcą się zgodzić na proponowaną przez szacha zmianę konstytucyi.



prostowany, uważający na wszystko, salutujący, witający grupy poszczególne pochodu. Ani razu nie spoczął, ani razu nawet się nie dotknął poręczy fotelu. Odsunął go daleko w tył po za siebie, złożył dowód niezmiernej siły woli i panowania nad sobą. Boć ludzie o wiele młodszy od cesarza Franciszka Józefa byłiby zmęczeni stanieniem przez trzy godziny, znużeni wrażeniami, które falą nieustanną napływały pod czaszkę.

Monarcha przecież zapanował nad znużeniem. Nieokazał go ani na chwilę. Chciał, by przedstawiciele ludów jego państwa widzieli go rzeźkim, niezmordowanym, uprzejmym, dalekim od wszelkich znamion ułomności lat podeszłych.

Owa żelazna siła woli starca — to pierwsze i główne wrażenie wiedeńskiej uroczystości, nauka dla każdego z nas młodszych, nauka zwłaszcza dla narodów, które, jak my, Polacy, chorujemy na brak woli....

Drugie wrażenie, to niezwykle zjawisko atmosferyczne, które umysłem przesadnym wydało się cudem istotnym. Oto w połowie pochodu na niebie błękitnem, bez deszczu wśród pogody, trwającej nieprzerwanie od dwudziestu czterech godzin, ukazała się wprost pawilonu cesarza tęcza barwna. Końce łuku opierały się na obu gmachach muzealnych, jego napięcie najwyższe znajdowało się nad pomnikiem Maryi Teresy.

Zjawisko atmosferyczne, nic więcej! Zrobiło ono przecież — wszyscy to widzieli — na jubilecie wrażenie bardzo głębokie.

Pochód się składał z dwóch części: historycznej i narodowej.

Historyczna, konstyumowa przedstawiała różne epoki historii dzierżaw Habsburskich od pierwszej chwili, gdy skromny hrabia szwajcarski Rudolf z Habsburga otrzymał koronę cesarską i nad Dunajem, zdruzgotawszy potęgę króla Ottokara, ugruntował fundament własnych posiadłości. Pierwszy tedy jechał milczący, samotny praszczur cesarza. Na starcu widok owej postaci założyciela dynastii wywarł wrażenie tak głębokie, że przyłożył chustkę do oczu. Przeszłość, daleka przeszłość, wyrzała ku niemu na światło dzienne.

Potem szły grupy inne: książęta Habsburscy, ich wódzowie, ich żołnierze. W lektyce niesiono i naszego Zygmunta Starego, który właściwie dał Habsburgom Czechy i Węgry, jechał Sobieski tuż za Leopoldem, jechał ks. Eugeniusz Sabaudzki, Daun, Laudon, arcyksiążę Karol.

Im bliższą była epoka, którą przedstawiała dana grupa, tem bardziej się cesarz interesował. Aż wreszcie ukazały się mundury, które sam nosił, ukazał się człowiek, którego znał: Radetzky, jego generałowie, jego sztab, strzelcy z pod Santa Lucia, ich pułkownik Kopal. Wtedy po raz drugi cesarz dotknął chustką oczów, a potem podszedł szybko ku małym arcyksiężom i zaczął żywo im objaśniać, co to znaczą owe postacie i czemu była dla niego owa epoka. Młodemu potomkowi chciał przekazać wspomnienia własnej młodości przy dźwiękach marsza Radetzkiego, wśród szumu sztanda-

rów pułkowych, które powiewały nad jego siedemnastoletnią głową przed sześćdziesięciu laty w taki sam dzień wiosenny, piękny, błękitny, jak dzisiejszy.

Czyż to nie baśń uroczą, ten starzec, już sam jeden na świecie, któremu pokazują jego własną młodość?

* * *

Po hołdzie historycznym hołd ludów, hołd ludu wiejskiego, tego ludu, który za panowania Franciszka Józefa z masy poddańczej wyrósł na obywateli.

Szli Niemcy rozmaitych okolic, szli Chorwaci, a wśród nich jeden, mający z górą lat dziewięćdziesiąt, który przeszedł pieszo z sztandarem w rękę tylko przed cesarzem, a potem wszedł do powozu; szli Tyrolczycy „zachodu i wschodu”.

Aż wreszcie tutaj, w Wiedniu, pod bramą zamkową wobec cesarza, wśród owego tysiąca ludzi obcych dobiegły mię dźwięki znane i drogie pieśni naszej, polskiej wprawiającej krew w żywszy obieg, dźwięki, które porywają każdego, mającego choć odrobinę w sobie porywów żołnierskich z epoki Kościuszki i Poniatowskiego, Chłopickiego i Dwernickiego, dźwięki, nie dające spokojnie usiedzieć nikomu, kto miał pradziada czy dziada wojaka.

I teraz przyszła kolej na mnie chustkę do oczu przyłożyć, gdy usłyszałem muzykę: „Bartoszu, Bartoszu!”

Nasi jada, jada, nasi jada! Od Krakowa, od Bronowic, od Mogiły! Nasi jada rośli, dzielni, w białych sukmanach, z czapeczkami czerwonymi w rękę, nasze dziewczuchy, strojne, krasne, białe i różowe na wozach. I ciągle jada nasi, stu, dwustu, trzystu, coraz prędzej, ogniciś wpadają na arenę, ciągle nasi bracia Mazury, jeszcze jada i jawa.

Cesarz prostuje się, salutuje i salutuje, generalicya po lewej ręce cesarza bije oklaski, bo żołnierz odczuje żołnierza, bije oklaski publiczność, choć na to nie pozwala etykieta dworska, jak atoli nie bić oklasków na widok tych ludzi tak dzielnych, tak krzepkich, jeźdźców i żołnierzy urodzonych.

Cesarz salutuje ciągle, nasi Mazurzy jeszcze pędzą na arenę, teraz już galopem, jakby do szarży. Zewsząd słyhać okrzyki:

„Die braven Polen, hoch! hoch!”

Ach, tak, dzielni są ci Polacy. Jednego im tylko brakowało: woli żelaznej.

A.



ORZEŁ I SOWA.

Na jednym drzewie orzeł gdy z sową nocował,
Że tylko w nocy widzi bardzo jej żałował.

Dziękowała mu sowa za politowanie.

Wtem, uprzedzając jeszcze zorzę i świtanie,
Wkradł się strzelec pod drzewo, sowa to spostrzegła,
I do orła natychmiast z przestroga pobiegła.

Uszli śmierci; a wtenczas rzekł orzeł do sowy:
Gdybyś nie była ślepa, nie byłbym ja zdrowy.



Co to jest wolność.

Wolność, to wyraz o wzniosłem i szczytnem znaczeniu, bo jest przeciwstawieniem niewoli. Ktożby nie pragnął wolności? Każdy marzy, przecież o tem, aby być człowiekiem „wolnym“.

Nie jednak łatwiejszego, jak spaczyć pojęcie wolności. I tak n. p. sądzą niektórzy, że wolność polega na tem, aby każdy miał prawo czynić, co mu się podoba. W obecnych czasach zauważyć można nieraz takie spaczony pojęcia: wyrostek nie słucha ojca, matki, bo się to sprzeciwia jego pojęciom o wolności; podwładny nie zważa na rozporządzenia zwierzchnika, bo „nie jest przecież niewolnikiem“ a bywają nawet i tacy, którzy bez skrupułu zabierają cudzą własność, bo chcą żyć wygodnie, a nie uznają przymusu pracy.

W „Gazecie Świątecznej“ znajdujemy artykuł o tem, czy człowiek może stać się wogóle wolnym od wszelkiego przymusu.

Więc naprzód przymus pracy:

„Człowiek musi żyć i chce żyć — mówi autor artykułu. — Aby żyć, musi mieć pożywienie, bo zginąłby z głodu, oraz ubranie i mieszkanie, bo z zimnaby umarł. Żeby zaspokoić te najważniejsze potrzeby życia, człowiek musi pracować; jeżeli zaś chce pracować pożytecznie, dla siebie i dla innych, to musi pracować porządnie, z ładem, musi mieć czas na robotę przeznaczony, musi się poddać jakiejś myśli powziętej zgóry przez siebie samego, albo przez innych ludzi. To stanowi pierwszy przymus, któremu człowiek ulegać musi i powinien. Nawet ten, co jest tak szczęśliwy, że pracuje u siebie, na swoim zagonie, nawet i taki człowiek nie jest wolny od przymusu; jeżeli nie chce umrzeć z głodu, to musi robić to, co trzeba, co wypada, ale nie to, co mu się podoba, do czego by miał więcej ochoty. Jeżeli człowiek nie może pracować na swoim zagonie lub we własnej pracowni, to musi szukać zarobku u innych ludzi. Wtenczas potrzeba przymusu często powiększa się, gdyż taki człowiek staje się zależnym od drugiego człowieka, od jego woli; musi też i powinien go słuchać, bo inaczej nie byłoby z roboty należytego pożytku. Sama więc natura człowieka, to, że pragnie on utrzymać się przy życiu, nakłada na niego pierwsze pięta, trzyma go niby w niewoli. A czy ta niby niewola, ten przymus pracy może być kiedykolwiek zniesiony? Czy możemy się spodziewać, aby ludzie zdołali kiedykolwiek uzyskać dla siebie taką wolność, któraby ich wyzwoliła od przymusu pracy i od przymusu ulegania innym w zakresie pracy? Odpowiedzmy na to pytanie jasno i szczerze. Z pewnością każdy człowiek rozumny odpowie, że od takiego przymusu ludzie nigdy zwolnieni być nie mogą. A praca każda odbierać nam musi nieograniczoną wolność i swobodę“.

Przytoczywszy na przykładach, jak koniecznym jest przymus pracy, autor tak dalej pisze o używaniu wolności z krzywdą innych:

„A teraz pomyślimy, czy gdyby ludzie mogli mieć swobodę czynienia wszystkiego, co tylko im się spodoba, czyli naprzykład, gdyby im wolno było zabierać cudzą własność, niszczyć cudzą pracę i czas cudzy, gdyby nastąpiła taka fałszywa wolność,

czy wtedy dobrze byłoby ludziom żyć na świecie, czy ludzkość mogłaby być szczęśliwa? Nie, to każdy sam rozumie. Nastąpiłyby czasy dzikiej, strasznej walki o byt, o życie, w której zwyciężyłaby zawsze pięść mocniejszego wbrew wszelkiemu porządkowi i sprawiedliwości.

Często w życiu naszym na jedną rzecz za mało zwracamy uwagi: oto człowiek nie tylko nie może istnieć bez szukania sobie sposobu do życia, czyli bez pracy, ale również nie mógłby istnieć samotnie czyli bez innych ludzi. Gdyby kto z nas wpadł w takie nieszczęście, że pozostałby sam jeden na świecie, to nie dałby sobie rady, nie zaspokoiłby wszystkich swych potrzeb, nie potrafiłby utrzymać się przy życiu i umarłby prędko z głodu albo zimna. Dlatego też nie tylko nakazanej nam przez Boga miłości bliźniego, ale nawet dla własnej potrzeby, dla ulżenia sobie, musimy żyć w zgodzie, z otaczającymi nas ludźmi, szanować ich własność i pracę.

Gdybyśmy doszli do zgody, że wolno każdemu robić tak, jak jemu dogodniej, choćby ze szkodą dla drugich, to cóżby z tego było? My czynilibyśmy krzywdę innym, ale i nam ludzie odpłaciliby się tą samą miarą. I oto musielibyśmy przeklinać taką fałszywą wolność, któraby niszczyła nasze zabiegi i pracę naszą nadaremnie. Więc też musimy się ujarzmić, musimy zabronić sobie wszystkiego tego, co innych ludzi w cokolwiek ukrzywdzić może: tak musimy znowu i powinniśmy chętnie znosić jeszcze jeden przymus, czyli swobodę swoją kępować. Od tysięcy lat ludzie nad tem wzajemnem a koniecznem skrupowaniem siebie pracują, obmyślając prawa, które porządkują ich życie i układają w ład pewien, w jakiś na zawsze umówiony i przyjęty porządek.

A więc na czemże polega ta wolność, o której tak wiele mówiono i pisano, której ludzie pragną tak usilnie?

Jest jeden wielki skarb człowieka, którego nikt wydrzeć sobie przemocą nie powinien pozwolić, którego niewolno oddać za żadną zapłatę, którego strzedz należy narówni z życiem: są to **przekonania** człowieka.

Każdy wierzy w Boga tak, jak jego wiara naucza, i chce, aby mu wolno było wierzyć i czcić Boga w taki sposób, w jaki mu ta jego własna wiara i własne jego przekonania nakazują.

Kto miłuje mowę ojczystą, chce, aby mu wszędzie i zawsze wolno było jej używać, aby mu nikt jej nie zabraniał, nikt z niej nie drwił i nie przesładował.

Ten, co pragnie uczciwie i pożytecznie pracować dla siebie lub bliźnich, chce, aby mu wolno było robić to w taki sposób, jaki mu jego uczciwe przekonania wskazują.

Takiej to prawdziwej wolności — wolności przekonań, wiary, mowy i uczciwej pracy, każdy z nas pragnąć powinien; taka wolność nikogo nie krzywdzi, ale przeciwnie, uszczęśliwia ludzi. Takiej też wolności dla wszystkich pragną ludzie szlachetni i rozumni. Trzeba więc zawsze ich głosy odróżniać od tych zachrypłych nieraz krzykaczy, którzy nawołują niby do wolności, a naprawdę jeno do samowoli, do buntu przeciwko wszelkiemu porządkowi, bez którego żadne społeczeństwo istnieć nie może“.

NASZA CHWAŁA.

Stanisław Moniuszko

Słynny muzyk i kompozytor polski, twórca opery „Halka“, przyszedł na świat we wsi Ubiel w gubernii Mińskiej dnia 5 maja 1819 roku, umarł zaś dnia 4 czerwca r. 1872.

O swych latach dziecińczych tak wspominał sam Moniuszko:

„Nie należałem ja wcale do dzieci, zwanych cudownymi, lecz od najmłodszych lat czułem nieprzeparty pociąg do muzyki, w którym się też objawiło moje powołanie. Obdarzony od natury bystrym i delikatnym słuchem, zaledwem zaczynał chodzić, już zatrzymywałem w pamięci każdą nutę słyszanych piosenek, dziecięcym głosem powtarzałem ją z łatwością“.

Matka pierwsza oceniła cwe zdolności muzyczne dziecka i udzieliła mu pierwszych wskazówek gry na fortepianie. Przyszły jednak twórca „Halki“



nie lubił bębnić palcami po klawiaturze, za to namiętnie wsłuchiwał się w melodye pieśni ludowych i w muzykę przyrody

Wpływ obcowania z naturą i wsłuchiwanie się w proste a tak uczuciowe melodye ludowe wycisnęły piętno na duszy Moniuszki a tego piętna nie zdołały zatrzeć studia muzyczne, odbyte w Berlinie pod kierunkiem muzyków niemieckich.

Po ukończeniu studiów osiadł Moniuszko we Wilnie, i tam cały świat muzyczny skupił około siebie.

Pod tym względem powodzenie jego było zupełne i wszyscy wielbili jego talent a jego samego czcili i kochali.

Nie tak pod względem materyalnym. Moniuszko zmuszony był objąć posadę organisty przy kościele św. Jana w Wilnie, byle tylko zapracować na kawałek chleba.

W d. 1. stycz. 1858 wystawiono poraz pierwszy w teatrze warszawskim operę Moniuszki „Halka“. Nazajutrz po tem przedstawieniu Moniuszko tak napisał do żony: „Więc już po wszystkim. Powo-

dzenie zupełne. Dziś grają „Halkę“ drugi raz, jutro trzeci. Czytajcież teraz, co tam pisać będą, mnie przebaccie, że bez sensu piszę — nie pojmuje, co się ze mną dzieje“.

Do tego listu jeden z przyjaciół taki dodał dopisek: „Widzę, że Staś z napływu uszcześliwienia napisał do was, jak półwariat; więc jako poważniejszy człowiek biorę się do opisanja ważniejszych szczegółów. Po odegraniu uwertury brawo dane było ogromne; za odkryciem kurtyny, kiedy się polonez pokazał, huczał cały teatr, nakoniec w ciągu całej sztuki nie ustawały oklaski, a po trzecim akcie wywołali kochanego Stasia 4 razy, po czwartym jeszcze raz Kobiety wszystkie pewno poszalały, bo były brawo na zabój; wogóle entuzjazm był nadzwyczajny“.

Ten entuzjazm dla „Halki“ nie ustał do dziś dnia i nie ustanie zapewne nigdy. W Warszawie przedstawiano „Halkę“ przeszło 150 razy, a zawsze budziła ona zachwyt i rozrzewnienie u słuchaczy.

Oprócz „Halki“ skomponował Moniuszko kilka innych jeszcze oper („Hrabina“, „Straszny Dwór“, „Nocleg w Apeninach“, „Flis“ i inne) oraz mnóstwo pieśni, które rozpowszechniły się po całej Polsce, tak że Moniuszkę słusznie pieśniarzem polskim zowią.

Stanisław Moniuszko umarł w roku 1872; po zostawił dwoje dzieci, z których syn Jan, znany i wielce ceniony malarz artysta umarł w czerwcu roku bieżącego.



PIES I WILK.

(BAJKA.)

Mówił raz pies do wilka; przyjacielu bury!
Powiadają, że przed laty
Tyś był psem; teje samej co my, psiej natury,
W psie cnoty wszystkie bogaty.
Czemu dziś jest inaczej? — Wilk się roześmieje:
Wierzysz w postępu koleje?
Jeżeli to, co mówisz i było przed laty,
A teraz zmienili bogowie,
To w tem najwidoczniejszy jest postęp oświaty, —
Każdy wilk to samo ci powie.
Ty sobie bądź żebrakiem przy swojej wierności,
Służ, męcz się dla gołej kości —
Zawsze kopać cię będą. My wilcy nie tacy;
Umiemy się spanoszyć prędko i bez pracy;
Doskonalim się ciągle w cudzego grabieży,
Znać postęp w każdej godzinie;
W końcu, żem psem był niegdyś, nikt już nie
I pamięć o tem zaginie. [uwierzy,



W NĘDZNEM CIAŁKU.

Obrazek z dziejów greckich.

Było to na sześć wieków mniej więcej przed erą chrześcijańską. O bardzo wczesnym poranku, gdy słońce zdążyło zaledwo szczyt Helikonu oblać purpurą i złotem, a świeży, nocny wietrzyk posłaniec od mórza, fruwał jeszcze swobodnie nad sławnem miastem Spartą, drzwi kilku rozległych

domostw, otaczających szeroki plac w tem mieście, rozwarły się, i jak codzień o tej porze, dzieci, wyrostki i młodzieńcy, każdy oddział osobno, poczęli z nich wychodzić w wielkim porządku, miarowym krokiem, przy dźwiękach poważnej, rytmicznej pieśni, chórem przez każdą gromadkę śpiewanej. Młodzież ta była tak żeńskiej, jak męskiej płci, dziewczęta podzielone były na osobne oddziały tak samo, jak chłopcy.

Rozpoczęły się codzienne ćwiczenia. Chłopcy oddziałami, stósownie do wieku, ćwiczyli się w bieganiu, skakaniu, mocowali się z sobą, ciskali do celu różne pociski, tak zwane dyski i dzidy, uczyli się obrotów wojennych; tańce połączone z mimiką wprawiały w ruch całe ciało. Dziewczyny ćwiczyły się w wyścigach i wzajemnych ze sobą zapasach, w rzucaniu dyskami i dzidami, lekko odziane, tańczyły i śpiewały; niekiedy tego lub owego z chłopców obsypywały trąfieniami dowcipami, wyrzucając mu jego przewinienia, najdziwniejszych zaś wysławiały pieśniami, co budziło w chłopcach żądze sławy i szlachetne współzawodnictwo. Wszystko odbywało się oddziałami i „rotami”, bo ćwiczenia ściśle zastosowane były do wieku, a każdej roty i każdego oddziału bacznie doglądał oddzielny nauczyciel. Sliczny widok i cudną harmonią tworzyły razem te obroty rytmiczne i te śpiewy; to też z niezmiennym zajęciem przyglądał się im i przysłuchiwał młody chłopczyzna, siedzący obok młodej, pięknej kobiety, na marmurowej ławie u drzwi jednego z domostw, tego właśnie, w którym mieszkali najmniejsi chłopcy siedmioletni, i z którego niedawno wyszli na plac ćwiczeń. Chłopczyk ten siedział cicho, szepcąc tylko do matki i żywymi gestami okazując uwielbienie dla zajmującego widoku. Nareszcie ćwiczenia skończyły się i uczniowie zaczęli w niezmiennym, raz przepisany porządku wchodzić do domów swoich tak, jak z nich wyszli. Wracali teraz na ranny posiłek, śpiewali znowu, jak zwykle w czasie pochodu, ale mimo to na twarzy każdego odbijało się żywe zdziwienie, gdy wchodząc we drzwi, spoglądał na malca, siedzącego tuż przy nich z matką na ławce. Nauczyciel, idący na ostatku z tym najmłodszym chłopcem oddziałem, zdziwił się także widocznie, spojrzawszy na małego z matką.

Wtedy matka ta powstała i prosiła go o chwilę rozmowy. Skinał na nią, a gdy wszyscy weszli do wielkiej, podłużnej sali, z długim przez jej środek stołem, stanęli mali uczniowie na skinienie nauczyciela jak wryci, w porządku, jakby wyćwiczeni tancerze, lub żołnierze, a on rzekł do przybyłej:

— Nie z naszego kraju jesteś, kobieto, cóż zatem może być wspólnego pomiędzy mną i tobą? Mów, po co tu przybywasz?

— Przedewszystkiem — odparła mocno zdziwiona — chciej proszę powiedzieć mi, po czem poznajesz, iżem nie tutejszą, kiedy tutejsze okrywa mnie i mego syna odzienie?

Zamiast odpowiedzi, nauczyciel spojrział po swoich uczniach, a potem dopiero odpowiedział:

— Zadaj twoje pytanie któremukolwiek z tych wychowanców wojskowej naszej szkoły, a otrzymasz odpowiedź.

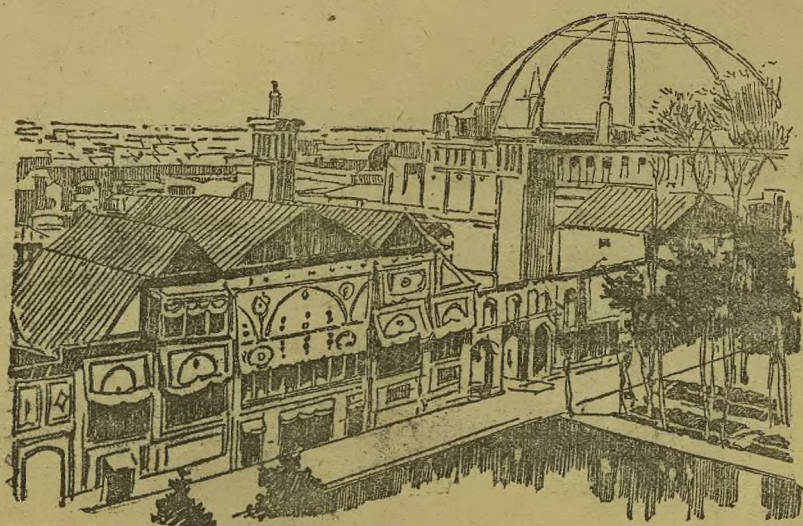
Mówił tak, ponieważ do wychowania młodzieży należało nazwyczajanie jej do jasnego i dokładnego pojmowania rzeczy, tudzież do zwięzłości w wypowiedaniu myśli. Przygotowaniem do tego było ściśle przestrzegane milczenie, przez które potęgowała się i skupiała działalność duszy, a mowa nabierała szczególnej mocy i trafności. Była to tak zwana brachylogia czyli słynna do dziś dnia „zwięzłość spartańska”. To też i teraz, gdy zdziwiona kobieta zwróciła się ze swem pytaniem do jednego z chłopców, ten odpowiedział natychmiast:

— Po dędnem ciałku twego syna.

Kobieta zaczerwieniła się ze wstydu, a syn jej zalał się łzami; w istocie ciałko jego wątłe było, a noga jedna podobno nawet krótsza cokolwiek od drugiej.

— Niestety — rzekła kobieta, widząc, że jej przebranie nie ukryło prawdy — tak jest, nie widzę wątlęgo ciała pomiędzy tymi chłopcami, jakkolwiek Ateny niedaleko są od Sparty, i jednym oddychamy powietrzem, tylko wychowanie jest odmienne; i dlatego też właśnie przychodzę do ciebie, nauczycielu, pytając, czy nie mógłabym zapisać mego chłopca do gminy spartańskiej, aby wychowanie tutejsze pobierał?

— W gminach spartańskich niema miejsca dla chorowitych dzieci! — z dumą rzekł nauczyciel.



Gmach parlamentu perskiego.



Kozacy perscy.

— Wiem o tem, ale syn mój nie chciał temu wierzyć i póty mnie błagał, aż go tu przyprowadziłam, wiedząc, że będzie to na próżno — powiedziała Atenka, zabierając się do odejścia.

— To więc on sam tego pragnął? — spytał nauczyciel, trochę zdziwiony. — Jeżeli tak, to wiedz najprzód, maly Ateńczyku, że dzieci spartańskie, wykołysane w ojcowskiej tarczy, nie znają łez!

Na te słowa, wprost do siebie zwrócone, maly przybysz dziwnym wysiłkiem woli powstrzymał natychmiast łkanie i odpowiedział dźwięcznym głosem:

— W tarczy nie dano mi spać, lecz me łzy powstrzymać ja chcę, wiedz! W ciałku wzmocnionem mój duch czyż nie może z pożytkiem wam żyć? mów!

Na te słowa, wypowiedziane przez chorowitego malca, i nauczyciel i uczniowie zadrżeli zdziwieniem, gdyż w ten sposób w greckim języku wymówione, tworzyły one tak zwany hexametrum czyli wiersz bardzo trudny, użyty właśnie przez wielkiego poety Homera w jego sławnych pieśniach, których wychowawcy szkół w Sparcie na pamięć się uczyli, i przeto wszyscy, od najmniejszych zaczawszy, poznali się odrazu tak, jak ich nauczyciel, na wartości tego, co malce powiedział. Cechy matki, która to wrażenie spostrzegła, zabysły dumą.

— Dobrze — rzekł nauczyciel — powiedziałaś, wam żyć pamiętaj to słowo twoje, chłopcze; sparta zrobi dla ciebie szczególniejszy wyjątek, spróbuj, czy duch twój wart jest istnieć na ziemi, mimo nędznego ciała; ale pamiętaj twe słowo, bo w Sparcie niema miejsca dla niepożytecznych! Jak ci imię?

— Tyrteusz! — odpowiedział malce, drżąc z radości, jak wprzód drżał z żalu.

Nauczyciel zapisał go do gminy i przyjął na ucznia; matka Atenka odeszła dumna i uszczęśliwiona. Maly Tyrteusz pozostał w szkole na szczególniejszych, wyjątkowych prawach i był jedynym nędznej powierzchowności uczniem, który zawdzięczał to dobrodziejstwo wyłącznie tylko Homerowi. Nauczyciel przedstawił malca Radzie Gerontów, czyli 28 starców, sprawujących najwyższe rządy w kraju wraz z dwoma królami, i Rada, zadawszy kilka pytań malcowi, na które on po swojemu odpowiadał heksametrami, mieszczącemi zawsze w sobie odpowiedź zwięzłą na zadane pytanie, orzekła, że wiedział Likurg, co robił, kiedy przed wiekami przywiózł poemata Homera z Jonii i nakazał uczyć się ich na pamięć i śpiewać je młodzieży; może więc Tyrteusz Ateńczyk pozostać w Sparcie, byle starał się sprostać Homerowi i pamiętał na wyrzeczone słowo swoje.

Tak upoważniony, maleńki, mniejszy od wszystkich towarzyszy uczeń, chciwie i spieszenie korzystał o ile mógł z nauk i sposobu wychowania, których pożytki pojmował bystrym umysłem. Nie było w tem znowu nic bardzo dziwnego, gdyż wszyscy rozumieli je już wówczas doskonale, widząc, że maly Sparta, skutkiem tych i tym podobnych urządzeń Likurga, kwitnęła zdrowiem, pięknością, siłą i potęgą. Miał jednak Tyrteusz, w miarę jak przechodził z wiekiem z oddziału

do oddziału, w każdym ciężkie próby do przebycia, jak to zresztą mniej więcej i dzisiaj między uczniami się zdarza. Wówczas zaś było to w czasach przedchrześcijańskich, zatem pomimo, że mędrzy tacy, jak Likurg, zdobyli już wiele prawd mądrości prawdziwej, przeciw cnoty chrześcijańskiej takiej, jak pokora, łagodność, litość, były im nieznane i główną właśnie cechą pogaństwa były zawsze zdania: „Siła przed prawem” i „Kto silniejszy ten lepszy”. I dlatego to okrutnie prześladowano w szkołach matego Tyrteusza, najsłabszego ciałem ze wszystkich.

A przecież gdy raz, drugi i dziesiąty potrafił on odciąć się towarzyszący pyszniemi heksametrami, z całą spartańską zwięzłością, tedy poszanowanie dla ducha, uwięzionego w ubogiem ciele, zaczęło budzić się w młodocianych umysłach. W każdym oddziale, które mniej więcej odpowiadały dzisiejszym klasom, zdarzało się toż samo. Ale te prześladowania podniecały właśnie Tyrteusza do studyowania Homera, aby jego sztuką zapanować nad współtowarzyszami, nie mogąc w żaden sposób zapanować nad nimi siłą ciała. Z czasem, gdy już był w ostatnich oddziałach, rzeczy nagle się zmieniły. Dziewczyny spartańskie, współuczennice chłopców, jakkolwiek w osobnych oddziałach, wyśmiewając się swoim zwyczajem w pieśniach z „ażdej niezręczności współuczniów, spostrzegły nagle, że mają w nim silnego przeciwnika. Dotąd nie raczyły one zważać na jego nędzną postać, lecz gdy w wyższych oddziałach na każdą zaczepkę chłopców Tyrteusz zaczął odpowiadać dziewczynom gradem heksametrowych dowcipów, wtedy urósł nagle w opinii, bo chłopcy wdzięczni mu byli serdecznie za dowcipną pomstę, a dziewczyny, drżąc z gniewu i niecierpliwości, starały się wszelkimi siłami dowcip jego i naukę zwyciężyć.

Nauczyciele, obecni jak zawsze tym walkom, śmiali się z nich i tem podniecali je jeszcze, a że Tyrteusz, wzmocniony istotnie na duchu i na ciele mądrym, surowym wychowaniem, zwyciężyć się nie dał, przeto ukończył szkoły, mimo nędzo-ty ciała, z ogólnym szacunkiem, gdyż chłopcy i dziewczęta współtowarzysze uczcili w nim w końcu wyższą potęgę, jeżeli nie ciała to ducha.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Dnia 1 lipca 1569: Sejm w Lublinie przyjmuje uchwałę unii Polski z Litwą, stąd nazwa Unia Lubelska. Chwilę zaprzysiężenia Unii przez króla Zygmunta Augusta uwiecznił w obrazie malarz Jan Matejko.

Dnia 2 lipca 1669: elekcyja czyli wybór króla Michała Korybut Wiśniowieckiego, syna księcia Jeremiego, pogromcy kozaków zbuntowanych pod wodzą Chmielnickiego.

Dnia 3 lipca 1655: Szwedzi wkraczają do Polski; początek wielkich wojen szwedzkich.

Dnia 4 lipca 1228: Konrad książę Mazowiecki nadaje Krzyżakom ziemię Chełmińską w zamian za pomoc przeciwko pogańskim Prusakom i Litwinom.

SZCZĘŚCIE.

Szczęśliwość kryje się w cieniu.
 Bliżej czeka niż rozumie;
 Udział tego, co życzeniu
 Założył granice umie.
 Niemcewicz.

Szczęście, celem jest życzeń, celem życia każdego człowieka; od nędzarza, co z pod lichej odzieży, rękę do przechodzących wyciąga, aż do monarchy blaskiem chwały otoczonego, każdy go szuka, każdy za niem goni. Lecz próżne często ludzi zabiegi! zwykle szukają go za daleko, i tam, gdzie być nie może. Sława, dostatki, zabawy, ludzą ich zwodniczymi mamidlami, gonią za nimi; lecz wtedy, kiedy już bliskie im się być zdają, mkną, żal tylko, i przekonanie o ich próżności zostawiając po sobie. Szukaj szczęścia w cnocie i w samym sobie, znajdziesz je bez długich zabiegów; zupełna ufność w Najwyższym, świadectwo sumienia, te skarby najdroższe człowieka, zapewnią ci szczęśliwość na zawsze; bądź umiarkowany w żądaniach swoich, pragnij tego tylko, co się z łatwością stać może, i pragnij tak słabo, abyś dotkliwej nie uczuł boleści, kiedy i te żądania spełnionem nie będą. Kochaj rozsądnie, kochaj tylko osoby godne kochania. Przewstawaj na tem, czego odmienić nie możesz, bądź kontent ze stanu, z losu twego; nigdy niczego nie zazdrość nikomu. Nie wymyślaj sobie nowych obowiązków, własne ściśle dopełniaj; ceń wyżej powinność nad ofiarę; dobre mniemanie u ludzi przekładaj nad głośnie imię; dbaj więcej o spokojność, niż o dostatki. Surowy dla siebie, baczny na najmniejsze postęпки, nie zastanawiaj się bardzo nad drugimi; niech cię każdy kocha i szanuje, ale do cnót i przymiotów twoich łącz tyle skromności, żebyś nigdy w nikim nie wzbudził bojaźni. — Dbaj o zdrowie, nie bądź zbyt troskliwym; czuły na cude zgrzyoty i cierpienia, usiłuj jak najmniej uważać na własne; pamiętaj: że każdy człowiek cierpieć musi, i że zbyt w tem życiu szczęście możeby w nas nadzieję przyszłej szczęśliwości zatrzeć. Ile możliwości wspieraj nieszczęśliwych i czyn przysługi; nie wymagaj wdzięczności, a niewdzięcznych nie napotkasz nigdy. Miej gust w pracy, niech zatrudnienie najmielszą będzie dla ciebie rozrywką; czytaj mało, ale dobrze dobrane książki, zawczasu pracuj nad ozdobą umysłu swego, zasiewaj z młodu, abyś w późniejszym wieku zbierać mógł. Nie zaniedbuj talentów od przyrodzenia ci danych i z pracą nabytych; tak w cnotach jak w naukach, nie wstecz, ale naprzód idź zawsze. Nie mów, że kiedyś dołożysz starania do nabycia nowych cnót i wiadomości, nie odkładaj na jutro, co dziś uczynić możesz; nie czekaj życia, żyj w obecnej chwili. Niech gusta twoje będą łatwe do zaspokojenia; nie bądź trudny w zabawie, owszem z najmniejszej rzeczy przyjemną czyn sobie rozrywkę; w sądzeniu o ludziach i widzeniu dobrze wszystkiego, bądź długo młody; zresztą stosuj się zawsze do wieku, jaki mieć będziesz. Nie wstydź się lat dojrzałych. Czegóż się sędziwych lat wstydzić? wszak długie życie cnót jest nagrodą? wszak go każdy sobie i każdemu życzy? Starość ma swoje powaby i rozkosze, ale wtedy tylko szanowną i szczęśliwą nazwać ją można, kiedy się sama do siebie przyznaje. Kiedy już

do kresu życia twojego zbliżać się będziesz, niech dobre uczynki, zebrane przez cały ciąg dni twoich, poprzedzą cię u tronu Przedwiecznego i otrzymają przebaczenie win popełnionych; tym sposobem używać będziesz szczęścia, a jak nadejdzie ostatnia godzina, pójdziesz na łono ojca wszystkich ludzi, bez trwogi i żalu!

(Z „Pamiętki po dobrej matce” Kl. Tańskiej.)



Kto wciąż tego sobie życzy
 Czego dotąd nie dziedziczy,
 Ten i nad tem chętnie biada,
 Co od dawna już posiada.



Zdobycze nauki.

Ruch fal morskich na usługach przemysłu.

Wiadomo powszechnie, że węgiel kamienny niezbędnym jest czynnikiem dla rozwoju wielkiego przemysłu czyli fabryk. „Bez węgla niema przemysłu” i dlatego to okolice, gdzie znajdują się pokłady węglowe, stają się środowiskiem wielkiego przemysłu.

Nasiwa się wobec tego pytanie: co będzie, gdy wyczerpią się zapasy węgla w ziemi?

Wprawdzie od dość dawna już wynaleziono siłę poruszającą, mogącą zastąpić parę, to jest: elektryczność. Jednakże do wytworzenia elektryczności znów potrzeba maszyn (motorów), do których poruszenia potrzebny jest węgiel.

Spostrzeżono jednak, że istnieją w naturze siły, które nie wyczerpują się nigdy. Są to siły wodne. W ostatnich latach przeto technika zajmuje się energicznie zużytkowaniem tych sił dla przemysłu.

Coraz liczniej powstają fabryki nad brzegami rwących się rzek górskich, przy wodospadach, których siłę stosownie skonstruowane maszyny przemieniają w energię elektryczną, dając przez to tańszą siłę motoryczną, niż ta, którą zyskiwano przez spalanie węgla.

Ale największym naturalnym źródłem energii na ziemi jest nieustanny ruch fal morskich, ich wzniesienie się i opadanie, przypływ i odpływ morza. Są to siły mechaniczne niesłychanie wielkie, działające ciągle, bez żadnej przerwy w dzień i w noc. Niestety, człowiek mimo całej swej umiejętności, nie umiał ich dotąd ujarzmić; wszystkie jego usiłowania, aby tę olbrzymią ilość energii, szturmującej od nieskończoności brzegi mórz, spożytkować — kończyły się niepowodzeniem, głównie wskutek niestałości ruchu fal. Mimo wszystko jednak nie brakło usiłowań w tym kierunku.

Jednym z pierwszych inżynierów, który chciał w ten sposób uzyskać choćby drobne praktyczne korzyści był Plessner. Już w roku 1878 opatentował on w Londynie pomysł technicznego wyzyskiwania siły fal morskich; praktycznie w ulepszonej formie zastosował ten pomysł dopiero Amerykanin Wright, przeprowadzając próby na wybrzeżu kalifornijskim.

Na pomoście, sięgającym w morze na odległość mniej więcej 100 metrów, umieścił trzy pływaki, które fale kołysały. Ruch ten zapomocą dźwigni przenosił się na stację pomp, umieszczonych na końcu pomostu, pompy te napełniały wodą zbiornik, zbudowany z płyt stalowych, a zebrana tam woda pod wysokim ciśnieniem wprawiała w ruch turbiny, poruszające znowu dynamomaszynę. Zapomocą tego motoru udało się Wrightowi osiągnąć dość znaczny rezultat, bo siłę dziewięciu koni parowych.

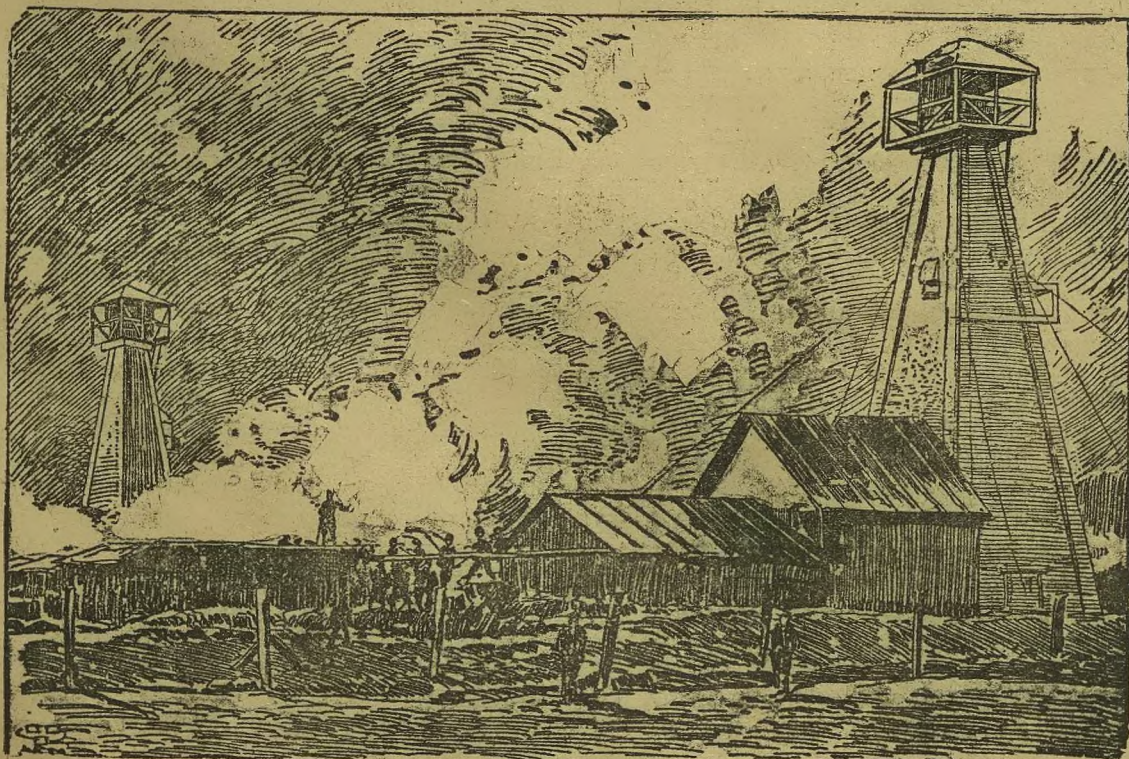
W tym samym mniej więcej czasie, co Wright w Kalifornii, próbował tego samego niemiecki inżynier Gehre z Dyseldorfu. Konstruował on „boje“ (przrzędy, oznaczające punkta dróg morskich) morskie świetlane; do uzyskania zaś światła używał sił fali morskiej, kołyszącej „boje“. Wynalazek jego wypróbowano u ujścia Łaby z wcale dobrym wynikiem. Później ulepszono go jeszcze, zaopatrując „boje“ dzwonami, wprawianymi w ruch siłą również fal morskich.

Pomysł Plessnera podjął w ostatnim czasie inżynier wojskowy włoski, major Agostino Ravelli, konstruując aparat, nazwany „maremotore“, który wypróbowano na wybrzeżu liguryjskim. Aparat, opatentowany we wszystkich państwach Europy i Ameryki, składa się z równi pochyłej, zaopatrzonej szynami małej kolejki i tak ruchomej, że dostosowuje się do każdorazowej wysokości powierzchni morza. Po szynach poruszają się skutkiem ruchu fal małe wózki z pompami, które nacisk fal przemieniają w energię elektryczną lub cisną powietrze. Aparat, skonstruowany z pomocą licznych dźwigni, tłoków, pom ssących i tłoczących, zmniejsza podobno o połowę kosztu siły motorycznej, zyskanej przez spalanie węgla.

Wspomniane próby, aczkolwiek nie rozwiązały jeszcze zadania, są już wielkim krokiem naprzód, a przede wszystkim zachętą do dalszych usiłowań w tym kierunku, zachętą, obiecującą wcześniej czy później, wybitne, praktyczne rezultaty. Zachęciły też one już do założenia w Hamburgu wielkiego towarzystwa akcyjnego wyzyskiwania sił wodnych, na czele którego stoi inżynier Pein. Towarzystwo zamierza utworzyć u ujścia Łaby wielką centralę elektryczną, która będzie wprawiana w ruch siłą przypływu i odpływu morza. W tym celu zakupiono na wybrzeżu teren obszaru 350 000 metrów kwadratowych na którym buduje się obecnie fabrykę i urządzenia według pomysłów wspomnianego wyżej inżyniera. Spodziewa się on, że potrafi używać tyle siły elektrycznej, aby oświetlić elektrycznie miejscowość Groden, gdzie stanęła fabryka, oraz pobliskie Cuxhaven, a oprócz tego puszcząć w ruch tramwaj elektryczny. Wynalazca oblicza, że zarówno kosztu światła jak i ruchu tramwajowego będą niezmiernie niskie. Gdyby jednak oczekiwania zawiodły nawet w pewnej części, to i tak jest to już próba na wielką skalę, która bądź co bądź nie pozostanie bez wpływu na dalszy kierunek przemysłu. Następnym zaś udanej próby będzie powolne przesuwanie się środowisk przemysłowych. Dotąd powstawały one na płaszczyznach, najczęściej w pobliżu rzek, po których rozwinięta była żegluga, lub w okęgach węglowych. W następstwie próby hamburskiej musiałyby się przenieść bliżej ku wybrzeżom morza, znajdując tam tanie źródło siły motorycznej.



Wtenczas próżnowanie jest zabawką miłą,
Jeżeli się na nie trudem zarobiło.



Pożar szypów naftowych w Galicji.

Przed kilką dniami uderzył piorun w jeden z szypów naftowych w Boryslawiu. Skutkiem tego powstał wielki pożar, którego dotąd nie zdołano ugasić. Pożar niszczy codziennie kilkanaście tysięcy litrów nafty.

Do jakich klas społecznych należą chińscy chrześcijanie?

W jednym ze swych sprawozdań o katechumenacie czyli stacyi misyjnej w Teihien (Kiangnan), opisyje O. Dosselear T. J., rozmaite grupy katechumenów w sposób, pozwalający wnikać w skład chińskich społeczności chrześcijańskich.

„W naszych katechumenatach — pisze O. van Dosselear — panuje najpiękniejsza zgoda, jakkolwiek katechumeni należą do najprzeróżniejszych klas społecznych. Przyjrzyjmy się im nieco bliżej:

„Znajdziemy więc najpierw między nimi tuzin drobnych rolników. (Robotników fabrycznych, ludzi od maszyn i wielkiego przemysłu jest tu mało.) Drobni ci rolnicy posiadają 2 do 11 małych włók ziemi, z których każda przynosi 2 do 12 koron dochodu. Mały ten kawałeczek gruntu nie wystarcza, ma się rozumieć, aby wyżywić i przyodziać całą rodzinę. Ludzie więc zajmują się potrochu wyrobem sukna, zbierają rośliny morskie, uprawiają drobny handel, albo wynajmują się czasowo jako wyrobnicy u bogatych chłopów za 16—18 halerzy przeciętnej płacy dziennej.

„O ile słońce lub deszcz zjawia się we właściwej porze i mandaryni nie zbyt ich gnębą i wyzyskują, wszystko idzie dobrze: czują się szczęśliwi, ponieważ posiadają mało potrzeb i wymagań. Wydatki na jedzenie i picie nie przewyższają sumy 24 do 32 halerzy dziennie. W razie drożyzny biedny Chińczyk jada gorzej, niż zwykle, w każdym razie mniej, tak, że wydatki się nie podnoszą. Jako odzież wystarczają mu dobrze wywatowane spodnie sukienne i również podwatowana kurtka. Ubranie to zastępuje także w zimie koldrę. W kwietniu wypruwa się wata, o ile jej jeszcze zostało, i kostium letni gotowy. W razie potrzeby można sobie łatwo pożyczyć jakiej części ubrania.

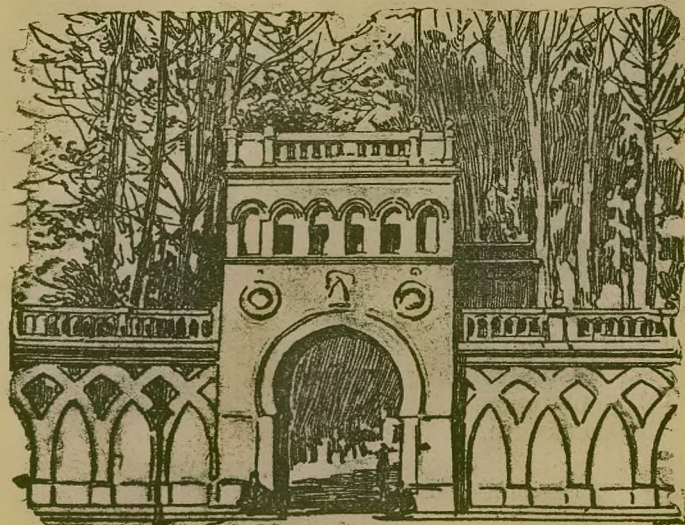
„Maluczy ci ludzie tworzą najliczniejszą klasę pomiędzy katechumenami. Wpółśród nich znajdu-

jemy, bogatego, wedle chińskich pojęć, właściciela ziemskiego, z dwoma wnukami, liczącymi od 17 do 20 lat. Pan Siao jest poważnym patryarchą około 82 lat. Dziwne, jego broda i włosy 15 cm. długie, są śnieżnej białości, podczas gdy włosy o całych 40 lat starsze (Chińczycy dostają bardzo późno zarostu), są gęste i czarne, jak heban. Szanowny starzec ten, podobnie jak Mojżesz, posiada jeszcze pomimo swych 82 lat wszystkie zęby. Otrzyma też na Chrzcie św. imię Mojżesza. Pan Siao posiada 400 włók ziemi, gorzelnię i poważną ilość wołów i koni pociagowych, oprócz tego ma dwa piękne muły i powóz, który warto widzieć. Mimo swego bogactwa i poważnego stanowiska, czuje się pan Siao wraz ze swymi wnukami zupełnie dobrze wpośród biednych robotników. Niema ani śladu pysznej wyniosłości z jednej, lub zawiści i niechęci z drugiej strony. Dzieli on ze swymi towarzyszami ten sam skromny posiłek, składający się z kawałka ciemno-brunatnego chleba żytniego i jaglanej kaszy, śpi w nocy na tem samym lichem pościu ze słomy i nie gniewa się, gdy jego sąsiad pociągnie do siebie róg jego koldry. A gdy pan Siao przyniesie sobie czasem za własne pieniądze od piekarza kilka funtów pszennej chleba, lub gdy rodzina przysze mu koszt smacznych ryb, dzieli się niemi po bratersku z biednymi swymi towarzyszami z katechumenatu.

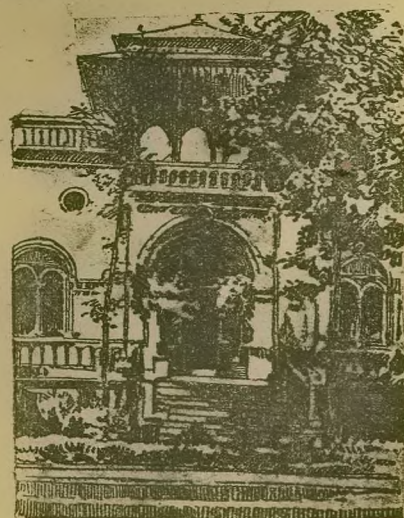
„Do trzeciej klasy należą dwaj mieszczanie, których można od razu poznać po lepszym kroju i materii ich sukni. Reprezentują oni stan kupiecki, jako właściciele dwóch wcale pięknych sklepów. Ale ani ich lepsze suknie, ani kramy z towarami nie są im jeszcze wcale powodem, by spoglądać wzgardliwie na swych nieokrzesanych i biedniejszych współbraci.

„Wszyscy jesteśmy chrześcijanami i tworzymy jedną rodzinę“, myśl ta wiąże wszystkich łącznikiem równości, wzajemnego poważania i miłości braterskiej.

„Wreszcie i najbardziej poważana klasa w Chinach ma swych przedstawicieli w dwóch uczonych, albo literatach. Nie są oni bogaci, posiadają jednak



Główna brama w gmachu ambasady angielskiej.



Gmach ambasady angielskiej.

Obrazki z Persyi.

Podczas obecnych niepokojów w Persyi schroniło się kilkanastu sołganów Persów w gmachu ambasady angielskiej. Wojsko perskie obstąpiło wskutek tego gmach. Jednak ambasador angielski energicznie przeciwko temu zaprotestował a nawet sądził, aby tak gubernator miasta, jak i minister dworu perskiego przeprosili go za to uchybienie grzeczności dyplomatycznej.

dość spory zasób poczucia własnej wartości i przechowują w głowie z kilka tysięcy chińskich znaków pisemnych. Podczas gdy ich niewykształceni towarzysze z trudnością wyuczają się paru wierszy na dzień, przyswajają oni sobie bez wysiłku 12 do 15 stron. Nie dziw, studyowali przecie przez jakie 18 do 20 lat „klasyczne księgi“ Chińczyków, składali siedm lub ośm egzaminów państwowych i tyleż razy przepadli. Tu w kraju nie przynosi to żadnej ujmy: cały zaszczyt polega na tem, by się do takiego egzaminu zgłosić; im częściej to ma miejsce, tem większa cześć! Dla tych biednych literatów niepowodzenie ich stało się prawdziwym błogosławieństwem: wskazało im drogę do katechumenatu, gdzie niewykształconym swym towarzyszom są bardzo pomocni w wyuczaniu się modlitw i nabywaniu wielu pożytecznych znajomości.

„Widać stąd, że kwestya społeczna, w naszym znaczeniu tego wyrazu, nie istnieje jeszcze w Chinach. Pojawi się ona dopiero z rozwojem fabryk, prasy codziennej i europejskiej cywilizacji.“



Troska, istna to pokrzywa
Dlatego, kto się z nią pieści;
Temu, kto ją śmiało zrywa,
Nie sprawia wielkich boleści.



Jak to w Ameryce.

(Wyjątek z listu wychodźcy.)

W Ameryce wiele jest zepsucia. Wiele ludzi żyje nieuczciwie, szczególnie młodzież; niejedyn taki nicpoń potrafi powiedzieć, że w Ameryce niema Pana Boga! Nigdzie niema tyle łajdactwa, co w Ameryce. Jeżeli mi kto dowiedzie, że nieprawdę piszę, to pozwolę się ze skóry obedrzeć. Przyjdzie jaki oszust albo zbój, że uciekł z Europy przed sprawiedliwą karą, popracoje tydzień, dwa, potem rzuca robotę, a czepia się jakich zysków nieuczciwych. Policja codziennie całemi gromadami zapędza takich do aresztu, ale to nic nie pomaga, owszem, jeszcze do gorszego prowadzi. Taki nicpoń w więzieniu jeszcze lepiej nauczy się łotrowstwa, a potem, odsiedziawszy karę, kradnie jeszcze bardziej. Pół biedy, jeżeli na ostatecznego łotra wy kieruje się taki, co łotrem już przybył, co już w kraju był zakałą dla każdego. Ale znałem i takich, co w kraju byli ludźmi niezłymi, a tu stali się prawdziwymi zwierzętami, a raczej diablami. Umie taki tylko się upić, nałóżręczyć, nabluznić i pójdzie spać nie przeżegnawszy się nawet, aby nazajutrz wstać tak samo.

O bracia czytelnicy! Jeżeli macie jechać do Ameryki na zarobek, to wiercie mi, że lepiej tu w kraju złotówkę zarobić, niż tam dwa dolary. Wiercie mi też, że w Ameryce darmo nic nie dadzą; ulice tam nie są też brukowane dolarami; trzeba dobrze się napracować, nieraz z narażeniem życia, aby dolara zarobić. Niemal się tam spotyka

ludzi bez ręki lub bez nogi. U nas koń bywa lepiej szanowany w robocie, niż w Ameryce człowiek.

Razu jednego poszedłem nad wodę, gdzie przychodzą okręty z towarami. Zachwalano mi pracę w przystani, że tam można dużo zarobić, aż 35 centów na godzinę. Poszedłem wyładowywać towary z okrętów. Zaprzaglił mnie do taczki o dwóch kołach, i zacząłem ją ciągnąć, jak koń. Ciągnąłem do południa; po południu już ustałem, nogi mi nie chciały służyć. Mój dozorca kłął po angielsku, aż wiory leciały, a ja coraz wolniej ciągnąłem swą taczkę od okrętu do składu po wąskiej kładce nad wodą. Okręt był naładowany cementem. Póki beczek z cementem było dużo, okręt stał głębiej w wodzie i trzeba było z niego ciężar ciągnąć po kładce do składu pod górę. Było to ciężiej, ale bezpieczniej. Kiedy zaś okręt pozbywszy się ciężaru dźwignął się z wody do góry, musiałem ciągnąć taczkę z góry, na dół. Raz nie zdążyłem uciec przed swoim wozem i zostałem zepchnięty w wodę. Obecni nie kwapili się z pomocą; nim z nią podążyli, mało com się nie zbrałał z rybami. Potem byłem dwa tygodnie słaby. Przekonałem się, jak mało tam jest miłości bliźniego, i jak mało ceni się życie ludzkie.



Orzeł lata samotnie, kruk w gromadach gości,
Głupiec wrzawy pożąda, mędrzec samotności.

—o—

Temu się wydaje, że sięga pod chmury,
Kto na bliźnich patrzy zawsze tylko z góry.

—o—

Kto pragnie same mieć pociechy,
Niech się nie troszczy o sąsiadów grzechy.

—o—

Prawda nie zdobywa się inaczej, jak walka i poświęceniem.

—o—

Rzadko nieszczęśliwy ma krewnych, rzadziej jeszcze przyjaciół.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienia przeszłości naszej.

4-go lipca 1890: Uroczyste pochowanie zwłok Adama Mickiewicza w Krakowie w osobnej krypcie na Wawelu.

6-go lipca 1809: Napoleon odnosi zwycięstwo pod Wagram, wioską w Austrii Niższej.

7-go lipca 1572: Śmierć króla Zygmunta Augusta; na nim wygasł ród Jagiellonów, pod panowaniem których Polska do największego doszła rozkwitu.

9-go lipca 1807: Podpisano pokój między Prusami, Rosją i Francją w Tyłży, miasteczku powiatowem Prus Wschodnich, leżącym przy ujściu rzeki Tyłży do Niemna. Na mocy tego traktatu utworzył Napoleon Księstwo Warszawskie.

Wytrwałość.

„Zapał cuda tworzy“ mówi nasze przysłowie. Człowiek, chcący do skutku doprowadzić jakiekolwiek ważniejsze przedsięwzięcie, potrzebuje do tego wielkiego zasobu sił, których udziela mu i podtrzymuje zapał.

Niemniej jednak od zapału, potrzebna jest człowiekowi wytrwałość, bez której wszelki zapał podobny się staje do „słomianego ognia“.

Prawdziwy mąż nigdy się nie zniechęca — lecz wciąż idzie naprzód, dopóki nie zwycięży. Za pierwszym ciosem żadne nie zwali się drzewo — trzeba ciosy i móżół podwoić a runie ono.

Lecz nietylko dla dokonania wielkich i ważnych przedsięwzięć potrzebna jest wytrwałość, lecz także w życiu codziennym, w codziennych pracach podejmowanych czy to w zakresie osobistym, czy, też ogólnym.

Wszyscy mamy na stanowisku przez Opatrzność nam wyznaczonem jakoweś do spełnienia obowiązki i jakoweś do zwalczania przeciwności, i w tym zakresie prac codziennych winniśmy trwać silnie i znosić zęby rzeczywistego życia.

„Kto łatwo się zniechęca — mówi filozof angielski John Stuart Mill — a wskutek zniechęcenia odsuwa się od prac codziennych i od współżycia z ogółem, ten conajwyżej czyni załosość samolubstwu. Odosobnienie może wyrażać pogardę dla bliźnich, chociaż zwykle mówi ono o lenistwie, próżniactwie lub samolubstwie. Każdy człowiek winien wziąć udział w ludzkiej warsztowni i obowiązkach ludzkich, od których nikt uwolnić się nie może bez szkody dla siebie i społeczności, do której należy. Tylko ten, kto należy do powszedniego żywota świata, kto w jego zajęciach udział bierze, tylko ten, powtarzamy, może nabyć praktycznej wiedzy i mądrości. Tutaj to jest główne pole naszych obowiązków, tu zaprawiamy się do pracy, przyzwyczajamy się do czynności, wytrwania i cierpliwości, przymiotów kształtujących i umacniających charakter. Tutaj to napotykamy trudności, nieszczęścia i pokusy, które w walce z nami, barwią odpowiednio całe nasze późniejsze życie — tutaj stokroć więcej się uczymy, niż w spokojnym kącie naukowego gabinetu lub w klasztorze.“

Taka wytrwałość w pracy, taka właśnie cierpliwość w zwalczaniu przeciwności potrzebne są mianowicie nam Polakom, którzy mamy święty obowiązek utrzymać byt nasz materialny i duchowy o własnych siłach.

Ale też z drugiej strony nikt tak jak my Polacy nie ma tyle sposobności do wyćwiczenia się w cierpliwości i wytrwałości.

Weźmy np. braci naszych z Królestwa Polskiego. Kiedy pozamykano tam szkoły rządowe, wśród Polaków wszystkie warstwy społeczne związały się w wielkie stowarzyszenie oświatowe „Macierz polską“. Jak wydajną była czynność „Macierzy“, o tem świadczą tysiące, tysiące rubli, zebrane przez nią na cele oświaty, świadczą setki szkół, przez nią założone.

Lecz niestety „Macierz“ została zamknięta. Lecz nie zniechęcili się tem szlachetni założyciele

„Macierzy“ i znów inne stowarzyszenie, idąc snąc za wskazówką poety, Asnyka, który mówi:

„Nie pomoga próżne żale;
Ból swój niebu trza polecić
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść i — świecić“.

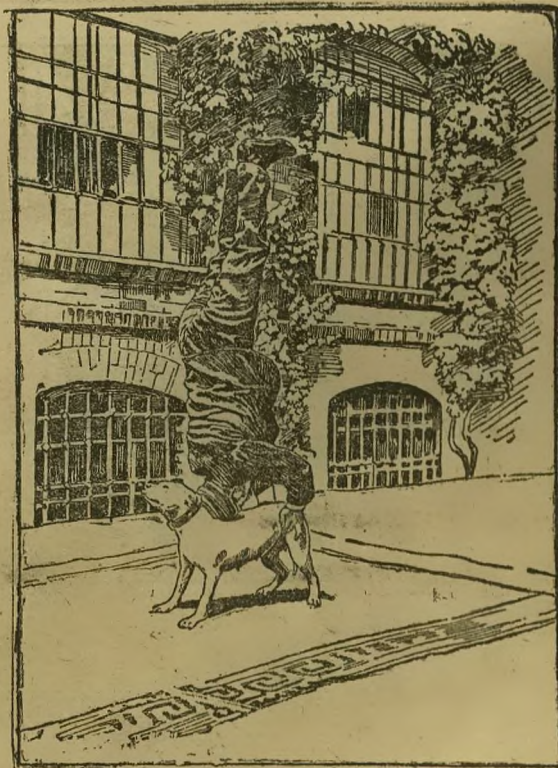
Niestety nowe to stowarzyszenie pod tytułem „Oświata polska“ nie uzyskało dotąd zatwierdzenia władz rządowych.

W zwykłych warunkach żyjący ludzie możeby się tem już zniechęcili do reszty. Lecz można być prawie pewnym, że Polacy w Królestwie Polskiem nie zniechęcą się, że nie utracą siły i jedności, lecz pomimo wszelkich przeciwności, postąpią wedle słów poetki Maryi Konopnickiej:

— Idźcie na góry! idźcie w doliny,
Gdzie pomierch siedzi mroźny a siny;
Idźcie skroś ciernia, idźcie skroś głogów,
Tam, gdzie Noc siedzi u niskich progów!

Każdy z pod serca wykrzesaj płomień
I nieś przed sobą światło widomie;
Bratniej miłości światło nieś boże,
O każdą jutrznię, o każdą zorzę!

W ugornej pustce na polu głuchem,
Rozpłoń ofiarą, rozgorzej duchem,
Niech na wiekowych mroków rubieży
Dzień się zajarzy, dzień niech uderzy!



Dziwy tresury zwierząt.

Do czego doprowadzić może umiętna tresura zwierząt, to poznać można z powyższego obrazka, gdzie widzimy małego buldoga, utrzymującego na grzbiecie stojącego na głowie człowieka. Czy taka sztuczka łatwa jest lub trudna, każdy sam przekonać się może: nasze Kruczki i Murki może to samo potrafią?

Gwiazdy w podaniach ludowych.

Jak ziemia nasza wywiera siłę przyciągającą na ziela nasze (wskutek czego nie spadamy z globu ziemskiego, choć takowy w przestworzu jest zawieszony) tak znów firmament niebieski wywiera siłę przyciągającą na dusze nasze.

Najprostszy nawet, nieoświecony umysł wznosi się i biegnie wzwyż do sfer nieskończoności na widok nieba usianego gwiazdami.

Pewien młodzieniec, wychowywany do 16-go roku życia w zamknięciu, po wypuszczeniu zachował się dość obojętnie na widok wsi, miasta, pól i lasów. Dopiero, kiedy wieczorem pokazano mu niebo gwiazdziste, tak gwałtownego doznał wzruszenia, że począł płakać, mówiąc: „Czemuż mi dotąd nie pokazano tego, co jest tak pięknem? kto tam umieścił tak piękne światła? kto je zapala? kto gasi? Och, jak to piękne! Jak piękne!”

Jeżeli zważymy, że aż do wynalezienia dalekowszów (300 lat temu) firmament niebieski otoczony był tajemniczością i przez uczonych gwiazdździarzy (astronomów) mało zbadany, to dziwić się nie będziemy, że o gwiazdach mnóstwo powstawało legend i podań. Dowodzi to, że duch ludzki szuka zawsze powiązania pomiędzy światem widzianym a niewidzialnym, pomiędzy ziemią a niebem a także wytłómaczenia rzeczy niezrozumiałych i tajemniczych.

Dziś, gdy nauka wytłómaczyła już istnienie ciał niebieskich i stosunek ich do naszej ziemi, owe podania o gwiazdach mają dla nas tylko znaczenie pamiątkowe.

Według tych podań: niebo za czasów żydowskich zupełnie było ciemne. Gwiazdy dopiero się

nalewały — ale nie świeciły ziemi, tylko nad rajem i tyle o nich wiedziano, co przez sen.

Jeżeli Bóg chciał prowadzić ludzi do swej woli, natedy zapalał im ognie na obłokach. Tak było za Żydów, że nawet dusze zmarłych leciały, przez ciemności do góry i tam się błękały.

Do ludzi, umierających w lasce, przychodził anioł z pochodnią, aby ich dusze przeprowadzić przez noc. Z ziemi widziano wtedy ognie okrągłe, jak koła i rozumiano, że to wozy ogniste, a na nich dusze odjeżdżające przez bramę niebieską.

Dalej mówiono, że gwiazdy to są liczby i znaki, uczynione przez Boga Ojca przy obliczaniu ludzi na ziemi. Obrachunek ten zrobiono przed samem narodziem Zbawiciela, aby wiedział, ile dusz odkupi. Skoro człowiek się rodzi, zaraz taki jeden znak przybywa; dla każdego bowiem świeci jakaś gwiazda.

Gwiazdy rachować, to grzech i niebezpiecznie. Można bowiem przy tej rachubie natknąć na swoją gwiazdkę, a wtedy nagłą śmiercią skończyć. — Jest to w formie mistycznej wypowiedziana przestroga, aby napróżno czasu nie marnować, jak twierdzi Grajner.

Gwiazda Chrystusowa poczęła świecić od dnia zwiastowania, ale ludziom nie była widoczną. Gdy Zbawiciel na świat przyszedł, wytoczyli ją aniołowie na niebo. Że była jaśniejsza od innych znacznie, przeto dostrzegli ją pastuszkowie i Św. Trzej Królowie — i poszli pokłonić się Dzieciatku Jezus.

Ze śmiercią cnotliwego człowieka, gwiazda jego bynajmniej nie gaśnie — ani też spada. Dusza, lecąca do wieczności, zabiera ją sobie, a gdy godna tego: przystraja nią Chwałę Boską.

Droga mleczna, to gościniec, do nieba prowadzący. I Zbawiciel szedł nim, wstępując w niebo — i



Igrzyska w Londynie.

Igrzyskami olimpijskimi zwały się u starożytnych Greków popisy publiczne, jakie co 4 lata odbywały się w dolinie Olimpia. Popisywali się tam śpiewacy, poeci, rzeźbiarze i szermierze, a kto zwyciężąc został, temu jako najwyższą nagrodę kładziono wieniec laurowy na głowę.

Na wzór tych igrzysk starożytnych urządzają obecnie w różnych krajach popisy publiczne z tą tylko różnicą, że nie stawiają na nich do popisu śpiewacy, ani inni artyści, lecz tylko gimnastycy, wioślarze, kolarze i t. p. W tym roku odbywają się igrzyska w Londynie a zjechali się na nie współza-

wodnicy z całego świata. W bliskości miasta zbudowano olbrzymią arenę, kosztem kilku set tysięcy funtów szterlingów. Trybuna dla widzów, zbudowane nokoło areny pomieszcza 100 000 osób. Popisy będą niezawodnie bardzo interesujące, boć Anglia jest właściwie ojczyzną wszelkich ćwiczeń cielesnych. Otwarcie igrzysk odbyło się przed tygodniem w obecności angielskiej pary królewskiej i znacznej liczby książąt obcych.

Matkę Boską aniłowicie wiedli tym gościńcem; zresztą każda dusza wstępuje na niego, gdy z chmur zejdziesz. Trzeba jednak wielkiej przezorności do tej pośmiertnej podróży, bo droga rozdziela się w dwa kierunki, z tych jeden wiedzie w „zatrącenie“.

Komety, czyli gwiazdy z grzywą, różgą, miotłą, lub warkoczem ognistym, uważał lud zawsze za przepowiednie wojen, ciężkiego głodu lub pomoru. Gdy się jednak ludzie ukorzą i szczerze błagają Boga, nately odwraca się nieszczęście.

Na księżycu wieśniacy widzą dwóch braci. W niektórych okolicach dodają, że to jest Kain i Abel — gdzieindziej skazka mówi tylko o dwóch braciach, którzy sobie wydzierają palicę albo widły. W bocheńskim powiecie lud zamiast Kaina i Abela, mieści na księżycu czarownika Twardowskiego. Szatan musiał go tam porzucić, chociaż do piekła miał być porwany, Twardowski bowiem począł śpiewać godzinki, a śpiewaniem tem osłabił moc złego ducha. Na księżycu Twardowski pokutować będzie do sądnego dnia.

Gwiazdy niecnotliwych ludzi ciemnieją i kopca. Nad niemi św. Wawrzyniec męczennik płacze — a ma tę łaskę od Pana Jezusa, iż łzami swemi może przyćmione znaki (tj. gwiazdy) rozjaśnić. Gdy więc łza św. Wawrzyńca upadnie na gwiazdę, tedy ona się czyści — a dusza ludzka będzie zbawiona. Gorzej jednak z gwiazdami, które pociemniały do szczętu. Nad niemi Święty lez nie wyleje, ale się odwraca; więc spadają one do „bani Piotrowej“ — która jest szklaną, a w niej się palą „roztopione żary“. Nie jest to piekło, bo do niego duszę porywają tylko czarci. Gdyby wszystkie gwiazdy poczerniały i wpadły do tej bani, wrócej ogniami (tą bania oznacza zapewne kulę niebieską i słońce?) nately byłby koniec świata. Ziemia zostałaby wciągnięta do przepaści, ale tego nie dopuści Bóg Duch Święty, który wiąże dusze do gwiazd jasnych; one ludzi i ziemię ciągną w górę.

Inni zamiast św. Wawrzyńca, stawiają św. Piotra. On rzewnymi łzami płacze i płakać będzie po koniec świata z żalu, że się był zaparł Zbawiciela.

Podobne podania ludowe o konstelacjach gwiazd (konstelacyami zowią uczeni pewne grupy

gwiazd, tworzących jakąś figurę) uwiecznił Mickiewicz w poemacie „Pan Tadeusz“.

Już naprzeciw księżycy, gwiazda jedna, druga
Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.
Kastor z bratem Polluksem jaseńsi na czele,
Zwani niegdys u słowian: Leje i Poleke;
Teraz ich w zodyaku gminnym znów przechrzczono;
Jeden zowie się Litwą a drugi Koroną.

Dalej niebieskiej Wagi dwie szale błysają:
Na nich Bóg w dniu stworzenia (stary powiadają)
Wsiadł z kłami wspaniałe planety i ziemię,
Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;
Potem wagi złociste sawienł na nlebie;
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

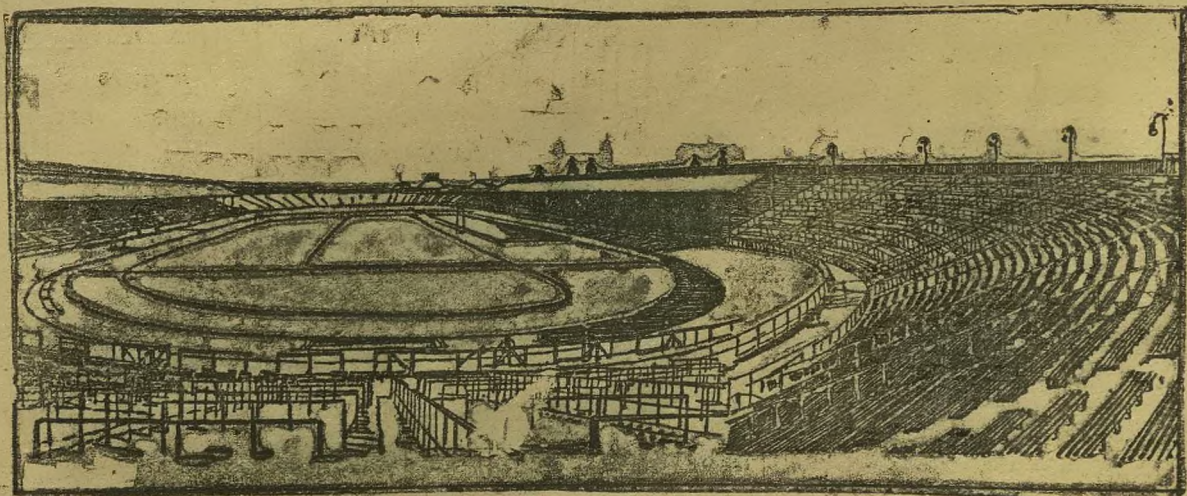
Na północ, świeci okrag gwiazdzistego Sita,
Przez które Bóg (jak mówią) przesłał ziarnka żyta,
Kiedy je z nieba krzesał dla Adama ojca,
Wyganego za grzeszy z rozkoszy ognieja,

Nieco wyżej, Dawida wóz, getów do jazdy,
Długi dyszal kieruje do polarnej gwiazdy,
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Ze niesłusznie pospólstwo zowie go Dawidowym;
Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy
Jechał Lacyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
Mlecznym gościńcem pędząc w ewał w niebieskie progi,
Az go Michał sibi z wozu a wóz krzucił z drogi.
Teraz, popsuty, między gwiazdami się wala,
Naprawić go Archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów,
(A wiadomość tę pono wzięli od rabinów),
Ze ów zodyakowy Smok długi i gruby,
Który gwiazdziste wiję po niebie przeguby,
Którego mylnie Wężem chrzczą astronomowie,
Jest nie węzem, lecz rybą: Lewiatan się zowie.
Przed czasy mieszkał w morzach; ale po potopie
Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie,
Tak dla osobliwości jako dla pamiątki,
Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
Podobnie pleban miraki zawiesił w kościele
Wykopane obrzymów żebra i piszczele.



Obowiązki — to rzecz wielkiej doniosłości;
Nie przywykniesz do nich od wczesnej młodości,
To je w przyszłem życiu będziesz lekceważył;
Przez to sobie piwa niejeden nawarzył.



Arena dla igrzysk w Londynie.

W pośrodku areny znajduje się staw 100 metrów długi i 4 metry głęboki, na którym popisywać się będą pływacze i wioślarze; na około stawu pierwsza arena dla wyścigów pływackich i szermierki wysypana jest piaskiem i popiołem, druga zaś arena dla wyścigów kółkowych wyłożona jest gładkim kamieniem.

OCALONA.

Przenikliwem swym spojrzeniem, zaczął ją już z oddali obezwładniać. Chciała uciekać, ale jakaś niepojęta siła tego wzroku zdawała się ją wstrzymywać, przykuwać do miejsca. Była młodą, w samym rozkwicie; żadna z licznych towarzyszek nie mogła jej dorównać rzeźkością... Nie dziw więc, że wpadła mu w oko, że dziką żądzą zawrzało mu łono, gdy ją ujrzał raz pierwszy. Tak. Ona musi wpaść w jego sidła, musi koniecznie, choćby go to, nie wiedzieć, ile trudów i zabiegów kosztować miało!

I oto, ma ją już blisko siebie.

Słyszy jej melodyjny głosik, który w ciszy po-koju wydaje mu się muzyką najśłodsza...

Spostrzegła go i oniemiała. Jakaś niewysłowiona groza wstrząsnęła całą jej istotą. Czuła, że stoi przed nią ten, niepokonany zwycięzca, który codziennie takie, jak ona, nieszczęsne ofiary, składa na ołtarzu swej nienasyconej żądz.

Chciała się wyrwać z tych szatańskich sidła, które na nią już zarzucać zaczął, ale poznała wkrótce, że na to siły jej za słabe. Jęk przeciągły, wydobył się z jej piersi...

Była młodą, tak jeszcze młodą! Chciała żyć, żyć, koniecznie; wszak do dziś tak niewiele zaznała słodczy, które nieprześcignionym nęciły ją urokiem! Nie, to być nie może! Ona nie pójdzie na pastwę tego tyrana!

Iloż to razy z swym ulubieńcem, przy wtórze dźwięcznej piosenki, która harmonijnie łączyła ich głosy, kąpała się w jasnych promykach słońca! Ile razy snem cichym zmorzona budziła się, ażeby rozpocząć nowe życie, swobodne, wesołe, bez troski.

A dziś? Dziś wszystko się skończy na zawsze, na wieki!

Jeszcze raz wyteżyła ostatki sił, dobywa z piersi głosu rozpaczliwego... może ją usłyszą towarzy-
szki... może przybędą na ratunek...

Napróżno! Tylko on jeden przy niej... On bez serca, bez litości — wampir.

Patrzcie... oto, już zbliża się do niej coraz prędzej, prędzej... Już czuje zapach tej krwi młodej, świeżej! Już jest przy jej piersi, z której głuche tylko słyszać rżenie; chwilka jeszcze, a nieszczęśliwa padnie ofiarą.

— Dość tej zabawki, potworze! — krzyknąłem, rzucając gazetę, przy której czytaniu śledziłem niecną robotę rozbójnika — a przedarłszy misterną sieć pajęczą, puściłem biedną muszkę na wolność.

Trzepocąc skrzydełkami, wzleciała wysoko...
Była ocaloną.

ZDANIA I MYŚLI.

Wielu z nas patrzy tak na świat boży, który, przed oczyma naszymi przechodzi, jak ów elegant z wosku w oknie u perukarza, przed którego szklanymi oczami mnóstwo rzeczy i wypadków mija, tysiące osób się przesuwa, a on żadnej z nich nie widzi i żadnej się nawet nie ukloni.

Józef Korzeniowski.

Kto chce przodować reszcie ludzkości, ten musi wyprzedzać ludzkość; musi jej sprostać, kto chce jej nadażyć; zostaną poza nią ci, co przykuwszy siebie do miejsca, chcą do niego przykuć świat cały, świat, który Stwórca w ruch puścił, i w którym nic dotąd nie stoi.

Józef Supiński.

Nie użalaj się zbyt-
ecznie na doznane od
drugich uchybienia, bo
taka skarga zawsze
z miłości własnej po-
chodzi. Bóg widzi twe
wszystkie krzywdy i
Sam je pomści, a tobie
je wynagrodzi.

Spór jest tylko wten-
czas dobry, gdy obu
stronom chodzi o pokój.

Co czynisz chętnie,
pójdzie ci zrzecznie.

Kto za młodu wytrwale
pracuje,
Na starość we wszystko
obfituje.

Kogo sumienie nie
strofuje, ten przywołany
przed sąd, żartuje.



Nowy most na Renie w Kolonii.

który przed kilkunastu dniami zarwał się podczas budowy, przycozem zginęło 14 ludzi.

Nakładem „Górnoślązaka“, spółki wyd. z ogr. odpow. w Katowicach. — Za redakcyę odpowiedzialna Janina Omańkowska w Bytomiu. — Czcionkami „Katolika“ spół. wyd. z ogr. odpow. w Bytomiu.

Słowo o oszczędności

ze stanowiska religijnego.

Czy religia chrześcijańska nie przeszkadza oszczędności, która wraz z pracą wytwarza bogactwo? Na to pytanie można odpowiedzieć naprzód z historią w rękę. Narody chrześcijańskie były i są w ogóle bogatsze od narodów niechrześcijańskich. Cywilizacja nowożytna, nawet czysto materialna, powstała w czasach gorącej wiary chrześcijańskiej, a jak powszechnie wiadomo, pierwszymi jej siewcami byli w Europie zakonnicy. Dlatego też Ojciec Święty Leon XIII w liście pasterskim, pod tytułem „Kościół i cywilizacja“, uważa za chlubę dla Kościoła, że przed trzynastu wiekami, oprócz wiary, przyniósł barbarzyńskiej Europie bogactwo materialne, i mówi o tych zakonnikach: „Wstawali od modlitwy, aby pójść w pole orać ziemię i rzucać w nią ziarno, które ubogim i całym okolicom miało chleba dostarczyć. Z największym trudem bili drogi, stawiali mosty, aby sąsiedzkie ułatwiać stosunki i otwierać dla handlu komunikacje dogodne i bezpieczne. Ież-to usług wyświadczyli ci ludzie, co, nie ustając w pracy i w próbach ponawianych z cierpliwości, której nic przełamać nie mogło, co, łącząc swe siły i swe doświadczenie, potrafili w końcu osuszyć bagna, zagroblić rzeki, zebrać w jedno rozlane kapryśnie, wody, i skierować je ku użytkowi gruntów suchych i jałowych. Lecz nietylko przemysł pierwotny, a rolnictwu najbardziej potrzebny, zawdzięcza początek swój i wzrost tym mnichom, których Kościół oświecał i prowadził. Rękodzieła i sztuki piękne nie znajdowały lepszego dla siebie przytułku i szerszego do rozwoju pola od kościołów, domów biskupich i monasterów itd.“ Dzisiaj także wiele zgromadzeń zakonnych, starych i nowych, te same jeszcze oddają usługi we wszystkich częściach świata, co Benedyktyni i Cystersi w wiekach średnich. To samo już mogłoby wystarczyć, aby dowiedzieć, że chrześcijaństwo sam przez się nie może być przeciwnym rozwojowi ekonomicznemu i niezbędnej dla niego oszczędności.

Słowa Ewangelii: „Nie troszczcie się (zbytecznie), cobyście jedli, lub czem-byście się okrywali; patrzcie się na ptaki, iż nie orzą, ani sieją, a żywi je Ojciec...“ i tym podobne, mają obudzać ufność w Bogu, lecz według rozumienia Ojców Kościoła wcale nie nakazują lenistwa i nieradności. Przypowieści o talentach (Ew. Mat. 25) i o grzywnach (Łuk. 19) są znowu zupełnie zgodne z zasadami ekonomii politycznej. Święty Franciszek Salezy naucza, że byłoby to niedorzecznością, gdyby ludzie, w małżeństwie żyjący, tak mało dbali o pomnożenie dobytku, jak zakonnicy. Tenże święty Doktor Kościoła powszechnego, tłumacząc słowa: „Błogosławieni ubodzy w duchu“, pisze: Chrześcijanie starają się o bogactwa i dobrze robią, lecz przechowują je w skrzyniach (dziśby powiedział: w kasach oszczędności), a nie w sercu, to jest nie mają grzesznego do nich przywiązania, — i kończy, że: najlepiej jest mieć rzeczywiste bogactwa, a zarazem być ubogim w duchu.

Najpopularniejszy Smiles powiada: „Oszczędność wymaga mocy do wyrzeczenia się samolu-

bnego pragnienia uciech i odrobiny cierpliwego zapomnienia o sobie i t. d.“ Jeżeli tak jest, to chrześcijaninowi w duchu i w prawdzie, doskonalącemu się moralnie, najłatwiej jest oszczędzać, a zatem i bogacić się, a nie zapominać przy tem o miłosierdziu i o potrzebach duchowych.

Ks. J. Sieniński.



NASZA CHWAŁA.

Jan Kasprowicz.

W włościańskiej chacie, tam koło Kruszwicy i Gniezna, w ziemi Piasta, w Wielkopolsce, przyszedł na świat Jan Kasprowicz d. 12 grudnia 1860 roku. Matka, widząc wielkie zdolności chłopca, nauczyła go czytać, a choć oddawał się chłopak nauce, mimo to musiał paść bydło i spełniać wszystkie wiejskie roboty. Potem chodził do oddalonej o pół mili szkoły i często bywało, że w czasie śnieżyicy wracał do domu, aby, skoro się wszyscy do snu pokładli, zapalić knot i oddać się umiłowanej nauce. Chętnego do nauki chłopca oddali rodzice do gimnazjum, gdzie mimo niedostatek materialny, przodował w naukach i wnet zaczął oddawać się pisaniu wierszy, którego już odtąd nigdy nie porzucił; z większem jeszcze zamiłowaniem oddawał



się temu w czasie wyższych nauk uniwersyteckich w Lipsku i Wrocławiu. Nie zapominał wcale o obowiązkach względem narodu. Wprawdzie nie było w Wielkiem Księstwie Poznańskiem podówczas takiego narodowego ruchu, jak dziś — mimo to młodzi akademicy tu i ówdzie szli szerzyć oświatę ludową. W pierwszych szeregach był naturalnie włościański syn, on, który najbardziej odczuł, jak oświata jest potrzebna. Kasprowicza za tę pracę narodową skazał sąd pruski na ośm miesięcy więzienia. Po odbyciu więzienia wyjechał Kasprowicz do Galicyi do Lwowa i oddał się pracy przy gazetach. Po kilku latach porzucił pracę dziennikarską i oddał się zupełnie pracy literackiej twórczej. Obecnie mieszka w Poroninie w Tatrach.

Kasprowicz pisał bardzo dużo: i wiersze i opowiadania i obrazy z dziejów naszego i obcego piśmiennictwa.

Z ludu wyszedł i ludowi najpiękniejsze swe wiersze poświęcał.

Przed oczyma czytelnika przesuwają się całe życie ludu. Kocha go Kasprowicz bardzo, ale opisuje takim jak jest, z jego wadami i przysługami, ciemnotą i nędzą. Boli go to ogromnie, widzi, każdą krzywdę ludowi wyrządzoną, każdy ból, który lud cierpi, — a nigdy on nie waha się zwrócić przeciw wyzyskowi, napiętnować złych ludzi, w obrobie ludu walczyć zawsze.

Lud w Kasprowiczu znalazł gorliwego orędownika: on, syn chłopski, mógł odczuć wszystko dobrze, dobrze zrozumieć, a wyssał z matczynej piersi i tę niezłomną siłę, jaką lud przedstawia, i wiarę w pogodną i lepszą przyszłość i dziką odwagę stawiania przeciw złemu i żądę zwalczania go a dążenia ku polepszeniu panujących stosunków.



Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

(Urywki z pamiętnika podróży.)

Przebywszy dolinę Zabulon i zamykając ją od tej strony wzgórz, dzikie, nieurodzajne, podróżnik staje na gruncie Sefory — największego po Jeruzalem miasta Palestyny. Mnóstwo starych grobów, wykutych w skale, wskazywało nam drogę, aż na szczyt wyniosłości, gdzie leżało miasto. Dostawszy się tam, podróżnik spostrzega najpierw samotnie wznoszącą się kolumnę granitową, znaczącą miejsce, gdzie stała niegdyś świątynia rzymska, a w koło mnóstwo rozrzuconych kamieni, świadczących kształtami swymi, że ociosywała je ręka ludzka. Były między nimi widocznie rozbite kapitele ze śladami rzeźby. Głazy ogromne, niewątpliwie po-

chodzące też z jakiegoś wielkiego gmachu rzymskiego, i inne mniejsze — szczątki miasta, którego żaden inny ślad już nie przypomina oku, rozsiane są więcej niż na milę przestrzeni i służą obecnie posiadaczom dzisiejszym tej ziemi, Arabom, do odgraniczania między sobą drobnych poletek gruntu, uprawianego głównie pod kukurydzę. Jechałem z wolna środkiem tego obrazu znikomości rzeczy ludzkich, niewypowiedziane smutnego dla oczu podróżnika, który wie jak zniszczenie przeszło tędy, zmazując z powierzchni ziemi ślad nawet wszelki ludu, co się tu gnieździł jak wśród własności swojej: żył, cierpiał, walczył za drogie mu ideały — a dalej ślady tych, którzy panowali nad nim; i te, zmieszane ze sobą szczątki judejskich i rzymskich pamiątek, które natura, wiecznie płodna matka, zgarnęła razem, rozkładając na atomy, oddziaływały na mnie widokiem swoim w sposób niedający się wyrazić.

Południowy odpoczynek przypadał u źródła doskonałej i niewyczerpanej wody, poza granicą już owych śladów przeszłości. Źródło to zaopatrywało w wodę mieszkańców kilku dolin okolicznych a otacza je kilka sadków drzew figowych i granatowych, pod których cieniem rozsiadała się drużyna moja, bo na możność przysunięcia się tutaj dla napojenia koni i napicie się — odświeżenie organizmu smaczną, chłodną wodą, trzeba było czekać więcej niż godzinę czasu. Była to właśnie chwila, w której pasterscy arabscy prowadzą do wody stada swoje krów i wielbłądów, kóz czarnych, i nieprzeliczone tego mnóstwo ciągnęło doliną i wśród wzgórz, które się podnoszą w kierunku Nazeretu.

Konie nasze rozkulbaczone były, ale spętane, i my również uwolniliśmy się z wszelkiego możliwego ciężaru; karabinki, pistolety, odłożyliśmy na stronę, choć Arabowie w płachtach z koziej wełny w pasy białe i czarne, patrzeli na nas kroguleczym wzrokiem.

Wdzięcznym rysem wśród tego obrazu były kobiety, przychodzące czerpać wodę, ubrane zupeł-



Rozruchy w Macedonii.

Jako kraj górzysty, przedstawia Macedonia mnóstwo kryjówek i naturalnych okopów, za którymi kryją się oddziały powstańcze i z poza których napadają z nienacką na wojska tureckie wysłane dla uśmierzenia buntu. Wobec tego rozruchy mogą trwać bardzo długo i żadną miarą przewidzieć się nie da, po której stronie będzie zwycięstwo. Macedonia, z której utworzone są dwie tureckie prowincje, czyli wilajety „Salonika” i „Monastyr” była w starożytności krajem bogatym: posiadała kopalnie złota i srebra, bo-

gate winnice i kilka miast kwitnących. To też przedstawiała pożądaną łup dla ościennych krajów. Obecnie już 5 wieków należy Macedonia do Turcji.

nie tak, jak niewiasty judzkie z czasów pańtrarchów: w tunikach błękitnych, przepasanych w stanie, wierzchem tunika biała opadająca luźnie wdzięczną, swobodnie plisującą się draperyą. Błękitne zawoje okrywały głowę; Arabki trzymały na nich dzbany płasko położone, gdy były jeszcze puste, postawione proste, skoro już napelniała je woda. Niejeden obraz malarza ukazał kobiety Wschodu w pozie takiej, ale trzeba je widzieć na własne oczy, aby poznać, jaki wdzięk oryginalnie ponętny w tem podniesieniu ramion, owydatniającem kształty kibici, zwykle wysmukłej, trzymającej się prosto jak palma, z którą porównanie mimowoli na myśl przychodzi.

Kobiety arabskie nie zasłaniają twarzy; córy tego pasterskiego ludu mają rysy delikatne i regularne, właściwe ich plemieniu, i różnią się tem od kobiet tureckich, równie jak i kształtnością postaci całej, wdziękiem ruchów, nieposiadanym przez Turczynkę, która prędko tyje, staje się ociężałą, a jest zwykle leniwą, gdy Arabka ma w sobie coś z gazeli. Tatnuje sobie twarz, ale bardzo lekko, i nawet stara już zachowuje pewien szlachetny wdzięk, czyniący ją malowniczą przy wielkich, podługnych oczach czarnych, ocienionych długą rzęsą. Obok tych, które przychodziły po wodę była jeszcze na wprost oczu moich grupa praczek dziewcząt i kobiet młodych, które śmiały się między sobą i ciekawie, jak praw-

dziwe gazele z pustyni, patrzyły na nas, lecz jak gazele byłyby pierzeły natychmiast, gdybyśmy się był posunął ku nim i przemówił. Na święto, na uroczystości, na przykład weselne, ubierają się w suknie z tkanin delikatniejszych, a głowy stroją bogato rządami złotych cekinów lub piastrow; dziewczęta przeplatają niemi warkocze. Wieczorami w dnie świąteczne zwłaszcza, dziewczęta zbierają się w gromadki tańczące, pod sykorami lub granatami, lecz nie jest to taniec ludów zachodnich żywego, szybkiego tempa, ruchów wirowych, lub posuwistych. Arabki, tańcząc, tworzą koło, trzymając się za ręce, obracają się razem zwolna i tylko od czasu do czasu przeplatają ten ruch jednostajny jakimś bujaniem miarowem, lub przez pewne ruchy bardzo proste, ale mające wdzięk wielki, coś łagodnie ponętnego. Przyjaciółki narzeczonej dziewczyny zbierają się zwykle u niej gromadnie w pewne uroczystsze chwile: na przykład, gdy narzeczonej przynosi jej dary ślubne. Wychodzą zwykle na jego spotkanie gronem całem i oczekując go tańczą."

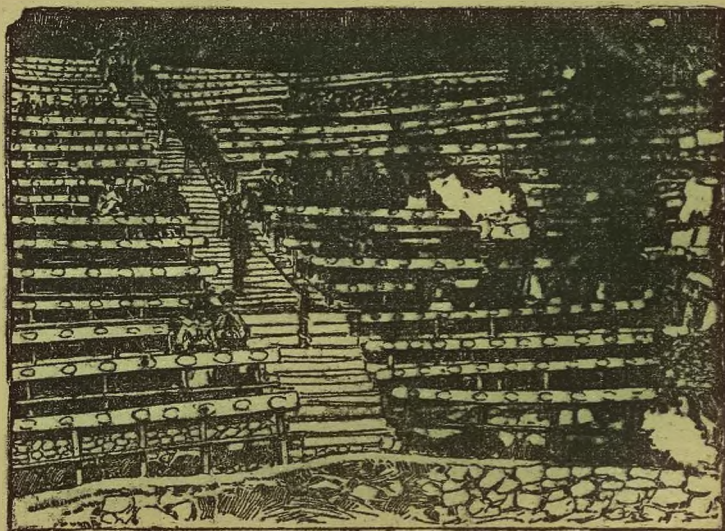


Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieb. Kiedy się człowiek troszczy więcej niżli trzeba.

Jan Kochanowski

TEATR W LESIE.

Znamieniem jest naszych czasów, że ludzie pożądają coraz więcej rozrywki. Chodzą tylko o to, aby ta rozrywka była godziwa, aby kształciła umysł i serce. Taką rozrywką jest teatr, jeżeli przedstawiane w nim sztuki są pouczające i budujące. Teatr jednakże jest rozrywką na zimę, gdyż latem nie każdy ma ochotę siedzieć kilka godzin w zamkniętym budynku. Otóż wpadli ludzie na myśl, aby urządzać teatry pod gołym niebem wśród gór i lasów. We Francji, Anglii i Szwajcaryi już kilka takich teatrów istnieje. Wybrane są na ten cel miejscowości, słynne z pięknych widoków, które i tak ściągają corocznie dużo zwiedzających. Obrazki nasze dają niejaki wyobrażenie, jak taki teatr wygląda: dołem widzimy scenę, której dekorację stanowią nie malowane, lecz prawdziwe drzewa i lasy; górą przedstawiona jest widownia. Można sobie wyobrazić, że dzieła wiekopomnych poetów, przedstawione w obliczu pięknej, wzniosłej przyrody, czynią na umysłach słuchaczy niezatarte wrażenie. W naszym kraju, piękne nasze Tatry, góry Świętokrzyskie i inne byłyby odpowiedniemi miejscami na urządzenie podobnych teatrów, a niezawodnie „Halka” naszego Moniuszki, albo „Wesele” Wyspiańskiego jeszczeby zyskały na podniosłej piękności.



TEATR W LESIE.



Trzeba zdobyć rozum, wiedzę,
 Zdobyć statek, zdobyć wolę,
 Trzeba zdobyć dom i miedzę
 I zasługi własnej pole;
 Trzeba zdobyć serce wierne,
 Zdobyć wiernych towarzyszy,
 Zdobyć szczytne, zdobyć mierne
 Wiara, praca, w lasce, w ciszy.
 Czem stać będziesz w tej szermierce?
 Kłem odynieć a wół rogiem,
 Bóg ci duszę dał i serce....
 Dobrą wolą stój i Bogiem.

Wincenty Pol

ORLICA.

Było to w rannych godzinach. Słońce świeciło w całym blasku, młodziuchna siostrzyca orla siedziała w swym gnieździe na skale i patrzyła stęsknionym wzrokiem w jasną dal; podniosła swe jeszcze niedoświadczone skrzydła ku słońcu, w górę, ku słońcu. Coś jej szeptało:

— Dlaczegoż nie miałabym ujrzeć z bliska gwiazdy dziennej, nie wykapać mych oczu w jej świetle, nie nabrać mocy z jej promieni? Dlaczegożby lot orlicy nie miał być tak silnym jak lot orla? Spojrzenie moje bystre, a skrzydła silne i młode! W górę więc, w górę, ku słońcu!

Poranek cudny, światło słońca pełne blasku, uczucie siły i pewności młodzieńczej napęliły pierś jej radością. Odpoczywając chwilami w locie, rozpatrywała się w około, lubując się tem pięknem i nowem życiem; usiadła wreszcie na wierzchołku stuletniego dębu.

Poniżej zebrały się przeróżne ptaki. Odgadły odważne przedsięwzięcie orlicy.

— Trilili, dobrze, trilili! — świergotały skowronki. — Wyżej, orlico, będziesz ozdobą swego szczepu.

— Odwagi! — krzyczała szlachetna czapla. — Odwagi, moja przyjaciółko!

— Cześć ci, siostro! — śpiewały białe łabędzie, płynąc między zielonemi wysepkami.

— Kra, kra! twa podróż jest niebezpieczną... Miej się na baczności!

— Tur, tur, tur, — gruchał gołąb — dlaczego szukasz szczęścia tak wysoko? Zostań lepiej w domu, w gnieździe swoim, ogrzewaj i pielęgnuj dzieci, a będziesz żyła długie lata, tur, tur, tur!

— Pójdź, pójdź! — krzyczała sowa. — Z tego wylotu będzie nieszczęście!

— Z tego będzie nieszczęście! — powtórzyły szpaki i papugi.

— Dobrze będzie, dobrze będzie! — gęgało stado gęsi — bardzo dobrze!

A pewien młody i szlachetny orzeł usiadł przy orlicy i rzekł łagodnie:

— Podróż twa jest piękną, ale droga za daleka, siły twoje za słabe, pozwól mi towarzyszyć sobie. Gdy skrzydła twe osłabną, moje będą cię podtrzymywały; zasłonię ci oczy, gdy słońca blask je za-

ćmi, a gdy niebezpieczeństwo będzie ci grozić, poprowadzę cię do mego spokojnego gniazda, tam na daleką górę, i będę w pobliżu ciebie...

Wdzięcznie, lecz przecząco, skinęła orlica głową, na słowa szlachetnego ptaka.

— Chcę być samą — rzekła — sama chcę sobie los zgotować.

Wołania innych ptaków prawie wcale nie słyszała.

Słuchała tylko szeptu własnej piersi: „Ku słońcu, w górę ku słońcu!“ Znów podniosła skrzydła i odurzona wzbijała się wyżej, wyżej!

Młody orzeł posmutniał, wstrząsnął skrzydłami, odwrócił wzrok od zarozumiałej i wybrał sobie inną towarzyszkę, którą poprowadził do swego gniazda, het, na oddaloną skałę.

Orlica szybowała sama wśród chmur, widziała słońce coraz bliżej, bliżej... Wtem nagle wzrok jej zaćmił się, dostała gwałtownego zawrotu...

Nie mogła już podnieść się w górę, lecz bezwiednie lot swój zniżyła ku ziemi...

Dostrzegł ją strzelec, wycelował broń zabójczą — wystrzelił! — nabój utkwił w sercu orlicy...

Nie podniosła się już w górę ku słońcu, lecz spadła w gąszcz lasu. Czuli, że koniec jej bliski. Las, ciemny las mrokiem swoim objął ją z wolna i zakrył przed wzrokiem wszystkich.

Na gałęzi sosny uczepiła się orlica z zakrwawioną pierśią i ze łzą w gasnącem oku.

— Dobrze... — szeptała — dobrze, że orlica umiera bez spółczucia, bez świadków...

Wtedy usłyszała gołąbkę gruchającą:

— Córkę moję, nie naśladujcie orlicy. Pycha zwykle ukaraną bywa! Pilnujcie domu w waszej dolinie, w spokojnych waszych gniazdkach, a będziecie żyć niezliczone lata...

— Zbłądziłam — ozwała się gasnącym głosem orlica — dumą wezbrało serce, zbłądziłam przez młodzieńczą zarozumiałość i pychę, słusznie też ukarana jestem... Spokojnie jednak zniosę los swój... Niech inne będą szczęśliwsze... Nie skarżę się, bo zobaczyłam słońce z bliska.

— Pójdź, pójdź! — krzyczały sowy żałośnie.

— Pójdź, pójdź! — powtarzały szpaki, papugi.

— Dobrze, dobrze, wszystko dobrze będzie! — krzyczało stado wesółych, dzikich gęsi, przelatując nad lasem.

— Umieram... — szeptała orlica. — Umieram, ale widziałam słońce z bliska. Dobrze mi tak!

Z gałęzi, na której uczepioną była, spadła z rozpostartemi skrzydłami i nie poruszyła się już więcej.

Przełożył z szwedzkiego

Konstanty Bończa Bukowski.

Modlitwa bez czynu,
 Religia bez miłości,
 Miłość bez poświęcenia,
 Miłosierdzie bez ofiary,
 Honor bez cnoty —

te są najbrzydsze kłamstwa człowieka.

ŁAN ŻYTNI.

Łan dojrzałego żyta... Szumi morze kłosów, którym słońce użyczyło złota... Szumi melodyę lata piękną, młodą, potężną, jak samo życie, życie młode, co szczytu swej potęgi sięga.

Kołysząc się, kłosy ciężarne chwalą ziemię i słońce, ziemię — dobrą matkę i słońce — stwórcielę, którego spojrzenie daje życie. Chwieją się sennie w śnie miłosnym kłosy złote... W śnie o szczęśliwości bezkresnej, nieogarniętej, jak łany szumne...

Wśród złotej grzywy zbóż czają się dobrotliwe, niebieskie oczy bławatów, rozmiłowanych w niebie bezobłoczne, siłą tej miłości upodabniające się do błękitu... Maki sennie, znużone gorącem, ognistym pożądaniem życia, ukołysane szelestem zbóż...

A dzwonki blade dzwonią na południe życia, dzwonią wytrwale w tę jasną, słoneczną letnią niedzielę...

O, jakżeś piękny, łanie złoty, łanie szumiący w ten dzień wesoły! Jak pas bogaty, opasujesz biodro wzgórz dalekich, pas złoty, poprzetykany barwnym jedwabiem maków i bławatów!

Ciesz się oczy widokiem bogactwa ziemi, cieszy się dusza poezią wszechświata...

O łanie żyta, łanie złoty, z którego mamy chleb, o który ludzie walczą, jakże szumisz, jakże złocisz się w słońcu przepysznie! Jesteś radością życia, jesteś poezią lata! Jak pas złocisty, bogato haftowany, szkarłatem i szafirem opasujesz smukłe biodro wzgórz, a szumisz melodyę radosnego lata, bogatych żniw, tryumfującej młodości, co szczytów swych sięga!

O, łanie złoty, łanie chlebny!

* * *

Kłos zbożowy jest jakoby wyobrażeniem wszystkiego, co człowiekowi do bytowania ziemskiego jest potrzebnem i jako taki w wielkiej był cześć u ludzi od najdawniejszych czasów.

W najzacniejszej księdze, będącej własnością całej ludzkości, tj. w Piśmie Świętem, często czytamy o kłosach porównania, pełne głębokiego znaczenia, owiane poezią świętości.

I tak w powieści o Józefie, synu Jakóbowym, czytamy, że wytłómaczywszy Faraonowi sen o siedmiu kłosach pełnych i siedmiu pustych, z powodu tego wytłómaczenia stał się zbawcą ziemi egipskiej i krain sąsiednich w latach nieurodzaju i głodu.

A wielki prawodawca ludu izraelskiego, dając narodowi swemu prawa, tyżące się składania ofiar Bogu, tak mówi do ludu wybranego: „Jeżeli ofiarujesz dar pierwszego zbioru twego Panu z kłosów w jeszcze zielonych, będziesz prażył ogniem, i zetrzesz je jako krupy i tak ofiarujesz pierwociny twoje Panu.”

Potem, pobudzając lud swój do wdzięczności za to, że go wprowadzi do ziemi obiecanej, mówi do niego Boskie słowa: „Mów synom Izraelowym i rzeć do nich: Gdy wnijdziecie do ziemi, którą ja wam dam, i pożniecie zboże, przyniesiecie snopy kłosów, pierwociny żniwa waszego, do kapłana.” A dalej obowiązuje ich, by pamię-

tali i na ubogie także, mówiąc: „A gdy będziecie żąć zboże ziemi waszej, nie będziecie go przynosić aż do ziemi, ani pozostałych kłosów w zbieranie, ale je ubogim zostawicie.”

Dobrodziejstwo to dla biednych i potrzebujących dalej jeszcze rozciąga Mojżesz, gdy głodnym kłosy rwać pozwala w łanach zbożowych: „Jeżeli wnijdiesz we zboże bliźniego twego, rwać kłosy będziesz i ręką zetrzesz, ale sierpem żąć nie masz.”

To też z tego dobrodziejstwa, dozwolonego prawem Mojżeszowem, razu pewnego korzystali uczniowie, a gdy idąc z Panem Jezusem i głodni będąc, rwali sobie kłosy, gorszyli się z tego faryzeusze, iż czynili to w dzień szabatu, lecz za to odebrali odpowiednią naukę od samego Zbawiciela Pana. „I stało się w szabat wtóropierwszy, gdy szedł przez zboża, uczniowie rwali kłosy i jedli, wycierając rękoma.”

Historia moabitki Ruth także przywodzi nam na pamięć wzmiankę o kłosach: „I rzekła Ruth moabitka do świekry swej: Jeżeli każeś, pójdę na pole, a będę zbierać kłosy, któreby uszły reku żeniców, gdziekolwiek gospodarza na się łaskawego najdę łaskę, — której ona odpowiedziała: „Idź córko moja.” „Szła tedy i zbierała kłosy za żenicami. I trafiło się, że ono pole miało pana imieniem Booz, który był z rodu Elimelich...” „I prosiła, aby zbierała kłosy pozostałe, idąc w tropy żeniców...”

Izajasz, prorokując o utrapieniu, w jakie popadnie Damaszek, i o karze, jaka spotka tych, co prześladowają a uciskają lud Boży, między innymi tak się odzywa: „I będzie jako ten, który zbiera we żniwo, co zostawa, a ramię jego kłosy zbierać będzie, i będzie jako szukający kłosów w dolinie Raphaim”. Co znaczy, że mieszkańcy Damaszku w taką popadną nędzę, iż porównani będą z takimi nędzarzami, co dla wyżywienia się zbierają kłosy w nieurodzajnej dolinie Raphaim.

Ostatnia wzmianka o kłosach zapisana jest w Ewangelii św. Marka, IV, 28, w onej pięknej przypowieści Pana Jezusa o królestwie niebieskiem, przyrównanem do roli; tekst odnośny tak brzmi: „Bo ziemia sama z siebie owoc rodzi, najprzód trawę, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie.”

✽

ŻNIWO.

Hej, bracia żniwiarze! do pracy już czas!

Poranne witają nas zorze.

Do sierpa, do kosi, hej, stańmy dziś wraz!

Nasz łan się faluje jak morze.

Hej, bracia żniwiarze! nie skąpmy dziś sił,

Niech każdy pamięta, że w polu dziś był.

Fujarki pastuszej rozlega się granie,

Skowronka śpiew górą się niesie,

Odhlukniem im pieśnią na swojskim tym łanie
Rozlegnij się, głosie, po lesie!

Hej, bracia żniwiarze! nie skąpmy dziś sił,

Niech każdy pamięta, że w polu dziś był.

Nie próżna jest praca, nie próżny nasz trud,
Wszak chlebem się żywią miliony;

obcy, i polski rodzimy nasz lud,
Leplanki nędzarzy i trony.

Hej, bracia żniwiarze! nie skąpmy dziś sił,
Niech każdy pamięta, że w polu dziś był.

Błogosław-że, Boże, ojczysty ten łan,
I lud nasz, co z niego dziś żyje.

Niech chlebem się karmi i kmiotek i pan,
Niech gniew Twój w nas gromem nie bije,
Hej, bracia żniwiarze! nie skąpmy dziś sił,
Niech każdy pamięta, że w polu dziś był.

Choć ciężko pracować, lecz za to wesoło,
W takt dzwonią nam sierpy i kosy,
I pot nam uperlił już lica i czoło,
I zbożne zbieleły już kłosy.

Hej, bracia żniwiarze! nie skąpmy dziś sił,
Niech każdy pamięta, że w polu dziś był.

Już wieczór! zachodnie czerwienią się zorze,
Piosenki umilkły już głosy,
I niwa nie szumi, gdyż żęte już zboże,
Nie dzwonią już sierpy i kosy.

Hej, bracia żniwiarze! już idźmy do chat,
Po pracy wszak każdy odpocząć jest rad.

W. Urbanowicz.



Z NAD ŻŁOTEGO ROGU.

Wobec zainteresowania ogólnego, jaki dziś budzi Turcyja, podajemy tu opis wrażenia, jakie czyni na obcym przybyszu stolica Turcyi, rozłożona nad zatoką, zwaną „Złotym Rogiem”:

„Z Galaty przez wody Złotego Rogu ciągnie się most wiszący, długi na ćwierć mili; kto chce mieć pojęcie o różnorodności ubiorów, narzeczy i fizyonomii stambulskich mieszkańców, niech się na tym moście nieco zatrzyma, a ujrzy widok, jakiego żaden zakątek świata nie przedstawia.

Widzisz najprzód tureckich tragarzy, obciążonych olbrzymiemi ciężarami; zgarbieni, pośótkli, nędzni i mali wzrostem zdają się szkieletami, których lada wiatr wywróci, a tymczasem spieszą tam i napowrót po moście, jakby im na plecach i ramionach nie ciążyło (ciężary te zerwałyby nieraz wołu lub konia). Tuż obok lub za tragarzami posuwa się wolna lektyka wysadzona perłami, inkrustowana kością słoniową; siedzi w niej armeńska dama, żona lub córka jakiego kupca-bogacza z Erzerumu, rzucając w różne strony ukradkowe spojrzenia. Obok lektyki postępują beduińscy owinięci białymi płaszczami i stary turek w muślinowym turbanie i kaftanie lazuruwego koloru.

W innej grupie widzisz młodego greka, w kaftanie złotem haftowanym, w towarzystwie nieodstępного tłómacza; o dumnego greka ociera się ubogi derwisz, ustrojony w wysoki kapelusz spiczasty i w tunikę ze skóry wielbłądziej. Grupa ta nagle rozpryskuje się, ustępując przed powozem ambasadora, poprzedzanym przez wygalowanego dojeżdźacza.

Zaledwie ta procesya cię minie, masz znowu przed sobą towarzystwo persów, w ogromnych astrachańskich czapkach, a z nimi gromadę cyganów z rozczochranemi włosami, dźwigającą na obnażonych plecach i piersiach nagie dzieci; pośród nich kroczą poważnie lub uwijają się gestykulując i krzycząc żydzi w szerokich żółtych szlafrokach, rozwartych na obie strony. Ksiądz katolicki idzie obojętny na tłum różnojęzyczny; podpierając się kijem, odmawia modlitwy z brewiarza, jakby był sam w jakiej klasztornej cienistej alei.

Środkiem mostu, roztrącając turków, greków, armeńczyków, jedzie na koniu upasiony harca haremowy, wołając: na bok! Poprzedza on turecką landarę ozdobioną w malowane kwiaty i ptaki, i przewożącą kobiety haremowe, ubrane w zielone i fioletowe szaty, spowite w wielkie białe woale.



Salonika

główne miasto macedońskiej prowincyi Saloniki, największe po Konstantynopolu miasto w Turcyi. Już w czasach starożytnych znana była Salonika (zwana wtedy Tessalonią) jako miasto handlowe i takiem jest po dziś dzień z powodu wygodnej przystani, do której przybijają okręty handlowe całego świata. W obecnych rozruchach w Turcyi była Salonika główną siedzibą stronnictwa młodo-turków, którzy jak wiadomo dążyli do przywrócenia konstytucyi w Turcyi. Jest to o tyle dziwne, że na 150 000 mieszkańców w Salonice

zaledwie czwarta część jest rodowitych Turków; reszta to żydzi (połowa) grecy, bułgarzy i serbowie.

Gdzieindziej posuwa się trójca złożona z jaskrawych kontrastów; jest w niej siostra miłosierdzia należąca do szpitala w Pera, a obok niej leniwie się wlecze ponury afrykański niewolnik, niosąc na ramieniu małpę, i bazarz turecki w ubraniu czarnoksiężnika.

Chcąc ubawić oczy, można je spuścić na samą podłogę mostu i chwytac kolory i kształty nóg ciskającego się tłum. Rozmaitość nóg równie wielka, jak rozmaitość grzbietów i głów. Przesuwają się przed tobą obuwia całego świata, poczynawszy od obuwia jakiego używał Adam aż do lakierków ostatniej mody: żółte papucie tureckie, różowe armeńskie, niebieskie greckie, czarne izraelskie; trzewiki z drzewa sandałowego, wielkie buty turkiestańczyków, elegancie otwarte z wierzchu trzewiki, „gambassy” wszystkich kolorów azyatyckich wozwodów i popędzaczy koni, pantofle złotem haftowane, „alpargatas” hiszpańskie; obuwia jedwabne, włóczkowe, łaciaste ze skrawków sukiennych itp. itp. dziwaczne barwności. Wszystko to cisnie się tak tłumnie, w takim groch - z - kapustą, że zaledwie zatrzymasz oko na jednej oryginalnej formie, wnet ci się cisnie przed oczy setka nowych form i kolorów.

Tę samą różnorodność, jaka panuje między ubiorami, spotykasz na moście pomiędzy przesuwającymi się sługami różnych kościołów i wyznań. Tu świeci się odkrytą tonsurą głowa kapucyna; dalej żółcieje turban ulema, gdzieindziej powiewa czerwony woal duchownego ormiańskiego; płaczą się imani czyli biskupi mahometańscy w białych tunikach, katolickie zakonnice, kapelani armii tureckiej, ubrani zielono, z szablą u boku, bracia dominikanie, pielgrzymi wracający z Mekki z talizmanem zawieszonym u szyi, jezuici, derwisze, a (co jest rzeczywiście szczegółnością) derwisze ci, co z takim okrucieństwem kaleczą

swe ciało, pokutując za grzechy, w przechodzie przez most mają ponad głową rozwarte parasolki damskie, niby delikatni panice paryscy.

Wpatrzywszy się w ten tłum, można schwycić niejedną charakterystyczną scenę; do lektyki naprzykład zagląda niedyskretny chrześcianin cudzoziemiec, a dozorca haremowy wyszczerza do niego zęby i przewraca oczy, grozi ukaszeniem i sztyletowym wzrokiem; owdzie dama ze Stambułu, która woalem i całym ruchem stara się naśladować cudzoziemkę, a obok damy staje pośród tłum sierzant w paradnej uniformie i pluje na wszystkie strony, kichając i parszając śliną w twarz przechodniom!

Na moście wobec tysiącznych świadków odbywają się czynności, które w każdym zakątku europejskim ściga prawo kryminalne. Niektóre z tych praktyk przejmują europejczyka grozą i wstrętem. Staje naprzykład szarlatan przed jakim kaleką i namawia go, żeby się powierzył jego kuracyi; kaleka oddaje ostatni grosz i prosi o leki, wówczas szarlatan robi mu na twarzy tajemnicze znaki, przed których władzą ma po pewnym czasie zginąć ślepotą.

W innem miejscu słyszysz krzyki, widzisz bijatykę; wyprawia ją jakaś rodzina wędrowców, przybyłych tylko co do stolicy Turcyi, w tłumie zgubiła dzieci, krzyczy więc i kułakuje każdego, kto pod ręką, upominając się o zgubę, o której nikt z publiczności nie wie.

Pośród tego wielbłądy, konie, lektyki, powozy, woły, wozy, beczki toczące się, osły pokrowione, psy oparzone.

Tak jak widzieliśmy wszystkie formy i kolory ubrań na głowach, plecach i nogach, tak samo możemy zobaczyć wszystkie kolory skóry ludzkiej. Skóra albańczyka biała jak mleko jakże odbija krzycząco obok skóry afrykanina czarnej jak kruk, lub pierś brązowego koloru, która

Pałac sułtana tureckiego wraz z zabudowaniami haremu.

Pałac sułtański w Konstantynopolu stanowi osobną dzielnicę, zwaną Jildis Kiosk albo Seraj. Otoczenie bowiem sułtana, składające się z haremu, urzędników dworskich, gwardyi pałacowej i służby liczy kilka tysięcy osób, które wszystkie mieszczą w Seraju. Obecny sułtan zmniejszył znacznie swój dwór ze względów oszczędności a mianowicie liczbę dam haremowych, zniżył z 300 na 150. Zazwyczaj damy haremowe uważane są za żony sułtana, lecz w rzeczywistości tak nie jest; obok głównej sułtanki, sułtan zaledwie kilka kobiet z haremu zaszczyca swymi względami, reszty zaś nigdy nawet nie widzi. Turcy jednak, zwłaszcza urzędnicy, wkładają na sułtana obowiązek utrzymywania liczego haremu i oddają tam swe córki, które w ten sposób zyskują utrzymanie do śmierci. W Turcyi bowiem, gdzie prawo religijne zabrania kobietom ukazywać się oczom obcych, nadzwyczaj trudno jest kobietom pracować na swe utrzymanie.



zdaje się po uderzeniu w nią, powinna wydać dźwięk brązowych naczyń, obok piersi jakby ulepionej z gliny, którą zdaje się lada dotknięcie powinno rozbić w skorupy. Co za rozmaitość żeber i kości pacierzowych! Widzisz na moście jak w gabinecie anatomicznym kości pacierzowe równo-linijne, garbate, brukowane, połączkowe jak grzbiety dzika, tłuste i wychudzone; a jeżeli lubisz malowane skóry, możesz się nacieszyć tatuowanymi ramionami i plecami, na których rosną różowe i niebieskie gałęzie, kwiaty, ptaki, są wypisane wyjątki z Koranu, lub pływają okręty i sterczą serca przeszte strzałami.

W pierwszej przechadźce po moście ani podobna tego wszystkiego dojrzeć, nad tem się zastanowić i podziwiać! Gdy przypatrujesz się jakim plecem tatuowanym zdaniem z Koranu, przewodnik twój ciągle ci kładzie do ucha: Oto serb, a oto czarnogórzec, wołoch, kozak ukraiński, kozak doński, egipcyanin, tunetańczyk, księżę indyjski... Niema czasu na rozróżnienie narodowości. Zdaje się, że Konstantynopol jest tem czem był niegdyś, stolicą trzech części świata, królową dwudziestu wice-królestw. Lecz nawet to wspomnienie pojętej przeszłości nie tłumaczy wspaniałego widoku, i przypuścić można, że na most wylała się milionowa emigracja ludów, wyrzuconych jakąś katastrofą ze wszystkich części starożytnego świata.



Ze świata zwierzęcego.

Wojna wśród zwierząt.

Znane są powszechnie walki wśród zwierząt jednego gatunku, staczane zwłaszcza o pierwszeństwo w zdobywaniu samicy. Spostrzegli jednak badacze życia zwierząt, że walki takie bardzo rzadko, kończą się śmiercią.

Bywają wypadki, że walczy czasem kilka lub kilkanaście zwierząt z taką zjadłością, iż zdawałoby się, że plac walki powinienby się okryć poległymi. Tymczasem tak nie jest, choć każdy przyzna, że straszliwa to broń, którą walczą zwierzęta.



Weźmy n. p. dzika. Wiedzą myśliwi, jak straszną bronią są jego kły (obr. 1). Mówiono przecież w czasach, gdy łowy na grubego zwierza ulubioną były zabawą, że „idąc na niedźwiedzia, zabierz z sobą łożę, a idąc na dzika, mary.” A jednak nie

zdarza się prawie nigdy, aby w walce dwóch odynków, jeden drugiego uśmiercił.

Szukając na to wytłomaczenia, nie możemy przypuszczać, aby wśród dzików panowały jakieś prawa, zabraniające zabijania się wzajemnego; raczej uwierzyć trzeba, że jest to instynkt, czyli prawo natury. W naturze nic nie jest bez celu, a cóż byłoby za cel w tem, gdyby się zwierzęta jednego gatunku pomiędzy sobą zabijać miały?



Spostrzedz nawet można, że natura obmyśliła środki, aby sobie zwierzęta zbytnej szkody na ciele nie wyrządziły. Dowodu na to dostarczają nam dziki afrykańskie. Do czego n. p. mogą służyć dzikowi afrykańskiemu (obr. 2) kły zakrzywione nad górną szczękę. Oto nic innego, tylko zasłaniać mają rył, nieokryty sierścią przed kłami przeciwnika. Jeszcze lepiej widzimy to u pewnego gatunku świni, żyjącej na wschodnim Archipelagu, zwanej b a b i r u s. Tam kły górne wyrastają w górę, przecinają skórę i wrastają pomiędzy nosem a oczami (obr. 3).



Tworzono już kilka teorii, celem wytłomaczenia tych dziwnych wyrostków, a jedna z nich utrzymuje, że zwierzę zaczepia się kłami o gałęzie drzewa, aby dać spoczynek swej ciężkiej, zmęczonej głowie. Jakkolwiek, według wszelkiego prawdopodobieństwa, żaden człowiek biały nie był jeszcze świadkiem pojedynku między temi, bądź co bądź, rzadkimi bestyami, jednak bezpiecznie twierdzić możemy, iż nadzwyczajne owe kły górne stanowią ochronę najżywotniejszych części podczas walki o przewodnictwo w trzodzie.

Może owe spostrzeżenia uczonych badaczy pouczą ludzi, że wzajemne zabijanie się czy to w wojnach, czy w pojedynkach, czy w zasadzkach dla mordu sprzeciwia się nie tylko prawom boskim i ludzkim, ale i prawom natury.

O SERCU.

I.

Dusza i serce tak są ściśle związane, iż zdaje się czasem, że nie ma między nimi różnicy, i że ludzie jednej rzeczy dwa odmienne nadali imiona; w mowie, w pisaniu, każdy je miesza razem; jednak po chwili zastanowienia się, rozróżnić je łatwo. Dusza cnót jest matką, serce uczuciom życie dało; dusza godnemi nas kochania czyni, serce kochać nas uczy: duszy winniśmy szczęście; sercu, sposoby jak go używać; pierwsza mocy, wytrwania potrzebuje, bo nieustannie działa; drugie czułości i dobroci, bo nieustannie kocha. Dusza jest doskonalsza, serce powabniejsze; piękna dusza zdaje się, iż żadnemu nie podpada błędowi, serce najlepsze omylić się może.

Dobroć, czułość, delikatność, szczerość, te są serca przymioty. Wszystkie za daleko posunięte, zł skutki sprawiają. Dobroć przeistacza się w słabość, czułość w uniesienie, czyli w fałszywy sposób widzenia i czucia każdej rzeczy, delikatność w obraźliwość, a szczerość w grubiaństwo. Powierzyć rozsądkowi staranie kierowania sercem, jest to jedyny sposób zachowania go w obrębach potrzebnych do szczęścia.

Któż jest w stanie opisać dobroć! Dobroć! to najpiękniejsze uczucie! cnotą bowiem nazwać jej nie można, bo człowiek tak jest niedoskonałym, iż każda prawie cnota niejakiego wysilenia potrzebuje, i aby być wypełnioną, od niego ofiar wymaga; nie zaś łatwiejszego jak dobroć; serce, w którym mieszka czyniąc dobrze, kochając nawet swoich nieprzyjaciół, ulegając wszystkim, zapominając urazy, ledwie że wie, co czyni; działa bez zastanowienia, idzie tylko za własnym natchnieniem. Dobroć jest prawdziwym promieniem doskonałości Boga, na całą naszą osobę, na całe życie światło szczęścia rzuca. Ona nas przyjemnymi czyni w domowym pożyciu; ona nas kochać każe; każdego człowieka jest wdziękiem. Bez niej cnota ani tak powabna, ani doskonałą być nie może; główną kobiety ozdobą, jedną jest z najpiękniejszych zalet mężczyzny.

Jednak chociaż dobroć tak zachwycającym jest darem, przecież nadużyta być może i wtedy w słabość się zamienia. Zbytne uleganie i spuszczenie się na zdanie drugich, zbytne pobłażanie i łatwość w przebaczeniu, sądzenie drugich podług siebie, wszystko to może być niebezpiecznym skutkiem za daleko posuniętej dobroci. Moc i stałość charakteru koniecznie jest potrzebną. Za osobę słabego charakteru nigdy ręczyć nie można; podobna do giętkiego wosku, taką przybiera postać jaką jej kto nadać zechce, i z najlepszymi skłonnościami często cała jej cnota od osób, z jakimi przestaje, od okoliczności, w których się znajduje, zależy. Staraj się więc nadać pewną tęgość dobroci twojej; niech rozsądek kieruje nią zawsze. Nikomu nigdy nie daj sobie ubliżyć; kto siebie szanować nie umie, ten nigdy szanowanym nie będzie. Żle zapewne cenić się nadto, ale źle także, zamało mniemać o sobie. Każdy człowiek w głębi serca zna doskonale swoją wartość, i im mniej z siebie kontent, im trudniej siebie ułudzić może, tymby więcej zwiść chciał drugich; a im więcej w sobie widzi przymiotów, tem go mniej zdanie ludzkie obchodzi. Oczami prawdy patrz na sie-

bie; oddawaj sobie pewną sprawiedliwość, a zapewne oddaną ci będzie.

O każdej rzeczy, a szczególnie w okolicznościach wielkiej wagi, zawsze miej własne swoje zdanie; nie przybieraj go bez zastanowienia, ale gdy się o jego rzetelności raz przekonaasz, nie odmieniaj go już nigdy; obstawaj przy niem ze słodyczą, czyjś wszystko, co będzie w twojej mocy, aby według niego postępować; a jeżeli wyższe rozkazy przeciw niemu działać cię zniewolą, możesz uleść przewadze, a dla tego w duszy nie odmienić zdania. Niektórzy ludzie uporem zowią podobne wytrwanie, ja zaś je pięknem nazwiskiem stałości charakteru mianuję; a ta stałość, kiedy jest dobrze zrozumianą, szacunek wszystkich, nasz własny, i szczęście nam jedna.

Pobłażać drugim, przebaczać urazy, jest zapewne najpiękniejszą własnością dobroci; jednak i w tem miarę zachować potrzeba. Sławny jeden autor francuski powiedział słusznie, że kto występkom pobłaża, spisek przeciw cnocie knuje. Żałuj więc występnych, ubolewaj nad ich losem, radź im, jeżeli możesz, ale nie pobłażaj im nigdy.

(Z „Pamiętki po dobrej matce“ Kl. Tuńskiej.)



Okręt napowietrzny hrabiego Zeppelina.

Od 30 lat pracuje hrabia Zeppelin, Wyrtemberczyk, nad zbudowaniem doskonałego okrętu napowietrznego, pędzonego przez małe maszyny (motory), a zdolnego do jazdy w powietrzu w każdej wysokości i w każdym kierunku, nawet przeciw wiatrom. Zeppelin strawił nad swoim wynalazkiem najlepsze lata i wydał na próby i na budowę 4 okrętów rozmaitych rozmiarów znaczną część majątku, sprzedawając niektóre zamki i obszary. Parlament niemiecki uchwalił tego roku około 2 miliony marek (niespełna milion rubli, 2½ miliona koron) na zakupienie jego okrętów i wynalazku, jeżeli Zeppelin złoży próbę według żądania władzy państwowej. Jako próbę żądała władza od Zeppelina, aby pojechał z Mancel (nad jeziorem bregenckiem) do Moguncyi i z powrotem, pozostając w podróży przez 24 godzin w powietrzu. Podróż ta odbyła się w tych dniach i udała się prawie zupełnie. Zeppelin dotarł do Moguncyi i wracał przez Sztuttgart do domu. Z powodu uszkodzenia maszyn dwa razy przerwał podróż, lecz po naprawie szkody wyruszył dalej. Zapal ludności niemieckiej wszędzie, gdzie Zeppelin przejeżdżał, był niesłychany. Podczas powrotu z Sztuttgartu do Mancel spuścił się Zeppelin po raz trzeci w Echterdingen, gdyż jego okręt stracił za wiele gazu. Sprobowano czempredziej gaz i napełniano balon, gdy w tem nagle zerwał się wichur i wyszarpnął z ziemi kotwicę, do której okręt był przymocowany. Wichur uniósł okręt w górę, wraz z żołnierzami, którzy balon trzymali podczas napełniania go gazem. Prócz tego nastąpił wybuch benzyny w jednej z maszyn i cały okręt spłonął. Kilku ludzi odniosło pokaleczenia. Nieszczęście to poruszyło naród niemiecki do żywego. W trzech dniach zebrano blisko 2 mil. marek jako dar narodu dla hrabiego Zeppelina. Rząd

niemiecki uważając próbę niejako za złożoną, wypłacił Zeppelinowi tymczasem pół miliona marek na budowę nowego (piątego) okrętu. Okręty Zeppelina zbudowane są z lekkiego metalu, zwanego aluminium, który się wyrabia z gliny za pomocą elektryczności, balony zaś z jedwabiu.



Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

(Urywki z pamiętnika podróży.)

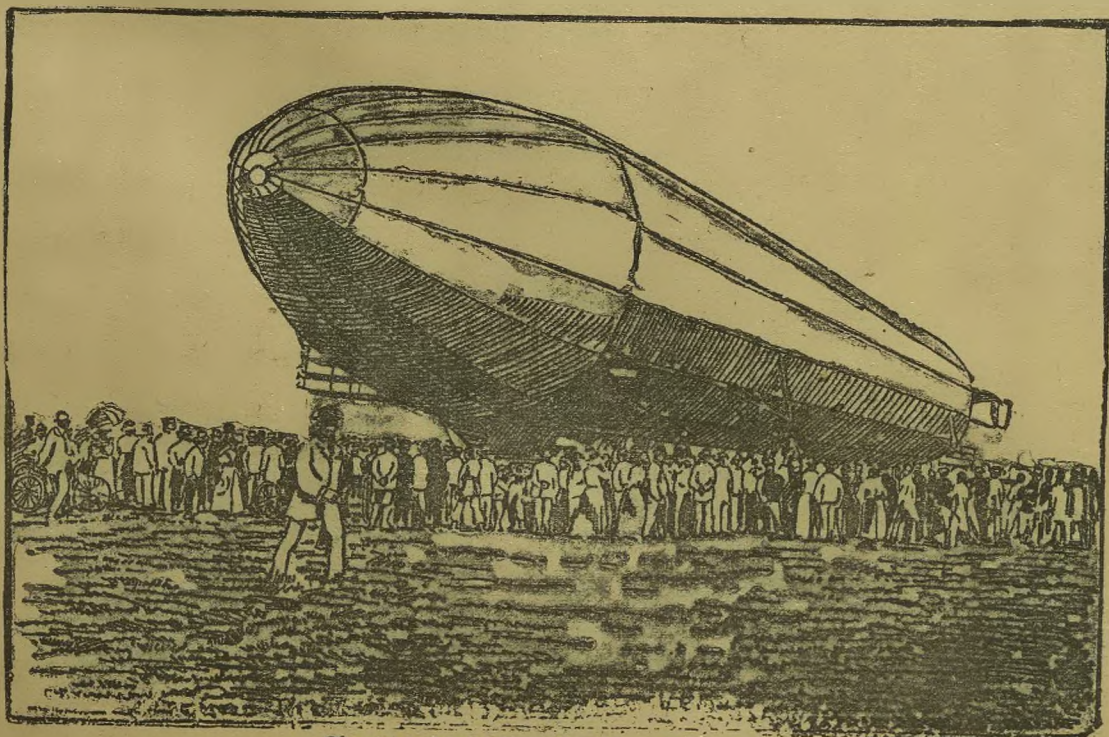
„Słońce zachodziło, gdym ujrzał przed sobą miasto wielkiej pamiątki — Nazaret. W głębi doliny rozkładało się ono naprost przede mną i po dwóch bokach podgórza. Koń był zmęczony, a jeździec pragnący, aby obraz ujrany pozostał na zawsze w jego pamięci, odbity na jej tle tak, jak oglądały go teraz oczy: więc posuwałem się powoli, między oliwnemi i figowemi drzewami, między płotami potężnych kaktusów, a miasto ukazywało mi białe, wdzięcznie ugrupowane domy, ponad którymi strzelały wysoko w górę bombiaste wieże cerkwi greckiej, wysmukły minaret meczetu tureckiego i mury klasztoru katolickiego Franciszkanów. Ostatnie blaski dnia zaczęły gasnąć w chwili, gdym stanął u bram miasta, które, jak wszystkie miasta wschodnie, więcej obiecuje widokiem swym wśród wspaniałych obrazów natury, niż potem daje, gdy się w ulice zagłębi.

Wszystko tu jest przez niepojętą zachowawczość jak gdyby skamieniałe od wieków i gdy podróżnik spotka się gdzie z grupą kobiet, naprzykład u źródła, gdzie wodę czerpią, zobaczy postacie, które mu ewangeliczne niewiasty, Marye lub Marty przypominają. Rysy, kształty tesame: wysokie, proste, silne postacie, o regularnych liniach, często bardzo pięknej twarzy, z której patrzą duże, mądre, spokojne oczy ciemne, mówiące patrzącemu o wielkiej

sile ich ducha. Włosy mają bardzo bujne i długie, noszą je zaplecione w warkocz, które na plecy spadają, ale chrześcianki nakrywają jeszcze głowy welonem takim zupełnie, jakim malarze okrycie głowy Najświętszej Panny czynią. Pasy ich i tuniki są, zwłaszcza w dni świąteczne, z barwistych, jasnych materyałów. Już w VI wieku wysławioną była piękność kobiet z Nazaretu, co pobożny pielgrzym przypisywał szczególnej łasce Matki Boskiej. Już dziećmi są one bardzo ładne i wesołe, bardzo grzeczne, układne, co jest skutkiem szkół misyjnych, szczególnie zajmujących się dziewczętami, których położenie w rodzinach arabskich jest o wiele niższe, niżeli chłopców. Tylko urodzenie syna bywa tu witane radośnie, córkę uważają za niepotrzebnie ciężary rodziny powiększającego członka i zwykle obchodzą się z nią surowo: dlatego może Arabka, żyjąca od dzieciństwa w poniżeniu, ma taki smętny, tęskny wyraz swoich pięknych dużych oczu, które przez łagodną słodycz spojrzenia mimowoli za serce chwytają. Wielkiem jest szczęściem dla biednej tej istotki młodej, gdy się dostanie do szkoły, które tu utrzymują wszystkie trzy wyznania chrześcijańskie: katolickie, greckie i protestanckie. Nazaret liczy sześć tysięcy mieszkańców, niemal wyłącznie Arabów.

Cały pierwszy dzień pobytu mego tutaj poświęciłem wyłącznie zwiedzaniu miejsc historycznie świętych. Byłem też i w synagodze, którą tradycja miejscowa uważa za bardzo starożytną, najstarszą budowlę w mieście — tę samą, w której według Ewangelii św. Łukasza Chrystus bywał; chłopięciem mędrców słuchał i sam nauczał.

Przecież nazajutrz chciałem poznać żywe życie, które się tu, na tym starożytnym gruncie wielkiej przeszłości, obecnie rozwija. Z pierwszym brzaskiem słońca, jak wogóle na Wschodzie, budzi się tu ono w sposób przecież, który ani wdzięcznym ani poetycznym bynajmniej nie jest. Ledwo że pierwszy promień różowego jeszcze światła wyraźnie naj-



Okręt napowietrzny hrabiego Zeppelina.

wyżej strzelający tu w górę minaret tureckiego meczetu, wnet jedyni stróże nocni miasta, niezliczone sfory psów, które można nazwać dzikimi, bo bezpańskie są, nienależące do nikogo i żywiące się własnym przemysłem, jak we wszystkich miastach Wschodu — zaczynają na pobudkę wyć i szczekać tak, że i ludzie zbudzić się muszą. Najpierwszymi istotami ludzkimi, które się na ulicach ukazują, są kobiety, w szafirowych, czerwonych, pomarańczowych osłonach głowy, które tu tak na czoło spadają i są koło twarzy i szyi udrapowane, że głównie oczy tylko błyszczą, a te ich różnobarwne osłony rozveselają oko i miastu zaraz z rana dają oryginalny wygląd. Kobiety te zbierały dnia poprzedniego gałęzie w lesistych wąwozach gór i śpieszą teraz do miasta, aby je sprzedać, zasiadają na rynku i znużone oczekują w cichości na kupujących, których nigdy nie braknie.

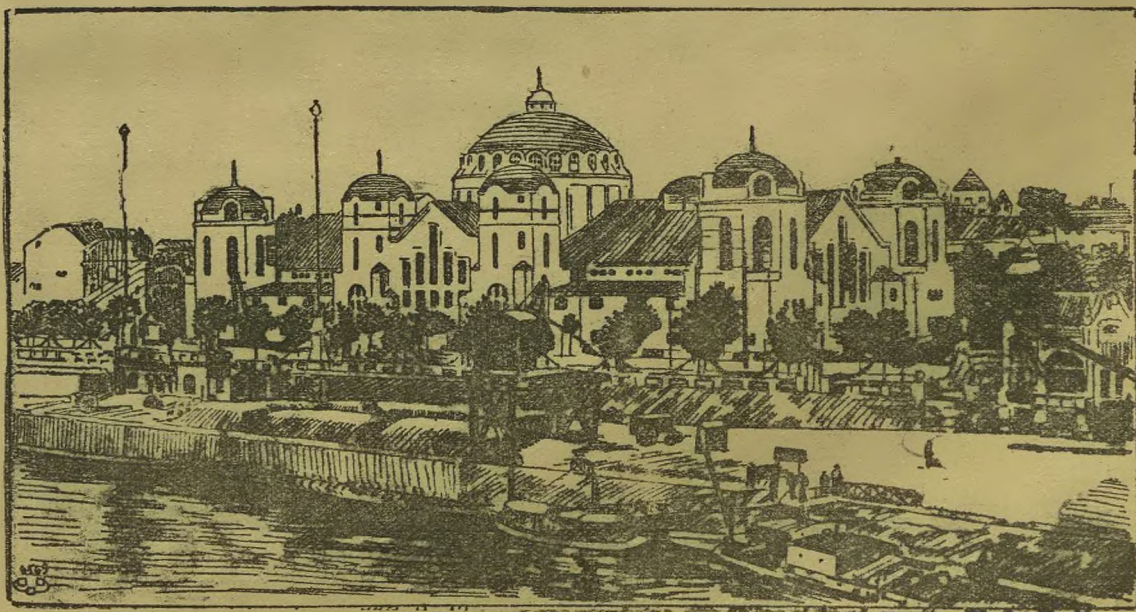
Kobieta wschodnia jest wogóle cicha i, powiedzieć można, pokorna, zgadzająca się łagodnie ze swoim podrzędnym położeniem i uznająca w mężczyźnie pana. Zaraz też licznie przybywający nabywcy drzewa dają to poznać po sobie, a rynek zaludnia się z każdą chwilą coraz to innymi postaciami, ciekawymi dla oczu Europejczyka, którego wzrok spotyka coraz to nowe, nieznane sobie typy.

Pasterze przepędzają stada swoje przez rynek z nawoływaniem tak głośnem, jak gdyby to się działo gdzieś wśród pastwisk samotnych, a nie w mieście i o tej porze, w której większość mieszkańców może spać jeszcze. I zdają się też oni pełnić rolę pobudki i capstrzyka miejskiego, bo zaraz wkrótce rozmaici przekupnie zaczynają rozkładać się na rynku, kłócąc się pomiędzy sobą zapamiętałe a wysławiając zarazem doskonałość towaru, na który chcą zwabić kupca. Piekarze, nosiwody, owocarze przeciskają się ze wschodnią zręcznością wśród tworzącej się już ciżby, która zdaleka ukazuje wrozkowi patrzącego tylko białe turbany i czerwone fezy, a Europejczykowi trudno jest wy-

obrazić sobie, jaką jest przy tem wymiana obustronna wyzywań, pogroźek najrozmaitszych, bo mieszkańcy Nazaretu są podziśdzeń tak niespokojnej natury, jak za historycznej przeszłości Palestyny, gdy Nazarejczyk znaczył łamiącego prawo gwałtownika. Ale te arabskie, po większej części wysokie, smukłych kształtów chłopcy z bosemi nogami, rozprawiają się między sobą tylko na języki, używając ich przecież z taką szybkością i razem zaciętością, że Europejczyk stawa odurzony i lęka się co moment rozlewu krwi, do którego przecież nie przychodzi. Plac rynkowy i wychodzące nań ulice stają się tymczasem widownią innego ruchu i innych obrazów życia wschodniego: wynoszą się tu i ustawiają stragany, warsztaty, bo na Wschodzie wszelki rzemieślnik pracuje na ulicy, przeciskają się przez tłum obładowane wielbłądy i osły, których ryczenie odzywa się razporaz wśród wrzawy zmieszanych głosów i sztukań najrozmaitszych, gdy tymczasem owe psy, nienależące do nikogo, zuchwale przeciskają się między nogami ludzkimi, szukając sobie łupu do upolowania, co dokonywa się nieraz w zadziwiający Europejczyka sposób, gdy taki pies chwyta zpod ręki ludzkiej jakąś sztukę drobiu, porywa i unosi jakiś kawał mięsa, z którym w tłum uchodzi.

Po bokach rynku, po rogach ulic oko spotyka grupy malownicze, jakich nie brak nigdy żadnemu z miast wschodnich. Żebracy: sędziwi starcy w turbanach, w zawojach, siedzą na ziemi po kilku i wzywają miłosierdzia ludzkiego, lecz tym starość odbiera żywność wschodnią, a choć i oni wzywają liłości ludzkiej głośno, ale jest w tym głosie starość jakaś konieczna przeciągłość i smętność, która daje ich natrętnej prośbie nutę wzruszającą. Jest między niemi mnóstwo ślepców i stanowi to jedną z klęsk miejscowych — ślepotą rozszerzona w sposób, jakiego się nie spotyka nigdzie.

Przypisują to szybkim zmianom pogody i oświetlenia tak, jak i zabobonowi, przez który Arabki po-



Budynek dla obrad generalnego zjazdu katolików niemieckich w Dyseldorfie.

Katolicy w Niemczech łączą się silnie ku obronie i nauce. Posiadają doskonałą organizację, która od dziesiętna lat co rok lub 2 lata urządza generalny zjazd po rozmaitych miastach. Tego roku od 22 do 29 sierpnia odbędzie się zjazd w Dyseldorfie nad Renem. Tam postawiono kosztem 65 000 m. (32 000 rubli, 80 000 koron), rozległy budynek 90 metrów długi, 18 metrów wysoki a 42 metrów szeroki w stylu bizantyjskim, z 8 kopułami, których główna ma 33 metrów wysokości, w której zmieści się do 15 000 uczestników.

zwalają muchom obsiadać jak najęściej małe dzieci z tej racji, że je to osłania przed urokiem złego oka. Już-to zabobonność tego ludu jest nieopisana, podobnie jak i zachowawczość. Naruszyć zwyczaj, zaprowadzić jakąś zmianę w sposobie życia, jest u Arabów czemś, co odpowiada grzechowi przeciw przeszłości, pojętej w jej zwyczajach i obyczajach religijnie, i z tej to przyczyny spotyka się wśród tych śniadoliczych synów pustyni rzeczy, które się zdają być obrazami wziętymi żywcem z Biblii.

Wracając do żebraków, należy dodać, że nie spotyka się nigdzieindziej takiego, jak tu, miłośdizia, bo religia Mahometa czyni człowiekowi z uczynków miłosiernych najpewniejszą furtę do nieba i jej wyznawca, gdy nie ma już nic do dania ubogiemu, nawet kilku suszonych daktyli, przychodzi biedakowi choć z posługą jakąś, naprzykład, poda niewidomemu rękę, aby go bezpiecznie wyprowadzić z zaułków, wśród których mógłby się łatwo zgubić. Ale cięższą, niż ślepotą, klęską jest dla tych stron Wschodu trąd. Ci nieszczęśliwi, których dotknie, bojaźliwie, nieśmiało trzymają się na uboczu i tylko wyciągają do przechodnia miseczkę, prosząc zcicha o jałmużnę, którą w ten sposób można im dać, nie dotykając się ich, nie zbliżając nawet zbyt. Trąd jest okrutną plagą tych okolic, o której już wiemy z ich dawnej historii. W Jeruzalem jest wniesiony przytułek dla trędowatych, lecz jeden zakład taki snadź nie wystarcza, aby zgarnąć wszystkich, i nieszczęśliwi wiodą życie najokrutniej bolesne wśród cierpień i niedoli wszelkiego rodzaju, oddzieleni od reszty ludzi nieprzebitym murem wstrętu i obawą zarazy.“



ZDANIA I MYSLI

Bohdana Zaleskiego.

Bóg mocarz straszny! skinie jeno niech z wysoka,
A planeta bez śladu szczęście w mgnieniu oka.

—o—

Za jaką, taką miłość, za trochę jałmużny,
Śmiertelnikowi Pan Bóg już na wieczność dłużny,

—o—

Im wyżej, wyżej wzbijasz ponad ziemię ducha,
Tem większy cię napelnia spokój i otucha.

—o—

Pożądliwości ciała dopóty w nas drzemia,
Dopóki duch w gościnie kędyś ponad ziemią.

—o—

Ludzkość rychło się w ziemi żywcem już zagrzebie,
Bo zapiera się Pana swego, który w niebie.

—o—

Cywilizator z krzyżem w ręku, to mąż Boży —
Z iglicówką — to czarta syn, spuszczone z obroży,

—o—

Tylko przy białej świetle prawdziwej pokory,
Ujrzysz we wnętrzu swoim prawdziwe potwory,

—o—

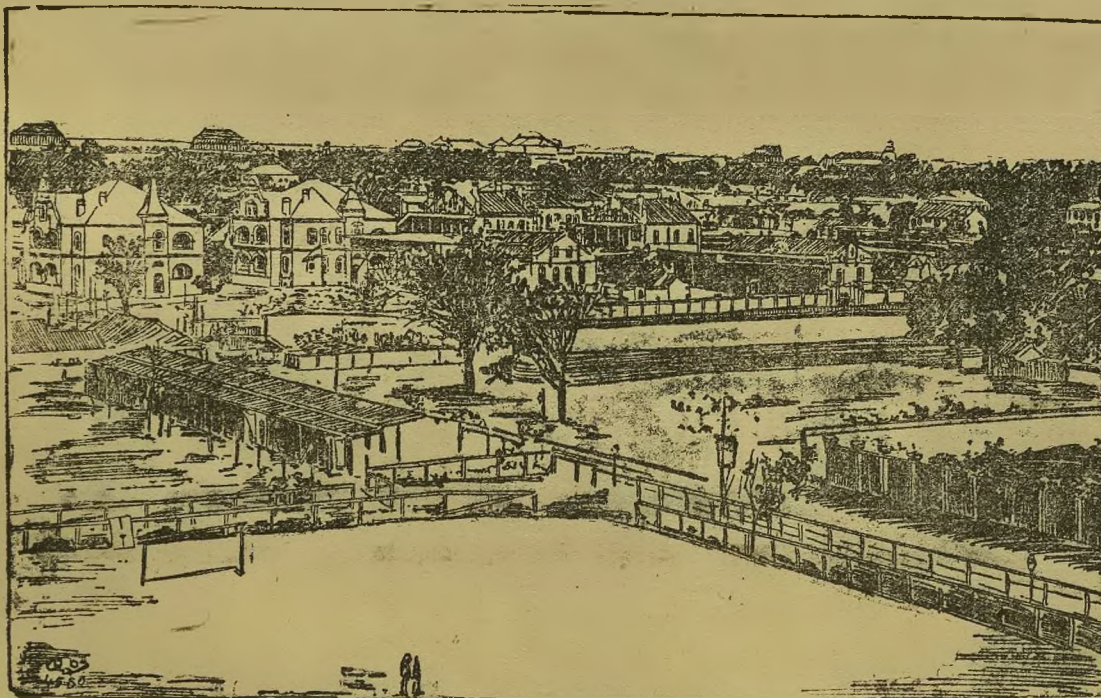
Walczyź dzielnie, gdy życie ziemskie boowaniem,
Im więcej blizn, tem śmieiej przed hetmany staniam.

—o—

Każdy przedmiot maleje w oczach albo rośnie
Wedle tego, czy patrzysz wstrętnie czy miłośnie.

—o—

Przez wiek cały już nigdy bez zgryzot nie uśnie,
Kto młode lata swoje przemarnował gnuśnie.



Niemieckie koszary (kasarnie) w Pekinie.

Straszny pożar szerzył się przed kilku dniami w koszarach niemieckiego wojska w Pekinie. Morarstwa mają w Pekinie oddziały wojska, które strzegą pałaców poselskich. W koszarach był zapas amunicji, która wskutek pożaru wybuchnęła. Kilka niemieckich żołnierzy z tego powodu poniosło śmierć lub ciężkie pokaleczenia, tak samo kilka francuskich żołnierzy, którzy przybyli z pomocą przy gaszeniu pożaru.

Nakładem „Górnoślązaka“, spółki wyd. z ogr. odpow. w Katowicach. — Za redakcyę odpowiedzialna Janina Omańkowska w Bytomiu. — Czcionkami „Katolika“ spół. wyd. z ogr. odpow. w Bytomiu.

O SERCU.

II.

Czułość siostrą dobroci, i nierozdzielną jej towarzyszką nazwać można! Kto prawdziwie dobry, ten i czułym być musi. Mieć łyzy dla smutku, radość dla uciechy, dzielić szczerze cudze cierpienia, cieszyć się z przyjaciół powodzenia tyle jak z własnego, w ich szczęściu swoje znajdować, największe czynić ofiary dla ich pomyślności, słowem: umieć kochać, te są własności tego uczucia. Czułość wydoskonala to, co dobroć zaczęła, nowego dodaje blasku jej sprawom; równie jak ona zdaje się być instynktu jakiegoś skutkiem; jakoż nigdy zastanowienia nie jest dziełem napelnia serce bez naszej wiedzy, kieruje nami, a my o tem nie wiemy. Często na opowiadanie pięknego czynu, na widok nędzy, na słowo malujące cnotliwe uczucie, już ją zdradzi łza w oku, słodki uśmiech lub lekkie westchnienie; kiedy jeszcze nie wiemy, że wznieconą została. Lecz nie będę się tu rozwodzić nad wdziękami i powabami czułości: mężczyznom zachwalałaby ją trzeba, i zachęcać do niej; kobietom tak jest wrodzona, że w nich uskramiać ją więcej, niż podniecać potrzeba. Ona najczęściej wszystkich ich błędów jest przyczyną. Ta zbyt czułość truje najpomyślniejsze chwile, napelnia serce i głowę niebezpiecznymi marzeniami; inaczej nam ludzi, świat i wszystko wystawia; niesprawiedliwymi, niewdzięcznymi i nieszczęśliwymi nas czyni, bo chcąc wszystkich widzieć do siebie podobnymi, rozsądek mamy za nieczułość, a sprawiedliwe widzenie i czucie każdej rzeczy za okrutną obojętność.

Kiedy kto łączy prawdziwą dobroć z rozsądną czułością, łatwo w swem sercu delikatność mieścić może. Skutek powabny i zachwycający dwóch tych uczuć, owoc dobrego wychowania, delikatność nigdy godnie ani opisaną, ani wysłowioną nie będzie. Ten nawet, co ją czuje, zgadnie tylko, lub ceni, a nikt nie potrafi wydać wszystkich jej cieniowań, wyliczyć wszystkie ją zdobiące powaby. Umyka przed piórem, nie daje się wysłowić, myśli nawet ledwie się objąć pozwoli, serce tylko zawsze zgadnie ją i uczuje. Ona dobroci i czułości podwaja ponęty, ona uczy jak pochwałąm wdzięk nadać nowy, jak przykrość odjąć naganie, jak przestrogi i napomnienia miłemi uczynić; za jej pomocą wie dopiero człowiek, jak i kiedy być dobroczynnym? jak i kiedy przysługi czynić? Inne cnoty i uczucia chronią człowieka od złych i szkodliwych czynów, ona mu nawet myśleć nagannie zabrania. Kto delikatny, woli słyszeć niesprawiedliwą nagane, jak niezadowoloną pochwałę; woli największy błąd wyznać, niżli go ukrywać. Wdzięczność pamięcią jest serca, a delikatność spojrzeniem jego nazwaćby można; tak bowiem wie drogę do serc drugich, tak do nich przemawia, tyle trafności ma w sobie, iż zdaje się, że widzieć musi. Nie jest już ona instynktu dziełem, ma w sobie cokolwiek zastanowienia, a lubo tak jest doskonałą, łatwiej jej nabyć, jak czułości i dobroci. Słowem: tyle mają wdzięku te trzy uczucia, dobroć, czułość i delikatność, iż wnoszę, że starożytni ubóstwiający trzy Gracye, im część oddawali pod tą przenośnią. Jakoż we wszystkim zdają się być podo-

bane sobie. Wystawiano te boginie nagie lub bez wykintu ubrane; równie dobroć, czułość, delikatność, wtedy tylko zachwycają, kiedy są naturalne i bez przesady. Gracye zawsze były młode, serca wdziękem czas szkodzić nie może. Gracye malowano razem trzymające się za ręce; trudno rozdzielić przymioty, o których tu mówię; powinnyby zawsze towarzyszyć sobie; a co podobniejszem jeszcze do prawdy mniemanie to czyni, to ta uwaga, iż Gracyom powierzyli starożytni piękne prawo towarzyszenia dobroczynności; a któż bez dobroci, czułości, delikatności, prawdziwie dobroczynnym być może? ten nawet, który ich razem w sercu swem nie łączy, nigdy nim być nie potrafi. Dobroć, wsparcie tylko daje nieszczęśliwemu, czułość dzieli i obciera łyzy jego, delikatność zapominać mu każe i o nędzy i o dobrodziejstwie. Bo ileż dobry uczynek traci z swej wartości, kiedy wsparciem jest tylko? kiedy ten, co go czyni, nie dołącza słodkiej liłości, i długo o niem pamięta?

O szczerości mówić mi jeszcze zostaje. Szczerość jest miłością prawdy, tej bogini tak strasznej dla wielu ludzi, przed którą każdy niemal się chroni, a nikt uniknąć nie potrafi, bo ją każdy w sobie nosi. Szczerość nie jest uczuciem; prędzejby ją cnotą nazwać można, ale że w każdym prawem sercu ma swoje mieszkanie, umieszczę ją w tym słabym serca opisie. Szczerość pięknym jest przymiotem; zdobi czule serce, bo czytać w niem pozwala; łatwą jest do zachowania, kiedy postęпки nasze takimi są, iż ich ukrywać nie mamy potrzeby. Niech zawsze prawda w twoich będzie ustach; niegdy tego nie udawaj, co nie czujesz, nigdy tego nie czuj, co byś kryć musiał. Miłość prawdy tak jest drogim, tak kosztownym darem, że w najmniejszej rzeczy ubliżać jej nie potrzeba; nie tylko w czynnościach, uczuciach, ale nawet w mowie ją szanuj. Na tym świecie jednak nie zawsze zupełnie szczerym być można, doskonalszychby na to trzeba ludzi; niebezpiecznie każdemu wady jego wyjawiać; często człowiek przymuszony jest żyć z osobami, których nie lubi, i względy okazywać tym, dla których nie wiele ma szacunku; wtenczas ukrywanie prawdy kosztującą, ale istotną staje się zaletą; wyjawienie zdania swego nie byłoby szczerością, ale grubiaństwem.

(Z „Pamiętki po dobrej matce“ A. L. Tańskiej.)



PRZYGODA KALEDA.

Przypowieść wschodnia, którą opowiedział dzieciom swym Adam Mickiewicz.

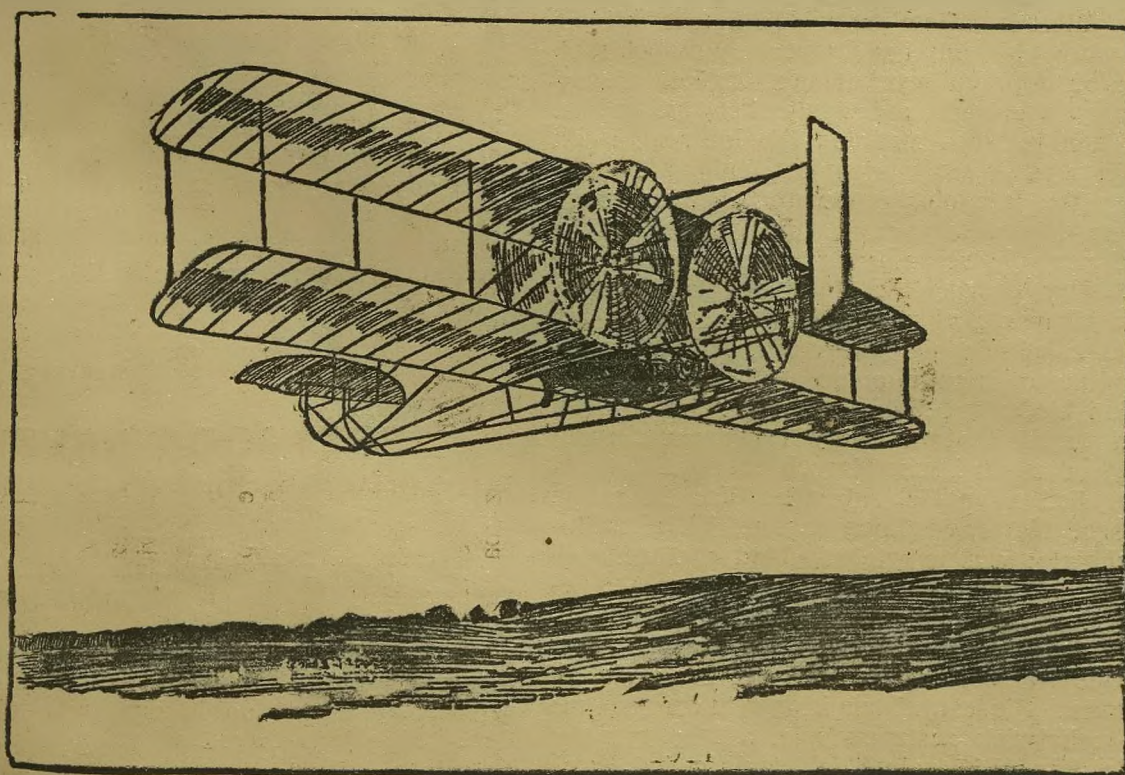
„Pewnego podróżnego zaskoczyła raz na morzu straszna burza. Wkrótce wiatr zerwał żagle, maszty połamał, i przekonano się, że nie już nie zdoła uratować okrętu wpędzonego na skały. Wobec niechybnego rozbicia, majątkowie próbowali wpław się dostać do brzegu, widniejącego im w dali. Skoczył i Kaled w spienione fale, ale rychło chycony nagle wirami podwodnym, ogłuszony, wnet stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, obaczył się leżącym na piasku morskiego wybrzeża. Burza już ucichła — bałwany, które tak gwałtownie niedawno się miotaly, ledwie wzdymały te-

raz modrą powierzchnią wód, ale nie dojrzał nigdzie śladu okrętu, ani nawet jego szczątków. Widocznie odczłapał wszystko pochłonięta i nikt prócz Kaleda nie ocalał; lecz ledwie uszedł niebezpieczeństwa, zagrażała mu znowu śmierć straszniejsza jeszcze od tej, którą zginęli jego towarzysze. Sam jeden, bezbronny, nagi (bo odzież zrzucił był z siebie na okręcie, aby nie zawadzała mu w pływaniu), cóż miał począć w tym kraju nieznanym, może niezaludnionym wcale, a może zamieszkanym przez ludożerców? Wtem gdy tak rozpaczliwie dumał nad swem położeniem, dojrzał w oddaleniu tłum jakiś, idący w jego stronę. Przyczajony za odłamkiem skały, patrzył, jak zbliżali się ku niemu ludzie widocznie nie dzicy. Barwne mieli ubrania, lśniąca broń, postępowali w ścisłe zachowanym porządku, w pośrodku niesioną bogatą palankin. Co najbardziej zadziwiło Kaleda, to że kroczyli wprost ku niemu, jak gdyby wiedzieli, w jakim miejscu się chroni nieszczęśliwy rozbitek. Wreszcie znaleźli się o kilka kroków tylko od niego. Wówczas wystąpił naprzód jeden z orszaku, niosąc pyszne szaty, a na nich złotoną szablę, jaśniejącą oprawą z drogich kamieni i przyklękając przed zdumionym Kaledem, rzekł najczystszą arabską mową: „Wodzu nasz, racz przybrać się w oznaki swej godności i pozwól, aby cię niewolnicy twoi zanieśli do stolicy, gdzie ciebie wygląda lud wierny, do pałacu, gdzie dwór oczekuje swego pana.

Nim Kaled zebrał się na odpowiedź, już zręczne ręce niewolników przyoblekły go w szaty wspaniałe, i ujrzał się siedzącym w złocistym palankinie, wzniesionym wysoko ponad kornie chylące się wokoło głowy. Przed bramą miasta stały uszykowane pułki wojska, i wśród oznak ra-

dości ludu wprowadzono Kaleda do pałacu. Tam ministrowie, wszyscy dostojnicy i urzędnicy państwa kolejno ofiarowali mu swe służby, oprowadzając go po gmachu, w którym znalazł wszystko, o czem tylko mógł kiedy zamarzyć. Zrazu niedowierzający jeszcze swej własnej potędze, Kaled nieśmiało próbował rozkazywać, ale gdy się przekonał, że istotnie jest władcą owego kraju i to władcą absolutnym, że najmniejsza jego zachcianka jest prawem i że bez żadnego ograniczenia wszyscy ulegają każdemu jego skinieniu, zaczął rządzić, w niczem już nie krępując rozmaitych swych fantazyi. Nikt nie protestował, choć wódz we wszystkim własnej tylko szukał przyjemności i zabawy, a poważniejsze sprawy odkładał zawsze na czas późniejszy. Żaden z panów nie przekładał mu, że wypadałoby młodemu wodzowi zasięgnąć rady starszych i doświadczonych, poznać gruntownie stan swego kraju i potrzeby podwładnych, Kaled zaś był przekonany, że mądrością i znajomością wszech rzeczy nikt mu dorównać nie może, i że sztuka panowania ogranicza się na tem, aby jemu samemu było dobrze.

Po kilku miesiącach takich rządów, a raczej takiego używania, gdy raz w dzień słotny nie chciało mu się ani polować, ani z tarasu pałacowego przypatrywać się obrotom dzielnych jeźdźców swych, ani uczyć wyprawiać, słowem gdy się nudził i czas lecący dotąd z szybkością błyskawicy jakoś mu się dłużył, zastanowił się po raz pierwszy nad dziwną swych losów koleją, i jasne pasmo jego myśli zachmurzyła nagle zagadka, której (sam się teraz temu dziwił) od wyniesienia swego nigdy ani razu nie był wziął na uwagę, umysł wciąż mając zaprzątnięty czem in-



Przyrząd do latania w powietrzu braci Wright.

W Le Mans w Francyi Angliocy, bracia Wright (mów Urajt), wzniesli się za pomocą nowego przyrządu w powietrze i przebyli drogę 4 1/2 kilometra długą, zataczając wielkie koło w powietrzu. Przyrząd zbudowany jest z drzewa i płótna, 2 metry szeroki a 2 1/2 metry wysoki. Płótno rozciągnięte jest w ramach z drzewa. Mała maszyna (motor) pędząca przyrząd i lawka do siedzenia znajduje się w środku pomiędzy szcianami z płótna. Motor pędzi dwie śruby, które rozgarniają (poruszają) powietrze. Stery znajdują się na przedzie i w tyle. Bracia Wright robią dalsze próby, aby przyrząd ulepszyć.

nem. Klasnął więc w dłonie i przybiegającemu niewolnikowi kazał pójść zawołać starszego wezyra. Po chwili już się stawił starzec siwobrody, pokornie chyląc przed swym panem poważną postać, latami zgarbioną.

— Powiedz mi — zagadnął Kaled — jakim sposobem się to stało, że w chwili, kiedy przypadkowe zdarzenie, burza, wyrzuciła mnie na wasz ląd, wyście mnie już oczekiwali i przyszli spotykać? Zkądżeście wiedzieć mogli o moim przybyciu? Dlaczego znalazłem wówczas właśnie tron ten opróżniony?

— Panie — odpowiedział wezyr — taki już u nas porządek rzeczy, że w pewnych odstępach czasu, mniej więcej co rok, powstaje wielka burza i morze wyrzuca nam tego, który ma być naszym wodzem. Gdy więc wichur zwiastuje nam, że chwila ta nadeszła, idziemy go witać.

— A cóż się dzieje z tym, który był wprzód? — zapytał wódz zaniepokojony nagle.

— Mamy prawo odwieczne, że przed nowym władcą dawny ustąpić musi, więc wówczas wsadzamy wodza do łódki z tem co miał na sobie, kiedy do nas przybył, to jest z niczem, bo naglego zawsze fala do lądu przynosi, i odwozimy go na kalistą i odludną wysepkę, tak oddaloną, że wcale jej stąd dojrzeć nie można. Tam poprzednik wasz, porzucony sam jeden, wielką teraz nędzę znosić musi...

— Dlaczego nie ostrzeżono go o tem zawczasu?

— I owszem, ja sam mu zapowiedziałem, co go czeka.

— A czy nie mógł przygotować sobie czego na tej wyspie? — badał dalej Kaled ze wzrastającym niepokojem.

— Nic mu ku temu nie stało na zawadzie, bo rządził tutaj wszechwładnie, tak jak wy dzisiaj. Mógł tam przewieźć jakie tylko chciał zapasy i skarby, mógł pałac budować, ogrody zakładać i wyspę tę w rozkoszną zamienić siedzibę, ale...

— Ale? — powtórzył zaciękwiony Kaled.

— Ale wysepka pozostała dotąd pustą i nagą, bo żaden z panujących nie chciał wierzyć, że wkrótce dla niego wybije ostatnia godzina tych rządów, i zawsze łudził się, że na dalekie jakieś tam przygotowania będzie miał aż nadto czasu.

— To chyba moi wszyscy poprzednicy byli pozbawieni rozumu! — zawołał Kaled, ruszając ramionami. — Jakże inaczej wytłómaczyć sobie taką lekkomyślność, takie zaślepienie!

— I ty to ich sądzisz? — odpowiedział wezyr głosem, którego potężne brzmienie tak przeraziło Kaleda, że zadrżał cały, i zdało mu się, że mury pałacu się nad nim chwieją. Spojrzał na zuchwalego starca i osłupiał, widząc zdumiewającą zmianę w obliczu pokornego dotąd sługi. Wyprostował się nagle, odmłodził, twarz jego nieziemską zajaśniała pięknnością, z oczu strzelił płomień jasny a groźny.

Nazywasz ich szaleńcami — mówił dalej — a ty czyż nie postępujesz tak samo, ty, który w krótkim życiu ziemskim myślisz tylko o dzisiejszej chwili, o dobrach znikomych i przemijających, a nigdy się nie troszczysz o zabezpieczenie swego losu na tamtym świecie?

I rozplynęła się w mgle świetlanej anielska postać, zniknął pałac królewski, Kaled obudził się ze snu, do którego był go ukołysał ruch okrętu, płynącego bezpiecznie po morzu.

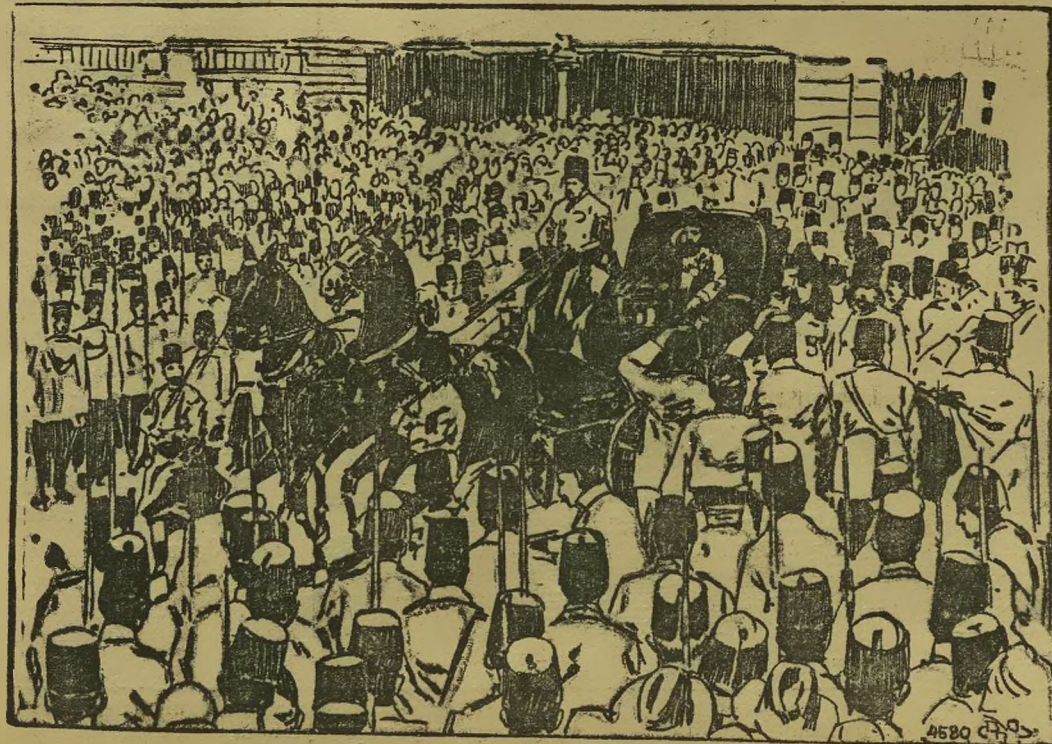


WZNIOSŁE PRZYKŁADY.

Aniolowie-Stróże sierot.

Tą nazwą, najpiękniejszą z tytułów, zostały obdarzone siostry Wirginia i Helena Train.

Wychowane w dobrym bycie, nagle znalazły się bez żadnych środków do życia; młode i zdrowe o siebie niewiele się troszczyły, lecz miały, jeszcze ojca kalekę i matkę niewidomą.



Pierwszy wyjazd sułtana po ogłoszeniu konstytucji.

Sułtan turecki co piątek wyjeżdża z swojego pałacu Jildiz Kiosk do meczetu (świątyni maho-metańskiej) Hamidie na uroczyste nabożeństwo, które się nazywa Selamlikiem. Gdy w pierwszy piątek po ogłoszeniu konstytucji czyli głównego prawa państwowego wyjeżdżał na selamlik, uradowani mieszkańcy Konstantynopolu wznosili okrzyki na jego cześć i na cześć konstytucji. Sul-tan dziękując podniósł się w powozie, aby go wszyscy dobrze widzieć mogli.

Ten ciężar, tak święty dla każdego dziecka dla siostr był błogosławieństwem ich pracy. Zabezpieczając rodzicom swoim wszelkie wygody i pomoc, powzięły zamiar założyć przytułek dla sierot.

Zamiar taki przestraszyłby niejednego nawet potentata finansowego; przytułki, jeśli mają być swój utrwalić, wymagają zakładowych kapitałów, wymagają ciągłych, nieskończonych prawie ofiar. Siostry znały wartość pieniędzy, wiedziały, że bez nich nie zrobić nie zdołają, a jednak nie uznały zamiaru swego za nieprawdopodobny do spełnienia, chociaż kryły się z nim, aby nie ściągnąć na siebie szyderstwa.

Rozpoczęły swe dzieło skromnie, cicho, rozpoczęły od spełnienia osobiście wszystkich posług około niemowląt-sierot. Wynajęły ubogi dom, w którym zgromadziły trzydzieści trzy sierotki; niektóre z nich nie miały więcej nad dwa lata, a większa część pokryta była ranami i dotknięta chorobami zabójczymi dla nierozwiniętego organizmu.

Siostry spełniały rolę matek, wychowując sieroty pracownice samodzielne, które po dojściu do dwudziestego roku życia szły w świat jako służące, pracownice warsztatów, dozorczyńce dzieci.

Gdy szpitale zmuszone były skutkiem spełnienia szukać schronienia i opieki dla pewnej liczby sierót poza swymi murami, część ich oddano pod opiekę siostrTrain. Fundusz udzielany przez powiat był tak mały, że nikt nie chciał i nie mógł za niego dzieci jakotako utrzymać, siostry jednak na wszystko się godziły, i czemu nie mógł poradzić rachunek, temu zaradziło poświęcenie.

W przytułku pomocnicie nie było, siostry same spełniały wszystkie posługi, zajmując się nawet kuchnią; równocześnie opatrywały rany, i uczyły alfabetu i katechizmu. W miarę jak sieroty dorastały starsze i silniejsze z nich przeznacza-

ne były do prac w ogrodzie; tym sposobem mała kolonia zaczęła powoli na siebie pracować, a siostry Train, spieniężając produkta ogrodowe osobiście na targach w mieście, gromadziły nawet małe oszczędności.

Rzadko też czuć było niedostatek w przytułku, a jeśli nadeszła chwila krytyczna, że nie było co jeść, nie cierpiały na tem nigdy sieroty, bo siostry oddawały im swój chleb, same znosząc z uśmiechem post z miłości dla małych i słabych.

Wytrwałością przełamały wszystkie przeszkody; coraz lepszy był zaczął się utrwalać, zamożność widoczną była na twarzyczkach sierotek; wówczas ludzie, widząc nieustanną pracę siostr Train, dziwili się, że nie myślą o odpoczynku, o wyręczeniu się kimś innym. Na to siostry odpowiadały, że pracować muszą, bo mają w tem swój cel.

Cel ten był tajemnicą; pracą bez wytchnienia, rzadnością gromadziły zasoby, bogaciły się. Były właścicielkami pięknego domu i kilku morgów ziemi; ale bogactwo takie nie ma wspólnego z pragnieniem użycia i spoczynku, do czego zresztą każdy człowiek po pracy całego życia ma wszelkie prawo.

Cały swój majątek zapisały jako fundusz żelazny na utrzymanie przytułku.

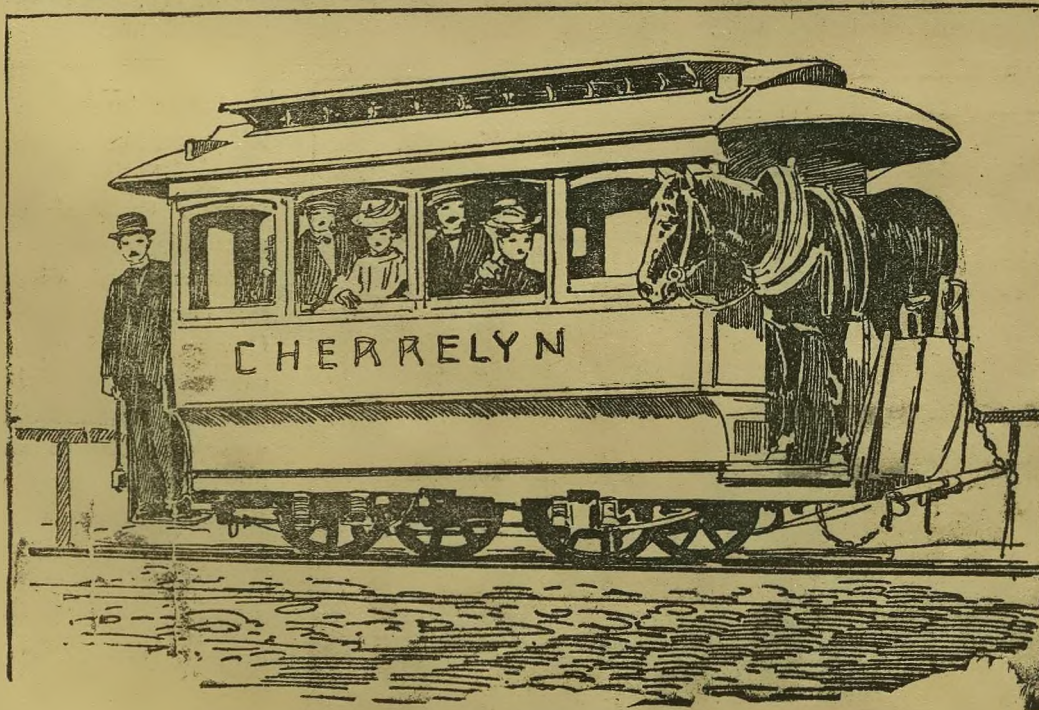
Owoc ciężkiej trzydziestoletniej pracy jednym podpisem oddały sierotom, z którymi nie łączyła ich ani krew ani znajomość nawet.

I miłosierdzie ma swe szczytne dziwactwa!



ZDANIA I MYSLI.

Kto złemu dobrze czyni, ten tak na tem wyjdzie, jak chłop litościwy, który węzła skosniałego od zimna schował w zanadrze, a ten mu potem śmiertelną zadał ranę.



Kolejka elektryczna z koniem.

Pomiędzy Denver, stolicą Kolorado w Stanach Zjednoczonych w Północnej Ameryce, a przedmieściem Cherrelym wybudowano kolejkę uliczną pędzoną elektrycznością. Ponieważ ulica jest bardzo stroma, dla tego przed wozem elektrycznym idzie koń, który przytrzymuje wóz, aby nie zjechał, skoro na przystanku stanie a hamulce jeszcze nie przykręczone. Z powrotem koń wchodzi na wóz, który własnym ciężarem zjeżdża na dół do miasta.



PIĘKNOŚĆ DUSZY.

W przedostatnim rozdziale upominałam cię córko moja! abyś pilnie nad ozdobą swej powierzchowności czuwała, jednak nie spodziewam się, abyś kiedyś więcej przyłożyła starania do upiększenia ciała twego, niż do ozdobienia duszy. — Czyż nie jest sprawiedliwiej, aby kwiat przewyższał w piękności naczynie, w którym rośnie? aby obraz kosztowniejszym był od ram go otaczających? Ciało nasze do ram i naczyń, duszę do obrazu i kwiatu przyrównać można.

Dusza najważniejszym przedmiotem starań naszych być powinna; kiedy nie ma wartości, cóż może znaczyć ciało, to doczesne jej mieszkanie, choćby też i zachwycające było! jakże mało ma wtedy ceny najpowabniejsze ułożenie! Dusza naszego życia jest źródłem, i w niej jedynie rzetelna piękność. Wdzięk ciała i ujmująca powierzchowność, zwodniczeni są tylko ponętami, skoro nie zgadza się z niemi wewnętrzna istność człowieka. Piękność ciała dać nam jest niebios, lecz kiedy jej wdzięki trwalsze nie towarzyszą, niema prawie żadnej wartości w oczach rozsądnych ludzi; nie przyda się na wiele, minie prędko, żal tylko zostawiając po sobie. Przeciwnie wdzięk ciała złączony z wdziękiem duszy, nieocenionym jest skarbem. Kobieta łącząca w sobie powaby piękności z pociągami tkliwego serca, ponęty rozumu z wdziękami duszy, najdoskonalszem przyrodenia jest dziełem.

Piękność ciała tak dalece piękności duszy wymaga, iż się gniewamy, kiedy ją odosobnioną widzimy; zdaje nam się omyłką natury; i mojem zdaniem: kiedy komu nie dały nieba duszy stworzonej do cnót wielkich, kiedy mu odmówiły umysłu sposobnego do przyjęcia oświaty i nie obdarzyły serca, jego prawdziwą czułością i dobrocią, niech go już i wdzięków zachwycających ciała pozbawią; bo wtedy prędzej zaszkodzić, niżli pomódz mogą. Lepiej nic nie obiecywać i nic nie dotrzymać, jak wiele czynić nadziei, a nie uiścić żadnej. Każdy więcej od doskonałej piękności wymaga, ona się więcej od losu i ludzi spodziewa; gdyż zdawna przyzwyczajeni jesteśmy pewną widzieć harmonię we wszystkich dziełach boskich.

Pracuj więc nad nabyciem prawdziwej piękności; bo im ładniej wyrośniesz, im przyjemniejszej nabędziesz powierzchowności, tym każdy więcej po tobie wymagać będzie. A potem jeśli wypada starać się pilnie o mijające powaby; jakże nierównie usilniej pracować potrzeba nad zbogaceniem się wiecznie trwałymi wdziękami? Jakieżby człowiek tak był nierozsądny, iżby kazał wysadzać drzewami drogi, a jednego nie zasiał kwiatka koło mieszkania swojego. Najdłuższe życie w porównaniu z wiecznością zaledwie jest momentem! W chwili śmierci wszystko się kończy, wszystko znika. Ale na cóż i śmierci czekać; czyż starość nie niszczy zupełnie najdoskonalszej urody? Człowiek każdy dwa razy umiera, dwie są dla niego powodzie; pierwsza: kiedy go wiek sędziwy nachyli, druga kiedy kona. W pierwszej gubi wdzięki, powaby, zdrowie, i jeśli nie miał cnót, rozumu i przyjaciół, nic mu nie zostaje, w drugiej wszystko traci, cnotę tylko i nadzieję ratuje....!

Opis lasu Jawańskiego.

„Lasy Jawańskie *) nie wiele są podobne do europejskich, a to z tego głównie względu, że uczucie bojaźni kojarzy się tu zwykle z ciekawością. Ze wszech stron palmy z najeżonemi igłami, trzciny z ostrymi jak brzytwa liśćmi, odstraszają tego, kto się odważa wdierać w ich gęstwie. Wszędzie w głębi tych lasów napotyka się groźne pokrzywy, a wielkie czarne mrówki dręczą wędrowca równie boleśnie, jak chmury owadów przesładujących go na każdym kroku. Po przezwyciężeniu tych wszystkich przeszkód, spotyka on las bambusów, wznoszących do 50 stóp swe trzony grubości ramienia ludzkiego, i przedstawiających korę twardą, szklistą, opierającą się najgwałtowniejszym uderzeniom siekiery. Nakoniec wkracza pod majestatyczne sklepienie lasu dziewiczego. Olbrzymie drzewa chlebowe i żelazne, nie ustępujące w twardości żelazu, oraz rośliny strąkowe, z pękami przepysznych kwiatów baryngtonii, figowców i wawrzynów, tworzą tu kolumnadę utrzymującą wspaniałą zieloną kopułę. Z gałęzi na gałęź skaczące małpy, wydróżniają się wędrowcowi, obrzucając go owocem. W miarę posuwania się w gęstwinę, podróżny spostrzeżga orangutanga z poważnem melancholicznem wejrzeniem, schodzącego ze skały mchem obrosłej wspartego na pałce, którą sobie wśród gąszczu toruje drogę. Wszędzie tu napotykaś zwierzęta, co nadaje tym lasom całkiem odmienną fizjognomię, tak różną od wielu samotnych, nieożywionych puszczy leśnych Ameryki środkowej. Dostrzegasz tu rośliny pnące się, milionem łodyg spiralnych opasujących kolosalne drzewa, jakby je zdusić pragnęły. Ogromne liście połyskowne krzyżują się ze splecionymi lianami i wonnymi baldaszkami, suto obrzuconemi kwiatem białym z zielonawem odcieniem. To liście drzewa Kulczyby, którego korzenie dostarczają strasznego Upasu Radża, czyli Trucizny książąt.

Najlejsza rana zadana tygrysowi jataganem lub strzałą, zanurzonemi w tej truciznie, jest śmiertelną. Zwierz drży zrazu, przez kilka minut pozostaje nieruchomy, poczem pada jakby rażony piorunem, konając w dreszczach konwulsyjnych.

W dalszej wędrowce przez lasy Jawańskie, podróżny napotyka drzewo przewyższające wybijającym wzrostem wszelkie inne. Trzon jego walcowaty, gładki, na ośmdziesiąt stóp wyniosły, wieńczy przepyszna korona półkulista, panująca dumnie nad poniżej wzrastającymi krzewy. Bieda wędrowcowi, gdy ciała jego dotknie sok mleczny, zapelniający obficie czare tego zbrodniarza roślinnego. Za zetknięciem się kropki tego soku ze skórą, występują na niej prawie natychmiast pryszcze i wrzody. To Autżar Jawański, Pohan Upas Malajczyków, Ypo mieszkańców wysp Celebes i Filipińskich. Wszystkie te gatunki dają Upas, posługujący do zatrutowania strzał, co jest zwyczajem powszechnym na wszech wyspach Oceanu Południowego. Zwyczaj ten jednak już dziś gdziekolwiek zarzuconym zostaje, w miarę

*) Wyspa Jawa na Oceanie Indyjskim w strefie gorącej.

coraz szerszego wprowadzania w użycie w tych krajach broni palnej”.

„Wychodząc z gęstwi lasów dziewiczych, wędrowiec przebywszy wzgórze, naraz spostrzega obraz zniszczenia. Przed jego wzrokiem rozpościera się dolina płaska, bezludna, bez śladu roślinności, spalona ognistym żarem promieni słonecznych. To królestwo śmierci! Na tej ziemi strutej, widzimy tu i owdzie szkielety zwierząt, które w te miejsca wbiegły nieogłędnie. Z przeróżnych pól tych zwierząt odgadnąć można, w jakiej chwili życia śmierć ich zaskoczyła. Tu tygrys porwany został w jej szpony wówczas, gdy pochwycił swą ofiarę, tam znowu ptak drapieżny uczując na trupie zdobyczy, uległ temuż losowi.

Nagromadzone stopy żuków i innych owadów, świadczą, jak słusznie krajowcy nadali tej dolinie nazwę zatrutej. W rzeczy samej jest to Dolina Śmierci. Zabójcze jej wpływy pochodzą z kwasu węglowego, który z powodu swej ciężkości gatunkowej, gromadzi się w niewielkiej wysokości od powierzchni ziemi, podobnie jak w Psiej Grocie, istniejącej w bliskości Neapolu i w słynnej jaskini Pyramontu.

Gaz ten zabija wszelkie zwierzę, które się tu zabłąka; jeden tylko człowiek, dzięki swemu pro-

stopadłemu chodowi, może bezkarnie przechodzić te miejscowości, tak zgubne dla zwierząt mniejszym od niego cechujących się wzrostem, a to z tej prostej przyczyny, że zabójcze wyziewy, nie dosięgają jego głowy. Ciśnienie wywierane przez powietrze na płuca, na wyżynach Himalajskich, dosięgających 15,000 do 16,000 stóp, przypisują krajowcy jadowitym wyziewom niektórych roślin; podobnie straszliwe zjawiska Doliny Śmierci, pochodzą z wyziewów Upasu, tem groźniejszego, że niszczy życie w jednej chwili i niema środka któryby pokonał jego działanie”.

Nie zazdrościmy mieszkańcom stref zwrotnikowych Drzewa krowiego, chlebowca, bananów, kauczuku i całego bogactwa roślinnego, jakie tam flora rozciąga, gdyż obok czarów, znachodzimy tam wpływy rujnujące życie. Żaden ze znanych leków, nie zdoła zwalczyć owych trucizn zabójczych, które dotąd są plagą ludzkości. Wszystko to wskazuje, że obok jasnych promieni słonecznych światła zwrotnikowego, istnieją posępne cienie.

(Z dzieła przyrodnika Schlejdena.)

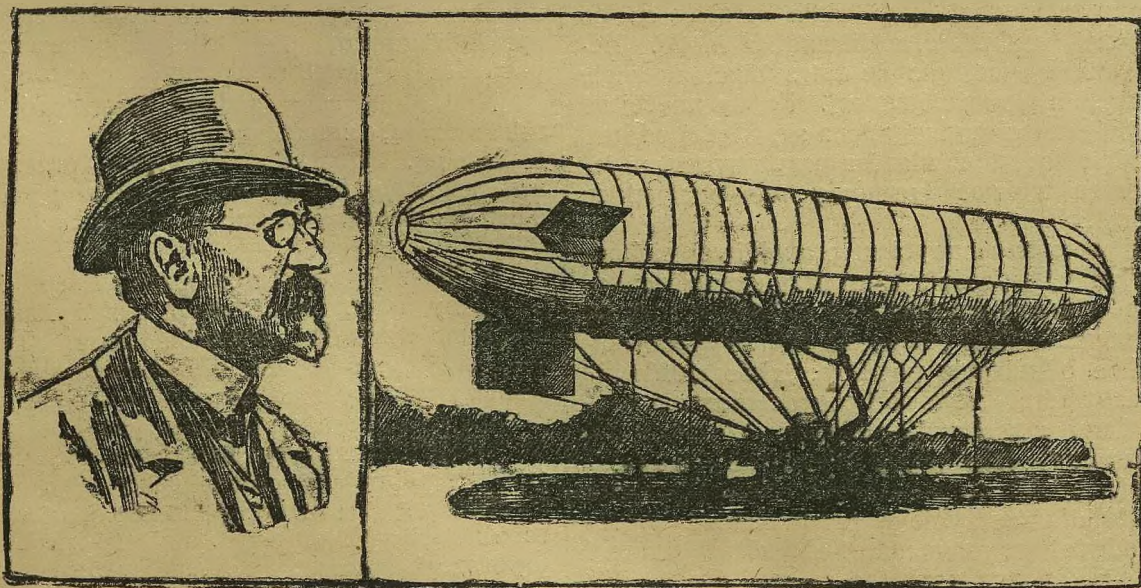


Okręt powietrzny Parsevala.

Bawarski major Parseval wynalazł okręt napowietrzny, który różni się od okrętu Wirtemberczyka Zeppelina tem, że nie jest całkiem sztywny, lecz tylko półsztywny, to znaczy, ugina się poniekąd. Parseval uważa, że taki okręt więcej wytrzyma, niż okręt zupełnie sztywny, który się łatwiej łamie.

metrów i różne manewry, które zajęły sporo czasu. — Jak sztywny okręt Zeppelina, tak półsztywny okręt Parsevala nie są jeszcze zupełnie doskonałymi. Przeto wynalazcy robią nimi rozmaite próby, aby nabyć większego doświadczenia i ulepszyć go według możliwości. Berlińskie ministerstwo wojny żąda od Parsevala próby 12 godzinnej, za nim odkupi jego wynalazek. Próba ta ma być niebawem złożoną.

Nadmienić wypada, że obecnie już każde więk-



W tych dniach w Berlinie okręt Parsevala zdał próbę. Bujał najprzód przez pół godziny w powietrzu, zataczał kręgi, to się podnosił, to zjeżdżał w dół, pędzony motorem (maszyną) i sterowany przez inżynierów, leciał przeciw wiatrom, robiąc przy tem 12 metrów na sekundę czyli 43 1/2 kilometra na godzinę. W następnym dniu po małej reparatorze, okrążył Berlin. W trzech godzinach, robiąc 80 kilo-

sze państwo posiada balony lub okręty napowietrzne, które urządza próby.

Niedługo pewnie i prywatni przedsiębiorcy (towarzystwa) będą urządzali przejażdżkę.



NA OBCYZNIE.

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zboż wesołą, a od jodeł smutną.
Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej łąkach leży płótno,
Rozbite skrzelką, co tryska z wód głębi,
Niech nad nią chmurka trzepioce się gołębi,
I puchy kwietne, i nitki pajęczne...
I w takiej skiby głębokie puść rolę,
I daj po brózdach te maczki jaskrawe,
I w sznur wyciągnij nad drogą topole,
I mgłę rzuc srebrną na łąki, na trawę...
I niech tak idą rozgłośnie po łanie,
Dzwonki jałowic i z biczów klaskanie.
Niechaj tak wierzby dumają u strugi,
Cień przedzachodni rzucając i długi,
I taką cichą błękitność daj w koło,
I pełne gwarów powietrze zrób ptaszych,
I taki tuman na gór połóż czoło,
A tylko ludzi zrób — naszych!

Marya Konopnicka.



Wzniośle przykłady.

Dozorczyni obłąkanych.

Wejźmy do szpitala obłąkanych Salpetriere.

Pożegnajmy na progu zdrowie, wolność, wesołość i młodość, bo za nim mieszkają ludzie tylko z nazwiska, mieszkają idiotki.

Paryż w ostatnich latach zbudował wspaniałym gmach dla obłąkanych, z dumą dobroczynność miasta może wskazać szpitala św. Anny, Ville-Evrarda, Hotel-Dieu.

Pomiędzy innemi przytułkami dla obłąkanych niema nowoczesnych ulepszeń, przerobione poczęści ze starych, historycznych budynków, nie mają ani dogodnego rozkładu, ani dostatecznej obszerności, szczególnie ciasno jest i duszno w szpitalu Salpetriere. Tu biedne dzieci w liczbie stu dwudziestu są nagromadzone w salach wilgotnych i ciemnych. Epileptycy nie są oddzieleni od spokojnych idiotów. Brak miejsca a temsamem powietrza i ruchu najgorzej oddziaływa na te nieszczęśliwe stworzenia. Podczas lata mają przynajmniej kilka godzin słońca, lecz w zimie przepędzają dnie całe w salach ponurych i zimnych, pod opieką dozorczyń, które niczem się nie wyróżniają od najemnic dbałych tylko o to, aby jaknajmniej się trudzić a najwięcej zarabiać.

Każdy podobny przytułek biedzi się z zadaniem, zkad wziąć kobiet do pełnienia ciężkich obowiązków dozoru.

Nie myślcie że dozór taki można kupić za pieniądze.

Dozorczyni obłąkanych za ciągle czuwanie, za trucie się zepsutem powietrzem, za gnębienie myśli nieustannym widokiem niedołęztwa, upośledzenia i ran, pobiera rocznie tylko 300 franków, mniej niż prosta służka, która jest swobodną i ma wygody. Od takiej dozorczyń wymaga się staranniejszego wychowania, łagodnego charakteru, wybornego zdrowia, anielskiej cierpliwości.

Panna Leontyna Nicolle, która otrzymała wychowanie wzorowe, zgłosiła się jako kandydatka na

posadę dozorczyń; czekała z upragnieniem na wakans a gdy nareszcie miejsce było do zajęcia, z rozkoszą weszła do tego ziemskiego piekła.

Dziewica, jako córka, miała serdeczny powód do zajęcia tej posady, matka jej bowiem była także dotknięta obłąkaniem, połączonem z objawami gwałtownymi. Leontyna nie mogła dłużej dozorować matki bez pomocy szpitala, przyjęła więc obowiązki dozorczyń z warunkiem, że nie będą z sobą rozdzielone.

Zgodzono się na to, i młoda, urodą kwitnąca dziewczica zamknęła się w ponurych murach, jako anioł-stróż matki i sierót.

Dnie całe przepędzała wśród dzieci, a tylko godziny wyznaczone na spoczynek poświęcała matce, która swego dziecka nie poznawała a więc i poświęcenia ocenić nie mogła.

Takie życie, pomiędzy łóżeczkami idiotów i celką nieszczęśliwej kobiety, trwało dwadzieścia siedem lat, młodość minęła, twarz się pomarszczyła, usta odwykły od uśmiechu a dusza wyrzekła się nadziei.

Przed rokiem nieszczęśliwa obłąkana umarła w objęciach córki, której starania odpychała z bezwiedną nienawiścią.

Po dwudziestu siedmiu latach panna Nicolle mogła nareszcie wyjść z piekła i odetchnąć wolniejszem, zdrowszem powietrzem, ale ona już z wolności korzystać nie chciała.

Do idiotów i kalek przywiązała się, a siłą woli i cierpliwości sprawiała cuda, przeszło pięćset kalek i obłąkanych dzieci swemi staraniami wyrwała chorobę i powróciła światu w postaci pożytecznych pracownic, które własną ręką potrafią zarobić na chleb.

Jakież to szczytny przykład! jaki nowicyat dla pięknej niegdyś dziewczicy! jaka cześć dla córki i kobiety!

Schylmy czoło przed tą w ubogiej sukni kobietą, przed tą dziewczicą, która bez bólów porodu ma serce matczyne!

Serce ludu.

W tym Paryżu, przezwanym pogardliwie nowym Babilonem, krótkowidze znają u góry tylko rozpustę i zbytek, u dołu zaś tylko chciwość i zazdrość. Lecz gdyby ciż sami wejść chcieli jako życzliwi ludzie do warsztatów lub poddaszy, gdyby chcieli się zżyć z biedakami aż do pozyskania ich zaufania, przekonaliby się, że mało kto ma tak zacne serce jak owi biedacy, co ciężko zarabiają na pożywienie codzienne, przekonaliby się, że poświęcenie posunięte aż do bohaterstwa, nie jest pomiędzy nimi rzadkością; że pojmują doskonale, że praktykują skrupulatnie obowiązki synowskie; że dziadek, co już nie może utrzymać w spracowanej dłoni narzędzia, ma swoje — zawsze na pierwsze miejsce — wśród rodziny; że wielu z nich mogąc swych zgrzybiałych rodziców pomieścić w szpitalu, wolą odjąć sobie od ust, aby tylko trzymać ich we własnym domu.

Występek lubi się przechadzać pośród ludzi, cnota zwykle kryje się przed nimi, — najczęściej sama o sobie nie wie, gdy występek zna się doskonale.

Rzemieślnicy idą za ubogim karawanem swego przyjaciela; — jeśli pozostała po nim sierota, jeden z nich bierze ją za rękę, i już tej ręki nie puści, do-

nóki nie znajdzie u kogo innego lepszego losu dla dziecka.

Ma Paryż w swem łonie niejedną rodzinę rzemieślnika, wśród której wychowuje się razem z rodzeństwem dziecko obce, syn lub córka przyjaciela lub poprostu uczciwego człowieka. Opiekunowie mówią do takiej sierotki: mój synu! dzieci mówią do niej: mój bracie lub moja siostrzo! — Gdy zaś ktoś mówi im o ich cnocie i poświęceniu, zwykle uśmiechają się dobrodusznie, wzruszają ramionami i dodają skromnie a szczerze: „Cóż robić, trzeba sobie wzajem pomagać!”

O tak! ludzie są dobrzy — potrzeba ich tylko poznać.

Gdy nienawiść oszpeći człowieka, jest to zawsze skutek choroby umysłu lub serca. Nienależy nienawidzić ludzi, można nienawidzić tylko występka.



PRAWDOMOWNY.

Król Sycylii*), zwan: Dyonizy starszy,
Że miał potęgę i urok monarszy,
Więc wiersze jego podziwiali wszyscy,

*) Sycylia, wielka wyspa, leży od nas na południe, na morzu śródziemnem.

Strojni dworzanie i pochlebcy bliscy,
Króla cieszyły uwielbień oznaki —
Ale się znalazł zacny mędrzec taki,
Co śmiał monarsze wyrzec prawdy słowa,
Że: wiersz jest lichy! — „Warta twoja głowa
Nie być na karku!” — krzyknął król zgniewany —
„Lecz Filoksenie, mój mędrco kochany,
Przez zazdrość mówisz, więc nie jesteś szczerzy...
Z łaski cię wysłę tylko... na galery!”

Po jakimś czasie król się udobruchał,
Filoksenesa przyjaciół wysłuchał,
Ich prośbom ciągłym zadosyć uczynił,
Przyjął do łaski mędrca, co zawinił.

„Filoksenesie, słuchaj moich wierszy,
Ale uważniej, lepiej, niż raz pierwszy!”
Rzecz król znowu i czyta poema...
„Nic cudniejszego już pod słońcem nie ma!”
Chwałą dworacy. — „A ty, Filoksenie,
Jeśli ci miłe życie, zdrowie, mienie,
Wygłoś swe zdanie!” — król mędrca zagada.
„Prawdę rzec zawsze i wszędzie wypada —
Odparł Filoksen — i dziś będę szczerzy:
Racz mię, mój królu, wysłać na galery!”

Franciszek Marzec.

**) Na galery, czyli do bardzo ciężkich robót na okrętach, wysyłano dawniej, w niektórych krajach nadmorskich, rozmaitych złoczyńców na karę. P. s.



Niemiecka stręczarka.

Po nadaniu konstytucji w Turcyi sułtan miał podobno oświadczyć, że zmieni wielożenstwo dla swojej rodziny i odtąd jego synowie i krewni mają tylko jedną żonę miewać, jak w innych krajach cywilizowanych. Podobno też powiedział, że będzie się dla nich starał o żony po dworach Zachodniej Europy. Wiadomo, że Niemcy prawie panują w Turcyi. Mają banki, koleje, handel, kopalnie i t. d. w ręku. Robią interesy jak mogą, byle zarobić. Kto wie, czy nie będą żony stręczyli synom i krewnym sułtana, skoro na tem można nieraz dobrze zarobić. Niemka wyjedzie jako stręczarka. Obrazek przedstawia ogólną dziny urządzonej przez stręczarkę.

Nakładem „Górnoślązaka“, spółki wyd. z ogr. odpow. w Katowicach. — Za redakcję odpowiedzialna Janina Omańkowska w Bytomiu. — Czciońkami „Katolika“ spół. wyd. z ogr. odpow. w Bytomiu.

o prawdziwej pobożności.

Złota Boże nie pragniesz; bo to wszystko twoje;
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje;
Wdzięcznym Cię tedy sercem Panie wyznawamy:
Bo nad Cię przystojniejszy ofiary nie znamy.

Jan Kochanowski.

Piękność duszy opisać przedsięwzięłam, z cnot
cała jej składa się ozdoba, o nich więc chwil kilka
mówić będę.

Najpierwsza ze wszystkich, bez której żadnej
innej być nie może, jest prawdziwa pobożność. Po-
lega ona na uwielbieniu, wdzięczności, posłuszeń-
stwie, miłości i uszanowaniu ku Stwórcy naszemu.
Zdaje się, iż powinna być wrodzoną każdemu czło-
wiekowi, bo jakież dziecię może niekochać dobrego
Ojca? któż może być niewdzięczny dobroczyńcy
swemu? któż nie słucha najwyższej mądrości, i nie
uznaje mocy i dobroci tego, który świat cały stwo-
rzył i utrzymuje? Jeśli są takie poczwary na ziemi
(o czem ja dotąd wątpię), które Boga nie uznają,
i nie wierzą w nieśmiertelność duszy; ubolewać nad
ich losami potrzeba; ich jednych tylko prawdziwie
nieszczęśliwymi nazwać można!

Wierzyć w Boga, kochać go, za rządzcę świata
całego uznawać, nie tylko jest powinnością, ale i po-
trzebą serca ludzkiego. — Bez tej wiary czemże
byłoby życie? któżby dbał o nie, gdyby się z zgo-
nem kończyć miało? Wszystko przemijające jest
w przyrodzeniu; wszystko utraci swój byt, oprócz
jednego człowieka!

Bóg czyniąc go panem tylu znikomych rzeczy,
nadał mu promień światła swego, aby ich używać
umiał, a chcąc żeby cnota i szczęście podzielną jego
były, zapewnił mu nieśmiertelność! Lecz żeby do-
pełnić tak świętego przeznaczenia i wdzięcznym
się Bogu za dobrodziejstwa jego ukazać, nie dosyć
jest wyznawać te prawdy; żyć podług nich potrze-
ba. Słodką i nie trudnym jest ten obowiązek!

Jeśli w młodym wieku i w starości, w pomyś-
lonych i nieszczęsnych chwilach, wśród bogactw lub
nędzy, w życiu i przy śmierci, chcesz być zawsze
jednakowo szczęśliwą, niech prawdziwa pobożność
napęłnia twą duszę. — Widzimy w prawdzie co-
dzienne przykłady, że można bez niej wiele nabyć
sławy, celować światłem i nauką, ale nikt tego je-
szcze nie widział, aby kto prawdziwie wielkim i
szczęśliwym został bez religii i pobożności. — Nie
zakłada się ona tylko na odmawianiu pacierzy, na
zwiedzaniu kościołów, na rozdawaniu publicznie jał-
mużny, na surowem drugich upominaniu, słowem:
nie na samych powierzchownościach częstokroć
próżnych i mylnych; ale raczej na wielbieniu Boga
w duchu i prawdzie, na żywej miłości bliźniego, na
ścisłem dopełnianiu powinności względem siebie i
drugich; na oddaniu się z pokorą woli Najwyższego,
i jego wyrokom, na czulej wdzięczności za jego nie-
zliczone dobrodziejstwa.

Któż może być szczęśliwszym nad duszę pra-
wdziwie pobożną? Przyzwyczajona od dzieciństwa
w każdym wypadku widzieć nad sobą rękę Boską,
przekonana, iż Bóg widzi każdą jej czynność, że za-
pomnieć nie może o istocie stworzonej na jego po-
dobieństwo. postępuje spokojnie. w życiu i cnotcie.

Ani fortuna zmianą zasmucić, ani los znękać jej nie
zdoła; stoi jak opoka niewzruszona; spokojna; bo w
Bogu ma nadzieję! Bóg jej zastępem, i ucieczką w
niedoli. Choroba nie odejmie jej cierpliwości i od-
wagi, najwyższy lekarz jest przy niej; ubóstwo jej
nie zastraszy. Ten, którego ręka stworzywszy
świat, corocznie ubiera lilie polne i żywi mieszkań-
ców powietrza, zwróconą ma uwagę na jej potrze-
by, i pewno żadna nie ujdzie przed jego okiem.
Śmierć nawet osoby ukochanej, do rozpacz przy-
wieść jej nie może; za rozstanie ją tylko uważa, za
rozłączenie na czas krótki. A kiedy w końcu tę zie-
mię porzucić jej przychodzi, ta chwila tak straszli-
wa dla innych, dla niej ledwie że nie jest rozkoszą.
Jeżeli zostawia tu rodziców, dzieci, krewnych, przy-
jaciół; czyż nie idzie do najlepszego z Ojców? czyż
nie zastanie przy nim tych, co kochała, których
przed nią Bóg do swojej chwały powołał?

Od samej kolebki tysiączne niebezpieczeństwa
grożą człowiekowi i każdemu wiadomo: że im wię-
cej postępuje w życiu, tem jest bliższy zgonu. Nie
wie nikt prawda, kiedy umrze, ale wie każdy, że
opuści kiedyś to doczesne mieszkanie. Czemuż nie
myśleć wcześniej o wypadku koniecznie nastąpić ma-
jącym? Lepiej gotować się zwolna do dalekiej po-
dróży, jak dopiero w dzień wyjazdu prędko niedo-
kładne czynić przygotowania; o wielu rzeczach isto-
tnie potrzebnych zapomnieć można, a wracać nie-
podobna. Myśl o śmierci smutna jest dla umysłów
słabych, okropna dla występnych, potrzebna dla du-
szy prawdziwie pobożnej, słodka dla nieszczęśli-
wych. Cóż może więcej przekonać o znikomości
rzeczy ludzkich? więcej podnosić umysł nasz do Bo-
ga i zachęcać do cnoty, jak pamięć tej wielkiej po-
dróży? Ten umiera w bogactwach i szczęściu, tam-
ten w nędzy i dolegliwościach; ta kona świeża je-
szcze młodością i wdziękami, tamta złożona wie-
kiem, oszpecona chorobami, a w takż sam proch się
obróca! Nie oddalaj więc nigdy tej myśli od sie-
bie! nie zatruje ona twej swobody, owszem zachę-
cając cię do nowych postępów w cnotcie, mniej ba-
czną cię uczyni na troski i cierpienia, lepszą, a zatem
szczęśliwszą.

Rozmyślać o śmierci, rozmawiać z Bogiem jest
to jedyny sposób nadania rzetelnego wdzięku, ceny
i wartości życia.

Z „Pamiętki po dobrej matce“ Kl. Tańskiej.



Abd-ul-Azys.

Mulej Hafid.

Sułtanowie marokańscy, bracia, walczący o tron.

Według ostatnich wiadomości Abd-ul-Azys utrzyma się na
tronie, z którego strącić go chciał Mulej Hafid.



Port Konstantynopola.

Port stolicy Turcyi mógłby być jedną z najczęściej odwiedzanych przystani nad Morzem Śródziemnym, gdyby Turcy dbali więcej o handel. Może być, że po uspokojeniu kraju wskutek konstytucyi handel się rozwinie.

Ze świata zwierzęcego.

Zmyślność słoń.

Dużo opowieści krąży o zmyślności słońa. rzeczywiście jest to zwierzę bardzo pojętne, łagodne i wdzięczne dla przyjaciół, a niebezpieczne i mściwe dla wroga.

Razu jednego, podczas wojny w Indjach, trzeba było wprowadzić słońa na stromą górę. Dla ułatwienia wejścia urządzono rodzaj schodów z bierwion. Pierwszy słoń, podprowadzony do tych schodów, pokręcił głowę, a napędzony z miejsca się nie poruszył, wydając głos smutny, jakby się skarżył, że rozkazu wykonać nie może. Przerobiono i umocowano urządzenie, po czem słoń, próbując schody nogami i trąbą, począł z zadowoleniem wspinać się na górę, a gdy doszedł do jej szczytu, wyrażał swem zachowaniem się wielkie zadowolenie. Za tym pierwszym słońem miał iść drugi, młody. On uważnie przyglądał się wdrapywaniu na schody starego słońa, zatrąbił radośnie, gdy ujrzał towarzysza już na górze i sam z tą samą ostrożnością wszedł na schody. Gdy już dochodził do szczytu, stary słoń podał mu trąbę, za którą uczepił swą trąbę młody i obaj nie posiadali się z radości.

Pewien inżynier Anglik miał słońa, który zachorował na oczy. Słoniowi kazano położyć się, a doktor zapuścił mu do oka krople lapidowe. Zaryczał wściekle słoń od bólu okrutnego, ale gdy już mógł patrzeć, to sam położył się, podstawiając drugie oko, wciągnął w siebie powietrze, jak-

to robi człowiek, przygotowując się do przeniesienia silnego bólu. Po dokonanej operacji słoń westchnął z ulgą i widocznie wyrażał swą wdzięczność.

Innym razem młodego słońa raniono kulą w głowę. Od bólu wprost oszalał, że mu rady dać nie było można. Wówczas dozorca (kornak) starał się wyłomaczyć macę słońa, co trzeba zrobić. Ta objęła swe dziecko trąbą i trzymała je mocno, zanim rana nie została należycie opatrzona. Czula matka codziennie wyrażała swą wdzięczność aż do zupełnego wyzdrowienia słońa.

Raz na popasie gospodarz przymocował słońa łańcuchem za nogę do drzewa, i rozniecił ognisko, przy którym rozłożył do upieczenia placki ryżowe. Odszedł na chwilę, a słoń tymczasem uwolnił się od pęta za pomocą trąby i z apetytem zjadł placki. Nie potrafił zamknąć napowrót łańcucha na swej nodze, a chcąc zamydląć oczy gospodarzowi, owinał łańcuch wokół nogi. Przyszedł gospodarz i widzi, że słoń stoi spokojnie tyłem do ognia. Zabiera się do posiłku — placki zginęły! Obejrzał się gospodarz na słońa, a ten też z miną winowajcy przez ramię z ukosa spo- gląda.



Bóg człowiekowi stwarza jego powołanie, Wtedy jest nieszczęśliwym, gdy nie baczy na nie.



CNOTA.

Patrząc na falę ziemskiego życia,
Ciągłe widzimy przemiany,
Kaprysem losu człek od powicia,
Aże do zgonu miotany.

W twojej wiosnie życia marzysz tak mile...
Latasz skrzydłami anioła,
Wkrótce przeminą te błogie chwile,
Inna Cię droga powoła.

Szukasz miłości — przyjaznej dłoni...
I znajdziesz — ale czy trwałą?
Często się brzydka zdrada odsłoni,
I przyjaźń zerwie tę całą.

Gdy pragniesz szczęścia w złota mnogości...
Ach, i to prędko zawodził!
Spokój utracisz, przytem zazdrości
W serce twoje pocisk ugodzi.

Także zaszczytów, sławy rozgłosy,
I te ci przebrzmiały zbyt rychło,
Jeśli zawodne nie zdradzą losy,
Nad grobem pewnie ucichło!

Zaledwie radość błysnie ci w oku,
Już za nią smutek w pogoni,
Jak promyk gwiazdki czystej w obłoku,
Chmura ją czarna zasłoni.

Cóż tedy szczęście dać może trwałe,
Niezwiedły wieniec radości?
Co opromieni twoje życie całe,
Choćby wśród srogich przykrości?

Ach! tylko cnota, sumienie czyste,
Które zachowasz w swym łonie,
Te dadzą spokój, szczęście wieczyste
Tu w życiu — i tam... po zgonie!

Franciszek Marzec.

PRAKTYCZNE RADY.

Pożyteczność długiego snu.

Utarło się to powszechnie, iż oddaje się wielkie pochwały ludziom, krótko śpiącym, a osoby takie, jak Fryderyk Wielki, Napoleon, Wellington, Edison i wielu innych, którzy potrzebowali tylko 4 godzin snu, aby zupełnie wypocząć po trudach dnia, stawia się za przykład młodym ludziom, lubiącym długo spać. Tymczasem Woods Hutchinson stawia jako pierwszą regułę snu: „Spać tyle, ile ktoś potrzebuje i może“. Sen bowiem nie jest ustaniem działalności fizycznej, ile zrównoważeniem nieszczej ruchliwości w czasie czuwania przez odżywiająca czynność ciała. Dzieci śpią bardzo wiele, gdyż sen jest w wysokim stopniu pożytecznym dla ich rozwoju fizycznego, a jeśli starsi śpią mało, to dzieje się to nie dlatego, iżby nie potrzebowali snu, ale dlatego, iż utracili już zdolność i siły odbudowy organizmu. Najlepszy więc higieniczny poradnik w sprawach snu powinien polecać kłaść się do łóżka skoro tylko się jest znużonym i wstawać dopiero wówczas, gdy organizm zupełnie wypocznie. Dzieś godzin snu nie jest bynajmniej za wiele, a kobieta powinna spać dłużej niż mężczyzna, przynajmniej o godzinę.

Jak sypiać jadąc koleją.

Na podstawie własnych spostrzeżeń i długoletnich doświadczeń wielu podróżnych, radzi Dr. Otten wszystkim tym, którzy podróżują koleją, ażeby, chcąc zażyć snu, siadali lub układali się tak, by głowa ich skierowaną była ku lokomotywie. Wtedy bowiem ruchy pociągu wypędzają krew z głowy, co daje lżejszy i spokojniejszy sen. Gdy zaś nogi

Spalona część miasta Konstantynopola.

2200 domów, kilka meczetów czyli świątyń mohamedańskich i inne budynki publiczne zgorzały niedawno temu w stolicy Turcji. Były to domki na przedmieściu, przeważnie z drzewa zbudowane. Ugaszenie było trudne. Trzeba było kilkadziesiąt domów nietkniętych przez ogień zburzyć, aby ogień się dalej szerzyć nie mógł. Ochotnicza straż pożarna była niezdolna do ratunku a zawodowa straż była za słaba, wobec rozszalałego żywiołu.



skierowane są ku lokomotywie, krew z dolnych kończyn napływa do głowy, oddala sen i w wielu razach powoduje dotkliwe bóle głowy. Zresztą przypomina Dr. Otten, iż w razie zderzenia pociągów podróżny siedzący z głową ku lokomotywie doznaje mniejszego stosunkowo wstrząśnienia, aniżeli odwróconie siedzący, gdyż giętkie ścięgna nóg przedewszystkiem podchwytyją gwałtowne wstrząśnienia. Siedzący zaś nogami ku lokomotywie uderza głową o tył siedzenia, a to bądź co bądź jest niebezpieczniejsze.

Korzyści z cytryny.

Na ból gardła dobrze jest wypłukać gardło mocno soloną wodą z sokiem cytrynowym.

Sok z połowy cytryny uleczy ból głowy.

Sok cytrynowy wyczyści płamy rdzy.

Tęga limonada nie osłodzona, użyta przed śniadaniem, zapobieży i uleczy atak zatwardzenia.

Sok z cytryny, dodany do mleka, aż się zwarzy i ten to ser przywijany na opuchnięte miejsce, usuwa ból reumatyzmu.

Syrop z soku cytryny ulży nieznosny kaszel.

Ciepła limonada, wypita przed spoczynkiem, uleczy zimno na płucach.

Na ranę spowodowaną urznięciem przyłóż szmatę dobrze przesiąkniętą sokiem cytrynowym.

Sok cytrynowy dodany do soku innych owoców, jak wiśni, poziomki i t. p., które nie chcą się łatwo zgalaretować, przyczyni się do tego.

Sok cytrynowy jest daleko lepszy do sałatki aniżeli ocet. Szczególniej przy owocowych sałatach.

Sok z połowy cytryny, dodany do płóczonej wody po zmyciu głowy, zbierze wszelką tłustość z włosów.

Ażeby cytryny na długo świeże zachować, należy je przykryć szczelnie szklaną pokrywką.



Na drogach żywota,

Nieraz burza szaleje nad głową,

Wicher nami nad przepaścią miotą,

A grom ciemność oświeśla grobową,

Jednak wyżej widać błękit nieba...

Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

Adam Asnyk.



Szewc Wilhelm Voigt,

zwany „kapitanem Kopnika“

witany przez Berlinezyków po wypuszczeniu wskutek ulaskawienia z więzienia w Tegl, w którym przesiedział 20 miesięcy za to, że przebrany w mundur pruskiego kapitana zabrał z odwachu pięciu żołnierzy, pojechał z nimi do Kopnika, aresztował tam burmistrza i obsadził ratusz „w imieniu cesarza“ i zabrał 5000 marek z kasy miejskiej. Dziwne uwielbienie szewca - kapitana przez Berlinezyków tłumaczy sobie jako opór przeciw bałwochwalczemu wychwalaniu pruskiego munduru.

ZDANIA I MYŚLI.

Wytrwaj, choć się sroży burza.
I walcz, choć się cisną troski;
Chociaż nieraz walka duża —
Wszystkiem rządzi palec Boski.

—o—

Spiesz się z pracą, pójdzie głódziej.
Póki się zbyt nie zgromadzi.
Kto dziś mniejszy trud odwleka,
Jutro go podwójny czeka.

—o—

Przyszłość to trud,
Nie zejdzie ona z nieba
Przez żaden cud,
Lecz zdobyć ją potrzeba.



Z Ziemi Świętej.

(Urywki z pamiętnika podróży).

„Jeszcze dnia tego, po odpoczynku parogodzinnym, opuściłem miasto, puszczając się w dalszą drogę ku dolinie Jordanu — ku jezioru Genezaret czyli Morzu Galilejskiemu, jak wody te nazywa Ewangelia, — rozległą płaszczyznę ośm mil długą i co najmniej tak szeroką. Przebywający ją podróżnik spotyka tu tylko rzadko rozsiane wioski arabskie, złożone z chat, a raczej lepianek, od sześciu do ośmiu stóp wysokości, których dachy płaskie, jak tu już wszędzie, ubite są na podobieństwo podłogi starych chałup wiejskich, z gliny, mieszanej z sieczką. Dachy te służą tu tak samo, jak w mieście, za mieszkanie i pracownią rodziny arabskiej, pierwotne bardzo sprzęty gospodarskie; maty zastępujące pościel i derki z wielbłądziej sierci lub koziej wełny, służące jako kołdry. Ubiór ludności nie ulega też zmianie, tylko uboższy jest jeszcze, kobiety noszą już tylko długie tiuniki czyli koszule z błękitnej wełny, przepasane białą, szeroką szarą wełnianą. Wszystkie, podobnie jak i dzieci, są bardzo mizerne i przecież zawsze piękne — czarne duże oczy rozświecają wynędzniałe twarze. Zasłony nie noszą żadnej, usta malują farbą błękitną i podmalowują sobie nią oczy, co zdaje się powiększać je jeszcze i blask ich podnosi, a lekki rysunek, taką samą farbą wytutuowany jest wkoło ust. Mężczyźni, podobnie jak po tamtej stronie Nazaretu, mają na sobie luźną suknię bez szwu, utkaną w całości z koziej wełny, przy której nogi niemal po kolana, ręce do ramion są obnażone, i pierś widzieć się daje. Droga z Nazaretu do Tyberyady, leżącej nad samem już jeziorem, nie trwa dłużej nad sześć godzin drogi konnej, ale tylko w porze roku pogodnej, bo w czasie deszczów dolina Jordanu staje się bagnistą i trudną, niemal niemożliwą do przebycia. Puszczają się nią głównie ci, którzy chcą w najkrótszym czasie na Damaszek do Jeruzalem się dostać, ja zaś jechałem tędy, aby widzieć te miejsca pełne wspomnień i poezji...

Płaszczyzna ta, wysoko podniesiona, skalista, a mimo to bardzo płodna, pełna wawozów i jak gdyby rozpadlin gruntu, przypomina przebywającym ją ową przypowieść ewangeliczną o siewcy dobrym i ziarnach, rozsypanych jego ręką. Jedne padły na skalę i nie weszły wcale, drugie rozchwytało ptactwo żarłoczne, trzecie zgłuszyły krzaki cierniste, lecz za to czwarte, które trafiły na ziemię dobrą, obrodziły stokrotnie. Produkcya drzew oliwnych jest tu znaczna i ze wszystkich stron słychać łoskot pras ręcznych wyciskających oliwę, jak to powtarza się w całej Galilei, lecz tu zdaje się być jedynym przemysłem ludności. W dolinie, którą podróżnik nagle i niespodziewanie u stóp swoich odkrywa, cała dekoracya natury zmienia mu się przed oczyma niemal magicznie, bo grunt jak gdyby znika z przed nóg jego konia, a on widzi tam poniżej dolinę, której końca oko niedosięga i owe jezioro świętych wspomnień, które dziś mieszkający tu Arab nazywa Bar Tabarieh czyli Morze Tabaryjskie. Amfiteatr gór skalistych, czarnych i szarych, otacza go z trzech stron i tylko od południa, to jest od naszej strony,

jest otwarte i zwręca się, a strumień świętej rzeki proroków i apostołów — Jordan, wypływa zeń i zaraz w pobliżu, bo nie dalej jak o pięćdziesiąt kroków, od jeziora przepływa, już falując i dając słyszyszum pewien tych fal swoich pod arkadami rzymskiego mostu w ruinie. Kolor wód jest błękitny, podróżnik europejski przypomina sobie, patrząc nań, Rodan, gdy wypływa z jeziora genewskiego; lecz wyobraźnia jego doznaje pewnego zawodu, gdy widzi przed sobą, nie rzekę potężną, o jakiej marzył, ale rzeczulkę, której koryto ma najwięcej sto stóp szerokości, a dwadzieścia trzy głębokości, — tak czystą i przejrzystą, że widzi się wszystkie kamyczki, któremi jej dno jest usiane. Ta czystość wód Jordanu, odzwierciedlając jasny lazur nieba Azyi, daje mu ową wdzięczną barwę niebieską, niezmiernie miłą dla oka. Każdy prawie z podróżników kłęka na skalistym brzegu i chrzci sobie głowę wodą świętej rzeki, którą w tej porze znalazłem więcej niż letnią, — ciepłą. Że w miejsce wielkich, wspaniałych wrażeń, otrzymałem tylko przyjemne,



Papieski gwardzista w nowym mundurze.

Dawniej Papieże posiadali wojsko własne, jako niepodlegli władcy państwa kościelnego. Gdy Włochy w r. 1870 zabrały to państwo, wojsko stało się niepotrzebnem. Pozostała tylko straż pałacowa, która dba o porządek w rozległych budynkach rezydencyi papieskiej w Rzymie.

co było dla mnie wielkim zawodem, już jest winą tej poetyczności człowieka, która wszystką miejscę pamiętne w dziejach obleka majestatem wielkości. Skamander jest też strumieniem tylko, z czem również trudno jest zapewne pogodzić się podróżnikowi, który patrzy przed siebie przez pryzmat obrazów Iliady. Brzegi Jordanu są bardzo wdzięcznie zarosłe bujną roślinnością. Różowe laury kwitnęły właśnie, a gdy rzeczulka, płynąc dalej, zwęża koryto swoje i zyskuje na głębokości, widoki stają się coraz weselsze dla oka przez większą ilość drzew i zieloności. Pół dnia drogi konnej potrzeba podróżnikowi, aby dotarł do Tyberyady, leżącej na wschodnim brzegu jeziora Genezaretu. Miasteczko to jest bardzo nędzne i smutne; z dawnych szczątków wspaniałego grodu, który miał piękne, szerokie bulwary i przystań dla statków żeglujących po jeziorze, zostały tylko ruiny, a raczej szczątki ruin, które się na przestrzeni więcej niż kilometrą wzdłuż brzegów jeziora oku podróżnika ukazują. Są to pomiędzy niemi i szczątki pałacu, który rozrzućny i w zbitych lubujący się syn Heroda, Antypas, przyjaciel Rzymian, zbudować sobie kazał i który uczynił rezydencją swoją, nazywając miasto na pamiątkę sprzymierzeńca swego i przyjaciela cesarza Tyberyusza, Tyberyadą.

Miasteczko ma obecnie trzy tysiące mieszkańców, a w tej liczbie znajduje się więcej niżeli połowa dawnych ziem tej dziedziców. Dla Izraelitów Tyberyada jest do dziś dnia miejscem patryotycznych pamiątek, do których ściągają się znaczna liczba ich pielgrzymów z różnych krain świata, bo znajdują się tu groby wielu „uczonych w Piśmie“, a między innymi grób mędrca: filozofa Maimonidesa. Uczniowie Chrystusa nie przebywali tu znać chętnie i tylko w Ewangelii św. Jana jest Tyberyada kilka razy wspomniana. Jest tu przecież teraz kościół i klasztor Franciszkanów, zbudowany w niedalekiej odległości od meczetu muzułmańskiego, ze sławnie wyniosłym minaretem, z którego jest przepyszny widok na jezioro. Kościółek Franciszkański wraz z klasztorem zbudowany jest nad samym brzegiem, w miejscu, gdzie według Ewangelii św. Jana miał miejsce cudowny połów Piotra rybaka. Starożytna stolica Herodowego syna, której wspaniałe budowle były wszystkie grecko-rzymskiego stylu, jest dziś zbiorem ubogich domków i dachami z ubitej gliny, a gdy wiosną okliczne góry okrywają się bujną roślinnością, trawa puszcza się też między ruinami i dzikie zioła, powoje i bluszcze owijają kamienie.“

Bartnik i pszczoły.

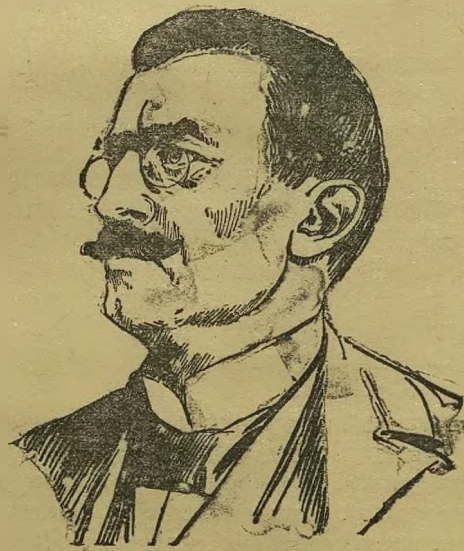
O jakże lubim koło tego chodzić,
Co nam wdzięcznością potrafi odesłodzić!
Był u Bartnika ul jeden gotowy,
W którym osadził rój nowy.
Aleć te słodkie, te kochane Pszczoły
Zadelka z miodem łączą wespoły.
Ktokolwiek do nich swego przytknął nosa,
Czy bak, czy mucha, czy truteń, czy ;
Zaraz go swoim ostrzem pożyły,
Lub też od ula precz odpędziły.

Poznawszy zatem broń swoją
Że się onej muchy boją;
Uczynią zgodne z sobą przymierze.
Za co ten, mrukna człowiek nam bierze
Tę słodycz, której starownie szukamy?
Mogąc się bronić, nic jemu nie damy,
Stanęło na tem: po niejakić chwili
Bartnik ich plastry odchyli:
Aż się na niego cały rój wysypie,
I jaka taka żądłem go pszczypie.
Gdy je łagodzi, gdy ręką odmiata,
Tak się zawężmie gromada skrzydłać;
Że go całego obsiadły,
I twarz tak srodze ujadły.
Aż mu opuchła. Czy to tak wy ze mną,
Zawoła bartnik, niewdzięczny owadzie!
I miód ci wezmę i przy żądle jadzie
Złość tę ukróćę nikiemną.
Więc się okurzył; i pomimo bólu,
Całą ich korzyść wybierze im z ulu.

Choć mu się one nie obroniły,
Jednakże z razu tym się cieszyły:
Że złość na niego wywarły.

Nadejdzie zima:
Ul miodu ni ma.
I cóż się stało? wymarły.

F. D. Knażnin.



Sven Hedin,

szwedzki uczony i badacz Środkowej Azji, mianowicie Tybetu. Spędził wiele lat w Tybecie, chcąc poznać kraj i mieszkańców i opisać wszystko dokładnie. Takie podróże naukowe są nietylko trudne, ale i niebezpieczne. Mieszkańcy Tybetu prześladowali obcych. Sven Hedin mógł podróżować tylko przebrany jako Chińczyk i z największą ostrożnością. Nieraz latami całemi nie było wiadomości o nim. Wielu przypuszczało, że zginął, że go zabito. Podobnie było teraz, gdy od przeszło roku nikt w Europie nie wiedział, co się dzieje z Sven Hedinem. Dopiero angielski wicekról Indyi azyatyckich postarał się o wiadomości, których udzielił rodzicom Sven Heddina w Sztokholmie.

CZYTAJMY.

Chcąc wszystko na czas zrobić i utrzymywać dom w porządku, nie wiele pozostaje nam czasu na rozrywkę. Każdą jednak wolną chwilę powinniśmy pożytecznie zużytkować.

Jedną z najcenniejszych i najpożyteczniejszych rozrywek, to czytanie dobrych książek. Przez czytanie bowiem książek kształcimy swój umysł i charakter, trzeźwiej patrzymy na świat. Tak samo, jak ludzkość wydaje co raz inne wynalazki i ulepszenia i dąży do coraz innych pragnień, tak samo człowiek, który czyta, nabiera szlachetniejszych myśli i stara się je spożytkować na korzyść swego społeczeństwa.

Nieraz zdarza się, że po przeczytaniu jakiegoś dzieła, którego autor opisuje prześladowania, jakie cierpią Polacy za mowę swoją ojczystą: meki, jakie przechodzą w więzieniach i na Sybirze obrońcy naszej Ojczyzny, serce nasze wzbiera współczuciem, staramy się iść z pomocą pieniężną tym biednym męczennikom politycznym lub ofiarowujemy na jakieś inne szlachetne cele.

Kobieta po przeczytaniu książki, o cierpieniu matki, która dla miłości swych dzieci, znosiła przykrości i prześladowanie, sama staje się cierpliwszą i stara się naśladować dobry przykład — i z większą miłością spogląda na dziecinę tulącą się do jej piersi.

Jednem słowem, czytanie uszlachetnia człowieka. Lecz chcąc mieć pożytek z czytania, powinniśmy wybierać odpowiednie książki, któreby odpowiadały umysłowemu rozwinięciu czytającego. Dać np. powieść Kraszewskiego lub Sienkiewicza dziecku, które ledwie umie czytać i które dotychczas nie czytało, nie zrozumie treści, nie zrozumie myśli i minie się z celem, to jest z pożytkiem.

W stosunkach naszych, gdzie troska o byt, o to jutro nie pozwala nam poświęcić tyle czasu, aby poznać bogatą literaturę polską, to poznajmy przynajmniej najlepsze dzieła, aby nie sprawdziły się na nas słowa poety, który rzekł:

„Cudze chwalicie, swego nie znacie,
Sami nie wiecie, co posiadacie“.

Poznajmy najpierw dzieła autorów: Kraszewskiego, Mickiewicza, Sienkiewicza, Elizy Orzeszkowej, M. Konopnickiej, M. Rodziewiczówny, M. Bałuckiego, Józefa Dzierżkowskiego i wielu innych, których tu wymienić nie podobna.

Nie czytamy więc obcych autorów, lecz poznajmy choć w części naszych rodaków pracę. Literatura polska jest tak bogata, jak może żadnej innej narodowości. Po co nam szukać innej miłości, innych wierzeń, innych bogów, kiedy możemy zadowolić się polskim Bogiem i miłością Polski, poznajmy najpierw wszystko co polskie — co nasze...

Wiedzy, jak najwięcej wiedzy nam potrzeba, aby spełniać dobrze to, co do nas należy — aby dać przykład dobry, młodej generacji do naśladowania — aby stać do współdziałania na niwie narodowej, aby stać do współdziałania z naszymi mężami i braćmi.

Czytajmy więc dobre dzieła — czytamy dobre gazety.



Najwyższy dom na ziemi.

Angielskie towarzystwo, zabezpieczające na życie w Nowym Jorku w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki pod nazwą „Equitable“ kosztem 100 milionów marek (około 116 milionów koron lub blisko 50 milionów rubli) wybudowało dom, który dotąd jest najwyższym na ziemi. Ma 62 piętra i wysoki jest 265 metrów. 38 wind, które łączy wszystkie piętra. Dom zbudowany jest z żelaza, kamienia (cementowego) i szkła; drzewa prawie wcale niema. Dom składa się z trzech części: dolna, wielka kostka (35 pięter obejmująca) jest podstawą drugiej kostki (16 pięter) a ta podstawą trzeciej mniejszej kostki (15 pięter). W domu znajdują się same biura handlowe. Pyramidy egipskie są mniejsze, bo tylko do 146½ metra sięga najwyższa.

Z kazań ks. Skargi.

W jednym z kazań swoich złotousty ksiądz Skarga (Pawęski), uniesiony duchem proroczym, w następujący sposób odmalował przyszłość naszą:

„I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą, i będzie, jak mówi Prorok, sługa równy z panem, niewolnica równa z panią swoją,

i kapian z ludem, i bogaty z ubogim, i ten co kupił mienie, równy z tym, co sprzedął. Bo wszyscy, z domu i zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą.

Ziemię i księstwa wielkie, które się z Koroną złączyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą. Przy których teraz potężna może być ręka imoc wasza i nieprzyjaciołom straszliwa. Odbieją was jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje i będziecie jako wdowa osierociała, wy coście drugie narody rządili, i będziecie ku pośmiechu i uraganiu nieprzyjaciołom swoim.

Język swój, w którym samym to królestwo między wielkimi onemi Słowiańskimi wolne zostało, i naród swój pogubicie i ostatki tego narodu tak staro i po świecie rozkwitnionego, potracicie i w obcy się naród, który was nienawidzi, obróćcie, jako się inszym przydało.

Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i bez królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, tam, gdzie was pierwaj ważono, będą.

Odzie się na drugą ojczyznę zdobędziecie, w której byście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkosze mieć mogli? Urodzili się wam i synom waszym taka druga matka? jako tę straciecie, już o drugiej nie myślcie.

Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli, jak pismo św. przegraża, w głodzie, w obnażeniu i we wszystkim niedostatku, i włożą jarzmo żelazne na szyję wasze przeto, iżście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu i w radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszystkiego. I dla dostatku, ze wszechceństwa naszego, gardziliście kapłanem i królem i innem przełożeniem, wolnością się Beliańską pokrywając, a parzma wdzięcznego Chrystusowego i posłuszeństwa nosić nie chcąc.

Proroctwo to wygłosił ks. Skarga za czasów Zygmunta III (panował od roku 1548—1572). O ile w powyższym kazaniu nadzwyczaj czarno przyszłość Polski odmalował, to jednak na innym miejscu pozostawił nam nadzieję lepszej przyszłości. Proroctwa jego spełniają się dziwnie dokładnie.



Miasto Marakesz w Marokku.

Marakesz jest stolicą Marokku, ma około 70 000 mieszkańców, pomiędzy nimi 6000 żydów. W 13 wieku było to wielkie miasto, mające około 100 000 domów jednopiętrowych. Miasto założone zostało w r. 1073 i prowadziło wielki handel. Dziś upadło. Mahometanie posiadają 19 świątyń. Europejczycy wciskają się coraz więcej, czego dowodem, że w Marakeszu wychodzą trzy tygodniki, w hiszpańskim, angielskim i francuskim języku. Rycina przedstawia u góry część targowiska, na dole główną bramę miasta.

ZDANIA I MYŚLI.

Kiedy człowiek potruć chęć,
Kielich męki swej odpycha,
Pan roztworzył wrota chwały,
I sam zstąpił do kielicha.

Duchlińska.

—o—

O modlitwo wspólna domu!
Ty, co chronisz dom od gromu
I od sromu — któż to zmierzy,
Jaka siła w tobie leży.

Wincenty Pol.

—o—

Chcesz być Boga przyjacielem,
Nie bądź zwierząt dręczycielem.



W JESIENI.

„Minęły słońca letniego skwary,
Łaskawa jesień dzieli swe dary;
Gdziekolwiek tylko wzrok się mój toczy,
Jest czem uciechy i napaś oczy”.

A przecież mimo tych bogactw jesieni jakowys smutek napęlnia nasze serca; białe mgły kładące się rankiem na puste pola przypominają nam grozę nadchodzącej zimy i ogarnia nas tęsknota za minioną wiosną uroczą i ciepłem lata.

Nic już nie cieszy
Lepszych dni nadzieją,
Zima ku nam spieszy
Z mrozem i zawieją.

Z drugiej strony jesień, to pora roku, zniewalająca nas do zastanowienia, do rozmyślań, do obrachunków. Gospodarz rolny oblicza swe zbiory i zastanawia się, jak z ich pomocą wyżywić rodzinę, czeladkę i inwentarz przez długie, długie dni zimy; ojciec rodziny skrzętnie grosz zbiera do grosza, aby nie zbrakło na zwiększające się w zimie wydatki; gospodyni domu obchodzi wszystkie kąty, zabezpieczając dom od zimna i gromadząc zapasy, tak, aby ten dom jej był rzeczywście ogniskiem, przy którym wszystkim wokół dobrze jest i miło.

Tyle starań, tyle zachodów dla ciała!
Lecz i o duchu zapomnieć nie należy.

Wiosną i latem, gdy słońce przygrzewa, gdy świat jasny jest i wesoły, gdy zieleni i kwiaty i piaszą śpiew wprost wyciągają ludzi z murów mieszkania na wolny świat Boży, wtedy niezawodnie mniej myśli się o pokarmie duchowym: o czytaniu. I nie dziw. Otwiera się wtedy przecież przed nami owa nigdy niezgłębiona księga natury a przedziwna harmonia wszechświata karmi poezją nasze umysły; więc nie uczuwamy potrzeby czytania i dość, jeżeli gazetę przeczytamy regularnie, aby wiedzieć, co się w świecie dzieje.

Inaczej w jesieni i zimą. Gdy przyroda ponura i martwa, gdy świat naokół szary i smutny, wtedy chętnie tulimy się do ciepłych, zaciśnionych i miłych mieszkań i chętnie przy pomocy książki w inne przenosimy się sfery myślenia. Zmniejszona praca i długie wieczory ze swej strony prawie że zmuszają nas, abyśmy wzięli do ręki książkę.

To też śmiało powiedzieć można, że kto zimą nie stara się o książki i nie czyta, ten jest godny pożałowania, bo albo to jest człowiek zmuszony prawie, że dzień i noc pracować na chleb, albo też człowiek, który wolny od pracy czas spędza na rozrywkach niegodnych, na pijaństwie i karciarstwie. Jeden i drugi godzien litości, bo nie zna ani pożytku ani przyjemności duchowej, jaką daje czytanie.

Mówić o pożytku i przyjemności, których źródłem jest czytanie, zdawałoby się na pozor rzeczą równie zbyteczną, jak dowodzić, że ze wszystkich wynalazków, które się przyczyniły do szczęścia ludzkości, najważniejszym jest wynalazek druku.

Nie należy jednak czytać bez wyboru, byle czego przez bezmyślność, albo też w mniemaniu, że i z najgłupszej książki czegoś zawsze nauczyć się można.

Grecki filozof Łezop utrzymywał, że język jest rzeczą najlepszą i zarazem najgorszą w świecie. Zdanie to można zastosować nie tylko do ustnej ale i do pisanej czy drukowanej mowy. Nie wszystko, co drukowane jest dobre i nieraz książka zamiast pożytku, podaje czytelnikowi truciznę duchową, a ludzie przecież nie posiadają instynktu pszczoły, które umieją z kwiatu wydobyć słodycz, zostawiając truciznę na dnie kielicha; umysł ludzki przeciwnie wraz ze słodzącą chłonię i jad niespostrzeżenie.

Mówią niektórzy, że kto ma duszę silną i ugruntowane zasady, tego choćby i najgorsza książka zepsuć nie zdoła. Na to jako odpowiedź przytoczymy stare nasze przysłowie: „z jakim przestajesz, takim sam się stajesz”, a przecież książka, to także towarzysz, od którego łatwiej zle niż dobre przyjmujemy.

Inni znów czytają tylko książki blade, wesołe, bez głębszej treści, bez jakiegokolwiek nauki, bo jak mówią „chodzi im tylko o zabicie czasu”. I ci godni są litości, jeżeli czas jest dla nich czemś tak bezwartościowym, że go aż zabijać trzeba.

A czy wiecie, dla czego to Anglicy wzbili się na miejsce naczelne wśród narodów? Niezawodnie dlatego, że postępowali i postępują wedle mądrego swego przysłowia „czas to pieniądz” i nigdy tego czasu nie „zabijają”, lecz każdą chwilę spożytkowują pożytecznie wedle innego znów przysłowia: „żyć — to uczyć się”.

Więc Anglicy uczą się wciąż, bo jak mówi jeden z ich uczonych, „każdy człowiek, który nie chce zostać zacofanym w biegu życia, powinien nie ustawać nigdy kształcić się, t. j. czytać — czytać wszystkie wyższego znaczenia książki, które oświecają umysł, uszlachetniają serce, uprzyjemniają życie.

Koniec końcem więc, co i jak czytać mamy?

Na to przytoczymy przedewszystkiem kilka słów uczonego francuskiego Jakóba Russo, który w jednym z dzieł swoich mówiąc o przyczynach upadku Polski i jej odrodzeniu w przyszłości tak pisze:



Książę Mehmed Reszad
następca tronu tureckiego.

„Chciałbym, aby Polak, ucząc się czytać, już czytał wiadomości o swym kraju; aby w dziesiątym roku życia znał plody swego kraju, w dwunastym miasta jego i historyczne pamiątki, w piętnastym miał wiadomości z historii, w szesnastym roku zaznajomił się z prawodawstwem. Niech w całej przeszłości Polski niema ani jednego wzniosłego czynu, ani jednego sławnego nazwiska, którego by nie znał i nie umiał zdać sobie sprawy z jego znaczenia w życiu narodu”.

Tak pisał uczony francuski przed stu laty.

A my Polacy dzisiejsi, którzy przecież chętnie mienimy się patriotami t. j. miłującymi Ojczyznę, czy znamy wszystkie wzniosłe czyny z przeszłości Polski? Czy znamy jej miasta, jej ziemie, jej góry i lasy? Czy znamy ducha Polski w utworach jej poetów i pasarzy? I jakimże ty jesteś synem tej Polski, jaką Polką, siostrą, jeżeli to wszystko jest ci dotąd obcem?

O jakżeby się zdziwił ów uczony francuski, gdyby tak danem mu było wniknąć dzisiaj do wielu domów polskich, a tam zastałby pisma i książki obce, nieraz pisane w duchu nam wrogim, nieraz oczerniające i lżące to, co dla nas jest świętem i drogiem?

O nie takim pokarmem żywić mają Polacy dusze swoje! W domu polskim polskie przedewszystkiem znajdować się powinny książki i pisma. O tem wobec nadchodzącej zimy pamiętajcie Ojcie i Matko polska, bo wtedy tylko

W chatynce bezpiecznej
Choć słońca przytrzyma,
W pracy pożytecznej
Jak sen przejdzie zima.



Pamięć o radach ojcowskich.

Kiedy dzielny Władysław Łokietek leżał na śmiertelnem łożu, przywołał syna swego Kazimierza i w te się odezwał słowa:

— Czuję synu, że Bóg powołuje mnie do żywota wiecznego. Jeżeli po śmierci mojej powołany zostaniesz na króla, bądź ludzkim i sprawiedliwym, ale nie słabym w swoim zarządzie. Upartych w złości karz surowo, żalującym zapominać winy, a z dobrymi dziel swoją władzę. Ze jednak jesteś zbyt młodym jeszcze, abyś mógł być dobrym stróżem swego postępowania, przyjmij do rady Jaska z Melsztyna, człowieka doświadczonej prawości i bardzo rozumnego, i słuchaj go jak mnie, ojca twego, co cię po Bogu i ojczyźnie najlepiej ukochał na ziemi! Jeśli spełnisz to, umrę spokojny, bo przekonany będę, że zapewnisz szczęście ludowi podległemu twojej władzy.

Kazimierz, klęcząc przy łożu ojcowskiem, przyrzekł umierającemu, że spełni tę ostatnią jego wolę, a gdy Łokietek dnia 2 marca 1333 roku zakończył swój żywot, młody Kazimierz, liczący zaledwie dwadzieścia trzy lata życia, natychmiast przywołał Jaska z Melsztyna i oświadczył mu, że stosownie do życzenia ojcowskiego, bierze go za swojego doradcę i przyrzeka we wszystkim być mu posłusznym.

Koronacja Kazimierza odbyła się w Krakowie dnia 25 kwietnia 1333 roku, a gdy uroczystości skończyły się, młody król zaraz przywołał swego opiekuna, prosząc go o radę, jak ma sprawować swoje rządy.

— Trzeba najprzód, miłościwy książę — odrzekł Jasko — zacząć rządy od siebie i wytępić wszystkie złe zachcianki, jakie się wewnątrz nas znajdują. Lubicie zanadto różne igraszki i zabawy, porzućcie je i jeden dzień się bawcie a tydzień pracujecie. Lubicie płoche słowa i rozmowy, puste jak wiatr, zaniechajcie ich a szukajcie nauki w rozmowach z rozumnymi ludźmi. Narzekacie na brak czasu, wstawajcie rano i strzeżcie się bezczynności, a czasu wiele się przysporzy. Rozważajcie przytem przy pacierzu wieczornym sprawy dnia całego, czy upłynął wam pożytecznie, a uszczęśliwiecie się w dniu następnym popełniać to, coście uznali za słuszne, a więc naganem. Gdy to spełnicie, weźmiemy się do ludu,

Mieszkańcy ziemi według wyznawanych religii.



Liczba mieszkańców ziemi nie jest ściśle znana, albowiem w krajach, nie posiadających akuratnej administracji trudno przeprowadzić spis ludności. Obrazek powyższy daje wykaz ludności według wyznań; liczba ogólna wynosi 1,562,542,500; za zupełną ścisłość tej liczby naturalnie ręczyć nie można. Dla objaśnienia dodajemy, że konfucjanami są przeważnie Chińczycy, zwani tak od pierwszego prawodawcy swej religii Konfucjusza, który żył około 600 lat przed Chr. Hindu, to mieszkańcy Indii azjatyckich; fetyszyści, to murzyni i indyanie Afryki i Ameryki, którzy robią sobie fetysze z drzewa, kamienia, lub nawet ze słomy i tym cześć oddają; budystami są ludy azjatyckie: tybetanie, turkiestanie i inne; religia sinto odznacza się wiara w duchy a wyznawcami tej są Japończycy.

aby tak jak my postępował, a wtedy wszystko będzie dobrze i wy książę staniecie się wielkim i lud wasz w wielkość urośnie.

Kazimierz spełnił tę piękną radę pocziwego opiekuna, a i przepowiednia jego spełniła się.

W dniu bowiem 5 listopada 1370 roku, gdy umarł w Krakowie, pamięć jego potomni uczcili mianem Wielkiego, a naród cały przywdział żałobę, płacząc nad utratą mądrego i sprawiedliwego króla.



Człowiek na świat przychodzi nagi i bezbronny,
Z głową, równą rozumem kapuścianej głowie;
Wątle są jego siły, kruche jak szkło zdrowie,
I tylko do łakomstwa i gniewu jest skłonny.
Z niemowlęcej poczwarki wylega się chłopię,
Istota niedojrzała, jak zielone jabłko,
Książkę, źródło mądrości, przeklina i kopie,
I radby, żeby życie było „ciuciubabką”.
Ziarno staje się kłosem, a chłopię młodzieńcem,
Lecz cóż jest młodzieniec? Rozhukana fala.
Chce panować, a sam jest namiętności jeńcem,
Chce gwiazd dostać, a skrzydła przy świecy opala.
Jako odlew stwardniały z wrzącego metalu,
Tak z młodzieńca mężczyznę urabiają lata.
Ten, chociaż ideały porzucił bez żalu,
Zbija nos za pieniędzmi i poklaskiem świata.
Dopiero doświadczenie, jak dłoń arcymistrza,
Doskonali człowieka długim cierpieniem;
Sąd jego coraz zdrowszy, dusza coraz czystsza,
I harmonijnym wreszcie staje się posagiem;
Jak orzeł widzi kresy i ziemi i nieba,
Myśl ma jasną, cierpieniom czoło stawia dumne,
Zbadał zagadkę bytu, i wie jak żyć trzeba,
Szkoda tylko, że wówczas kłaść się musi w trumnę!

W. Gomułcki.



Z Ziemi Świętej.

(Urywki z pamiętnika podróży).

„Kilkogodzinna droga w kierunku powrotnym ku Nazaretowi, doprowadziła nas do Kany, którą Ewangelia oznacza jako miejsce pierwszego cudu Chrystusa, uczynionego na prośby Matki Boskiej, aby przy weselu ubogich obłubieńców wodę w wino przemienił. Obecnie Kana przedstawia ładne miasteczko, przeważnie tureckie, wzniesione na wzgórkach, zarosłymi przez dęby i drzewa oliwne, granatowe, wśród których strzelają wysmukłe palmy, a dołem między figami wytryska źródło, u którego widzieć można zawsze grono kobiet piorących chusty, rano zaś i wieczorem pastuszy, pojących stada owiec i bydła. Miejscowi zakonnicy pokazują tu rodzinny dom św. Bartłomieja apostoła i ruiny jakoby domu, który był miejscem cudu przemienienia wody w wino.

Łańcuch wzgórz, zarosłych odwiecznymi dąbrowami, oddziela prowincję Nazaretu i pustynię góry Tabor od płaszczyzny Kaifa. Łańcuch ów, wśród którego dąwiga się wspaniałe góra Karmel, biegnie od strumienia Jordanu, aż po wybrzeże morskie, malując się na jasnym tle nie-

ba ciemno-zieloną barwą bogatej roślinności, która zarasta stoki spuszczone ku równinie Kaify. Tylko szczyt Karmelu piętrzy się wspaniale i zdaje się przyzywać ku sobie; przecież ludność zamieszkująca to podgórze, dzika jest i nieprzychylna obcemu. Zamieszkuje chaty niskie i bez okien; słupami dla górnego terasu, który dach twarży, są drzewa, a galezie ich dają mieszkańcom cień i zasłone przed deszczem, dają im jakiś wygląd fantastyczny i wdzięku pełny.

Miasto Kaifa zbudowane jest już u podnóża góry na wybrzeżu morskim, wśród równiny białego piasku, połyskującego z daleka jako srebro, a kopuły i wieże kościołów, minarety meczetów, dają mu, jak się tu powtarza u wszystkich miast wschodnich, widzianych w perspektywie oddalenia, malowniczość poważnie wesołą.

Kilka minut czasu wystarczy, aby podróżnik, wyszedłszy z głównego rynku Kaify, stanął u podnóża Karmelu. Do klasztoru i kościoła, który się wznosi na jednym z boków góry, wiedzie droga wygodna, wykuta w skałę, wśród której odkrywa się przed okiem widnokrąg ukazujący szeroki krajobraz: z jednej strony morze, z drugiej wzgórze Palestyny i wybrzeże Jemmel.

Zwiedzenie Karmelu i jaskiń, tak naturalnych jak wykowanych tu ręką człowieka w skałę, pustelni Eliasza i innych proroków, a kwater to grot znajduje się tu nieba znaczna, przedstawia tak dla myśli, jak dla oka szereg obrazów, niedających się już spoukać nigdzie indziej, bo niema też w historii ludzkości nic odpowiadającego tym postaciom natchnionym, stojącym na straży swego narodu, słuchającym w skupieniu uducha głosu boskiego wśród spraw świata i stawającym się następnie narzędziem, aby głos ten usłyszeli inni. Zwiedzający te jaskinie dozna wrażenia tem większego, wrażenia ogromnego, skoro przetrzucawszy się wyobraźnią w położenie, w które co tu przebywali przed wiekami, przedawili sobie życie pędzone samotnie, podlegające tylko temu, co natura wydać tu mogła wśród rozszalałych skalistych. Wyobraźnia sobie ludzi, mających przed oczyma wśród tego osamotnienia tylko morze — przesterzeń wód dla wzroku człowieka tak nieskończoną, jak wieczność, gdy słuchowi ich dośtawał się tylko szum fal i krzyk człowieka płaczącego.

Elias żywny przez kraki, Eliasz przemawiający wśród tej przyrody do takich, jak on samotników, gromiący ich, ciskający na nich, na swój naród cały, poronowe groły słów, okrutnie natchnionych, wieszczący Izraelowi gniew pański i odwrócenie się od oblicza Bożego... co to za postać!

Jest między jaskiniami Karmelu jedna, obiszerna a wysoka niezmiernie, wyżłobiona niezaprzeczenie ręką ludzką w kamieniu skały, szczególniejszym, z widokiem otwartym jedynie na morze, którą podanie czyni miejscem, gdzie prorok ten zgromadzał inne proroki i nauczał je, gromił, obwieszczał upadek ich i Izraela, oddawał ich na stracenie, aby wyjętymi zostali jako zawodne sługi Boże.

Góry Karmelu czarne są, nagie, skaliste, z cienką warstwą ziemi, z pod której glaz wydobywa się często wyskokiem azalki, sporych pomiedzy ciernistymi krzakami, jedyne drzewo, rosnące mi. Góry te ciągną się niemal mil dziesięć

wzdłuż, rozsuwając się rzadko kiedy, aby tworzyć wązkie i nie głębokie dolinki. Czasem podróżnik dostrzeże tam wioskę arabską, lub ruinę starożytną, którą roślinność pasożytna oblega i chce wziąć w posiadanie swoje; czasem ukazuje mu się stado bydła, które pasterze pędzą dla napojenia do źródła.

Posuwając się w tym kierunku ku Jaffie Pisma świętego, którą pisarz rzymski Pliniusz nazywa miastem przedpotopowym, podróżnik spotyka niezmiernie ciekawe szczątki cywilizacji zaginionej, ślady ludzi, żyjących tu w epoce przedhistorycznej, nie tylko na powierzchni, ale i w głębi ziemi. O parę godzin drogi konnej od Karmelu, gdy płaskie, piaszczyste wybrzeża morskie podnoszą się i wydobywa się na powierzchnię piasków skała, ukazuje się oczom wał skalisty, przedstawiający na przestrzeni niemal milowej jakoby ul jaskiń, wykutych w galezie twardym, niewątpliwie ręką ludzką. Można by przypuścić, że ma się przed oczyma jakieś grodzisko pierwotne z czasów, gdy człowiek nie zdobył się jeszcze na myśl łamania skał, aby budować sobie z nich domy. Jaskinie, których szeregi tu się ciągną, są obszerne, wysokie, wejście do nich jest wysokiem również, wiodą do nich wschody o kilku stopniach, a znajdujące się tu również okna, wychodzą, podobnie jak i drzwi, na ulice, długie prosto wyciągnięte, wykowane w skale głęboko i szerokie o tyle, aby mógł przejechać przez nie wóz. Że wóz przebywał je też niegdyś, świadczą ślady, koleje wybite w skale przez jego koła.

Pnące się rośliny, kępy mirtów, krzaki figowe wzrastają tu na pokładzie ziemi, utworzonym

z naleciałego kurzu i ciągną się wzdłuż tych ulic. Mnóstwo ptaków zamieszkuje to miasto podziemne i gdy podróżnik wkroczy w jego ulice, nieobliczona ilość orłów, sępów, wróbli, wron morskich zrywa się z krzewów, które tu rosną, napełniając te tunele samotne łopotem swych skrzydeł.

ZDANIA I MYŚLI.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje;
Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej się da skaleczyć, niż samo zadraśnić.

—o—

U kogo dla zwierząt znajdzie się opieka,
Zasłuży na nazwę dobrego człowieka.

—o—

U kogo miłości znajdzie się choć trochę,
Nie tylko swych bliźnich, świat także on kocha.

—o—

Gdy kto na siebie przyjął obowiązki,
Niechże ochotnie dobrej rady słucha:
Niechaj je spełnia — inaczej wykaże —
Albo złą wolę, albo słabość ducha....

Radość w Turcyi.



tylko przedstawiciel Anglii zdaje się być kontent, bo aż bije do taktu w pokrywę. Być może, że obrazek trafnie przedstawia stan rzeczy: niejedno z państw, które oddawna ostrzyło sobie zęby na spuściznę po »chorym człowieku« (jak Turcyę nazywano) dzisiaj pewnie niezbyt się raduje z jego uzdrowienia.

Z nadaniem konstytucji w Turcyi nastąpiła także wolność prasy. Zaraz też pojawiły się rozmaite pisma i gazety, pomiędzy niemi i takie, które w żartobliwy sposób przedstawiają politykę państwa. W jednym z takich pism ukazał się obrazek, który podajemy powyżej. Przedstawia on turka grającego na flecie a podług jego muzyki tańczących przedstawicieli ludów, podległych Turcyi t. j. czerkiesa, armeńczyka, bośniaczka i żyda. Tej radości tureckiej przypatrują się z góry przedstawiciele państw europejskich ze zdziwieniem i zgrozzeniem, jeden

SZCZĘŚCIE.

Nie mówmy o szczęściu, którego pragniemy, nie mówmy o niem...

Szczęście jest jak mały ptaszek — łatwo je spłoszyć.

Czekajmy cicho — nie mówmy o niem, nawet nie myślimy — w ciszy serca, w głębi serca, pragniemy go, tając przed własną myślą to pragnienie.

Bo szczęście jest, jak światło w chmurach; wyjrzy na chwilę, zamigoce, ale tak łatwo napowrót się kryje!

Nie wzywajmy szczęścia, nie dążmy ku niemu, nie walczy my o nie; jak dzieci, którym się w Boże Narodzenie śni, że Chrystus do nich przyjdzie z podarkami, i czekają Nań, trwożne, ciche, a niecierpliwe w obawie — czekajmy.

Jeśli ma przyjść, przyjdzie — nie idźmy ku niemu.

Szczęście jest jak słońce, o którym marzą kwiaty, jeden tylko dzień kwitnące — one nie mogą ku niemu iść, czekają.

Jeśli dzień jasny, przyjdzie; jeśli chmury zakryją niebo, czekają próżno.

Uwiedną i nie zobaczą słońca. Wieczorem, w godzinie śmierci, będą mówiły: „Otośmy próżno otwarły ku niemu kielichy nasze — nie przyszło...“

Czekajmy cicho na szczęście — ono jest dla serc, czem słońce dla kwiatów, które tylko jeden dzień kwitną: jeśli ma przyjść — przyjdzie.

Nie mówmy o szczęściu, którego pragniemy, nie mówmy o niem — płochliwe jest jak ptak.

Kazimierz Tetmajer.

—o—

Czego człowiek pragnąć ma?
Czy mu lepiej żyć w pokorze,
Czepiając się lada żdźbła?
Czy w szerszym krążyć przestworze?...
Czy wznieść sobie domek mały?
Czy mieszkać pod namiotami?
Czy się schronić za skałami?...
Czasem wstrząsną się i skały:

—o—

Nie wszystkim jedno przystoi,
Niechaj każdy dba o siebie,
By przytułek miał w potrzebie
I nie upadł, kiedy stoi. Z poezji Goethego.

NASZA CHWAŁA.

Konrad Prószyński (Promyk).

zmarły w lipcu r. b. w Warszawie, urodził się dnia 3-go marca roku 1851 w Mińsku Litewskim. Ody miał lat 13 t. j. w roku 1864 udał się wraz z matką i młodszem rodzeństwem do Syberyi, gdzie ojciec jego, wysłany za udział w powstaniu roku 63-go osiadł w mieście Tomsku. Tam Konrad pomagał ojcu w pracy na utrzymanie rodziny a w chwilach wolnych uczył się wraz z innymi młodymi towarzyszami wygnania.

Tak przeszło kilka lat. Tęsknił jednak Konrad bardzo za krajem rodzinnym i pragnął pracować dla współbraci w ojczyźnie.

Tą myślą przejęty zaczął zbierać grosz do grosza, aby mieć o czem powrócić w swoje strony. Nie mogąc znaleźć innego zarobku, robił papierosy na sprzedaż, albo skupował po wsiach orzechy cedrowe i potem z niewielkim zyskiem sam je na targu sprzedawał; robił też oszczędności na jedzeniu. Uciulał w ten sposób jaki-taki zapasik, ale ze smutkiem widział, że to zaledwie drobna cząstka tego, co miały wynosić koszta podróży. Nie powstrzymało go to jednak. Wiedział, że trzeba będzie w drodze z głodu przymierać; wiedział, że odjeżdżając, trzeba się rozstać z rodzicami i rodzeństwem bez nadziei ujżenia ich kiedykolwiek w życiu; bo ojciec miał do zgonu pozostawać na Syberyi. — Nic jednak nie mogło przewyciężyć tęsknoty, która ze



serca młodzieńca wylewała się nieraz słowami pieśni, jak naprzykład:

Na zachód! na zachód! Tam moja myśl goni,
tam serce me rwie się, tam moje zamiary...

W lutym 1868 roku postanowił nie zwlekając już dłużej wracać do kraju. Wybierał się w drogę w tajemnicy przed rodzicami, bo przewidywał, że z obawy o niego nie pozwolą mu jechać samemu. Ale rodzice przypadkiem dowiedzieli się o jego zamiarze. Przeszkód mu nie stawiali. Ojciec choć z bólem serca, myśląc, że na zawsze syna pożegna, nie tłumił w nim jednak poczucia obowiązku; przeciwnie, pochwalił zamiary i dał choć niewielki zasilek pieniężny. Zobowiązał tylko Konrada, aby wstrzymał się z wyjazdem do wiosny. Jakoż, gdy wiosna nadeszła, młodzieniec wyruszył w drogę.

Ku końcowi lipca stanął śp. Konrad w Wilnie, a w sierpniu powitał babkę swą w Mińsku. Wypocząwszy u niej parę miesięcy, w październiku po-

jechał do Warszawy, i wziął się gorliwie do nauki, przysposabiając się do egzaminu na świadectwo szkolne. Jednocześnie musiał iść się pracy zarobkowej, aby mieć z czego żyć w Warszawie. Zaczął dawać lekcje, nieraz bardzo źle płatne; cierpiał więc niedostatek, żywił się bardzo lichy, na obiad kupował najczęściej tylko funt chleba i kawałek sera lub słoniny.

W roku 1872 w czerwcu otrzymał świadectwo szkolne, a jesienią wstąpił do uniwersytetu czyli szkoły wyższej.

Wybrał nauki prawne, nie dlatego, żeby chciał zostać adwokatem, ale dlatego jedynie, że mu te nauki mogły być w przyszłej pracy bardziej od innych przydatne. Przestawał nie tylko z najbliższymi towarzyszami; dobierał sobie z ogółu młodzieży akademickiej takich, którzy podobnie jak on chcieli dążyć w życiu do rzeczy wyższych, a gardzili niskimi uciechami. W tymże roku 1872 ożenił się z panną Cecylią Puciatówną. Na utrzymanie domu zarabiał wciąż lekcjami. To ciągle przestawanie z dziećmi i objaśnianie im rzeczy nieznanych nauczyło go wyrażać się prosto i zrozumiale; w taki sposób zawsze potem pisał.

Pierwsze prace piśarskie drukował roku 1870 w „Opiekunie Domowym.“ W roku 1875 napisał książeczkę o księdzu Stanisławie Staszycu, i pożyczwszy od znajomych 200 rubli wydał ją pod przybranym imieniem Kazimierza Promyka. Książeczka była napisana doskonale, a przytem niesłychanie tania; sprzedawano ją po 4 grosze. To też całe 10 tysięcy egzemplarzy, które zostały wydrukowane, rozkupiono w ciągu trzech czy czterech miesięcy. W tymże roku wydał Promyk swój elementarz, którego potem takie mnóstwo po świecie się rozszło.

W roku 1876 wydał „Pierwszą książeczkę dla wprawy w czytaniu“, po której wkrótce ukazała się i „Druga książeczka.“

Po tym początku następują już jedno po drugim wydawnictwa. W roku 1879, wyszło pierwsze wydanie bardziej ulepszonych elementarzy pod nazwą „Obrazowa Nauka czytania i pisania“, który został później uznany za najlepszy nie tylko w kraju, ale w całym świecie.

W jesieni roku 1880 Konrad Prószyński wydał zapowiedź mającej powstać Gazety Świątecznej. Życzliwi dowiedziawszy się o jego zamiarze, starali się go od tego powstrzymać, strasząc, że narazi się na ciężki zawód, bo Gazeta nie będzie miała czytelników i upadnie. A tu właśnie w owym czasie jeden z bogaczy warszawskich zapraszał go na nauczyciela do swych dzieci, ofiarując w swym domu mieszkanie, życie i 5 tysięcy rubli płacy na rok. Ale ani ostrzeżenia przyjaciół, ani widoki korzystnego zarobku nie zdołały zachwiać Promyka w postanowieniu. Zamiast uczyć, jak dawniej, gromadki dzieci, wołał zostać nauczycielem wielkiej rzeszy ludzi, a miał nadzieję, że mu właśnie Gazeta Świąteczna ku temu będzie służyła. Trzeba było pokonać wielkie trudności; ale to go nie razilo, wszystko przezwyciężył i z początkiem roku 1881 zaczął wydawać gazetę. Wtedy to, prawie młodzieńcem jeszcze będąc, zaprzął się na całą resztę życia do ciężkiej pracy bez wytchnienia, przykuł się jakby do taczki skazańca, i pchał odtąd tę swoją taczkę **wytrwale, choć** nieraz był to ciężar nad siły.

W roku 1884 pisarz Gazety Świątecznej owdowiał. Pozostał po śmierci żony z czworgiem małych dzieci.

W roku 1886 ożenił się powtórnie, obrawszy sobie na dożgonną towarzyszkę życia pannę Wandę Korzonównę, córkę znanego dziejopisarza. Z tego małżeństwa miał siedmioro dzieci, z których najmłodsze nie będzie nawet pamiętało postaci zmarłego ojca, bo dopiero trzeci rok rozpoczyna.

Zawczasie umarł Promyk dla narodu i rodziny. Ale nie nam, ludziom, sądzić wyroki Boże, — są one niezbadane i niepojęte dla ograniczonego rozumu człowieka, który zawsze winien korzyć się przed mądrością Bożą.

* * *

Wspomnienie to o mężu największym, rzecz można, bo najpożyteczniejszym ze współczesnych uzupełniamy kilku wyjątkami z przemówienia księdza J. Langiera, wygłoszonego nad grobem Konrada Prószyńskiego:

„...I poległ Hetman, a Hetman wielki w Izraelu. I płakali go płaczem wielkim, i czynili żałobę przez wiele dni, i mówili: „jako poległ mocarz, który wybawił lud“. (Księgą Machab. rozdz. 9, w. 20).

Żałobni słuchacze!

Kiedy Chrystus stanął przed grobem Łazarza, zamilknął... wzruszył się i zapłakał... bo majestat śmierci już sam przemawiał do widzów.

I naród nasz polski na wieść o śmierci ś. p. Konrada Prószyńskiego uczuł smutek bezbrzeżny, bo umarł Ten, kogo się szanowało, kochało i wielbiło.

Był... I chlubił się, że go u siebie mamy, że nam przoduje, że nam sercem świeci. A oto — rozstał się z nami.

I żał nam... ach, żał niewymowny, bo to był człowiek wielkiej miary, Polak wielkich zasług, chrześcjanin wielkiej miłości i apostoł wielkiego ducha; a nadewszystko był nauczycielem ludu i promieniem rozświecającym ciemności.

A wszystko, co czynił w życiu, czynił dla Boga, dla Kościoła, dla ojczyzny i ludzkości całej.

Rzućmy okiem wstecz, aby w tym wielkim bólu z widoku jasnych cnót zmarłego doznać choć cokolwiek ukojenia.

Ś. p. Konrad Prószyński jako młodzieniec dzielił z ukochanymi rodzicami smutne losy wygnania na dalekiej północy. Trawiony tęsknotą za ziemią rodzinną, którą tak bardzo miłował, pomimo najtrudniejszych przygód, powrócił do swoich. Już tam, na wygnaniu, serce Jego całą potęgą bezgranicznej miłości pałało pragnieniem służenia ojczyźnie w najskuteczniejszy możliwie sposób.

Pierwszą Jego pracą — to nauczycielstwo. Pierwszy Jego utwór — to książeczka o życiu księdza Staszycy. Tu przedstawił On z nadzwyczajną prostotą i głębokim ujęciem ofiarną i mądrą pracę Staszycy, tego wielkiego męża i narodowego działacza-dobrodzieja.

Następnie idzie żmudne borykanie się nad utworzeniem najodpowiedniejszej drogi do duszy ludu, nad rozpowszechnieniem umiejętności czytania. W tym celu ś. p. Prószyński wymyślił nowy, najlepszy, obecnie ze wszystkich elementarzy, który przez przyjaciół i prawdziwych miłośników ludu dostaje się do najdalszych zakątków naszego kraju i niesiony tam będzie w przyszłości.

Ale tego nie dość było dla wielkiego serca, więc Promyk z pomocą zacnych ludzi zakłada Księgarnię Krajową, aby wydawać i rozpowszechniać książki dostępne dla wszystkich; mając zaś już nieco otwartą drogę do duszy ludu, zakłada Gazetę Świąteczną, aby przy jej pomocy sączyć w ten lud światło prawdy i wiedzy. Z jakim trudem tę Gazetę prowadził i utrzymywał, wiedzą to wszyscy, którzy na Jego pracę długie lata z bliska patrzyli.

Jego serce pragnęło, aby oświata onomieniła cały naród, aby rzesze milionowe wyzwolić z kajdan, z kalectwa ciemnoty.

Przez całe ćwierć wieku, jako Mistrz i wyrocznia ludu, zasiewa na obszernych niwach zdrowe i ożywcze ziarno oświaty.

Zaiste, ten miłośnik dzieł i ludu, więc i całego narodu, niezwykłym był mocarzem, bo wywierał potężny wpływ na niezliczone gromady potrzebujące oświaty, i tego wpływu zawsze z wielką roz wagą używał.

A jak mówi święty Chryzostom: ponad wszelkich, malarzy, ponad wszelkich snycerzy i artystów innych, tego stawiać trzeba, który posiada sztukę kształtowania dusz ludzkich.

Błogosławiony mąż, który idzie w Imię Pańskie z kagańcem oświaty w rękę, z miłością w sercu, a pod rozważnym kierunkiem pod strzechy wieśniacze. Złączmyż się tedy wszyscy pod imieniem Promyka. Niech czcigodny duch Jego zapromienieje dla nas, niech zajaśnieje pochodnia i niech rozgrzewa serca nasze w trudnych, ale i szczytnych zapasach.

O kochani słuchacze! szczególnie Koledzy zmarłego — Pisarze, zwłaszcza przedstawiciele piśmiennictwa i wszyscy miłośnicy narodu! Jeżeli Promyk był ozdobą naszego wieku i naszej ziemi, to każdy, komu Opatrzność daje ku temu sposobność, niechaj dalej popiera Jego szlachetny początek.

„Laudamus viros gloriosos“ — Chwalmy, mów sławnych.

Przed kilku laty rozległ się okrzyk po całej ziemi naszej: „Wieża Jasnogórska się pali!“ Zapłakał wtedy cały naród nad stratą, która dotknęła wszystkich, bo wszyscyśmy uczuli, że kochamy Maryę, że droga jest sercu naszemu ta Częstochowa, ta nasza „Jasna Góra.“

Podobnież obecnie na wieść o zgonie Promyka, pisarza „Gazety Świątecznej“, zadrgały serca z bólu, że śmierć strawiła tę basztę, ten filar na fundamencie głębokiej pokory ufundowany, a łaską Bożą tak wysoko podniesiony, i całą tęczę talentów najpotężniejszych promieniejący!

Ale oto wszyscy najlepsi synowie i córki tej ziemi miłują tę oświatę, której On był jakby uosobieniem. Więc złączmy się w blasku tego Promyka, w jasności Jego ducha, a poruszy się cały naród i podejmie naukę czytania, i wówczas wyzwolimy się z najokropniejszej niewoli ciemnoty, i odbudujemy tę basztę oświaty z pomocą Bożą.

Poległ Hetman, a Hetman wielki w narodzie polskim. Ale duch Jego promienny jaśnieć wśród nas będzie, a On u stóp tego, któremu wiernie służył, będzie Orędownikiem naszym.

Cześć Mu i chwała na wieki! Amen.

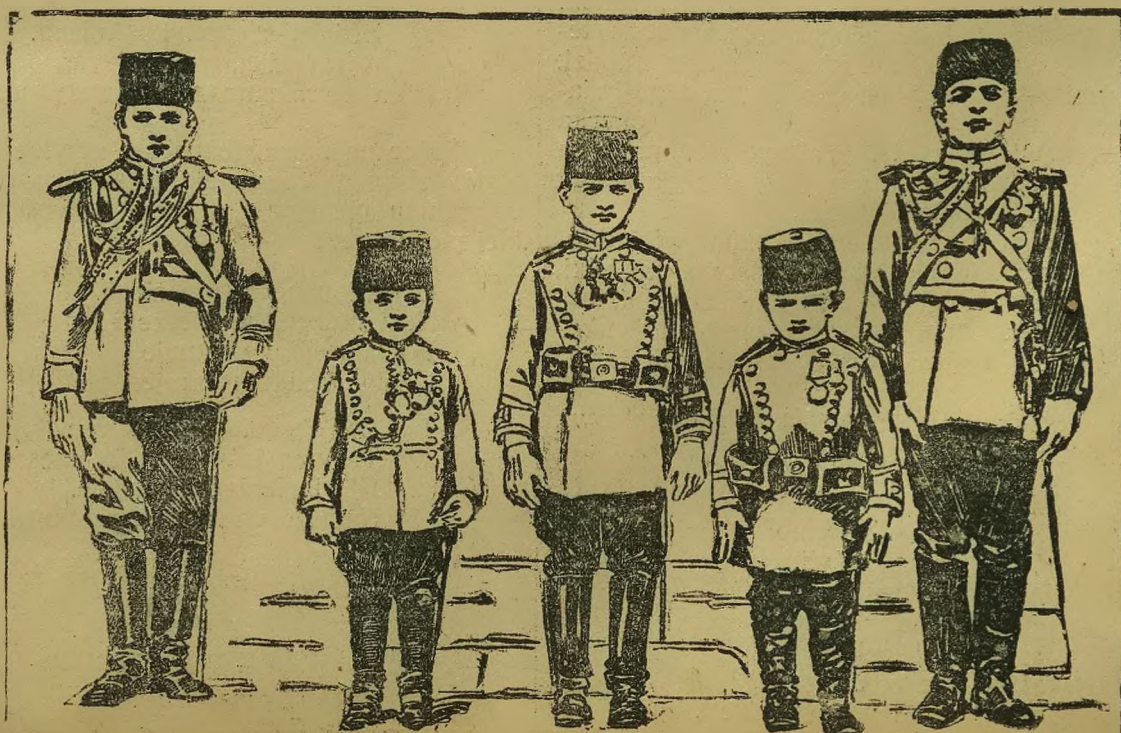


ZDANIA I MYŚLI.

Gdy masz sądzić, nie z góry ludzi mierz, lecz z dołu; Nie, o ile nie doszli Boga wśród mozołu, Lecz o ile w mozołe wzrosli od padołu.

Józef Kościelski.

—o—



Młodzi synowie sułtana tureckiego.

Staraj się mówić o sobie ile możności najmniej,
bo pochwałam z pewnością ludzie nie uwierzą, a na-
ganie więcej niż byś pragnął. **Józef Bliziński.**

—o—

Bądź wytrwały, nie ustawaj w trudzie,
Wytrwałością potężnieją ludzie.

—o—

Kto szczęście kładzie na wagę złota, ten zazwy-
czaj oszukuje się na wadze.



Z NASZYCH ZWYCZAŁ.

DOŻYNKI.

Dożynki, zwane inaczej żażyńki, wieniec, wień-
cowe, okrzężne, zachowały się dotąd prawie w całym
kraju. Jest to zabawa, należąca się słusznie ludowi
za jego pracę około roli, zwłaszcza za jego pot wy-
lany przy żniwach. Dożynki — to więc nagroda za
trudy, zabawa, w której nie najweselsi i najpiękniej-
si, ale najpilniejsi pierwsze zajmują miejsce.

Kiedy już zboże zostanie zebrane z pola, przo-
downik i przedownica, t. j. parobek i dziewczka, którzy
przez całe żniwa szli naprzód na zagonie z sierpem
lub z kosą, przystrojeni w wieńce z kłosów, jarzę-
biny, orzechów, z muzyką i śpiewkami, w otoczeniu
innych dziewcząt i parobków, a nawet starszych ko-
biet i mężczyzn, idą gromadnie przed dom właścici-
ciela sprzątniętego pola. Wieńce te przybrane są
wstążeczkami, złotkiem czyli szychem i mają naj-
częściej kształt koron piramidalnych.

Przodownik kładzie swój wieniec na głowę pa-
ni, przodownica panu, a po tej ceremonii zaczyna się
uczta. Piją wódkę, piwo, miód, które państwo da-
wać zwykli, jedzą chleb, ser, kiełbasę, jabłka i gru-
szki. Po poczęstunku zaczynają się tańce na mura-
wie. Skrzypek wiejski rażno zaczyna smyczkiem
wywijać, a basista mu odpowiada: du, du, du. Wte-
dy już radość ogarnia wszystkich. Tańczą młodzi,
starzy, dzieci — i pan i pani, choćby już z posiwia-
łym włosem, muszą przynajmniej jednego oberka
z przodownikami wykręcić. Tańce przeplatane są
ciągle wesołymi śpiewkami, a w nich przebija nieraz
szczerą wesołość i dużo dowcipu.

Umieją dociać żartobliwie i ekonomowi i wło-
darzowi za napędzanie do pracy; państwo, panienki,
panicze zwykle bywają chwaleni i wystawiani.

Każda okolica kraju ma swoje pieśni dożynko-
we; posłuchajmy kilku piosenek z gubernii lubel-
skiej:

Kiedy orszak żenców pospiesza ku dworowi,
zdała już słyhać śpiew:

„Wokoło jeno, wokoło,
Kiej było żyto, tam goło.
A pótyswa się krażyli,
Żeśmy zyta dozeli.
Dozelać go dziewecka,
Za jasnego słonecka:
Dozał go i młodzieniec
Będziemy wam wić wieniec“.

A potem zbliżywszy się do dworu:

„Myśmy wianek uwili,
Będziemy gorzałkę pili.
Spraw nam, panie, okrzężne,
Niesiem dary potężne“.

Gdy przodownica wchodzi z wiankiem na ga-
nek, inni śpiewają:

„Otwórzcie nam, otwórzcie dwór.
Wieziewa z pola wszystek zbiór;
Otwórzcie nam ganecek
Wieziewa z pola wianceek“.

Po oddaniu wieńca przez przodownicę, gromada
śpiewa:

„Wić'e na niebie gwiazdecek,
Tyla na polu kupecek,
Weźże se, panie, książeczki;
Pozapisuj kupecki,
Pozapisuj i kopy,
Weźże je do sopy (szopy).“

A oto wesoła piosenka, pełna pochwał, przy-
mówek i docinków:

„A nasz panańko dobry był,
Zebrał pszeniczkę, nas nie bił.
A pan sąsiedni leniwy,
Stoi pszeniczki dwie niwy.“

A nasz ekonom, jak osa,
Wyrzwał pszeniczkę do kłosa.
A włodarz stoi w kłopocie,
Zawiesił batóg na płocie.

Przede dworem wielka burza,
Nasza pani, gdyby róża.
Przede dworem wielkie błoto,
Nasza pani kiejby złoto.

A zarznięcie nam barana,
Bośmy se potłukli kolana.
A zarznięcie nam indyka
I niech nam zagra muzyka...

Tańce na murawie trwają zwykle do północy;
a na dalszy poczęstunek państwo wręczają przo-
downikom pieniądze, o czym przypominają w ta-
kiej piosence:

Chodzi panańko do sieni,
Nosi rączeta w kieszeni,
Po talareńku wyjmuje
I żniwiareńkom daruje.

Oj! chodzi pani po sieni,
Trzyma już rączki w kieszeni,
Oj! i pieniążki rachuje,
Nam za wianuszek dziękuje.



Ś. p. Jadwiga Łuszczewska

znana w całej Polsce autorka powieści i poetka, pisząca pod przybranem mianem „Deotyma” to znaczy „Bogobojna” zmarła przed kilku dniami w Warszawie, przeżywszy lat 74.

Ponieważ przed kilku miesiącami podaliśmy obszerniejszą wiadomość o zmarłej poetce w dziale



„Nasza chwała”, przeto dziś nadmieniamy tylko, że autorka „Branek w Jassyrze”, „Wandy”, „Sobieskiego pod Wiedniem” i innych dzieł mniejszych i większych, każdym z nich stwierdziła trafność przybranego miana. Cześć jej pamięci!

MODLITWA.

W szczęściu — jest tem szczęściem samem;
W cnocie — wytrwania potęgą;
W cierpieniu — pociech balsamem;
W grzechu — poprawy przysięgą.

Bóg się w swem istnieniu błogiem
Nie modli, — bo w żadnem niebie
Nie zna wyższego od siebie,
I dlatego też — jest Bogiem.

Aniół z pochyłom czołem
Wiecznie zachwycon w pokorze,
Bez modlitwy żyć nie może!
I dlatego — jest aniołem!

Człowiek z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień lub radości kole,
Modli się, gdy chce, ma wolę,
I dlatego — jest człowiekiem.

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale cóż mu jest nieznanem? —
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dlatego — jest szatanem.

Deotyma.

SZTUKA ŻYCIOWA.

Myśl i czyn.

Od myśli do czynu droga bardzo daleka, albo bardzo bliska. Jak dobra myśl bez czynu nie jest warta, tak i bezmyślny czyn zazwyczaj jest złym.

Niestety! nie wszyscy umiemy łączyć czyn z myślą i przeciwnie. Z tego powodu powstaje bardzo wiele fałszywych naszych kroków, narażenia siebie i innych na nieprzyjemności, jednym słowem, powstaje zło.

Bardzo często daje się słyszeć, jak ktoś żałuje za popełniony czyn, mówiąc:

— Czemu ja tego wszystkiego pierwaj nie obmyślałem?!

Gdybyśmy każdy swój krok poprzednio rozważyli, napewno bylibyśmy pewniejsi, że postąpimy zawsze dobrze. Ale bezmyślność, szczególnie w obecnych czasach, daje się spostrzegać na każdym niemal kroku.

Nieraz bywa, że czyn następuje zaraz po myśli i wtedy również nie dobrego z tego nie wyjdzie. Wszyscy zapaleńcy i wszystkie tak zwane gorące natury tłómaczą swój postępek tem, że uczynili je w zapomnieniu, przez wrodzoną krewkość i t. p.

Mylą się jednak. Powstaje to z braku rozwagi. Ot, przyszła myśl, a zaraz po niej — czyn. Nie składamy nigdy naszych win na karb zapalczywej natury, ale starajmy się ją przewyciężać za pomocą rozwagi, a wówczas przekonamy się, że uda nam się zawsze uniknąć czynu, nie idącego niejednokrotnie w parze, z naszym stanowiskiem, a nawet i nieraz z przekonaniami.

Również często zdarza się, że myślimy wiele, planujemy, rozważamy, lecz w końcu poprzestajemy na projekcie.

Przykładów nam nie brak. Pisze się i mówi o różnych planach i na tem koniec.

Ile to zupełnie niepotrzebnych kłótni, ile następnie obraz wynika z tego, że nie umiemy zaplanować nad sobą.

A to wada wielka ta nasza bezmyślność czyli inaczej brak rozwagi; gdybyśmy zaczęli więcej łączyć myśl z czynem, napewno wiele zyskalibyśmy na tem.



„Niema, jak nasz kraj!”

Ziemia sandomierska.

Jadąc lewym brzegiem Wisły, wchodzimy w gubernię radomską do żyznej ziemi sandomierskiej. Okolice te oddawna były zamieszkałe. Twierdzą o tem liczne stare wykopaliska, sięgające jeszcze czasów pogańskich, jak urny, czyli popielnice, w których nasi praojcowie chowali popioły zmarłych po spaleniu ciała na stosie, oraz toporki, krzemienie, igły kościane i t. d.

Zupełny prawie brak lasów, bujność pszenicznych łąnów, poprzerynanych malowniczymi parowami — oto główne cechy ziem sandomierskich,

Czarnoziem sandomierski, zwany przez ludność miejscową „popielatką“, pozbawiony kamieni i żwiru, łatwo daje się żłobić, to też w czasie roztopów wiosennych woda wydrążyła sobie koryta, które — po opadnięciu wód — pokrywają się bujną roślinnością. Parowy te stanowią dobre pastwiska i dodają wiele uroku okolicy. W wielu miejscach zno-

Ludność ziemi sandomierskiej, pracowita i dosyć zamożna, mieszka w chatkach z drzewa, starannie i czysto utrzymywanych.

Mężczyźni noszą sukmany bure lub granatowe, z czerwonymi wyłogami, zwanymi „ozydłem“, a na głowie wielką czapkę, zwaną „zawściekła“. Kobiety — koszulę z kolorowym wyszyciem, spódnice



WIDOKI Z SANDOMIERZA.

Bórą katedra od strony Wisły, dołem kościół św. Jakóba.

Wu wytworzyły się wyniosłości najdziwniejszych nieraz kształtów, w których można dopatrzeć podobieństwa do ołtarzów, piramid, kopców, rozwalonych murów i t. d.

Oprócz Wisły, grunt użyźniają jej dopływy: Czarna, Łukawa i Kamionna, a kraj przedstawia płazczyzną wysoką, pagórkowatą, która ku północachodowi coraz bardziej się wznosi.

wełnianą z czarnych owiec i na światło kolorowy gorset.

Oprócz rolnictwa, wieśniacy trudnią się uprawą jarzyn, zakładają i pielęgnują duże sady owocowe. Pszczelnictwo i rybactwo u Sandomierzan dotąd zaniedbane.

Sandomierz, prastare miasto ziemi sandomierskiej, rozrzucony na pagórkach i otoczony ze-

wszad bogatą drzew zielenią, pięknie się przedstawia zdaleka. Na wzgórzu nad Wisłą wznoszą się resztki zamku, który wysadzony został w powietrze przez Szwedów, za czasów Jana Kazimierza.

Najokazalej wygląda serce miasta — katedra sandomierska! U jej podnóża ścielą się ogrody, a niżej jeszcze Wisła wartkim biegiem płynie i mieni się wstęgą srebrzysto-błękitną.

W katedrze pochowany jest błogosławiony Wincenty Kadłubek, który spisywał dzieje Polski za czasów Kazimierza Sprawiedliwego. W skarbcu między innymi pamiątkami przechowują także rękawiczkę królowej Jadwigi, z czasów, gdy świątobliwa ta pani odbyła pielgrzymkę do Sandomierza, aby sobie u Boga uprosić potomstwo.

Oprócz katedry, istnieje jeszcze dzisiaj pięć innych kościołów, bo w Sandomierzu, napadanym tyle razy i rabowanym przez Tatarów, rozwinęło się bardzo życie religijne. Ludzie u stóp ołtarzy szukali pociechy po srogich ciosach i bolesnych stratach.

Do starych bardzo świątyń należy kościół św. Jakóba, ufundowany przez Adelajdę, córkę Kazimierza Sprawiedliwego, której zwłoki spoczywają w tymże kościele, pod nagrobkiem cennym, jako najdawniejszy w kraju zabytek rzeźby. Ratusz w Sandomierzu przypomina nieco Sukiennice krakowskie.

Sandomierz już z położenia samego był dogodnym miejscem obronnym; to też Kazimierz Wielki opasał miasto murem, odbudował zamek, dawną siedzibę Leszka Białego, i urządził w mieście wielki skład soli. Choć napadane, często rabowane i palone, miasto podnosiło się szybko z gruzów, a na dobre upadać poczęło od chwili, gdy stolicę Polski

przeniesiono do Warszawy. Dzisiaj Sandomierz jest to miasto powiatowe. Ludność jego, w znacznej części żydowska, prowadzi niezbyt ożywiony handel z Galicyą. Statki parowe odchodzą co drugi dzień do Nowej Aleksandryi, a berlinki i galary przewożą nie tylko zboże, lecz i owoce, gdyż sadownictwo, dzięki dobrej glebie i korzystnemu położeniu bardzo pomyślnie tam się rozwija.

Przeciwny brzeg Wisły przedstawia obszerną nizinę. Jest to dolina Sanu, łączącego się z Wisłą o dwanaście kilometrów, za Sandomierzem.

W powiecie sandomierskim przechowały się zwaliska starych zamków, jak w Ossolinie, Ujeździe; obie te miejscowości należały dawniej do możej rodziny Ossolińskich.

Za Opatowem, niedaleko Sandomierza, są piękne ruiny starego zamku, o których istnieje następujące podanie:

Zamek ten przed laty był własnością możnego pana, nazwiskiem Jawornicki, który z miernego stanu, przez pracę i oszczędność doszedł do majątku. W późnej starości popadł w ciężką chorobę, a czując się bliskim śmierci, przywołał do siebie syna jedynaka i rzekł mu: „Synu, majątek, który ci zostawiam, niech cię nie wbią w dumę; pamiętaj o ubogich twych współbraciach i nie odmawiaj im nigdy wsparcia.“ Poczciwy syn ukląkł przed łóżem ojcowskim i zawołał: „Ojczy, oddaj biednym wszystko, a ja, ciebie naśladować, będę pracował, o ile sił mi starczy, aby zebrać znowu majątek dla tych, którzy umierają z głodu i nędzy.“ Starzec uściśnął szlachetnego młodzieńca i kazał sobie wynieść w łóżu z zamku do pobliskiej chaty. Potem zaufanemu słudze szepnął kilka słów, a synowi polecił patrzeć



Pablo Sarasate

smarty przed kilku dniami słynny skrzypek włoski, który dawał koncerty w całym nieomal świecie i wszędzie słuchaczy grą swoją czarował.

ZDANIA I MYŚLI.

Radość w życiu jest tem, czem olej w lampie. Gdy olej się wypala, knot poczyną kepieć, dymić i wydaje czerwonawe światło bez blasku i jasności. Tak i życie bez radości zużywa się bezpożytecznie i objawia smutek i znużenie.

*

O człowiek lepszym się staje, gdy w sercu jego radość panuje! Niez radość to nie śmiech, to nie dowcipne słówka, wesołe odpowiedzi... to jednostajna w duszy pogoda.

*

Na ziemi, radość pada tylko na zagon, zorany pracą lub bólem. Chcesz więc radości zażyć, zacznij pracować i przeciwności dźwigać.

*

Nad czas niema nic droższego: Użyj mądrze skarbu tego. Bóg cię widzi — Bóg osądzi. Niebni, piekło — rozporządzi. Mija wszystko — runie, skona; Wieczność sama niekończona;

z okienka na mury zamkowe. W kilka minut sługa powrócił. Niezadługo rozległ się straszny huk, a młodzieniec zobaczył blask i dym, usłyszał grzmot i trzask padających murów. Wspaniały zamek zamieniony został w kupę gruzów!

Strwożony syn padł znowu na kolana przed ojcem, a umierający starzec wyszeptał: „Synu, ja na ciebie zawsze patrzeć będę,” i opuściwszy błogosławiące ręce, skonał.

* * *

Od wiernego sługi dowiedział się syn później, że ojciec kazał umyślnie wysadzić zamek w powietrze, jako marność światową, w celu zniszczenia wszystkiego, co by młodzieńca mogło wbijać w dumę i do gnuśności zachęcać. Posłuszny syn użył majątku ojcowskiego na dobre uczynki, a sam zabrał się szczerze do pracy, dopełniając święcie poleceń i przykazań rodzica.



Wesele Jana Zamoyskiego.

Król Stefan Batory, jako cudzoziemiec, nie znając polskiego narodu i jego obyczajów, przybrał sobie za doradcę Jana Zamoyskiego, który był nie tylko znakomitym wojownikiem, ale i mężem rzadkiej nauki i niespolitego rozumu.

I okazał się godny Jan Zamoyski tego zaufania monarchy, który kochając go, jak najlepszego przyjaciela, chciał go jeszcze bliższym sercu swemu uczynić i dał mu za żonę swoją synowicę, Gryzeldę Batorównę. Wesele odprawione zostało w Krakowie z bardzo wielką okazałością.

Przybyło na tę uroczystość mnóstwo znakomitych gości, tak z kraju, jak i z zagranicy, a król wszystkich podejmował przez cały tydzień hojnie i gościnnie.

Dla rozweselenia gości urządzano różne zabawy. Na rynku krakowskim odbywały się tur-

nieje czyli gonitwy. Siedem par czyli czternaściu rycerzy uderzało na siebie kopiami, a każdy z wojowników, starał się towarzyszywa prześcignąć w zręczności i sile. Innego dnia po mieście przeciągały maskary; byli to ludzie, po przebierani w maski i stroje osobliwe. Najpierw jechali murzyni, prowadząc słonia, który miał na sobie wieżę, z tej wieży wylatywały rozmaite ognie sztuczne. Dalej jechał wóz, ciągniony przez dwanaścioro dzieci, wyobrażających dwanaście godzin, każde dziecko miało zegarek na głowie, na wozie siedział człowiek z brodą i kosą w ręku — wyobrażał on czas — a za wozem szły osoby, przedstawiające słońce i księżyc. Za tym wozem szedł inny, zrobiony bardzo sztucznie z niebieskiej bawełny, a wyglądający jak wielki obłok; wóz ten ciągnęły trzy orły, a wśród obłoku siedział bożek i rzucał pioruny; jeden taki sztuczny piorun zapalił obłok z bawełny, i już wóz buchnął płomieniem, ale na szczęście wnet ogień ugaszono.

Zbudowano także okazałą bramę, przez którą przechodził wcale inny orszak. Na przedzie szli trębacz, a za nimi rycerze, od stóp do głów zakuci w żelazo. Za nimi szedł wóz z jeńcami i łupami, zdobytymi na wojnie.

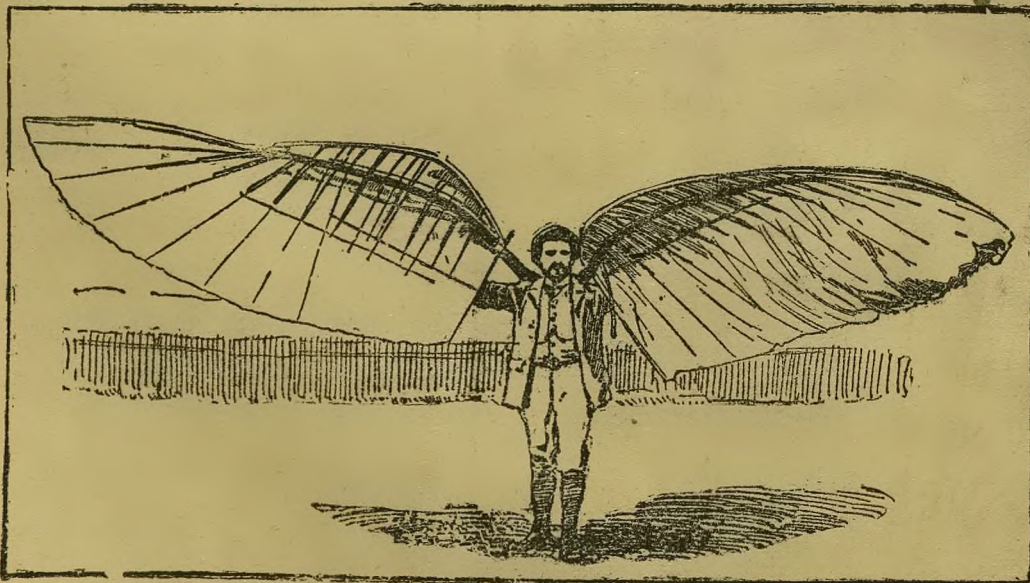
Inny jeszcze orszak przedstawiał myśliwych z chartami, sokołami i sieciami; a wreszcie jechała piękna kobieta, ciągniona przez wieloryby, którym z pyska, oczu i nozdrzów wytryskiwał pachnący olej.

Cały Kraków wyległ na ulice, aby na te osobliwości patrzeć, a biedni zbierali srebrne talary, które im hojnie z rozkazu monarchy rzucano.

Wesele Jana Zamoyskiego z Gryzeldą Batorówną upamiętnione zostało nie tylko tak osobliwymi zabawami. Największy ówczesny poeta polski, Jan Kochanowski, przyjaciel i wielbiciel hetmana, napisał na dzień jego zaślubin wiersz, w którym wychwala przymioty i wdzięki Gryzeldy, a Zamoyskiego nazywa: „tak w pokoju, jak i w boju, prawicą potężnego króla.”

Znowu nowy przyrząd do latania w powietrzu.

Obrazek przedstawia Anglika Passata z rozpostartymi skrzydłami. Jest to aparat, przy pomocy którego udało się Passatowi wznieść się w powietrze. Ha, po wynalezieniu okrętów napowietrznych



musiała przyjść kolej i na skrzydła. Zanoszą się nie żartem na to, że jeżeli nie my, to nasi następcy przeniosą się ze wszystkim w górne sfery. „Upadków” pewnie będzie przytem mało, ale — alboż i teraz ludzie nie upadają? Aparat pana Passata można podobno dowolnie składać i rozkładać, zupełnie jak skrzydła, nietrudno tedy będzie każdemu stosować się do słów wiersza:

„Młodości, ty nad poziom
Wylatuj, a lotem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przelatuj z końca do końca.”

SZTUKA ŻYCIOWA.

Odwaga w życiu codziennem.

Ułożyć sobie życie według utartych zasad obyczajowych, jest bardzo trudnem zadaniem dla tych, którym zbywa na odwadze. Rzadko bardzo i to chyba przypadkowo udaje się człowiekowi, nie posiadającemu odwagi, nie uzbrojonemu należycie w gorliwość i wytrwałość — przyprowadzić do skutku to, co sobie najmocniej postanowił.

Kto drży przed ludzką naganą i po lada najmniejszym rozczarowaniu traci odwagę — kto nie może zapanować nad swemi ułomnościami i błędami, ten nigdy nie wzniesie się ponad siebie i swoje otoczenie i zawsze będzie się krępował rzeczywistemi lub urojonemi granicami.

Na każdym z nas można się zdobywać na taką odwagę, jaką się męczennicy lub zdobywcy świata odznaczeni, lecz każdy może i powinien zdobyć się na odwagę niezbędną w życiu codziennem.

Do nadzwyczajnych w tem życiu czynów, powołanych jest od Boga bardzo niewielu — lecz czyż nie jest to o wiele zaszczytniej przejść przez życie z tysiącami jego codziennych walk i utrapień z dumnie wzniesionem i pogodnem czołem, niż spełnić szybko jakiś ryzykowny, odważny czyn?

Miej odwagę pokonać samego siebie, swoje namiętności i nawyczki i odrzucić wszelkie wymówki, które ci tak łatwo na usprawiedliwienie twych czynów z pomocą przychodzą.

Miej odwagę wyznawać wiarę twoją i przekonania religijne zawsze i wszędzie i pamiętaj, że skrupuły w wyznaniu tej wyższości duszy są podłem, niewolniczym tchórzostwem. Miej odwagę wypowiadać, gdzie należy twoje zdrowe zapatrywania i nie bądź pobłażliwym, gdzie widzisz fałsz, lecz wszelkimi siłami pomagaj zawsze prawdzie na wierzch wypłynąć. Kto milczy na zło — jest jego współnikiem — a kto podnosi dobrą działalność i wskazuje je — sieje niejako ziarno podobnie dobrych czynów.

Miej odwagę przyznać się do popełnionego błędu lub do nieświadomości jakiejś rzeczy. Roztrzaskając w ten sposób swoje sumienie — wyrobisz sobie szacunek i będziesz szedł drogą postępu.

Fałszywy wstyd, który zabija wszelką odwagę, wypływa z pychy lub tchórzostwa i jest bezpłodny, jak pusty kłos.

Miej odwagę znieść mężnie i z uśmiechem na twarzy to, co raz koniecznie doświadczyć będziesz musiał.

Miej odwagę raz jeszcze rozpocząć to, co ci przedtem się nie udało.

Miej odwagę przyznać się, że twoje środki nie pozwalają ci na zbyt znaczne wydatki — przez to odejmiesz sobie wiele goryczy, a zaoszczędzisz sobie wiele nieprzyjemności i upokorzeń.

Miej odwagę przekładać bardziej zdrowie i wygodę ponad przyjęte zwyczaje i wymysły nierozsądnej mody.

Miej odwagę traktować twych biednych, niepokazanych przyjaciół serdecznie nie tylko, gdy sam z nimi jesteś — lecz i wtedy, gdy spotkasz ich w towarzystwie takich ludzi, którzyby cię za takie znajomości nawet mniej szanować mieli.

Miej w końcu odwagę poddawać wolę twoją pod wieczne prawo chrześcijanina — twoje wygodę pod wolę bliźniego, twoje nawyczki ofiaruj obowiązkowi twego życia i powołania.

Wówczas łatwiej przejdiesz przez życie, bo nie trwając się nikim i niczem, staniesz się prawdziwie niezależnym.



Z PRZYRODY.

Wędrowka dzikich gęsi.

Nie jeden z nas to już zauważył, że późną jesienią dzikie gęsi zbierają się z swemi młodem i wielkie gromady i przelatują przez nasze okolice ku południu. Słychać przytem przeraźliwe geganie. Ludy starożytne na północy, szczególnie Szwedzi i Norwegowie za czasów pogańskich wędrowkę tę uważały za polowanie najwyższego ich bożka Odyna.

Gdy który z nas przypatruje się temu odlotowi, myśli sobie w duchu: „Stojmy w przededniu zimy, wkrótce spadnie śnieg”.

Ojczyzna ptaków nie zawsze jest jednak tam, gdzie im jest dobrze, lecz przeważnie w miejscach, gdzie się gnieźdzą i wysiadują młode i w których same się wylęgają. Ojczyzną dzikich gęsi jest daleka północ. Znajdują się one tam w ogromnych gromadach na Spicbergu, w Grenlandyi i w zatoce Hudsonskiej i stanowią główne pożywienie mieszkańców tamtejszych okolic. Aby się gęsi dzikie mogły utrzymać, niezbędnymi dla nich są otwarte wody oraz trawy. Dlatego też udają się one we wrześniu lub październiku na południe, gdy na dalekiej północy zima się rozpoczyna a wody zamarzają. Dostają się one w październiku i listopadzie już do północnych Niemiec i tak tu jako też i w innych okolicach, gdzie klimat jest umiarkowany, pozostają, jeśli zima jest łagodna. Podczas ostrej zimy natomiast odlatują jeszcze dalej na południe, bo nawet do północnej Afryki.

Bardzo ciekawy jest także sposób takiej wędrowki. Przed odlotem gromadzą się dzikie gęsi na pewnych, ściśle oznaczonych miejscach i to w takim samym porządku, w jakim znów przy końcu odbytej wędrowki się rozdzielają. Zauważyć więc można, że podczas gdy wędrowka innych ptaków, odbywa się zwykle w szykach ze sobą pomieszanymi, dzikie gęsi wędrują w największym porządku. Zwykle lecą pod kątem ostrym. Stara gęś, która jest najsilniejszą i posiada najbardziej donośny głos, leci na czele. Gdy się zmęczy, cofa się na najdalszy kraniec kąta, aby odpocząć, a inne według porządku, jaki na nie przypada, zajmują jej miejsce.

Tak lecą one dniem i nocą, ale nie w kierunku prostym, lecz od stawu na staw, z pola na pole. Lot ich jest zwykle bardzo wysoki, a tylko w dnie mgliste latają tak nisko, że można je strzelać.

Polowanie na dzikie gęsi jest bardzo utrudnionem, gdyż są one bardzo czujne, mają nadzwyczaj bystry wzrok i wyborowy słuch, to też myśliwy, podczas polowania na nie, posługiwać się musi rozmaitemi sztuczkami. I tak pada z nich podczas ta-

NA ŁOWY.

Siedzi sobie zając pod miedzą
A myśliwi o nim nie wiedzą;
Psy po polu rozpuścili
Krzyk i loskot uczynili
Był tu kot!

kłej wędrówki rok rocznie tysiące. Mniej ich za to ginie nad rzeką Donem. Tam doznają one zwykle gościnnego przyjęcia. Na wiosnę z każdego prawie domu dońskich Kozaków ciągnie 6 do 7 par ku północnym morzom, by tam założyć gniazda i młode wychować. Kiedy spadną pierwsze śniegi, na północy, wracają one znów na południe wraz z dziećmi i siadają na tych samych domach, z których dawniej odleciały. Wtedy dziewczęta, chłopcy, kobiety stają przed drzwiami domów, przypatrują się przybyszom i wołają: „To są nasze gęsi, a te to ich dzieci!”

Z nadejściem wiosny wracają one znów na północ, aby w zaroślach, położonych nad wodami stojącymi składać jaja i je wysiadywać. W lutym i marcu składa samica 9 do 12 jaj, które są tak wielkie, jak jaja naszych gęsi swojskich. Wysiadywanie trwa 4 tygodnie. Gdy się tylko młode wylęgna, stare prowadzą je na staw a tam młode przyjmują

Wraz z piękną jesienią rozpoczyna się czas, którego myśliwi z upragnieniem oczekują — czas łowów. Miła to rzecz z flintą na ramieniu, torbą u pasa i z wiernym wyżłem przy boku bujać po polach, łąkach i lasach; szlachetniejsza to rozrywka, niż spijanie kufla w piwiarni, lub machanie kijem bilardowym, albo co jeszcze szkaradniejsze, obdzieranie się wzajemne za pomocą gry w karty.

To też, komu stosunki na to pozwalają, niech tej rozrywki używa, a choć może nie stanie się

zapałym i zawodowym zabijakiem chyłych zająców i sarn płochliwych, ale za to pokocha niezawodnie te nasze niwy i lasy, polubi czyste, świeże powietrze, że już odtąd zawsze z utęsknieniem wracać będzie do wielkiej świątyni przyrody.

Z dawien dawna łowy były najmiłą za wszystkie rozrywką dzielnych przodków naszych. Tylko że bywały one zgoła inne, niż w dzisiejszych czasach bywają. Oto, jak opisuje Sienkiewicz łowy na dworze księcia mazowieckiego za panowania Władysława Jagiełły w odwiecznych, gęstych puszczech mazowieckich odprawiane, gdzie nie zające płochliwe, ale dziki i niedźwiedzie ubijano:



Wyjazd dworu książęcego na łowy w czasach dzisiejszych

pokarm taki sam jak stare; w nocy zaś wracają niepostrzeżenie ze stawów do zbóż i nigdy drogi nie zmylą. Tu wyrządzają większe szkody wskutek stratowania niż żarcia zboża. Dla rolników są one prawdziwą plagą i to tak długo, dopóki żenicy zboża nie zezną. Podczas poszukiwania za żerem stara gęś jest również lękliwa jak i młode. Na żer też wychodzą najczęściej nocą, a nie rozpoczynają dopóki nie rozstawią straży.

Dzięki bystremu wzrokowi i wybornemu słuchowi niebezpieczeństwo dostrzegają łatwo a wtedy ostrzegają się głośnie gęganiem i natychmiast wzbijają się w powietrze i odlatują.



Świat, to szerokie pole, pełno na niem chleba,
Tylko się uczyć trzeba i pracować trzeba;
Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,
A herbem szlachetności wypiętnować serce.

L. Kondratowicz.

Biegli leśnicy poczęli pod wodzą wielkiego łowczego rozstawiać myśliwych długim rzędem na skraju polany, tak, aby będąc sami w ukryciu, mieli przed sobą pustą przestrzeń, ułatwiającą strzały z kusz i łuków. Dwa krótsze boki polany obstawione były sieciami, za którymi taśli się borowi, „nawrotnicy”, których obowiązkiem było nawracać zwierza ku strzelcom, lub jeśli nie dając się spłoszyć, zaplątywał się w sieciach, dobijając go oszczepami. Nieprzeliczone gromady Kurpiów, umiejętnie rozstawione w tak zwaną otokę, miały pędzić wszelkie żywe stworzenie z głębi leśnych na polanę. Za strzelcami znów znajdowała się sieć, rozpięta w tym celu, by zwierzę, który zdoła przedrzeć się przez ich szeregi, został nią powstrzymany i w jej skrajach dobit.

Tymczasem daleko, daleko w głębi puszczy, ozwały się rogi kurpieskie, którym z polany odpowiedział krótko wrzaskliwy głos krzywuty, po czym nastąpiła cisza zupełna. Ledwie niekiedy za-

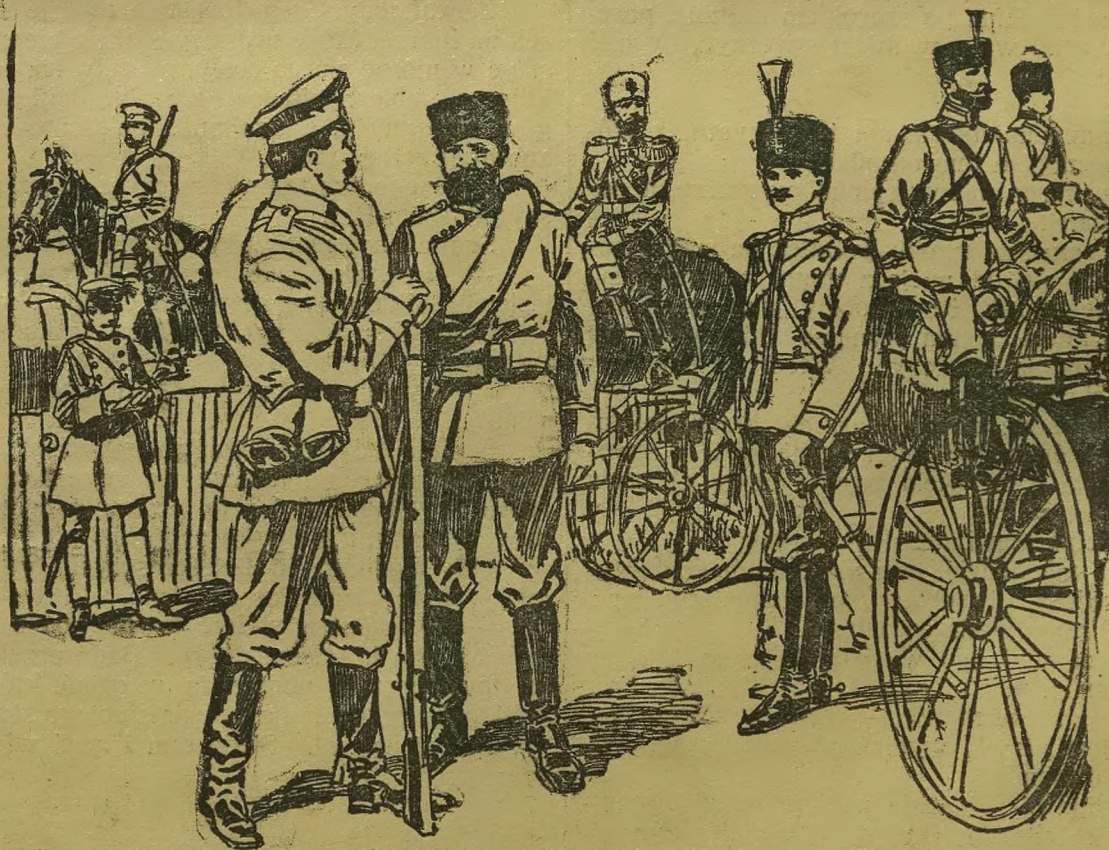
skrzeczała sółka w wierchołkach sosen, niekiedy zakrakali jak kruki ludzie z otoki. Myśliwi wytężyli oczy na białą pustą przestrzeń, na której wiatr poruszał oszronionym sitowiem i blizistymi krzami wilkiny, każdy czekał z niecierpliwością, jaki też pierwszy zwierz pojawi się na śniegu, wogóle zaś wrócono sobie łowy obfite i wspaniałe, gdyż puszcza rola się od żubrów, turów, dzików. Kurpie wykurzyli też z barkogów kilka niedźwiedzi, które zbudzone w ten sposób, chodziły po gąszczach złe, głodne i czujne, domyślając się, że wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę nie o spokojny sen zimowy, ale o życie.

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parki zwierza ku kłamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny szmat boru i szli z tak daleka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów, które zaraz po odezwaniu się trąb spuszczone zostały ze smyczy. Jeden z nich, spuszczonej widocznie za wcześnie, albo też włączający się luzem za chłopami, ukazał się na polanie, i przebiegłszy ją całą z nosem ku ziemi, przeszedł między myśliwcami. I znów uczyniło się pusto i cicho, tylko nawrotnicy krakali ciągle jak krucy, dając w ten sposób znać, że wkrótce robota się rozpocznie. Jakoż po upływie kilku pacierzy na skraju pojawiły się wilki, które jako najczujniejsze, pierwsze usiłowały się wynieść z obieży. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zawietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór, szukając widocznie innego wyjścia. Potem dziki, wynurzywszy się z kniei, poczęły biedz długim czarnym łańcuchem przez zaśnieżoną przestrzeń, podobne zdala do swojskiej trzody chlewnej, która na wołanie gospodarniej niewiasty zdąża, trzęsąc uszyna, ku chacie. Ale łań-

cuch ów zatrzymywał się, słuchał, wietrzył, zawracał i znów słuchał: wyboczył ku sieciom, i poczuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliżając się coraz ostrożniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów, i póki pierwsza krew nie spłamiła białej, śnieżystej podścieli.

Wówczas rozległ się kwik przeraźliwy, i stało rozproszyło się, jakby w nie piorun uderzył; jedne poszły naoslep przed siebie, drugie rzuciły się ku sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę, to po kilka, miesząc się z innym zwierzem, od którego zaroila się tymczasem polana. Już też dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadania psów i daleki gwar ludzi, idących w głównej ławie z głębi boru. Mieszkańcy leśni, odpędzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapelniali coraz szczelniej leśną łakę. Nie podobnego nie można było zobaczyć nietylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było już takich puszczy, jak na Mazowszu.

Dziwił się też nie pomału tej niezmiiernej ilości zwierza, a zwłaszcza pan de Lorche, który w swojej Lotaryngii nie podobnego nie widział. Stojąc przy księżnie i dwórkach, jak żóraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić, począł on już być nudzić się, marznąć w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż otę ujrzał przed sobą całe stado lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszczone z sobą, wicherzące po polanie, ośleplone trwogą i szukające napróżno wyjścia. Księżna, w której na ten widok zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew, wypuszczała grot za grotem w ową pstrą ciżbę, pokrzykując z ra-



Wojsko bułgarskie.

dości za każdym razem, gdy ugodzony jeleni lub łoś wspinał się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami.

Lecz uwagę pana de Lorche zwrócił ogromny siwy na karku i łopatkach niedźwiedź, który niespodzianie wychylił z szuwarów w pobliżu strzelców. Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł ku niemu z oszczepem, i gdy zwierzę podniósł się, rycząc okropnie, na zadnie łapy, skłół go na oczach całego dworu tak sprawnie i szybko, że żaden z dwu „brońców” nie potrzebował użyć topora. Pomyślał tedy młody Lotaryńczyk, że jednak niewielu panów, na dworach których bawił po drodze, ważyłoby się na taką zabawę, i że z takimi książętami i z takim ludem ciężką może Zakon mieć kiedyś przeprawę i ciężkie przeżyć godziny. Lecz w dalszym ciągu zobaczył skłóte w ten sam sposób przez innych myśliwych srogie, białokłowe odyńce, ogromne, daleko większe i zacieklejsze od tych, na które polowano w lasach Niższej Lotaryngii i w puszczach niemieckich. Tak wprawnych i dufnych w siłę dłoni łowców, ani też takich uderzeń oszczepem nie widział pan de Lorche nigdzie, co, jako człowiek bywały, tłumaczył sobie tem, że wszyscy ci, wśród niezmiernych borów siedzący ludzie, przywykają od dziecięcych lat do kuszy i oszczepu, zaczęli i do większej w ich użyciu dochodzą od innych biegłości.



Legenda japońska o stworzeniu świata.

Niegdyś, gdy jeszcze na świecie nic nie było, jedną wyjąwszy wodę, płynął Czam-Pas (najwyższy Duch) na kamieniu po szerokim morzu i przemyslał jakby miał widomy świat stworzyć, by nad nim panować.

I rzekł:

— Nie mam ani brata, ani towarzysza, z którym bym się mógł o tem naradzić.

I mówiąc to, z gniewu splunął w morze, a potem płynął dalej.

A gdy Czam-Pas znowu kawałek na swym kamieniu oddalił się od miejsca tego, obejrzał się w około i postrzegł, że plwociny jego w wielką górę urosły, która za nim płynęła. Uderzył w nią łaską swą, aby ją zniszczyć. Wtem Szajtan wyskoczył z niej i rzekł:

— Troskasz się, że nie masz ani brata, ani towarzysza, z którym byś mógł się naradzić o stworzeniu świata; jeżeli wola twoja, mogę ci brata zastąpić.

Ucieszył się tem Czam-Pas i rzekł:

— Niech tak będzie, jeśli nie bratem, towarzyszem być możesz. Trzebaby nam ziemię stworzyć, ale z czego? sama woda wszędzie!

Szajtan zamilkł, nie wiedział bowiem, jak ma stworzyć ziemię.

— Zanurz się w morze, — rzekł mu Czam-Pas, — na dnie jest piasek, wynieś go pełną gębą, zrobimy z niego ziemię.

— Właśnie ja toż samo miałem mówić, braciszku, — odparł Szajtan, który nie chciał przyznać,

ażeby Czam-Pas większym i rozumniejszym miał być od niego. I nazywał go przeto bratem, chociaż tamten wziął go tylko za towarzysza.

— A zatem idź-że na dno i przynieś piasku — odezwał się Czam-Pas, — lecz gdy go będziesz chwytł, musisz imię wymówić moje.

Szajtan dał nurka, lecz, pełen dumy, zamiast wyrzec imię Czam-Pasa, powiedział swoje własne i nie dostał ani ziarna piasku. I z łona morza wytrysnął płomień i opalił go. Wrócił osmalony.

— A! braciszku, — zawołał — nie mogę dostać ani ziarneczka piasku, bo zaraz płomień tryska z głębi i pali mnie okrutnie.

— Idź-no nazad, towarzyszu, na dno morza, — ozwał się Czam-Pas — płomień cię nie tknie, gdy wymówisz imię moje.

Szajtan znowu pogrążył się w morzu, ale i tym razem дума nie dopuściła mu imienia Czam-Pasa wymówić. Powiedział imię swe i znowu płomień popalił go ze wszech stron, wypłynął i ukazał się bez piasku przed Czam-Pasem.

— Czyś powiedział imię moje? — zapytał Czam-Pas.

Szajtan musiał się przyznać, że go nie wymówił.

— A jakież imię wyrzekłeś, towarzyszu?

— Moje własne, braciszku.

Szajtan musiał trzeci raz się zanurzyć, zagrożony, że ogień go na popiół spali, jeśli jeszcze imię własne wypowie. Teraz więc na dnie powiedział imię Czam-Pasa i otrzymał bez trudności pełne usta piasku. Wróciwszy na powierzchnię oddał piasek Czam-Pasowi, ale nie wszystek; część zachowawszy w ustach, pomyślał:

— Niech braciszek ziemię stworzy, ja też zrobię sobie drugą.

Zaczął tedy Czam-Pas, tu i owdzie sypać piasek na morze, który urósłszy stał się ziemią. I gdy siane w morze ziarna rosły, poczęły też rosnać i te które w gębie Szajtanowi zostały. I głowa mu jak góra się wzduła, a Szajtan z boleści wielkiej wyć zaczął przeraźliwie.

— Czego tam tak wrzeszczysz, towarzyszu? — spytał Czam-Pas.

Szajtan był zmuszony się przyznać i rzekł:

— Braciszku, nie wypłułem wszystkiego i ziemia mi rośnie w głowie, a cierpię okrutnie.

Czam-Pas uderzył Szajtana łaską po głowie i rzekł:

— Wypłuń, towarzyszu, a będziesz uzdrowiony.

Szajtan tedy wypływać zaczął piasek, ale z taką siłą, że wodnista i jeszcze nie stwardniała ziemia, razem wychodziła. I z tej powstały przepaści, doliny, wąwozy, a z piasku pagórki i góry.

Gdy Szajtan od boleści swych był wolnym, odezwał się Czam-Pas do niego.

— Nie możesz ty być towarzyszem moim, bo jesteś zły, a ja jestem dobry. Bądź przeklęty i idź na dno morza, w podziemia, w ogień, który cię już palił, gdyś przez dumę imienia swojego stworzyciela wyrzec nie chciał. Siedź tam i znoś wieczne męczarnie.



PRAWIDŁA ŻYCIA.

Tomasz Zan, jeden z najzaciejszych Polaków, przyjaciel Mickiewicza, założyciel stowarzyszenia „Promienistych” na uniwersytecie wileńskim, ułożył dla członków owego stowarzyszenia „prawidła”, które po wieczne czasy mogą służyć za wskazówki postępowania w życiu wszystkim, chcącym kształcić i doskonalić swe dusze.

Jako główne podstawy życia cnotliwego i pożytecznego uważa Zan dwa przedewszystkiem czynniki, to jest: moralność i oświatę.

W pierwszym punkcie „prawideł” każe Zan młodzieńcowi codziennie po ocknieniu ze snu przypominać sobie, że „czas szybko i bez powrotu ucieka”, a zatem należy z niego korzystać ze wszystkich sił, aby przez cnotę i naukę zapewnić sobie szczęście osobiste.

„Pracuj naprzód nad odkryciem twoich niewiadomości — powiada. — Gdy zaś poznasz czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy, lecz wielki krok na drodze doskonalenia twego umysłu.”

„Nie nazywaj dostateczną nauką wiadomości, usłyszanych z ust obcych albo wyczytanych z książki. — mówi w dalszym ciągu, dając skuteczne rady, jak należy nabywać prawdziwej mądrości życia przez gromadzenie wiedzy i doświadczenia, — lecz staraj się nadto, sam nad wszystkim, co widzisz, słyszysz, pojmujesz, ciekawie i rozumnie zastanawiać się i myśleć, aby nabyte wiadomości przerabiała się w istotny pożytek i własność twego umysłu: podobnie jako pokarm użyty i przetrawiony zamienia się w posiłek, krew we właściwe części twego ciała.”

Dalej zaleca Zan być skromnym w rozmowach, zdaniach, opiniach, nie stawiać się zarozumiałym i nie unosić się, broń Boże, pychą z tego, co się zdobyło w dziedzinie wiedzy i nauki, bo to rzecz niebezpieczna i łatwo prowadząca do zguby. Gdybyś spostrzegł w sobie zarodek tego niebezpieczeństwa: „bież co rychlej do umiarkowanego od ciebie, użyj jego rady, albo innych sposobów do odkrycia twoich niedoskonałości.”

Krótko, ale nadzwyczaj jasno i treściwie określiła w następnych paragrafach pojęcia cnoty, patriotyzmu, przyjaźni i miłości bliźniego.

„Chcesz być cnotliwym?” — pyta i zaraz taką daje odpowiedź: „Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi, ażebyś usposobił się czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z towarzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy, ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca.”

„Słodkich owoców przyjaźni z twoimi towarzyszami możesz być pewnym, jeżeli stłumisz w sobie do szczeru samolubstwo i zazdrość, jeżeli będziesz szanować chwalebne postęпки towarzyszy, będziesz szczerzy i otwarty, będziesz słuchał bez żadnej urazy naganę wad swoich i z pociechą przyjmował rady i przestrogi.”

„Miłości bliźniego pokażesz dowody, jeżeli będziesz umiał litować się nad cierpieniem drugich, bez względu na ród, stan, przekonania, wiek i płeć cierpiącego współczłowieka.”

„Troskliwość o samego siebie zakładaj na tem, ażebyś wszelkimi siłami doskonalił umysł i serce, tudzież utrzymywał czerstwość i zdrowie, chroniąc się stale gnuśności i rozpusty, — zwięźle a treściwie radzi w ustępie XI-ym „Prawideł”:

„Im łagodniejszym coraz będziesz się stawał i prostszym w pożyciu z drugimi, tem większego postępu w moralności będziesz miał dowody. Jeżeli kto naruszy twoją łagodność, bądź spokojny; jeżeli cię dotkliwie obrazi, przebac mu; jeśli natrętnik dalej się uniesie, ulituj się nad jego nierozsądkiem i proś go, ażeby cię wyzwolił ze swojej napaści; jeżeli i tym sposobem nie ustanie w złośliwości, przebac mu jeszcze i proś go jeszcze, i nie używaj gwałtownego odporu, chyba w przypadku niebezpieczeństwa.”

Ta chrześcijańska równowaga i pobłażliwość stanowią przez całe życie najwydatniejsze rysy charakteru i usposobienia samego Zana, który nie tylko nakreślił Promienistym programat taki, ale sam w sobie wcielił go niejako i do zgonu był żywym wzorem wygłaszanej teorii.

Czyż nie warto, abyśmy powyższe „prawidła” przyjęli za swoje i według nich postępowali?



DWAJ RYWALE.

(OBRAZEK Z WOJEN SERBII O NIEPODLEGŁOŚĆ.)

Milenko postępował przodem, Marko za nim, niby cień. Szli zrazu śpiesznie, następnie wolniej, trzymając się manowców, na których płatały się ścieżki co chwila ginące. Milenko jednak o drogę nie pytał. Na manowcach kierował się, jakby na trakcie bitym. Snadź okolica znaną mu była doskonała, bo dla połapania się potrzebował tylko głowę podnieść i okiem rzucić.

Nagle zatrzymał się na wzgórzu i, zwracając się nagle do Marka, rękę wyciągnął i rzekł:

— Patrz!...

Marko popatrzył, lecz hajdukowi w oczy.

— Co?... — odparł Marko.

— Jagodynę... Przypatrz się jej zdaleka, może po raz ostatni.

— Ostatni?... — zapytał Marko tonem, w którym dzwoniło zdziwienie.

— Tak, Boga-mi!... — podchwycił hajduk z przyciskiem. — Patrzyłbyś już na nią oczami trupiemi... przebiłbym ci piersi nożem na wylot... gdyby nie... nie... Serbia!...

Marko nie rozumiał znaczenia wyrazów tych, Milenka oczy gniewem się iskrzyły.

— Tyś mi wszedł w drogę, a ja nie lubię, gdy mi kto w drogę wchodzi... Jeżeli to Turczyn, posyłam mu kulę i koniec... Takiego zaś junaka, jak ty, miałbym ochotę wyzwać na rękę i spróbować się z nim w boju samowtórczym... Z tobą jednak nie mogę...

Zmarszczył brwi, targnął wasy, mruczał i po chwili, jakby nagle coś sobie przypomniałszy, się-

gnął ręką w zanadrze, wydobywając z-za pazuchy chustkę kolorową, w czworograniasty zwitek starannie złożoną.

— Gadałbym ja z tobą inaczej, gdyby nie to... — rzekł, pokazując Markowi zwitek.

Rozwinął. W chustce był papier, złożony w kształcie listu, czerwonym zapieczętowanego lakciem.

— Masz!...

Marko list z rąk hajduka wziął, na pieczęć okiem rzucił i w jednym oka mgnieniu się zmienił. Niecierpliwie rozłamał pieczęć, szybko rozwinął ćwiartkę i chciwie przebiegł ją oczyma.

— Mamy na koniec wojnę... — zawołał.

— To dobrze... To ja już o tem wiem... A także i o tem, że ja, harambasza, pan gór pekskich i omolijskich, obowiązany jestem być posłusznym rozkazom twoim...

— Wiesz więc, bracie, o wszystkim — podchwycił Marko — o czem ci wiedzieć potrzeba. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko śpieszyć... Chodźmy!

— O!... pss... — zawołał Milenko na Marka, który, wymówiwszy wyraz ostatni, zwrócił się i ruszył..

Marko patrzył mu w oczy wzrokiem pytającym.

— Co innego śpieszyć, a co innego Turkom w ręce leżać... Zobowiązałem się słowem hajduckiem najprzód oddać ci pismo do rąk, a następnie przeprowadzić ci całego i żywego.

— Więc prowadź!...

— Poprowadzę, ale trochę poczekawszy... Mam się przeprawiać przez Morawę...

— Więc cóż?

— Na wszystkich przeprawach Turcy czuwają.

— Musimy jednak Morawę przebyć.

— Musimy i przebądźmy.

Marko wciąż oczy trzymał w dal.

— Czego tam patrzysz? Nie patrz. Tyś mi zezwolił na wojnę, ale po-za wojną, co moje, to

moje; i gdybyś ty był nie kapetanem, ale padysza-chem, to, daremne by było twoje na Jagodynę spoglądanie. Diewojka jest moją narzeczoną: trzeba, żebyś wiedział o tem. Jam ją na rękach wynosił. Ja ją kocham!

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem.

— I ja ją kocham — podchwycił Marko żywo, ale tonem spokojnym i naturalnym.

Kto widział lwa podrażnionego, gdy mu się nagle grzywa zjeża i oczy pioruny gniewu ciskają, ten może mieć wyobrażenie o Milenku, gdy wyraz „kocham“, wymówiony przez Marka, o słuch jego trącił. Czoło mu się w głębokie sfałdowało brzozy, włosy najeżyły, oczy z pod brwi groźnie nasuniętych wściekłością strzeliły, kulaki ścisnął, zębami zgrzytnął i.. westchnął.

— To tak — rzekł. — Nas dwóch pozostawać przy życiu nie może. Ja ją kocham i ty ją kochasz. Jabym się śmiał z twego kochania, gdyby nie... gdyby... hm... hm...

— Tak — rzekł. — Świat szeroki, lecz dla nas dwóch miejsca na nim zamało. Pomiedzy nami stoi Anka i my jej rozederzeć na dwoje nie możemy.

Zakłó z cicha.

— Ha!... Pomiedzy nami stoi Anka i dzieli nas. Pomiedzy nami stoi Serbia i łączy nas. Komu tu pierwszeństwo należy?

Popatrzył Markowi w oczy.

— Ha!.. Chodźmy.. Pora nam w drogę.

Patrzył na słońce, które już się za lasy chowało.

— Nad brzeg Morawy przyjdziemy w sam czas.

A do Marka się zwracając, krótko i sucho rzucił mu wyraz:

— Chodźmy!

Już ciemno było zupełnie, kiedy bohater nasz i Milenko nad brzegiem rzeki stanęli.

— No — rzekł ten ostatni. — Za jednym zamachem będziemy mieli i kąpiel i przeprawę.

I rozbierać się począł.

Marko jednak nie rozbierał się.



Wojsko tureckie.

— Cóż ty myślisz sobie, kapetanie Marku?..
 — Myślę, co to będzie za przeprawa.
 — A no. Pójdziemy wplaw. Z odzieży robi się turban i haj!..

— Ty umiesz pływać, ale ja nie umiem.

— To to i źle — odparł Milenko, w głowę się drapiąc, jak czynić zwykli ludzie frasunku doznający. — Ale niekażdemu dano umieć pływać. Niekażdy pies to potrafi, a nie dopiero-ż człowiek. Cóż tu robić teraz? Iść na przeprawę do Głodowca albo do Cziupryi? i daleko i niebezpiecznie. Hm.. hm...

Zamyślił się na chwilę.

— No? — rzekł, jakby postanowienie jakieś powziawszy.

— Cóż? — zapytał Marko.

— Rozbieraj się.

— Ale ja pływać nie umiem.

— To nic. Rozbieraj-no się.

— Ale cóż będzie?

— Nie pytaj. Wiem ja, co będzie. W tem już głowa moja. Rozbieraj się tylko prędko, bo czas uchodzi, a mamy przed sobą szmat drogi do zrobienia.

— Chyba-ż tę drogę bez mnie będziesz robił, bo ja pójdę na dno jak kamień, skoro tylko na głębie się dostanę.

— To znaczy, że masz głowę ciężką. Z takimi głowami bywają konie, ale na to jest rada. Takiego konia uwiązuję się krótko do ogona takiemu, co ma głowę lekką, i płynie. Popłyniesz i ty. Morawa ma prąd silny przy tamtym dopiero brzegu. Rozbieraj się i daj mi odzież swoją.

Przekonany argumentami tymi, Marko zrzucił z siebie wszystko, co miał na sobie. Milenko ze swoich i jego rzeczy, przy pomocy pasa, sformował rodzaj czapy ogromnej, którą sobie na głowie uwiązał. Skończywszy tę robotę, wziął Marka za rękę i w wodę go wprowadził. Kiedy webrnęli wyżej pasa, przywiązał go do siebie plecami do pleców, a gdy Marko zapytał, czemu go raczej piersiami do swoich pleców nie obraca, taką mu dał odpowiedź:

— Żebyś rękami po wodzie nie chlapał i mnie za ręce nie chwycił.

Przeszedł jeszcze kroków kilkanaście i spłynął.

Marko leżał na wznak, twarzą do nieba zwrócony.

Zrazu Markowi położenie jego wydało się dziwnem. Gdy Milenko na wodzie się położył i ręce wyciągnął, ruszył się, jakby równowagi szukając. Lecz hajduk go upominał:

— Leż cicho! nie kręć się tam! Patrz sobie na gwiazdy i nie zważaj na to, choć ci się woda w uszy naleje. A nie pij wody! Wolisz się napić winca po kąpieli. Wodę zostaw dla gęsi. Oprzyj mi głowę na karku i leż cicho.

Marko wyciągnął się, ręce złożył i gwiazdom się przypatrywał.

Gwiazdom się przypatrywał, ale nie o gwiazdach myślał. Zastanowił go ten hajduk, ten półdziki człowiek, który przed chwilą powiedział, że świat szeroki, ale dla nich dwóch miejsca na nim niema, i który w chwili tej służył mu osobą swoją za statek przewoźowy. Zastanowiła go osobliwość ta; lecz nie był w stanie myśleniem głębiej w nią wnikać, czując ton wodną, lechcącą mu ramiona i boki. Marko był odważny; uczucie jednak, jakie-

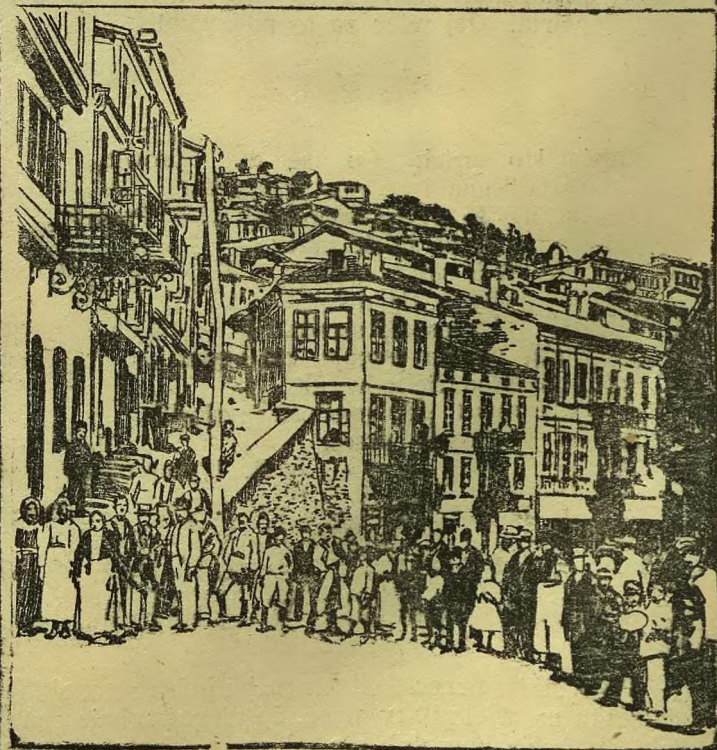
go doznawał, należało do tego rodzaju, iżby go można o bojażń pomówić.

Płynęli.

Gdyby się kto przypatrywał z brzegu, widziałby na zwierciadlanej powierzchni rzeki, nad odbitem w jej głębi niebem i drżącymi gwiazdami, przesuwający się jakiś przedmiot czarny, niekształtny, brylowaty. Zdawało się, że bryłę tę woda unosi.

Morawa, w miejscu zwłaszcza przeprawy podróżnych naszych, nie jest nader szeroką. Z szerokością atoli rzeki dzieje się tak, jak z odległością przedmiotu na stepie widzianego. Wydaje się blisko, a potrzeba iść długo, ażeby do niego dojść. To samo i z Morawą. Stanąwszy na jednym brzegu, zdaje się, że dość kilku ręki rzutów, ażeby się na drugi dostać. Lecz to złudzenie. Płynąc, płynąc potrzeba długo, tembardziej, że unoszący ukośnie prąd czyni drogę wodną dłuższą dla przebywających rzekę wplaw.

Rozgartywał Milenko silnem ramieniem wody Morawy, sapiąc i parszcząc. W miejscu, gdzie przepływał, woda wydawała głuchy szum, połączony z



Tirova,

starożytna siedziba władców bułgarskich, w której dobytek cesarza króla Ferdynanda ogłosił się cesarzem. Związane na drugi Boko. Potemże kiedyś carstwo bułgarskie dostało się r. 1393 pod panowanie Turcji i odtąd po 500 przeszło latach odrywane nieodłącznie Tirova była stolicą Bułgarii od r. 1186 — 1393.

cichem pluskaniem. Pluskanie pochodziło stąd, że nie był-to pływak w szkole pływania uczony i nie trzymał rąk pod wodą, jak metoda każe, lecz je kolejno na wierzch jedną po drugiej wydobywał, garnąc mokry żywioł pod siebie. To go męczyło. Lecz Milenko należał do tego rodzaju ludzi, których zmęczyć niełatwo. Utrzymywał się więc na wodzie doskonale, pomimo ciężaru, jaki dźwigał na sobie i posuwał się wciąż naprzód, przestrzegając od czasu do czasu towarzysza:

— Leż równo i spokojnie, nie ruszaj się!

Aż dopłynął do prądu głównego. Uczuł go pod sobą. Pozwolił mu nieść się przez jakiś czas, myśląc, że go do brzegu zbliży; lecz spostrzegłszy, iż się ku środkowi rzeki zagina, krzyknął na Marka:

— Trzymaj się cicho i pochyl się trochę na rękę!

Odsapnął z siły całej, natężył się, ramię daleko przed siebie wyrzucił, starał się pod siebie dłonią zagarnąć masę wody jak największą, zmienił nieco kierunek — woda go uniosła: podniósł głowę wyżej i znów się natężył — jeszcze nurt panował nad nim; pasował się z nim długo nadaremnie. Zawadzał mu Marko, który go do dna tłoczył. Gdyby go zrzucił, wypłynąłby natychmiast. Lecz myśl podobna ani mu w głowie powstała. Płynął, walczył, parł się i... wypłynął.

— Uuuch!.. — odetchnął z głębi piersi.

W chwilę potem dna nogami dostał i Marka odwiązał.

Na brzegu przeciwnym bohater nasz dłoń mu na podziękowanie uściśnął.

— I!.. — rzekł hajduk, ubierając się. — Jeżeli komu dziękować masz, to nie mnie. Pomiedzy nami stoi dziewczotka, która nas dzieli, i Serbia, która nas łączy. Dla dziewczotki-bym cię utopił... Ale Serbia więcej warta. Jej więc za to podziękuj...



Gdyby kto spytał: Co nam dają zdrowie,
Co uszlachetnia i co nas wzbogaca?
Pewnie mu każdy to samo odpowie: Praca!

O, bo gdzie praca
Na straży stoi,
Życie się dwoi
I czas się skraca.

Kto igłą, piórem pracuje, kto czyta,
Od tego głód się odwraca,
I wtedy nawet, gdy młodość przekwita:
Zakwita praca.

G. Puzyńska.



Ruch kobiecy w XVII w.

Wszystkim przeciwnikom ruchu kobiecego, składającym na wiek 19-ty winę, że niepotrzebnie ruch taki do życia powołał, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że już przed 250 laty znano w Polsce ruch kobiecy. W bibliotece uniwersytetu krakowskiego znajduje się oryginalny dokument z wieku XVII p.

t.: „Artykuły dziewic“, w których panie i panny wysokiemu sejmowi, przez króla Władysława IV-go zwołanemu, swoje życzenia składają. Pismo powyższe zawiera 25 żądań, z których każde jest w wysokim stopniu interesujące. I tak artykuł I brzmi:

Zważywszy, iż ogólnym stało się zwyczajem, iż panowie kawalerowie na swoje konkury za wiele potrzebują czasu, a nam z ostatecznym ślubem za długo dają czekać, przedstawicielki nasze powinny się starać o to, aby termin konkurów skrócić i dzień ślubu najpóźniej na miesiąc czerwiec każdego roku oznaczyć.

Artykuł II. Dla kawalerów, którzy w zapusty o pannę się starają, a do czerwca jeszcze się z nią nie ożenią, ustanawia się karę pieniężną w wysokości 1000 złotych polskich płatnych do kasy dla osierociałych dziewcząt polskich.

Artykuł III żąda zakazu i karania ślubów dla pieniędzy i domaga się prawa wolnego wyboru męża. Żadnemu ojcu nie wolno zmuszać córki do małżeństwa bez miłości.

Artykuł VI. Ze względu na to, że wielu panów kawalerów życie rodzinne zaniedbuje i starymi zostaje kawalerami, jest koniecznością wyznaczyć w każdym obwodzie przynajmniej cztery razy do roku pewne terminy w oznaczonym miejscu do wspólnego zebrania panien i kawalerów, aby się podług skłonności serca wzajemnie poznać mogli. Który z kawalerów bez powodu się nie stawia, jako człowiek niehonorowy, będzie uważany.

Artykuł X. Ponieważ wdowy pomimo utraty jednego, lub kilku mężów, starają się zwabiać do siebie pieścuchów materialnych, życzymy sobie, ażeby wdowom, po skończonym 40 roku życia, pod utratą honoru zakazano zawierać małżeństwa i zwłaszcza z tego powodu, że takie wdowy z różaniem w rękę i przy kołowrotku dni swych końca oczekiwać powinny.

Artykuł XIII ujmuje się za „brzydkimi“, żądając zwolnienia od ciała wszelkich przyborów kosmetycznych, gdyż nie każda panna może się poszczycić olśniewającą pięknnością i dlatego mniej pod tym względem od natury uposażonym nie wzbrania się podniesienia wdzięków.

Artykuł XIV prosi o prawo, ażeby każdy młodzienc nie najpóźniej w 30 roku do ożenienia był zmuszony.

W artykule XVIII wzywa się wysoki sejm, aby starał się o to, iżby tylko ludzie z równymi charakterami się łączyli, a więc zły mężczyzna tylko ze złą panną i t. d.

Czytając te artykuły musimy zaznaczyć z uznaniem, że życzenia dzisiejszych kobiet tak wielce różnią się od życzeń naszych prababek. Dziś nie o termin ślubu i o kawalerów idą petycję do sejmów, lecz o poszanowanie zdrowia i pracy, o równe stanowisko obywatelskie, o wolność zdobywania wiedzy o cześć dla macierzyństwa. Przeto ruchowi kobiecemu 20-go wieku „sława!“



25-lecie Arcypasterza.

Dnia 20 września święcono w Warszawie jubileusz 25-lecia arcybiskupstwa J. E. ks. Wincentego Chościaka-Popieła. Już poprzednio zorganizowany komitet z inicjatywy Feliksa hr. Czackiego ułożył program uroczystości, w której miały przyjąć udział wszystkie cechy i zastępy wiernych, na dzień 17 czerwca, jako na prawdziwy dzień dwudziestopięciolecia. Choroba arcypasterza odwlekła tę uroczystość do 20 września.

Uroczystość rozpoczęło nabożeństwo w przestarzałej archikatedrze, od 5 wieków miejscu święceń najważniejszych spraw kraju i zboru wszystkich stanów. Mszę św. celebrował J. E. ks. Apolinary Wnukowski w asystencji prałatów i kanoników. Trzech najwyższych dostojników polskiego kościoła katolickiego zasiadło w prezbiterium w otoczeniu licznych przedstawicieli kapituł, prałatów, kanoników itd. Słowo Boże głosił ks. kanonik Zygmunt Chęłmicki.

Po nabożeństwie dostojnicy kościoła wraz z delegatami i członkami kapituł, tudzież członkami-delegatami komitetu, razem około 60 osób, w sali recepcyj-



Ks. Chościak - Popiel.
arcybiskup warszawski.

nej pałacu arcybiskupiego składali Najdostojniejszemu Jubilatowi życzenia. Po przemówieniach biskupów i wysokich dostojników kościoła, zabrali głos świeccy hołdownicy: Feliks hr. Czacki i Aleksander Czajewicz, ofiarowując Arcypasterzowi adres, w którym są wyliczone zasługi, dzieje zabiegów, straży i poświęcenia wśród ciężkich niedawnych warunków kościoła.

„A wznosząc modły do Najwyższego o zesłanie na Ciebie łaski i błogosławieństwa, o użyczenie Ci na mnogie lata sił i zdrowia do dalszej pracy, z głębi serca wołamy:

za dwudziestopięcioletnie duszpasterstwo wiernych Twej archidiecezyi;

za przodownictwo w podźwignięciu i wznoszeniu licznych Świętyń Pańskich;

za przywiązanie do pamiątek i zabytków narodowych, za dbałość o ich zachowanie;

za wyrzeczenie się dla potrzeb duchowych swej owczarni dóbr doczesnych;

za umiłowanie małych i ubogich duchem;

za nieustanną troskę o wychowanie moralne i religijne ludu polskiego;

za trudy, udręczenia i bóle, które wypełniały życie Twoje — cześć Ci, Czcigodny i Dostojny nasz Arcypasterzu!”

Temi słowy kończy się adres jubileuszowy, doręczony arcypasterzowi w pałacu arcybiskupim przy ulicy Miodowej. Ma on formę ozdobnego albumu, składającego się z 44 oddzielnych arkuszy, zaopatrzonych w kilkanaście tysięcy podpisów.



Rozbudzonym ogniem z ducha
My zapalmy stos nadziei!...
Niechaj płonie i wybucha —
Świecąc naszych dróg kolei!...
Niosąc przed się święte hasło,
Wzbudźmy ogień w zimnem łonie,
Aby nigdy nie wygasło,
Co tli tylko — a nie płonie...
Bo dziś deską ocalenia,
Narodowych zmycie win —
A sztandarem odkupienia:
Prawda — praca — myśl — i czyn!



SZTUKA ŻYCIOWA.

Siła woli i wytrwałość.

Siła woli to wielka potęga, lecz wtedy tylko, gdy jej towarzyszy wytrwałość. Siła woli to postanowienie, wytrwałość, to wykonanie tego, co postanowiliśmy; że zaś temu wykonaniu najczęściej trud nieraz znaczny towarzyszy, więc też wielu ludzi nuży się i w połowie drogi ustaje, w połowie zaczętej pracy opuszcza rękę bezczynnie.

Ktoś naprzykład postanawia rano wstawać.

Pierwszego, drugiego dnia zrywa się ochotczo o oznaczonej godzinie; bawi go to, zadowolony jest z siebie; ale niech tylko znajdzie się jakaś przeszkoda, niech poprzedniego dnia nieco później, niż zwykle, uda się na spoczynek, niech rano będzie mglisty i zimny, zajęcie, jakie go czeka, niemiłe i trudne, a już do rannego wstania odbiega go ochota, już myśli, jak przyjemnie byłoby pospać dłużej lub odwlec nieprzyjemne zajęcie.

Inny chce się uczyć obcego języka, — kupuje więc metodę, gramatykę, słowniki i zaczyna pracować. Z początku idzie nieźle; wtem zjawia się trudność; uczeń próbuje ją przezwyciężyć, ale, gdy to nie udaje się od razu, rzuca książkę, zniechęcony.

I źle robi. Gdyby był cierpliwy i wytrwały, niewątpliwie zwyciężyłby ową trudność.

Wytrwałość cuda robi. Wszakże drobna lekka kropelka wody, spadając wciąż na jedno miejsce w marmurze lub kamieniu, wyłabia go po kilku latach.

Gdyby tylko kto zechciał spróbować i nauczyć się codziennie choć dwu wyrazów z obcego języka, po dwu latach rozumiałby go już dobrze.

Toż samo dzieje się i z innymi naukami, toż samo z nabyciem cnót i przymiotów.

Woda, spadając kroplami, po upływie pewnego czasu napętnia naczynia bardzo obszerne; z małego nasionka szyszki wyrasta sosna wspaniała, z drobnych łodyżek mchu rozległe torfowiska się tworzą; — tak samo i z drobnych usiłowań, ale ciągle, wytrwale ponawianych, ludzie wielką korzyść odnoszą.



Gdzie nas niema?

Niema prawie krajiny, niema prawie ludu,
Gdzieby ślady nie doszły klęsk naszych i trudu.

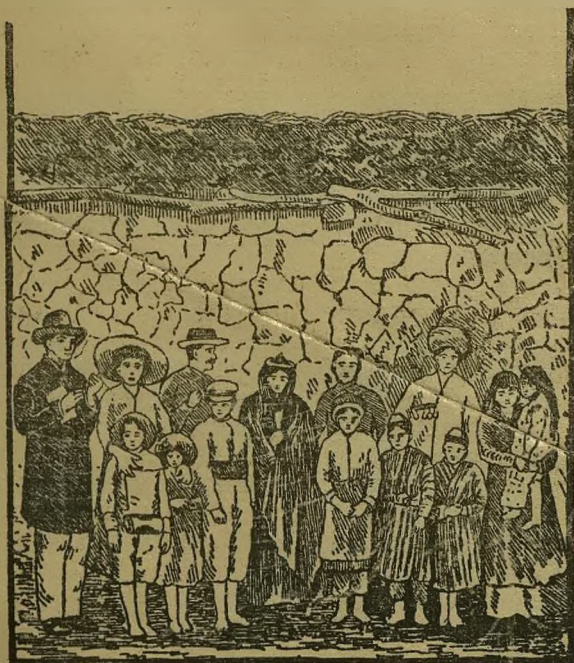
Kopalnie polskie w Turkiestanie.

Z odległym Turkiestanem wiąże kraj polski coraz liczniejsze węzły. Rok rocznie odbywa drogę do Turkiestanu kilka tysięcy młodzieży polskiej w szyniach rekruckich, gdyż tam przeważnie umieszczane bywają świeże zaciągi z Królestwa Polskiego. Po wysłужeniu niejeden pozostaje na stałe, znęcony pięknym klimatem i przyjacielskim nastrojem miejscowej ludności. Często więc w odległych tych stronach, nad brzegami Syr-Daryi, u podnoża śniegiem okrytych Himalajów, rozlega się mowa polska i niejedna już tam polska znajdzie się mogiła.

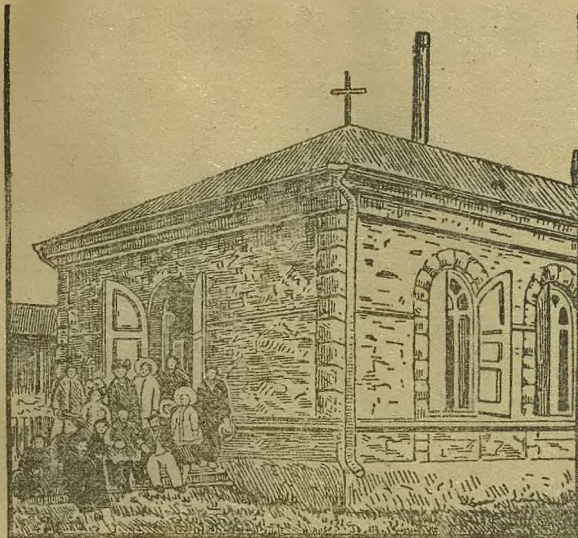
Poza tą przymusową niejako emigracją wzrasta stale zainteresowanie się Turkiestanem sfer finansowych i pracującej inteligencji. Turkiestan to przecież ojczyzna bawełny, to kraj pełen najróżniejszych bogactw mineralnych.

Z niemalą więc ciekawością a zarazem i radością, wziąłem udział w wycieczce dla obejrzenia przemysłu, zapoczątkowanego przez inżyniera Polaka Witolda Morzyckiego. Chodziło tu o zbadanie pokładów miedzianych nad rzeką Syr-Daryą.

Przenieść się nagle ze środka Europy do środka Azji, zdaje się to dziwnym snem. Wszystko tu inne, odrębne. Syr-Darya, ogromna rzeka, szerokości Wiśły pod Warszawą, płynie wśród pustych, skalistych brzegów przez szereg progów, czyli skał podwodnych. Przeprowadzamy się promem przez nią. Na promie naładowane „arby”, dziwne, dwukolne wozy z kołami o dwumetrowej średnicy. Przy wozach stoją wielbłą-



Inżynier Morzycki z rodziną i domownikami.



Świątynia polsko-katolicka w Armawirze na Kaukazie.

dy. Nasi towarzysze krajowcy, brodate Saity o twarzach asyryjskich, w pstrych ubiorach, przypominających kontusze. Na środku Syr-Daryi widok cudowny, w oddali śnieżne szczyty Himalajów, których przedgórza dochodzą do 4000 metrów. Rzeka szeroka — olbrzymia.

Na drugim brzegu czekają nas państwo Morzyccy, z rodziną przed domem fabrycznym. Cała tu już kolonia górnicza. Domy z surówki, kryte nawet matami ryżowymi, powleczone gliną. Deszcze tu prawie nie padają. Zabudowania wyglądają zamczyszc.

Na około pustka, zwirowa pustynia bez jednego źdźbła zielonego. Zato z tarasu przed domem wspaniały widok na Himalaje, a na pierwszym planie szeroka, jak jeziora Syr-Darya. Szkoda, że na fotografii takie rzeczy nie wychodzą! Przy przekąsce wspaniałe owoce. Melony o aromacie ananasa, winogrona, brzoskwinie, a wszystko to dziwnie aromatyczne, wielkie, soczyste.

Mimo zmęczenia, po drodze wybieramy się niezwłocznie rzucić okiem na teren kopalniany. Wyszedszy za dom, widzimy krajobraz najzupełniej pusty. Jak daleko okiem sięgnąć, wszystko zasypane grubym zwirem, a wśród pustyni sterczą rzędy do kilkudziesięciu metrów wysokich grzbiecików, dziwnie poszarpanych. Przypomina to żywo piramidy na piasku libijskim. Objaśnia mnie pan Morzycki, że stąpamy po dawnym korycie Syr-Daryi. Grzbieciki, to wierzchy pokładów rudonośnych, które, jako twardsze, oparły się działaniu wód. Przeciekające je puste margle zostały wypłukane i zasypane zwirem. Rzeczywiście powierzchnia każdego grzbiecika usiana gruzami zielonemi i czerwonymi, wielkości łebka od szpilki do głowy ludzkiej; to malachiti, miedź rodzima.

Interesujący jest sposób eksploatacji. Przypomina to wydobywanie węgla. Boczne ściany stoją bez obudowania drzewem, spód i po rościągłości wybiera się bez strzelania, rąbiąc kilofem. Wydobyty piaskowiec rudonośny idzie na płuczkę, bardzo prostą, ale dziwnie dobrze funkcjonującą. Jest to bęben blaszany, obracany lokomobila. Przy stałym dopływie wody piaskowiec ściera się o siebie i uchodzi z nadmiarem wody. Pozostaje czysta miedź, która czerwonym strumieniem wypływa się z bocznego otworu. Odbyliśmy wycieczkę wzdłuż terenu do wsi sartowskich.

Wsiadliśmy do dwukolnej arby, nawiasem mówiąc wybornie niosącego ekwipażu, i jechaliśmy trzy godziny przeszło wśród owych miedzionośnych grzbiecików. Oddalając się od Syr-Daryi, wjeżdżamy z pustyni w kraj osiadły i niesłychanie żyzny. Aleje to polowe, wysadzone wierzbami, a między nimi mury zabudowań. To wsie sartowskie, Ak-Meczeti Bisz-Arik. Wszystkie zawdzięczają swe istnienie wodzie, sprowadzanej z dopływów Syr-Daryi. Jest to bowiem kraj, żyjący tylko nawadnianiem. Ziemia bez deszczu zamienia się w pustynię, nawodniona daje stokrotne plony. Wszystkie rzeczki i potoki rozprowadzone są całą siecią kanałów, koryt i rowów do pól i ogrodów. Ogrodnictwo stoi niesłychanie wysoko. Brzoskwinie prowadzone nisko; korony spletają na jedną płaszczyznę, by okrywając matami, ustrzedz kwiat przed przymrozkami, trafiającami się w lutym. Pola bawełniane wyglądają jak porosłe malinami. Dziesięcina obsadzona bawełną przynosi do 400 rubli. Ryż podobno jeszcze więcej. Same wsie sartowskie składają się z parterowych domków z surówki. Pełno dzieci opalonych i czarnych, jak cyganięta, ubranych w pstre kontuszki. Kobiety noszą jaszmary t. j. zasłony na twarz z włosia końskiego. Na nasz widok obracają się do ścian, lub kładą się, kryjąc twarz ku ziemi. Mężczyźni witają nas z daleka życzliwie i z godnością zamieniamy Salem-alikom. Mówi mi p. M., że naród to dziwnie łagodny i sympatyczny. Zajęty swem rolnictwem i ogrodami, niema najmniejszych pretensyi do skarbów podziemnych swego kraju. Pod ziemią są złe duchy, więc prawowierny muzułmanin nie powinien im zakłócać spokoju, pozostawiając to mniej skrupulatnym „frankom” (tak nazywają obco-krajowców). Teren miedzianny, objęty przez pana M. obejmuje 35 000 dziesięcin (dziesięcina obejmuje mniej-więcej 4 morgi czyli 1 hektar). Znajdują się jeszcze niedaleko złoża bardzo bogate ropy i antracytu, eksploatowane, jak dotąd, w sposób bardzo pierwotny.

Taki to los Polaków, że wypierani z kraju własnego, szukać muszą chleba w obcych dalekich krajach.

Polacy w Armawirze.

Nawet w takim zakątku, jak Armawir, położonym w okręgu kubańskim na Kaukazie, od lat kilkudziesięciu osiadła garstka naszych rodaków, którzy obec-

nie tworzą już wprawdzie małą, lecz odrębną kolonię. Marzono tam o wzniesieniu kościoła i domu na pomieszczenie szkoły polskiej i plebanii, lecz z powodu braku funduszków skończyło się na tem, iż po ogrodzeniu gruntu, przeznaczonego pod budowę kościoła, wzniesiono w r. 1904 dom modlitwy. Obecnie podniesiono znów projekt budowy kościoła, dom zaś modlitwy, którego rysunek podajemy, ma być zamieniony na budynek szkolny, gdyż znaczna liczba dzieci polskich, pomimo opieki domowej, mimowolnie się wynaradawia, nie władając dobrze mową ojczyzną. Zadaniu temu nie mogą podołać Polacy zamieszkali w Armawirze, więc apelują do rodaków rozproszonych po całym świecie o pomoc w tej sprawie.

Któż od trudu się wyzwoli,
Skoro wszyscyśmy jednacy,
Win Adamowych krewniacy?
Rób, czy prędko, czy powoli —
Nie oborzesz pługiem doli,
Ni nie przepracujesz pracy.

Płynie Wisła, płynie...

Wisła płynie tak dawno, że nikt nie pamięta, kiedy tu przy płynęła w nasze strony. Może i wcale ludzi tu nie było. Sama tylko mogłaby opowiedzieć chyba te dawne dzieje, — ale i tego nie wiem, bo przecież te wody, co wówczas w niej płynęły, dawno wpadły w morze, a coraz inne, inne Wisła niesie.

A ona wciąż ta sama. Tę samą ma barwę, ten smak wody, kierunek, szerokość, siłę, obyczaje. Choć wody inne, a rzeka taka sama, bo tem samem płynie korytem; choć ludzie umierają i rodzą się nowi, ten sam zostaje naród.

Ale jak to było, kiedy poraz pierwszy ta złotowłosa pani zaszła w nasze strony, — czy nigdzie tej historii nie spisano?



Wojsko serbskie.

Trochę, troszeczkę może i spisano na księdze bardzo starej, o! starszej od Wisły, na ziemi samej. Coś ona wie o tem, może i powie, — popatrzymy uważnie.

Hej, hej, gdzie to początek naszej pani rzeki, gdzie kolebka, w której się ukołysała! Het, het, w górach, aż na południu. Spłynęła sobie potokiem w dolinę i, jak dziecko, nie wie sama, gdzie się zwrócić. I tu pięknie, i tu ładnie, i tu słonko świeci, więc naprzeciwko niemu, ku wschodowi!

Płynie i myśli: Do słoneczka płynę! Wprost ku niemu. Gdy wstanie z rana, pierwsza je zobaczę i pierwsza je powitam, — to najlepsza droga.

A wtem z za jarów i wzgórz wybiegł szybko San młody i wesoły. Spotkali się nagle i uderzyli mocno, jak to w biegu bywa. Zaszumiało im w głowach, pociemniało w oczach; zakręciło się wszystko, a nazajutrz z rana Wisła spostrzegła, że już nie ku słońcu płynie, ale od niego precz, aż het, na północ.

Oburzyła się srodze na psotnika, co jej tak zmylił drogę.

— Ho, mości panku! — zawołała dumnie — nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, co robię, że tam pójde, gdzie chcesz. Mam ja swoją wolę!

— Pani siostró — szepnął San pokornie — jeżeli obraziłem cię, to przebac, bo nie przez figle zmyliłem ci drogę. Ani wiesz, co by cię musiało spotkać, gdybyś na wschód płynęła dalej. Zapytaj wiatru, jakie tam rzeki ogromne, jakie potężne zagrządzają drogę; musiałabyś utonąć w nich bez śladu i nie tam iść, gdzie zechcesz, lecz dokąd cię poniosą. Zapytaj wiatru.

Wiatr, przyjaciel Sanu, zaszumiał długo, tęskno i przeciągle, a Wisła zrozumiała pieśni jego.

Więc cicho płynie na północ i myśli: Czy to tam moja droga? Tam, gdzie niema słońca i tylko jedna



Co to jest?

Powyższy obrazek możnaby nazwać tryumfem sztuki chirurgicznej a z drugiej strony obrazem litości ludzkiej. Jest to piesek pewnej obywatelki wiedeńskiej, któremu kolebka miejska zniszczyła obie tylne nogi. W takim wypadku kto inny byłby może kazał psa dobić, lecz owa obywatelka postąpiła inaczej: kazała psa leczyć. Okazała się potrzeba odjęcia róg, lecz i to nie zrazliło litościwej pani. Gdy psa wyleczono kazała mu zrobić wózek, jak to widać na obrazku i dziś pieszek wpół idąc wpół jadąc podąża za swą panią po ulicach Wiednia.

gwiazda co noc świeci zawsze w tem samym miejscu? Czy tam?

A wtem od wschodu biegnie znowu rzeka, poważna i spokojna, czołem przed nią bije i świeże nurty, łączą z Wisłą biegiem.

— Witaj, o pani! — wołała — i pozwól się ostrzedz. Na zachód prędko zwracaj wody, bo tam przed tobą inne płyną rzeki, bo tam nie twoje państwo, tyś im niepotrzebna i zginiesz między nimi bez imienia.

— Aha — odparła Wisła — ja to przeczuwałam, że to nie moja droga. Dziękuję ci bardzo. Teraz widzę, jak dobrze mieć przyjaciół, co wieści niosą zdala. „Na zachód, na zachód”, — a czy tam moja droga? I widzisz, polubiłam tę gwiazdeczkę, co na północy świeci, bo nie zmieniam miejsca. Musi je kochać, musi być szczęśliwa, skoro go nie opuszcza. Więc pójdę na zachód, ale troszeczkę zwrócę się ku niej.

— O, nie! — zahuczał zdala nadpływający Bug z Narwią — nie na północ. Na zachód, na zachód! Patrz, jak tam wspaniale! Słońce spoczywa w purpurze i złocie — pół nieba w ogniu każdego wieczora, — gdzie takie blaski znajdziesz? barw tyle, tyle cudów!

I Wisła, porwana zapalem Bugu, biegnie wraz z nim na zachód; olśniona blaskiem zachodniego nieba, tam widzi drogę swoją, przeznaczenie, i spieszy, spieszy.

Aż nagle ziemia sama podniosła się przed nią i rosnąć się zdawała z każdą chwilą, jak gdyby jej tamować chciała drogę. Wisła się wspina, podnosi i wzbiera, lecz ciężko płynąć, coraz ciężiej, ciężiej.

— O matko-ziemio — szepnęła na koniec — czemu mi stajesz przeszkodą na drodze, kiedy za słońcem biegnę do jego jasności? Puść mnie!

— Nie, Wisło-córko, nie tam twoja droga. Inne tam rzeki płyną, nie walczyć ci z nimi na zgubę. Każdy mieć swoje musi i swoim służyć; tu ziemia twoja, a tam droga twoja, ku tej gwiazdce, co świeci codziennie w jednym miejscu. Więc z Bogiem, córko; tu ci wyznaczono państwo, w którym królować będziesz i odbierać jasną daninę od wszystkich wód jego, aby ją złożyć w morzu. To ukochaj i bądź kochaną.

Spoważniała Wisła na takie wezwanie i już nie z oporu zwróciła fale na północ, ku morzu i płynie cicho, spokojnie, szeroko, bo wie, że tu jej wyznaczono pole, bo wie, że tu jej wieczne panowanie, że tu jej świat.

Ale to dawno było, bardzo dawno.

C. Niewiadomska,



TU NA ZIEMI...

Tu, na ziemi, kwiaty schną
I świergot ptasząt swój koniec ma...
Gdzież taka wiosna, co wiecznie trwa?

Tu, na ziemi, ludzie płaczą
Strwonionych uczuć przyjaźni, miłości...
Gdzież taka przyjaźń, co niezmiennie gości?

Tu, na ziemi, szczęście się rozwiewa
Jak sen jaki złoty —
Jedynie tylko wspomnienie zostaje
Wśród łez i tęsknoty.

ZADUSZKI.

„Niema prawego szczęścia na ziemi dla człowieka,
 Be on wyższy jestestwem od wieka do wieka.
 Morze uciech wypławszy, jeszcze głodnym będzie,
 Póki z Tobą o Stwórco na wieki nie siedzie.“

Ks. Woroniecz.

Nad cichym cmentarzem wschodzi blade słońce jesienne... Na zasępionem niebie pierwsze promienie zorzy porannej toczą walkę z nawałem chmur, rozsuwających się powoli... Mgła gęsta spowiła ziemię, powietrze jest dżdżyste i wilgotne, duże krople rosy drżą na pożółkłych liściach drzew, któremi wiatr lekko porusza, strącając te krople na groby; to natura pierwsza niesie daninę łez ku uczczeniu zmarłych w doroczne ich święto zaduszek.

Nigdzie ani jednej żywej istoty ludzkiej. Cisza uroczysta zalega cmentarz; dopiero za parę godzin zarni się on gwarem, jaki raz do roku ośmiela się mącić spokój tym, co strudzeni pielgrzymką życia odbiegli tam, aby spocząć z dala od ludzi.

W tej rzewnej ciszy cmentarza jest jakaś groza, która niedowiarkom nawet pieczęć milczenia kładzie na usta. Czuje on wiedzy, że wobec majestatu śmierci wszystkie rozumowania ludzkie wyglądają płytko i błado.

Milczy cmentarz, ale wstuchajmy się tylko w tę tajemniczą ciszę, jakże ona wymowną się stanie...

Dla ludzi, którzy obok objawienia wiary i kościoła ludzkich jeszcze potrzebują rozumowań i dowodów, najsilniejszym chyba potwierdzeniem dogmatu o nieśmiertelności duszy jest właśnie cześć dla umarłych, istniejąca wśród ludzi od początku stworzenia, od najdawniejszych czasów kultury.

W obrzędach kościelnych modlitwy za umarłych są tak dawne, jak samo chrześcijaństwo; poświęcenie wszakże jednego dnia w roku szczególniejszej pamięci o zmarłych sięga końca X stulecia naszej ery, gdy św. Odilon, opat z Kluniaku w Burgundii, postanowił w klasztorach benedyktyńskich nazajutrz po uroczystości Wszystkich Świętych, urządzać nabożeństwa za wszystkich zmarłych i polecał ludowi zwracać modły swe ku pomocy tych dusz do Boga.

Papież, pochwaliwszy piękny zwyczaj, ustanowili z czasem święto kościelne, wszędzie obowiązujące. Tak więc powstał dzień zaduszy, obchodzony nabożeństwami żałobnymi w świątyniach, procesjami po cmentarzach, „wypominkami“, czyli polecaniem przez kapłanów dusz modlitwom wiernych itd.

Takie jest znaczenie obrzędowe święta Zaduszek. Ludzie z religijną pamięcią o duszach, potrzebujących naszej pomocy przed Miłosiernym Stwórcą, połączyli i cześć dla umarłych, objawiając ją w dzień zaduszek oświetlaniem i ubieraniem grobów i mogił swoich krewnych lub nieboszczyków, którzy przez swe czyny i zasługi publicznego znaczenia pozostawili wśród potomnych długotrwałą pamięć.



Kto nigdy łzami nie zrosił chleba,
 Kto nigdy w bezsennych godzinach nocy
 Próżno nie wzywał bratniej pomocy,
 Ten Was nie poznał o Potęgi Nieba.

(z Goethego).



„Na głowie mam kraśny wianek,
 W ręku zielony badylek;
 Przedemną bieży baranek,
 Nademną leci motylek;
 Na baranka bez ustanku
 Wołam: „Baś, baś, mój baranku!“
 Baranek zawsze z daleka,
 Motylka różeczką gonię,
 I już, już chwytam go w dłonie:
 Motylek zawsze ucieka“.

(Wyjątek z „Dziadów“ Mickiewicza.)

W niektórych okolicach Polski obchodzono w dzień zaduszy święto „dziadów“ czyli przodków, łącząc w tym obchodzie pogańskie gusła i zabobony z pojęciami religii chrześcijańskiej. Tajemniczy ten obrzęd wzięty poeta Adam Mickiewicz za tło do wielkiego poematu, złożonego z kilku części, któremu dał nazwę „Dziady“. W drugiej części tego poematu jest tam przedstawiony cały obrzęd w nadzwyczaj poetyczny sposób: Oto gromada cała zebrała się późnym wieczorem a stary huślarz (gęślarz, lirnik) wywołuje te dusze, które spoczynku na tamtym świecie dotąd nie znalazły i potrzebują ludzkiej pomocy. Zjawiają się tam dusze, które straszne krzywdy wyrządzały na tym świecie, jako też i te, które choć krzywd nie wyrządzały, ale nie doznały też za życia żadnych cierpień, żadnej gorczy, jako i ta dziewczyna, która nie znając, co miłość i zamięć, igrała tylko z barankiem i motylkami.

„Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
 Że według Bożego rozkazu:
 Kto nie doznał gorczy ni razu,
 Ten nigdy nie może być w niebie!“

Taką dawszy podstawę swemu dziełu, poeta dalej w niem przedstawia krzywdy i cierpienia naszego narodu.



DZIADY W POLSCE.

Dziady, żebracy, stanowili u nas, jak wszędzie, od najdawniejszych czasów, klasę osobną obyczajami, zajęciem, uprawą umysłową, fizyognomią swoją, od innych wielce różną. Oni niejako pośredniczyli między ludem a duchowieństwem, stanowili niejako ostatni poziomy szczebel sług kościelnych, byli ludu lekarzami, doradcami, swatami, kumami; od kolebki do mogiły dziad i baba co chwila potrzebni byli chłopu. Baba przyjmowała dziecię, gdy się narodziło, baba obmywała zziębłe ciało starca, gdy umarł, kładła go w trumnę i śpiewała nad nim wigilie. Strój dziada



DZIAD LIRNIK UKRAIŃSKI

bywał rozmaity, najpospoliej jakiś najędźniejszy łachman go okrywał, płaszcz łatany, umyślnie odarty. Dodatkowo do tego bywały szczudła, „biesagi”, czyli sakwy, „kotwica”, czyli pudło zgięte, noszone na plecach, kij, czyli „kosztur” w rękę, często dla obrony, przed psami, skórą jeża obwinięty na końcu, lub długi, przysłowiowy „bicz dziadowski”. W niektórych wszakże stronach, jak na Podolu, na Ukrainie można nieraz było oglądać dziadów zupełnie przyzwoicie, a nawet dostatnio odzianych, w porządnym świtkach, w butach juchtowych z długimi cholewami i w wysokich czapkach baranich, zwłaszcza pomiędzy lirnikami.

Przyzwoicie też przyodziewali się, bądź to udawający pielgrzymów, bądź istotnie pielgrzymujący z Polski do Rzymu. Nosili oni ciemne szerokie płaszcze, tłomoczki skórzane na plecach, kapelusze ze sznurkami; u pasa mieli wiszące paciorki różańcowe, czaszą miedzianą do czerpania wody, a w rękę wysoką łaskę pielgrzymią. Ci stanowili arystokrację dziadowską i cieszyli się wielkim poważaniem u ludu, zwłaszcza tacy, którzy istotnie byli w Rzymie, albo, co większa, w Ziemi Świętej, i powrócili stamtąd z wielkim zbiorem świętych pamiątek, oraz legend cudownych, obok najdziwniejszych powieści o trudach i przygodach swej pielgrzymki.

Niektórzy też chodzili ze skarbonką, kwestując na kościoły lub szpitale. Baby i dziady włączyli się nieustannie z odpustu na odpust, z jarmarku na jarmark; rzadko szli w większej liczbie razem, gdyż samiby sobie przez to szkodzili. Ślepy ze swoim przewodnikiem, głuchym lub chromym, dziad z babą przyjaciółką, chodzili, dzieląc się jałmużną zebraną, niekiedy się kłócąc i bijąc o nią. Na odpustach tłumy niezliczone zasiadały cmentarze kościelne, śpiewając, wykrzykując, ukazując rany ohydne, bardzo często sprowadzane ciolami jęczącymi, albo maściami, ofiarując świeczki, medaliki, różańce i obrazki na sprzedaż, albo też różne leki, udając kaźń Bożą, obłąkanie, paraliż itp. Dzień zaduszny, jak jest dzisiaj, tak był i z dawna dniem najuroczystszym w roku dla dziadów, bo w nim najśutszą odbierali jałmużnę za dusze zmarłych. To też w dniu tym mieli oni jakoby wyprawiać sobie składkowy bal dziadowski, na którym się dopuszczali rozmaitych zbytków.

Dziadowie w ogólności w dawnych czasach, nie tylko wśród ludu pobożnego, ale także w klasach zamożnych, doznawali względów niemałych. W wieku XV i XVI panowie i biskupi nieraz wydawali ucztę dla dziadów; nieraz także wzywano ich do podawania dziecka pańskiego do chrztu, w przekonaniu, że to szczęście na nie sprowadzi; z pośród nich też i za dni naszych, dwunastu najwybrańszym biskup umywał nogi w Wielki Czwartek i hojnie ich przytem obdarza. W ogólności jednakże klasa włóczących się dziadów była stekiem ludzi rozwieżłych, szkodliwych i niebezpiecznych; zdarzali się między nimi już nietylko złodzieje, rabusie, podpalacze, lecz nawet truciele i zbóje. Mieli też do porozumiewania się z sobą w przedsięwzięciach zbrodniczych oddzielny i właściwy, swój język, o którym wspominają dawni pisarze. Składał się on po większej części z wyrazów pospolitych z przekreśnionem tylko znaczeniem, lecz miał także i swoje własne.

Dziadowie w różnych okolicach tworzyli rodzaj stowarzyszeń, niejako cechów, które obierały sobie dzielnice miasta, lub jakieś wioski, czy parafie, gdzie przywłaszczali sobie jak gdyby monopol żebracki. Jest też podanie, że obierali sobie króla dziadów. Z bie-

ciem czasu typy takich działości powoli znikają i tylko w dzień Zaduszny na cmentarzach, lub gdzieś podczas odpustów wiejskich, można dotąd spotkać charakterystyczne postacie dziadów, uprawiających zebranie jako zajęcie, nawet dziś jeszcze dość korzystne.



POŚWIĘCENIE CMENTARZY.

Gdy przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca ujrzymy z daleka te pola Boże, jaśniejące wytworną prostotą, z tymi krzyżami jednostajnej prawie wysokości, lży rozrzedzenia cisną się do oka, a modlitwa na usta. Wspomnienia starożytności nasuwają się na pamięć. Przeniesieni o dziewiętnaście wieków, niejako znajdujemy się w katakumbach Rzymu.

Wszystkie cmentarze są poświęcane, praktyka ta sięga kolebki chrześcijaństwa. Religia, która tyle razy człowieka błogosławi, religia, która błogosławi jego pola, jego łąki, jego pokarmy, jego mieszkania, też sama religia błogosławi miejsce wiecznego spoczynku. Religia przypomina przez to poświęcenie, że człowiek nie traci swojej świętości, pozostaje przedmiotem poszanowania nawet wtenczas, kiedy zamieniony w proch, spoczywa w grobie.

Cmentarz poświęca biskup, a za jego pozwoleniem kapłan. W dniu, poprzedzającym uroczystość poświęcenia, stawia się na środku cmentarza krzyż drewniany, wysokości człowieka, z trzema ostro zakończonymi kołkami do świec. Przed krzyżem zatyka się w ziemię pal, na dwie stopy wysoki.

Co ma oznaczać to przygotowanie?

Krzyż drewniany przedstawia Zbawiciela świata, który jest zmartwychwstaniem i żywotem. Ten pal białawy jest obrazem człowieka, który przez śmierć staje się podobnym do suchego a nieprzydatnego drzewa. Noc nadchodząca po zatknięciu krzyża przypomina ciemność grobu, obrzęd zaś, który nazajutrz się odbywa, jest obrazem zmartwychwstania. Ten krzyż nad palem wznoszący się mówi głośno, że Jezus Chrystus opiekuje się i w grobie zwłokami ludzkiemi, że je ręką swoją ochrania i że je w dniu naznaczonym do życia przywrócić potrafi.

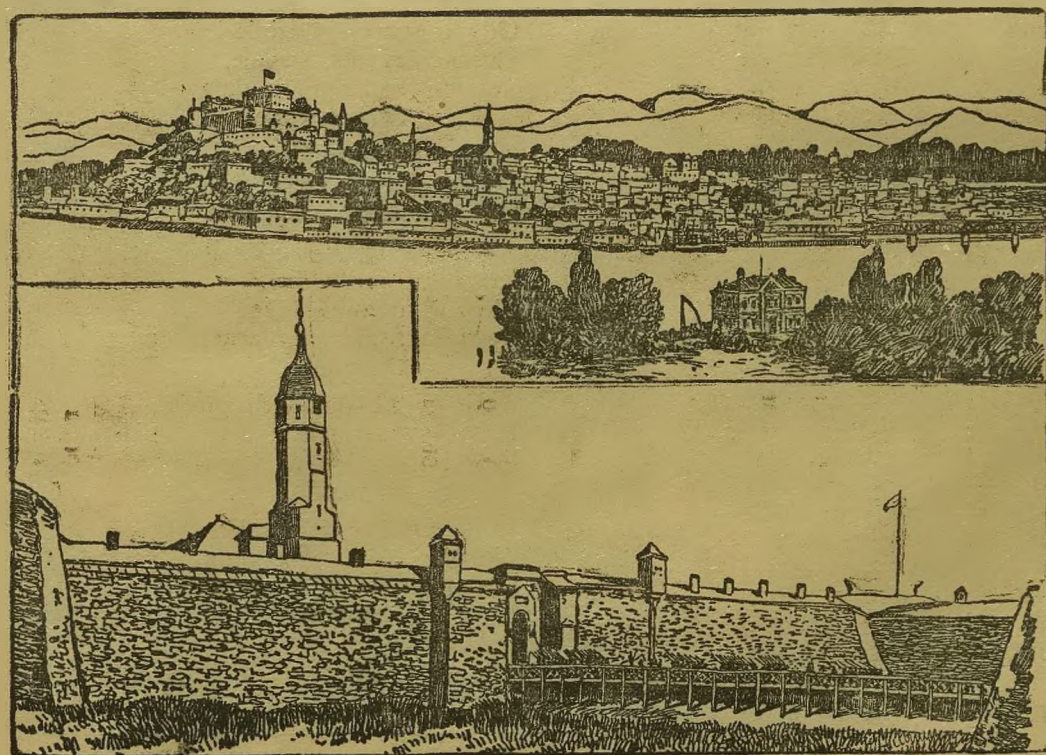
Na drugi dzień biskup lub upoważniony kapłan, ubrany w kapę koloru białego, przystępuje do poświęcenia cmentarza.

Zapalają się trzy świece jako symbol zmartwychwstania. Ich liczba oznacza Tróję świętą, w której imię i której mocą zmartwychwstanie to nastąpi. Modlitwa, która się odmawia, wskazuje ducha tej pięknej ceremonii. Oto jej wyrazy: „O Wszechmogący, pełen miłosierdzia Boże, który jesteś dusz stróżem, kotwicą zbawienia i nadzieją wiernych, wysłuchaj łaskawie pokornej prośby i racz błogosławieństwem niebieskiem oczyścić to miejsce, poświęcić je, aby ciała tych, którzy tu spoczywać będą po przebyciu drogi życia, zasłużyły w dzień sądu wielkiego na błogosławioną nieśmiertelność i uczestnictwo w wiecznej szczęśliwości z duszami sprawiedliwych itd.”

Po tej modlitwie odmawia się Litanie do Wszystkich Świętych. A po odmówieniu albo odśpiewaniu takowej, celebrujący obchodzi cmentarz dokoła, kropiąc wodą święconą i powtarzając te słowa: „Pokropisz mnie Panie hyzopem, a będę oczyszczony.” Podczas tej ceremonii chór śpiewa psalm Miserere (Zmiłuj się Boże). Następnie kapłan powraca do krzyża i odmawia modlitwę, mającą za swoją treść prośbę

Białogród, stołeczne miasto Serbii

którego widok podajemy (obrazek górny), było w starożytności miastem rzymskim i siedziskiem legionów rzymskich czyli wojska. W wiekach średnich należało do cesarstwa bizantyjskiego i zwało się Alba graeca czyli Białogród grecki. W r. 1241 zostało prawie doszczętnie zburzone przez tatarów, w wieku XIV przeszło w posiadanie Serbów.



Białogród leży u ujścia rzeki Sawy do Dunaju, posiada około 60 tysięcy mieszkańców i składa się z dwóch części, to jest z właściwego miasta i z fortecy czyli cytadeli (obrazek dolny). Jako osobliwości pokazują w cytadeli starożytną studnię, do której prowadzą schody o 300 stopniach, oraz pomnik zamordowanego tamże wezyra tureckiego Kara Mustafy.

Oprócz tego w wielkim, pięknym parku, królewskim, położonym o 2 kilometry za miastem pokazują pałac pierwszego księcia serbskiego Miłosza oraz obelisk, postawiony

w roku 1865 ku uczczeniu 50-letniej rocznicy wyzwolenia Serbii z pod panowania Turcyi.

o poświęcenie i przyjęcie przez Pana Boga, jako własności Jego, tego miejsca, oraz to cudowne westchnienie, aby ciała zmarłych, które będą tu spoczywać, mogły być gotowe na głos trąby Archanioła w dzień sądu ostatecznego.

Po tej modlitwie zdejmują się trzy świece z pala i zatykają się na ostrzach krzyża, aby wskazać, że nadzieja zmartwychwstania, która zstępuje do grobu, urzeczywistniona będzie przez Jezusa Chrystusa. Następnie pal się zdejmują, a krzyż zostaje i zdaje się mówić do wszystkich pokoleń: Odkupiciel wasz żyje! On czuwa nad wami; On zatknął chorągiew swojego zwycięstwa na tem samym miejscu, gdzie was śmierć zwyciężyła.

Krzyż tak stojący okadza się trzykrotnie, a uczynniejszy pokłon, celebrujący z asystującym mu duchowieństwem odchodzi.

Na tem kończy się ceremonia poświęcania cmentarzy.



Ostatnie „Szczęść Boże.“

(Pogrzeb górnik w Wieliczce.)

Słońce zaszło; ostatnie jego blaski płomienne zgasły na niebie, a w ziemi — rozległy się ostatnie uderzenia kilofów.

Ciężka praca górników na ten dzień skończona.

Wysuwają się oni jeden za drugim z ciemnego wnętrza kopalni; każdy spieszy szybko do rodzinnej zagrody i ginie szybko wśród jej niskich ścian.

Powoli mrok zapada.

We Wieliczce umilkł gwar dzienny i spokój taki, że gdyby nie migocące w oknach światełka, można by sądzić, że już mieszkańcy do snu się układli...

Wtem ze wzgórza — od strony kościółka — odezwał się złowrogi głos kołatki i rozległ w ciszy smutno i boleśnie. Górnicy znają ten dźwięk. Spodziewali się go. Oni tego wieczora, czekali na niego. To też na ów głos ostry, rozdzierający, a tak niezgodny z ciszą nocy, otwierają się chaty i z każdego mieszkania wychodzi człowiek, ciemno ubrany, trzymając w ręku kaganek, wiszący na łańcuszku. Gromadka się łączy, rośnie, zwiększa, kaganków przybywa, coraz więcej światełek miga; snują się one jak węże ogniste tuż przy samej ziemi i kierują do jednego miejsca — do chaty, położonej na samych krańcach osady.

Tam dokoła tłumno; w oknach jasno. Czerwony blask gromnic bije przez drobne szyby, a z wnętrza chaty słychać głośnie łkanie.

Na środku izby — górnik w swym mundurze galowym leży na marach. Towarzysze pracy przychodzą oddać mu ostatnią posługę: odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku. Pod ziemią — w zmroku — w ciemnościach pracował zmarły za życia i prochy jego — nie za dnia — nie w blaskach słońca — ale pod osłoną nocy spoczną w łonie matki ziemi; bo w dzień górnikom nie stać czasu na obchody pogrzebowe: wtedy kilofy grzmieć muszą bezustannie w otchłaniach kopalni, młota z rąk nikt popuścić nie może — choćby dla pogrzebania brata — górnika.

Niebawem nadchodzi kapłan, oraz cech z chorągiewkami i rozpoczyna się smutny obrzęd.

Kilku górników bierze trumnę towarzysza na barki; inni idą w rzędach, świecąc kagankami; pieśń żałobna płynie ku pogodnemu niebu i rozlega się wraz

z odgłosem kołatki wśród cichej, wiosennej nocy. Cały orszak posuwa się zwolna ku cmentarzowi.

Mieszkanie zmarłych w Wieliczce znajduje się na wzgórzu; węże ogniste wznoszą się więc coraz wyżej i wyżej, pieśń płynie i płynie, a kołatka kołace, kołace...

Stanął na miejscu.

Kapłan odmawia modlitwy; kropi zwłoki wodą święconą. Wreszcie zabrzmiało ostatnie requiem. Trumna zniknęła w otwartym grobie. Górnicy otoczyli go dokoła. W oku niejednego towarzysza łaża żalu błyska, a wszyscy podnoszą czapki do góry i żegnają zmarłego słowami: „Szczęść Boże!“

To znaczy: druho, bracie, towarzyszu pracy, radości i niedoli, szczęść ci, Boże, w tem życiu pozagrobem.

Szczęść ci, Boże, w tym odpoczynku wiecznym!...

Zaprawdę rzewne, wzruszające do głębi pożegnanie, przeniknięte niezachwianą wiarą w Opatrzność Boską i nadzieją obcowania z duszami wybranych w przybytku niebieskim! Czyż może być pozdrowienie życzliwsze, serdeczniesze a zarazem uroczystsze od tego pełnego prostoty: Szczęść, Boże? Rozumieją jego doniosłość górnicy i pozdrawiają niem żyjących i zmarłych...

Szczęść ci zatem Boże, pracownikowi wierny i wytrwały! Spędziłeś żywot wśród mroków nocy, pozabawiałeś się dobrowolnie złotych promieni słońca, niech ci więc światłość wiekuista świeci na wieki...

Już mogiła usypała, a nad nią brzoza gałązki zwiesza i listkami cicho szumi.

Orszak żałobny wraca: kapłan na przedzie, a za nim górnicy, świecąc — jak owe robaczki świętojańskie w noc czerwcową i ginąc po jednemu, po dwóch we wnętrzu chat.

W okienkach wkrótce pogasły światła; zapanowała cisza wielka, uroczysta. Od pół wiało świeżością; noc jasna, księżycowa łała naokół swe czary — nad świeżą górnika mogiłą.



Gdy o szarej godzinie
Dusza skrzydeł dostaje,
To we wspomnień ulata
Gdzieś kraje.

Ponad lasy szumiące,
Ponad góry i rzeki,
Dąży zwiedzić zakątek
Daleki.

Kościółek pochylony,
Plebani dworek biały,
Dach kapliczki cmentarnej
Omszały.

Wszędzie bliskich i drogich
Postaci widzi tyle....
Dawno one śpią... dawno
W mogile.

Jedną prośbę śle Panie:
Ziemskie troski gdy miną
Daj powrócić w te strony
Płazyną.



SZARA GODZINA.

„Szara godzina“ należy do najmilszych chwil w ciągu dnia całego. Słońce skryło się już za kraj widnokręgu a z jego zniknięciem zaprzestać musiano pracy dopóki sztuczne światło nie zastąpi jego blasku.

Stopniowo uciszył się gwar dzienny — nawet dzieci zaprzestały swych graszek. Szara godzina jest chwilą wypoczynku i skupienia, chwilą serdecznej gawędki i poufnych zwierzeń, do których usposabia mrok i cisza, jakie wokół wtedy panują.

Jakaż to chwila sposobna do dumania i zastanowienia! Wszystkie radości i smutki dnia całego przesuwają się raz jeszcze przez nasz umysł. Wszystko, czegośmy pragnęli rankiem a osiągnęli wieczorem, oglądamy teraz oczyma duszy. Uczuwamy zadowolenie z rzeczy dokonanych a to, co w przedsięwzięciach naszych było błędem lub złem, postanawiamy naprawić.

A od tych wypadków życia codziennego, myśl nasza z wolna unosi się w wyższe sfery, aż pod stropy nieba. I nie dziwno to, boć chyba niema dnia ani chwili w życiu naszym, abyśmy nie czuli potrzeby zanoszenia tam prośb lub dzięków, jeżeli nie dla nas samych, to dla naszych bliskich i kochanych. Wszyscy oni w mroku „szarej godziny“ stają przed nami w myślach naszych. Jeżeli to codzienni nasi towarzysze, to może w dniu minionym szczególnej doznaliśmy od nich radości lub przykrości... A może my im przykrość wyrządziliśmy i oto stanęła pomiędzy nami brzydka poczwara „niezgoda“? ale w łagodnym mroku „szarej godziny“ mięknie gwałtowny temperament a w ciszy jaka naokół panuje, dochodzi z łatwością do duszy naszej głos: „niechaj nie zachodzi słońce nad gniewem waszym!“

Od tych spraw bliskich myśl dalej jeszcze ulata i rada zagłębia się w przeszłości. Od żywych przechodzi do zmarłych, którzy jak żywi stają przed nami w mroku „szarej godziny“. Oko nasze zwilża się łzami a z serca wyrывa się westchnienie modlitwy za spokój duszy tych wszystkich, co już nas opuścili.

I znów dalej myśl biegnie: czy zawsze wobec wszystkich wypełniamy należycie swe obowiązki? Łagodny mrok „szarej godziny“ przypomina nam, że przyjdzie kiedyś czas, gdzie nic już stworzyć, niczego dopełnić, nic naprawić nie będziemy mogli. Nie wiemy przecież „dnia ani godziny“, więc co nam jeszcze czasu staje, wykorzystajmy go na czynienie dobra, na gromadzenie dóbr, których ani „woda nie zabierze, ani ogień nie spali“.

Błogosławiona to chwila dnia, owa „szara godzina“. Angielski poeta Longfellow w jednym ze swych poematów nazwał ją „godziną dzieci“. Opisuje on tam jak z nastaniem mroku rzucił pióro i nasłuchiwał, rychło przy drzwiach ozwie się szmer lekkich kroków i srebrny śmiech dziecięcy. W tej porze bowiem wolno było dzieciom wchodzić do jego pracowni, w tej porze ojciec wyłącznie do nich należał.

Niestety mało jest ojców, którzyby mogli „szarą godzinę“ poświęcać dzieciom, gdyż zmuszeni są spędzać ją przy warsztacie pracy. Za to matki niechże

pamiętają o tem, że jest to chwila, w której najłatwiej wpłynąć można na serce i dusze dzieci.

W łagodnym mroku nikt nie widzi rumieńca wstydu, więc dziecko chętniej wyzna swe winy i wdzięczniej przyjmie napomnienie; matka zaś z większą wyrozumiałością patrzy w tej chwili na wybryki dzieciinne i z większą je sądzi miłością, aniżeli wśród gwaru i pracy dnia.

A jak to chętnie szarą godziną garną się dzieci do kolan matki, jak usilnie proszą, aby im coś opowiedziała! I płyną słowa bajki czy opowiastki, „jak to było dawniej przed laty“, albo też brzmi pieśń wspólna, cienkimi głosikami śpiewana. A dzieci rozciekawione, skwapliwie chwytają każde słowo i proszą o więcej, więcej...

Błogosławiona to chwila, nie godzi się zatem pozabawiać jej uroku. Powódź życia nieraz tak gwałtownie pędzi, że nawet tej chwili wypoczynku nam nie daje. Niechże więc pozostanie choć wspomnienie z lat młodości tej cichej, mrocznej, pełnej zadumy i zastanowienia „szarej godziny“.



GAWĘDKA WIECZORNA.

„Dziateczki! dziateczki! już wieczór nadchodził, Po pracy i trudach odpocząć się godzi: Więc siądźmy tu sobie na ławce drawnianej, Ty przy mnie najbliżej, mój Jasiu kochany! Tyś taki ciekawy, co dawniej bywało: „Ot: jadło się, piło, a potem się spało.“ — „A nic nie robili?“ — Właśnie chciał rzec: „synu! Rachunek z każdego dnia zdaliby czynu:

Robili, robili, pocziwie robili;
A kiedy się bawić, to się i bawili.

Naprzykład: wieczorem, pamiętam, Mospanie! Tu siedli mężczyźni, tu poważne panie, Chłopięta, pędraczki; przy matkach to stało, Wszystko to jak trusie spokojnie słuchało. Każdziutkie cichutko uważało ładnie, I makbyś mógł zasiać, słyszałbyś, gdzie padnie. O! świec tam nie było. Przy świetle komina Na dobre się piękna gawędka zaczyna: Ten dawne odżywia poetów wspomnienia: Tknał Reja z Nagłowic, Drużbackę z Rzemienia; Ten wiersze powiada, ten dzieje domowe, I smolne drzazeczki przykłada sosnowe.“ — Wtem Ojciec mój wyniósł książeczkę z alkierza: „No! proszę uważać! — i w stolik uderza — Kto szastać się będzie, to nic nie usłyszy; Mam ja tu wyborne pigułki na myszy.“ — Dzieciaki ziewają: o! ich to nie bawi; Lecz starsi o myszach słyszećby ciekawi, Bn smaczne im kaski z ich łaski przepadły; A gorsza, boć niegdyś i Króla nam zjadły.“ Więc Ojciec to czyta, co czytania warte. I palec poślinił i przewrócił kartę. Rzecz inna zupełnie: Dworzanin Michała: Tak tkliwe, tak rzewne, aż Matka płakała. — „A wstydz się — rzekł Ojciec — serduszek zmiękczało!“ Nuż czytać piosenki dowcipne, choć małe... I niema już płaczu, i znówu wesoło; Piosenki ludowe ochoczo brzmiały wkoło; Do piosnek gawędki dołączył ktoś nowe, I smolne drzazeczki przykłada sosnowe.

Herbaty nie było — jej wtenczas nie znali;
 Grzanecki kminowe w podpiwku maczali,
 I cały traktament. Wniesiono krosienka:
 Przy starszych i młodsza usiadła panienka.
 Na krosnach ornaty bogato przybrane;
 Bo wiedzieć wam trzeba, dziecieczki kochane!
 Pobożność tę wcześniej wpajały już Matki.
 I był też urodzaj, i były dostatki,
 Strumienie płynęły i mleka i miodu;
 I chłopiek ubogi nie doznał tam głodu.
 O! trzeba wam było widzieć te ornaty,
 Co nasze Prababki robiły przed laty:
 Jedwabie i perły i piórka ozdobne,
 Jedwabiom i złotu i srebru podobne,
 Tak ślicznie mięszały, tak tkwały misternie.
 Ze się to podobać musiało niezmiernie.
 Już ogień w kominie nie jaśniał w tej chwili;
 Już świece woskowe na stołach palili.
 Nie były to jeszcze tak piękne, tak białe;
 Lecz jasność ta sama, to światło wspaniałe,
 Choć żółte, nie szkodzi, i białe bywały.
 Cóż dzieci? czy mało jużście słyszały?...
 I nam się już trzeba wziąć także do pracy;
 Ci, co nic nie robią, to się zwą próżniacy.
 Hej! dalej do książki: Mospanie! Mospanie!
 Kto będzie pilniejszy, pochwałę dostanie.

St. Jachowicz.



MUZEUM W WARSZAWIE.

Obrazek poniższy przedstawia jedną ze sal w pałacu Kronenberga w Warszawie przy ulicy Mazowieckiej, który to pałac kupuje miasto dla urządzenia w nim muzeum miejskiego. Muzea takie, w których gromadzi się wszystko, co kraj wytwarza w dziedzinie nauk, sztuk i przemysłu, posiada każde większe mia-



Sala w pałacu Kronenberga w Warszawie.

sto, jak np. Paryż, Wiedeń, Londyn, Berlin, Kraków, Poznań i inne. Warszawa dotąd takiego muzeum nie posiadała, a wskutek tego wszystkie większe, pomnikowe dzieła społeczeństwa polskiego w Królestwie Polskiem rozpraszały się po innych krajach i miastach. Cieszyć się więc należy, że Warszawa, jako środowisko życia umysłowego naszego narodu uzyska nareszcie swoje muzeum.

Pałac Kronenberga wedle zdania znawców bardzo się na ten cel nadaje. Gmach ten był stawiany odrazu na muzeum raczej niż na dom prywatny. Wnętrza tu przestronne, potężnie wsparte na filarach, urozmaicone w rozmiarach i wysokościach — dadzą się znakomicie przystosować do potrzeb muzealnych. Wielkie hale parterowe są wprost przeznaczone na zbiorowiny, zbiory starożytności, sprzętarsztwo monumentalne itp. — Pierwsze piętro w szeregu salonów i wysokich komnat, w klatce schodowej olbrzymiej, na kolumnach wspartej, pomieści znakomicie zbiory bronzów, złotnictwa, tkanin, przedniejsze grupy posągowe, rozstawione na stalugach i ekranach wytworne stare płótna. Na tem również piętrze wzdłuż okien uszeregują się gabloty (szafy) wypełnione rzadkościami wszech kunsztów, w jednej z sal bocznych pomieści się biblioteka i wreszcie w specjalnej sali z górnem światłem stanie reszta obecnych zbiorów malar- skich.

Pozostaje jeszcze całe drugie piętro, które posłuży zapewne do przyszłych galerii przy odpowiedniej przebudowie dachu dla górnego, gdzie trzeba oświetlenia. Dwa wewnętrzne podwórza i plac, gdzie obecnie oficyny i zabudowania gospodarskie, będzie mógł w przyszłości służyć potrzebom rozbudowania muzeum. Sądnie się to jednak nie prędko, gdyż obszar i warunki gmachu samego na długo wystarczą dla naszych zbiorów obecnych i przyszłych.



„Niema jak nasz kraj!”

Podole.

Po lewym brzegu Dniestru, oddzielone od Galicji rzeką Zbruczem, leży część dawnej Polski, Podole, nazwane tak od kształtu powierzchni, to jest: rozłożone po dolach. Od północy Wschodu otacza je Ukraina ze swym stepem, na południu zaś gubernia chersońska oddziela Podole od morza Czarnego. Środkiem wije się rzeka Boh, wpadający do morza Czarnego (nie Bug, który pod Warszawą wpada do Wisły). Głównem miastem ziemi Podolskiej jest Kamieniec, znany z częstych wojen Polaków z Turkami. Dalej wymienić należy Bar nad Bohem, gdzie zawiano konfederacyę w r. 1678, także Braclaw i Jampol.

O Podolu tak śpiewał Wincenty Pol w „Pieśni o Ziemi naszej”:

Jak zasięgnie tylko oko
 I daleko i szeroko
 Świat kłosami tylko płynie
 I w obszarach oko ginie...
 Tu kraj cały jednym łanem
 I nadany wszelkim płodem:
 Płynie mlekiem, płynie miodem...

Godna takiej pochwały ziemia Podolska, bo gleba tam czarna, tłusta, pełna siły i życia, tak że prawie nie potrzebuje nawozu. Pszenica i buraki stanowią główny dochód rolników; obok tego rzepak i kuku-

rydza. Wszelkie jarzyny i owoce najprzedniejsze, jak: brzoskwinie, aprywki, melony i kawony, a w niektórych okolicach nawet winogrod udają się znakomicie.

Wód na Podolu niewiele, ale za to lasy liściaste, tak zwane „czarne” nadzwyczaj gęste i bujne.

Co za bogactwo i różnorodność ziół i trawek pod troskliwą zielonych skrzydeł opieką! Mianowicie widne to na tak zwanych „halawkach”, nasze polanki, to jest miejscach wolnych w rodzaju łązek leśnych. Jakże różnobarwny tłum lekkich tu igra motyli w chryzom nad głową kwiatków pędzących locie, ileż tysięcy owadów pełza po barwnym kobiercu ręką pracowitej dzierzganej przyrody. Tu i owdzie wąż zygzakowaty błędne zatacza koło; wysoko znowu nad krzewami leszczyny lub wśród gałęzi młodych dąbków, co hartują swe siły do walki z burzą i wichrem pod okiem groźnym starego ojca, aż gwarno od światła i świstu wilg, kosów i pliszek, zień i dzieciół, kującej pieńki opróżniałe. Tam znów kukułka zwodnicza łatwowiernemu słuchaczowi tyle obiecuje latek, iż nieśmiało pyta, ażali rzeczywiście tak długo żyć będzie. A gdzieś znów wysoko goni chmury jastrząb szaropióry, lecz coś na dół spoziera wzrokiem krwiożerczym, a skoro upatrzy biedną ofiarę, lotem błyskawicy spada na nią i ostrym dziobem zabija.

Pszczoł nie brak tu także i nie dziw, wszak tu kwiecia tak wiele. To też sporo tu pasiek bywa po lasach, nieraz wcale okazałych z budowlą do nowszych badań nauki zastosowanych. Strażnicy lasów, w pasiekach mieszkający, zowią się „kurenni”.

Lud na Podolu zamieszkuje osady czyli wsie ogromnej wielkości niekiedy, ciągnące się czasem przez kilka wiorst. Osady takie są rzadkie z powodu braku wody, dla czego najczęściej brzegów rzeki lub blisko jezior i stawów się trzymają. Mówi o nich Wicenty Pol:

Za okopem lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

Czytając te słowa, jakbyś siedział we wsi podolskiej, nic tu za wiele, niczego nie brak — wierny to obraz rzeczywistości. Prostota w sztuce budowania wielka. Oto z koźłów boki ścian narożne sklecone, poprzegradzane ćwiartami i gliną wylepione, dachy zaś słomą pokryte, póczerznięte z latami pod wpływem różnych zmian pogody, często krzywe, jak barki starca trudami życia złamanego, lecz strzegą wiernie mieszkańców swoich. Tuż obok chlewik i szopa, jeszcze skromniejszej budowy, bo w miejsce dachu mierzwa na prętach często założona a grubszymi gałęziami przynięcioną opiera się wichrom.

Ale co już najbardziej podpada, to owe płoty całą okalające zagrodę, jakże one różne, a jak proste. Najlepsze jeszcze są piecionką z grubych prętów wikliny, lecz takie rzadkie; więcej ich z gałęzi przyrzuconych mierzwą i kółkami przytrzymywaną, a najczęściej widać, jakoby okopy z ziemi także mierzwą zarzuconej. Toż wieś taka z dała do kretowiska olbrzymiej rozległości i wysokości podobna. Ale ogrodów wokoło i drzew owocowych w nich mnóstwo.

I wewnątrz takiej zagrody odpowiada stronie zewnętrznej; najprostsze sprzęty niezbędnie potrzebne, piec zaś rozmiarów u nas nieznanych, ale bo to legowisko nocne dla całej często rodziny. Pierzyn naszych nikt tu nie zna, kołdry w domach zamożniejszych a w chatkach dery służą za nakrycie. A jednak

gdybyś znał dobrze skrytki takiej chaty, łatwo byś znalazł ukryty dobrze garnek z rublami — srebrnemi. Tu wieśniacy niektórzy są bardzo zamożni, gruntu mają dosyć, jak folwarczki małe; — u tych już większy w domu porządek i lepsza wygoda. Skupują oni sąsiednie nieraz posiadłości, a zdarzają się wypadki, iż wspólnemi siłami kilku ich razem większy nawet zakupuje folwark. Śliczne u nich bydlę w oborze i wszędzie znać dostatek mimo skromności życia. Ale kapitał pozostaje w domu ukryty, nie wędrując do banku, wolą go trzymać przy sobie.

Lud tutejszy jest prawie wyłącznie małoruskim; Rusini to jak w Galicji wschodniej. Mówią językiem ruskim, który niejako średnicę pomiędzy polskim i rosyjskim stanowi, a dla obu przy małej uwadze dosyć zrozumiały. Moskale zowią ich często „Polszczakami”, ponieważ tak jak polski język odmiennym jest od rosyjskiego, choć wiele doń podobniejszy.

Czeladź dworska, mająca ciągłą styczność z Polakami łatwo języka polskiego się przyucza, a że wszelkie brzmienia łatwo wymawia, zwykle trudno poznać czy to Rusin, czyli też pochodzenia naszego.

A jakież ubiór podolskiego ludu?

Z grubego płótna konopianego szerokie spodnie u dołu sandałami, zwanemi tu „postołami”, srepowane lub w długich ukryte cholewach bótów, po ruskim „czoboty”, przy pracy zwykle boso, także koszula u szczytu obszyciem strojna czerwonym, ot i cały ubiór przy pracy dodawszy kapelusz słomiany lub czapkę „kartuz” albo „kaszkieł” baranią na głowie. Te różnią się formą tylko, nie materią, od kaszubskich, bo noszą je tu wysokie jak kapelusze zwane cylindrami. Na drogę lub w czasie słoty zarzuca się burkę, tu zwana „czuhaj” albo „swetka”, ciemnego koloru, bądź to brunatnego jak u druciarzy bądź więcej czarnej. W niedzielę noszą strój ten zawsze, by pokryć koszulę, a w zimie każdy nosi tu kożuch ciepły barani.



Młodzieniec włościański z Podola

Odzienie kobiet również pod oczy prostotą swą podpada. Składa się ono z długiej bardzo, u szyi i ramion pstrzem obszytym przystrojonej koszuli po rusku zwanej „sorocką”, która nad biodrami przewiązana pasem (pojas) jakby szal szeroki o różnych kolorach zwiesza się nieco, u dołu zaś dochodzi aż do kostek. Rękawy krótkie. Pas ten zarazem przytrzymuje u ciała dziwny rodzaj sukni, bez szwu, bo jest to kawał grubej bardzo materii koloru ciemnego, prawie czarnego, którym się icało okręca, a który dochodzi u dołu połowy nogi licząc od kolan do kostek. Na twarzy chustka wełniana, nawet i w lecie, aż zanadto twarz zakrywająca. To ubiór kobiety.

W razie zaś słoty długi ciemny kaftan „polską” zwany, jeszcze częściej taka jak u mężczyzn burka, w zimie zaś kożuch barani.

Trzewiki tu nieznane zupełnie, jedynie panie je noszą. Obuwie Rusinki, to bót długi męski, co jak przyznać trzeba w czasie błota i wśród zasp śnieżnych praktyczniejsze i doskonale chroni nogi, gdy u nas woda do trzewików niskich się dostaje.

Strój niedzielny prawie ten sam, tylko nowszy i czystszy, czasami z lepszej materii, a wtedy i szyte suknie częściej się zobaczy. Wtedy też sznur koralu lub paciorków zwanych „namysto”, zdobi szyję, zwój bujnych włosów wstążkami „kisnyki” splecione.

Zresztą lud podolski krzepki i dziarski, zdrowy i dorodny, mianowicie dziewczęta ładne nierzadko by-

wają. Sławi ich urodę i nasz poeta w swej pieśni o Podolu, mówiąc:

A i ludu wdzięczne lica,
Boć to czysto, biało odzian
Jak dąb młody rzeski młodzian,
A dziewczeczka — jak pszenica!

Przytem lud to śpiewny, to też czy w pracy, czy w drodze chętnie nuci swe ładne piosenki, a wobec osad tak ludnych, jakże wszędzie gromadnie, gwarno i żywo. Doskonale do nich się stósują słowa Pola o ludności „w Polsce” powiedziane:

Więc czy w drodze, czy w kościele,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na dożynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem, pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy.



ZDANIA I MYŚLI

ze starej księgi wyjęte.

Pyszny, także łakomy, kiedyż jest bezpieczny?
Ubogi i pokorny miewa spokój wieczny.

* * *

Dawny nałóg nie prędko
w człowieku wygaśnie,
Jak kto łoże uściela, tak
na nim i zaśnie.

* * *

Mądrych i sprawiedliwych
winieś się radzić,
Nie na swym się rozumie
zbytecznie zasadzić.

* * *

Cokolwiek czynim, w czem-
kolwiek pracujem,
Daremnie swolm siłom
przypisujem;
Gdy się Bóg z łaską k'temu
nie przychyli,
Wszystko omyli.

* * *

Obszerne słowa pewnie
duszy nie utuczą,
Dobrego życia rzady, jak
myślic, nauczą.

* * *

Czyste sumienie wielką
ufność w Boga rodzi,
Jednem wspomnieniem
przyszłych uciech serce
ochłodzi.



Dziewczyna z Podola w stroju świątecznym.

Św. Karol Boromeusz.

Początek wieku XVI był jednym z najcięższych przeżyć dla Kościoła, epoką walk zawziętych i burz, które na chwilę wstrząsnęły posady katolicyzmu. Zdawało się, że wichry reformy wiejący z Niemiec i ogarniający całą Europę obali gmach Kościoła, opierającego się mężnie piętnastu wiekom. Znaczna część Europy, Anglia, Szkocja, Dania, Szwecja i Norwegia, Węgry i Szwajcaria oderwały się od katolicyzmu; Francja i Polska były silnie zachwiane, nawet w Hiszpanii i Włoszech szerzyły się nowe idee. Położenie to pogorszało się jeszcze niedołęstwem i zepsuciem groźnym w samym Kościele; klasztory używały sławy jak najgorszej, wielu kapłanów sprzeniewierzyło się swemu powołaniu; lud pogrążony był w ciemnocie i zabobonach. W niestychany sposób wyszydzano i szkalowano Kościół, drwiono i naigrawano się z duchowieństwa.

Taką epokę zastał święty Karol Boromeusz, z takim zamętem przyszło mu wystąpić do walki. Z natury głębokim obdarzony poglądem, odrazu trafił w jądro złego i przyłożył rękę aby je wykorzenić.

Wychodząc z zasady, że prawdziwa reforma powinna naprawić, nie burzyć, że reformować należy ludzi, nie wiare, zabrał się energicznie do zreformowania duchowieństwa. Zadaniu temu poświęcił całe życie.

A zadanie to było niełatwe, trzeba było zwiedzać klasztory, seminaria, wglądać we wszystkie szczegóły, napominać, kazać i karcić; zakładać szkoły i instytucje dobroczynne dla ludu bez opieki i pogrążonego w ciemnocie; tworzyć nowe zakony, kształcić misjonarzy i ożywić w nich zapal dla cnót bohaterskich.

Dzięki stanowisku jakie zajmował i niezmordowanej energii jaką rozwijał, usiłowania te już za życia świętego Karola uwieńczone zostały jak najlepszym skutkiem. To co utracił Kościół w Europie, zyskał przez dzielnych misjonarzy w innych częściach świata; powstały nowe zakony, wiara się ożywiła, duchowieństwo zrehabilitowało moralnie.

Mało było mężów ożywionych tak szlachetną a zarazem tak rozsądną filantropią, jak święty Karol Boromeusz. Na stanowisku kardynała troszczył się zarazem o moralne jak i materialne polepszenie bytu ludu, o sumiennych i ludzkich urzędników. Nie ufając sobie, radził się innych; nocę trawił nad księgami, zbierał, krętnie wiadomości, ale na to tylko, aby je zaraz zużytkować praktycznie, użyć jako środek do ulżenia niedoli ciężającej mu na sercu.

To umiłowanie nędzy, szafowanie dla niego groszem ostatnim, i iście święte zaparcie się dla bliźnich, objawiło się w nim najpiękniej podczas klęsk, jakie za życia jego nawiedziły Włochy. W r. 1576 w Medyolanie wybuchła okropna zaraza. Święty Karol bawił właśnie w Lodi, gdy doszła go fatalna wiadomość, że namiestnik i większa część szlachty uciekła z miasta przed zarazą.

Miłosierdzia! miłosierdzia! — wołały przerażone tłumy ludu, cisnąc się doń u bram Medyolanu i padając mu do nóg; widok ten przejął go głęboko i do łez poruszył. Pierwsze kroki skierował do katedry, by modlić się za lud swój; potem zwiedzać zaczął chorych po domach; w końcu przyjął w pałacu swym urzędników królewskich i radę muncypalną, napomniawszy do pozostania w mieście i radził nad środkami: krócenia zarazy.

Po przygotowaniu się na śmierć i spisaniu ostatniej swej woli, z bohaterską odwagą żołnierza idącego w ogień zabójczy, udał się do nieszczęśliwych, jak anioł pociechy zbliżał się do ich łoża, pielęgnował, leczył i Sakramenta święte udzielał. Ofiarnosć jego nie znała granic; nawet siennik, na którym sypiał, oddał. Pewnego wieczoru, znużony i głodny wrocił do domu, nie znalazł w mieszkaniu ani kawałka chleba, a w kieszeni ani grosza, by go kupić. Przeszło stu kapłanów padło ofiarą swego poświęcenia, nad arcybiskupem widocznie czuwała Opatrzność. Korzystając z usposobienia przerażonego ludu do słuchania słowa Bożego, z wsurzającą powagą i ogniem pokutników starego zakonu, zachęcał do skruchy i czynów pokuty, by przebłagać Boga i klęskę morową odwrócić. Nic bardziej potężnego nad słowa, jakie miał podczas wielkiej procesji pokutnej, której przewodniczył boso, z postronkiem na szyi i ciężkim krzyżem na grzbiecie, oddając się Bogu na ofiarę błagalną.

Kiedy zaraza zabrawszy 25 000 ofiar, ustąpiła, zawezwał miasto do urządzenia wielkiej uroczystości dziękczynnej. W ustach całego ludu, po Bogu on zbawcą był miasta. To też kiedy 4 listopada 1584 roku żałobne dzwony w Medyolanie oznajmiły ludowi o śmierci pasterza jego, dobroczyńcy i zbawcy, powstał taki lament i płacz, jak wówczas, gdy wyciągano doń ręce w dniu trwogi.

Człowiekowi tak potężnemu duchem słusznie wystawiono pomnik tak wielki i wspaniały, jakiego nie ma żaden ze zdobywców wojennych, ani poetów, ani uczonych.

W Aronie, rodzinnem mieście św. Karola Boromeusza, położonem nad jeziorem Lago-Madziore, stoi statua świętego 21 metrów wysoka na podstawie z granitu 13 metrów wysokiej. Figura ulana jest z brązu, suknia zaś wykuta z miedzi.

Wewnątrz pomnika wschody prowadzą aż do wnętrza głowy, skąd przez otwory oczu oglądać można okolicę.

Statua św. Karola w Aronie należy do tak zwanych kolosów sztuki, których kilka tylko pozostało z czasów starożytnych i kilka tylko wystawiono w czasach nowożytnych.

W starożytności mianowicie Egipcjanie stawiali pomniki kolosalne, jak n. p. obeliski, piramidy, kolos sfinksów i inne. Grecy także kilka kolosalnych pomników pozostawili.

W czasach chrześcijańskich pierwszym takim posągiem kolosem była statua św. Karola, postawiona w roku 1697. W ostatnich latach wystawiła Ameryka kolosalny posąg bogini wolności w przystani Nowego Jorku, który to posąg jest zarazem latarnią morską.

Pomnik św. Karola Boromeusza jest więc osobliwością, godną widzenia. Z całego świata ciekawo podróżni zjeżdżają dla zobaczenia go, a przytem każdy wspomni ze czcią na życie i czyny świętego męża.

Niebo, ziemia i całe stworzenie jakże obfitego do mówienia dostarczają przedmiotu. Czemu wtedy jesteś najwymowniejszy, kiedy cudze obyczaje roztrząsas? Nietylko mówienie, ale i słuchanie o cudzych wadach jest występkiem. Ostoń uszy twoje cierniem.

„Niema jak nasz kraj!“

Zamość.

W ziemi lubelskiej nad Topornicą i Łabuńką, okolony także wiankiem wzgórz zielonych, leży obronny niegdyś Zamość, którego świetne czasy należą dzisiaj już do przeszłości. Świetność ta nie trwała długo, bo miasto to nie stare. Dopiero trzy-
sta lat temu zaczął się Zamość wznosić, dzięki

staraniom wielkiego kanclerza i hetmana, Jana Zamoyskiego. Ów zasłużony doradca Batorego chciał Zamość uczynić główną rodą swego sielizbą; wystawiwszy więc nad Topornicą kościół i zamek, wydał przywilej lokacyjny, mocą którego wszyscy mieszkańcy Zamościa przez 25 lat od wszelkich podatków uwolnieni zostali, a wie-
czyście od wszelkich robocizn miejskich.

Takie przyobiecane swobody podobały się lu-
dziom: to też zewsząd przybywali tam osadnicy.

W krótkim czasie miasto miało kilka tysięcy ludności i zabudo-
wywało się pięknie. Wspania-
łe świątynie Pańskie, ratusz z
wieżą, piętrowe domy, bogate
sklepy, proste, szerokie ulice
zdobiły Zamość a przedewszy-
stkim oczy na siebie zwracał
piękny zamek założyciela z
trzema wieżami, zbudowany w
stylu włoskim i otoczony wa-
rownym murem, bramami i
szałcami.

Zamoyski, człowiek rozu-
mny i wielki miłośnik nauk,
chciał, aby miasto stało się
także ogniskiem oświaty; ufundował więc w Zamościu r. 1599
akademię czyli uniwersytet, a
przy tej najwyższej szkole za-
łożył drukarnię dla wytłacza-
nia dzieł ważnych i pożytecz-
nych. Do akademii sprowa-
dził uczonych profesorów, mię-
dzy innymi dwaj poeci polscy:
Szymon Szymonowicz i Seba-
styn Klonowicz, byli tam nau-
czycielami. Szymonowicz ma
nawet w kościele farnym w
Zamościu nagrobek. W tym
kościele spoczywają też zwłoki
Jana Zamoyskiego, oraz innych
członków jego rodu. Groby te
znajdują się w podziemiach,
ponad którymi jest piękna ka-
plica „Zamoyskich“.

Rozkwit Zamościa trwał
krótko. Różne wyjny przy-
czyniły się do jego upadku.
Akademia z końcem zeszłego
stulecia zamieniona została na
niższą szkołę, a potem całkiem
zamknięta.

Dzisiaj miasto nie należy
już do rodziny Zamoyskich,
jest powiatowem, ma sześć ty-
sięcy ludności, a do nieda-
wnego czasu było twierdzą.

Wesele włościańskie w Zamojszczyźnie.

„Jestem ja chłop ordynacki,
Nie mam chleba, jadam płacki“

śpiewają zamożni kmiecie w
ordynacyi*) Zamoyskich, a ten

*) Ordynacja jest to urządzenie spad-
kowe w ten sposób, że tylko jeden ze spa-
kobierców, zwany ordynatem, odziedzicza
całą dobrą i dziele ich niewolno



Włościanka z Zamojszczyzny w ślubnym stroju.

swój dostatek pokazują najchętniej przy godach weselnych, które się tam obchodzą z całą wystawą.

Gdy sobie już młodzieniec upodoba jaką dziewczkę, posyła na zwiady swachę, zwaną „am „rajelupą”. Jeżeli rodzice panny młodej nie są przeciwni temu związkowi, to wtedy kawaler, wzięwszy utedkę wódki, udaje się sam do nich. Gdy mu panna da kielich na znak przyjęcia, zwołują sąsiadów i wyprawiają zrękowiny, a w przeciwnym razie młodzieniec musi odejść z kwitkiem, to jest z niczem. Po zrękowinach dają na zapowiedzi. W trzecim tygodniu, w sobotę wieczorem, w wilię ślubu, zbierają się druchny w domu oblubienicy, aby uwić „rózgę weselną”.

Zaczynają śpiewać i gałąź śliwową lub gruszkową przybierają w ziele i wstążki. Różga ta przeznaczona jest dla gospodarza wesela, zwanego „marszałkiem”.

Oprócz marszałka, wybierają jeszcze „starostę wesela”, oraz „starościny”; w każdej z nich jest obowiązkiem: śpiewać wszelkie obrzędowe pieśni i upiec pieróg i korowaj weselny. Jest to olbrzymi pszenny bochen chleba, ozdobiony różnymi figlasami z ciasta i umajony rozmaryniem i innym zielem.

W dzień ślubu, gdy się już wszyscy zejdą, państwo młodzi klękają przed rodzicami i proszą ich o błogosławieństwo, a marszałek w imieniu państwa młodych przeproszą rodziców w tych słowach: „Mój panie miły ojcie, moja pani miła matko, odpuśćcie mi grzechy moje, winy moje, nieposłuszeństwa moje, bo ja teraz zbieram się do kościoła Bożego, do ślubu wiecznego”.

Potem udają się wszyscy do kościoła. Marszałek z różgą w ręku, otoczony siedmiu druźbami, konno przewodniczy reszcie drużyny, siedzącej na wozach.

Po ślubie nie jadą do domu, tylko do karczmy. Tam starościny częstują cały orszak weselny przygotowanymi przez siebie pierogami, a karczmarz dostarcza napitku.

Po najedzeniu się starościny pieśnią zachęcają marszałka do tańca:

„Niedbały pan marszałek, niedbały,
Starościny się za stołami posady;
A do koła, marszałekku, do koła,
Niechże będzie drużynę wesela.”

Tym śpiewem zachęcony marszałek zaczyna taniec zwany „Pożonem”, który każdy przetańczyć musi. Nabawiwszy się w karczmie, jadą do domu i każdy wraca do siebie, a w poniedziałek udają się znowu do rodziców panny młodej i hulają dzień cały. To samo powtarza się we wtorek i inne dni tygodnia; bawią się wesoło cały tydzień i dopiero w sobotę rochochodzą się na dobre.

Oczepiny panny młodej odbywają się trzeciego dnia po ślubie. Wtedy to, przy odgłosie pieśni, starszy brat ucina jej panieńską kosę, a kobiety kładą na głowę młodej mężatce ogromny czepiec.

Potem następuje „Odbijany”. Taniec ten musi panna młoda przetańczyć z każdym gościem i każdy po nim według swej możliwości musi pannę młoda obdarzyć. Nazywa się to „dać na czepek”.

Każdego dnia wieczorem rozkrawają jeden korowaj, czemu towarzyszy śpiew:

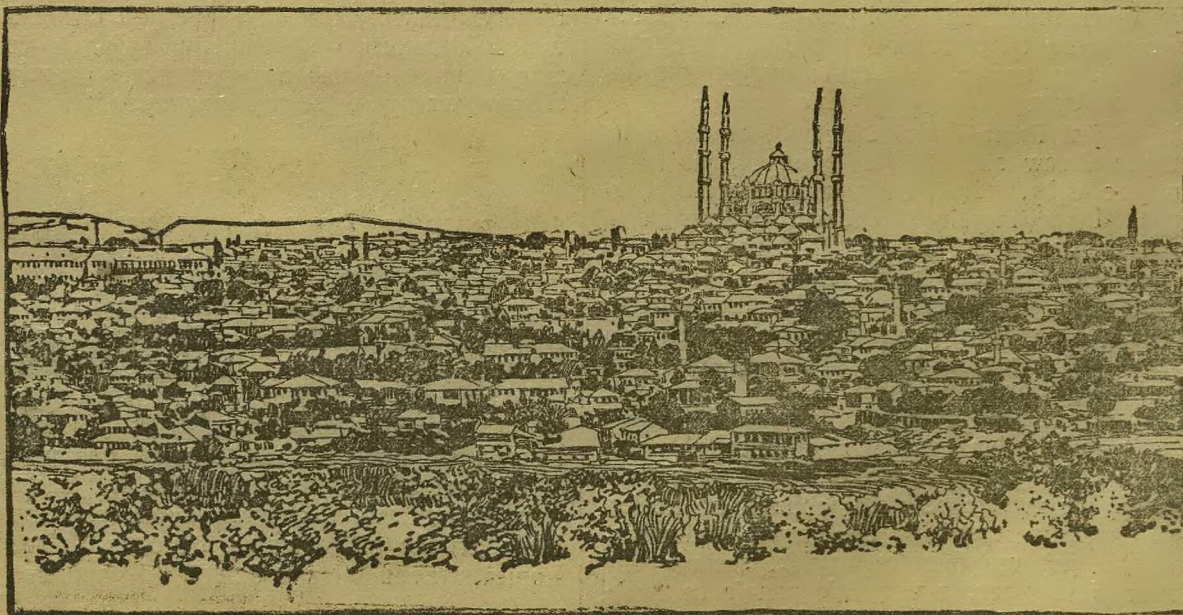
„Do naszego korowaja,
Trzeba było wody z Dunaja,
Równno, starosto krajcie,
Zadnego nie omijajcie.”



Z Ziemi Świętej.

(Urywki z pamiętnika podróży).

„Przebywszy dwie rzeki, zwane przez Arabów Nahr-el-Arsuf i Nahr-el-Petrus, podróżny przybywa na koniec do Jaffy. Miasto dźwiga się bardzo malowniczo ponad morzem, które oblewa mu stopy, rozbijając się spienionymi bałwanami o skały, zamykające port jego. Dla przybywających od strony pustyni — od północy, przedstawia ono widok rozkosznie wdzięczny wśród otoczenia ogrodów, które pokryte są



ADRIANOPOL

miasto tureckie na pograniczu Rumelii, byłoby niezawodnie w razie wojny Turcy z Bułgarią, głównym punktem ataku. Jest to miasto silnie i na nowożytny sposób ufortyfikowane, uważane ogólnie za drugą stolicę Turcyi. Początki Adrianopoli gubią się w pomrokach starożytności. Władomem jest, że zwało się wówczas Oskudema i dopiero, gdy rzymski cesarz Hadrian rozbudował je i ulepszył, nazwał je od swego imienia.

W ostatniej wojnie rosyjsko-tureckiej r. 1873 zawarto w Adrianopolu zawieszenie broni, a następnie pokój.

wały. Jest to jakby jeden gaj palm, graratów, cedrów nadmorskich, pomarańczowych i cytrynowych drzew; powietrze jest też jak gdyby samą wonią. Kto tu przybywa w porze kwitnienia drzew cytrynowych i pomarańczowych, widzi ziemię usianą kwiatami tudzącemi wzrok pielgrzyma z północy, że to śnieg jest, spady świeżo. Fontanny tureckie, zbudowane w stylu wschodnim z mozaiki różnokolorowego marmuru, i kuuki miedziane, zawieszane na łańcuchach, zachęcają wędrowca, aby się ochłodził i pokrzepił.

Miasto, jak wogóle na Wschodzie, okazuje z daleka białe mury, terrasy i ganki stylu maurytańskiego, występujące z „oceanu wonnych krzewów” — jak się wyraził poetycznie Lamartine, który także od tej strony zbliżał się do niego. Rysuje się ono przed okiem podróżnika na tle białego piasku, gdyż tuż poza obrębem rozciąga się naga przestrzeń pustyni, oddzielająca Palestynę od Egiptu.

Jaffa posiada jeden z najstarożytniejszych portów świata, a podanie czyni miejsce, na którym miasto się wznosi, sceną przedpotopowej jeszcze tragedii, bo tutaj to miał Noe zbudować arkę przymierza. Tutaj przybywały też morzem owe cedry Libanu, których Salomon zapragnął na budowę świątyni.

Widok, jaki przedstawiają oczom kostiumy zmieszanej tu ludności różnych plemion, pociągać może i przykuć do siebie oczy artysty. Obok Beduinów, przybyłych z okolic Jerycha lub Tyberyady w białych burnusach, ukazuje się Armeńczyk w długiej szacie w pasy białe i błękitne, Żydzi ze wszystkich krańców świata, przeważnie w czarnych opończach, agowie tureccy w żawojach, z kindżałami za pasem, na ognistych koniach, z orszakiem Arabów i czarnych niewolników — wszystko to miesza się ze sobą, gdy pielgrzymi greccy, którzy przybywają tu kompaniami całemi, siedzą po placzkach i rogach ulic, posilając się ryżem, kraszonym oliwą, który jedzą drewnianymi łyżkami z drewnianych miseczek.

Kobiety judzkie zwykle dźwigają ciężary na głowach, dzieci męczą w koszach, zawieszonych po obu bokach osłów, stąpających powoli po stromej i kamienistej drodze. Trzeba być na Wschodzie, aby zaprzeczyć twierdzeniu, że osioł jest głupi. Nie... jest on przeciwnie tylko bardzo pracowity i cierpliwy, za to bardzo uparty, gdy nadużywają jego dobrotności, co bynajmniej głupotą nie jest.

Ramla, to jest Rama Pisma Świętego, otoczona lasem oliwnych drzew starych i tak grubych, jak nasze najpotężniejsze dęby, leżąca na gruncie Pokolenia Efraimowego, bywa zwykle pierwszym odpoczynkiem podróżnych na drodze z Jaffy do Jeruzalem. Jest tu klasztor łaciński, założony przez Ludwika Dobrego, księcia Burgundyi, są klasztory greckie i armeńskie, które przyjmują i wspierają pielgrzymów swoich wyznań. Dzień cały drogi konnej zabiera przebycie równiny Ramy i tu grunt podnosi się już stopniowo, faluje, a przed oczyma podróżnika rysują się szczyty łańcucha gór Judzi. Na granicy ziem, niegdyś pokolenia Efraima i Benjamina, u studni zwanych Jobowemi, rozkładają się zwykle podróżni obozem na nocleg, z którego nazajutrz wyjeżdża się zwykle świtanem. Droga wiedzie już wciąż przez wąskie, skalami otoczone dolinki i wąwozy, a wszędzie panuje tu Arab, rozbójnik przez instynkt dziki, podobny do drapieżnego ptaka, który nie utrzymałby się w stanie swojskim i zginał z głodu, nie mogąc polować na łup,

który jedynie karmi go smakowicie. Dolinę Jeremi przebywa się pod strachem spotkania z temi krogulcami, mając wciąż przed oczyma i na wszystkie strony widoki malowniczości, trudnej do opisania — malowniczości wschodniej, gdzie dzikość ponura miesza się nieustannie z obrazami niewymownego wdzięku.

Do najwznioślejszych widoków drogi, wiodącej tędy podróżnika, należy głęboka wśród skal czarnych dolina, gdzie, według podania i wskazówek Biblii, odbywała się owa bitwa Saula z Filistynami, w której Dawid zabił Goliata kamieniem. Podróżny patrząc na strumień, płynący w głębokim łóżysku skalistym, a którego brzegi usiane są odłamami głazów, zdaje się widzieć miejsce, gdzie podniósł on ów kamień, zwalający z nóg olbrzyma. Znajduje się tu teraz u wejścia do doliny wioska arabska, a dalej w głębi i klasztor św. Jana Chrzciciela, gromadzący ascetów, chcących przebywać wśród tej dzikiej natury samnasam z duchem swoim i wielkim cieniem Boga, padającym tu może najuroczyściej w wielkości swojej wśród milczenia, niezmaconego przez żaden odgłos zewnętrznego świata. Klasztor ów przytula również starców, niegdyś proboszczów po różnych parafiach Ziemi Świętej, dożywających tu dni swoich w ciszy i spokoju. Przysylają tu także nowicuszów, przybywających z Europy, dla kształcenia ich na kapłanów, jakich tu potrzeba według właściwości prac i obowiązków miejscowych. Winnice, wydające bardzo dobre wino, okrywają tu stoki gór i wzgórz, podatnych do tego i klasztor ten, przez jedną tylko stronę swoją może być uważany za pustelnię. Mnóstwo Arabów ciśnie się tu zawsze po lekarstwa i zadowolenie różnych innych potrzeb swoich, a cokolwiek można mieć przeciw nim — przeciw ich dzikości i podstępności, furta zewnętrznej bramy klasztoru odmyka się dla nich zawsze, bo takim jest, takim być powinien obowiązek sług Chrystusowych w tem miejscu. Lud ten, chciwy i przebiegły, rozbójniczy, cywilizuje się, uszlachetnia przez zetknięcie się tu z oświatą europejską a głównie i przede wszystkim z prawami moralności chrześcijańskiej. Nie ginie nic w naturze — jak ziarno rodzajne zanesione wiatrem w pustynię, padłszy gdzieś między złomy głazów, puszcza kiełek i wyrasta w drzewo, które daje początek oazie, tak tu sam widok klasztoru i samotników żyjących wśród jego murów musi działać na wyobraźnię i pociągać myśl, skierowywać ją w stronę inną życia.”



PATRZ, CO DO CIEBIE NALEŻY.

BAJKA.

Wyszły kury z kurnika, dzióbnać trochę ziarna. Najadłszy się obydwie, i biała i czarna. Zaczęły razem gdakać, na całe podwórze. Odakają: co się której wydarzyło kurze, Którą z nich skubnął kogut, której piór ubywa. Dziwią się poco kaczka, a naco gęś pływa. A gdy na sprawy cudze każda tak zawzięta Wpadą jastrząb i chwytą obok nich kurczęta. Mniej trochę plotkowania, bo czas, to rzecz droga. Lepiej strzedz własne dzieci, od pazurów wroga.

L. Ż.



ŚW. CECYLIA W POLSCE.

Patronko pieśni! Masz Ty w polskiej duszy
Dolą niedolą stawione ołtarze,
Od onej rzewnej ligawki pastuszej,
Aż po natchnieniem wniebowzięte twarze!
Wszystko tą ziemią ze śpiewaniem chodź,
W pieśni łączy płyną, w pieśni „Bóg się rodzi!”

Małemu dziecku matka nad kołyską
Prostaczą śpiewką wita świt w poźłocie...
Lipcowem słońcem malowane rżysko:
Piosenką dzwoni z uwrocia w uwrocie...
Tam znów dziadula ktoś pod brzózką grzebie,
I znów pieśń leci, że ją słyszać w niebie!

Chłopek za pługiem, żebrak na odpustach,
Dziewczyna w wianku, czy rycerz w zbroicy,
Wszystko tu miało swoją pieśń na ustach,
Swoje kochanie, swoją łzę w żrenicy!
Tą pieśnią żyło i marło z nią w krtani
I kapłaniło Jej i dziś kapłani.

Gdyby tak można z pod latosiej pleśni
Dobyć te echa, co milczą w wieczności —
Toby wstał jeden wielki Kościół Pieśni!
Pieśni Nadziei! Wiary! i Miłości!
Pieśni! co w ludzkim urodzona progu,
Ty Święta mogłabyś tam śpiewać... Bogu!

I Panby słuchał jej, jak wielkiej skargi!
Jak melodyi łez z ziemskich padołów!
I może jaka łąza przez Boże wargi
Na białe skrzydła padłaby Aniołów
Z rozkazem, aby polecieć w zorze
Z tą pieśnią budzić to, co wskresnąć może!

Możeby wtedy, o Panienko święta!
Za Twem orędziem i po Twojem tchnieniu
Choć jedna ze strun, na tęczy rozpięta,
Oddźwiękła zjawą, objęła w marzeniu,
I przestwórz ciszy ponurej i głuszy,
Pieśnią rozdarła! pieśnią polskiej duszy!

E! (K. Laskowski).



Muzyka i jej mistrze.

I.

Ze wszystkich sztuk pięknych muzyka jest najulubieńszą i najwięcej rozpowszechnioną. Nie można dziwić się temu; jako umiejętność łatwiejsza niż inne, nie wymaga tyle pracy i zdolności, co malarstwo, rzeźba lub poezja, a za poniesione trudy tysiące czy stych zapewnia rozkoszy, czaruje ucho, zachwyca duszę.

Świat dźwięków dla wszystkich niemal stoi otworem, idealny wpływ muzyki działa tak na prostaczków jak na bogaczy, tak na starców jak na dzieci, nie zależy ani od wieku, ani od temperamentu, ani od stopnia wykształcenia. Uroczą a zarazem tajemniczą jej mowa większą od słowa posiada potęgę.

Kolejno tęskna lub wesoła, rzewna lub szalona, spokojna lub namiętna, raz lekka, to znów poważna.

to święta, to ziemską — muzyka przemawia zarazem do duszy i do zmysłów. Tem się usprawiedliwia jej moc i siła, tem jej urok niepochwytany, niepokonany.

Gdzież znajdziemy sztukę, któraby tak ważne miejsce zajmowała w życiu jak muzyka? Ona w świątyniach wznosi dusze do Boga; ona w polu bitwy budzi w sercach odwagę; ona w salach balowych podnieca wesołość i rzuca nas w szalony wir tańca; to nam łączy z oczu wyciska, to znów poważne nasuwa myśli, potęguje miłość, rozjaśnia serce, lub głęboką przejmując je tęsknotą. Muzyka koi cierpienia, nadzieję zbolale krzepi serca, uśmierza nawet napady szaleństwa wariatów.

Niema tak subtelnej uczucia, tak wzniosłej myśli, którejby ona wyrazić nie umiała; niema stanu duszy, któregoby nie mogła być tłumaczem; niema słowny w naszym sercu, którejby powołać do czucia nie zdołała. Tam, gdzie rzeźba i malarstwo są bezsilne, tam gdzie słowo nawet nie osiągnąć nie zdoła, muzyka jest wszechwładną.

Ból i zachwyt, miłość i nienawiść, trwoga i nadzieja, rozpacz i szczęście, smutek i wesele, łagodność i groźba, wdzięk i siła, śmiech i łzy — wszystko to dźwiękami da się wypowiedzieć. Zapomocą tak prostych środków, jak kawałek drzewa i strun kilka, można wstrząsać sercami ludzkimi, natchnąć je bohaterką odwagą, łączy z oczu wycisnąć lub szaloną rozbudzić wesołość. Człowiek przykuty, oczarowany, nie śmie odetchnąć, nie śmie uczynić ruchu, żeby nie rozwiać zaklęcia, co słodkim urokiem pęta jego duszę; czuje tylko, że dźwięki, których słucha, przenoszą go w nieznaną świat cudów, czuje rozkosz, która przenika całą jego istotę i jednego tylko doznaje pragnienia, żeby ten stan błogi mógł trwać wiecznie.

Muzyka łączy w sobie wszystkich sztuk potęgę: umie malować jak pędzel, rzeźbić jak dłuto, opisywać jak pióro, wstrząsać jak słowo. W jej dźwiękach słyszemy szmer strumieni, szum lasów i wycie rozszalałych wichrów; wrzawę bojową i szczebiot dziecięcy; miłosne szept i skargę nieszczęśliwej ratki; sierocę jęk boleści i korną modlitwę; ryk burzy i ciszę pustyni; świegot ptaszek i pieśń pasterzy. Wszystkie zjawiska natury, wszystkie odgłosy do złudzenia naśladować może, a jeżeli tak do zmysłów przemawiać umie, o ileż większy wpływ wywiera na serce i duszę. Państwo jej jest przepotężne.

Arcydziela pędzla i dłuta znawcy tylko ocenić mogą, rzęsa pospolitych ludzi nieraz obojętnie obok nich przechodzi, nie widząc piękności, które zachwycają artystę. Muzyka przeciwnie czaruje nawet prostaczków, którzy bezwiednie ulegają jej wpływowi. Tryumfuje ona nad uprzedzeniami, wszystkie zwycięża niechęci i bez względu na narodowość wszędzie ją rozumieją.

Nie każdemu jest dane posiadać piękne rzeźby i obrazy, lub nawet je widywać; świat dźwięków każdemu stoi otworem, niema takiego zakątka, gdzieby człowiek był jej pozbawiony. W mieście mamy koncerty i opery, na wsi śpiewy wieśniacze.

Wnukowi Adama Tubalkainowi przypisują wynalazek pierwszego instrumentu muzycznego. W Biblii często napotykamy wzmianki o muzyce: Dawid igra na harfie uspokaja obłąkanego Saula; mury Jerycha upadają na dźwięk trąb izraelskich. Na najstarszych pomnikach assyryjskich i egipskich, widzimy orszaki muzykantów z trąbami i piszczałkami; dowód, że nawet w tak odległej epoce była ona ulubioną sztuką ludów.

nieście i
te i zapro-
rali w nim

W starożytnej Grecji muzyka rozwijała się stop-
niowo i coraz większe miejsce zajmowała w życiu do-
mowym i publicznym. Apollin jest uważany za wy-
nalazcę jej i nauczyciela, jedna z dziewięciu Muz, Eu-
terpe, wyłącznie się nią opiekuje. Apollin wynajduje
lirę, która od tej chwili stała się jednym z jego symbolów.

Grecy rozumieli potęgę muzyki, dowodem podanie
o syrenach, które cudnym śpiewem czarowały ludzi i
na pewną wiodły ich zgubę; potwierdza to baśń o
Orfeusz, najslawniejszym piewcy dawnej Hellady (Gre-
cji). Nie tylko ludzie i nimfy ulegają urokowi jego
głosu ale nawet dzikie zwierzęta, drzewa i skały; po-
tęgą śpiewu umie on zmiękczyć bóstwa piekielne, któ-
re mu oddają utraconą małżonkę, Eurydykę.

U rzymian muzyka stanowiła niezbędną część ka-
żdej uroczystości; artyści, zwłaszcza greckiego pocho-
dzenia, wysoko byli cenieni, sami cesarze nie wahali
się publicznie występować w cyrkach z muzyką i
śpiewem, a Neron rozgniewany, że nie dosyć jego
grze przyklaskiwano, wyraził krwiożercze życzenie,
żeby cały Rzym jedną miał tylko głowę, którąby ściąć
można. Mimo to muzyka nie mogła się tam rozwi-
nąć z braku uczucia i życia duchowego; rzymianie
zawsze przekładali nad nią sztuki plastyczne, rzeźby
więcej przemawiające do zmysłów. Tak oni jak gre-
cy nie znali wcale harmonii; śpiew ich był tylko jed-
nogłosowym, rzadko zaś stanowił połączenie oktaw.

Dopiero chrześcijaństwo, rozwijając wewnętrzne
życie duchowe, owo źródło muzyki, wywiodło tę osta-
tnią na nowe tory. Pierwsi chrześcijanie natchnieni
pobożnością śpiewali hymny w katakumbach, a pienia
religijne zostały włączone do świętych obrzędów. Św.
Ambroży biskup medyolański, urodzony w r. 333 po
Chryście, twórca sławnego hymnu, który od piętna-
stu stuleci śpiewają w kościołach, dał pierwsze pod-

waliny muzyce, stanowiąc cztery gammy i porządku-
jąc pieśni chrześcijańskie. Patronką muzyki chrześ-
cijańskiej została św. Cecylia, córka bogatego rzymia-
nina, umęczona za Marka Aureliusza. Uroczystość
św. artystki Kościół obchodzi dnia 22 listopada.

ZDANIA I MYŚLI

ze starej księgi wyjęte.

Ta jest największa mądrość: przez wzgardzenie świata,
Niech do niebieskiej chwały myśl twoja wylata.

—o—

Mem zdaniem bardzo głupi, kto postronne rzeczy,
Bardziej, niż co zbawieniu służy, ma na pieczy.

—o—

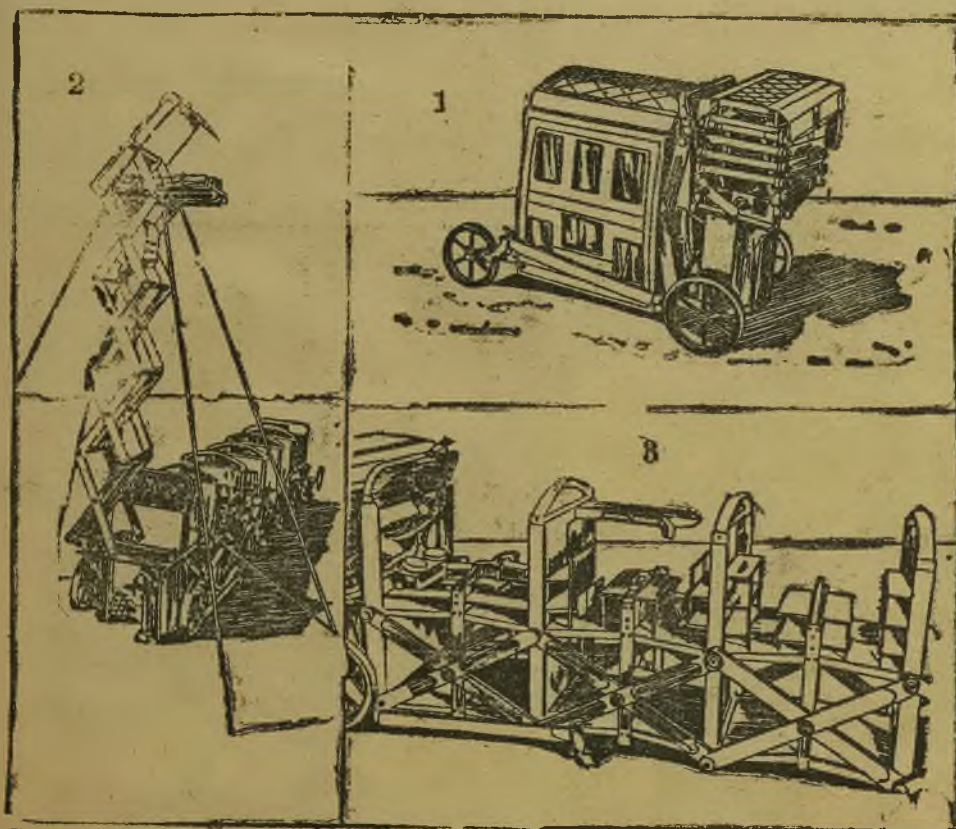
Pobożność przede wszystkim, a co za tem roście,
Cnota wszelkich wybór i doskonałość.



„Niema jak nasz kraj!”

Lublin.

Główne to miasto gubernii lubelskiej pięknie jest
także położone. Od północno-zachodniej strony ota-
cza go wysokie pasmo malowniczych wzgórz,
a od południa i wschodu rozciągają się bujne łąki,
wśród których krętym biegiem snuje się Bystrzyca,
biorąca w siebie dwa strumienie: Czechówkę i Czer-
niejówkę.



Wóz biwakowy.

Inżynier Ostrowski skon-
struował wóz, który zapewne
odda znakomite usługi woj-
sku. W wozie tym miesz-
czą się łóżka dla stu żołnie-
rzy a oprócz tego mała skła-
dana wieżyczka, która służy
za punkt obserwacyjny a
zarazem jest stacją dla tele-
grafu bez drutu. Obrazek
pierwszy przedstawia wóz
złożony; na drugim widzi-
my ustawioną wieżyczkę;
trzeci obrazek przedstawia
w jaki sposób rozciąga się
wóz na leże. Podobno wła-
dze wojskowe z wielkim
uznaniem wyrażają się o tym
wynalazku; niezawodnie te-
dy każda kompania będzie
z sobą wozila gotowy biwak.
Tak to ludzka myśl wysila
się wciąż, aby zaopatrywać
wojsko w jaknajlepsze przy-
bory a przez to udogodzić
narodowi prowadzenie wojen.

Czyż nie szkoda na to wyników umysłu? — Zresztą wóz biwakowy może także oddawać dobra usługi
podróżnikom, badającym nieznaną, niezamieszkaną krainę.

Moż. dla tego pięknego położenia ktoś już bardzo dawno miejsce to „polubił” i na niem osadę założył, dając jej nazwę Lublina. Tak przynajmniej głosi podanie.

Miasto to bardzo, bardzo stare. Już za Miecysława I został tu wzniesiony kościół św. Mikołaja; jest to jedna z pierwszych świątyń chrześcijańskich na ziemi polskiej. Za Bolesława Chrobrego miał już Lublin obronny zamek.

O gród ten dobijali się i książęta haliacy i Jadźwingowie i Litwini, a Mongołowie spustoszyli go raz czy dwa. Od Władysława Łokietka, należał już Lublin do Polski, a pracę rozpoczętą przez ojca około podniesienia miasta, dokończył syn Łokietka, Kazimierz Wielki. Uposażony i obwarowany Lublin ozdobiony pięknym zamkiem, zaczął należeć odąd do najpiękniejszych miast w kraju.

Za Zygmunta Augusta, odbywały się tu sejmy. Tu odbyła się także r. 1569 znana w dziejach Unia Lubelska, t. j. połączenie Litwy z Polską.

Dzisiaj Lublin jest miastem gubernialnem i należy do najpiękniejszych w Królestwie Polskiem, od czasu przeprowadzenia kolei Nadwiślańskiej, ruch handlowy bardzo się tam zwiększył i miasto z każdym rokiem coraz bardziej się podnosi. Niektóre ulice są pięknie zabudowane, nowe dzielnice miasta i nowe okazałe domy przybywają, obok których istnieją jeszcze, zwłaszcza na Starem Mieście, dawne kamienice i gmachy. Brama Krakowska z wieżą na 180 stóp wysoką, jest okazałym budynkiem XIV wieku. Piękne są także bramy: Grodzka, Rybna i najwyższa ze wszystkich brama Jezuicka. Wśród rynku stoi dawny ratusz, w którym od Stefana Batorego odbywały się najwyższe sądy, czyli tak zwane trybunały koronne dla Małopolski. Służyła do owych sądów wielka



Bramą krakowską w Lublinie.
w stanie dzisiejszym, odrestaurowana w roku 1797.

sala (dziś na kilka sal podzielona), ozdobiona herbami województw i portretami królów. O sali tej i odbywających się w niej trybunałach istnieją rozmaite podania (jedno z nich niżej przytaczamy), gdyż nie zawsze tu sprawiedliwe wydano wyroki. Sędziowie stali się przedajni; zamiast rozpatrywać sumienie jaką sprawę, wyprawiali bankiety i bawili się w najlepsze, a sprawy leżały odłogiem. To też z tej przyczyny powstało nawet przysłowie: „Nierząd — jak w trybunale”.

W ratuszu tym zakończył życie, poeta Jan Kochanowski r. 1584, zaś w szpitalu Jezuickim w Lublinie umarł poeta Sebastyan Klonowicz, który dłuższy czas mieszkał w Lublinie, był tamże radnym miejskim i burmistrzem.

Kościółów liczył Lublin dawniej trzydzieści; kilka pomiędzy nimi odznacza się piękną budową i wewnątrz bogactwem.

Kościół katedralny, okazały i obszerny posiada piękną kaplicę ukrzyżowanego Chrystusa Zakrystya w tym kościele na szczególną uwagę zasługuje. Jest ona tak zbudowana, iż słowa najciszej w jednym kącie wyszeptane, słychać wyraźnie w kącie przeciwnym.

Do najokazalszych miasta budowli należy kościół Dominikański, w którym przechowują przywieziony z Kijowa kawałek drzewa z krzyża Chrystusowego. Istnieje tu podanie, że za Jagiellę, relikwię tę przewieźć chcieli z Kijowa do Krakowa, lecz kiedy konie, wiozące świętość w Lublinie przed kościołem Dominikanów stanęły i dalej ruszyć nie chciały, złożono ową pamiątkę w tym kościele.

Z ulic Lublina najpiękniejsze Krakowskie Przedmieście, ozdobione wielu pięknymi gmachami.

Miasto posiada duży ogród publiczny, ładne spacerowiska poza obrębem miasta, a na polu, za przedmie-



Bramą krakowską w Lublinie.
zbudowana w roku 1342 przez Kazimierza Wielkiego.

ciem Czwartek, wznosi się dwadzieścia wielkich mogił. Nie wiadomo, kiedy one powstały; prawdopodobnie w czasie wojen szwedzkich.

Trybunał lubelski.

Prawowała się jednego razu uboga wdowa z bogaczem, który jej niesłusznym sposobem wydarł był cały majątek. Ze wdowie stała się krzywda, o tem sędziowie wiedzieli, ale bogacz synął złotem i sprawę wygrał. Gdy ten wyrok trybunału publicznie ogłoszono w izbie sądowej, biedna wdowa zrazu nie chciała wierzyć własnym uszom, a gdy jej jeszcze raz powtórzono, że sprawę przegrała, uniesiona gniewem i boleścią, na głos wyrzekła te słowa: „Żeby mnie dyabli byli sędzili, sprawiedliwszy wydaliby byli wyrok”.

Sroga to była dla panów sędziów obraza i według prawa mogli byli biedną kobietę surowo za to ukarać; ale, mając sumienie nieczyste, udali, że nie słyszeli obelgi i czempredzej odeszli do domów.

Zostali tylko na miejscu pisarze sądowi.

Wtem na ulicy słyhać straszny hałas; zajeżdża mnóstwo karet przed trybunał i wysiadują jacyś panowie dziwnie wystrojeni, bo to niby w paradnych sukniach, jakie były w owych czasach w używaniu, a z różkami i długimi ogonami, które im wystawały z pod kapeluszy i sukien. A wszyscy wałą po schodach na górę do izby sądowej. Przyszedszy tam, zajmują sędziowskie krzesła i rozpierają się w nich.

Wtem dyabeł, siedzący na pierwszym miejscu, wprowadził sprawę biednej wdowy. Natychmiast wystąpiło dwóch szatanów, nibyto adwokatów; jeden obstawiał za biedną wdową, drugi za bogaczem, a wszyscy inni, w krzesłach siedzący, słuchali z wielką ro wagą. Skoro obydwaj skończyli, poczęła się reszta między sobą naradzać. Nakoniec prezydujący przywołał jednego z prawdziwych pisarzów, kazał mu usiąść za stołem i wziąć pióro do ręki. Biedny człowieczyna, dygocąc na całym cielem i prawie na pół umarli z bojaźni, ledwo się przywłókł do stołu. Usiadłszy na wskazanym miejscu, zaczął pisać wyrok słowo po słowie, jak mu dyabeł dyktował. I pokazało się z tego wyroku, że nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa miała słuszość.

Wtedy to, wiszący na ścianie ukrzyżowany Pan Jezus, widząc, że czarni okazali się sprawiedli szymi niż sędziowie trybunału, ze zgrozy twarz zasmuconą odwrócił.

Gdy wyrok dyabli podpisali, złożyli go na stole sądowym, potem w jednej chwili zniknęli.

Pisarze, którzy na to zdarzenie własnymi oczyma patrzyli, ochłonałszy nieco z przestachu, uciekli z sali i po całym mieście opowiadali co się stało.

Dopiero nazajutrz, gdy sędziowie zebrawi się w trybunale, ujrzeni na stole ów wyrok szatański, oraz na ścianie Chrystusa z odwróconą twarzą.

Krzyż ten do dziś dnia w jednej z sal dawnego trybunału pokazują.



Wczas takiej upatrując wszędzie,
Co z tobą dolę twą podzieli,
Przezornie działasz. Lecz jeżeli
Chcesz, abyś długo nie był w błędzie,
Bóg dziewosłębem niech ci będzie,
Swatami zaś anieli.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujemy i czcimy wspomnienia
przeszłości naszej.

17-go listopada r. 1796: Car Paweł przywraca wolność Tadeuszowi Kościuszcze, który w kilka dni potem wyjechał do Ameryki, zatrzymując się dla wypoczynku z powodu choroby w Danii i Anglii. Słynnego bohatera przyjmowano wszędzie z oznakami czci i uwielbienia.

17-go listopada r. 1813: Miasto Gdańsk nad morzem Bałtyckiem, od czasu pokoju tylżyckiego wolnem miastem będące, po całorocznym oblężeniu, broni one dzielnie przez wojska francuskie i polskie, poddało się sprzymierzonym wojskom Rosyi, Anglii i Prus. W lutym następnego roku Gdańsk został włączony do państwa pruskiego.

18-go listopada r. 1655: Szwedzi rozpoczynają oblężenie Częstochowy.

18-go listopada r. 1776: Generał Waszyngton mianuje Tadeusza Kościuszkę pułkownikiem armii amerykańskiej i swym adjutantem.

19-go listopada r. 1370: Pogrzeb króla Kazimierza Wielkiego w Krakowie, tego, o którym Niemcewicz śpiewa:

„Pod nim naród był szczęśliwym,
Żyzne pola, pyszne grody,
Na urządach ludzie zdolni:
Takim był z Piastów ostatni”.

19-go listopada r. 1825: Namiestnik Król. Polskiego generał Zajacek kładzie kamień węgielny pod gmach Teatru Wielkiego, który do dziś jest w Warszawie głównym ogniskiem sztuki dramatycznej polskiej.

20-go listopada r. 1454: Król Kazimierz Jagiellończyk ogłasza nowy zbiór praw w Nieszawie, zwany stąd statutem nieszawskim.

25-go listopada r. 1587: Arcyksiążę Maksymilian, który siłą i mocą zdobyć chciał koronę polską, został odparty z pod Krakowa przez wojska polskie.

25-go listopada r. 1764: Koronacya Stanisława Augusta Poniatowskiego w Warszawie w kościele św. Jana na króla polskiego.

25-go listopada r. 1795: Zrzeczenie się tronu przez Stanisława Augusta.

25-go listopada r. 1800: W Warszawie założone zostało towarzystwo Przyjaciół Nauk, instytucja bardzo ważna dla kultury polskiej.

26-go listopada r. 1855: Umarł w Konstantynopolu poeta Adam Mickiewicz. Zwłoki jego przewieziono do Paryża, skąd dopiero w r. 1900 sprowadzono je do kraju i złożono w korypcie podziemnej w katedrze na Wawelu.

27-go listopada r. 1633: Jerzy Ossoliński, wysłany w poselstwie do papieża, odbywa uroczysty wjazd do Rzymu, aby przed całym światem okazać wielkość i potęgę Polski.

28-go listopada r. 1561: Inflanty (dzisiejsza Finlandya) będące w posiadaniu zakonu rycerzy maltańskich poddają się dobrowolnie pod zwierzchność króla polskiego Zygmunta Augusta.

29-go listopada r. 1830: Wybuch powstania w Warszawie pod dowództwem Józefa Wysockiego.

30-go listopada r. 1808: Legiony polskie, walczące w armii Napoleona w Hiszpanii, zdobywają wóz Somo - Ssiere.

RORATY.

OBRAZEK.

Wioska śpi, owinięta w chłód i cienie zimowego poranku; na dworze wietrzno, śnieżysto, mroźno. Nie rozróżnisz nic — ani chat, ani młynów, ani nawet kościoła na wzgórku — wszystko pochłonięte: cisza — sen, lodowate i czarne.

W powietrzu zimowa, martwa ciemność. Ale za stawem, za grobelką i młynem, łyska na wzgórzu światło duże, migotliwe i żółte; po chwili, jakby na znak dany, tu i owdzie, bliżej, łyskają inne światelka nieruchome i drobniejsze.

To w chatach — tamto w kościele.

Tamto jasne, walczące z nocą, która otumania świat.

Roraty!

Kilka ciemnych postaci śpieszy grobelką w stronę kościoła, nikną po chwili za drzwiami oświetlonego przedsionka.

Coraz tam jaśniej od światła.

Z zakrystyi wysuwa się jakaś wysoka postać, przygarbiona, ze sterzącym nad głową baranem kołnierzem i dąży w stronę chóru; to organista.

Ołtarz Najświętszej jaśniej rzeźbi się z roratnią u góry — jaśniej już i święty Maciej naprzeciwko, i świecznik na środku o kilkunastu światelkach. Ponad ławkami, ku wygodzie pobożnych, błyszczą oprawione świece.

W głównym ołtarzu widać duży krucyfiks z Ukrzyżowanym... jeszcze nie pochwalony w stajence, a już wyciąga do ludzi swe zbolale ramiona...

Z drzwi zakrystyi rozlega się ostry głos dzwonka. Na chórze ktoś chrząka i kaszle, organy zaczynają pisać, sapać i po długich wysiłkach rozbrzmiewają nareszcie fałszywym akordem.

Drugi akord już mniej fałszywy, następne idą głęboko, rzewnie nawet...

Ksiądz wyszedł ze Mszą, poprzedzony dwoma chłopczkami w bieli; sam także lśniący jedwabiem i złotem ornatu, rozkłada Mszał i już pochylony u stopni...

A w ławkach, na podłodze, w zakątkach kłęczą postacie skulone, prościuchne, w kożuchach i chustkach, rozmodlone całe Zdrowaśkami, z różańcem albo wytartą książką w rękę.

Msza się zaczyna... — *Judica me, Deus...*

„Osądź mnie, Panie, a rozeznaj sprawę moją” — słychać od stopni ołtarza przyciszone i łzawe.

„Wylej światłość Twoją i prawdę Twoją” — głośniejsze już, pragnienia a nadziei pełne.

Na chórze tymczasem śpiewają: „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi...”

Trzy głosy rozróżnić tam można: jeden dziecienny, bardzo wysoki i czysty, przypomina trochę ową sygnaturkę roratnią, jakby w dziecku i w dzwonku jedna śpiewała dusza; drugi męski, i jeszcze jeden, starością drżący.

Zasłużyliśmy, to prawda, przez złości,
By nas Bóg karał różgą surowości,
Lecz kiedy Ojciec zagniewany siecze,
Szczęśliwy, kto się do Matki uciecze!

Przed ołtarzem ksiądz mówi Confiteor... Blaski od niego biją i biel śnieżysta, a wyznaje swą niegodność...

..., „Ty, obróciwszy się, ożywisz nas”...

..., „Pokaż nam, Panie, miłosierdzie Twoje!”

Przez okna widać, że na dworze ciemno zupełnie, i że ciemności te ogarniają kościół, jak niegdyś ogarnąć chciały światło, które przyszło na świat, którego nie poznali ludzie i swoi nie przyjęli...

Więc na świecie noc, tylko ten ubożuchny kościółek promienieje blaskami...

Ratuj nas, ratuj, Matko ukochana,
Zagniewanego gdy zobaczysz Pana!...

Pieśń wzbiera prośbą, na dole słychać także przytłumione łkanie...

Potem milknie wszystko i nastaje chwila uroczystej ciszy, bez szelestu. Organy wydają tylko przytłumiony odgłos, coś niby szum wiatru i zadymki. U ołtarza ksiądz stoi ze wzrokiem i dłońmi w górę... Prefację śpiewa. Natchnione słowa wzbijają się i płyną w przestrzeni. Oczyma widzisz jeno niewysłowny pokój i skupienie, i także słyszysz modlitwę; dusza przeczuwa Aniołów, Cherubinów i Serafinów, zamodlonych ponad wiejskim ołtarzem i u tronu Jehowy, te chóry świetlane, współ z grzesznikami, z człowiekiem, robakiem ziemnym, śpiewające w zachwyceniu: „Święty, Święty, Święty!”

Ksiądz mówi powoli, dobitnie, modlitwę, Chrystusową, o chwałę i Królestwo Boże, o chleb powszedni, o win odpuszczenie i wybawienie od złego. Z ławek i od podłogi dochodzą ciche szepty i westchnienia. Jeszcze chwila, Msza się kończy, przy organach słychać ostatnią zwrotkę:

A gdy ujdziemy tak gniewu jak chłosty,
Pokaż nam, Matko, tor do nieba prosty...

Do duszy wchodzi tęsknota i miłość, tęsknota do tej Matki... do nieba, o których śpiewają — miłość do tej ziemskiej świątyni, do wiary i pieśni, gdy tymczasem za nimi gdzieś w niknących cieniach noc, drzemie głuśne lenistwo świata.

Powoli światła gasną, w oknach szarzeje dzień, ludzie wychodzą z kościoła. Słońce nie wzeszło jeszcze i chyba nie ukaże się dnia tego, bo ziemia pokryta całą szarą mgłą.

Bezdenne smutny i ponury ten przedświt roratni, jaśniejący tylko dokoła martwością śniegu.

Muzyka i jej mistrze.

II.

Papież Grzegorz Wielki, zm. 604 r., pozbiierał melodye, ułożył je, poprawił i pomnożył. Przytem ułatwił znacznie naukę, dając tonom nazwy alfabetyczne, zamiast trudnych nazw greckich. Pisanie nut jeszcze wtedy nie znano, podobnie jak półtonów. Wprowadzony do kościołów przez tegoż Papieża śpiew zwany do dziś „gregoriańskim” jest jednogłosowy, poważny i wspaniały.

Burliwe czasy późniejsze, wojny i najazdy nie dały rozwinąć się muzyce kościelnej. W IX-tym wieku Karol Wielki opiekuje się nią i troszczy o kształcenie śpiewaków, a w X wieku Hucbalduś, mnich z Flandryi, pierwszy wpada na myśl jednoczesnego brania różnych tonów w odległości kwarty, kwinty, seksty i tercyi, zupełnie nieznaney starożytnym. Najwięcej jednak przyczynił się do rozwoju muzyki mnich włoski, Gwido z Arezzo, który uprościł pisownię nut, rzucając podstawy do wynalezionych później znaków.

On to nazwał tony ut, re, mi, fa, sol, la, si, biorąc pierwsze zgłoski hymnu łacińskiego do św. Jana. Było to w XI wieku.

W XII i XIII stuleciu wykształca się harmonia, zachodzi przytem potrzeba nadawania nutom różnej wartości, ale podziału na takty jeszcze niema. Przy opactwach i kościołach powstają szkoły muzyczne, do których szlachta posyła młodzież, żeby się wykształciła w tej sztuce. Uniwersytety wprowadzają muzykę do programu swoich nauk. Jako nauczyciele odznaczają się w XIII wieku Niemiec Franko z Kolonii, włos Marchettus z Bolonii i Jan de Muris, francuz.

Najwięcej jednak przyczyniają się do rozwoju i rozpowszechnienia muzyki trubadurowie, zwani w Niemczech minnesängerami, a w Anglii minstrelami. Jednym z najslawniejszych trubadurów był Thibaut, król Nawarry (1201—1254), który kochając się bez nadziei w Blance Kastylskiej, matce Św. Ludwika, jedyną znalazł pociechę w poezji i muzyce. W Niemczech słynęli Tannhäuser, Wolfram Eschenbach i Walter von Vogelweide; w Anglii król Ryszard Lwie Serce; we Francji jednym z najznakomitszych był Adam de la Hale, zmarły w XIII wieku, Blondel de Nesles i inni.

W XIV wieku muzyka najwyżej stała w Niderlandach; kraj ten ludny, bogaty, przemysłowy, dogodnie przedstawiał pole do rozwoju sztuk pięknych.

W wieku XVI ogólny prąd życia udziela się muzyce, która zyskuje nader cenny wynalazek: Otta-

viano dei Petrucci wynajduje znaki do pisania nut obecnie używane; podział na takty już jest znany. Duch ówczesny, żarliwość religijna i pobożne natchnienie uosabiają się w sławnym Palestrinie, któremu powierzono utworzenie Mszy czysto religijnej. Tak jego Msze, a zwłaszcza jedna zwana Mszą papieża Marcella, jak cudne chóry, dotąd wykonywane w Sykstyńskiej kaplicy, dokonały zupełnego przewrotu w świecie muzyki.

Ale nie tylko muzyka religijna tak świetnie się rozwija, i świecka nowy duch ożywia. Pierwszą operę, utworu Caccini'ego, przedstawiają we Florencji roku 1600, na uroczystościach weselnych Maryi Medycejskiej. Wynalazek to był niesłychanej doniosłości i stanowi punkt zwrotny w historii sztuki; nieznana w przeszłym jeszcze wieku muzyka instrumentalna coraz szersze znajduje zastosowanie. W połowie XVII już budują teatry, gdzie wykonywają się opery; korzystanie z przedstawień przestaje być wyłącznym przywilejem możnych lecz dla wszystkich jest dostępne.

XVIII wieku występują coraz znakomitsi kompozytorowie, Porpora, Pergolose, Jomelli, Sacchini, Piccini, Cimarosa, Paesello, których imiona chlubnie są zapisane w historii muzyki; jednocześnie rozkwita nauka śpiewu, sławnych wydając artystów.

Ale w miarę, jak się rozwielmożnia opera, coraz więcej ustępuje wciem muzyka kościelna, niegdyś tak przeważna. Dawna powaga muzyki, głęboki jej nastrój ustępują miejsca tliwości i sentymentalnemu

ZDANIA I MYSLI.

Ten, który rządzić własnym majątkiem nie umie, jakże krajem rządzić potrafi? *Królowa Marya Leszczyńska.*

* * *

Nie chcę cię zmuszać do spełnienia drobnostkowych przepisów, ale pragnę i wymagam, żebyś przez całe swe życie, zachował uszanowanie dla religii, któreby ci nie pozwoliło sztydzić z niej w żadnym razie. Co zaś do Pana Boga, pewna jestem, że serce twoje, każe ci Go kochać, rozum zaś dowody jego mądrości i wszechmocy znajdzie na każdym kroku, we wszystkim co ciebie otacza.

Księżna Izabella Czartoryska.

* * *

A któż lzy powróci!

Królowa Jadwiga.

* * *

Wszędzie należy się uznanie porządkowi, zarówno w zamożnej rodzinie, mającej wiele służby do utrzymania tego porządku, jak i w ubogiej, a w tej jeszcze bardziej. Zona robotnika, umiejąca dobrze utrzymać swój dom i dzieci, przestrzegać ładu w izbie, w sukniach, w wydatkach, zasługuje na największą pochwałę, bo tutaj wszystko jest spełnione jej czujnością, wytrwałością, zabiegliwością.



M. Dorde.

komisarz francuski w Casablance, mieścił marokański, który rządowi swemu wysłał raport o bójce, jaka wynikła pomiędzy żołnierzami francuskimi i niemieckimi. Bójka ta o mało nie stała się przyczyną wojny francusko-niemieckiej, lecz na szczęście sprawę załagowano.

wdziękowi w guście ówczesnych włochów; tony przybierają zmysłowy charakter, ale słodka ich śpiewność mile kołysze duszę.

Ale nietylko we Włoszech muzyka tak świetnie się rozwija, w Niemczech w tym samym stuleciu widzimy wspaniały jej rozkwit, dosiegający szczytu doskonałości w utworach Händla, Bacha, Haydena, Glucka, a przede wszystkim Mozarta i Bethowena. Obaj to geniusze, jakich niewiele zjawia się na świecie.

Później we Włoszech pojawia się Rossini, istny czarodziej, rozsypujący jak perły cudne melodye, lekkie, wesołe, dowcipne, ale pozbawiony myśli i głębi duchowej. Są to braki cechujące i innych mistrzów włoskich z owej epoki. Na szczycie stoi wówczas Szopen.

Z postępem czasu dawne formy się przeżyły i wystarczyć już nie mogły; nowe idee, nowe przekonania, większy rozwój umysłowości, wszystko to wymagało wcielenia w nowe kształty; zadanie to spełnił Wagner, reformator na polu muzyki. Rozumiejąc potrzebę stworzenia innych form, lepiej odpowiadających duchowi czasu, zrywa z dawnymi tradycjami i tworzy dzieła zupełnie oryginalne, w których kryje się myśl głęboka, nowy pogląd na sztukę i niepospolita siła twórcza. Muzyka idzie tam zawsze w parze z poezją, prawda i pierwiastek narodowy w nich przeważają.

Tak więc najmłodsza ze sztuk pięknych, muzyka, słusznie postanką niebios nazwana, coraz wyżej lot swój podnosi, coraz szersze obejmuje koła. Przed nią jest przyszłość, bo w miarę jak w społeczeństwie pierwiastek duchowy będzie brał górę i potęgę muzyki wzrośnie.

„Niema jak nasz kraj!”

R a w a.

Miasto powiatowe Rawa, w gubernii Piotrkowskiej Królestwa Polskiego, umieściło się w zagłębieniu, wśród rozległej wyżyny. Rawa wielokrotnie wspomniana jest w historii, jako stolica książąt mazowieckich i miejsce, gdzie zatrzymywali się królowie polscy w swych wędrówkach po kraju. Z tych czasów pozostały ruiny zamku, słynące z rozgłosnego echa wśród podwórza zamkowego. Długo opierał się zamek niszczącemu żywiołowi czasu, dopiero Prusacy na początku zeszłego stulecia rozebrać go kazali; pozostała tylko baszta, której widok podajemy.

Według podań miejscowych olbrzymie skarby mają być przechowane w lochach pod zamkiem; skarbów tych jednak żadna siła ludzka dostać nie może, jak o tem mówi następujące podanie:

Góra pod Rawą.

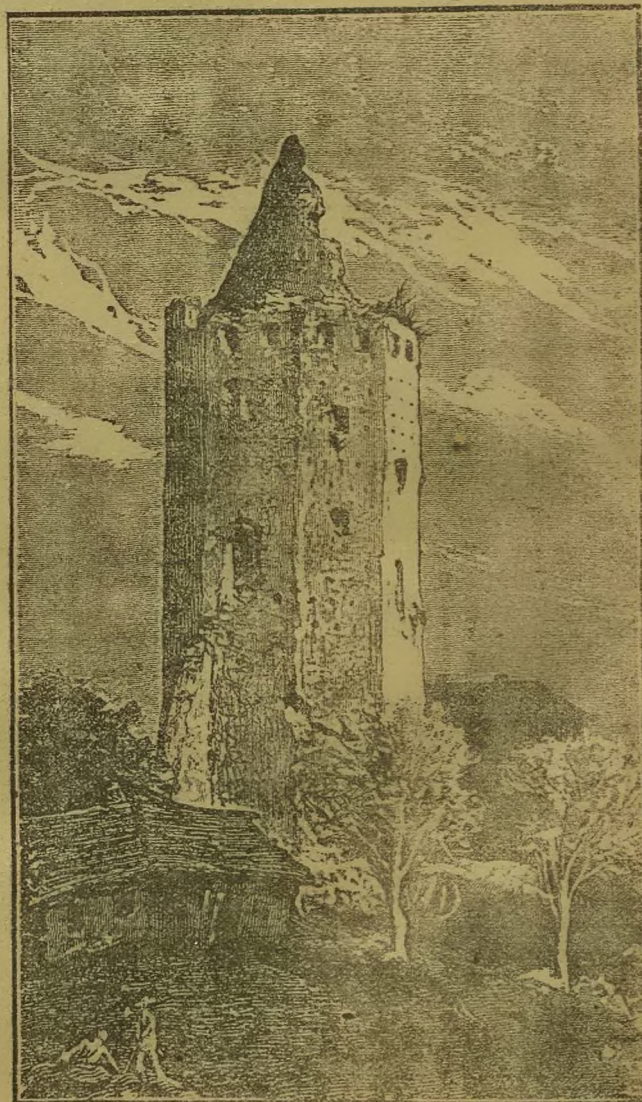
Niegdyś, bardzo dawno temu, na górze pod Rawą wznosił się zamek warowny, a w zamku, gdy już Piastów nie stało, gnieździł się dyabłu oddany zbójca z gromadą łotrów, z którymi łupił naokoło kościoły, dwory i chaty, napadał po drogach podróżnych i niestychane wyprawiał gwałty. Kiedy już nareszcie ludzie dłużej wytrzymać nie mogli i przebrała się miarka Bożej cierpliwości, przyszedł na zbrodniarzy dzień kary. W noc straszliwą w pośród grzmiącej burzy, piorun spadł z nieba, spalił zamek i zamienił go

w zwaliska; zbójców zaś widocznie dyabli do piekła porwali.

Gdy się wieść o tem rozeszła po kraju, znaleźli się tacy, co pamiętając o skarbach niezmiernych, przez zbójców w lochach zamku nagromadzonych, zapragnęli je wynaleźć; ale czart, który teraz zamieszkał sobie w gruzach ogorzałych, tak ich przepłoszył, że nikt jeden życiem przypłacił śmiałość swoją. Odtąd nikt już tam chodzić się nie odważył, a dyabli około góry wyprawiali co noc harce, zwodząc i strasząc nieświadomych przechodniów.

Mięło tak może lat sto, może dwieście, kiedy jednego razu zjawił się, nie wiedzieć skąd, pustelnik. Był to staruszek siwy, jak gołąb, z brodą srebrną do pasa, a w oczach jego — choć wiekiem przygasłych — gorzał jakiś ogień świętego zapału i miłości Bożej. Ulepił on sobie mieszkanie pomiędzy szczątkami murów i osiadł w niem stale. Od tej pory ustały okolo góry wszelkie strachy, zapewne pokonane gorącymi modły pustelnika, a lud z okolic, posłyszawszy o bogobojnym starcu, począł się schodzić do niego w utrapieniach swoich. On chołych leczył, smutnych pocieszał, a nieszczęśliwych i ubogich hojną wspierał jałmużną. Nie wiedząc imienia starca, wszyscy go aniołem, a górę Anielską zwali.

Ale po pewnym czasie pustelnik zniknął naraz bez śladu. Znowu natenczas niektórzy okoliczni mieszkańcy zapragnęli bogactw zbójcekich, o których wspomni-



Stara baszta zamkowa w Rawie.

nienie trwało; ale choć teraz nieczysta siła nie przeszkadzała widocznie, napróżno się mozolili, rozwalając twarde mury i kopiąc w gruzach: nie znaleźli ani złamanego szeląga. Przestali więc ludzie zgola myśleć o wydobyciu skarbów owych, zabrali się do pracy gorliwszej około roli i wnet się przekonali, że le-mieszem a bronią skarby prawdziwe co rok z ziemi dobyć można, byle tylko człek potu swego przy onej robocie nie żałował.

„Złe jednak nie śpi, ale kusi”, stare to już, lecz dobre przysłowie. Czartowi nie podobala się ta praca okolicznych mieszkańców Rawy i postanowił im nową spłatać psotę...

Niebawem przywędrował do Rawy jakiś podróżny w trójkątnym kapeluszu, w pluderkach, w pół-czochkach, w trzewikach, a chudy — jak szczapa, istny cudak... Zaczął on po gospodach opowiadać, że umie ukryte skarby wynajdywać, i że jest ich bez liku na Anielskiej górze.

Aby przekonać o swej mocy niedowierzających, puścił pod górę złocistą kulę, która się sama z siebie na wierzchołek zatoczyła i legła pośrodku gruzów.

Pewien mieszczanin rawski, człek okrutnie chciwy, dał się skusić namowom nieznajomego i począł z nim radzić, jakby się do skarbów dostać. Nie była to rzecz łatwa; podług zdania czarta (bo to on był tak po niemiecku przebrany) do wydobywania skarbów trzeba było koniecznie szczerozłotej motyki i takiegoż rydla — na to zaś cały majątek mieszczanina nie starczył.

Wkrótce jednak znalazło się do spółki kilku głupich, a chciwych także sąsiadów. Rozumni i pobożni przyjaciele poczęli odradzać im gorliwie, aby nie dowierzali przybłędzie, któremu kaducznie coś złe z o-patrzyło, ale zaślepieni chciwcy ani słuchać nie chcieli! Uważając się za mędrszych, szydzili z życliwych przyjaciół i robili swoje. Gdy nie starczył grosz zaoszczędzony na owe kosztowne narzędzia, zadłużyli się po uszy, pozastawiali u żydów gospodarstwa, aż wreszcie byli gotowe: złoty rydel i takąż motyka!

Ze swoim doradcą poszli na górę.

Począwszy od porannej zorzy, kopali w piasku przez dzień cały. O północy dokopali się ogromnego kamienia, pod którym miał się skarb znajdować.

Mieszczanie jeden po drugim próbowali, ale żaden ciężkiego nie mógł dźwignąć głazu. Wtedy sam przewodzca spuścił się w dół wraz ze złotymi narzędziami.

W tej chwili z wieży rawskiego kościoła wybiła dwunasta godzina... Góra zaczęła drżeć i grzmieć straszliwie w swej głębi, płomień siarczasty z dymem buchnął dokoła, a przestraszeni mieszczanie usłyszeli śmiech piekielny.

Po chwili wszystko ucichło, uspokoiło się wnętrze góry, ziemia się zrównała, z wykopanego dołu nie było i śladu, a on cudak w pluderkach do kolan przepadł bez wieści wraz ze złotą motyką i ze złotym szpadlem.

Ofiary czartowskiego wybiegu, dobroduszni mieszczanie srogo ukarani zostali za swoją chciwość. Przywiezieni do ostatniej nędzy, jedni z żalu poumierali, inni poszli żebrac po świecie...

Jeden z nich jeszcze przed niedawnymi czasy był podobno na odpustach i do zgromadzonych kmieci mawiał:

„Synkowie najmilsi, szukajcie skarbów w ziemi, ale nie zbyt głęboko, ino tak, jak radło zabierze; skarb, ze znojem ręką waszą wyorany, najpewniej-szy.”

A owa góra pod Rawą od tego nieszczęśliwego wypadku góry Dyabelskiej dostała nazwisko.

O PIENIĄDZACH.

Mamona! Złoto! Ha pieniądze!
Djabelski istic pomysł ten
Nieczyste w ludziach budzi żądze,
Hoduje zawiść, płoszy sen.
Pieniądz — trucizna to prawdziwa,
Szatańskiej mocy jest to znak...
Najgorzej jednak ludziom bywa,
Gdy trapi ich... pieniędzy brak.

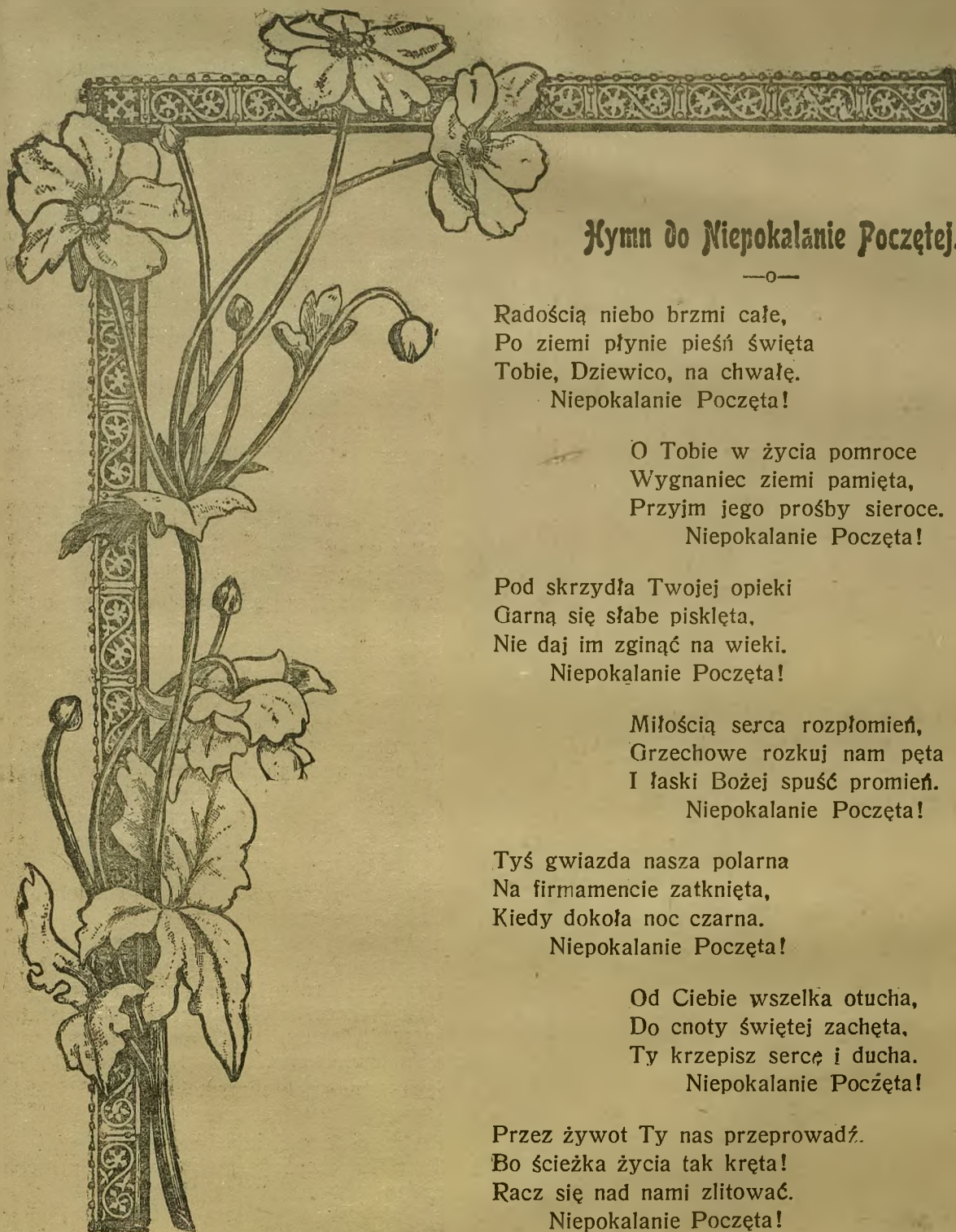
LEKARZE PRZYGODNI.

Rys. Fr. Kozłowski.



— Oj, moja komosiu, tak mnie też marmoce co-sik we środku, że chyba zwaryjuje...

— No, no, gorzałki tłusto z pieprzem i trochę sierci z kociego ogona, a potem zażeganie i basta.



Hymn do Niepokalanie Poczętej.

—o—

Radością niebo brzmi całe,
Po ziemi płynie pieśń święta
Tobie, Dziewico, na chwałę.
Niepokalanie Poczęta!

O Tobie w życia pomroce
Wygnaniec ziemi pamięta,
Przyjm jego prośby sieroce.
Niepokalanie Poczęta!

Pod skrzydła Twojej opieki
Garną się słabe pisklęta,
Nie daj im zginąć na wieki.
Niepokalanie Poczęta!

Miłością serca rozplomień,
Grzechowe rozkuj nam pęta
I łaski Bożej spuść promień.
Niepokalanie Poczęta!

Tyś gwiazda nasza polarna
Na firmamencie zatknięta,
Kiedy dokoła noc czarna.
Niepokalanie Poczęta!

Od Ciebie wszelka otuchia,
Do cnoty świętej zachęta,
Ty krzepisz serce i ducha.
Niepokalanie Poczęta!

Przez żywot Ty nas przeprowadź.
Bo ścieżka życia tak kręta!
Racz się nad nami zlitować.
Niepokalanie Poczęta!

Ty spraw dla dziatwy wybranej,
Aby radością przejęta
Tobie śpiewała z niebiany.
Niepokalanie Poczęta!

Ks. A. Maciejowski.



Muzyka i jej mistrze w Polsce.

Nie ulega wątpliwości, że Polacy mają, jak każdy inny naród, odrębny swój pierwiastek muzyczny. Dowodem tego są owe nasze dumki, krakowiaki, mazury i kołomyjki, któremi lud wypowiada swe bóle i tęsknoty, radości i nadzieje.

Później jednakże, niż u innych narodów, zaczęto w Polsce tworzyć dzieła muzyczne i uprawiać muzykę instrumentalną. Dopiero, gdy Polska stała u szczytu potęgi państwowej, gdy kwitnąć w niej poczęły nauki i sztuki piękne, wtedy rozwinęła się i muzyka, jako jeden z najpiękniejszych kwiatów duchowych, których woń ku niebiosom idzie dla uwielbienia Stwórcy.

Największe zasługi około rozwoju muzyki polskiej położyli dwaj ostatni królowie z rodu Jagiellonów t. j. Zygmunt I i syn jego Zygmunt August.

W roku 1543 funduje Zygmunt I kolegium śpiewacze (chór) i ustanawia dziewięciu śpiewaków i dyrektora chóru.

Obowiązkiem ich było śpiewanie utworów wielogłosowych na wotywach codziennych, zwanych „Rorate“. Stąd nazwa „Rorautystów“.

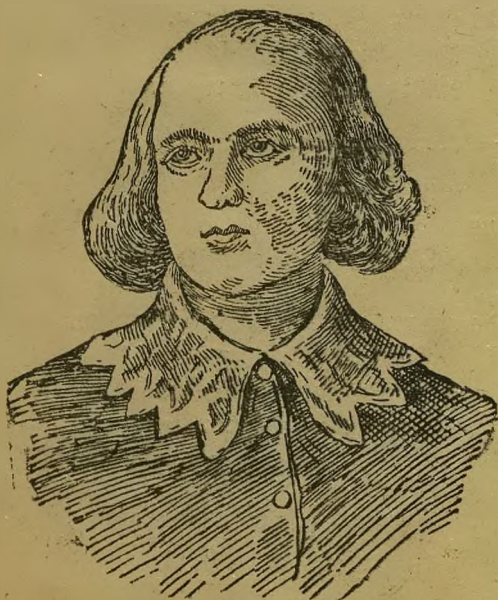
Odtąd Rorautyści na Wawelu mieli znaczenie dla kultury muzycznej naszej takie, jakie miał chór kaplicy Sykstyńskiej w Rzymie.

Pierwszym dyrektorem Rorautystów został ks. Mikołaj z Poznania.

Po śmierci Zygmunta I, Zygmunt August, wytworny humanista, dusza wrażliwa i subtelna, a przytem wyjątkowo-muzyczna, nie dał upaść chórowi Rorautystów. Owszem utworzył świetną orkiestrę — i powołał najznakomitszych ówczesnych kompozytorów, wirtuozów i śpiewaków, przeważnie polskich.

Za jego panowania muzyka polska sięga wyšin, których już później nigdy nie dotarła.

Kompozytorowie: Wacław z Szamotuł, Marcin Zwawczyk, Mikołaj Gomółka, Tomasz Szadek, Marcin Wartecki, to artyści-twórcy potężni.



Mikołaj Gomółka.
twórca muzyk polski z XVI wieku.

Orkiestra króla Zygmunta Augusta była świetną, słusznie też król się nią szczylił i pieniędzy na nią nie szczędził.

Kapelę swą wozil król ze sobą, a jeżeli wyjechał bez niej, kazał ją sobie bez „mieszkania“ (bez zwłoki) przysłać.

Oczywista, że przykład króla zachęcał do naśladowania.

Prawie każdy ówczesny magnat polski utrzymywał na swym dworze bądź wirtuoza, bądź też kapelę. Zamiłowanie i kultura muzyczna zaczęły kwitnąć w całej pełni, nawet mieszczaństwo ówczesne zaprasza na uroczystości większe, rodzinne, wirtuozów lub kapelę. Jak wielkim musiał być ruch muzyczny w Krakowie, dowodzi fakt wydania ustawy przez Zygmunta Augusta w roku 1579, określającej prawa muzyków.

Rorautyści Wawelscy najdzielniej walczą z zalewem protestanckim. Śpiewem swoim znakomitym ściągają ludzi do kościoła.

Dobry przykład zachęca biskupa Łukasza Górke, który funduje we Włocławku kolegium psalterzystów, podobne do Rorautystów. Na ten czas przypada rozkwit muzyki polskiej najświetniejszy.

Największym z ówczesnych muzyków-twórców był, zdaje się, Mikołaj Gomółka.

O Gomółce mówi p. Poliński, autor dzieła o muzyce polskiej: „Owym muzykiem osobliwym, jedynym w swoim rodzaju, który w wszechświatowej literaturze muzycznej nie miał poprzedników, a następców znalazł dopiero w kompozytorach z końcem XVIII stulecia, był: Mikołaj Gomółka“. Dzieła Gomółki, wydane w naszych czasach, zadziwiły świat muzyczny, szczególnie niemiecki. Wszyscy ówcześni muzycy europejscy tworzyli pod wpływem szkoły niderlandzkiej. Gomółka był pierwszym muzykiem, który nawet twory o stylu czysto kościelnym tworzył w duchu nuty ludowej.

Data urodzenia Gomółki nie jest ustalona. W rachunkach królewskich pod datą 1546 r. zapisano: 3 i pół groszy dla chłopięcia Gomółki „na pierniki“. Pieniądże otrzymał od Zygmunta Augusta, ale za co, nie zapisano. W roku 1561 ustępuje z kapeli królewskiej. Na dworze bawił zatem lat 17. Ostatnie lata spędza w Jarłowcu, jako kapelmistrz orkiestry Hieronima Jarłowieckiego. Umarł w marcu 1609 r.

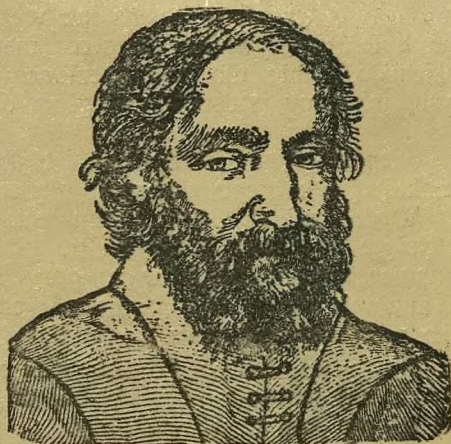
Gomółka utworzył muzykę do 150 Psalmów Jana Kochanowskiego (na cztery głosy).

W dedykacji tego dzieła biskupowi Myszkowskiemu Gomółka pisze: „Melodye są łaciuchno uczynione, prostakom ni zatrudnione, nie dla Włochów, dla Polaków, dla naszych prostych domaków“.

Gomółka zatem, na dwa wieki blisko przed Mickiewiczem, pragnął, aby pieśni jego „zbłądziły pod strzechy“.

Drugi z tych czasów kompozytor polski, Marcin Lwowiec (Leopolita), urodził się we Lwowie w 1540 r., umarł 1589 r. W roku 1560 zamianował go Zygmunt August kompozytorem nadwornym. Do niedawna nie były znane jego kompozycje zupełnie, ponieważ zaginęły.

Przypadkiem znalazł Al. Poliński u organisty wlejskiego dwie kompozycje Lwowczyka, a ksiądz Polkowski odnalazł w bibliotece wawelskiej dwie msze Leopolity.



Marcin Leopolita (Lwowczyk),
twórca muzyk polski z XVI wieku.

Oprócz tych dwóch kompozytorów znani jeszcze byli: Mikołaj Zieliński, Tomasz Szadek, Marcin Zwaczyk, Wacław z Szamotuł. Ten ostatni zwłaszcza był muzykiem bardzo wykształconym, ale jako luteranin, układał melodie do chorałów protestanckich.

Rozwój muzyki za czasów ostatnich Jagiellonów sięga aż do pierwszych lat Zygmunta Wazy. Od tego czasu muzyka polska do takiej potęgi rozwoju swojskiego nie doszła. Mieliśmy wprawdzie twórców słynnych, ale nie tworzyli oni dzieł swoich (z wyjątkiem Szopena i Moniuszki) na podstawie melodyi ludowych polskich, zatem nie stworzyli polskiej muzyki.

A przecież muzyka, jak i inne sztuki piękne, winna być wyrazem duszy narodu, oraz winna duszę narodu prowadzić i wznosić ją do wyżyn podniebnych.

Tak też pojmują zadanie swoje nasi współcześni muzycy. Porozumiewają się więc i łączą w tym celu, aby dążyć do stworzenia prawdziwie polskiej muzyki. Nie chodzi o to — mówią oni — aby tworzyć słynnych skrzypków lub pianistów, którzyby świat zadziwiali biegłością gry swojej, ale chodzi o to, aby stworzyć społeczność muzyczną, aby muzyka wnikała w duszę narodu, aby stała się własnością narodu. Nie wątpimy, że tak się stanie z czasem i tak jak mamy dziś samoistną poezję polską, samoistne polskie malarstwo i rzeźbę, tak też będziemy mieli samoistną polską muzykę.

Naród zaś cały winien popierać te dążenia muzyków polskich i jak we wszystkim innym, tak i w muzyce szukać i miłować przedewszystkiem rzeczy swojskie.



Lasy w Norwegii.

Wspaniałe bory, wieńczące szczyty i stoki gór skandynawskich, można porównać tylko z dziewiczymi puszciami Nowego Świata. I tu i tam jednakowy porządek grozy i wielkości, i tu i tam splecione pnienie, gałęzie i zarośla tworzą chaotyczną, nieprzebytą niemal gęstwinę. Stuletnie drzewa padają zmurszałe od starości, albo zduszone w pasożytnych uściskach roślin

pasożytnych, a na ich szczątkach buja nowa węgelnica, nowe krzewi się życie. Olbrzymi lasowysoko ponad młodą działawą poważnie wznoszą czoła, a sędziwe brzozy srebrzystą pokrytą korą odbijają od ciemnego tła boru jak złowrogie duchy, w śmiertelny całun spowite.

Jedna iskierka z fajki wędrowca, jeden węgiel z ogniska zapalonego przez pastuszków, na siedm mil może rozszerzyć zniszczenie. Nic pojęniejszego nad widok lasu nawiedzonego przez pożar. Zdaje się, że to jakieś cmentarzysko olbrzymów, na którym leżą nagie i czarne szkielety. Nieubagany żywioł nie zawsze w prostym rozszerza się kierunku; jakby przez kaprys zwraca się to na lewo, to na prawo, tu zbroczy, tam się przeczuci, w jednych miejscach wąską idzie smugą, w innych sroży się z przerażającą gwałtownością, wszędzie zaś znaczy swój ślad stoami węgli i popiołu, wszędzie roznosi śmierć i zniszczenie.

Niekiedy napotkać można drzewo, które zwycięsko zdołało się oprzeć potędze tego strasznego żywiołu. Daremnie płomień ścisnął je w zabójczych objęciach, daremnie ogniste języki we wszystkich kierunkach liżają jego korę: olbrzym lasu okazał się silniejszym od ognia i zmierzony żywioł musiał porzucić swoją ofiarę.

Widzi się nieraz drzewa z jednej strony osmałone, a z drugiej żyjące i świeżo pokryte zielenią. Wokół ziemia przysypana jest popiołem, węglami i szczątkami gałęzi; bogactwo one g.unt, pobudzają się jego żywotną i dlatego z łona tych ognisk wystygłych wyrastają młode i bujne drzewa, które niezadługo zatną wszelki ślad zniszczenia.

W borach Norwegii spotyka się głównie sosnę i jodłę; w okolicy, w których rosną wyłącznie sosny, zwane tam gran; w innych widzi się tylko jodłę, furu. Drzewa te mają jakiś wstręt ku sobie, nigdy też prawie nie spotka się ich razem; choć w jednym rosną lesie, żyją jednak oddzielnie. Nic wspólnego ale i smutniejszego zarazem, jak bór sosnowy lub jodłowy. Zdaje się, jakby natura znudzona bogactwem i różnorodnością kształtów i barw, jakie nadaje swoim tworom, zapragnęła odpoczynku i wszystkie te drzewa urobiła na jednakową modłę. W lesie znajdziesz sto tysięcy jodeł lub sosen, które niezem nie różnią się od siebie. Zawsze ten sam pień, prosty, gładki i wysmukły, ten sam układ gałęzi, te same trendzie ostrych, zielonych igieł.

Kto nie widział lasów szpilkowych północy, nie ma wyobrażenia o głuchej ciszy, jaka tam panuje. Nie jej nie przerywa, ani szum liści, ani brzęk owadów, ani ptaków świergotanie; wiatr nawet nie dochodzi do głębi boru i conajwyżej zakotłusze niekiedy wierzchołkami leśnych olbrzymów. Drzewa stoją milczące, uroczyste, nieruchome, jakby zaklęte. Niekiedy wśród zeschłych igieł nagromadzonych na ziemi, przemknie cicho wytrwała pracownica, mrówka, dążąc do ogromnych mrowisk, wznoszących się na polankach. Dochodzą one niekiedy do dwóch lokci wysokości a czterech średnicy, dając wymowne świadectwo zdaniu, że jedność stanowi siłę.

Wśród monotonnej gęstwy leśnej sznurze czasem strumień obrzeżony zielenią. Sosny i jodły stronią od niego, a na ich miejsce ukazują się drzewa liściaste: olsze, wierzby i brzozy. Podróżny z utęsknieniem wygląda czystej wód krynicy, żeby w niej napić konie; jest to zresztą jedyne normalne miejsce drogi przez lasy, które można mil pięćdziesiąt przejechać i nie spotkać ani jednego domu.

Zima zmienia zupełnie wygląd Norwegii. Całe nieraz tygodnie śnieg tam pada, a raz się zypie się gr-

stym tumanem, który oddech tamuje w piersi. Zdaje się, że cię otacza obłok białego, zimnego puchu. Pod stopami masz śnieg, nad głową śnieg, wokoło śnieg, wszędzie tylko śnieg.

Biada temu, kto zmuszony jest jechać podczas takiej zadyмки śnieżnej. Nigdzie śladu drogi, drzewa nawet zasłania śnieg kłębiący się bez przerwy. Konie postępują z trudnością, co chwila zapadając w zasy. Człowiek oślepiony tą dziwną białością, przerażony głuchą, złowrogą ciszą, jaka wokoło niego panuje, skostniały od przejmującego zimna, czuje, że serce w nim zamiera, krew stygnie w żyłach. A tymczasem miliony białych płatków syją się z nieba, wirują, gromadzą we wzgórki i zasy, podobne do śmiertelnego całunu, który gotów jest w lodowe utulić cię objęcia. Daremnie nasłuchujesz jakiego głosu lub szelestu... nic, cisza wokoło, chyba kruk czasem załopocze czarnymi skrzydłami i dziwnie złowrogo zakracze.

Góry, lasy i równiny pokrywa gruba śniegu powłoka, wszystkie wąwozy i dołiny są zasypane, trudno odnaleźć ślad drogi. Słońce zdołało na koniec przebić ciemną chmur oponę i promiennym blaskiem cały rozświetla krajobraz. Śnieg iskrzy się milionami pereł i dyamentów, w biel niepokalaną stroi sosen wierzchołki; z każdej igły zwieszają się sople lodowe, podobne do kryształów, w których tysiącem różnobarwnych ogni łamią się promienie słoneczne.



Niesłuszne podejrzenie trucizną moralną.

Biada temu, na kim zacięży plama podejrzenia. Choć prawo obmyje go z winy, sąd uzna niesłuszność poszlaki i podejrzenia, ścigać go będzie jak przekleństwo i prześladować sąd ludzki, t. j. opinia, dopóki nie rzuci w objęcia rozpacz lub występku.

Odwracamy się od upadku, nie myśląc, że sami staliśmy się jego przyczyną, że kruszyna łitości lub pobłażania z naszej strony ocalałaby nieszczęśliwego człowieka.

Przed kilkunastu laty padło w Hawrze podejrzenie na ucznia aptekarskiego, nazwiskiem Pastre, o otrucie arsenikiem kilkunastu osób. Podejrzenie okazało się bezzasadnem, sąd wykazał Pastrea niewinność, uwolnił go od wszelkiej odpowiedzialności. Lecz cóż z tego? ofiara podejrzenia nie mogła odtąd nigdzie się przytulić, nigdzie znaleźć chleba. Nawet zmiana nazwiska nic nie pomogła: poznanego odpychano wszędzie ze wstrętem.

W Paryżu jakiś poczciwy aptekarz ulitował się jego nędzy i przyjął go do siebie.

— Gdzie pan byłś poprzednio? — spytał pryncypał.

— U pana Finot w Asnières.

— To musiałeś znać głósnego Pastre, truciciela z Hawru. Jak to tam było?

Biedny chłopiec jest na torturach, nie wie co mówić i broni niewinnego. Eroni go z takim zapalem i przekonaniem, że aptekarz słucha coraz więcej zdumiony.

Ta gorąca obrona budzi w nim podejrzenie; taśda chłopca, który miesza się, płacze, wreszcie wydaje kim jest. Drzwi mu pokazano, i tak wszędzie.

Podejrzenie niesłuszne oszpeciło go jak trąd, wzbu-dzający odrzę w każdym, do kogo się zbliżył. Wła-sne społeczeństwo wyrzekło się go jak wyrodka. Ła-two pojąć boleść rozrywającą to serce niewinne, u-czucia jakimi zapalało dla ludzi bezlitosnych, okrut-nych; myśli, jakie mu podszeptował głód, ów zły do-radca.

Obcy, odepchnięty od wszystkich, błakał się po mieście, z którego każdego sklepu wyglądał przepych i zbytek. W dali widać szczyt monumentalnej wieży żelaznej; tysiące powozów toczy się po gładkim zwi-rze; wygnaniec machinalnie idzie za porywającym go prądem i znajduje się za ogrodzeniem Wystawy świa-towej, jaka wówczas odbywała się w Paryżu.

Wobec przepychu, wobec tych bogactw wszystkich ludów świata, on jeden jest bez chleba, on jeden nie wie, gdzie głowę dziś w nocy położyć.

Głód, rozpacz, obłęd ogarniający myśli, szepcą mu jak szatani do ucha:

— Cóżeś zyskał, że byłeś uczciwy? Społeczeństwo potępiło cię jak zbrodniarza, cnotą go nie przekonasz, już nic nie stracisz, choć nazwą cię złodziejem.

I ręka nieszczęśliwego, z niezręcznością człowieka obcego rzemiosłu, zanurza się w fałdy sukni najbliż-szej mu osoby.

Głód podszeptał kradzież, głód oddał złodzieja w ręce agentów policyjnych.

Jakież to tej ofiary podejrzeń? jakie myśli nat-chną jej samotne ściany więzienia, w których odpoku-tuje pierwszy swój występki? lub stoczy się po po-chyłości jeszcze niżej i zejdzie na padół kryminali-stów, lub trafem szczęśliwym zawinie do portu, do którego nie dojdzie głos prześladowającej go niesłusznie opinii.

Ten wypadek nie jest wyjątkiem; ileż to razy słó-wko nieostrożne, plotka, cień podejrzenia gubią nie-winnie człowieka! Powiadają, że w ślinie ludzkiej jest trucizna, bo zazwyczaj ten, kogo opluje obmowa lub niesłuszne podejrzenie, umiera moralnie.



KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czcimy wspomnienie przeszłości naszej.

1-go grudnia 1815 r.: Car Aleksander I na nale-ganie brata swego W. Księcia Konstantego mianuje generała Zajączka namiestnikiem Królestwa Polskiego.

2-go grudnia 1413: w mieście Horodle sejm sta-nów polskich i litewskich potwierdza połączenie Li-twy z Polską.

2-go grudnia 1800 r.: legia naddunajska, utworzo-na przez generała Kniaziewiczza, odnosi zwycięstwo nad Austryakami pod Hohenlinden w Bawaryi.

3-go grudnia 1582 r.: po przyłączeniu Inflant do Polski, Stefan Batory ustanawia tamże biskupstwo.

4-go grudnia 1653 r.: potyczka z Tatarami pod Zwańcem.

4-go grudnia 1829 r.: umarł w Baden-Baden ks. Jan Paweł Woronicz, biskup krakowski, poeta.

5-go grudnia 1382 r.: zjazd elekcyjny (wyborczy) po śmierci króla Ludwika.

WPLYW CHARAKTERU.

Dobrobyt kraju nie zawisł od obfitości jego dochodów, ani od grubości murów fortecznych, ani też od piękności budynków, ale od liczby ukształconych obywateli, od ludzi z wychowaniem, wiedzą i charakterem. W tem leży główna siła i prawdziwa potęga kraju.

Charakter jest jedną z największych sił poruszających. W czynach okazuje nam najpiękniejszą stronę ludzkiej natury, bo okazuje człowieka w najpiękniejszej jego postaci. Chętnie oddajemy cześć mężom jakiegobądź powołania, jeżeli tylko są rzeczywiście dzielni, czystych obyczajów, ożywieni szlachetnymi zasadami i uczciwie idącymi naprzód. Naturalną jest rzeczą, mężom takim wierzyć, i ich naśladować. Wszystko dobre od nich pochodzi, i gdyby ich nie było, nie byłoby warto żyć na świecie.

Jakkolwiek geniusz zawsze cześć wzbudza, przecież charakter najwięcej się szanuje. Geniusz jest przede wszystkim wytworem czynności mózgowej, charakter zaś serca, a ostatecznie serce w życiu rozstrzyga. Ludzie genialni oddziałują na rozum, ludzie charakteru na sumienie społeczeństwa i gdy się pierwszych uwielbia, za drugich idzie się przykładem.

Wielcy ludzie stanowią zawsze wyjątek, gdy tymczasem każdy żyć może uczciwie, i spełniać zadanie swe ile możliwości najlepiej. Każdy może się starać, życiu swemu nadać najlepszy kierunek, bo może z darów swoich korzystać, strzegąc się złego ich użycia. Może nawet w najdrobniejszych sprawach być uczciwym, sprawiedliwym i wiernym, krótko mówiąc, może w zakresie, w którym go Opatrzność postawiła, spełniać swój obowiązek.

Spełnienie obowiązku stanowi najwyższy ideał życia i charakteru. Nie tkwi w tem żadne bohaterstwo ale i zwykłe przeznaczenie człowieka nie jest bohaterstwem. Przymioty nadzwyczajne i szczególne będąc nieprzystępnymi dla zwyczajnych śmiertelników stać się mogą zarazem źródłem pokus i niebezpieczeństw. Dr. Abbot, późniejszy arcybiskup Kanterburski, kreśląc rys charakteru swego zmarłego przyjaciela Tomasza Sackville, lorda skarbnika za czasów królowej Elżbiety i Jakóba I. nie zastanawiał się nad jego zasługami jako męża stanu, ani nad jego przymiotami jako pisarza, ale nad cnotami, które tenże spełniał jako człowiek w codziennych obowiązkach. „Jakież rzadkie posiadał przymioty!” — woła. — „Któż nad niego więcej kochał żonę? kto był czulszym dla dzieci, kto wierniejszym dla przyjaciół, pobłażliwszym dla wrogów? Kto sumiennie dotrzymywał słowa?” Rzeczywiście poznamy lepiej i osądzimy doskonalej charakter prawdziwy człowieka, nie z jego publicznych występów jako mówcy, pisarza, lub męża stanu, ale z pojęcia z otaczającymi i ze sposobu spełniania drobniejszych na pozór obowiązków codziennych.

Jeżeli obowiązek stanowi regułę postępowania, przy wszystkich niemal sprawach zwykłego życia, to dla mężów, których charakter wznosi po nad tłum, stałe się on podtrzymującą siłą. Mężowie

tacy mogą nie mieć złota, posiadłości, nauki i potęgi, a przecież mogą być silni sercem, bogaci duchem, uczciwi, wierni i gorliwi w pełnieniu obowiązku. Kto usiłuje sumiennie dokonać obowiązku, ten spełnia cel dla którego został stworzony, wykształcając w sobie zasady męskiego charakteru. Niemal jest takich, o których da się powiedzieć, że jedynym co posiadają jest ich charakter, a przecież stoją oni w życiu silniej od potężnych monarchów.

Umysłowe ukształcenie nie stoi w związku z czystością i doskonałością charakteru. Nowy Testament powołuje się ustawicznie na serce i na „ducha, z którego zostaliśmy poczęci”, a bardzo rzadko na rozum człowieka. „Garść zacnego życia tyle warta, co korcec uczoności”. Nie lekceważmy wiedzy, ale niechaj ona połączona będzie z dobrocią. Umysłowe bowiem uzdolnienie związane bywa często z najpodlejszym charakterem, z najnikczemniejszym pełzaniem przed wyższymi, i z pychą dla niższych. Ktoś może być wysoko ukształcony w literaturze, sztuce i naukach, a mimo to uczciwością, cnotą, prawdomównością i poczuciem obowiązku niedorównać najbiedniejszemu prostakowi.

Gdy ktoś w obecności Walter-Scotta, słynnego literata angielskiego, rozprawiał o wartości literackich talentów, tak jakby powinny być czczone wyżej nad wszystko inne, zauważył poeta: „Strzeż nas Boże! jakżeby świata żałować trzeba było, gdybyś pan miał rację. Czytałem w życiu mojem dużo książek i rozmawiałem wiele ze znakomitymi ludźmi, a jednak powiem, że słyszałem z ust mężczyzn i kobiet bez wychowania, biednych, nie odstępujących w nędzy i smutku od cichego bohaterstwa, tak szlachetne słowa, jakichbym nigdzie, chyba w Biblii, nie znalazł”.

W mniej koniecznym jeszcze związku ze wzniosłością charakteru, stoi bogactwo. Przeciwnie, staje się ono często, przyczyną poniżenia i zepsucia charakteru. Bogactwo i zepsucie, zbytek i występki, zostają ze sobą w zbyt ścisłym pokrewieństwie. Bogactwo w rękach ludzi słabych zasad, lub małego nad sobą panowania lub niepowstrzymywanych namiętności, staje się źródłem niezmiernego nieszczęścia dla nich samych, a często i dla innych. I na odwrót, stosunkowy niedostatek nawet, da się pogodzić z charakterem. Ktoś może nieposładać nic prócz swej pilności, uczciwości i umiarkowania, a przecież stać wysoko w szeregach ludzkości.

Charakter jest własnością, a ze wszystkich posiadłości, najszlachetniejszą. Daje on prawo do ogólnego współczucia i szacunku ludzi. Kto tyle pozyskał, choćby w doczesnych dobrach był najuboższym, znajdzie przecie w tej pocziwie zarobionej sławie i w tym szacunku ludzkim, swoją nagrodę. Bardzo sprawiedliwie rozstrzyga w życiu przede wszystkim wytrwała pilność, cnota i dobroć i dlatego rzeczywiście najlepsi ludzie, bywają zazwyczaj i najpierwsi.

„Nikt nie jest obowiązany być bogatym, albo wielkim, albo mądrym, ale każdy powinien być uczciwym”.

OPŁATKI.

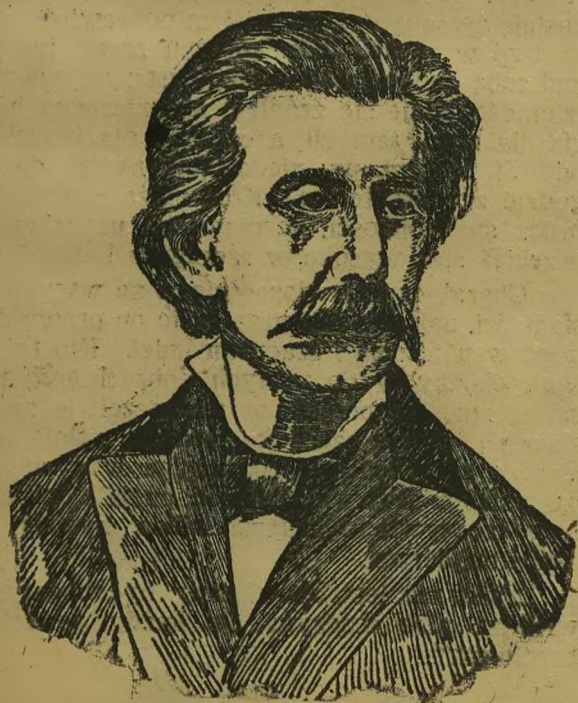
Do najuroczystszych świąt w ciągu każdego roku, należy Boże Narodzenie, które od wieków bez zmiany zachowuje się u nas. Wiele szczegółowych zwyczajów przywiązanych do tych świąt, zniknęło już po większych miastach, pod wpływem czasu i zmian obyczajów; tak i roznoszenie Opłatków, którymi lamia się Polacy w czasie Wigilii w dniu 24-go grudnia wedle starodawnej tradycji. Dawniej ten zwyczaj był powszechny.

Wcześniej po parafiach i po zakonach zajmowano się pieczeniem pomienionych opłatków, na których bywały wyciski Krzyża, z głoskami imienia Zbawiciela i baranka z chorągiewką jako godłem jego. Rozmaitego bywały kształtu, zawsze podłużne, ale różniły się do swej wielkości. W Warszawie największe z najozdobniejszych wyciskami były OO. Bernardynów.

Jeżeli po miastach wiele z cech pierwotnych straciły święta Bożego Narodzenia, dotrwały one więcej nieskażenie po dworach i wioskach polskich. Uroczystość ta jest właśnie w tej porze, co daje w życiu pracowitemu narodu rolniczego dłuższy czas spoczynku i odetchnienia po trudach ziemiańskich przy uprawie roli po żniwach.

Teraz, gdy każdy z gospodarzy już na polu nie ma co robić, bo święta ziemia pod kobiercem śniegowym, i przemarzła leży w śnie letargicznym, zamyka się w swoim dworze, czy w chacie i spożywa dary Boże, jakie zgromadził przez lato i jesień. Ogniska domowe zgromadzają rodziny w około siebie — i w te święta przypominają rocznicę wielką narodzin Zbawiciela świata.

Opłatki tak konieczne, organista rozwozi wcześniej po dworach i to stanowi dla niego nie mały dochód.



Maurycy Moszkowski.

Święta, muzyk polski z przedostatniej doby, urodzony roku 1854.

Z zakonów żeorzących, które się utrzymywały jedynie z jałmużny, sami zakonnicy rozwozili po dworach i wioskach opłatki, a zebrane dary przywozili do swych klasztorów.

Tego rodzaju opłatki, czyli chleb, na którym ofiara Mszy świętej się odprawia, a który lud kolendą nazywa, sięgają pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wtedy bowiem wierni zbierający się na Mszę świętą przynosili z sobą chleb do tej ofiary, z którego kapłan brał tyle tylko, ile do konsekracji potrzeba było; resztę zaś, lub jaką z niego część pobłogosławiwszy, rozdawał przytomnym w kościele, osobiście tym, którzy w czasie Mszy świętej do Komunii nieprzystępowali. Prócz tego, chleby te poświęcone, biskupi i kapłani wiernym do ich domów, jako duchowne podarki rozsyłali, na znak jedności braterskiej, miłości wzajemnej i duchownego ich połączenia. Przy tej rozсылce pisywali często do wiernych listy z wynurzeniem duchownych im życzeń.

Pojawienie się opłatka w domu jest dziś jeszcze w niektórych okolicach Polski dla pacholąt wiejskich zapowiedzią najradośniejszych chwil ich życia. Teraz zbierają się w gromadki i śpiewając kolendy, obchodzą chaty, to niosąc żywego wilczka, pochwyconego w lesie przez myśliwców, to biegają ze skórą starego wilka, lub w braku ich, jeden ze zręczniejszych przebiera się to za Żorawia z długim dziobem, to za Tura z długą brodą, przykrywany się kożuchem z odwróconą wełną. Tak obchodząc po wiosce i zajrzawszy do dworu, uzbierają sobie jadła i grosiwa zasób, z czego następnie sutą wyprawiają sobie ucztę.

W XVI wieku zaprowadzono w Polsce piękny i użyteczny zwyczaj, że plebani wiejscy odwiedzali pojedynczo wszystkie domy swoich parafian, poznawali się z nimi, spisywali ludność i badali, czy znają główne zasady religii chrześcijańskiej. Działwa odmawiała pacierz i odpowiadała na pytania z katechizmu, starsi otrzymywali naukę moralną, rodziny i starszyzna włoski błogosławieństwo kapłańskie.

Objazd całej parafii i obchodzenie domów zaczęło się przed świętami Bożego Narodzenia, a kończyło się z dniem Nowego Roku, który rozpoczynał Zapusty.

Stary ten zwyczaj, zwany kolendą plebanów, na Soborze Piotrkowskim w r. 1628 zatwierdzonym został, jako rozporządzenie obowiązujące wszystkich proboszczów.

Pleban, gdy miał przybyć do wsi z Kolendą, organista w przeddzień uwiadamył mieszkańców o tem, obchodząc wioskę całą ze dzwonkiem. Wszystko zrywało się na nogi i wcześniej przygotowywało do przyjęcia nazajutrz kapłana. Umiało czysto izby w chatach i podwórza przystrojano zieloną chojną, jodłą, albo świerkowemi gałęziami; wykadzano jałowcem i przed obrazami Świętych zapalano świece czy lampki.

W dniu oznaczonym pleban ubrany w szaty kościelne, dzwonkiem też ogłaszał swe przybycie do każdego domu i stanawszy przed drzwiami izby, zaczynał pleśń Kolendową z organistą i żakami, którzy mu towarzyszyli, kończył ją wchodząc do izby, po czem dawał krzyż do pocałowania, i stawiał go na przygotowanym stole, okrytym białem płótnem.

Po przemowie krótkiej i objaśnieniu ważności tak uroczystego święta, domownikom o katechizmie

pytał, a poczęstowany i obdarzony, czem chciała była bogata, do drugiego domu odchodził.

Dwory szlacheckie kolendujących plebanów okazałej przyjmowały. Cała rodzina, domownicy i czeladź, oczekiwali z upragnieniem swego proboszcza. Zaledwie odśpiewał swoją kolendę, wprowadzony do oświetlonej suto najobszerniejszej komnaty, wraz z organistą i gronem swoich żaków, już znajdował stół hojnie zastawiony, który oczekiwał na jego zażeganie.

Zwyczaj ten zanika już coraz więcej, głównie dlatego, że wobec większej liczby ludności, plebani przeciążeni są pracą duchowną w parafiach.

POKOJ TEMU DOMOWI!

„Pokój temu domowi!”
 Dziadek kościelny mówi,
 I, jak zwyczaj chce stary,
 Składa nam skromne dary,
 Ale droższe od złota,
 Bo chleb święty żywota,
 Chleb miłości i zgody,
 Na radosne te gody.
 O niechże się zespoli
 Kto żyw z słowami temi!
 Wszem ludziom dobrej woli
 Pokój, pokój na ziemi,
 A chwała Bogu w Niebie!
 I niech przy takim chlebie
 Cała się ludzkość zbierze
 Zawrzeć święte przymierze;
 Niech się złedna wróg z wrogiem;
 Niechaj człek człeka szczerze
 W uniesieniu serc błogiem,
 Rad do piersi przytuli;
 Niech ta gwiazda, co króli
 Prowadziła przed wieki
 W kraj nieznany, daleki,
 By z prostaczkami społem
 Pokarnie bili czołem
 Przed tem dzieciątkiem małym,
 W którym się Boże Słowo
 Przedwieczne stało Ciałem,
 Zapali się na nowo;
 Niech blasku jej potęga
 We wszystkie dusze sęga,
 Niech w nich słońcem słońce świeci
 I nigdy się nie zaćmi,
 By wreszcie Boże dzieci
 Poznali, że są braćmi,
 I by się ludzkość cała
 Jedną rodziną stała!
 A nim ten pożądaný
 Dzień świat wszystek odnowi,
 Ześlij, Panie nad Pany,
 Pokój temu domowi,
 Odzie dobrej woli ludzie
 Marzą dziś o tym cudzie!

Adam Piłs

Z podań Warszawy.

Złota kaczką.

Przy ulicy Tamką zwanej w Warszawie znajduje się okazały gmach, który przez długie lata należał do Zamojskich. Jak zwykle do starodawnych budowli, tak i do tego gmachu przywiązane jest podanie:

Oto w roku 1597-ym książę Janusz Ostrogski, kasztelan krakowski, rozpoczął na tem miejscu, gdzie dziś pałac Zamojskich, budowę zamku obronnego.

Przy kopaniu fundamentów pod ten zamek natrafiono, jak twierdzi podanie, w znacznej głębokości, na pieczarę bardzo rozległą, w pośrodku której znajdowało się spore jezioro z wodą czystą, jak kryształ. Robotnicy, zajęci kopaniem fundamentów i budową piwnic, oraz murów obronnych, twierdzili, iż w chwili, w której weszli do odkopanej pieczary, po powierzchni jeziora pływała kaczką, mającą pióra złote, lśniące od szmaragdów, rubinów, brylantów i pereł.

Z ukazaniem się robotników w pieczarze, rozległ się straszliwy huk i szum tak potężny, iż niektórzy z nich nagle ogłuchli. Równocześnie z tym hukiem, kaczką jęła przeciągle i żałośnie i tak silnie zatrzęsała skrzydłami, że aż sklepienie pieczary się zatrzęsało, a jezioro gwałtownie falować poczęło; sam zaś dziwny ten ptak zanurzył się pod powierzchnię jeziora.

Robotnicy księcia Janusza, niepokojeni różnemi straszidłami i nadnaturalnemi zjawiskami, odstąpili od budowy zamku, który, do połowy zaledwie wymurowany około 1602 r., przeszedł w posiadanie Glińskich, później ordynatów Zamojskich, a ci mury niewykończone przebudowali na bardzo ozdobny i imponujący pałac.

W rozległych i głębokich piwnicach tego pałacu znajdowała się mała sadzawka, istniejąca dotychczas, jako studzienka, dostarczająca wybornej wody.

Jak twierdzi podanie, „złota kaczką” dotąd jeszcze pojawia się niekiedy i pływa po powierzchni studzienki. A kaczką tą jest zaklęta królowna, od czasów nie



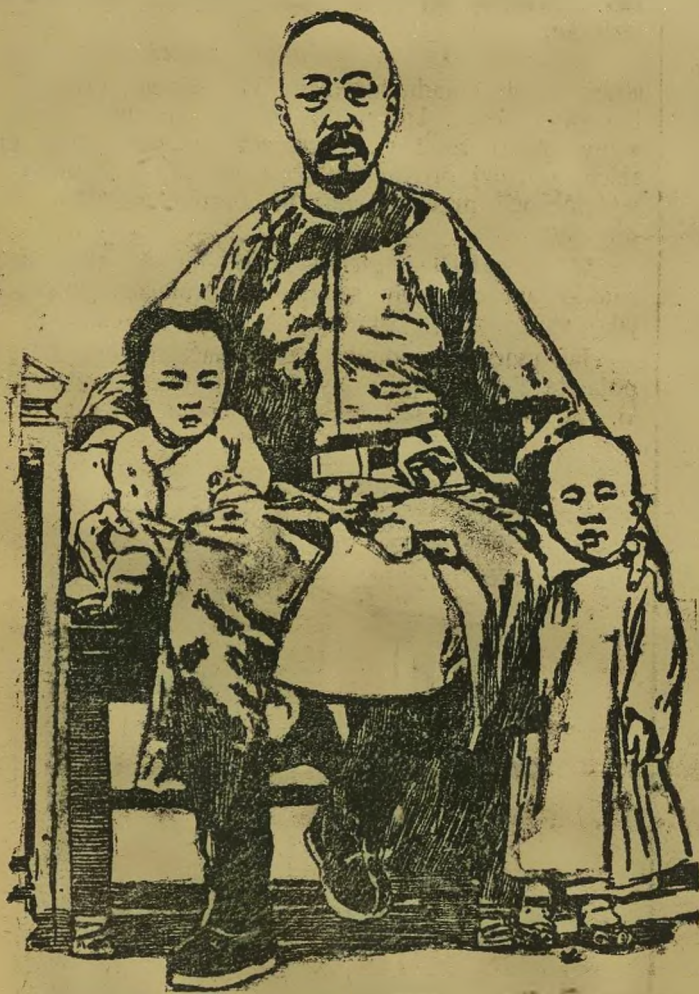
Pałac Zamojskich w Warszawie.

zamiennych wyglądająca nadaremnie swego wybawiciela. Oto co o niej opowiada nam stara baśń:

Przed wieków wiekami, gdy jeszcze Warszawy nie było, a tylko nieprzebyte bory zalegały kraj cały, i gdy ludzie, wśród tych borów żyjący, oddawali cześć Światowidowi, Dziedzili i innym bożkom pogańskim, w miejscu tem, w zamku, zbudowanym z kryształu, zamieszkiwał słynny na kraj cały czarodziej, który, rozmiłowywawszy się w córce króla, mieszkającego daleko nad brzegami wielkiego jeziora, porwał ją i tu osadził pod strażą ogniem ziejących smoków i innych poczwar, strzegących zarazem i jego nieprzebranych skarbów.

Porwana królowna oparła się woli czarodzieja i nie chciała zosić żoną jego, kochała bowiem urodzonego młodzieńca, który w jednej z bitew z Niemcami uratował od śmierci jej ojca, a najeźdźców pobił na jej i szyć.

Czaroksiężnik, rozgniewany uporem, otoczywszy nadobną kobietę nieprzebranymi skarbami, zaklął ją w postać kaczki, z której wtedy dopiero wyzwoloną będzie, gdy znajdzie się taki śmiałek, który przez trzy dni codziennie rano zachodząc do podziemi i biorąc po 100 dukatów w złocie z miejsca przez kaczkę wskazanego, otrzymane pieniądze tegoż dnia jeszcze roztrwoni na hulankę, nie obróciwszy ani grosza na jakiegokolwiek inny cel, a nadto, zakochawszy się w niej,



Księżę Tszun z synami,

obecny władca chiński w zastępstwie swego młodszego syna, małego Puyl, którego zmarła cesarzowa mianowała przed swą śmiercią cesarzem Chin.

złapie i poślubi ją. Z zaklęciem królowny runął i zamek czarnoksiężnika, zapadając się w głąb ziemi, a na powierzchni porósł zaraz bór tak wielki i tak gęsty, że nawet żaden zwierz dziki przezeń przedrzeć się nie mógł.

W naszych już czasach, jak niesie inne znów opowiadanie, pewien żołnierz, nieustraszenie odważny, lecz wielki hulaka i nicpoń, dowiedziawszy się o podaniu, przywiązaniem do palacu ordynatów Zamoy-skich na Tamce, postanowił spróbować szczęścia i dopełnić warunków, na których zasadzie królowna mogłaby być oswobodzoną z krępujących ją więzów.

Jakoż udał się dnia pewnego ze świtem do podziemi pałacowych, gdzie po przewyciężeniu najrozmaitszych przeszkód, oraz po zwalczeniu broniących mu przystępu potwornych ropuch, węzów i tym podobnych straszylek, dotarł nakoniec do jeziora.

Zaklęta królowna, ujrawszy przybysza, czarownicą pięknym głosem wskazała mu, gdzie jest złożonych sto dukatów, przeznaczonych na hulankę.

Odważny wojak, idąc za wskazówką, zbliżył się do jednej ze ścian podziemia i z dziewiątego rzędu cegieł, licząc od dołu, wysunął dziewiątą cegłę, poza którą w otworze znalazł 100 dukatów. Zabrawszy je i przyrzekłszy kaczce, iż nazajutrz powróci, opuścił podziemie, nie zwracając uwagi na straszylek i ogień ziejące potwory, które go ściagały. Dnia tego wojak tak hulał i tak marnował znalezione w podziemiu pieniądze, że już przed zachodem słońca z dukatów tych nie miał ani grosiczka.

Nazajutrz powtórzyło się toż samo, z tą tylko różnicą, że resztę z drugiej setki dukatów dopiero późno wieczorem roztrwonić zdołał. Dnia trzeciego nakoniec, po całodziennej hulance i roztrwonieniu trzeciej setki dukatów, wracając około północy do domu, spotkał bardzo ubogiego starca, który, upadając z nędzy i głodu, błagał rozpaczliwie przechodniów choćby o grosz jeden, aby mógł kupić sobie kawałek chleba.

Wojak, na widok tak straszliwej nędzy, zdjęty litością, sięgnął mimowolnie do kieszeni, gdzie znalazł przypadkowo grosz jeden, pochodzący z roztrwonionej trzeciej setki dukatów, i dał go ubogiemu. W tej chwili, wśród huku piorunów i błyskawic, zapadł się starzec w ziemię, napieniając powietrze dzikim szderczym śmiechem.

Wtedy dopiero wojak nasz spostrzegł, iż złamał warunek, umozębniający wyzwolenie zaklętej królowny, a chociaż nazajutrz podążył do podziemi, to jednak drogi do jeziora i do pływającej po niem kaczki nie mógł więcej odszukać.

A kto do ręki weźmie te piosenki —
To właśnie jakby perły brał do ręki.
A kto zaśpiewa, to mu się powróci:
I ona brzoza, co się z wiatrem kłóci,
I ona łąka, która pachnie miętą
I on kościółek, kędy chadzał w święto;
I ona karczma, gdzie hasał w dziewczyną,
I one chmury, co po niebie płyną.
I ona miłość, co się k'niemu śmiała,
I ta wesołość, co się gdzieś podziela.
I ona ufność, co tak człeka grzeje,
Żeby i życie oddał za nadzieję...

(T. Lenart. „Przygrywka”.)

WPŁYW CHARAKTERU.

Talent i geniusz zdarzają się w świecie dosyć często, lecz czy można ufać talentowi, geniuszowi? Tylko wtedy, gdy ich podstawą jest prawda i szczerść. Ta właściwość zyskuje sobie więcej czci i szacunku, aniżeli każda inna, i zjednywa zaufanie osób trzecich. Szczerść jest podstawą osobistej doskonałości, wychodzi na jaw w postępowaniu samą przez się. Zwie się ona zacnością i prawdą w czynach, a prześwieca w każdym dziele i w każdym uczynku; zwie się pewnością, bo przekonywa innych, że mogą zaufać. Ten będzie miał zawsze znaczenie w świecie, o którym się wie, iż na niego liczyć można, że jeżeli oświadcza, iż zna się na czemś, to zna się z pewnością i że jeżeli coś przyrzeka, przyrzeczenie spełnić pewnie może i spełni. Tak więc pewność ta, jest rewersem wystawionym na ogólny szacunek i zaufanie ludzkie.

W różnych okolicznościach życia i w interesach, rozum nie tyle znaczy, ile charakter, mózg nie tyle ile serce, geniusz nie tyle co panowanie nad sobą, cierpliwość i powściągliwość, wypływająca z władzy ducha. Dlatego najlepszym uzbrojeniem dla celów obywatelskiego i publicznego żywota jest pewna doza zdrowego rozsądku, która ocieplona dobrocią serca, zaostrzona doświadczeniem, urabia się w praktyczną mądrość. Rzeczywiście dobroć serca zamyka w sobie w pewnej mierze mądrość, najwyższą mądrość, czyli połączenie światłości z duchowością. „Związek mądrości z dobrocią bywa rozmaity — powiada uczony angielski Henryk Taylor — a że obie idą w parze, da się wywnioskować nietylko z tego, iż mądrość czyni ludzi dobrymi, ale i z tego, że się stają mądrymi przez dobroć“.

Ponieważ charakter jest w życiu ową kierująca potęgą, stąd widzimy, że niektórzy ludzie wywierają wpływ, będący na pozór w przeciwieństwie z ich umysłem. Zdaje się, jak gdyby działali z pomocą jakiejś ukrytej siły, utajonej władzy. O jednym znakomitym człowieku ostatniego stulecia mówiono: „Cnoty jego były jego środkami“. Tajemnica zaś polega na tem, że wszyscy uznają dążenia takich mężów jako czyste i szlachetne, i dlatego ich władzy się podają. Jakkolwiek dobra sława ludzi szlachetnego charakteru zwolna tylko powstaje, przecież prawdziwe ich przymioty niedługo pozostają w ukryciu. Niekórzy mogą ich nierozumieć, niektórzy oczerniać, nieszczęście i nienawiść może ich jakiś czas przygnębiać, lecz ostatecznie przez cierpliwość i wytrwałość zdobędą sobie szacunek i zaufanie, na jakie istotnie zasługują.

Charakter urabia się skutkiem wielkiej liczby drobnych okoliczności, zostających mniej lub więcej pod kierunkiem i panowaniem człowieka. Nie ma takiego dnia, w którymby on nie ćwiczył się na złe lub dobre; nie ma takiego czynu, choćby był najzwyczajniejszy, któryby nie pociągał za sobą całego szeregu następstw, tak jak nie ma włosa, najmniejszego choćby, któryby nie rzucał swego cienia. Mądrze ktoś powiedział, że nie trzeba ustępować małemu, bo inaczey to małe, które może się ma za nic, opanuje wkrótce całym człowiekiem.

Każdy czyn, każda myśl, każde uczucie przyczynia się do wyrobienia usposobienia, przyzwy-

czajeń irozum, wywierając na wszelkie czyny naszego przyszłego życia wpływ nieunikniony. W ten sposób zmienia się charakter ustawicznie, staje się lepszym lub gorszym, zyskuje lub traci na swej wielkości. „Każdy błąd, każda głupota mego życia — powiada Ruskin — powstaje przeciw mnie, ażeby mnie ograniczyć w moim poglądzie, w moim rozsądku; gdy tymczasem każde dobre moje usiłowanie i każdy promyk zacnego lub dobrego uczynku wspiera mnie i wspomaga sąd mój o rzeczach“.

Prawo natury, że działanie i przeciwdziałanie równają się, stosuje się i w dziedzinie moralnej. Sprawcy dobrych czynów, czują ich działanie i przeciwdziałanie, tak samo i sprawcy złych. Co więcej jeszcze, wpływ przykładu oddziaływa w ten sam sposób na trzecich. Co prawda, człowiek jest więcej twórcą okoliczności, aniżeli istotą od nich zależną i jeżeli się posługuje swoją wolną wolą, to może czynami swemi tak pokierować, że raczej dobre niż złe wytworzą. „Przez nikogo nie mogę ucieść, tylko przez siebie samego“ — powiada święty Bernard — „zgryzotę jaką uczuвам noszę ze sobą i jeżeli cierpię rzeczywiście, to tylko przez własną winę“.

Charakter nie urabia się bez trudu. Do tego potrzeba nieustannego baczenia i panowania nad sobą. Zdarza się niejedno zawahanie, potknięcie i upadek, niejednokrotnie trudności i pokusy muszą być zwalczane i zwyciężane, lecz jeżeli duch jest mocny i serce, to nie trzeba nigdy wątpić o zwycięstwie. Samo już nateżenie i usiłowanie postępowania naprzód i zajęcia wyższego stanowiska, dodaje odwagi i siły. Choćbyśmy eel nie zupełnie osiągnęli, już bezwarunkowo poprawiamy się samem usiłowaniem, skierowaniem w górę. Ze wzrokiem utkwionym w świetlany punkt wielkich przykładów, jakie dali ludzkości najszlachetniejsi jej przedstawiciele, powinien każdy dążyć do zdobycia najwyższego stopnia charakteru; powinien starać się być najbogatszym nie w zasobach, ale duchem, najwyższym nie na światowym stanowisku, ale w rzetelnej zacności, najcnotliwszym, a nie najmądrszym, najprawdziwszym, najszczerzym i najuczciwszym, a nie najpotężniejszym i największe wpływy mającym.



KARTKA Z DAWNYCH CZASÓW.

W pierwszej połowie XVII wieku niejaki starszyszek Skowroński, wdowiec, przybył do Kamieńca Podolskiego z dwoma synami, a posiadłość ziemską spieniężywszy, zakupił grunt naprzeciw kościoła OO. Dominikanów. Grunt miejski naówczas sposobu do życia nie dawał, więc na zapas był tam i kapitałik na procencie. Zresztą staremu nie wiele było potrzeba, a tem bardziej, że odrazu osamotniał, bo jednego syna oddał na zakonnik Dominikanom, do których miał jakieś rodowe, tradycyjne, a szczególnie nabożeństwo, drugiego zaciągnął do milicyi, załogą w twierdzy stojącej. Sam zaś wybudował domek, założył ogród, sadził warzywo dla ulubionych Dominikanów, areybratczykował w Różańcu świętym i wszystko dobrze było „ad majorem Dei gloriam“ (na większą chwałę Boga).

Lecz nie długo zażywał tego wytchnienia na starość, — albowiem Imć pan Kacper (tak mu było na imię), miał zawsze głowę na karku nie do pozłoty i rękę sposobną nie do samego tylko różańca, a jakoś w jednej nic nie zecerstwiało, a druga mu nie zesztyniała przez starość; więc gdy zasłyszal o jakiej potrzebie, zawiesił kokosowy różaniec o dużych paciorkach na ołtarzu Matki Boskiej, i przypasawszy szabelkę, poszedł, wybił się, a potem znów powracał cichutko do ławy bratczyków i swojej kapusty.

I znów radby cicho siedział, ale miasto domacało się w nim głowy i dalej go na ławę radziecką wysadziło; a choć radby wypocząć, ale od powinności uchylić się nie umiał. Tak mu przemijała rzeczwa starość pomiędzy różańcem, radzieństwem, a wojaczką, skoro się nadarzała, kiedy nadszedł rok smutnej pamięci 1672.

Bolesna to karta dziejowa, kiedy i mężni utracili ducha, a księżyc bisurmański nad świętym znakiem zbawienia zapanował. Pomiedzy nieliczną garstką walecznych, broniących do upadłego murów miasta, białały: siwa głowa starego rajcy, obok szaty dominikańskiej syna; a czyliż trzeba powiadać, że drugi syn, jako żołnierz zaciężny, stał męnie na swoim stanowisku.

Zwycięzeni pomiedzy garstką walecznych, rajca z synem żołnierzem, krwią i znojem okryci, unosili z pobożnością martwe ciało młodego Dominikana, aby je przed splugawieniem bisurmanów zachować. A był to ów dzień, kiedy Mahomet IV odbywał wjazd na koniu do katedry kamienieckiej, a mieszkańcy miasta uchodzili przed rozjuszoną tłuszcą zwycięzców, lub kładli niewinne głowy pod miecz barbarzyński. (Zdobycie Kamieńca Podolskiego roku 1672 przez Turków opisał Sienkiewicz w powieści „Pan Wołodyjowski“.)

Pod Wiedniem w chorągwi przybocznej króla Jana III, znani byli dwaj nieodłączni towarzysze. Jednym z nich był starsuszek, siwy jak gołąb, a nieco dziwacznie ubrany, bo przy szyszaku i misurce

wdziwał biały szkaplerz dominikański, krwią zbroczony. Drżąc od starości, ale wprawna i jeszcze pewną ręką rąbał bez miłosierdzia rzucał się jak lew w najgęstsze zastępy; a młody i strojny rycerz o czarnym wasie, na krok go nie odstępował; zapal był w nich niepohamowany, i na widoczną zdawali się biec z gubę....

Kiedy działa i dzwony na długie wieki ogłaszały światu sławę dzielnego pogromcy bisurmanów Jana III, na zwyciężkiem pobojo wisku leżał okryty ranami ów stary rycerz o dominikańskim szkaplerzu, młody zaś nieodstępny jego towarzysz, skrapiał mu ręce łzami i rany opatrywał.

Naraz stary podniósł się na siedzeniu, półmartwą ręką znak na czole towarzysza położył i gasnącym ozwał się głosem:

— Synu! niech cię Bóg błogosławi, boś wienie stał w życiu przy każdym obowiązku. Jedno jeszcze polecam: abyś szkaplerz ten twojego zmarłego brata, a jego i moją krwią zbroczony, razem z tym kokosowym różańcem zawiesił na ołtarzu Matki Boskiej w kościele OO. Dominikanów kamienieckich.

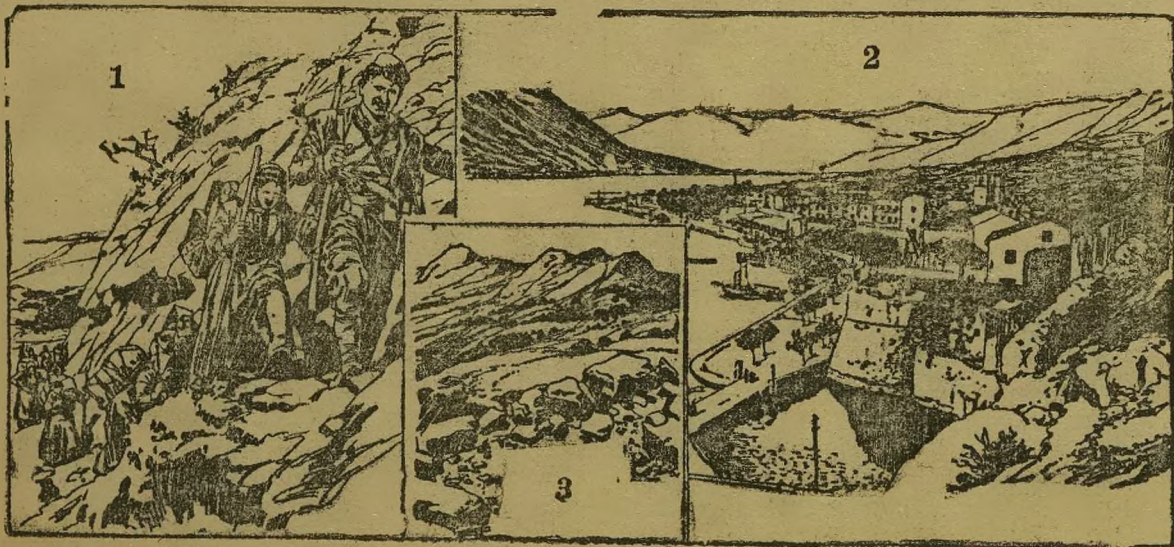
— Ojcie — odparł ze łzami syn, całując stygnącą rękę — przecie wiesz, że ta nasza świątynia jest dziś meczetem bisurmanów...

— Bóg miłosierny!... — rozpoczęły usta stygnące, lecz resztę myśli śmierć przecięła.

I młody Kacper płakał nad zwłokami swojego ojca, starego niegdy rajcy kamienieckiego.

Jak przed ćwierć przeszło wiekiem 400 wozów wyruszyło z Kamieńca, unosząc przed bisurmańską zjadłością życie i dobytki jego mieszkańców, tak teraz na powitanie wyswobodzonego miejsca, w roku 1699*), tłumy pospieszały. Każdy rad był powitać gród odzyskany, a swój kawał ziemi na nowo posiąść. Radość całego kraju była nie do wypowiedzenia.

*) W Karłowicach nad Dunajem zawarto pokój, mocą którego Turcy oddali Polsce wszystkie dawniej zabrane posiadłości wraz z Kamieńcem. Odtąd już Polska z Turcją nie toczyła wojen.



Obrazki z Bałkanu.

Obrazek pierwszy przedstawia kobiety czarnogórskie, niosące za przewodnikiem prowiant i amunicję wojownikom w góry; na drugim obrazku widzimy łańcuch gór pogranicznych a pod nimi miasto i fortecę Kattaro, gdzie już podobno padły pierwsze strzały wojenne; obrazek trzeci uwidocznił fortecę skalną, jakich kilkanaście posiada Czarnogóra.

dzenia, gdyż przy tem i jedna z przedniejszych na-
onczas twierdz na świecie, powracała.

Pomiędzy pielgrzymami do ziemi odzyskanej
mieścił się jakiś staruszek; na zwierzchniej szacie
miał szkaplerz dominikański, krwią zakrzepłą zbryz-
gany. Niewiasta już nie młoda, ale jeszcze rze-
żwa, z dwoma dorodnymi młodzieńcami za nim po-
stępowała. Nie pytano go co zaczął, bo jakoś smętnie,
a poważnie wyglądał, że nikt jego stroskanej dumy
przerywać nie śmiał. Towarzysze jego także ści-
śle zachowywali milczenie — śnać smutno im było
wszystkim.

Staruszek, nic nie mówiąc nikomu, kiedy już
minął bramy miasta, zaszedł wprost przed wieżę
dominikańskiego kościoła, skąd jeszcze przed nie-
dawnym czasem muezzin wzywał bisurmanów na
modlitwę. — ukląkł tam i razem ze swoim orszakiem
długo trwał na modlitwie.

Biedny to był lud, po tułactwie zwrócony na
rodzinną ziemię, a nie miał gdzie Boga prawego
pochwalić, bo księżyce miejsce krzyża zajęły. Po-
wróceniu kapłani na rynkach i w domach wznosili
ołtarze.

Starzec z gromadką zajął ruinę naprzeciw ko-
ścioła Dominikanów. A już nazajutrz na wieży, na
półksiężycu krzyż się wznosił i lud na modlitwę się
gromadził, i coś o cudzie szeptano. Drzwi jednak
główne od świątyni były szczelnie zamknięte, a coś
tam we dnie i po nocach stukało, tak iż po zmroku
nikt przejść tędy się nie ważył, wierząc w ostatki
czarów bisurmańskich. A do odnowienia i oczy-
szczenia od profanacji kościoła przystąpić nie śmia-
no, raz wskutek onych czarów, a powtóre, że za-
jęci odnowieniem katedry, pod gorliwym przewo-
dnictwem ówczesnego biskupa Denhoffa, czasu je-
szcze na to nie mieli. Pomimo to jednak Dominika-
nie już do dawnego klasztoru przybywać zaczęli.

Aż dnia 6 stycznia 1700 roku, w uroczystość
Trzech Króli, Kacpra, Melchiora i Baltazara, zdzi-
wiony lud pobożny pierwszy raz z radością usłyszał
dzwon głośniejszy, wzywający na modlitwę, któ-
ra się dotąd w cichości odbywała. Zdumiony i do
głębi przejęty niewymownem uczuciem, wszedł w
progi świątyni, którą biskup Denhoff na nowo kon-
sekwował. Trudno opisać, co to za płacz był i roz-
rzewnienie, kiedy ujrzeli piękne i wspaniałe ołtarze,
a na jednym z nich, czci Matki Boskiej poświęconym,
wisiał szkaplerz krwią zboczony, obok zaś czarny
kokosowy różaniec. A po zaborze tureckim pier-
wsza to była świątynia, do której Bóg własny po-
wrócił i śladu bisurmańskiego tam nie pozostało,
krom ambony, filigranową robotą z jednego kamie-
nia misternie rzeźbionej, z napisem w tureckim ję-
zyku: „La Allah, Allah, Resul Allah (Bóg, Bóg i Ma-
homet prorok Boga). Ten ciekawy zabytek pano-
wania tureckiego, ozdobiony krzyżem, dotąd się
przechowuje.

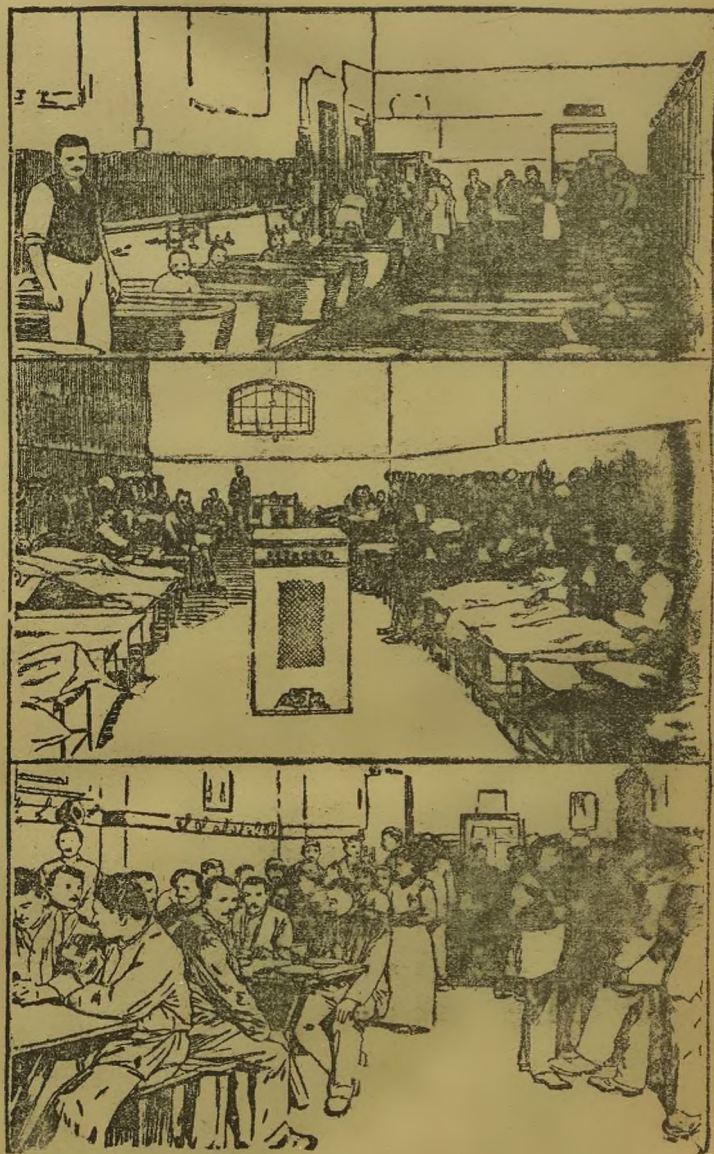
W kilka dni potem Kacper Skowroński, a syn
także Kacpra, w odnowionej przez siebie i swoich
świątyni, składał przysięgę na urząd burmistrza
miasta Kamieńca, a jeden z jego synów wdziawał
sukienkę kaznodziejskiego zakonu. Brat zaś jego,
któremu też Kacper było na imię, zaczął się do
załogi twierdzy. I tak to działo się z nimi przez
kilka jeszcze pokoleń.

Królowa Bona.

Właśnie 391 lat upłynęło, jak w dniu 6 grudnia
1517 roku odbył się w Neapolu ślub Bony z Zyg-
muntem I.

Żadna królowa polska nie została osławiona w
dziejach tak jak ona, o żadnej tyle złego nie napisano.
A jednak bezstronna historia przyznając wady,
nie powinna zamilczeć i o jej zasługach i zaletach.

Po śmierci Barbary Zapolskiej, Zygmunt I nagłony
od wierniejszych i świądejszych poddanych o odno-
wienie związków małżeńskich, za namową cesarza
Maksymiliana skłonił się do pojęcia na żonę prześli-
czną i mądrą Bonę, księżniczkę Barską; portret Bony
przywiózł królowi do Polski Włoch poseł od księżny
matki, który pojechał za nim do Wilna i tak umiał
sprawę przedstawić, iż Zygmunt dał się uwieść tylo-
ma wdziękami.



Przytułek dla ludzi bezdomnych w wielkiem
mieście.

Brak pracy i niedza ogólna sprawia, że tysiące,
tysiące ludzi pozostaje na zimę bez dachu i chleba.
Po wielkich miastach władze miejskie, wspierane przez
ludzi miłosiernych urządzają dla tych biedaków przy-
tułki. Obrazek nasz przedtawia urządzenie takiego
przytułku: górą kąpielnię, niżej sypialnię a dół je-
dalnię; także same urządzenia są osobno dla mężczyzn.

Skoro posłany na układy Konarski, archidyakon krakowski, dał znać królowi, że wszystko należycie sprawił, wyznaczono zaraz uroczystych posłów i świątynny orszak; na ich czele był kasztelan kaliski, Stanisław Ostroróg. Zajechał on po nią do Baru 15 listopada 1517 roku i poślubił imieniem królewskim w Neapolu 6 grudnia. Potem puscili się posłowie z Boną w podróż do Polski.

Wjazd do Krakowa odbył się dnia 15 kwietnia 1518 r., król na Bonę czekał za miastem pod namiotami, witał ją tam Prymas Łaski, w katedrze Piotr Tomicki, Podkomorzy koronny. Bona odprawiła wjazd na pysznym koniu, w towarzystwie posłów: cesarskich, papieskich, węgierskich i wołoskich, oraz książąt mazowieckich, kilku śląskich, i niezliczonego mnóstwa polskich panów. Namałoił królowę 19 kwietnia Prymas Łaski. W trzydziestu kuchniach gotowano pożywienie dla gości. Wszyscy potem składali jej kosztowne dary, a sama tyle szat przywioła, że dla kilku królowych wystarczyłyby mogły.

Narzekała popolicie na Bonę u nas, i weszło już w zwyczaj historyczny oczerniać pamięć tej królowej. Wiedzą wszyscy o jej wadach, mało kto o jej zaletach, a były one ogromne. Prawda, że lubiła panować, uciekała się do intryg, mieszała się do rządu i stąd podnosiła ludzi, którzy jej służyli. Była ambitną, skora do gniewu, w ostateczności nie przebiegała w środkach i lubiła pieniądze. Ale obok tego prawda, że nie otruła nikogo, chociaż ją o to posądzano, że mieszała się do rządu już wienczas, kiedy ten w ręku szczytowego króla osłabiał. Zaiste były to wady, a jakież miała zalety! Nie ulega wątpliwości, że należała do najrozumnějších kobiet w ówczesnej Polsce, bo pełno jeszcze śladów wszędzie jej charakteru i rozumu. Ogromne dobra i starostwa posiadała na oprawę w różnych stronach kraju i wszędzie był wzorowy rząd i ekonomia. Odkrywają się coraz to liczniejsze ślady rozumu Bony w rozporządzeniach i instrukcjach, które przepisywała swoim urzędnikom i w prawach, jakimi nadawała pojedyncze dobra.

Dał jej król obszerną władzę po ekonomach, bo teraz przywileje Bony wchodziły w obręb nawet po-

niekąd prawodawczej i wykonawczej władzy. Wolno jej było zakładać kościoły, miastom nadawać przywileje, z czego ona chętnie korzystała dla dobra kraju.

Na Mazowszu miała nawet sąd i władzę nad szlachtą, miała pewne dla siebie podatki i myta. Rządna i hojna, sama nabywała dóbr wiele i kupowała je od panów, mieniała się z nimi. Odbudowywała zamki, podnosiła swoje miasta, nadawała im swobody. W twierdzach trzymała urzędników, o ile należało, opatrywała w działa i broń, nie żałując nakładu. Stąd narzuciła się tak mocno w pamięci już nie tylko narodowi, ale i całemu gminowi polskiemu, że tysiączne o niej krążą legendy, podania i powiastki. Lud widział swoją królowę wszędzie i co zamek starożytny, był w jego oczach zamkiem Bony, co okopy, obozami Bony. Ani wytłómaczyć było ludowi, że się myli, z pokolenia do pokolenia przechodziło podanie i nazwisko królowej dotąd się tam utrzymuje. Są o Bonie przysłowia, świadczą o niej wszędzie ruiny, nawet tam, gdzie nigdy do niej nie należały. Ale podania są uparte. Kolonizacja kraju także niezmiernie wiele jest winna Bonie. Ile to ona pustych ziem i stepów osadziła pracowitą ludnością, ile łasów na mieszkanie dla ludzi wykarczowała!

KALENDARZ HISTORYCZNY.

6-go grudnia 1517 r.: Zaślubienie w Neapolu księżniczki Bony Sforza Zygmunto-
wemu I.

8-go grudnia 1507 r.: Wybór w Piotrkowie Zygmunta I na króla Polski.

9-go grudnia 1653 r.: Jan Kaźmierz gromi Tata-
rów pod Żwańcem.

10 grudnia 1850 r.: zmarł w Alepa w Syrii gene-
rał Bem.

11-go grudnia 1501 r.: Koronacja króla Aleksan-
dra.

12-go grudnia 1587 r.: Ogłoszenie królem polskim
księcia Maksymiliana, przeciwnikandydata Zygmunta Wazy.

ZDANIA I MYSLI.

Samolubstwo odwraca się od
wszystkiego i patrzy samo w siebie,
dla tego też tak biedne, tak litości-
godne. Każdy z nas o tyle uboższy,
o ile nienawidzi a o tyle bogatszy,
o ile kocha. *Józef Kremer.*

* * *

Ci co obojętni są na język
ojczysty, są jak poganie obojętni na
światło ewangeliczne; ci zaś co po-
gardzają i poniewierają nim, a na-
wet zatracają go w dzieciach swo-
ich, są jak okrutni prześladowcy
pierwszych wieków, co w zaślepie-
niu krew wyznawców prawdziwej
wiary przelewali, a stokroć bardziej
zaślepieni niż tamci, bo na sobie
i na własnym potomstwie dokony-
wują tego prześladowania.

Karol Libelt.



Ulica Przykopy w Pradze.

główna widownia bójek ulicznych pomiędzy czeskimi a niemieckimi
studentami.



Oto wam zwiastuję wesele wielkie, iż się wam narodził Zbawiciel
Chrystus Pan!
Idźcie, przywitajcie Go!



sterze! niechaj każdy co ma dla Dzieciątka bierze, bo to Dziecię w nędzy leży, bez posłania, bez odzieży, na ciężkim mrozie. Ja mu dam barana, jeszcze tego rana; dam Mu także gruszek i pięknych jabłuszek. Ty zaś, Grzėsiu, jagniątko, przyjmie chętnie Paniątko. Kuba masła osełeczkę, a Jan kukielczkę, Kachna koszuleczkę, Magda sukieneczkę. A ty, Wojtku, nabierz siana, pościesz w żłobie pod Pana, aby niebieską Dziecinę uspić można choć godzinę. Bo w barłogu, nie rzecz Bogu, leżeć przy progu.

Kuba da gołąbków parę. Ty Stachu weź fujarkę, zagrasz Panu w tę miarę:

„Lulu, lulu, pieszczoty,
Jezu, Zbawicielu złoty,
W tym żłobeczku
Jak w łóžeczku
Śpij kochaneczku“.

Tak uradzili, tak też i zrobili. Idą i śpiewają, Pana wychwalają:

„Niemasz-ci, niemasz nad tę gwiazdeczkę,
Co mnie prowadzi prosto w sżopeczkę,
Pójdę ja, pójdę, będę Mu służyć,
Nie dam Mu w stajni niewczasu użyć.
Zamiotę stajenkę, wyręcę Panienkę,
Ani snu oczom moim pozwolę,
Ciebie, Dzieciątko, kołysać wolę:
Weź mnie, mój Panie, i na krzyż z sobą,
Pójdę za Tobą.“

A wtem trzej mędracy, królowie ziemscy, kraj swój opuszczają w obcej ziemi. Do Betleemu przybywają, Pana pokłony witają niżuchnemy. Dary

Boże Narodzenie.

W KOŁĘDACH I PASTORAŁKACH OPOWIEDZIANE.

Była już północ, gdy się zjawiła nad bliską doliną jasna łuna. Anioł z nieba budzi naprzód prostych ludzi: „Pastuszkowie prędzej wstajcie, w szopie Pana przywitajcie, co się dla was trudi.“

Anioł leci — gwiazda świeci i w drodze przodkuje. Miejsce pokazuje, gdzie śliczna Panienska, jako jutrenka, zrodziła syna. Dobra nowina! W szopce ubogiej, lubo mróz srogi, w żłóbku złożyla, bożkiego Syna. Aniołowie się radują, Panu wdzięcznie wyśpiewują: „Chwała Mu na wysokość, a pokój ludziom dobrej woli!“

Kupią się ludzie i zewsząd gromadzą, co rychlej radzą: „Skoczmyż do Betleem co prędzej, pa-



mu oddają i z głów swych korony składają wszyscy
społem, — złote korony przed którymi trony gasną,
i przed Maryą, białą lilią jasną, biją czołem...

... My też pastuszkowie, nie tylko królowie,
na wozie jedziemy z kapelą, niech nas rozwesela
na mrozie.

Przybieżeli do Betleem pasterze, przygrywają
Dzieciąteczku na lirze. Podarunki swe składają, na
kolana upadają, witają Dzieciątko, małe pacholátko,
Dzieciątko miluchne, nader nadobniuchne, w pie-
luszki owinione, na sianku położone.

— Oj siano, siano, siano, jak lilija,
Na którym kładzie Jezusa Maryjã,

— Oj siano, siano, siano, kwiecie drogi,
Gdy się na ciebie kładzie Bóg ubogi.

— Szczęśliwa ląko! któraś temu sianu
Stać się kazała na podściółkę Panu,

— Szczęśliwa kosa, co to ścięła siano,
Bo Jezusowi za łożę je dano...

— Szczęśliwe ręce te zaprawdę były,
Co dla Jezusa to siano kosiły...

Sliczna Matula, dziecię utula, piersiami karmi,
szuka posłania. Józef staruszek, wzięwszy pielu-
szek, zewsząd od wiatru zasłania. Dziecię się luli,
matuchna tuli. Przestało przecie płakać po chwili.
Wół z osłem stają, parą chuchają, kłękając nisko,
pokłon czynili. Dziecina przyjmując, mruga oczka-
mi, wskazuje na dudki paluszkami. — Zagrać Panu
chętnie trzeba, On nam da zapłatę z nieba! Więc
Bartosz porwał basa, Stach już w dudy dmucha,
Wojtek stróli skrzypki i nadstawia ucha. Kuba gra
na rogu, a Maciek na progu usiadł sobie z lirą i tak
grają Bogu:

„Lulajże Jezuniu, moja perelko,

Lulaj, ulubione me pieścidelko,

Zamknijże znużone płaczem powieczki,

Utulże zemdlone płaczem wardzeczki,

Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj,

A ty go Matulu w płaczu utulaj!...”

Alic Jezus powstał z łoża i Swą rączką bło-
gosławi, rzekł: „Józef stary, niech bez miary, czego
braknie dostawi”.

Podnieś rękę Boże Dziecie

Pobłogosław strzechę miłą,

W dobrych radach, w dobrym bycie

Wspieraj jej siłę Swą siłą,

I dom, i małość całą,

I wszystkie wioski z miastami —

A Słowo Chłodem się stało

I mieszało między nami...

W on święty wieczór.

(Wyjętek z powieści).

Wież zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani, ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczery.

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiono w kącie od wschodu — snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczoru, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie korze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami sinymi i całkiem zatapiało się w burznościach.

Józka z Witkiem, dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

— Jest! Jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho, pielgrzym.

Juści że była, tuż nad wschodem jakby się rozkładały bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Rocho ukleknął na kniegu a za nim drugie.

— O gwiazda Trzech Króli, Betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej niby szprychy świętego koła, i skrzyły się po śniegach i świetlistymi drzazgami rozdierały ciemności, a za nią jako że służki wierne wychylały się z nieba inne, a liczne, nieprzeliczoną i nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą płachtą poprzębianą srebrnymi gwoździami.

— Czas wteczerać kiedy słowo ciałem się stało! — rzekł Rocho.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Uroczysta cisłość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnała i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojełli go ze czcią kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to plech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! — powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie w mące obtaczane i smarzone w oleju kumpnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami olejem również smażona, a na ostatek, podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszek z gryczanej maki, z mło-

dem zatarte i w makowym oleju upróżone, a przegryzali to wszystko prostym chlebem, bo placzka ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego.

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między nimi leżało to święte dzieciątko Jezus.

Ogromny a ciągle podsycany ogień wesoło trząsał na kominie i rozświetlał całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamrażnięte szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy, przed ogniem i poradzali z cicha a poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali z wolna...

Aż Rocho wyjął z zanadru książkę okreconą w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem:

„Jako, to stała się nam nowina, panna porodziła syna; aż w Judejskiej ziemi, w Betleem, nie bardzo podłem mieście, narodził się Pan w ubóstwie; na sianie, w stajni lichej, między bydłatkami, co w tej radosnej nocy cichej, były mu bratami. — A ta sama gwiazda co i dzisiaj świeci, spłonęła wówczas dla tej świętej dziecińcy — i drogę wskazywała Trzem królom, co chociaż pogany i czarne jako te sagany, a serca mieli czujące i z krajów dalekich, z za mórz nieprzejranych, z za gór srogich przybiegli z darami, by prawdzie dać świadectwo”.

Długo czytał opowieść ona, a głos mu się wzmagal i rozmadlal i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanię wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnem, w ciszy serc zasłuchanych, w drzeniu dusz ośnionych cudem i w najszerszym odczuciu łaski Pańskiej narodowi danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stalence ci to lichej urodzić się przyszło, tam w tych krajach dalekich, między obcemi, między żydy paskudne, między heretyki srogie! a w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto przenaświętsza, o dziecineczko słodka!.. Myśleli i serca były współczuciem a dusze się zrywały i niesły we świat jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nóżek dzieciątka przypadałi sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali mu się w te służki najwierniejsze aż po wiek wieków amen!

Aż Dominikowa się podniosła i wzięła ze stołu opłatek.

— Witek, zapal latarkę, do Krów pójdziemy. W tę noc narodzenia i każde bydlatko rozumie człowieczą mowę i przemówić jest zdolne, że to między nimi Pan się narodził, kto lno bezgrzeszny zagadaje — ludzkim głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziami i społecznie z nami czujące, więc i opłatkiem trza się z nimi podzielić.

Ruszył wszyscy do obory a Witek ze światłem przedem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały glamiąc powoli, ale na światło i głosy, leły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawania a odwracać ciętkie, ogromne łby.

— Tyś gospodynią Jaguś, to prawo twoje rozdzielić między wszystkie. Darzyć ci się będą lepiej i nie chorować; jeńo jutro rano doić nie można, aż wieczorem, straciłyby mleko.

Jagna połamała opłatek na pięć części i przychyłając się nad każdą krową czyniła krzyż święty

między rogami, a wtykała po kawałku w gembulę, na szerokie ostre ozory.

— A koniom to nie dacie? — zaganięła Józka.

— Nie było ich w onym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wrócili do izby a Roch mówił:

— Kuźde stworzenie, trawka kuźda, choćby i ta najmarniejsza, kamuszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana — wszystko dzisiaj czuje, wszystko wie — że Pan się narodził.

— Jezus kochany! Wszystko! to i ta ziemia, i te kamienie! — wykrzyknęła Józka.

— Prawdę rzekłem, tak ci to jest — wszystko ma swoją duszę. Co ino jest na świecie czującym jest i na swoją godzinę czeka, aż Jezus się zmiłuje i rzeknie:

— Wstań duszo, ożyj, zasługuj się nieba! Bo i robaczek najmniejszy i ta trawka chwiejna, wszy-

stko się po swojemu zasługuje i po swojemu chwali Pańskiej dostępuje. A w tę noc jedną na rok cały, wszystko się podnosi, przecyka, nasłuchuje a czeka tego słowa!

Dla jednych ono przychodzi, la drugich jeszcze nie kolej, to legną potem w mrok cierpliwie czekający świtu, kto kamieniem, wodą, ziemią, drzewem, kto jeszcze czem innem, jak tam któremu Pan naznaczył!...

Zamilkli, rozważając co powiedział.

Roch o jał opowiadać historye różne, przygodne na dzień dzisiejszy, a między drugimi i taką:

— „Dawno już temu będzie, bo tyle років, co ich jest od Narodzenia, chłop jeden, gospodarz bogaty, szedł był sobie z jarmarku, gdzie przedał parę tegich ciołków; talary miał dobrze schowane, w cholewie, kij niezgorszy w garści i krzepki też był, że może we wsi najmocniejszy, ale się spieszył, aby przed nocą do domu się dostać, bo podówczas zbóje kryły się w lasach i pocziwym ludziom drogę zastępowały.

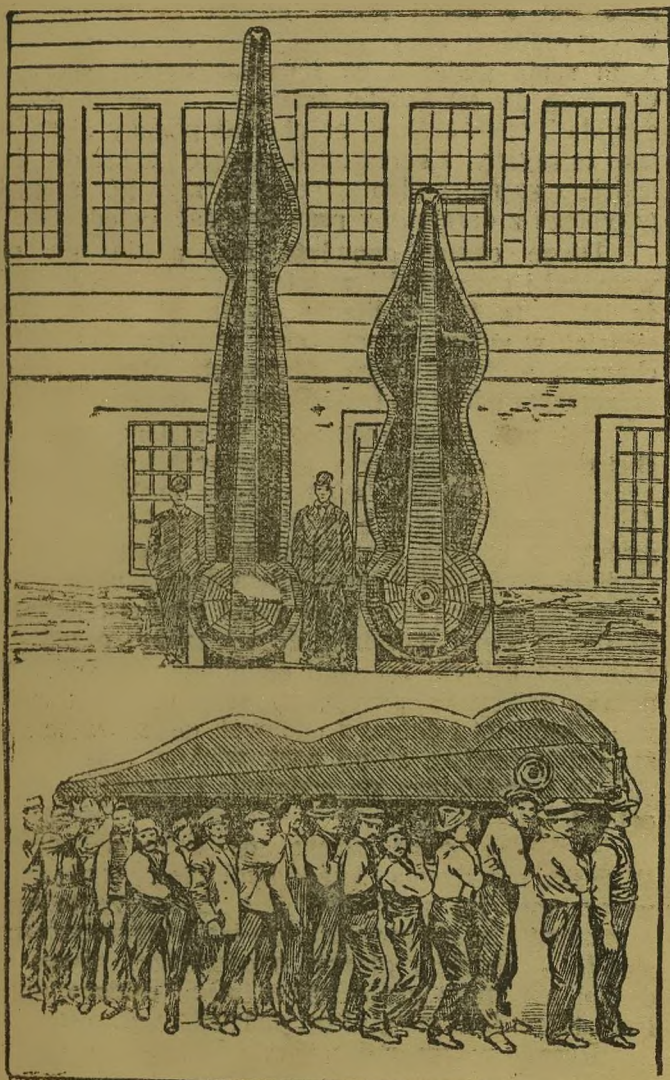
Latową porą musiało to być, bo bór był zielony, pachnący i żywymi głosami rozbrzmiały, a wiatry był duży, to drzewa się kołysały i szum srogi szedł górą. Pospieszał chłopina jał ino mógł, a rozglądał się strachliwie dookoła, ale nic nie dojrzał... chojary ino stały przy chojarach, dęby przy dębach, sosna przy sośnie, a nigdzie żywej duszy, tyle co te ptaszyska przeciągały między pniami. Strach go brał coraz bardziej, bo przechodził koło krzyża, przez taki gąszcz gdzie się i oczami nie przecisnął, a kędy właśnie najczęściej zbóje następowali, to się przeżegnał, pacierz w głos mówił i w dyrdy pobiegł...

Już się szczęśliwie wydostał z wysokiego lasu, już ino tą karłowatą sośniną a jałowcami się przebiegał, już nawet widział pola zielone, rozkołysane, już mu plusk szedł od rzeki, skowronki śpiewały, już ludzi zoczył przy pługach, a nawet bocki jak kluczem ciągnęły na bagniska, a nawet poczuł z wiatrem sady wiśniowe, co były kwitły.. gdy wter z tych krzów ostatnich wyskoczyli zbóje! Dwunastu ich było i wszyscy z nożami! Bronił się, ale wnet przemogli, a że pieniądze oddać po dobroci nie chciał, a krzyczał, to powalili go na plecy, przygnietli nogami, podnieśli noże i już, już mieli go żgnąć... a wtem skamienieli z nagle i zostali tak z podniesionymi nożami, zgarbieni, srodzy a nieruchający się — i wszystko się w ten mig zatrzymało w miejscu... rzeki stanęły.. słońce jakby zakrzepło... wiatr zmartwiał... drzewa ostały jak je był wicher przygiął... zboża także.. bociany zaś kieby wrosły w niebo z rozłożonymi skrzydłami... nawet ten chłop orzący, stał z podniesionym batem — świat się cały załakł w to oczymgnienie i skamieniał!

Jak to długo było, nie wiadomo — aż rozległ się nad ziemią anielski śpiew:

— „Bóg się rodzi, moc truchleje!“

Ruszyło się zaraz wszystko, ale zbóje ponlechali chłopą, widząc w tym cudzie przestrożę i razem już poszli za tymi głosami anielskimi do stajenki onej, pokłonić się Narodzonemu! wraz z nim co ino żyło na ziemi i w powietrzu“.



Największy zegar.

Gdzie? naturalnie w Ameryce, tam gdzie najwyższe domy, najszersze mosty, najszybsze koleje i — największe ciaractwa. Zegar, o którym mowa, umieszczony zostanie na pewnym gmachu fabrycznym w Nowym Jorku w pobliżu zatoki, a będzie tak wielki, że z okrętów i łodzi, stojących w zatoce będzie można widzieć, która godzina, zwłaszcza wieczorem gdy taroz zegara będzie oświetlona elektrycznie. Taroz owa będzie 12 metrów wysoka i tyleż szeroka, wskazówka minutowa jest 6 1/2 metra długa i waży 224 klg., wskazówka godzinowa zaś jest 4 1/2 metra długa a waży 165 klg. O wielkości wskazówek można mieć wyobrażenie z obrazka: górą widzimy ludzi, obok stojących, dołem zaś 16 ludzi dźwiga jedną ze wskazówek, bo tyleż ludzi potrzeba do jej przenoszenia.

Boże Narodzenie we Włoszech, Francji i Hiszpanii.

W Rzymie, w godzinę wieczornego Ave Maria, w chwili, w której u nas rozścielają siano na stołach, dzwony napełniające seciny dzwonnicy miasta wiecznego, hukiem i jękiem, wołają wiernych na modlitwy. Główna ceremonia odbywa się w kościele S-tae Mariae Majoris. Tłumy pobożnych cisną się do świątyni, jedni z nabożeństwa, drudzy dla posłuchania chórów, do składu których wchodzi papieżcy sopran, pobudzający do melancholicznych rozmyślań nad zgodnością słowa z czynem, zasad z wygodą i tym podobnymi rzeczami. Tłumy pstrzą się różnorodnością języków i wiar. Nie sami bowiem tylko katolicy schodzą się na mszę nocną. Spędzający zimę w Rzymie turyści angielscy, stanowią znaczną część publiczności, radzi okazy asystowania gratis widowisku, w swoim rodzaju szczególnemu. Anglicy, Amerykanie, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie cisną się wśród Rzymian, kręcą się, śmieją, czynią spostrzeżenia, prowadzą głośnie rozmowy. Nabożeństwa tam mało, za to pompy dużo. Właściwe święto, rozpoczyna się w Rzymie nazajutrz, pierwszego dnia Bożego Narodzenia. W dniu tym, łamią się, jak u nas opłatkiem, dwójakiego rodzaju ciastem, zwanem terone i pan giallo, składając sobie wzajemnie powinszowania i życzenia. Klasa niższa społeczeństwa, uwija się po zamożnych domach za kolendą; mieszkańcy oddają jedni drugim wizyty i odwiedzają tłumnie po kościołach jasełka, jakoteż Santissimo Bambino, obraz Dzieciątka Jezus, przechowywany w Ara-Coeli. Przed Santissimo Bambino tłumy klękają i żegnają się, kobiety na znak dewocji nakrywają sobie głowy fartuchami i chustkami, te zaś, którym na sercu życzenie jakieś leży, wywołują głośno:

— O Santissimo Bambino, spraw, ażeby woda w Tybrze opadła!... O Santissimo Bambino, ulecz syna mego!... O Santissimo Bambino, daj mi wygrać terno na loteryi!...

Dawniejszymi czasy był zwyczaj, że sam Ojciec Święty odprawiał mszę wieczorną w jednym z większych kościołów, po której u biskupa Albano jadł wieczerzę w towarzystwie całej kuryi rzymskiej.

We Francji, wigilia Bożego Narodzenia, przechodzi prawie niepostrzeżenie. Cała uroczystość zaczyna się i kończy w obrębie kościołów, oddziaływać na publiczność o tyle, o ile każde wielkie święto oddziaływać zwykło. Święta służą za pretekst do dawania prezentów i spożycia wykwiutnego obiadu. Zwyczaj ten jest następstwem wakacji zimowych, nadających mu rację bytu. Bez tego poszedłby w zapomnienie. Do podtrzymania zwyczaju tego, przyczyniają się niemało piernikarze i fabrykanci zabawek dziecinnych, wystawiający wyroby swoje w ogromnej ilości.

Odzie jednak, to w Hiszpanii uroczystość ta obchodzi się wspaniale. Jeżeli by wierzyć panu Leopoldowi Garcia Ramon, „święto to, proste i wspaniałe zarazem, zapomnianem zostało w całej Europie i w Hiszpanii tylko odszukać się daje tak uroczystem i malowniczem, jak za ojców naszych”. Tam także główną rolę wieczerza, a przy wieczerzy niezbędnymi są trzy dania: besugo, sopa de

almendra (zupa migdałowa) i owoce. Zupa migdałowa tak jest konieczną, że wieczorem 24 grudnia, we wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach Hiszpanii całej, rozlega się stuk młódczy, w których rozbijają się migdały. Najbogatszy i najuboższy nie może się uchylić od tego zwyczaju. Ogadano człowieka, co nie skosztował zupy migdałowej. W Hiszpanii znajdujemy jasełka, zwane tam nacimiento, reprodukujące wypadki narodzin Chrystusa, według legendy chrześcijańskiej, za pomocą figurek z terre cuite. Znajdujemy tam oraz i kolendy (villancicos)

Po wieczerzy następują baliki, które w każdej miejscowości organizują się w lokalach na ten cel przeznaczonych. Tańce i zabawy, przy odgłosie gitar, rambobas (bębenki) i kastanietów, ciągną się do północy; o północy wszyscy udają się do kościoła na nocne nabożeństwa, podczas których chórem śpiewają pieśni, sławiące Boże Narodzenie.

Pokazuje się przeto, że jasełka i pieśni, wspólnymi były niegdyś w całym chrześcijaństwie. Zwyczaj ten zagał, utrzymując się jeszcze w Hiszpanii i u nas.

WPŁYW CHARAKTERU NA NARÓD I SPOŁECZEŃSTWO.

Kiedy Waszyngton Jerzy zwiedzał Abbotsford, zaprowadził go W. Scott do wielu swoich przyjaciół i ulubieńców, których miał nietylko pomiędzy sąsiednimi gospodarzami, ale i między chłopkami rolnikami. Chce panu — rzekł — ukazać kilku naszych prostaczków, ale zacnych Szkotów. Charakter narodu nie poznaje się z eleganckich pań i panów, bo tych spotkać można wszędzie, i wszędzie są oni jednacy.

Podczas gdy mężowie stanu i filozofowie przedstawiają potęgę myśli społeczeństwa, ludzie rzemiosła i wynalazków, jakoteż zwyczajna masa pracowników, z której siła i duch narodu nabierają od czasu do czasu nowego pokarmu, stanowią siłę żywotną, ową prawdziwą miążgę społeczeństwa.

Tak jak pojedynczy ludzie, tak i narody muszą charakter swój zachować.

Te same atoli przymioty, odznaczające charakter pojedynczego człowieka, odznaczają też charakter narodów. Jeżeli narody nie są serdeczne, prawdziwie uczciwe, cnotliwe i odważne, pogardzać nimi będą inne, a świat za nic mieć je będzie. Lecz żeby narody miały charakter, muszą umieć panować nad sobą, żyć w karności i ładzie i spełniać obowiązki. Naród, który nie ma wyższego Boga nad rozkosz lub pieniądź, na smutnej się umieścił drodze

Instytucje, choćby były same przez się najlepsze, mało się jednak przyczyniają do utrzymania charakteru narodowego na wysokości. Tylko idee pojedynczych ludzi i duch w nich mieszkający, wytworzą moralne stanowisko i trwałość narodów. Rządy albowiem zazwyczaj, nie o wiele są lepsze od rządzonych. Odzie masy zachowały zdrowe sumienie, obyczaj i zwyczaje, tam naród będzie niezawodnie uczciwie rządzony; gdzie przeciwnie masy są zepsute, samolubne i bez serca, nie szanujące

ni prawdy, ani prawa, tam panowanie łotrów i oszustów nieuchronnem być musi.

Narody, tak jak pojedynczy ludzie, czerpią pomoc i krzepkość w przeświadczeniu, że należą do wielkiego pokolenia, że są dziedzicami chwały i że ją dalej rozkrzewiać muszą. Wielkiej jest wagi, gdy naród posiada przeszłość, na którą zapatrywać się może. „Nazwiska i wspomnienia wielkich ludzi — powiada któryś dobry pisarz — są... majątkiem narodu. Wygnania, klęski, odstępstwa, niewola nawet, nie mogą jemu zabrać tej świętej spuścizny. Jak tylko życie ludowe się odświeży, wnet zmarli bohaterowie nasuwają się pamięci i stają przed żyjącymi jako wznośli widzowie i sędziowie.

Wspomnieniami wielkich wypadków, szlachetnych cierpień i walecznych czynów ludzi dawnych czasów, podtrzymuje się życie teraźniejsze, rozwija i podnosi. Życie narodów, tak, jak i życie jednostek, to wielka skarbnica doświadczenia, która żyta mądrze, zdradza społeczński postęp i ulepszenia, źle zaś spożytkowana, prowadzi jedynie na bezdroża marzeń, błędów i zawodów.

Ażebym lud jaki zwał się wielkim, nie potrzebuje mieć rozległych posiadłości, jakkolwiek wielkość rozległość często biorą za jedno.

Lud Izraela małym był ludem, a jakież szerokie rozwijał życie, i jakież potężny wpływ wywierał na cały świat!

Grecya nie była rozległą, Ateny mniej ludne, niż

Nowy-York, a jakże wielkimi były w sztuce, literaturze, filozofii i w miłości ojczyzny!

Ateny jednak miały dwie fatalnie słabe strony, to jest, że obywatele nie znali prawdziwego życia rodzinnego i domowego i że w Atenach więcej było niewolników, aniżeli wolnych. Ludzie zaś publiczni, w moralnym względzie byli zepsuci. Przez to upadek Aten stał się nieuchronnym, a dokonał się rychlej jeszcze, aniżeli ich potęga. Podobnie przypisać trzeba upadek Rzymu ogólnemu zepsuciu ludu i coraz wzrastającemu zamiłowaniu w rozkoszach i lenistwie. W późniejszych czasach Rzymu, uważano pracę jako jedynie stosowną dla niewolników. Obywatele nie chlubili się już cnotami swych przodków i państwo upadło, bo żyć nie było warte. Wszystkie narody, które według Burtona „raczej“ w jednej bitwie funt krwi, aniżeli w uczciwej pracy kroplę potu przelać rade“, muszą koniecznie wygnać i ustąpić miejsca ludom pracowitym i energicznym.

Kiedy się Ludwik XIV zapytał sławnego Colberta, jakim sposobem on, monarcha tak wielkiej i ludnej Francji, pokonać nie może małej Holandji, odpowiedział tenże: „Pochodzi to ztąd. Najjaśniejszy panie, że wielkość kraju nie zależy od jego rozległości, ale od charakteru ludu. Ponieważ Holandczycy pracowici są, trzeźwi i energiczni, dla tego trudnem będzie dla W. kr. mości zwycięstwo“.

(Z pism filozofa ang. Smilesa).



Wielki cesarz austriacki Franciszek Józef I.

Przedstawia obraz, gdy w roku 1848-ym dnia 2-go grudnia cesarz austriacki Ferdynand składa koronę, następującemu synowi mianując, i na dalsze życie błogosławi siostrzeńca swego, obecnego cesarza Franciszka Józefa.

PRZYGODA POLAKA W DOLINIE ŚMIERCI.

Niema na świecie kraju, któryby tyle posiadał osobliwości natury, co Kalifornia. Pominawszy lasy drzew olbrzymich, skały niebotyczne, wodospady i inne cuda natury, dwa mianowicie są tam krajobrazy słynne na cały świat. Jeden z nich, to park Yosemite, który pod względem bogactwa przyrody raj przypomina — drugi, to Dolina Śmierci. Jest to kalifornijska Sahara, pustynia bez wody, tylko w pośrodku jej znajdują się bagna, których wyziewy zatrują powietrze. Upał jest tam tak straszny, że spadający deszcz rozchodzi się w parę, zanim ziemi dosięgnie.

Otóż do owej Doliny Śmierci wybrał się pewien Polak, niejaki Jan Głomski — naturalnie w poszukiwaniu za złotem.

Posłuchajmy oto, jak p. Głomski sam ową wyprawę opisuje w jednym z pism amerykańskich:

„Miałem cztery muły obciążone żywnością na 30 dni, wszelkimi narzędziami górniczymi, no i wody wziąłem ze sobą około 30 galonów. W Ludfów zebrałem wszelkie możliwe informacje o stacyach wodnych w Dolinie; powiedziano mi także, jak można rozpoznać złudne kawałki złota jeśli je się spotka w pustyni. Wziąłem także wór do spania, aby mnie ochronił przed tarantulami i grzechotnikami, które są dla podróżnych bardzo niebezpieczne i niekiedy arogancko się wobec nich zachowują.

Dolina Śmierci nazywają szmat ziemi 40 mil długi i od 20 do 35 mil szeroki, ciągnący się od góry Eagle aż do pasma Funeral. Dolina ta miejscami leży 500 stóp poniżej poziomu morza, pozbawiona jest wszelkiej roślinności, a królestwo zwierzęce reprezentują same grzechotniki, tarantule i wielkie czerwone mrówki. Widziałem tam jak mrówki toczyły, ciało podróżnego, który z pewnością padł w drodze z braku wody.

W drodze z Silver do Doliny mijalem kopalnię Johna Lee. Spotkałem tam pociesznego górnika, który wskazując palcem na kupy żółtej rudy, powiedział mi, że to czyste złoto. Poznałem się na żarcie. W kopalni pracują sami Meksykanie i Indianie, którzy nie mówią po angielsku i wszelkie moje zapytania zbywali odpowiedzią: No sabio (nie rozumiem).

Dwadzieścia dni po wyjeździe z Ludfów stanąłem u stóp pasma gór Funeral, gotów do obladowania moich mułów złotem. Dolina sama jest podługowata, owalnego kształtu. Zapuscilem się w nią z boku dnia 1 lipca, kiedy skwar jest najgorszy. Pamiętam jeszcze dzisiaj, że na słońcu w pięciu minutach usmarzyłem kawałek słoniny — taki był tam skwar. Ogień był zbytaczny, poćóż robić większe plekło. Kto zauważył, jak fale gorącego powietrza wznoszą się nad roztopioną masą żelaza, ten może mieć pojęcie, jak się przedstawia Dolina Śmierci, nad nią wznoszą się takie fale. Fale te są źródłem różnych złudzeń, bo oto drzewko nad brzegiem doliny wydaje się kolosalną górą, a wrona wygląda jak jeździec na koniu.

To promieniowanie gorące z ziemi nadaje krajobrazowi wygląd, jakoby był w bezustannym ruchu; przedmioty, które się widzi z bliska ciągle kołują. W odległości powiada, że jeśliby uczeni chcieli zobaczyć, jak wygląda ten kraj, to musieliby go

peraturę pustyni, to musieliby go zawsze na łożu trzymać.

Znawcy, geologowie, którzy zwiedzili Dolinę Śmierci, twierdzą, że w Dolinie tej było niegdyś jezioro, co oczywiście widzi się po brzegach. Wskutek jednak trzęsienia ziemi, rzeki, które jezioro zasilaly wodą, zostały od niego odcięte i wyschło ono zupełnie.

W Dolinie Śmierci tą także pewne wklęsnięcia, które zimową porą wypełniają się wodą, a która w lecie powoli wysycha. W czasie mojej podróży natrafiłem także taką stację wodną i naczepałem 15 galonów wody. Aby jej nie zmącić, ostrożnie nabierałem kubkiem do skórzanych kantyn. Była ona ciepła i brudna — ale w każdym razie woda, choć słona i jakby sodą zaprawiona.

Po drodze spotkałem karawanę złożoną z trzech mężczyzn i dziewięciu mułów; oni tak samo jak ja szukali skarbu w Dolinie Śmierci i nie znaleźli. To mnie oczywiście zniechęciło i postanowiłem zawrócić. Powrót ten trwał półtora dnia. Byłem znów u stóp gór Funeral — zaledwie z jednym galonem wody przy sobie. Wiedziałem co mi grozi, w pobliżu nie było wody, więc czempredzel skierowałem moje muły ku miastu Tacopa, gdzie była woda. W przekonaniu, że w jednym dniu dojadę do Tacopy, puściłem się szybciej w drogę. Góry Funeral od miasta Tacopa dzieli bezroślinna pustynia, prawie tak straszna jak sama Dolina Śmierci. Zbłądziłem, puściłem się w złą stronę i nie miałem już ani kropli wody.

Na drugi dzień straszne promienie słońca, skwar piekielny obudziły śmiertelny strach we mnie. Udałem się do wszelakich sztuczek celem przygaszenia pragnienia, lecz ani trzymanie kamyków w ustach, ani spożycie surowych ziemniaków nie mi nie pomogło.

Z nadzieją w sercu, że jadę do Tacopy i do wody — jechałem dalej. Potem cały dzień podróżować musiałem pieszo, bo muły już nieść mnie nie mogły. Czułem, że mi się ziemia z pod nóg usuwa. Walczyłem ze śmiercią, lecz szedłem, jako ten, który sam pędzi przez bezludną okolicę, podczas gdy za nim leci wróg śmiertelny.

Tymczasem język mój nabrzmiał, stał się dwa razy większy, a wargi tak mi napuchły, że nie mógł ust otworzyć. Dwa dni w ten sposób podróżowałem. W drugą noc byłem już na wpół nieprzytomny, zupełnie wyczerpany i zrezygnowany. Chciałem się snem orzeźwić, ale powieki nie chciały się zmrużyć. Całą noc nie spałem, rozdrażniony w najwyższym stopniu. Muły nie mogły iść dalej, chciałem im ulżyć o ile możności i pokrajałem ostatki ziemniaków. Sam się puściłem w podróż, przegnębiony tem bardziej, że w moich oczach padł jeden z mułów. I wtenczas to pomyślałem, że i ja padnę niebawem.

Miałem jednak jeszcze tyle odwagi, że mi się otrząsł z tych myśli i poszedłem dalej. Głowa kłębiła mi się bezładnie, cały świat począł się ze mną obracać. Szedłem mimo to naprzód. I zdawało mi się, że przed sobą widzę wirujące potoki i ludźli z wodą. Pamiętam — kilkakrotnie wyciągałem do nich ręce, i chwytalem wymarzone naczynia z wodą. Potem opanowywał mnie spokój, jakas cisza spoczęła nademną i było mi dobrze, mło jak w łóżku. Nawet nie czulem jak piasek palił mi nogi.

KALENDARZ HISTORYCZNY.

Szanujmy i czujmy wspomnienia
przeszłości naszej.

Gdy następnie przyszedłem do zmysłów, znalazłem się związany w łóżku, w pokoju oświetlonym małą lampką, a nademną czuwał ktoś o twarzy spalonej i porananej.

— Wszystko w porządku, przyjacielu; Kuba i ja myśleliśmy, że już kaput z tobą, ale wyjdiesz z tego, wyliżesz się.

Język i wargi miałem już mniej nabrzmiałe, ale tak wyschłe jak wiory. Prosiłem o wodę. Moi wybawcy zmaczali wodą ręcznik i przyłożyli mi go do ust. Było mi lepiej.

Przez trzy dni leżałem zupełnie nieprzytomny, bez zmysłów. Poczciwi ci ludzie znaleźli mnie blisko kopalni w Greenwater; tam widocznie padłem nieprzytomny. Zabrali mnie do siebie i przywiązali mnie do łóżka, bom się ciągle zrywał i chciałem iść dalej.

Dwa dni później przyszedłem zupełnie do siebie i gotów byłem przyznać, że nie znalazłem końca tęczy ani garnca złota.

Byłem już w bramach Tartomy: zajrzałem tam, skąd żaden podróżny jeszcze nie powrócił.



Ostrzegam ks. Krasicki, *) że gdy losy padły
Wśród serdecznych przyjaciół psy zające zjadły.
Dziś i w tem się już czasy zmieniły o wiele:
Dziś zająca zjadają sami przyjaciele.

*) bajkopisarz.



13-go grudnia 1586 r.: Stefan Batory po 10-letnim panowaniu w Polsce umiera w Grodnie.

14-go grudnia 1283 r.: Gwałtowna śmierć Ludgardy, żony króla Przemysława. Dzielnym był królem Przemysław, lecz niestety śmierć Ludgardy rzuca cię na pamięć jego, choć być może, że nie winien on był śmierci żony a tylko dworacy, chcąc mu się przysłużyć, zgładzili ze świata niemłą jego sercu księżnę. Rzewną „dumę” o Ludgardzie napisał Fr. Karpiński, zwany poetą serca.

15-go grudnia 1576 r.: Wybór księcia siedmiogrodzkiego, Stefana Batorego, na króla Polski.

16-go grudnia 1672 r.: Umarł w Niwernie we Francji król Jan Kazimierz w 4 lata po złożeniu korony.

18-go grudnia 1529 r.: zebrane stany polskie i litewskie wybierają jeszcze za życia króla Zygmunta I syna jego Zygmunta Augusta na jego następcę.

18-go grudnia 1806 r.: Przyjazd do Warszawy Napoleona I.

19-go grudnia 1796 r.: Kościuszko po odzyskaniu wolności wyjeżdża z Petersburga, udając się wraz z przyjacielem swym Niemcewiczem do Sztokholmu.

20-go grudnia 1632 r.: Król Wład. Łokietek zawiera przymierze z Bolesławem, księciem Śląskim.

22-go grudnia 1658 r.: Pobicie Szwedów pod Koldyngą; wzięcie Koldyngi opisał w swych pamiętnikach Jan Pasek.

23-go grudnia 1286 r.: Odparcie Tatarów z pod Krakowa.



Gwiazdor europejski.

Nawet w czasie świątecznym wszyscy zajmują się polityką europejską, która przedstawia się rzeczywiście tak, jak na tym obrazku. Bülów jako gwiazdor, jest bardzo łagodny i dobry dla europejskich dzieci, bo nawet ta różga, którą w rękę dzierży jest raczej oliwną gałązką pokoju. Dzieciaki też, zwłaszcza te, co bliżej stoją gwiazdora, grzeczne są i potulne; tylko te co zdala są, sierdzą się jakoś. Co jednak będzie, jak gwiazdor odejdzie? Bo to często tak bywa, że dzieci grzeczne są, dopóki gwiazdora widzą, ale potem tem większy czynią hałas. Czy europejskie dzieci będą zawsze grzeczne? Czy się nie pobiją?